

Książę Kruków

Robert Jordan

Książka XI z Koło Czasu



calibre 0.9.27

Cykl powieściowy

KOŁO CZASU

składa się z następujących tomów:

TOM I
OKO ŚWIATA
TOM II
WIELKIE POLOWANIE
TOM III
SMOK ODRODZONY
TOM IV
WSCHODZĄCY CIEŃ (CZ. 1)
TEN KTÓRY PRZYCHODZI ZE ŚWITEM (CZ. 2)
TOM V
OGNIE NIEBIOS (CZ. 1)
SPUSTOSZONE ZIEMIE (CZ. 2)
TOM VI
TRIUMF CHAOSU (CZ. 1)
CZARNA WIEŻA (CZ. 2)
TOM VII
CZARA WIATRÓW (CZ. 1)
KORONA MIECZY (CZ. 2)
TOM VIII
ŚCIEŻKA SZTYLETÓW
TOM IX
DECH ZIMY
TOM X
ROZSTAJE ZMIERZCHU (CZ. 1)
WICHRY CIENIA (CZ. 2)
TOM XI
GILOTYNA MARZEŃ (CZ. 1)

KSIĄŻĘ KRUKÓW (CZ. 2)

Robert Jordan

KSIĄŻĘ KRUKÓW

Przełożył Jan Karłowski

ZYSK I S-KA
WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału

KNIFE OF DREAMS vol. 2

Copyright © 2005 by The Bandersnatch Group, Inc

All rights reserved

The phrases „The Wheel of Time™” and „The Dragon Reborn™”,
and the snake-wheel symbol, are trademarks of Robert Jordan

Copyright © 2007 for the Polish translation by Zysk i S-ka Wydawnictwo s.j., Poznań

Copyright © for the cover illustration by Jan P. Krasny

Mapy wykreśliła Ellisa Mitchell

Redakcja Bogumiła Widła

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne i jakiegokolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żyjących czy zmarłych, jest zupełnie przypadkowe.

Wydanie I
ISBN 978-83-7506-176-5

Zysk i S-ka Wydawnictwo
ul. Wielka 10, 61-774 Poznań
tel. (0-61) 853 27 51, 853 27 67, fax 852 63 26
Dział handlowy, tel./fax (0-61) 855 06 90
sklep@zysk.com.pl
www.zysk.com.pl

Pamięci Charlesa St. George Sinklera Adamsa 6 lipca 1976 — 13 kwietnia 2005

Słodycz triumfu i gorycz porażki...
Obie są gilotyną marzeń.
Madoc Comadrin, Mgła i stal

Wystarczy już, Loial — oznajmił zrezygnowany Rand, ubijając kciukiem tytoń w główce fajki o krótkim cybuchu. Kapciuch był z koziej skóry, tytoń pochodził z upraw taireńskich, nieco zanadto sfermentowany miał lekko oleisty posmak, jednak nic lepszego pod ręką nie było. Nad ich głowami przetoczył się grzmot, leniwy, głuchy.

— Gardło zedrę, odpowiadając na wszystkie twoje pytania.

Siedzieli przy długim stole w jednej z większych komnat dworu lorda Algarina, naczynia z resztkami obiadu stały z boku. Służba była dość wiekowa i ruszała się leniwie, przynajmniej od kiedy Algarin porzucił dom na rzecz Czarnej Wieży. Niedawna ulewa nieco straciła na gwałtowności, teraz tylko od czasu do czasu silne podmuchy wiatru trzęsły szybkami okien i zalewały je łzami kropel — potem żółtawe szyby przez chwilę dzwoniły. Szkielka były kiepsko wykonane, nie dość, że pełne bąbelków, to jeszcze zniekształcały rozpaczliwie widoki na zewnątrz. Pozbawione zdobień stół i krzesła mogłyby z powodzeniem ująć w chłopskiej chacie, podobnie jak żółte gzymsy pod wysoko sklepionym sufitem. Równie niewyszukany charakter miały dwa kominki po obu stronach komnaty — szerokie, wysokie, z nieociosanego kamienia — oraz ich ruszty i żelazne utensylia. Algarin, choć szlachcic, bogaczem nie był.

Rand wsadził kapciuch do kieszeni, podszedł do jednego z kominków i małymi mosiężnymi szczypcami wziął drobinę żaru ze srebrnego dębu, by zapalić fajkę. Miał nadzieję, że jego zachowanie nikomu nie wyda się dziwne. Kiedy mógł, unikał przenoszenia, zwłaszcza w obecności innych — niełatwo było zapanować nad dręczącymi go wówczas zawrotami głowy — choć jak dotąd nikt nie śmiał nic na ten temat powiedzieć. Wiatr zaskrzeczał, jakby gałąź zaskrobała po szybie. Gra wyobraźni. Najbliższe drzewa rosły przecież w polu, co najmniej o pół mili stąd.

Loial przyniósł sobie z kwater przeznaczonych dla Ogirów fotel rzeźbiony w motywy winorośli, w efekcie jego kolana znajdowały się teraz na poziomie blatu stołu, więc pisząc w swoim w skórę oprawionym notesie, musiał się mocno nachylać. Notes był stosunkowo niewielki, tak że mieścił się do jednej z pojemnych kieszeni kaftana — mimo to wielkością dorównywał większości ludzkich książek. Górną wargę i brodę Loiala obsypywał delikatny meszek; od paru tygodni próbował zapuszczać prawdziwą brodę i wąsy, ale jak dotąd nieszczególnie mu szło.

— Ale nie powiedziałeś mi jeszcze nic istotnego — grzmiał Ogir, co brzmiało, jakby bęben wybijał swoje rozczarowanie. Zakończony pędzelkami uszy obwisły. Mimo wyraźnego rozczarowania spokojnie zabrał się do czyszczenia stalówki w obsadce z polerowanego drewna. Obsadka była grubsza niż kciuk Randa, a równocześnie na tyle długa, że wydawała się smukłą; idealnie pasowała do grubych palców Loiala.

— Nigdy nie wspominasz o czynach heroicznych, chyba że ktoś inny ich dokonał — ciągnął Ogir. — W twoich ustach wszystko brzmi tak zwyczajnie. Wnioskując z tego, jak o nim opowiadasz, upadek Ilian był równie ekscytujący, co naprawa krosien w warsztacie tkacza. A oczyszczenie Prawdziwego Źródła? Połączyłeś się z Nynaeve, usiedliście i zaczęliście przenosić, podczas gdy inni dawali odpór Przeklętym. Nawet od Nynaeve dowiedziałem się więcej, choć ona równocześnie twierdzi, że właściwie nic nie pamięta.

Nynaee w pełnej krasie swojej biżuterii — miała na sobie wszystkie ter'angrealez osadzonymi w nich klejnotami, jak też ów osobliwy, angreal w kształcie bransolety połączonej z pierścieniami — poruszyła się w fotelu stojącym przed frontem bardziej odległego kominka, a potem znów powróciła do obserwacji Alivii. Od czasu do czasu zerknęła w stronę okien i szarpała szeroki warkocz, niemniej jej spojrzenie wciąż wracało ku słomianowłosej Seanchance. Wtedy Alivia, stojąca przy drzwiach niczym na warcie, uśmiechała się nieznacznie, z rozbawieniem. Niegdysiejsza damane wiedziała, że demonstracyjne zachowanie Nynaee skierowane było pod jej adresem. Ale uśmiech nie obejmował orlich oczu, które wciąż gorzały błękitnym płomieniem. Od czasu, gdy w Caemlyn zdjęto jej obrożę, płomień ten właściwie na moment nie przygasał. Dwie Panny, — Harilin z Żelaznej Góry Taardad i Enaila z Jarra Chareen, przykucnęły nieopodal i z pozoru zajęte były wyłącznie grą w kocią kołyskę, ale ich obecność sama w sobie stanowiła kolejną demonstrację. Wokół głów udrapowane miały shoufy, czarne zasłony zwisały na piersi, znad karków sterczały drzewca włócznie zatkniętych za uprząże futerałów na łuki, a tarcze z byczej skóry spoczywały na posadzce. W posiadłości przebywało pięćdziesiąt Panien, wśród nich nawet kilka Shaido, i wszystkie chodziły takim krokiem, jakby w każdej chwili gotowe były tańczyć włócznie. Może nawet z Randem. Nie bardzo potrafiły przejść do porządku nad sprzecznością między zadowoleniem, że mogą go wreszcie chronić, a niezadowoleniem, że tak długo ich unikał.

On natomiast nie potrafił na nie spojrzeć, żeby w uszach nie dźwięczała litania kobiet, które dla niego zginęły, i kobiet, które sam zabił. Moiraine Damodred — ona na pierwszym miejscu. Jej imię wypisane było ognistymi literami we wnętrzu jego głowy. Liah z Cosaida Chareen, Sendara z Żelaznej Góry Taardad, Lamelle z Dymiących Wód Miagoma, Andhilin z Czerwonej Soli Goshien, Desora z Musara Reyn... Tyle imion. Czasami budził się po nocy, mamrocząc tę listę, a Min tuliła go i uspokajała jak dziecko. Zawsze zapewniał ją, że wszystko w porządku, i udawał senność, ale nie zasypiał i tylko z zamkniętymi oczyma przepowiadał sobie listę do końca. Czasami Lews Therin recytował razem z nim.

Min podniosła oczy znad książki, którą otworzyła na stole, tom pochodził z księgozbioru Herida Fela. Jedna za drugą pożerała kolejne książki z jego biblioteki, a w charakterze zakładki służył jej list, jaki filozof przesłał Randowi na krótko, zanim został zamordowany; ten, w którym pisał, że jej uroda nie pozwala mu się skoncentrować. Min miała na sobie krótki niebieski kaftan haftowany na rękawach i wyłogach w białe kwiaty i skrojony tak, by ciasno opinał biust, ukazując równocześnie dość głęboki dekolt bluzeczki z kremowego jedwabiu. W jej wielkich, ciemnych oczach, okolonych długimi do ramion, ciemnymi lokami lśniło zadowolenie. W więzi zobowiązań czuł przepelniającą ją radość. Lubiała, gdy na nią patrzył. Bez najmniejszych wątpliwości więź przekazała jej, jak on bardzo lubił patrzeć. Dziwne było tylko to, że ona również lubiała się przyglądać jemu. Śliczna? Zanucił kilka taktów jakiejś piosenki, pocierając kciukiem płatek ucha. Była piękna. I bliższa mu teraz niż kiedykolwiek wcześniej. Podobnie jak Elayne i Aviendha. Jak je ochronić? Uśmiechnął się w nieco wymuszony sposób, krzywiąc usta, w których tkwił cybuch fajki, niepewny, do jakiego stopnia mistyfikacja podziała. Po jej stronie więzi poczuł drgnienie irytacji, choć nie potrafił pojąć, czemu jej miałyby się nie podobać jego opiekuńczość. Ach tak, Światłości, ona chciała chronić jego!

— Rand nie jest szczególnie rozmowny, Loial — powiedziała, już się nie uśmiechając. W jej niskim, melodyjnym głosie nie było śladu gniewu, ale więź opowiadała zupełnie inną historię. — Po prawdzie, to czasami ma tyle głosu, co ryba. — Rand westchnął pod spojrzeniem, jakim go obrzuciła. Wychodziło na to, że będzie mnóstwo gadania, gdy tylko zostaną sam na sam. — Ja też niewiele potrafię ci opowiedzieć, natomiast pewna jestem, że Cadsuane i Verin powiedzą ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Inni również. Ich zapytaj, jeśli zależy ci na czymś więcej niż „tak” i „nie” plus parę

słów na dokładkę.

Krępa, niewysoka Verin szydełkująca na fotelu obok Nynaeve, wzdrygnęła się, usłyszawszy swe imię. Potem leniwie opuściła powieki, jakby zastanawiając się, o co może chodzić. Cadsuane, siedząca przy przeciwległym krańcu stołu obok otwartego koszyka z przyborami do szycia, tylko przelotnie uniosła oczy znad tamborka i zerknęła na Loiala. Zakołysały się złote ozdoby przy stalowo-siwym koczku upiętym wysoko na jej głowie. Tylko tyle — zwykłe spojrzenie, któremu nie towarzyszyło nawet zmarszczenie brwi — i Loial natychmiast zastrzygł uszami. Aes Sedai zawsze go onieśmiały, a Cadsuane szczególnie. — Och, zapytam, Min, z pewnością zapytam — odparł Loial. — Ale Rand jest głównym bohaterem mojej książki.

— Ponieważ nie miał pod ręką dzbanuska z piaskiem, zaczął dmuchać na zapisane strony, żeby wysuszyć atrament, i jak to on, między kolejnymi dmuchnięciami nie przestawał gadać. — Twoje opowieści są beznadziejnie pozbawione szczegółów, Rand. Muszę wszystko z ciebie wyciągać. Cóż, nawet się nie zająknąłeś, że zostałeś uwięziony w Far Madding, dopiero Min mi powiedziała. Nawet słowem. Jakie były słowa Rady Dziewięciu, kiedy zaproponowali ci Koronę Laurową? Kiedy postanowiłeś zmienić jej nazwę? Nie przypuszczam, by byli uszczęśliwieni. Jak przebiegała koronacja? Czy towarzyszyły jej jakieś uroczystości, święta, parady? Ilu Przeklętych miałeś przeciwko sobie w Shadar Logoth? Którzy to byli? Jak to wszystko wyglądało na końcu? Jakie było ogólne wrażenie? Bez szczegółów nie napiszę dobrej książki. Pozostaje mieć nadzieję, że Mat i Perrin sprawią się lepiej. — Zmarszczył brwi, a ich długie pędzelki musnęły jego policzki.

Przed oczyma Randa zawirowały kolory, niczym rozigrane bliźniacze tęcze w głębi wód. Wiedział już, jak sobie z nimi radzić, ale tym razem nawet nie spróbował. Zobaczył Mata jadącego lasem na czele kolumny jeźdźców. Chyba kłócił się z jadącą obok drobną smagłoskórą kobietą, która właśnie ściągnęła mu z głowy kapelusz, zajrzała do środka, a potem wcisnęła z powrotem na głowę. Wizja trwała naprawdę krótko i zaraz zastąpił ją obraz Perrina: ten siedział nad pucharkiem wina we wspólnej sali jakiejś gospody czy tawerny w towarzystwie mężczyzny i kobiety, odzianych w jednakowe czerwone kaftany, obrzeżone błękitem i żółcią. Dziwne to były stroje. Perrin sprawiał wrażenie ponurego jak śmierć, towarzysze przy stole zdradzali oznaki daleko posuniętej czujności. Jego się bali?

— Mat i Perrin mają się dobrze — powiedział, z zimną krwią ignorując przeszywające spojrzenie Cadsuane. Wciąż nie wiedziała wszystkiego, on zaś wołał, żeby tak pozostało. Z pozoru był całkowicie spokojny, zadowolony, skupiony na puszczaniu kółek z dymu. Co czuł naprawdę, to zupełnie inna sprawa.

„Gdzie oni są?” — pomyślał ze złością odpychając od siebie kolejną falę wirujących kolorów. Powoli stawało się to tak naturalne jak oddychanie. „Potrzebuję ich, a oni wzięli sobie dzień wolny w Ogrodach Ansaline”.

Znienacka przed jego oczyma wykwitł inny obraz — twarz mężczyzny — a Randowi zaparło dech w piersiach. Po raz pierwszy nie towarzyszyły temu żadne zawroty głowy. Po raz pierwszy mógł wyraźnie przyjrzeć się rysom tamtego, nim wizja się rozviała. Mężczyzna był błękitnooki, miał kwadratowy podbródek i może parę lat więcej niż on. Choć nie, to nie był pierwszy raz. Przecież już go kiedyś widział, tyle że dawno temu. Kiedy ten nieznajomy uratował mu życie w Shadar Logoth w trakcie walki z Sammaelem. Co gorsza...

„On mnie widzi” — powiedział Lews Therin. Tym razem jego głos brzmiał całkiem przytomnie. Zdarzało się tak niekiedy, lecz ostatecznie zawsze szaleństwo zwyciężało. „W jaki sposób może mnie widzieć ktoś, kto jest wizją w moim umyśle?”.

„Jeżeli ty nie wiesz, czemu spodziewasz się, że ja będę wiedział?” — pomyślał Rand. „Też go widziałem”. Wrażenie było dość dziwne, niby... namacalne. Choć nie miało nic wspólnego z bezpośredniością doświadczania przedmiotów materialnych. Powidok wciąż trwał przed jego oczami. Zdawało mu się, jakby wystarczył najdrobniejszy ruch w tę lub tamtą stronę, a mógłby tamtego dotknąć.

„I myślę, że on widział mnie”. Rozmowa z głosem rozbrzmiewającym w głowie nie raziła już cudacznością. Po prawdzie, od dawna spowszedniała. A ostatnio...? Ostatnio doszedł do tego faktu, że potrafi zobaczyć, co robią Mat i Perrin, wystarczy, że po prostu o nich pomyśli lub usłyszy, jak inni wymieniają ich imiona, miał też niezapowiedziane nawiedzenia tej obcej twarzy. Nie tylko twarzy. W obliczu takich cudów, czym były rozmowy z głosem w głowie? Niepokojące tylko, że tamten go widział, a ponieważ Rand widział go również, nawiązali kontakt wzrokowy.

„Kiedy w Shadar Logoth zetknęły się nasze strumienie ognia stosu, musiał powstać jakiś rodzaj połączenia. Innego wyjaśnienia podać nie potrafię. Spotkaliśmy się tylko ten jeden raz. On posługiwał się tym, co tamci nazywają Prawdziwą Mocą. Pewnie o to chodzi. Nie poczułem nic, nie widziałem nic prócz jego ognia stosu”. Nie dziwiła też umiejętność wygrzebania w pamięci fragmentów wiedzy, o których pewien był, że należą do Lewsa Therina. Pamiętał, naprawdę pamiętał, równie wyraźnie, jak farmę ojca, Ogrody Ansaline, zniszczone podczas Wojny z Cieniem. Przekaz wiedzy następował także w drugą stronę. Lews Therin czasami mówił o Polu Emonda, jakby się tam wychował. „Rozumiesz coś z tego?”.

„Och, Światłości, dlaczego wciąż dręczy mnie ten głos w głowie?” — zajączał Lews Therin. „Dlaczego nie mogę umrzeć? Och, Ilyeno, moja najdroższa Ilyeno, chcę do ciebie dołączyć”. Słowa przeszły w szloch. Zazwyczaj tak się kończyło, gdy zaczynał wspominać żonę, którą zamordował w napadzie szaleństwa. Nieważne. Rand zdusił w sobie odgłosy męskiego płaczu, aż stały się ledwie szeptem na krawędzi słyszalności. Pewien był, że ma rację. Ale kim jest tamten człowiek? Bez wątpienia Sprzymierzeniec Ciemności, choć żaden z Przeklętych. Lews Therin znał ich twarze jak swoją, a więc teraz do Randa też się to odnosiło. Nagle przyszło mu coś do głowy i aż się skrzywił. Co tamten mógł o nim wiedzieć? Ta'veren można było odnaleźć po skutkach jego oddziaływania na Wzór, ale tylko Przekłęci wiedzieli, jak to zrobić. Lews Therin z pewnością nigdy się nawet na ten temat nie zająknął — zresztą „konwersacje” z nim były zawsze krótkie, a interlokutor niechętny — i nic też jakoś nie przesączyło się z jego pamięci do umysłu Randa. Pewne było, że Lanfear i Ishamael umieli go w ten sposób odnaleźć, z drugiej zaś strony, po ich śmierci żadne z tamtych nie próbowało. Może zrodzona w Shadar Logoth więź funkcjonuje w podobny sposób? W takiej sytuacji wszystkim tu zgromadzonym groziłoby niebezpieczeństwo. Znacznie poważniejsze niż to, na które narażało ich samo przebywanie w jego towarzystwie.

— Wszystko dobrze, Rand? — zatroskał się Loial, który właśnie zakręcał kałamarz srebrną pokrywką grawerowaną w motywy liści. Kałamarz był z tak grubego szkła, że wytrzymałby pewnie i bezpośrednie uderzenie o kamień, Loial jednak traktował go z delikatnością należną przedmiotom nadzwyczaj kruchym. Zresztą w jego wielkich dłoniach faktycznie sprawia wrażenie kruchego. — Ser był już mocno przejrzały, a ty zjadłeś go naprawdę sporo.

— Czuję się znakomicie — powiedział Rand, ale oczywiście Nynaeve całkowicie zignorowała jego słowa. Zanim zdążył skończyć, poderwała się z fotela i pomaszerowała energicznie przez komnatę z szelestem błękitnych spódnic. Kiedy objęła saidara i wspięła się na palce, by położyć mu dłonie na głowie, poczuł gęsią skórkę. Moment później przeszył go zimny dreszcz. Ta kobieta nigdy nie pytała. Czasami zachowywała się, jakby wciąż była Wiedzącą w Polu Emonda, a on rankiem miał wracać na farmę.

— Nie jesteś chory — oznajmiła z ulgą. Zepsuta żywność wywoływała rozliczne dolegliwości wśród służby, niektóre nawet dość poważne. Gdyby nie obecność umiejących Uzdrawiać Asha'manów i Aes Sedai, ludzie by umierali. Mimo ciągłych napomnień Cadsuane i Nynaeve, jak też innych Aes Sedai, nie potrafili wyrzucić jedzenia nadającego się wyłącznie na pryzmę kompostową, ponieważ wydawało im się to marnotrawieniem pieniędzy pana. Nynaeve kontynuowała zabiegi i po chwili Rand poczuł inny rodzaj swędzenia, którego ośrodek stanowiła podwójna rana w lewym boku.

— Rana jest w tak samo paskudnym stanie — powiedziała, marszcząc brwi. Wcześniej próbowała ją uzdrowić, ale nie powiodło się jej, podobnie jak Flinnowi. Z tym, że w odróżnieniu od Flinna nie potrafiła przejść nad tym do porządku. Nynaeve każdą porażkę traktowała jak osobistą zniewagę.

— Jakim sposobem w ogóle trzymasz się na nogach? Przecież to musi potwornie boleć.

— Nie zwraca na to uwagi — odrzekła Min tonem całkowicie pozbawionym wyrazu. O, tak, rozmowy z nią nie uniknie. — Boli tak samo, czy siedzę, czy stoję — poinformował Nynaeve, delikatnie zdejmując jej dłonie ze swego czoła. Najczystsza prawda. Podobnie jak to, co powiedziała Min. Nie mógł sobie pozwolić, by ból uczynił go swym więźniem. Skrzypnęło skrzydło bliźniaczych drzwi i do środka wszedł siwowłosy mężczyzna w znoszonym żółtym kaftanie obrzeżonym czerwienią i błękitem, kaftan wisiał na nim niczym łachy stracha na wróble. Ukłonił się lekko, ale nie z braku szacunku, po prostu zawiodły go obolałe stawy.

— Mój Lordzie Smoku — powiedział głosem skrzypiącym tak, jak musiały skrzypieć jego stawy. — Lord Logain wrócił. Logain nie czekał na zaproszenie, wszedł do komnaty, właściwie depcząc staremu po piętach. Był wysoki, smagły jak na Ghealdanina, ciemne włosy lokami spływały na ramiona, kobiety zapewne uważały go za przystojnego, jednak męską urodę psuła mroczna nuta. W wysokim kołnierzu czarnego kaftana miał z jednej strony Miecz, z drugiej Smoka, zza pasa sterczała długa rękojeść miecza, ale pojawiło się też coś nowego: okrągła emaliowana brosza na piersi z trzema złotymi koronami na niebieskim polu. Logain przybrał sobie herb? Brwi starca uniosły się, zerknął na Randa, jakby pytając, czy chce, by tamtego usunąć.

— Wieści z Andoru należy określić mianem pomyślnych, jak mniemam — rzekł Logain, wsuwając rękawice za pas od miecza. Ukłonił się przed Randem, nieznacznie, właściwie tylko zaznaczył ukłon minimalnym ruchem karku. — Elayne wciąż panuje w Caemlyn, a Arymilla nadal go oblega, niemniej przewaga jest po stronie Elayne. Arymilla nie potrafi nawet przerwać szlaków zaopatrzenia miasta, cóż dopiero przeszkodzić docierającym do niego posiłkom. Nie musisz się krzywić. Trzymałem się z dala od Caemlyn. Na czarne kaftany nikt tam nie patrzy łaskawym okiem. Pogranicznicy wciąż stacjonują we wcześniejszym miejscu. Chyba jednak miałaś rację, dystansując się od nich. Plotki głoszą, że jest z nimi trzynaście Aes Sedai. Podobno szukają ciebie. Bashere już wrócił?

Nynaeve obrzuciła Logaina ponurym spojrzeniem, a potem usunęła się na bok, przez cały czas mocno ściskając warkocz. Nie miała nic przeciwko temu, gdy Aes Sedai nakładały na Asha'manów więzi zobowiązań, sytuacja odwrotna najwyraźniej wydawała jej się nie do przyjęcia.

Trzynaście i szukają go? Dystansował się od Pograniczników, ponieważ Elayne nie chciała jego pomocy — nazwała ją „wtrącaniem się”; po zastanowieniu dostrzegł mądrość jej słów, zaiste, w końcu miała zdobyć Tron Lwa, a nie otrzymać go w trybie łaski — niewykluczone jednak, że było to również pod innym względem właściwe postępowanie. Wszyscy władcy Ziem Granicznych utrzymywali ściśle związki z Białą Wieżą a Elaida z pewnością nie porzuciła jeszcze ambicji dostania go w swe ręce. Elaida i jej szalone proklamacje, by kontaktu ze Smokiem Odrodzonym szukać wyłącznie za pośrednictwem Białej Wieży! Jeżeli wierzyła, że to go zmusi do zabiegania o jej protekcję, była idiotką.

— Dziękuję ci, to już wszystko, Ethin. Lord Logain? — zapytał, gdy służący kłaniał się, obrzucając

równocześnie Logaina ostatnim, niespokojnym spojrzeniem. Rand uznał, że gdyby nakazał wyprosić Logaina, tamten faktycznie by to uczynił. — Tytuł należy mu się mocą urodzenia — oznajmiła Cadsuane, nie unosząc oczu znad robótki. Z pewnością wiedziała, w końcu pomogła w jego schwytaniu... jego i Taima... gdy jeszcze mienił się Smokiem Odrodzonym. Pokiwała głową, a ozdoby na włosach zakołysały się. — Ba! Pomniejsze lordziątko ze splachetkiem ziemi w górach, na którym trudno odnaleźć kawałek równego pola. Król Johanin i Wielka Rada Koronna pozbawili go ziemi i tytułu, kiedy rozpoznano w nim fałszywego Smoka. Na policzkach Logaina wykwitły plamy czerwieni, niemniej głos pozostał chłodny i opanowany.

— Mogą odebrać mi moją ziemię, ale nie zabiorą tego, kim jestem.

Cadsuane zaśmiała się cicho, choć przez cały czas wydawała się całkowicie skoncentrowana na robótkce. Druty Verin zatrzymały się. Spojrzała na Logaina niczym pulchny wróbel na robaka. Alivia również przeniosła płonący wzrok na gościa, Harilin i Enaila wyraźnie grały już wyłącznie mechanicznie, nie zwracając uwagi na ruchy. Min wciąż czytała, niemniej jakimś sposobem jej dłonie znalazły się tuż przy rękawach, w których miała noże. Nikt z zebranych nie ufał Logainowi.

Rand zmarszczył czoło. Niech tamten tytułuje się, jak mu się podoba, póki będzie robił, co doń należy; z drugiej strony należało przyznać, że Cadsuane dokuczała mu niemiłosiernie, jak zresztą każdemu w czarnym kaftanie, jak samemu Randowi. On też nie miał pewności, w jakim stopniu może ufać Logainowi... nieważne, pracuje się z narzędziami, jakie są pod ręką.

— To już wszystko? — Loial znowu odkręcał kałamarz. Obecność Logaina rodziła nadzieje na dalsze informacje. — Ponad połowa stanu liczebnego Czarnej Wieży przebywa obecnie w Arad Doman i Illian. Zgodnie z twoim rozkazem wysłałem wszystkich ludzi połączonych z Aes Sedai więziami zobowiązań, wyjątkiem są przebywający tutaj. — Nie przestając mówić, Logain podszedł do stołu, wśród talerzy i półmisek z resztkami jedzenia znalazł niebieski glazurowany dzban i napełnił pokryty zieloną glazurą pucharek. Srebra w domu było naprawdę niewiele. — Powinieneś mi pozwolić sprowadzić więcej ludzi. Jak na mój gust, zbyt dużo tu Aes Sedai.

Rand mruknął:

— Ponieważ po części to twoja wina, musisz się z tym po godzić. Pozostali również. Mów dalej.

— Dobraine i Rhuarc przyślą przez Żołnierza wiadomości, gdy tylko nawiążą kontakt z kimś, kto ma we władaniu więcej niż jedną wieś. Rada Kupców wciąż uznaje władzę króla Alsalama, ale jej członkowie nie potrafią lub nie chcą zorganizować spotkania z nim tudzież wskazać, gdzie przebywa, poza tym sami wciąż rzucają się sobie do gardeł, a Bandar Eban właściwie opustoszało i rządzi w nim motłoch. — Logain zerknął w głąb pucharka i skrzywił się. — Resztki porządku zapewniają bandyckie gangi, które wymuszają na ludziach opłat w jedzeniu i pieniądzech za ochronę, a poza tym biorą, co chcą w tym kobiety. — W więzi rozgorzał nagle rozpalony do białości gniew, a Nynaeve warknęła gardłowo.

— Rhuarc postanowił, że z tym skończy. Gdy opuszczałem miasto, trwała w nim już regularna bitwa — skończył Logain — Bandycki nie będą się długo opierać Aielom. Jeżeli Dobraine nie znajdzie nikogo, kto by chciał przejąć władzę, wówczas sam będzie musiał to zrobić, przynajmniej na czas jakiś. — Jeżeli okaże się, że Alsalam nie żyje, a wszystko na to wskazywało, trzeba powołać Zarządcę, który w imieniu Lorda Smoka poprowadzi sprawy Arad Doman. Ale kogo? Z pewnością to musi być ktoś, kogo Domani zaakceptują. Logain upił łyk wina. — Taim nie był szczególnie uszczęśliwiony, że zabieram z Wieży tylu ludzi i nie informuję go, dokąd. Przez moment myślałem, że podrze twoje rozkazy. Próbował każdej sztuczki, by wyciągnąć ze mnie, gdzie przebywasz. Och, dałby chyba wszystko, żeby wiedzieć. Oczy mu się świeciły jak dwie gwiazdy. Chyba gotów byłby

nawet mnie poddać przesłuchaniu, gdybym był na tyle głupi i spotkał się z nim sam na sam. I tylko z jednego był zadowolony: mianowicie, że nie zabrałem nikogo spośród jego najbliższych zauszników. To było widać na jego twarzy. — Uśmiechnął się mrocznym uśmiechem, w którym nie było śladu wesołości. — Tak na marginesie, jest ich teraz czterdziestu jeden. W ciągu ostatnich kilku dni rozdał kilkunastu ludziom szpilki ze Smokiem, ponad pięćdziesięciu natomiast uczestniczy w jego „specjalnych” kursach, większość zwerbowana niedawno. Oczywiście jest, że coś knuje, jak również, że ci się to nie spodoba. „Mówiłem ci, żebyś go zabił, kiedy była szansa” — zachichotał Lews Therin, zdjęty wesołością szaleńca. „Mówiłem ci. A teraz jest za późno”.

Rand gniewnie wypuścił z ust strumień szaroniebieskiego dymu. — Zlituj się — powiedział, adresując słowa równocześnie do Logaina i Lewsa Therina. — Taim zbudował Czarną Wieżę. Teraz siłą prawie dorównuje Białej i z każdym dniem staje się coraz silniejsza. Gdyby był Sprzymierzeńcem Ciemności, jak twierdzisz, po cóż by to robił?

Logain spokojnie popatrzył mu w oczy.

— Ponieważ jego wpływy są mimo wszystko ograniczone. Z tego, co słyszałem, od początku werbunkiem zajmowali się ludzie nie będący jego przydupasami i nie potrafił znaleźć wymówki, żeby ich odsunąć. Ale zbudował własną Wieżę ukrytą we wnętrzu Czarnej Wieży, złożoną z ludzi lojalnych wobec niego, nie wobec ciebie. Zaktualizował listę dezertków i teraz dołącza do niej prośbę o wybaczenie „legalnej pomyłki”, ale możesz się założyć o wszystko, co posiadasz, że to nie była żadna pomyłka.

A jak daleko sięga lojalność Logaina? Jeżeli jeden fałszywy Smok mógł się potajemnie zbuntować przeciwko Smokowi Odrodzonemu, dlaczego nie drugi? Mógł dojść do wniosku, że jest w swoim prawie. Z dwu fałszywych Smoków Logain cieszył się większą sławą odnosił znakomitsze sukcesy, stworzył armię, która spustoszyła Ghealdan i prawie dotarła do Lugardu w marszu ku Łzie. Połowa znanego świata drżała przed imieniem Logaina. Niemniej to Mazrim Taim panował teraz w Czarnej Wieży, podczas gdy Logain Ablar był zwykłym Asha'manem. A Min wciąż widziała otaczającą go aureolę chwały. I tylko to, w jaki sposób do chwały dojdzie, pozostawało poza zasięgiem jej wizji.

Wyjął cybuch fajki z ust, rozgrzana główka oparzyła czapkę wypaloną we wnętrzu dłoni. Nieświadomie musiał ją rozdmuchać przed chwilą. Sednem sprawy było, że Taim i Logain stanowili problem drugorzędny. Musieli poczekać. To tylko narzędzia, które akurat znalazły się pod ręką. Z wysiłkiem nadał głosowi spokojne brzmienie.

— Taim usunął imiona tamtych z listy. Tylko to jest istotne. Jeżeli w grę wchodzi nieuczciwa protekcja, zajmę się tym, kiedy będę miał czas. Teraz najważniejsi są Seanchanie. I może Tarmon Gai'don.

— Jeżeli? — warknął Logain, odstawiając z trzaskiem pucharek na stół. Pucharek pękł, wino rozlało się na stole, a potem ściekło po krawędzi. Logain zmarszczył czoło i wytarł mokrą dłoń o kaftan. — Sądzisz, że to tylko moja wyobraźnia? — Z każdym słowem w jego głosie rozbrzmiewały coraz bardziej gwałtowne tony. — A może wszystko zmyślam? Sądzisz, że to może zazdrość przeze mnie przemawia, al'Thor? Tak sobie myślisz?

— Posłuchaj... — zaczął Rand, unosząc głos, żeby przekrzyczeć łomot gromu.

— Powiedziałam, że oczekuję, iż ty i twoi kompanioni w czarnych kaftanach będziecie się właściwie zachowywać tak wobec mnie, jak też moich przyjaciółek i gości — rzekła ostro Cadsuane. — Ale teraz doszłam do wniosku, że dotyczy to również waszego zachowania w stosunku do siebie. — Wciąż nie uniosła głowy znad tamborka z haftem, jednak jej słowa brzmiały tak, jakby im wymachiwała palcem przed nosem. — Przynajmniej w mojej obecności. Co oznacza, że jeśli nie

przestaniecie się kłócić, spuszcze wam obu lanie.

Harilin i Enaila zaczęły się śmiać tak głośno, że z kociej kołyski wyszedł im prosty sznurek. Nynaeve również się śmiała, choć próbowała kryć usta dłonią. Światłości, nawet Min się uśmiechnęła.

Logain zjeżył się, zacisnął szczęki tak mocno, że Randowi zdało się, iż słyszy zgrzyt zębów. Sam walczył o panowanie nad emocjami. Cadsuane i jej przekłete zasady. A właściwie warunki, od których uzależniała, czy pozostanie jego doradczynią. Za każdym razem, gdy dodawała kolejny, udawała, że sam poprosił o jego wysunięcie. Reguły te zresztą nie były szczególnie dotkliwe, — choć samo ich istnienie z pewnością tak — niemniej sposób, w jaki o nich przypominała, zawsze przywodził na myśl poszturchiwanie zaostrzonym kijem. Otworzył usta, by odparować, że właśnie nastąpił koniec władzy jej zasad oraz, jeśli to równoznaczne, również jej obecności przy nim.

— Niezależnie, co Taim zamierza, z pewnością będzie musiał z tym poczekać do Ostatniej Bitwy — oznajmiła zniecka Verin. Na jej podołku spoczywała robótka: bezkształtna masa wełny o niemożliwym do zidentyfikowania przeznaczeniu. — A ta nadejdzie niebawem. Zgodnie ze wszystkim, co czytałam na ten temat, znaki nie pozostawiają wątpliwości. Połowa przepytywanej przeze mnie służby widziała na korytarzach martwych ludzi, znanych im za życia. Zdarzało się to już tyle razy, że wszyscy przywykli i nikt się nie boi. Parę mil na północ kilkunastu pasterzy krów podczas wędrówki na wiosenne pastwiska było świadkami, jak całkiem spore miasto rozplynęło się we mgle.

Cadsuane uniosła dłoń i spojrzała na pulchną Brązową siostrę — Dziękuję ci za rekapitulację wczorajszej przemowy, Verin — odezwała się sucho.

Verin zamrugała, a potem powróciła do szydełkowania, marszcząc brwi, jakby sama również nie miała pojęcia, co wyjdzie z robótki.

Spojrzenia Min i Randa spotkały się, dziewczyna nieznacznie pokręciła głową, a on westchnął. W więzi pulsowały irytacja i czujność, podejrzewał, że to drugie uczucie wzbudziła w sobie rozmyślnie — chcąc go ostrzec. Wydawało mu się, niekiedy, że potrafi czytać w jego myślach. Cóż, jeżeli potrzebował Cadsuane, a Min twierdziła, że tak jest, wobec tego tak naprawdę nie było wyjścia z sytuacji. Ale chętnie by już poznał coś z jej obiecanych nauk, na razie nauczył się tylko zgrzytać zębami.

— Doradź mi, Cadsuane. Co sądzisz o moim planie? — W końcu chłopiec postanowił zapytać — mruknęła odkładając haft do stojącego obok koszyka. — Wszystkie jego intrygi są już mocno zaawansowane, o niektórych nie mam zielonego pojęcia, a on pyta. Bardzo dobrze. Traktat pokojowy z Seanchanami nikomu się nie spodoba.

— Rozejm — sprostował. — A rozejm ze Smokiem Odrodzonym obowiązywać będzie tylko do momentu śmierci Smoka Odrodzonego. Kiedy umrę, wszyscy będą mogli powrócić do wojny z Seanchanami, wedle woli.

Min zatrzasnęła książkę i splotła ramiona na piersiach.

— Nie mów takich rzeczy! — rzekła, czerwona z gniewu. W więzi tkwił strach.

— Proroctwa, Min — odparł ze smutkiem. Nie było mu żal siebie, ale jej. Chciał ją chronić, podobnie jak Elayne i Aviendhę, jednak ostatecznie je skrzywdzi.

— Powiedziałam, nie mów takich rzeczy. Proroctwa nie twierdzą, że musisz umrzeć. A ja nie pozwolę ci umrzeć, Randzie alThor! Elayne i Aviendha nie pozwolą ci umrzeć! — Patrzyła płonącymi oczyma na Alivię, która w myśl jej wizji miała współuczestniczyć w śmierci Randa, a jej dłonie pełzły ku mankietom kaftana. — Zachowuj się, Min — skarcił ją.

Jej dłonie odskoczyły od rękawów, ale wciąż zaciskała szczęki, a w więzi tętnił upór. Światłości, czy powinien się zacząć zamartwiać, że Min zabije Alivię? Zapewne nie miała większych szans,

ponieważ równie dobrze można się było rzucać z nożem na Aes Sedai, ale jej mogła stać się krzywda. Nie był pewien, czy Alivia zna jakieś inne sploty prócz militarnych.

— Jako rzekłam, nikomu się nie spodoba — kontynuowała niewzruszenie Cadsuane, nieco unosząc głos. Zaszczyciła Min przelotnym spojrzeniem, a potem znów skupiła uwagę na Randzie. Jej twarz była gładka, opanowana: oblicze Aes Sedai. Ciemne oczy twarde niczym wypolerowane czarne kamyki. — Zwłaszcza w Tarabon, Amadicii i Altarze, ale też wszędzie indziej. Jeżeli pozwolisz Seanchanom zatrzymać to, co już zdobyli, co oddasz w następnej kolejności? W ten sposób będą na sprawę patrzeć wszyscy władcy.

Rand opadł w fotel, wyciągnął nogi i skrzyżował je w kostkach.

— Nie dbam, czy się to komukolwiek spodoba. Przeszedłem przez ten ter'angreal w kształcie drzwi w Łzie, Cadsuane. Wiesz o tym?

Złote ozdoby podskoczyły, kiedy niecierpliwie pokiwała głową.

— Jedno z pytań, jakie zadałem Aelfinn, brzmiało: „Jak mogę wygrać Ostatnią Bitwę?”.

— Pytanie z rodzaju tych, które zadawać niezbyt przezornie — powiedziała cicho, — ponieważ dotyka spraw Cienia, W takich wypadkach skutki mogą być opłakane. Jak brzmiała odpowiedź?

— „Północ i wschód stać się muszą jednością. Zachód i południe stać się muszą jednością. Dwoje stać się musi jednością”. — Wydmuchnął kółko z dymu, a później przepuści drugie przez jego środek. To nie wszystko. Zapytał wtedy jeszcze, jak zwyciężyć i przeżyć. Odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmiała: „Żeby żyć, musisz umrzeć”. Ale nie miał zamian wspominać o tym w obecności Min, przynajmniej nie w najbliższym czasie. Jeśli już o tym mowa, nie zamierzał wspominać nikomu, prócz Alivii. Pozostawało tylko wymyślić, jak przeżyć, umierając.

— Z początku sądziłem, że oznacza to, iż muszę podbić cały świat, ale przecież tego nie powiedzieli. A jeśli trzeba to rozumieć w ten sposób, że Seanchanie zdobędą zachód i południe, co prawdopodobnie już się stało, i że Ostatnią Bitwę stoczy sojusz złożony z Seanchan i ludzi pozostałych krain?

— Możliwe — zgodziła się. — Ale jeśli masz zamiar zawrzeć ten... rozejm... dlaczego wysyłasz poważne siły do Arad Doman i wzmacniasz armie już stacjonujące w Illian?

— Ponieważ Tarmon Gai'don nadchodzi, Cadsuane, a ja nie mogę walczyć równocześnie z Cieniem i z Seanchanami Zawrę z nimi rozejm albo zmiążdżę ich niezależnie od kosztów. Proroctwa głoszą, że muszę związać ze sobą Dziewięć Księżyców. Dopiero parę dni temu zrozumiałem, co to znaczy. Skoro tylko wróci Bashere, będę wiedział, gdzie i kiedy mam się spotkać z Córką Dziewięciu Księżyców. Jedynym pytaniem pozostanie wówczas, jak ją ze sobą związać, a na nie tylko ona potrafi odpowiedzieć.

Mówił głosem bez reszty rzeczowym, od czasu do czasu podkreślając słowa wydmuchiwanymi kółkami dymu. Reakcje zgromadzonych były różne. Loial pisał najszybciej, jak potrafił, starając się nie uronić ani słowa. Harilin i Enaila grały dalej. Znaczyło to, że jeśli trzeba będzie tańczyć włócznie, są gotowe. Alivia żywo kiwała głową bez wątpienia licząc na zgubę tych, którzy przez pięćset lat kazali jej nosić obrożę. Logain znalazł sobie następny pucharek i nalał do niego resztkę wina z dzbana, ale potem stał tylko bez ruchu, nie pijąc, a wyraz jego twarzy pozostawał nieodgadniony. Verin wpatrywała się z napięciem, choć tym razem w Randa, nie w swą robotkę. Jednak w końcu zawsze ją interesował. Skąd wszak, na Światłość, wziął się ten grobowy smutek Min? Natomiast Cadsuane...

— Kamień kruszy się pod odpowiednio mocnym ciosem - powiedziała, a jej twarz była maską spokoju Aes Sedai. — Pęka stal. Dąb zмага się z wiatrem, ale w końcu się łamie. I tylko wierzba ugina się, kiedy trzeba, i wychodzi cało.

— Wierzba nie wygra Tarmon Gai'don — poinformował ją.

Drzwi zaskrzypiały znowu i do środka wbiegł Ethin. — Mój Lordzie Smoku, przybyli trzej Ogirowie. Z największym zadowoleniem powitali fakt, że przebywa tu pan Loial. Wśród nich jest jego matka.

— Moja matka? — zakwiczał Loial, a jego pisk brzmiał niczym głucho wycie wiatru w jaskini. Poderwał się tak gwałtownie, że przewrócił fotel, potem zaczął załamywać ręce, uszy mu opadły. Kręcił głową w tę i w tę, jakby szukając innego wyjścia z komnaty. — Co mam robić, Rand? Pozostała dwójka to z pewnością Starszy Haman i Erith. Co mam teraz robić?

— Pani Covril twierdziła, że za wszelką cenę musi z tobą porozmawiać, panie Loial — upierał się Ethin skrzeczącym głosem. — Za wszelką cenę. Cała trójka jest zupełnie przemoczona, ale kazano mi powiedzieć, że oczekują cię w salonie Ogirów na piętrze.

— Co mam robić, Rand?

— Powiedziałeś, że chcesz wziąć ślub z Erith — odrzekł Rand tak delikatnie, jak tylko umiał. Delikatność przychodziła mu niełatwo, wyjątkiem były chwile spędzane z Min.

— Ale moja książka! Moje notatki nie są kompletne, poza tym muszę się przekonać, co się dalej zdarzy. A Erith zabierze mnie ze sobą do Stedding Tsofu.

— Ba! — Cadsuane ponownie wzięła do ręki haft, a igła wznowiła swój miarowy, pajęczy ruch. Haftowała starożytny symbol Aes Sedai. Smoczy Kieł i Płomień Tar Valon na planie kręgu; biel i czerń oddzielone wężową linią. — Idź, spotkaj się z matką Loial. Jeżeli faktycznie jest to Covril, córa Elli, córa Soong, lepiej, żeby nie czekała. Jak sam zapewne wiesz.

Loial wyraźnie wziął słowa Cadsuane za rozkaz. Znowu oczyścił stalówkę pióra, zakręcił kałamarz. Ale wszystko to robił z denerwującą powolnością a jego uszy obwisły smutno. Co jakiś czas mruczał ponuro pod nosem:

— Moja książka!

— Cóż — powiedziała Verin, przyglądając się swojej pracy. — Myślę, że już nic tu po mnie. Pójdę rozejrzeć się za Tomasem. Od takiej pogody bolą go kolana, choć oczywiście nigdy mi tego nie mówi wprost. — Zerknęła za okno. — Wygląda na to, że deszcz ustaje.

— A ja chyba poszukam Lana — zawtórowała jej Nynaeve, zbierając spódnice. — Jest zdecydowanie lepszym towarzyszem. — Ostatnie zdanie podkreśliła szarpnięciem za warkocz i ponurymi spojrzeniami na Alivię i Logaina. — Wiatr szepce mi, że nadchodzi burza, Rand. I doskonale wiesz, że nie chodzi o burzę z piorunami.

— Ostatnia Bitwa? — zapytał Rand. — Kiedy? — Gdy w grę wchodziła pogoda, z wiatru potrafiła wyczytać czasami, co do godziny, kiedy spadnie deszcz.

— Może i tak. Jeśli chodzi o drugie pytanie, nie wiem. Chcę tylko, żebyś zapamiętał. Nadchodzi burza. Straszna burza - Nad ich głowami przetoczył się grzmot.

Loial niespokojnie patrzył, jak Nynaeve i Verin rozchodzą się w przeciwne strony oświetlonego lampami korytarza. Obie sięgały mu nieco wyżej niż do pasa, ale przecież były Aes Sedai. Fakt ten do tego stopnia zasznurował mu usta, że zanim zebrał się na odwagę i poprosił o towarzystwo, zniknęły już za ostrymi rogami korytarza. Dwór był prawdziwym labiryntem, z biegiem lat bez żadnego widocznego na pierwszy rzut oka planu tworzone kolejne dobudówki, dlatego też korytarze często przecinały się pod dziwacznymi kątami. Naprawdę żałował, że żadna Aes Sedai nie będzie mu towarzyszyła podczas spotkania z matką. Choćby i Cadsuane, mimo iż denerwowało go, że tak często dokucza Randowi. Wcześniej czy później Rand tego nie znieśie i wybuchnie. To nie był ten sam człowiek, którego Loial spotkał w Caemlyn, ani nawet ten, którego zostawił w Cairhien. Atmosfera otaczająca Randa przywodziła teraz na myśl ciemny, ponury kamień albo gęste krzewy lili i zdradziecki teren pod nimi. Taka atmosfera udzielała się każdemu domostwu, w którym przebywał Rand.

Chuda, siwowłosa służąca z koszem złożonych ręczników wzdrygnęła się na jego widok, potem pokręciła głową, mruknęła coś pod nosem i dopiero wtedy ukloniła się, by na koniec pójść w swoją stronę. Po kilku krokach odstępiała na bok, jakby obchodząc coś. Lub kogoś. Patrzył w to miejsce, drapiąc się za uchem. Być może on potrafiłby dojrzeć wyłącznie zmarłych Ogirów. Choć wcale nie chciał. Dostatecznie smutna była świadomość, że ludzie zmarli nie mogą już zaznać spoczynku. Gdyby doszła do tego wiedza, iż dotyczy to również Ogirów, pewnie pękłoby mu serce. Tak czy siak, zapewne duchy Ogirów nie pokazują się poza stedding. Jednak bardzo chciałby zobaczyć znikające miasto. Nie prawdziwe miasto, ale miasto równie martwe, co duchy, które rzekomo widywali ludzie. Można by przejść się po jego ulicach, nim znikną, i zobaczyć, jacy ludzie żyli przed Wojną Stuletnią albo bodaj przed Wojnami z Trollokami. Tak mówiła Verin, a ona chyba wiedziała sporo na ten temat. Z pewnością takie doświadczenie warte byłoby wzmianki w książce. A książka zapowiadała się nadzwyczaj ciekawie. Podrapał się po brodzie dwoma palcami — zarost swędział! — i westchnął. To mogłaby być taka interesująca książka.

Wystawanie w korytarzu mogło tylko o parę chwil odwlec nieuniknione. Stare powiedzenie głosiło, że wystarczy na czas jakiś zaniedbać opieki nad krzewami, a natychmiast znajdzie się w nich pnącze dławicy. Tylko, że teraz czuł, jakby sam cały oplątany był pnączem dławicy, a nie tylko musiał je zwalczać w ogrodzie. Ciężko wzdychając, poszedł śladem służącej aż do szerokich schodów, prowadzących ku apartamentom dla Ogirów. Klatka schodowa miała po obu stronach solidne poręcze sięgające siwowłosej kobiecie do ramion, Ogirom natomiast zapewniające solidne oparcie dla dłoni. Loial często obawiał się choćby musnąć przeznaczone dla ludzi poręcze w obawie, że je połamie. Obok klatki schodowej przeznaczonej dla Ogirów i biegnącej po zewnętrznej stronie, przy wyłożonej boazerią ścianie znajdowały się odgraniczone poręczą stopnie stosowne dla stóp ludzkich. Kobieta była stara, przynajmniej według ludzkiej rachuby lat, niemniej szła po schodach szybciej niż on i zanim dotarł na szczyt, już zniknęła w korytarzu. Bez wątplenia ręczniki miały trafić do pokoju jego matki, Starszego Hamana i Erith. Tamci z pewnością zechcą się osuszyć przed rozmową. Sam by

im to zaproponował. Dzięki temu zdobyłby odrobinę czasu do namysłu. Myśli w głowie pelzły równie leniwie, jak jego stopy po schodach, a te zdawały się ciężkie jak młyńskie kamienie.

Wzdłuż korytarza mieściło się sześć sypialni przeznaczonych dla Ogirów, skład, łazienka z wielką miedzianą wanną i salon, sam korytarz zresztą też był dostosowany do ich rozmiarów — nawet gdyby wyciągnął do góry ręce, długość kroku dzieliłaby je od belek sufitu. Była to najstarsza część dworu postawiona przed prawie pięciuset laty. Całe życie dla nadzwyczaj nawet wiekowego Ogira, dla ludzi kilka żywotów. Tak szybko umierali — wyjątkiem były oczywiście Aes Sedai — pewnie dlatego tak się trzepotali niczym kolibry. Z drugiej strony Aes Sedai też potrafiłyby być równie gwałtowne, co reszta, Prawdziwa zagadka.

Drzwi salonu rzeźbione były w Wielkie Drzewo, a dzieło artysty, — choć nie stanowiło roboty Ogirów — było bogate w szczegóły i natychmiast rozpoznawalne. Loial przystanął: wygładził kaftan, przyczesał palcami włosy, żałując, że nie starczy czasu na wypastowanie butów. Na mankiecie miał plamę od atramentu. Z tym również nic już nie robi. Cadsuane miała rację. Jego matka nie była kobietą, której każe się czekać. Dziwne, gdzie Cadsuane o niej słyszała. Albo skąd ją знаła, co zdawało się wynikać z jej słów. Covril, córka Elli, córki Soong, była sławną Mówczynią, ale nie zdawał sobie sprawy, że jest znana na Zewnątrz. Światłości, że zdenerwowania aż się zadyszał.

Starając się zapanować nad oddechem, wszedł do środka. Nawet tutaj zawiasy skrzypiały. Służący byli wstrząśnięci, gdy poprosił o odrobinę oliwy — oliwienie zawiasów było ich pracą, on był gościem, — ale ostatecznie sami jakoś nie potrafili się za to zabrać.

Pokój z wysokim sufitem był dość przestronny, ściany wyłożono ciemną, polerowaną tapetą, odpowiednich rozmiarów umeblowanie składało się z rzeźbionych w motywy winorośli krzeseł, niewielkich stolików i kutych w żelazie stojących lamp - ich płomienie tańczyły w odbłaśnikach nad jego głową. Wyjąwszy półki na książki tak stare, że ich skórzane grzbiety łuszczyły się płatkami — książki zresztą już przez niego kiedyś czytane — tylko mała misa ze śpiewanego drzewa była dziełem Ogirów. Zresztą ślicznym, żałował, że nie ma pojęcia, kto ją wyśpiewał, ale była już tak stara, że na śpiew odpowiadała ledwie słyszalnym echem. Pozostałe przedmioty wykonał bez wątpienia ktoś, kto przynajmniej raz widział na własne oczy stedding. Nie raziłyby w żadnym otoczeniu. Rzecz jasna, pokój w niczym nie przypominał pomieszczeń stedding, niemniej widać było, że przodek lorda Algarina dołożył wszelkich starań, by jego goście czuli się w nim wygodnie.

Matka, kobieta o surowym obliczu, stała przed frontem jednego z ceglanych kominków, rozłożywszy fałdy haftowanych w winorośle spódnic, aby szybciej wyschły. Odetchnął z ulgą, widząc, że nie była tak mokra, jak należało się obawiać, ale natychmiast zrozumiał też, że nie ma sensu proponować, by się najpierw wysuszyli. Płaszcze przeciwdeszczowe musiały przeciekać. Wcześniej czy później zawsze do tego dochodziło, ponieważ ścierała się warstwa olejku anyżowego. Może nie będzie w tak przykrym nastroju, jak się tego wcześniej obawiał. Siwy Starszy Haman, którego jaskrawy płaszcz znaczyły w kilku miejscach spore plamy wilgoci, przyglądał się jednemu z toporów na ścianie, kręcąc głową. Drzewce długością dorównywało jego wzrostowi. Topór wykonano w czasie Wojen z Trollokami, a może nawet wcześniej, w pomieszczeniu znajdowały się dwa bliźniacze egzemplarze z głowicami wysadzonymi złotem i srebrem, jak też para zdobnych i ostrych noży ogrodniczych, również z długimi drzewcami. Oczywiście noże ogrodnicze z ostrzami po jednej stronie i z piłką po drugiej zawsze miały długie rękojeści, ale intarsje i długie czerwone pendenty wskazywały na ich militarne przeznaczenie. Niezbyt szczęśliwy dobór dekoracji do pomieszczenia przeznaczonego zasadniczo do konwersacji lub cichej medytacji trwania.

Niemniej wzrok Loiala tylko prześlizgnął się po matce i Starszym Hamanie i podążył ku drugiemu kominkowi, gdzie suszyła swe spódnice Erith, drobna i zdająca sięomalże kruchą. Usta miała proste,

nos krótki i dobrze zaokrąglony, oczy idealnie w barwie dojrzałego owocu ośnieży miłości. Słowem, była piękna! A te jej uszy, wyrastające z gęstwy lśniących czarnych włosów, spływających na plecy... Miękkie i puchate, zakończone pędzelkami, które wydawały się tak delikatne jak włoski mleczów... najcudowniejsze uszy, jakie w życiu widział. Oczywiście nie mógł jej tego powiedzieć wprost, to byłoby niegrzeczne. Uśmiechnęła się do niego, uśmiechem nader tajemniczym, a wtedy jego uszy zadrżały z zakłopotania. Z pewnością nie mogła wiedzieć, co sobie przed chwilą pomyślał. A może? Rand twierdził, że kobiety czasami potrafią odgadnąć męskie uczucia, ale dotyczyło to ludzkich kobiet.

— A więc wreszcie się spotykamy — powiedziała matka, wspierając się pięściami pod boki. Po niej nie należało oczekiwać żadnych uśmiechów. Brwi ściągnięte w dół, zaciśnięte zęby. Jeżeli tak miał się objawiać jej lepszy nastrój, to szkoda, że nie przemokła do suchej nitki.

— Muszę przyznać, że zafundowałeś mi wesołą gonitwę, ale teraz mam cię w ręku i nie zamierzam pozwolić uciec... Co to jest, to na twojej wardze? I na podbródku! Cóż, możesz to zaraz zgolić. Nie krzyw się na mnie, Synu Loialu.

Loial niepewnie dotknął palcem górnej wargi, spróbował się uśmiechnąć, — kiedy matka nazywa cię Synem, lepiej uważać, — ale przyszło mu to z trudem. Chciał mieć wąsy i brodę. Niektórzy mogliby to uznać za pretensjonalne w jego wieku, ale równie dobrze...

— Zaiste wesoła gonitwa — sucho rzekł Starszy Haman, wieszając topór z powrotem na ścianie. Miał długie, białe wąsy, które spływały mu z policzków, i długą, wąską brodę, sięgającą piersi. Prawda, liczył już sobie ponad trzysta lat, ale to wciąż wydawało się nie w porządku. — Nadzwyczaj wesoła gonitwa. Słyszac, że przebywasz, w Cairhien, najpierw tam się udaliśmy, ale ciebie na miejscu nie było. Po krótkim postoju, w Stedding Tsofu, poszliśmy do Caemlyn, gdzie młody alThor poinformował nas, że przebywasz w Dwu Rzekach, dokąd też nas zabrał. Ale tam też ciebie nie było. Rzekomo odszedłeś do Caemlyn — Jego brwi uniosły się do góry, podchodząc prawie do linii włosów. — Zacząłem już sobie myśleć, że zabawiamy się w dzwonek w dolinie.

— Mieszkańcy Pola Emonda dużo nam opowiadali o twoim bohaterstwie — powiedziała Erith. Jej wysoki głos brzmiał jak muzyka. Palcami obu dłoni ścisnęła fałdy spódnicy, jej uszy drżały z podniecenia, wyglądała, jakby miała ochotę podskakiwać w miejscu. — Opiewali twoje walki z trollokami i Myrddraalami oraz samotną wyprawę w celu zapieczętowania Drogi Manetheren, by już nikt nie mógł ich napaść.

— To nie była samotna wyprawa — protestował Loial, wymachując rękami. W konfuzji tak gwałtownie strzygł uszami, że miał wrażenie, jakby same chciały się urwać z głowy. — Gaul był ze mną. Zrobiliśmy to razem. Nigdy bym nie dotarł do Bramy bez Gaula.

Zmarszczyła swój delikatny nosek, tym samym deprecjonując udział Gaula w całej przygodzie.

Matka parsknęła. Jej uszy były wyprężone w niesmaku. — Głupoty. Walka w bitwie. Wystawianie się na niebezpieczeństwo. Ryzyko. Wszystko razem. Czyste głupoty, ale teraz z tym koniec. Starszy Haman odkaszlnął głucho, zastrzygł z irytacją uszami i założył dłonie za plecy. Nie lubił, jak mu przerywano.

— A więc znów wróciliśmy do Caemlyn, by tam powtórnie przekonać się, że ciebie już nie ma na miejscu.

— A ty tymczasem w Cairhien dalej wystawiałeś się na niebezpieczeństwo — wtrąciła matka Loiala, grożąc mu palcem. — Zupełnie postradałeś rozum?

— Aielowie mówili, że byłeś bardzo dzielny pod Studniami Dumai — mruknęła Erith, zerkając na niego spod długich rzęs. Pod jej spojrzeniem ścisnęło go w gardle. Z wysiłkiem przełknął ślinę. Wiedział, że nie powinien się tak otwarcie w nią wpatrywać, ale jak tu zachować bodaj pozory

skromności, kiedy ona tak patrzy?

— W Cairhien twoja matka doszła do wniosku, że nie potrafi dłużej wytrzymać rozłąki z Wielkim Pniem, choć nie pojmuję dlaczego, ponieważ oni i tak nie dojdą do niczego jeszcze przez rok czy dwa, tak więc zdecydowaliśmy się powrócić do Stedding Shangtai w nadziei znalezienia cię później.

— Starszy Haman szybko wypluł z siebie te słowa, co rusz popatrując groźnie na obie kobiety, jakby bał się, że znowu mu przerwą: Włosy na brodzie i wąsach jeżyły mu się czupurnie.

Matka Loiala parsknęła ponownie, tym razem ostrzej.

— Osobiście spodziewam się, że decyzja zapadnie bardzo szybko, za miesiąc, najdalej za dwa, w przeciwnym razie nie zrezygnowałabym z poszukiwań Loiala. Teraz, kiedy już go znalazłam, możemy załatwić sprawę i bezzwłocznie ruszać w drogę. — Popatrzyła na Starszego Hamana, który marszczył czoło, kładąc uszy po sobie, i złagodziła ton głosu. Mimo; wszystko był przecież Starszym. — Proszę o wybaczenie, Starszy Hamanie. Chciałam spytać, czy zechcesz odprawić ceremonię?

— Sprawiliby mi to ogromną przyjemność, Covril — odrzekł pojednawczo. Zbyt pojednawczo. Kiedy Loialowi zdarzało się słyszeć nauczyciela mówiącego takim tonem i kładącego równocześnie uszy po sobie, wiedział, że wpadł w nieliczne kłopoty. O Starszym Hamanie powiadano, że gdy mówi takim głosem, gotów jest ciskać kredą w uczniów. — Zaiste powinno mi to sprawić przyjemność, ponieważ z tego właśnie powodu porzuciłem swoich uczniów, nie wspominając już o możliwości przemawiania u Wielkiego Pnia. Erith, jesteś bardzo młoda.

— Skończyła już osiemdziesiąt lat, jest dość stara na małżeństwo — ostro ucięła matka Loiala, splatając ramiona na piersiach. — Jej matka i ja osiągnęłyśmy w tej kwestii porozumienie. Sam byłeś świadkiem, jak spisywałyśmy intercyzę narzeczeńską, ustalającą posag Loiala.

Uszy Starszego Hamana jeszcze bardziej przyległy do czaszki, jego ramiona obwisły, kiedy napięły się mięśnie splecionych za plecami rąk. Ani na chwilę nie spuścił oka z Erith.

— Wiem, że chcesz poślubić Loiala, lecz pytam, czy naprawdę jesteś gotowa? Mąż to ogromna odpowiedzialność.

Loial żałował, że do niego nikt nie zwrócił się z tym pytaniem, ale obyczaj stanowi inaczej. Jego matka i matka Erith osiągnęły porozumienie i tylko Erith mogła w tej chwili stanąć na przeszkodzie jego realizacji. Jeżeli zechce. Czy on chciał, by tak się stało? Nie potrafił przestać myśleć o swojej księżce. Nie potrafił przestać myśleć o Erith.

Erith wyglądała z pewnością odpowiednio poważnie.

— Moje tkaniny sprzedają się dobrze, zamierzam wkrótce kupić nowe krosna i zatrudnić terminatora. Ale chyba nie o to ci chodzi. Jestem gotowa zaopiekować się mężem. — Nagle uśmiechnęła się uroczym uśmiechem od ucha do ucha. — Zwłaszcza z takimi ślicznymi długimi brwiami.

Loial zastrzygł uszami, podobnie jak Starszy Haman, choć ten drugi w sposób znacznie bardziej dyskretny. Kobiety między sobą potrafiły rozmawiać o takich rzeczach dość swobodnie, tak przynajmniej powiadano, ale zazwyczaj oszczędzały mężczyznom wstydu z tym związanego. Zazwyczaj. Uszy matki drżały z autentycznego rozbawienia.

Starszy odkaslnął.

— To poważne sprawy, Erith. Dobrze. Jeśli nie masz wątpliwości, weź go za rękę.

Bez śladu wahania podeszła i stanęła przed Loialem, uśmiechnęła się i wzięła go za rękę. Jej drobne dłonie były bardzo ciepłe. Własne wydawały mu się zdrętwiałe, lodowate. Przełknął ślinę. To się działo naprawdę.

— Erith, córo Ivy, córy Alar — powiedział Starszy Haman, wyciągając dłonie nad ich głowami. — Czy bierzesz Loiala, syna Arenta, syna Halana, za męża i przysięgasz na Światłość i na Drzewo, że

będziesz osłaniać, szanować i kochać go, póki śmierć was nie rozłączy, że będziesz się nim opiekować i prowadzić jego kroki drogą, którą powinien wędrować?

— Na Światłość i na Drzewo, przysięgam. — Głos Erith był zdecydowany i dźwięczny, a jej uśmiech zdawał się szerszy niż oblicze.

— Loialu, synu Arenta, syna Halana, czy zgadzasz się, by Erith, córka Ivy, córka Alar, została twoją żoną i przysięgasz na Światłość i na Drzewo, że będziesz ją osłaniał, szanował i kolchał aż do śmierci, że będziesz się nią opiekował i kierował jej radą?

Loial wziął głęboki oddech. Jego uszy zdrząły. Chciał się z nią ożenić. Naprawdę. Tylko jeszcze nie teraz.

— Na Światłość i na Drzewo, przysięgam — powiedział ochryple.

— W takim razie biorąc Światłość i Drzewo na świadków ogłaszam was mężem i żoną. Niech zawsze towarzyszy wam łaska Światłości i Drzewa.

Loial pochylił lekko głowę i popatrzył na swoją żonę. Na swoją żonę. Ona uniosła dłoń i pogładziła smukłymi palcami jego wąsy. Zaczątki wąsów przynajmniej.

— Jesteś bardzo przystojny i sądzę, że w wąsach będzie ci bardzo do twarzy. Tak samo z brodą.

— Bzdury — powiedziała jego matka. Ku zaskoczeniu Loiala, wycierała oczy maleńką koronkową chusteczką. A przecież nigdy nie zdradzała się ze swymi emocjami. — Jest zdecydowanie za młody na takie rzeczy.

Przez chwilę wydawało mu się, że uszy Erith kładą się po czasie. Ale musiało mu się tylko zdawać. Wcześniej odbył z nią kilka długich rozmów — była wspaniałą rozmówczynią, choć — jeśli się nad tym zastanowić — głównie słuchała, niemniej rzadkie wypowiedzi zawsze padały nadzwyczaj à propos — w związku, z czym przekonany był, że nie sposób wytrącić jej z równowagi. Tak czy siak, nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Ponieważ właśnie oparła mu ręce na ramionach, wspięła się na palce, on nieco się pochylił i potarli się nosami. Po prawdzie, pocierali się nosami zdecydowanie dłużej, niżby wypadało w towarzystwie Starszego Hamana i matki, ale gdy tylko wciągnął w płuca zapach swej żony, a ona jego zapach, zapomnieli o całym świecie. I to uczucie, które towarzyszyło dotykaniu nosem jej nosa. Czysta rozkosz! Ujął jej głowę i ledwie starczyło mu przytomności umysłu, żeby nie popieścić palcem ucha. Ona zaś pociągnęła go za pędelek na jego uchu. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał głosy świadków ceremonii.

— Wciąż mocno pada, Covril. Nie mówisz chyba poważnie o dalszej drodze, skoro tutaj mamy po raz pierwszy od dawna dach nad głową i odpowiednie łóżka. Nie, powiadam. Nie! Nie będę spał dziś pod gołym niebem albo w stodole czy, co byłoby najgorsze, w jakimś domu, w którym moje stopy sterczą za krawędź największego dostępnego łóżka. Bywały już chwile, gdy na poważnie rozważałem grzecznie podziękować za gościnę w Szczelinie.

— Skoro nalegasz — zgodziła się niechętnie matka Loiala.

— Ale rano wstajemy o pierwszym brzasku. Nie zmarnuję nawet godziny dłużej niż to konieczne. Księga Przekładów musi zostać otwarta najszybciej, jak to tylko możliwe.

Loial aż się wyprostował, bez reszty wstrząśnięty.

— O tym rozmawia się u Wielkiego Pnia? Nie mogą tego zrobić, nie teraz!

— W końcu musimy opuścić ten świat, abyśmy mogli nań powrócić za następnym obrotem Koła — powiedziała matka, idąc do najbliższego kominka, by tam znów suszyć spódnice. — Tak jest napisane. Chwila właśnie nadeszła, im szybciej, tym lepiej.

— Ty też tak uważasz, Starszy Hamanie? — zapytał z niepokojem Loial.

— Nie, mój chłopcze, wręcz przeciwnie. Zanim opuściliśmy steddung, wygłosiłem trzygodziną

mowę, która jak mniemam, naprowadziła kilka osób na właściwszy tok myślenia. — Starszy Haman wziął wysoki żółty dzban i napełnił niebieską filiżankę, jednak zamiast wypić, przez dłuższą chwilę wpatrywał się w powierzchnię herbaty. — Obawiam się wszak, że twoja matka zebrała większe żniwo. Być może uda jej się nawet doprowadzić do tego, że decyzja zapadnie w trybie miesiąca, jak twierdzi. Erith naląła herbaty matce Loiala, a potem napełniła jeszcze dwie filiżanki, jedną podała mężowi. Koniuszki jego uszu znów zdrząły z zakłopotania. To on powinien jej służyć. Dużo się jeszcze musiał nauczyć o roli męża, tyle jednak wiedział. — Żałuję, że ja nie mogę przemówić przy Pniu — oznajmił z goryczą.

— Mówisz tak, jakbyś bardzo tego pragnął, Mężu. — „Mężu”. To znaczyło, że Erith mówi z całą powagą. I było prawie równie groźne, co być nazwanym „Synem Loialem”.

— Co byś powiedział u Pnia? — spytała. — Niepotrzebnie go zawstydzasz, Erith — powiedziała matka, zanim Loial zdążył bodaj otworzyć usta. — Loial potrafi ładnie pisać, a Starszy Haman twierdzi, że ma zadatki na uczonego, niemniej w obliczu setki słuchaczy nie wykrztusi nawet słowa. Poza tym wciąż jest tylko chłopcem.

Starszy Haman tak powiedział? Loial obawiał się, że uszy już tak szybko nie przestaną mu drzeć. — Każdy żonaty mężczyzna może wystąpić u Pnia — zdecydowanie oznajmiła Erith. Tym razem w jej głosie nie było wątpliwości. Położyła uszy po sobie. — Może pozwolisz, abym sama dbała o swego męża, Matko Covril?

Usta matki zaczęły się poruszać, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk, a jej brwi uniosły się wysoko na czoło. Nie sądził, by kiedykolwiek w życiu widział ją tak zdetonowaną, choć czego innego miała oczekiwać? Żona zawsze stawała po stronie męża w sporze z matką.

— Cóż, Mężu, co byś im powiedział? Nie był spragniony, był rozpaczliwie spragniony. Upił spory łyk przyprawionej herbaty, ale w ustach cały czas miał sucho. Matka miała rację, im większa liczba ludzi przysłuchiwała mu się, tym bardziej zapominał, co chciał powiedzieć, i wdawał się w niepotrzebne dygresje. W istocie przyznać musiał, że niekiedy nawet w obecności paru słuchaczy jego słowa nieco błędziły. Nieco. Niekiedy. Znał obowiązujące zasady dyskursu, — pięćdziesięcioletnie dziecko już je znało — a jednak nie umiał dobrać właściwych słów. A tych troje, którzy obecnie mu się przysłuchiwali, nie było żadnymi pierwszymi lepszymi. Jego matka była sławną Mówczynią, Starszy Haman też był pod tym względem poważany, nie wspominając już, że był Starszym. I jeszcze Erith. Mężczyzna chciał dobrze wypaść w oczach żony. Odwrócił się do nich plecami, podszedł do najbliższego okna i stał tam, ściskając w dłoniach filiżankę z herbatą. Okno miało właściwe rozmiary, choć szybki osadzone w rzeźbionych kasetkach nie były większe niż w pozostałych częściach domu. Deszcz przeszedł w mżawkę siąpiącą z szarego nieba, a mimo że szkło w oknach obfitowało w skazy i bąbelki powietrza, potrafił rozróżnić gatunki drzew po drugiej stronie pól: sosny, tulipanowce, okazjonalne dęby, wszystko już zieleniejące na wiosnę. Ludzie Algarina dbali o las, zbierając chrust, żeby zlikwidować groźbę pożaru. Z ogniem należało postępować ostrożnie.

Teraz, gdy nie widział przyglądających mu się, słowa przyszły łatwiej. Może powinien zacząć od Tęsknoty? Czy ośmielą się odejść, wiedząc, że za parę lat zaczną umierać? Nie, to pytanie z pewnością zadano pierwsze i znaleziono na nie zadowalające odpowiedzi, w przeciwnym razie Pień nie skończyłby wcześniej niż za rok. Światłości, gdyby przyszło mu przemówić przed Pniem... Na moment zobaczył zebrane wokół niego tłumy, setki, setki mężczyzn i kobiet czekających na jego słowa, może nawet i parę tysięcy. Natychmiast język przyschnął mu do podniebienia. Zamrugnął i już miał przed sobą tylko mętne szkło, a za nim drzewa. Musi to zrobić. Nie był szczególnie odważny, cokolwiek myślała sobie Erith, ale obserwując ludzi dowiedział się już dość na temat odwagi, by

rozumieć, że należy trzymać się swojej sprawy niezależnie, w którą stronę i jak silne wiatry wieją, walczyć, gdy brakuje nadziei, walczyć i zwyciężać dzięki desperackiej brawurze. Nagle już wiedział, co powie.

— Podczas Wojny z Cieniem nie chowaliśmy się w naszych stedding, w nadziei, że żadne trolloki czy Myrddraale nie odważą się do nich wejść. Nie otworzyliśmy Księgi Przekładów i nie uciekliśmy. Poszliśmy razem z ludźmi i walczyliśmy z Cieniem. W najciemniejszej godzinie, kiedy wydawało się, że nadzieja umarła, walczyliśmy z Cieniem.

— A podczas Wojny Stuletniej nauczyliśmy się nie mieszać w ludzkie sprawy — wtrąciła matka. Zezwalano na to. Mowa w każdej chwili mogła stać się debatą, jeśli jej autor nie potrafił ująć słuchaczy samym pięknem swoich słów. Matka Loiala przemawiała raz od wschodu do zachodu słońca, broniąc niezbyt popularnej sprawy, i nikt jej ani razu nie przerwał następnego dnia zaś nikt też nie powstał, by przemówić przeciwko niej. Loial zdawał sobie sprawę, że nie potrafi układać pięknych zdań. Mógł powiedzieć tylko to, w co wierzył. Nie odwrócił się od okna.

— Wojna Stuletnia była sprawą czysto ludzką, my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Cień natomiast jest w takim samym stopniu naszą sprawą. Kiedy trzeba było walczyć z Cieniem naszym toporom zawsze wyrastały długie drzewca. Być może za rok, dwa czy pięć otworzymy Księgę Przekładów, ale jeśli zrobimy to teraz, nie będzie bezpiecznego miejsca, do którego moglibyśmy uciec. Tarmon Gai'don nadchodzi, a od jego wyniku zależą nie tylko losy tego świata, lecz każdego świata, do którego moglibyśmy uciec. Kiedy pożar grozi drzewom, nie uciekamy z nadzieją, że płomienie zostaną za nami. Walczymy. A teraz Cień nadchodzi jak pożar lasu i przed nim też nie uciekniemy. — Wśród drzew coś się poruszało, wzdłuż całej linii drzew w zasięgu wzroku. Bydło? Jeśli tak, stado musiało być ogromne.

— Nieźle — powiedziała matka. — Zbyt prosto powiedziane, by mogło mieć jakieś znaczenie przy Pniu stedding, a co dopiero przy Wielkim Pniu, rzecz jasna, ale w sumie całkiem nieźle. Mów dalej.

— Trolloki — wyszeptał. Na to właśnie patrzył, nie rozumiejąc: tysiące trolloków w czarnych, najeżonych kolcami kolczugach wylewały się pomiędzy drzew i biegły, unosząc zakrzywione jak kosy miecze, potrząsając długimi włóczniami, przyświecając sobie pochodniami. Trolloki jak okiem sięgnąć w lewo i w prawo. Nie tysiące, ale dziesiątki tysięcy.

Erith wcisnęła się obok niego na miejsce przy oknie i jęknęła:

— Ile ich! Zginiemy, Loial? — W jej głosie nie było strachu. Raczej... podniecenie!

— Nie, jeśli uda mi się ostrzec Randa i pozostałych. — zanim skończył, już maszerował ku drzwiom. Teraz ocalić ich mogły tylko Aes Sedai lub Asha'mani.

— Hej, mój chłopcze, chyba będą nam potrzebne. Odwrócił się akurat na czas, by złapać topór o długim drzewcu, który rzucił mu Starszy Haman. Odchylone uszy tamtego przylegały płasko do czaszki. Loial zorientował się, że z nim jest podobnie.

— Erith, tutaj — spokojnie powiedziała jego matka, zdejmując ze ściany jeden z noży ogrodniczych.

— Jeżeli dostaną się do środka, spróbujemy je zatrzymać na schodach.

— Jesteś moim bohaterem, Mężu — powiedziała Erith, biorąc drzewce do ręki. — Ale jeśli dasz się zabić, będę bardzo na ciebie zła. — Głos brzmiał tak, jakby mówiła całkiem poważnie.

Chwilę potem wraz ze Starszym Hamanem pobiegli korytarzem, z łomotem po schodach w dół, krzycząc ostrzegawczo, co tchu w płucach — a moment później krzyk przeszedł w zawołanie bojowe, którego nie słyszano na świecie od dwóch tysięcy lat.

— Trolloki nadchodzą! Wznies topory, oczyść pole! Trolloki nadchodzą!

— .. tak więc ja zajmę się Łzą, Logain, podczas gdy ty... — Rand zniecka zmarszczył nos.

Zapach gnijącej sterty nawozu nie był rzeczywistą wonią, którą można było uchwycić, ale wrażenie było inne, co gorsza zapach zdawał się nasilać.

— Pomiot Cienia — powiedziała cicho Cadsuane, odkładając haft i wstając. Kiedy objęła Źródło, po skórze Randl przebiegł dreszcz. A może to Alivia objęła Źródło, ruszając żwawo ku oknu w ślad za Zieloną siostrą. Min podniosła się dobywając z rękawów parę noży.

W tym momencie zza grubych ścian dobiegło go słabe echo zawołania Ogirów. Z niczym nie można było pomylić tych głosów głębokich niczym łomot bębna.

— Trolloki nadchodzą! Wzniesź topory, oczyść pole! Zaklął, skoczył na równe nogi, podbiegł do okna. Tysiące trolloków biegły wśród mżawki przez świeżo zasiane pola — trolloki wysokie jak Ogirowie i wyższe, trolloki z rogami wołów i kozłów, z pyskami wilków, dzikich świń, trolloki z orlimi dziobami i grzebieniami z piór; rozmiękła ziemia bryzgała spod buciorów, kopyt i szponów. Biegły cicho jak śmierć. Za tyralierą galopowały Myrddraale, a poły ich płaszczy zwisały nieporuszone. Jednym rzutem oka ogarnął trzydziestu lub czterdziestu. Ilu może ich być po drugiej stronie dworu?

Pozostali również usłyszeli okrzyki Ogirów albo może właśnie spoglądali przez okna. Na szarżujące trolloki poleciały błyskawice. Srebrne groty uderzały z łomotem i rozrzucały wielkie cielska we wszystkie strony. Tu i ówdzie ziemia eksplodowała płomieniami, w powietrze wylatywało błoto zmieszane z fragmentami ciał trolloków — głowy, ręce i nogi bezładnie koziółkowały w górze. Ogniste kule uderzały napastników, każda wybuchając, zabijała dziesiątki. Ale trolloki wciąż biegły, szybko jak konie, o ile nie szybciej. Rand nie potrafił dostrzec splotów, z których rodziły się niektóre błyskawice. Zrozumiawszy, że zostały odkryte, trolloki zaczęły wydawać nieartykułowane wrzaski wściekłości. W drzwiach krytych strzechą przybudówek, w których mieściły się stodoły i stajnie, pojawiły się głowy Saldaean Bashere, ale szybko zniknęły, a mocne drzwi zawarte zostały na głucho.

— Powiedziałeś swoim Aes Sedai, że mogą przenosić we własnej obronie? — spokojnie zapytał Rand.

— Czy ja wyglądam ci na idiotę? — odwarknął Logain. Stał przy jednym z okien i już trzymał saidina, w ilościomalże dorównującej tej, którą Rand potrafił zaczerpnąć. Splatał tak szybko, jak tylko mógł. — Zamierzasz pomóc czy tylko będziesz się przyglądał, mój Lordzie Smoku? — W słowach brzmiało naprawdę zdecydowanie zbyt dużo sarkazmu, teraz jednak nie była pora o tym mówić.

Rand wziął głęboki oddech, wpił dłonie w ramy okienne, przygotowując się na mające nadejść mdłości — złote grzywy na łbach Smoków na grzbietach obu dłoni zdawały się przeżyć — i sięgnął, by pochwycić Moc. W głowie zawirowało, kiedy saidin wlał się weń strugą: lodowaty płomień, kruszejąca góra, chaos próbujący wessać się w głąb. Ale błogosławienie czyste. Wciąż nie potrafił się temu nadziwić. W głowie mu się kręciło, żołądek wywracał się na nice, dawała o sobie znać stara choroba, która przecież powinna odejść wraz ze skazą, niemniej to nie dlatego coraz mocniej wpierał dłonie w okienne ramy. Już, już wypełniała go Jedyna Moc... ale w tamtej chwili oszołomienia Lews Therin wyrwał mu ją. Teraz otępiały z przerażenia obserwował trolloki i Myrddraale dobiegające do zabudowań. Z wrażliwością wspomaganą Mocą dostrzegł odznaki wpięte w koleczugi na masywnych ramionach. Srebrny wir oddziału Ahf'frait i krwistoczerwony trójząb Ko'bal. Rozdwojona błyskawica Ghraem'lan i zakrzywiony topór Al'ghol. Żelazna pięść Dhai'mon i czerwona, zakrwawiona pięść Kno'mon. Poza tym czaszki. Rogata czaszka Dha'vol i stos ludzkich czaszek Ghar'ghael, wreszcie czaszka rozpołowiona wygiętym na podobieństwo kosy mieczem Dhjin'nen, na koniec przebita sztyletem czaszka Bhan'sheen. Trolloki lubiły czaszki, jeśli w

ogóle można powiedzieć, że cokolwiek lubiły. Wychodziło na to, że w operację zaangażowane były wszystkie z dwunastu głównych oddziałów i kilka pomniejszych. Widział odznaki, których nie rozpoznawał: coś, co wyglądało na wytrzeszczone oko, dłoń przebita sztyletem, sylwetka człowieka w płomieniach. Trolloki wbiegały już między zabudowania, gdzie nad strzechami ukazywały się saldaeańskie miecze — to żołnierze wycinali sobie przejścia na dach. Strzechy były trudne do przecięcia. Tamci będą się musieli naprawdę postarać. Dziwnej, jakie myśli przychodziły mu do głowy w chwili, gdy nękany samobójczymi obsesjami szaleniec mógł zaraz pozabijać ich wszystkich.

Pchnięte strumieniami powietrza okno wyleciało na zewnątrz w kaskadzie szklanych odłamków i fragmentów drewna.

„Moje ręce” — dyszał Lews Therin. „Dlaczego nie mogę poruszyć rękoma? Muszę unieść ręce!”.

Ziemia, Powietrze i Ogień stworzyły splot, którego Rand nie znał, w istocie sześć splotów naraz. Tyle tylko, że kiedy już ujrzał splot, wiedział. Kwiecie Ognia. Wśród szarżujących, trolloków pojawiło się sześć pionowych czerwonych pręg, na dziesięć stóp wysokich i cieńszych niż przedramię Randa. Najbliższe trolloki musiały słyszeć przeszywający wizg instalacji, ale jeśli nie dotarł do nich przekaz wspomnień z Wojny z Cieniem, nie wiedziały, że oto słyszą śmierć. Lews Therin splótł ostatnią nitkę Powietrza i ogień zakwitł. Z wyciem, które wstrząsnęło dworem, każda czerwona pręga w okamgnieniu zmieniła się w krąg płomieni, szeroki na trzydzieści stóp. Rogate łby i zwierzęce pyski poleciały w powietrze wraz z wirującymi ramionami, obutymi nogami, kopytami i szponami. W promieniu ponad stu kroków od eksplozji trolloki padły na ziemię i tylko niektóre powstały na powrót. Tkając te sieci, Lews Therin równolegle plótł sześć kolejnych — Duch z odrobiną Ognia, więc splot otwierający bramę, ale potem położył nań muśnięcia Ziemi, tu i tam. Niedaleko od dworu, na terenie, który Rand znał wystarczająco dobrze, w pewnej odległości od siebie pojawiły się znane srebrzystoniebieskie pionowe pręgi, a potem skrzyły się... bynajmniej nie w otwartą przestrzeń bram, ale ich zamglone rewery, cztery kroki na cztery. I zamiast pozostać otwarte, bramy skrzyły się i zamknęły ponownie, a potem znowu, i znowu. Poza tym nie zostały w miejscu, lecz pomknęły ku trollokom. Bramy, a równocześnie wcale nie bramy. Więc bramy śmierci. Gdy tylko Bramy Śmierci ruszyły, Lews Therin podwiązał sieci luźnym splotem, który utrzyma się tylko przez kilka minut, zanim pozwoli sieci się rozpuścić, i zaczął splatać znowu. Kolejne Bramy Śmierci, kolejne Kwiecie Ognia wstrząsały murami dworu, rozrzucały trolloki, kładąc je pokotem. Pierwsze z Bram śmierci uderzyły w szeregi trolloków i urządziły im krwawą kośbę. Nie chodziło tylko o tnącą krawędź zamykającej się i otwierającej wciąż bramy. Tam, gdzie przeszły Bramy Śmierci, nie zostawały żadne trolloki.

„Moje ręce!” — wył szaleniec. „Moje ręce!”. Rand powoli uniośł dłonie, wystawił je za otwór okienny. Lews Therin natychmiast splótł Ogień i Ziemię w misternej kombinacji, a potem z koniuszków palców Randa trysnęły czerwone włókna, po dziesięć z każdego, jak wachlarz. Oto Strzały Ognia. Wiedział. Gdy tylko pierwsze się rozpląnęły, w ślad za nimi poszły następne, tak szybko, że nie tyle się rozpląwały po kolei, ile migotały. Trafione włóknami trolloki szarpały się, ponieważ w jednej chwili ciało i krew wrzały poza punkt parowania, a potem eksplodowały; trolloki szarpały się i padały, w ich ciałach ziały dziury na skroś. Często jedno włókno zbierało dwie lub trzy ofiary, nim zgasało. Rand rozłożył ręce i poruszał nimi wahadłowym ruchem, siejąc śmierć wzdłuż całej nacierającej tyraliery. Gdzeniegdzie pojawiał się Kwiecie Ognia, które nie były jego dziełem, jak też Brama Śmierci, nieco mniejsze niż twory Lewsa Therina — to musiał być Logain. Pozostali Asha'mani również się przyglądali, ale niewielu mogło dostrzec z dala, jak powstały dwa ostatnie sploty.

Trolloki padały setkami, tysiącami, rozłupywane grotami błyskawic i ognistymi kulami,

Kwieciem Ognia, Bramami Śmierci i Strzałami Ognia, ziemia wybuchła pod ich stopami niemniej wciąż biegły, wyjąc i potrząsając bronią, a Myrddraale jechały w ślad za nimi z mieczami o czarnych klingach w dłoniach. Gdy wreszcie dotarły do zabudowań, otoczyły je gromadnie, bijąc pięściami w drzwi, włóczniami i mieczami szarpiąc deski ścian, na strzechę posypały się pochodnie. Saldaeanie szyli z góry strzałami tak szybko, jak potrafili, i skopywali na dół pochodnie, jednak te zaczepiały się o skraj dachu i wkrótce już płomienie zaczęły łapać namokniętą słomę.

„Ognie” — pomyślał Rand, kierując słowa do Lewsa Therina. „Saldaeanie spłoną! Zrób coś!”.

Lews Therin nie odpowiedział, tylko z całych sił tkał śmierć i ciskał nią w trolloki: Bramy Śmierci i Strzały Ognia. Myrddraal przeszyty kilkoma włóknami zwisał z siodła, wkrótce ten sam los spotkał następnego. Trzeci stracił głowę od Strzały Ognia, jego czerep eksplodował wrzącą krwią i ciałem, ale ten akurat pojechał dalej, wymachując mieczem i jakby nie zdając sobie sprawy, że już nie żyje. Rand szczególnie się przykładał do wyszukiwania Myrddraali. Gdyby udało się je pozabijać może trolloki stracą ducha i uciekną.

Lews Therin splatał już tylko Bramy Śmierci i Strzały Ognia. Zabita masa trolloków znajdowała się zbyt blisko budynku dworu, żeby ryzykować Kwiecie Ognia. Niektórzy z Asha'manów najwyraźniej nie zdawali sobie z tego sprawy. Pokój trząsał się od potężnych wybuchów, drżał cały dwór, jakby walił weń gigantyczny młot, dygotał, jakby w każdej chwili miał się rozpaść, a potem eksplozje ucichły i odzywały się tylko tam, gdzie wybuchła kula ognista, lub grunt podrywał się, rozrzucając trolloki niczym połamane zabawki. Niebo roniło błyskawice. Srebrnoniebieskie groty były nieustannie i równomiernie, tak blisko dworu, że włosy na przedramionach Randa i włosy na jego głowie stały dęba.

Jakimś trollokom udało się wyważyć drzwi do jednej ze stodół, zaczęli się wlewać do środka. Rand wystawił dłonie w ich stronę, powalając tych, którzy nie zdążyli się schować — czerwone migoczące włókna wypalały dziury w ich ciałach. Z nielicznymi, którzy uciekli Strzałom Ognia, Saldaeanie będą sobie musieli sami poradzić. Na dach drugiej stodoły i stajni powoli wspinały się płomienie, łucznicy zaczęli kaszleć od kwaśnego dymu. „Posłuchaj mnie, Lewsie Therinie. Pożar. Musisz coś zrobić!”. Lews Therin nic nie powiedział, tylko splatał sieci, niosące śmierć trollokom i Myrddraalom.

— Logain — krzyknął Rand. — Pożary! Zgaś je! Tamten również nie odpowiedział, ale Rand dostrzegł sploty, które odbierały płomieniom żar, tym samym je dławiąc. Po chwili pożary zgasły, zostawiając po sobie poczerniałe strzechy, znad których nie unosiły się nawet pojedyncze smużki dymu. Śmierć kroczyła w szeregach trolloków, ale były już tak, blisko, że nawet eksplozje ognistych kul wstrząsały podstawami domu. Nagle pod oknem pojawił się pieszy Myrddraal, bezoka twarz spokojna była jak oblicze Aes Sedai, ostrze czarnego miecza runęło na Randa. Dwie włócznie Aielów trafiły go w pierś, w gardle wykwitła rękojeść ciśniętego przez kogoś noża, ale stwór tylko się zachwiał i znów wzniosł dłoń do ciosu. Rand złożył dłonie i na moment przed tym, nim dosięgła go klinga, sto Strzał Ognia przeszło Myrddraala, odrzucając ciało na dwadzieścia kroków, gdzie spoczęło podziurawione, barwiąc ziemię czarną krwią. Myrddraale rzadko umierały od razu, ten jednak nawet nie drgnął.

Rand pośpiesznie rozejrzał się w poszukiwaniu innych celów, ale wtedy zrozumiał, że Lews Therin przestał przenosić. Wciąż czuł gęsią skórkę, z której wnioskował, że Cadsuane i Alivia dalej trzymają Moc, nadal czuł saidina wypełniającego Logaina, ale tamten też już nie splatał sieci. Na zewnątrz teren zaścielony był równo ciałami i fragmentami ciał — od pól po same ściany dworu. Kilka kroków od nich. Na nogach trzymało się tylko parę koni, osieroconych przez Myrddraale, jeden unosił przednią nogę, zapewne złamaną. Bezgłowy Myrddraal, zataczając się, chodził w kółko,

machał dziko i na oślepie mieczem. Tu i tam jakiś trollok jeszcze szarpał się albo niezgrabnie i bezskutecznie gramolił na nogi, oprócz tego nie poruszało się nic.

„To już koniec” — pomyślał. „To już koniec, Lewsie Therinie. Możesz już wypuścić saidina”.

Harilin i Enaila stały przy stole, z zasłoniętymi twarzami i włóczniami w dłoniach. Min stała obok nich z obliczem ponurym, podrzucała noże w obu dłoniach. Więź pełna była strachu, ale jak podejrzewał, nie o siebie się bała. Uratowały mu życie, teraz sam musiał się uratować.

— Było blisko — mruknął Logain. — Gdyby atak nastąpił, zanim przybyłem na miejsce... Było blisko. — Wzdrygnął się i wypuścił Źródło, odwracając się od wybitego okna. — Te nowe sploty zamierzasz zatrzymać dla garstki faworytów, jak Taim? Te bramy. Dokąd wyekspediowały trolloki? Ja tylko dokładnie skopiowałem splot.

— Nieważne, dokąd trafiły — powiedział Rand roztargnionym głosem. Całą jego uwagę przykuwał Lews Therin. Szaleniec, ten wściekły głos w jego głowie właśnie zaczerpnął odrobinę więcej Mocy. „Daj spokój, człowieku”. — Pomiot Clenia nie przeżyje podróży przez bramę.

„Chcę umrzeć” — powiedział Lews Therin. „Chcę się połączyć z Ilyeną”.

„Jeżeli naprawdę chcesz umrzeć, czemu zabijałeś trolloki?” — zapytał w myślach Rand. „Dlaczego zabijałeś Myrddraale?”. — Ludzie znajdują grupki martwych trolloków i może Myrddraala, ale na żadnym nie będzie znaków, z których da się odczytać przyczynę śmierci — powiedział na głos.

„Wydaje mi się, że pamiętam, jak umierałem” — mruknął Lews Therin. „Pamiętam, jak to zrobiłem”. Zaczerpnął jeszcze więcej Mocy, a Rand poczuł ból w skroniach.

- Tak czy siak, nie wszyscy trafią na jedno miejsce. Punkt docelowy zmienia się za każdym otwarciem Bramy Śmierci.

Rand potarł skronie. Ten ból był znakiem ostrzegawczym. Zbliżał się do granicy ilości saidina, jaką mógł zaczerpnąć i nie zginać lub nie wypalić się.

„Nie możesz jeszcze umrzeć” — zwrócił się do Lewsa Therina. „Musimy dożyć do Tarmon Gai'don albo świat zginie”.

— Brama Śmierci — rzekł Logain, a w jego głosie zabrzmiała nuta niesmaku. — Dlaczego wciąż trzymasz Moc? — zapytał znieczeka. — I to aż tyle. Jeżeli chcesz mi dowieść, że jesteś silniejszy ode mnie, to przecież już o tym wiem. Widziałem, jak wielkie były twoje... twoje „Bramy Śmierci” w porównaniu z moimi. Poza tym zwracam ci uwagę, że moim zdaniem dzierzysz już do ostatniej kropelki cały saidin, jaki jesteś w stanie w miarę bezpiecznie utrzymać.

Ostatnie słowa niechybnie przyciągnęły uwagę wszystkich zgromadzonych w pomieszczeniu. Min schowała noże i zeskoczyła ze stołu, więc znieczeka zalała taka fala strachu, że zapulsowało. Harilin i Enaila wymieniły zaniepokojone spojrzenia, a potem wróciły do wyglądanego przez okno. Nie uwierzą, że trolloki umarły, póki ciała nie poleżą w grobach przez trzy dni. Alivia marszczyła brwi i dała krok w jego stronę, ale lekko pokręcił głową, więc wróciła do swego okna i tylko mars na czole pozostał.

Cadsuane przeszła przez pokój, jej gładka twarz była pełnią determinacji.

— Co on czuje? — zwróciła się z pytaniem do Min. — Nie igraj ze mną, dziewczyno. Wiesz, ile to może kosztować. Wiem, że nałożył ci więź zobowiązań, a ty wiesz, że ja wiem. Boi się?

— On się nigdy nie boi — stwierdziła Min. — Chybił, że boi się o mnie albo... — Uparcie zacisnęła szczęki i splótła ramiona na piersiach, mierząc Cadsuane wyzywającym spojrzeniem. Splątane emocje w więzi sięgały od strachu do wstydu, który najbardziej chyba starała się stłumić, jakby miała jakieś pojęcie, czym może się skończyć prowokowanie Cadsuane.

— Masz mnie pod nosem — powiedział Rand. — Jeżeli chcesz wiedzieć, jak się czuję, mnie zapytaj.

„Lewsie Therinie?” — pomyślał. Odpowiedzi nie było, a wypełniający go saidin nawet nie drgnął. W skroniach zaczynało łupać.

— A więc? — niecierpliwiła się Cadsuane.

— Czuję się żwawy niczym strumień. — „Lewsie Therinie?”. — Ale teraz ja mam dla ciebie warunek, Cadsuane. Nie próbuj już grozić Min. W istocie, zostaw ją w spokoju.

— Proszę, proszę. Chłopak pokazuje zębki. — Złote ptaki, ryby, księżycy i gwiazdy zakołysały się, gdy pokręciła głową. — Żeby tylko nie były zbyt ostre. Poza tym powinienes najpierw spytać tę młodą kobietę, czy życzy sobie twojej ochrony. — Dziwne, ale Min teraz na niego popatrzyła; złym okiem, a w więzi zachrobotała irytacja. Światłości, już źle było, gdy nie chciała, by się o nią martwił. Teraz najwyraźniej zapragnęła sobie sama poradzić z Cadsuane, na co nawet on pewnie by się nie powazył.

„Możemy zginąć na polach Tarmon Gai'don” — powiedział Lews Therin i zniemacka cała Moc opuściła Randa.

— Wypuścił — powiedział na głos Logain, jakby nagle postanowił stanąć po stronie Cadsuane.

— Wiem — poinformowała go. Zaskoczony aż szarpnął głową.

— Min może sobie robić z tobą, co chce — oznajmił Rand, ruszając ku drzwiom. — Ale nie próbuj jej grozić.

„Tak” — pomyślał. „Możemy zginąć na polach Tarmon Gai'don”.

ROZDZIAŁ 3

ZŁOTY ŻURAW

Wiatr ucichł, deszcz osłabł, szare chmury wciąż przesłaniały słońce. Siąpiącej z nich drobnej mżawki było dość żeby przechadzającemu się wśród ciał trolloków Randowi przemokły włosy, a czarny haftowany złotem kaftan nasiąkł wilgocią. Logain splótł sobie tarczę z Powietrza, po której spływały krople deszczu, tworząc kaskadę wokół pozornej nicości, Rand wszakże wolał nie ryzykować, że Lews Therin znowu przechwyci *saidina*. Obiecał, że ze swoją śmiercią zaczeka do Ostatniej Bitwy, ale do jakiego stopnia można w dowolnej sprawie zaufać szaleńcowi?

„Szaleńcowi?” — wyszeptał Lews Therin. „Naprawdę uważasz, że jestem bardziej szalony od ciebie?”. Zaniósł się dzikim śmiechem.

Nandera od czasu do czasu oglądała się przez ramię na Randa. Wysoka, żyłasta kobieta z siwymi włosami schowanymi pod shoufą była najwyższą rangą Panną, przynajmniej po tej stronie Muru

Smoka, a mimo to zdecydowała się osobiście dowodzić jego strażą przyboczną. Zielone oczy, a tylko je potrafił dojrzeć nad czarną zasłoną, patrzyły bez szczególnego wyrazu, niemniej pewien był, że martwi ją, iż nie zbudował sobie osłony przed deszczem. Panny zauważały najłżejsze nawet odstępstwa od normy. Miał nadzieję, że swoją wiedzę zachowają dla siebie.

„Musisz mi zaufać” — powiedział Lews Therin. „Zaufaj mi. Och, Światłości, błagam głos w mojej głowie. Zaiste, muszę być szalony!”.

Nandera i jej pięćdziesiąt zamaskowanych Panien tworzyły wielki krąg wokół Randa, szły w ścisłym szyku, omal ramię; w ramię, i szturchały każdego mijanego trolloka oraz Myrddraala włóczniami, równocześnie ostrożnie przestępując odcięte mocarne członki, łby z rogami i kłami. Bywało, że jakiś trollok jęknął albo resztką sił próbował się odczołgać — ewentualnie szarpał się w ich stronę, warcząc, — ale nie trwało to długo. Wojna z trollokami była jak zmagania z hordami wściekłych psów. Ty ich albo oni ciebie. Nie było żadnej łaski, żadnych jeńców, żadnych stref zdemilitaryzowanych.

Wcześniej deszcz trzymał padlinożerców z dala, teraz wszędzie roiło się od kruków i wron lśniących czarną wilgocią, a jeśli nawet któreś z nich były stworami Czarnego, nie przeszkadzało im to w wydziobrywaniu oczu trolloków albo wydzieraniu z ich ciał innych kąsków. Wystarczająco wiele trolloków zostało rozdartych na strzepy, by ptaki miały ucztę. Żaden wszakże nie zbliżał się do martwego Myrddraala, trolloków leżących w pobliżu niego też nie ruszały. Nie należało wyciągać stąd żadnych innych wniosków niż ten, że ptaki są po prostu ostrożne. Najpewniej Myrddraale źle ptakom pachniały. Wiadomo było, że krew Myrddraala potrafi skorodować stal, jeśli w miarę szybko nie oczyści się ostrza. Krukom i wronom musiała się wydawać trucizną.

Ocalali Saldaeanie strzelali do ptaków z łuków albo nadziewali je na swe esowato zakrzywione miecze, wreszcie zwyczajnie tłukli łopatami, haczkami, bronami, wszystkim, co mogło posłużyć za poręczną maczugę — na Ziemiach Granicznych zostawienie przy życiu wrony lub kruka było czymś nie do pomyślenia; zbyt często służyły Czarnemu za oczy — mimo to padlinożerców było zbyt wielu. Setki czarnopiórych kształtów leżały na ziemi wśród trolloków, ale wydawało się, że na każde truchło przypada setka skrzeczących i kłócących się o smaczniejsze kąski, w tym fragmenty ciał ich martwych krewniaków. Asha'mani i Aes Sedai najwyraźniej już zrezygnowali z prób pozabijania wszystkich.

— Nie lubię, gdy moi ludzie marnują w ten sposób siły — powiedział, Logain. Jego ludzie, ciekawe. — Ani siostry, jeśli już o tym mowa. O zmiernych Gabrelle i Toveine będą padać z nóg. — Tym dwóm Aes Sedai osobiście nałożył więz, więc pewnie wiedział najlepiej. — Co zrobimy, jeżeli nastąpi kolejny atak?

Wokół budynku dworu i przybudówek, co raz to rozbłyskiwały ognie, tak jaskrawe, że ludzie osłaniali oczy — Aes Sedai i Asha'mani palili ciała trolloków oraz Myrddraali w miejscach, gdzie padły. Ciał było zbyt wiele, a brakowało siły roboczej, by bodaj zwlec je na stosy. Ponieważ Aes Sedai nie było nawet dwudziestu, Asha'manów zaś mniej niż tuzin, trolloków natomiast może i sto tysięcy, zapowiadało się na długą pracę. Zanim dobiegnie końca, odór rozkładu dołączy do pałskudnych woni już wiszących w powietrzu: mdlącego, miedzianego smrodu Pomiotu Cienia, straszego zapachu tego, co trolloki miały w swych rozprutych wnętrznościach. Nad czym najlepiej się nie zastanawiać. Być może żaden żywy rolnik czy wieśniak nie ostał się na obszarze między dworem a Grzbietem Świata. Ponieważ stamtąd zapewne trolloki przybyły, przez Portal przy *Stedding* Shangtai. Dobrze, że choć o dom Loiala można być spokojnym — żaden trollok ani Myrddraal nie wejdzie na obszar *stedding*, chyba że przymuszony, a i w takim wypadku przymus musiałby być naprawdę brutalny.

— Wolałbyś je tu zostawić, żeby zgniły? — dopytywała się Cadsuane, ale tonem pełnym wahania, jakby sama nie była pewna, co zrobić. Zebrała zielone spódnice, żeby jedwab nie ciągnął się po przesiąkniętym krwią błocie i rozsianych na ziemi wnętrznościach, przeszkody w postaci odciętych kończyn i głów omijała z równym spokojem, co Panny. Też splotła sobie parasol, podobny do tego, który chronił przed deszczem głowę Alivii, oczywiście ta druga wcześniej podpatrzyła splot u Zielonej siostry. Rand wielokrotnie prosił zaprzysięgłe mu siostry, I żeby nauczyły Seanchankę czegoś więcej o Mocy, ale słyszał nieodmiennie, że sprawa ta nie mieści się w ramach przysięgi wierności. Ponieważ Alivia nie stanowi zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych, nie ma powodów do interwencji. Nynaeve też odmówiła, powołując się na wizję Min. Cadsuane natomiast chłodno poinformowała go, że nie jest jej zadaniem uczenie dzikusek.

— Wtedy całe to miejsce stałoby się jedną wielką kostnicą powiedziała Min. Idąc, kołysała się uroczo, choć najwyraźniej starała się nie myśleć o tym, co ma pod stopami, a równocześnie unikać deptania obcasami bucików tego czegoś, o co potykała się od czasu do czasu. Ona również przemakała, deszcz przyklejał jej loki do czoła, niemniej w więzi nie było nawet śladu irytacji. Tylko gniew, i to chyba pod adresem Logaina, wnosząc z ostrych spojrzeń, jakimi go obrzucała.

— Dokąd pójda służący czy ludzie pracujący na polach, w stodołach i stajniach? Jak mają dalej żyć?

— Nie będzie następnego ataku — orzekł Rand. — Przynajmniej nie wcześniej, niż inicjator nie dowie się o porażce, a może i wówczas nie. Wysłali wszystkich, którymi dysponowali. Myrddraale nie potrafiłyby wymyślić strategii szeregu masowanych ataków.

Logain mruknął coś pod nosem, ale nie znalazł kontrargumentów.

Rand obejrzał się na budynek dworu. W paru miejscach ciała trolloków leżały tuż przy podmurówce. Żaden nie wdarł się do wnętrza, ale...

„Logain miał rację” — pomyślał, obejmując wzrokiem pole rzezi. Naprawdę było blisko. Bez Asha'manów i Aes Sedai przyprawionych przez Logaina bitwa mogła się inaczej potoczyć. Było bardzo blisko. A jeśli jednak nastąpi kolejny atak...? Z pewnością ktoś znał sztuczkę Ishamaela. Albo ten błękitnooki w jego głowie naprawdę umiał zlokalizować miejsce jego pobytu. Kolejny atak, jeżeli nastąpi, przeprowadzony będzie jeszcze większymi siłami. Albo nadejdzie z nieoczekiwanej strony. Może powinien pozwolić Logainowi sprowadzić jeszcze kilku Asha'manów.

„Powinieneś ich pozabijać” — zapłakał Lews Therin. „Teraz jest już za późno. Za późno”.

„Źródło jest już czyste, głupcze” — pomyślał Rand.

„Tak” — odparł Lews Therin. „Ale czy oni są czyści? Ja?”.

Rand sam się nad tym zastanawiał. Podwójną ranę w boku zawdzięczał ciosom Ishamaela i Padana Faina, ten drugi użył sztyletu skażonego zmasą Shadar Logoth. Od czasu do czasu odzywała się pulsowaniem i wtedy sprawiała wrażenie, jakby żyła własnym życiem.

Krąg Panien rozstał się nieznacznie i do środka wszedł siwowłosy służący o długim, ostrym nosie, sprawiający wrażenie jeszcze bardziej kruchego niż Ethin. Ze wszystkich nieprawdopodobnych okryć dla osłony przed deszczem wybrał sobie dwuwarstwowy parasol Ludu Morza, któremu brakowało połowy zewnętrznego obszycia i którego wiekowy niebieski jedwab miał kilka poszarpanych dziur, więc drobne krople padały na żółty kaftan i głowę. Rzadkie włosy przylegały do czaszki, ociekając wodą. Nie sposób było się opędzić od myśli, że bez wadliwego okrycia zmókłby chyba mniej. Parasol był za pewne pamiątką po jakiejś przygodzie jednego z przodków Algarina i towarzysząca mu opowieść musiała być ciekawa. Ponieważ było mało prawdopodobne, by Lud Morza z lekkim sercem oddał klanowy parasol Mistrzynie Fal.

— Mój Lordzie Smoku — powiedział tamten z ukłonem, a strumień wody wlał mu się za kołnierz. — Verin Sedai poleciła mi dostarczyć ci to natychmiast. — Spod kaftana wydobyl list, złożony i

zapięczętowany.

Rand pośpiesznie schował papier do kieszeni kaftana, chroniąc przed deszczem. Atrament rozmakał nadzwyczaj łatwo.

— Dziękuję ci, ale z otwarciem będę musiał poczekać, aż wrócę do środka. Najlepiej również pędź do domu, zanim przemokniesz do suchej nitki.

— Naprawdę powiedziała: „natychmiast”, mój Lordzie Smoku. — Tamten sprawiał wrażenie urażonego. — To słowa Aes Sedai.

Kiedy Rand skinął głową, służący uklonił się znowu i ruszył powoli w kierunku budynku dworu, wyprostowany dumnie, pozwalając, by dziurawy parasol zalewał go strumieniami Wody. Aes Sedai. Wszyscy byli na każde zawołanie Aes Sedai, nawet w Łzie, gdzie nikt za nimi nie przepadał. Co Verin mogła mieć do powiedzenia, że musiała to zawrzeć w liście? Rand potarł kciukiem pieczęć i poszedł dalej.

Zmierzał ku stodołę z częściowo poczerniałą strzechą. Do tego budynku trolloki zdołały się wedrzeć. Kiedy podszedł bliżej, potężnie zbudowany mężczyzna w obszarpanym, brązowym kaftanie i zabłoconych butach, opierający się o skrzydło otwartych wrót, wyprostował się i z jakiegoś powodu ukradkiem obejrzał za siebie; tymczasem Panny już otaczały stodołę.

W wejściu Rand przystanął jak wryty, Min i pozostali również, się zatrzymali. Logain warknął przekleństwo. Dwie lampy zwisające ze słupów podtrzymujących stryszek dawały mętne światło, którego wszak było dość, żeby zobaczyć warstwę pełzających much, pokrywającą wszystkie powierzchnie, nawet zasłane słomą klepisko. W powietrzu brzęczały następne roje. — Skąd one się wzięły? — zapytał Rand. Algarin nie był szczególnie bogaty, niemniej jego stodoły i stajnie utrzymywane były we względnej czystości, jak dalece to oczywiście możliwe w przypadku takich miejsc. Potężny mężczyzna wzdrygnął się. Był młodszy niż większość służby we dworze, ale i tak już łysawy; szerokie usta i oczy otaczała siatka zmarszczek.

— Nie wiem, mój panie — mruknął, pocierając czoło kułakiem brudnej dłoni. Wpatrywał się w Randa z taką desperacją, że jasne było, iż za żadną cenę nie chce oglądać się za siebie. — Podszedłem do wrót, chcąc zaczerpnąć świeżego powietrza, a kiedy się odwróciłem, one były wszędzie. Pomyślałem.. pomyślałem, że to może są martwe muchy. Rand pokręcił głową z odrazą. Muchy były aż nadto żywe. Nie każdy z broniących stodoły Saldaean zginął, ale ciała wszystkich poległych zostały zgromadzone w tej stodole. Saldaeanie nie lubili pochówków w deszczu. Żaden z nich nie potrafił wyjaśnić dlaczego; twierdzili, że po prostu nie grzebie się ludzi, gdy pada. Dziewiętnaście ciał leżało w równym rzędzie na klepisku, wyglądali spokojnie, przynajmniej na tyle, na ile można z brakującymi członkami i rozplatanymi głowami. Ułożyli ich przyjaciele, oni też zadbali o umycie twarzy i zamknięcie oczu. Dlatego właśnie Rand tu przyszedł. Nie, żeby się pożegnać czy zrobić coś równie łzawego — nie znał żadnego z tych ludzi bliżej, jak tylko z widzenia. Przyszedł przypomnieć sobie, że nawet bezdyskusyjne z pozoru zwycięstwo okupuje się krwią. A spoczywający tu ludzie zasłużyli na coś lepszego niż warstwa pełzających po nich much.

„Ja nie potrzebuję przypomnienia” — warknął Lews Therin.

„Nie jestem tobą” — pomyślał Rand. „Muszę stwardnieć” A na głos powiedział:

— Logain, pozbądź się tego przeklętego robactwa!

„Jesteś twardszy, niż ja kiedykolwiek byłem” — powiedział Lews Therin. Znienacka zachichotał.

„Jeżeli nie jestem mną to kim jesteś?”

— A teraz robi się ze mnie przeklętą muchołapkę? — mruknął Logain.

Rand odwrócił się ze złością w jego stronę, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Alivia rzekła tym swoim rozwlekłym głosem: — Pozwól mi spróbować, mój panie. — Można rzec, że poprosiła, ale

niczym pierwsza lepsza Aes Sedai nie zamierzała czekać na pozwolenie. Kiedy ujęła *saidara* i przeniosła, poczuł gęsią skórkę.

Muchy unikały najłżejszego nawet deszczu, ponieważ pojedyncza kropla wody mogła muchę strącić na ziemię, gdzie stawała się łatwą zdobyczą, przynajmniej dopóki nie wysuszyła skrzydełek, teraz jednak we wrotach zaroilo się od owadów, jakby wszystkie zniecka wolały deszcz od wnętrza stodoły. Powietrze zrobiło się od nich aż gęste. Rand strzepywał muchy z twarzy, Min schowała oblicze w dłoniach, w więzi zagrało obrzydzenie — na szczęście owady interesowała wyłącznie ucieczka. W ciągu paru chwil już ich nie było. Łysiejący mężczyzna, który patrzył na Alivię z otwartymi ustami, zniecka zakaszał i wypluł dwie muchy na dłoń. Cadsuane obrzuciła go takim spojrzeniem, że zaraz zamknął usta i znów zaczął pocierać czoło kłykciami. Jedno spojrzenie i po wszystkim — cała. ona.

— A więc obserwujesz — powiedziała do Alivii. Spojrzenie ciemnych oczu spoczęło na twarzy Seanchanki, ale Alivia nawet się nie zająknęła. Aes Sedai wywierały na niej znacznie mniejsze wrażenie niż na większości ludzi.

— I pamiętam, co zobaczyłam. Muszę się jakoś uczyć, jeśli mam pomóc Lordowi Smokowi. Nauczyłam się znacznie więcej, niż wam się wydaje. — W gardle Min zabrzmiał nieartykułowany odgłos, prawie jęk, a więź napęczniała gniewem; słomianowłosa kobieta zignorowała ją. — Nie jesteś na mnie zły? — zapytała Randa. W jej słowach pobrzmiwał niepokój.

— Nie jestem zły. Ucz się, ile możesz. Idzie ci bardzo dobrze. Zarumieniła się i spuściła wzrok, niczym dziewczyna obdarzona nieoczekiwanym komplementem. Kąciki jej oczu znaczyły drobne zmarszczki, czasami jednak niełatwo było pamiętać, że jest sto lat starsza od dowolnej żyjącej Aes Sedai, nie zaś kilka lat młodsza od niego. Naprawdę trzeba znaleźć kogoś, kto ją czegoś nauczy.

— Randzie alThor — powiedziała gniewnie Min, splatając ramiona na piersiach. — Nie pozwolisz chyba tej kobiecie...

— Twoje wizje nigdy nie błędzą — wszedł jej w słowo. To, co widzisz, zawsze się sprawdza. Próbowalaś zmieniać tok wydarzeń, ale to się nigdy nie udawało. Sama powiedziałaś Min. Co każe ci sądzić, że tym razem będzie inaczej?

— Ponieważ tym razem musi być inaczej — oznajmiła zapalczywie. Pochyliła się lekko, jakby chciała się na niego rzucić. — Ponieważ ja chcę, żeby było inaczej. Ponieważ będzie inaczej. Tak czy siak, wszystkiego nie wiem. Ludzie przeprowadzają się w inne strony. Myślałam się w sprawie Moiraine. Widziałam mnóstwo rozmaitych rzeczy w jej przyszłości, a teraz ona nie żyje i nie ma przyszłości. Może też inne rzeczy, jakie widziałam, nigdy się nie spełniły.

„Tym razem nie może być inaczej” — dyszał Lews Therin „Obiecałeś!”.

Czoło Logaina przeciął lekki mars, nieznacznie pokręcił głową. Jemu nie mogło się podobać, gdy Min kwestionowała swe zdolności. Rand nie potrafił odżalować, że powiedział mu o jej widzeniu na jego temat, choć w owym czasie wydawało się to stosunkowo niegroźnym pocieszeniem. A tamten tymczasem poszedł do Aes Sedai, żeby potwierdziły umiejętności Min, choć był na tyle mądry, by zataić swe wątpliwości przed Randem.

— Nie potrafię pojąć, co sprawia, że ta młoda kobieta darzy cię tak namiętnym uczuciem — zadumała się Cadsuane. Jej wargi zacisnęły się w namyśle, po chwili pokręciła głową, a złote ozdoby zakołysały się. — Cóż, przystojny jesteś, jak można mniemać, ale co do reszty... nie rozumiem.

Aby uniknąć kolejnej kłótni z Min — ona oczywiście nie nazywała ich w ten sposób, mówiła o „rozmowach”, wszelako różnicę trudno było dostrzec — Rand wyjął list od Verin i złamał pieczęć z żółtego wosku, w którym odcisnięty był pierścień z Wielkim Wężem. Pajęcze pismo Brązowej

siostry pokrywało większą część stronicy, kilka liter rozmazało się w miejscach, gdzie krople deszczu spadły na papier. Podszedł do najbliższej latarni. Rozsiewała wokół słabą woń płonącej oliwy.

Jako rzekłam, zrobiłam tu wszystko, co miałam do zrobienia. Ufam, że gdzie indziej lepiej wywiążę się z mojej przysięgi wierności, a więc zabieram Tomasa i ruszam w drogę. Mimo wszystko można ci służyć na rozmaite sposoby i rozmaite można podejmować w tej sprawie starania. Przekonana jestem, że możesz zaufać Cadsuane i z pewnością powinieneś słuchać jej rad, strzeż się jednak innych sióstr, włącznie z tymi, które przysięgły ci wierność. Taka przysięga nic nie znaczy w ustach Czarnej siostry, ale nawet te, którym Światłość jest łaskawa, mogą ją interpretować w sposób, który z pewnością by ci nie przypadł do gustu. Wiesz już, że nieliczne tylko rozumieją tę przysięgę jako nakaz absolutnego posłuszeństwa we wszystkich sprawach. Inne mogą znaleźć w niej kolejne szczeliny. Tak, więc niezależnie, czy chcesz, czy nie chcesz się stosować do rad Cadsuane, a powtarzam, że powinieneś, mam dla ciebie jeszcze jedną radę. Bądź nadzwyczaj czujny.

Podpisane było po prostu: „Verin”.

Rand westchnął ze smutkiem. Nieliczne tylko rozumieją tę przysięgę jako nakaz absolutnego posłuszeństwa? Chyba żadna z nich. Zazwyczaj były posłuszne, ale co do litery, nie zaś co do ducha. Choćby sama Verin. Ostrzegła go, że inne mogą robić rzeczy, które z pewnością nie przypadną mu do gustu, ale nie powiedziała, dokąd jedzie ani co zamierza tam robić. Bała się, że on tego nie zaaprobuje? A może dała o sobie znać tylko typowa skrytość Aes Sedai. Tajemniczość była dla sióstr niczym oddychanie.

Kiedy podał list Cadsuane, zobaczył, jak jej lewa brew leciutko zadrżała. Taki wyraz emocji świadczył, że musiała być naprawdę zaskoczona, niemniej wzięła list i podniosła do światła.

— Kobieta skrywająca się za wieloma maskami — powiedziała na koniec, oddając mu list. — Ale udzieliła ci dobrej rady.

Co miała znaczyć uwaga o maskach? Już miał zapytać, kiedy we wrotach stajni ukazali się zniecka Loial ze Starszym Hamanem; na ramionach mieli topory o długich styliskach i ozdobnych głowicach. Zakończone pędzelkami uszy siwowłosego Ogira przylegały płasko do czaszki, twarz skrzepła w ponury grymas, uszy Loiala drżały. Z podniecenia, uznał Rand. Ale ostatecznie trudno było stwierdzić z całą pewnością!

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy? — powiedział Starszy Haman, strzygąc smutno uszami na widok szeregu ciał.

— Nie przeszkadzacie — zapewnił go Rand, chowając list do kieszeni. — Żałuję, że nie mogę być na twoim ślubie Loial, ale... — Och, ślub już się odbył, Rand — odrzekł Loial. Faktycznie musiał być podniecony, ponieważ nie miał w zwyczaju przerywać nikomu. — Matka nalegała. Nie ma czasu pewnie nawet na jakieś większe wesele, może w ogóle go nie będzie ponieważ ja muszę u Pnia...

Starszy Ogir położył mu rękę na ramieniu.

— Co? — zapytał Loial, spoglądając na niego. — Ach. Tak. Oczywiście. Dobrze. — Ogir podrapał się po górnej wardze palcem rozmiarów grubej kielbasy.

Znowu coś, o czym nikomu nie wolno mówić? Wychodziło na to, że nawet Ogirowie mają swoje tajemnice. Rand musnął palcami list w kieszeni. Cóż, podobnie jak cała reszta.

— Jedno mogę ci obiecać, Rand — oznajmił Loial. — Cokolwiek się zdarzy, będę przy tobie w czas Tarmon Gai'don. Cokolwiek się zdarzy.

— Mój chłopcze — mruknął Starszy Haman. — Nie sędzę, że powinienes... — Urwał, kręcąc głową i mrużąc pod nosem, co brzmiało niczym echo odległego trzęsienia ziemi.

Rand w trzech krokach pokonał zasłane słomą klepisko stajni i wyciągnął prawą rękę. Loial uśmiechnął się szeroko, co w przypadku Ogira oznaczało naprawdę od ucha do ucha, i ujął jego dłoń, która dosłownie zatoneła w olbrzymiej łapie. Stojąc tak blisko, Rand musiał mocno zadzierać głowę, żeby spojrzeć w oczy przyjaciela.

— Dziękuję ci, Loial. Nie potrafię powiedzieć, jak wiele to dla mnie znaczy. Ale będziesz mi potrzebny znacznie wcześniej. — Jestem ci... potrzebny?

— Loial, zapieczętowałem te Portale, o których istnieniu wiem: w Caemlyn, Cairhien, Illian i Łzie, a przy tym, który został zniszczony w pobliżu Fal Dara, zastawiłem nadzwyczaj paskudną pułapkę, niemniej nie potrafiłem odnaleźć Portalu właściwego dla Far Madding. Nawet wiedząc, że w mieście znajduje się Portal, sam go nie znajdę, poza tym tyle już miast, zniknęło z powierzchni ziemi. Loial, jesteś mi potrzebny po to, by znaleźć pozostałe, w przeciwnym razie trolluki będą mogły uderzać wszędzie i nikt nie będzie wiedział o nadciągającym zagrożeniu, póki nie znajdą się w samym sercu Andoru czy Cairhien.

Uśmiech zniknął z twarzy Loiala jak zdmuchnięty. Pędzelki uszu zadrżały, a brwi zwisły tak, że ich końce dotykały policzków. — Nie mogę, Rand — powiedział z żalem. — Jutro o pierwszym brzasku ruszam w drogę i nie wiem, kiedy będę wstanie znów odwiedzić Zewnątrz.

— Wiem, że długo już przebywasz z dala od *stедding*, Loial. — Rand próbował nadać swym słowom łagodne brzmienie, ale wbrew jego wysiłkom zabrzmiały strasznie twardo. Delikatność, łagodność zdawały się snem prześnionym. — Porozmawiam z twoją matką. Przekonam ją, by pozwoliła ci wrócić, kiedy już odpoczniesz.

— Jemu potrzeba czegoś więcej niż odrobiny odpoczynku. — Starszy Haman oparł koniec styliska topora o klepisko, ściskając je równocześnie obiema dłońmi i obrzucając Randa srogim spojrzeniem. Ogirowie byli spokojnym ludem, on jednak w tej chwili bynajmniej na spokojnego nie wyglądał. — Od przeszło pięciu lat przebywa na Zewnątrz, zdecydowanie zbyt długo. Potrzeba mu, co najmniej wielu tygodni odpoczynku w *stедding*. Być może wielu miesięcy.

— Moja matka nie podejmuje już takich decyzji za mnie Rand. Choć prawdę mówiąc, wciąż jest zbyt zaskoczona, żeby zdać sobie z tego sprawę. Teraz to już pozostaje w gestii Erith. Mojej żony. — W tym wypowiedzianym grzmiącym głosem słowie brzmiała duma, od której Loial właściwie pękał. Wysunął pierś do przodu, a uśmiech na dwoje przecinał mu twarz.

— A ja nawet nie zdążyłem ci pogratulować — powiedział Rand, klepiąc go po ramieniu. Próba okazania serdeczności brzmiała fałszywie w jego własnych uszach, ale na nic więcej nie było go stać. — Jeżeli potrzebne ci są miesiące, niech będą miesiące. Co nie zmienia faktu, że bez Ogira nie odnajdę tych Portali. Rankiem osobiście zabiorę was wszystkich do *Stедding* Shangtai. Może tam uda mi się znaleźć kogoś, kto podejmie się tego zadania.

Starszy Haman spuścił oczy, wbijając wzrok w zaciśnięte na stylisku dłonie, i zaczął znowu coś mrużyć, zbyt cicho, by można było rozróżnić słowa: brzmiało to jak brzęczenie trzmiela wielkości mastyfa, objającego się po wnętrzu wielkiego słoja w pomieszczeniu obok. Sprawiał wrażenie, jakby zmagał się sam ze sobą.

— To może potrwać — powątpiewająco odparł Loial. — Wiesz, że nie lubimy podejmować

pochoptych decyzji. Nie jestem nawet pewien, czy wpuszczą istotę ludzką na teren *stedding*, a to przez wzgląd na obradujący Pień. Rand? Jeżeli nie dam rady zdążyć na Ostatnią Bitwę... Odpowiesz na wszystkie moje pytania odnośnie do tego, co się wydarzyło, kiedy przebywałem w *stedding*, prawda? To znaczy chodzi mi o to, abyś odpowiedział z własnej woli, żebym nie musiał z ciebie wszystkiego wyciągać...

— Odpowiem, jeśli będę mógł — zapewnił go Rand. „Jeśli będziesz mógł” — warknął Lews Therin. „Zgodziłeś się, że umrzemy na polach Tarmon Gai'don. Zgodziłeś się, szaleńcze!”.

— Odpowie tak, jak będziesz sobie tego życzył, Loial — zdecydowanie orzekła Min. — Choćbym miała przez cały ten czas stać nad nim. — Więż przesiąkła gniewem. Chyba naprawdę знаła jego myśli.

Starszy Haman odkasznął.

— Podejrzewam, że ze wszystkich Ogirów, wyłaczywszy może mularzy, ja najbardziej przywykłem do przebywania na Zewnątrz. Hm. Tak. Po prawdzie, to wydaje mi się, że lepszego kandydata niż ja nie znajdziesz.

— Ba! — parsknęła Cadsuane. — Wychodzi na to, że nawet Ogirów potrafisz zarazić, chłopcze. — Ton głosu był surowy, ale jej twarz stanowiła idealną maskę opanowania Aes Sedai, niemożliwą do odczytania, skrywającą bez reszty myśli przemykające za ciemnymi oczami.

Uszy Loiala wyprężyły się, jakby właśnie przeżył autentyczny wstrząs, stylisko topora wyślizgnęło się z ręki. Dopiero po chwili niezgrabnie złapał je w locie.

— Ty? Ale przecież Pień, Starszy Hamanie! Wielki Pień! —

— Ufam, że tę sprawę mogę bezpiecznie złożyć w twoje ręce, mój chłopcze. Twe słowa były proste, ale jakże wymowne. Hmm... hmm... Jeśli chcesz mojej rady, nie staraj się mówić pięknie. Bądź elokwentny, ale w sposób umiarkowany, a zaskoczysz niejednego. Włącznie z twoją matką.

Wydawało się niemożliwością, aby uszy Loiala wyprężyły się jeszcze bardziej, niemniej tak się właśnie stało. Usta poruszały się bezdźwięcznie. Miał przemówić u Pnia. I to cała tajemnica? — Mój Lordzie Smoku, lord Davram wrócił. — To był głos Elzy Penfell. Właśnie weszła do stodoły, Bashere szedł tuż za nią. Była urodziwą kobietą miała na sobie ciemnozieloną suknię do jazdy konnej, a gdy jej wzrok spoczął na Randzie w piwnych oczach zamigotało coś jakby płomień gorączki. O nią przynajmniej nie musiał się martwić. Oddanie Elzy graniczyło z fanatyzmem.

— Dziękuję ci, Elza — powiedział. — Najlepiej idź zaraz i pomóż w sprzątanii. Dużo jeszcze zostało.

Jej usta zacisnęły się leciutko, zazdrosnym wzrokiem omiotła wszystkich zebranych, poczynawszy od Cadsuane, a skończywszy na Ogirach, i dopiero potem ukloniła się, po czym odeszła. Tak, fanatyczne oddanie było właściwym słowem.

Bashere był niski, szczupły, miał na sobie haftowany złotem, szary kaftan, za pas po stronie przeciwnej względem miecza wetknął buławę z kości słoniowej zwieńczoną złotym łbem wilka, oznakę władzy marszałka-generała Saldaei. Workowate spodnie były wetknięte w wywinęte cholewy butów wypastowanych na błysk, co było widać mimo smug błota z wierzchu Misja, z której właśnie wrócił, wymagała nadzwyczajnych talentów dyplomatycznych i poczucia godności, ale ani z jednym, ani z drugim akurat problemów nie miał. Nawet do Seanchan musiała dotrzeć jego wojskowa sława. Czarne włosy znaczyła siwizna, sumiaste wąsy okalały usta i spływały w dół niczym odwrócone rogi. Z ciemnych oczu o nakrapianych źrenicach wyzierał smutek. Przeszedł obok Randa kołysząc się krokiem człowieka bardziej nawykłego do siodła niż poruszania się na własnych nogach, potem wolno powędrował wzdłuż szeregu martwych żołnierzy, wpatrując się z napięciem w każdą twarz. Choć Randem targała niecierpliwość, pozwolił tamtemu odprawić żałobę.

— W życiu jeszcze nie widziałem takiego widoku, jak ten na zewnątrz — powiedział cicho Bashere, nie zatrzymując się. — Na Ugorze tysiąc trolloków to już jest poważny atak. Większość oddziałów liczy zazwyczaj po kilka setek. A nawet wtedy potrzebna jest przewaga liczebna trzech, czterech na jednego, żeby mieć pewność, iż nie wylądaje się w kotle. Tutaj... Tak chyba może wyglądać przedsmak Tarmon Gai'don. Drobnny wycinek Tarmon Gai'don. Miejmy nadzieję, że to naprawdę będzie Ostatnia Bitwa. Jeśli uda się nam przeżyć, raczej nie zapagniemy następnej. Niemniej ona i tak nadejdzie. Ponieważ zawsze jest jakaś następna bitwa. I zawsze będzie, póki Świat nie obróci się w Zgorzel. — Na końcu szeregu ciał przystanął przed poległym, którego głowa została rozłupana aż do gęstej czarnej brody. — Ten tutaj, Ahzkan, miał przed sobą świetlaną przyszłość. Ale to samo można rzec o innych, którzy zginęli.

Westchnął ciężko i odwrócił się w stronę Randa.

— Córka Dziewięciu Księżyców spotka się z tobą za trzy dni w posiadłości położonej w północnej Altarze, w pobliżu granicy z Andorem. — Musnął dłonią kaftan na piersi. — Mam tu mapę. Przebywa już w okolicy, ale nie powiedziano mi gdzie, tłumacząc to brakiem bezpieczeństwa na tych terenach. Kiedy w grę wchodzi tajemniczość i sekrety, Aes Sedai przy tych Seanchanach sprawiają wrażenie prostodusznych wiejskich dziewczuszek.

Cadsuane parsknęła.

— Podejrzewasz pułapkę? — Logain poluzował miecz w pochwie, być może zupełnie nieświadomie. Bashere zbył go gestem dłoni, ale drugą też machinalnie sięgnął do miecza.

— Zawsze podejrzewam pułapkę. Nie o to chodzi. Wysoka Lady Suroth wciąż nie pozwala mi ani Manforowi porozmawiać z kimkolwiek oprócz niej. Literalnie nie możemy się z nikim komunikować. Nasi służący byli niemowami, jak wówczas, gdy jechaliśmy z Loialem do Ebou Dar.

— Mój miał odcięty język — powiedział Loial z niesmakiem, kładąc uszy po sobie. Zbielały kłykcie zaciśnięte na drzewcu topora. Hamanowi wydarł się z gardła nieartykułowany jęk, a uszy wyprężyły niczym sztachety w płocie.

— Altara koronowała nowego króla — ciągnął dalej Bashere. — Ale wszyscy w Pałacu Tarasin chodzą na paluszkach i oglądają się przez ramię, i Seanchanie, i Altaranie. Nawet Suroth sprawiała wrażenie, jakby miecz jej wisiał nad głową.

— Może przeraża ich perspektywa Tarmon Gai'don — ■ zasugerował Rand. — Albo postać Smoka Odrodzonego. Trzeba będzie zachować ostrożność. Przestraszeni ludzie robią głupie rzeczy. Jakie są warunki porozumienia, Bashere?

Saldaeanin wyciągnął mapę zza pazuchy i podszedł do Randa, rozwijając ją po drodze.

— Są stosunkowo jednoznaczne. Jej towarzyszyć będzie sześć sul'dam i damane, ale poza tym nikt więcej.

Alivia prychnęła jak rozwścieczony kot, Bashere zaś zamrugał, zanim podjął dalej, bez wątpienia niepewny, czego oczekiwać po wyzwolonej damane, może nawet trochę przestraszony.

— Ty możesz mieć przy sobie pięciu zdolnych do przenoszenia ludzi. Druga strona przyjmie założenie, że każdy mężczyzna, którego weźmiesz ze sobą, będzie potrafił przenosić, ale możesz dołączyć do swojego orszaku pozbawioną tych zdolności kobietę, żeby honorowi stało się zadość.

W jednej chwili Min dopadła do Randa, zarzucając mu ręce na szyję.

— Nie — rzekł zdecydowanie. Nie miał zamiaru zabierać jej ze sobą w ewentualną pułapkę.

— Porozmawiamy o tym — mruknęła, a w więzi pojawiło się uparte postanowienie.

„Najbardziej przerażające słowa, jakie mogą wyjść z ust kobiety oprócz: »Zabiję cię«" — pomyślał Rand. Nagle przeszył go dreszcz. On to pomyślał? Czy Lews Therin? Szaleniec zachichotał cicho w głębi jego głowy. Nieważne. Za trzy dni kolejny problem zostanie rozwiązany, w taki czy

inny sposób.

— Co jeszcze, Bashere?

*

Nynaeve zdjęła z oczu wilgotną chustkę, ostrożnie, żeby przy okazji nie zahaczyć o włosy *angrealem* w kształcie czterech pierścieni połączonych z bransoletą — obecnie ten *angreal*, jak też drugi, ozdobiony klejnotami, zdejmowała wyłącznie do snu — podniosła się i przysiadła na skraju łóżka. W sytuacji, gdy tylu ludzi potrzebowało Uzdrowienia naprawdę poważnych ran, kiedy tylu straciło rękę lub nogę, nadzwyczaj małostkowe wydawało jej się proszenie o Uzdrowienie bólu głowy, postanowiła, więc zdać się na korę wierzby, która zresztą podziałała równie dobrze. Tylko, że trwało to znacznie dłużej. Pierścień, w którym osadzony był bładozielony kamień, ostatnio jarzący się wewnątrz delikatną poświatą, od jakiegoś czasu wibrował, choć palcem drugiej dłoni nie potrafiła niczego wyczuć. Rytm wibracji był skomplikowany i zależał tak od *saidara*, jak od *saidina* — nieodmiennie od pewnego czasu przenoszonych poza domem. Jeśli już o tym mowa, to w domu też ktoś właśnie przynosił. Cadsuane była pewna, że pierścień powinien wskazywać też lokalizację przenoszenia, nie potrafiła jednak powiedzieć, jak go do tego zmusić. „Cha, cha” — tak należało skomentować Cadsuane i jej rzekomo ogromną wiedzę! Żałowała tylko, że nie potrafi tego powiedzieć tamtej w twarz. Nie chodziło o to, że Cadsuane ją onieśmielała — z pewnością nie mogło być o tym mowy; w nieformalnej hierarchii stała wyżej od Cadsuane — po prostu nie chciała wszczynać z tamtą otwartej wojny. I dlatego w jej obecności trzymała język za zębami.

Dzielone z Lanem apartamenty były obszerne, ale z tego też powodu hulały po nich przeciągi; poza tym chyba żadne szybki nie tkwiły szczelnie w kasetkach okien, a w miarę jak przemijały pokolenia mieszkańców, dom osiadał i cały czas trzeba było przycinać drzwi, aby pasowały do futryny — obecnie szczeliny w nich były już tak przepastne, że nic dziwnego, iż każdy podmuch szumiał w nich swobodnie. Płomienie na kominku pełgały niczym dławione przez wiatr ognisko na wolnej przestrzeni, drwa trzeszczały i pluły iskrami. W wyblakłym dywanie z ledwo widocznym wzorem wypalonych było tyle dziur, że nie sposób zliczyć. Łóżko z masywnymi słupkami i zetłałym baldachimem było wprawdzie wielkie i solidne, ale materace nierówne, poduszki wypchane większą ilością kłującego pierza niż puchu, a koce tak często łatanie, że pod warstwą cer zniknął pierwotny materiał. Ale mieszkała z Lanem i nie zwracała uwagi na to wszystko. Dzięki niemu wnętrze stawało się pałacową komnatą.

Stał wciąż przy tym samym oknie, przy którym zajął miejsce, gdy atak się zaczął, i obserwował prace na dole. Czy też właściwie rzeźnię, w jaką zmieniły się tereny posiadłości. Trwał tak nieruchomo, że równie dobrze mógł zmienić się w posąg: wysoki mężczyzna w dopasowanym, zielonym kaftanie, z ramionami tak szerokimi, że talia przy nich wydawała się wąska, sięgające do ramion, czarne włosy z odrobiną siwizny na skroniach miał spięte na czole skórzanym rzemykiem *hadori*. Oblicze surowe, lecz piękne. Przynajmniej w jej oczach, a inni niech sobie mówią, co chcą. Ale lepiej niech nie mówią w jej obecności. I to odnosiło się nawet do Cadsuane. Pierścień z pozbawionym najmniejszej skazy szafirem ochłodził palec prawej dłoni. Po chwili namysłu doszła do wniosku, że Lan czuje raczej gniew niż wrogość. Pierścień miał jednak skazę, czy może raczej wadę. Oczywiście dobrze wiedzieć, czy kimś w pobliżu targa wrogość lub gniew, lecz jeszcze lepiej byłoby wiedzieć, kto jest ich adresatem.

— Już czas, żebym wyszła na zewnątrz i pomogła — powiedziała, wstając.

— Jeszcze nie — poprosił, nie odwracając się od okna. Niezależnie, na co wskazywał pierścień, jego głęboki głos był spokojny. I zdecydowany. — Moiraine zazwyczaj traktowała ból głowy jako znak, że zbyt wiele i zbyt długo przynosiła. A to może być niebezpieczne.

Zanim się zorientowała, ręka popęzła ku warkoczowi. Jakby więcej od niej wiedział o przenoszeniu! Cóż, zapewne pod pewnymi względami tak właśnie było. Przez dwadzieścia lat w roli Strażnika Moiraine dowiedział się o *saidarze* tyle, ile tylko mógł się dowiedzieć mężczyzna.

— Głowa przestała mnie boleć. Czuję się już całkowicie zdrowa.

— Nie dąsaj się, kochanie. Do zmierzchu tylko kilka godzin. Na jutro zostało dość pracy. — Jego lewa dłoń powędrowała do rękojeści miecza, zacisnęła się, potem rozkurczyła, znów zacisnęła. I tylko palce się poruszały.

Zacisnęła zęby. Nadąsana? Z wściekłością wygładziła spódnice. Wcale się nie dąsała! Nadzwyczaj rzadko odwoływał się do swego prawa rozkazywania jej w prywatnej przestrzeni życia — niech szczególnie cały Lud Morza za to, że w ogóle Coś takiego wymyślili! — ale kiedy miało to już miejsce, nie sposób było się mu oprzeć. Oczywiście, mogła go nie posłuchać i pójść. Nie próbowałby jej zatrzymać przemocą. Tego była pewna. Raczej pewna. Tylko, że nie zamierzała naruszać swych małżeńskich przysięg — żadną miarą. Nawet, kiedy miała ochotę kopnąć ukochanego męża w łydkę. Zamiast tego ruszyła zamaszystym krokiem — kopniaki dostały się materii spódnic — podeszła do okna, stanęła obok niego i wzięła pod ramię. Jakby poczuła pod ręką kamień. Prawda, miał twarde mięśnie, cudownie twarde, ale teraz była to twardość skrajnego napięcia, jakby się natęzał, podnosząc ogromny ciężar. Rozpaczliwie pożałowała, że nie do niej należy jego więź zobowiązań i że nie ma pojęcia, co go dręczy. Gdy tylko dostanie w swoje ręce Mirelle... Nie, lepiej nie myśleć o tej nierządnicy! Zielone! W kwestii mężczyzn po prostu nie można było im za nic ufać!

Za oknem, niedaleko od budynku dworu dostrzegła dwóch Asha'manów w czarnych kaftanach i siostry połączone z nimi więzią zobowiązań. O ile mogła, starała się ich unikać — Asha'manów z przyczyn oczywistych, sióstr, ponieważ były popleczniczkami Elaidy — niemniej nie sposób żyć z ludźmi w domu, nawet tak dużym i przepastnym jak siedziba Algarina by nie poznawać twarzy. Arel Malevin był Cairhienianinem a przez to, że sięgał Lanowi ledwie do piersi, sprawiał wrażenie jeszcze bardziej barczystego; Donalo Sandomere pochodził z Łzy, w lewym uchu miał kolczyk z granatem, przyprószoną siwizną brodę strzygł w szpic i namaszczał oliwą, aczkolwiek Nynaeve mocno wątpiła, czy jego pomarszczona, zniszczona twarz faktycznie należy do szlachcica. Malevin nałożył więź zobowiązań na Aisling Noon, płomienooką Zieloną siostrę która tak szczerze przeplatała swoją mowę przekleństwami z Ziem Granicznych, że czasami nawet Łan się krzywił. Nynaeve chciałaby wiedzieć, co znaczą, ale Lan odmawiał wyjaśnień. Jeńcem Sandomere stała się Ayako Norsoni, drobniutki Biała ze spływającymi do talii czarnymi lokami, smągłokóra niczym Domani. Wyraźnie nieśmiała, co wśród Aes Sedai stanowiło prawdziwą rzadkość. Obie kobiety miały na ramionach szale z frędzlami. Był to właściwie już zwyczaj wśród schwytanych sióstr, rozumiały gest oporu. Z drugiej strony, ich stosunki z mężczyznami układały się zdumiewająco dobrze. Nynaeve często widywała, jak życzliwie z nimi gawędzą, co niełatwo było pogodzić z typowym obrazkiem niechętnego więźnia. Podejrzewała, że nie tylko Logain i Gabrelle dzielą pozamałżeńskie łóżce. Jakie to hańbiące!

Nagle w dole wykwitły ogniska, sześcioma płomieniami zajęły się trolloki leżące przed Malevinem i Aisling, siedmioma rozjarzyły się ciała Pomiotu Cienia przed Sandomere i Ayako — Nynaeve musiała zmrużyć oczy, oślepienie nagłym blaskiem. Jakby próbowała patrzeć wprost w trzynaście słońc świecących na bezchmurnym niebie. Tamci byli połączeni. Potrafiła to wydedukować ze sposobu, w jaki poruszały się strumienie *saidara*: sztywno, raczej przymuszane do zajęcia właściwego miejsca niżli, jak w normalnych okolicznościach łagodnie naprowadzane. Tak, to mężczyźni stali za tym przymusem. Żeńska część Źródła nie działała w ten sposób. Splatano czysty Ogień, ale płomienie były pełne żaru, jakiego nigdy nie oczekiwałyby po samym Ogniu. Rzecz jasna

tamci używali również *saidina*, dodając, kto wie co jeszcze z jego morderczego chaosu? Śladowe wspomnienia, jakie zachowała z chwil, gdy była połączona z Randem, raz na zawsze przekonały ją, by nigdy nie mieć z tym nic wspólnego. Tymczasem płomienie po kilku chwilach przygasły, zostały po nich tylko płaskie wzgórki szarawych popiołów na spalonej ziemi, teraz popękanej i jakby stopionej. Z pewnością nie jest to korzystne dla gleby.

— Nie przypuszczam, żebyś się rozkoszował widokiem, Lan. O czym myślisz?

— Błądzą myślami — odpowiedział, a jego ramię pod jej palcami wciąż było twarde jak skała. Za oknem rozbłysły kolejne płomienie.

— Powiedz mi. — Udało jej się ten właściwie rozkaz złagodzić odrobiną pytającego zabarwienia. Treść jej przysięg uważał za zabawną, niemniej, kiedy byli sami, nie reagował na żadne polecenie. Wszystkie jej prośby spełniał właściwie natychmiast... cóż, przynajmniej zazwyczaj... ale bez jednego słowa zostawiłby błoto na butach, póki nie zaczęłoby odpadać grudami, gdyby mu rozkazała uważać na błoto.

— To nie są miłe myśli, ale skoro chcesz... Widok Myrddraali i trolloków każe mi myśleć o Tarmon Gai'don. — Zaiste niemiłe myśli.

Pokiwał głową wciąż nie odrywając oczu od okna. Twarz miał całkowicie pozbawioną wyrazu — od Lana nawet Aes Sedai mogłyby się uczyć ukrywania emocji! — ale w głosie pojawiła się jakby nuta żaru.

— Zbliża się wielkimi krokami, Nynaeve, a mimo to al'Thor sądzi, że ma przed sobą wieczność na zabawy z Seanchanami. Pomiot Cienia może właśnie spływa na świat z Ugoru przez... — Ze słyszalnym zgrzytem zacisnął zęby. Omalże nie powiedział: „przez ziemie Malkier zatraconej”, zamordowanej krainy jego dzieciństwa. Nie miała żadnych wątpliwości. On jedni po chwili mówił dalej, jakby nic się nie stało. — Za tydzień lub nawet jutro mogą uderzyć na Shienar, na całe Ziemie Graniczne. A al'Thor wciąż knuje swe seanchańskie intrygi. Powinien posłać kogoś do króla Easara i pozostałych, uzmysłować im, na czym polega obowiązek na granicy Ugoru. Powinien zgromadzić wszystkie dostępne siły i pomaszerować z nimi na Ugór. Ostatnia Bitwa rozegra się tam, tam i pod Shayol Ghul. Tam czeka wojna.

Poczuła, jak wzbiera w niej smutek, ale w słowach nie było po nim nawet śladu.

— Powinieneś wrócić — powiedziała cicho. Dopiero na te słowa odwrócił głowę, spojrzał na nią z góry i zmarszczył brwi. W jasnych, błękitnych oczach było tyle chłodu. Już nie wyzierała z nich śmierć, przynajmniej nie do tego stopnia, co kiedyś — tego była pewna — ale wciąż pozostawał ten chłód. — Moje miejsce jest przy tobie, serce mego serca. Teraz i zawsze.

Zgromadziła całą swą odwagę, zebrała się w sobie, aż zabolalo. Zapragnęła wyrzucić wszystko z siebie jednym tchem żeby mieć to już za sobą żeby zdążyć, nim się rozmyśli... ale opanowała się i mówiła powoli, wyraźnie:

— Słyszałam kiedyś od ciebie przysłowie Pograniczników „Śmierć jest lżejsza od pióra, obowiązek cięższy niż góra”. Mój obowiązek jest tutaj, muszę zapobiec temu, by Alivia zabiła Randa. Ale zabiorę cię na Ziemie Graniczne. Ponieważ ty tam masz swoje obowiązki. Chcesz dotrzeć do Shienaru? Wspominałeś Shienar i króla Easara. Stamtąd już blisko do Malkier.

Patrzył na nią przez długi czas, w końcu jednak odetchnął swobodniej, a równocześnie napięcie zniknęło z mięśni.

— Jesteś pewna, Nynaeve? Jeżeli jesteś, to wobec tego, tak, Shienar. Podczas Wojen z Trollokami Cień wykorzystywał Przełęcz Tarwina do przerzucania wielkich oddziałów trolloków, dokładnie tak, jak miało to miejsce niedawno, gdy szukaliśmy Oka Świata. Ale tylko pod warunkiem, że jesteś całkowicie pewna. Nie, nie była pewna. Chciało jej się płakać, krzyżeć na niego, że jest głupcem,

że powinien być przy niej, a nie umierać samotnie w beznadziejnej prywatnej wojnie z Cieniem. Tylko nie potrafiła tego powiedzieć. Mimo iż nie była połączona z nim więzią zobowiązań, widziała przecież, że jest wewnętrznie rozdarty, rozdarty między miłością do niej a poczuciem obowiązku, że to rozdarcie jest broczącą raną, równie głęboką, jak zadana mieczem. Nie chciała jej dalej rozdrapywać. Niemniej mogła zrobić coś, dzięki czemu jego szanse na przeżycie wzrosną.

— Czy proponowałabym, gdybym nie była pewna? — Ucięła sucho, sama zdziwiona pewnością swego głosu. — Wcale nie mam ochoty cię odsyłać, ale ty masz swoje obowiązki, a ja mam swoje. Objął ją, przycisnął do piersi, z początku delikatnie, potem mocniej, póki nie zdało jej się, że się dusi. Ale nie miała pretensji. Wpijała się w niego równie żywiołowo, a kiedy przestała, musiała siłą odrywać swe dłonie od jego pleców. Światłości, tak jej się chciało płakać. I wiedziała, że za nic jej nie wolno.

Kiedy pakował juki, pośpiesznie przebrała się w suknię do jazdy konnej z zielonego jedwabiu z żółtymi rozcięciami oraz mocne, skórzane buty, a potem nie czekając na niego, wyslizgnęła się z pokoju. Algarin miał w dworze wielką bibliotekę, urządzonej w kwadratowym pomieszczeniu z wysokim sufitem; wzdłuż ścian biegły półki. Na podłodze stało bez ładu kilkanaście wyściełanych krzeseł, a długi stół i wysoki stojak na mapy dopełniały umeblowania. Na kamiennym kominku nie płonął ogień, lampy nie świeciły, przeniosła, więc drobinę Mocy, żeby zapalić trzy spośród nich. Po krótkiej chwili pospiesznych poszukiwań znalazła potrzebne jej mapy w romboidalnych przedziałach stojaka. Były równie stare jak większość książek, ale w końcu geografia nie mogła się wiele zmienić przez ostatnie dwieście czy trzysta lat.

Kiedy wróciła na pokoje, Lan czekał w salonie, z jukami przewieszonymi przez ramię i w zmiennobarwnym płaszczu Strażnika. Jego oblicze było zupełnie nieruchome — kamienna maska. Nynaeve potrzebowała tylko chwili, by porwać swój własny płaszcz — z błękitnego jedwabiu, obrzeżony aksamitem — a potem w milczeniu ruszyli w kierunku stajni, gdzie stały ich wierzchowce; prawą dłonią ścisnęła jego lewy nadgarstek. Stajnie były ciemne, powietrze pachniało sianem, końską sierścią i nawozem, jak to zazwyczaj w stajniach.

Chudy, łysiejący stajenny z nosem zdradzającym ślady wielokrotnego złamania westchnął, słysząc, że Lan życzy sobie osiodłania Mandarba i Ślubnego Wianka. Siwowłosa kobieta zajęła się krępą kasztanką Nynaeve, a trzech starszków wzięło na siebie zadanie osiodłania i wyprowadzenia z boksu wysokiego czarnego ogiera Lana.

— Chcę, żebyś mi coś obiecał — powiedziała cicho Nynaeve, gdy czekali. Mandarb tańczył w kółko tak, że próbujący nałożyć mu siodło pulchny stajenny musiał go gonić.

— Przysiągł. Mówię poważnie, Lanie Mandragoran. Nie jesteśmy już sami na świecie.

— Co chcesz, żebym przysiągł? — zapytał ostrożnie. Łysiejący stajenny zawołał do pomocy kolejnych dwóch ludzi.

— Że zanim przekroczysz granice Ugoru, pojedziesz najpierw do Fal Moran, a jeśli ktoś będzie chciał pojechać z tobą pozwolisz mu.

Uśmiechnął się krzywo i ze smutkiem.

— Zawsze odmawiałem tym, którzy prosili mnie, bym poprowadził ekspedycję na Ugór, Nynaeve. Ongiś zdarzało mi się dowodzić ludźmi, ale nie...

— Skoro już dowodziłeś ludźmi — ucięła — możesz dowodzić znowu. Przysięgnij, w przeciwnym razie ja przysięgam, że całą drogę do Shienaru będziesz musiał odbyć konno. — Kobieta dopinała popręgi przy siodle Ślubnego Wianka, ale tamci trzej wciąż nie potrafili nałożyć siodła na grzbiet Mandarba albo bodaj powstrzymać wierzchowca przed ciągłym zrzućaniem derki.

— Na jak głębokim południu Shienaru chcesz mnie zostawić? — zapytał z przekąsem. Kiedy nie

odpowiedziała, skinął głową. — Bardzo dobrze, Nynaeve. Jeżeli tego naprawdę chcesz, przysięgam na Światłość oraz na moją nadzieję odrodzenia i zbawienia.

Z największym trudem przyszło jej stłumienie westchnienia ulgi. Udało jej się i nie musiała skłamać. Próbowwała zachowywać się zgodnie z instrukcjami Egwene, to znaczy jakby już złożyła Trzy Przysięgi na Różdżkę Przysięg, ale naprawdę trudno radzić sobie z mężem, jeżeli nie można skłamać nawet w chwili, gdy jest to absolutnie konieczne.

— Pocałuj mnie — powiedziała i dodała pośpiesznie: — To nie jest rozkaz. Po prostu chcę pocałować mojego męża. — Pocałować na pożegnanie. Później nie będzie czasu.

— Na oczach wszystkich? — zapytał, śmiejąc się. — zawsze się tak wstydziłaś.

Kobieta już prawie skończyła ze Ślubnym Wiankiem, jeden ze stajennych z całych sił trzymał Mandarba, podczas gdy dwaj pozostali pośpiesznie dopinali popręgi.

— Są zbyt zajęci, żeby się zorientować. Pocałuj mnie, bo w przeciwnym razie pomyślę, że jesteś jednym z tych... — Zamknął jej usta pocałunkiem. Dreszcz przeszył ją od stóp do głów. Kilka chwil później oparła czoło o jego szeroką pierś, on głaskał ją po włosach.

— Być może w Shienarze uda nam się spędzić razem ostatnią noc — szepnęła. — Pewnie minie sporo czasu, zanim będziemy razem, i będę tęsknił za podrapanymi plecami.

Splonęła rumieńcem, niepewnie odsunęła się od niego, Stajenni skończyli i teraz dość demonstracyjnie wbijali wzrok w pokryte słomą klepisko, ale znajdowali się dość blisko, by wszystko słyszeć!

— Nie wydaje mi się. — Dumna była z siebie, że się nie jąka. — Nie chcę na tak długo zostawiać Randa z Alivią.

— On jej ufa, Nynaeve. Nie rozumiem, dlaczego, ale tak jest i tylko to się liczy.

Parsknęła. Jakby jakikolwiek mężczyzna mógł wiedzieć, co dla niego dobre.

Po drodze na splachetek gruntu, który знаła wystarczająco dobrze, by otworzyć tam bramę, jej przysadzista klacz parskwała niespokojnie, mijając ciała martwych trolloków. Mandarb, wyszkolony rumak bojowy, nie zwracał uwagi na krew, smród i wielkie ścierwa. Od kiedy Lan go dosiadł, czarny ogier stał się równie niewzruszony jak jego pan. To akurat potrafiła zrozumieć. Na nią Lan również działał nadzwyczaj uspokajająco. Zazwyczaj. Ponieważ czasami było zupełnie na odwrót. Myśląc o nim, pożałowała, że nie spędzą tej ostatniej nocy razem. I natychmiast jej policzki zapalały znowu.

Zsiadła z konia, bez pomocy *angreala* zaczerpnęła *saidara* i splotła bramę na tyle wysoką, że mogła przeprowadzić przez nią Ślubny Wianek na łąkę porośniętą kępami buków o nakrapianych czernią liśćmi i jakichś innych drzew, których nie rozpoznała. Słońce było złotą kulą wiszącą wysoko na niebie, ale powietrze okazało się znacznie chłodniejsze niż w Łzie. Na tyle chłodne, by odruchowo otuliła się płaszczem. Na wschodzie, północy i południu wznosiły się pokryte śnieżnymi czapami górskie szczyty. Gdy tylko Lan znalazł się po drugiej stronie rozpuściła sploty bramy i natychmiast splotła kolejną większą równocześnie wskakując na siodło i otulając się płaszczem.

Lan odprowadził Mandarba kilka kroków w kierunku zachodnim, wbił wzrok przed siebie. Dwadzieścia kroków przed nim teren kończył się urwiskiem, poniżej — aż po horyzont — ciągnął się ocean.

— Co to ma znaczyć? — zapytał ostro, odwracając się

— To nie jest Shienar. To jest Kraniec Świata, w Saldaei, najdalej oddalone od Shienaru miejsce na Ziemiach Granicznych.

— Obiecałam, że zabiorę cię na Ziemię Graniczne, Lan, i zabrałam. Pamiętaj o swojej przysiędze, kochany, bo ja o niej nie zapomniałam. — Z tymi słowami wbiła obcas w boki klaczy i pchnęła ją przez otwartą bramę. Usłyszała jeszcze, jak za nią woła, a potem zamknęła bramę. Dała mu w ten sposób szansę ocalenia życia.

Południe minęło ledwie parę godzin temu, o tej porze we wspólnej sali Lancy Królowej zajętych było tylko kilkanaście stołów. Większość porządnie odzianych mężczyzn i kobiet, którym towarzyszyli stojący teraz pokornie za nimi urzędnicy oraz służba, przybyła tu, by handlować lodowymi pieprzami rosnącymi obficie u podnóża Gór Banikhan, zwanych przez wiciu Saldaean Bariery Morza. Weilina Aldragorana pieprze nie interesowała. Kraina Bariery Morza przynosiła też inne plony, bardziej zyskowne.

— To moja ostateczna cena — oznajmił, podkreślając słowa gestem wyciągniętej dłoni. Na każdym palcu miał pierścień ze szlachetnym kamieniem. Klejnoty nie były wielkie, ale miały ładny szlif. Jubiler, od którego je kupił, powinien bardziej się reklamować. Innymi towarami też handlował: futrami, egzotycznym drewnem dla meblarzy, znakomitymi zbrojami i bronią, a od czasu do czasu czymś jeszcze innym, na czym można było dobrze zarobić, niemniej o tej porze roku klejnoty przynosiły największy zysk.

— Więcej już nie opuszczę. — Błat stołu pokryty był czarnym aksamitem, na którym pięknie prezentowały się najlepsze okazy jego kolekcji. Szmaragdy, łzy ogniste, szafiry, a przede wszystkim diamenty. Kilka było tak wielkich, że mogły przyciągnąć królewskie oko, reszta też była niemała. W żadnym nie dałoby się znaleźć najdrobniejszej skazy. Na całych Ziemiach Granicznych znany był z kamieni pozbawionych skaz.

— Albo się zgodzisz na cenę, albo poszukam innego kupca

Młodszy z dwu ciemnookich Illian siedzących naprzeciw niego, gładko wygolony niejaki Pavil Geraneos, gniewnie otworzył usta, ale starszy mężczyzna o imieniu Jeorg Damentanis z drżącą siwą bródką położył mu tłustą dłoń na ramieniu i obrzucił przerażonym spojrzeniem. Aldragoran nawet nie próbował skryć uśmiechu, spod którego błysnęły zęby.

Był niemowlęciem, kiedy trolloki spustoszyły Malkier, i nie zachował żadnych wspomnień z krainy dzieciństwa — rzadko w ogóle myślał o Malkier, kraj zginął i zniknął z ludzkiej pamięci — mimo to zadowolony był, że pozwolił wujom nałożyć sobie *hadori*. Przy drugim stole Managan przekrzykiwał się ze smagłą Tairenianką w koronkowej kryzie i kolczykach z dość podłymi klejnotami, w hałasie ich kłótni ginęła muzyka cymbałów, na których grała jakaś kobieta na niskim podwyższeniu przy wysokim, kamiennym kominku. Chudy młodzieniec nie zgodził się przywdziać *hadori*, podobnie jak Gorenellin, który był prawie w wieku Aldragorana. Gorenellin właśnie targował się zażarcie z dwoma Altaranami o oliwkowej skórze, z których jeden miał niezły rubin w uchu — na czole Gorenellina lśniły kropelki potu. Nikt nie krzyczał na człowieka, który jak Aldragoran nosił *hadori* i miecz, mało, kto odważyłby się naciskać na niego tak mocno, by się spocił. Ludzie z *hadori* i mieczem cieszyli się reputacją nieprzewidywalnych i szalonych gwałtowników. Tak naprawdę rzadko bywał zmuszony sięgać do miecza przy pasie, ponieważ wszyscy i tak wiedzieli, że może to zrobić i zrobi.

— Zgadzam się. Panie Aldragoran — powiedział Damentanis, rzucając towarzyszowi spojrzenie spod brwi. Nie zauważywszy tego, Geraneos obnażył zęby w grymasie, który Aldragoran zapewne miał wziąć za uśmiech. Aldragoran postanowił puścić mu to płazem. Mimo wszystko był przecież kupcem. Reputacja to dobra rzecz, gdy zwiększała siłę negocjacyjną, ale tylko głupiec niepotrzebnie szukał bójki.

Urzędnik Illianina, niezgrabny i siwiejący, poza tym krajan kupca, otworzył obitą żelazem szkatułkę; przez cały czas oka z niego nie spuszczały dwaj potężnie zbudowani strażnicy z tymi ich dziwnymi brodami, do których golili górne wargi, odziani w skórzane kaftany naszywane metalowymi kółkami. Każdy miał przy pasie miecz i tęgą pałkę. Za plecami Aldragorana też znajdował się urzędnik, Saldaeanin o twardym spojrzeniu, który wszakże nie odróżniał jednego końca miecza od drugiego. Mimo to Aldragoran nigdy nie zatrudniał straży osobistej, tylko strażników, — ale czasowo i na z góry określonych zasadach. To tylko przyczyniało się do wzmocnienia jego reputacji. Poza tym, rzecz jasna, ich nie potrzebował.

Gdy tylko Damentanis indosował dwa listy własnościowe i przekazał mu trzy skórzane sakiewki wypchane złotem — Aldragoran przeliczył monety, ale nie trudił się ich wazaniem; z pewnością niektóre spośród tych grubych koron z dziesięciu różnych krain okażą się lżejsze niż pozostałe, ale był gotów zaakceptować nieuniknione straty — Illianie pieczołowicie zebrali kamienie, wkładając do odpowiednich sakiewek z wyprawionej skóry, które powędrowały do szkatuły z monetami. Aldragoran zaproponował im wino, lecz grubas grzecznie odmówił, a potem całe towarzystwo sobie poszło, strażnicy ponieśli okutą żelazem szkatułkę. W jaki sposób z takim obciążeniem potrafiliby się wywiązać ze swych obowiązków, tego pojąć nie potrafił. Kayacun nie było wprawdzie miastem bezprawia, niemniej ostatnimi czasy zbójców było więcej niż zwykle: więcej zbójców, więcej morderców, więcej podpalaczy, więcej przestępców wszelkiego autoramentu, nie wspominając już o szaleństwach z rodzaju takich, o których nie sposób spokojnie myśleć. Nieważne — teraz klejnoty były zmartwieniem Illian.

Ruthan otworzył szkatułkę Aldragorana — na zewnątrz czekała para tragarzy, którzy ją poniosą, — ale ten tylko siedział bez ruchu, wpatrzony w listy własnościowe i sakiewki. Półtora raza tyle, ile spodziewał się otrzymać. Zakładając nawet, że korony z Altary i Murandy okażą się lżejsze, co najmniej półtora raza tyle. Zapowiadał się najbardziej zyskowny rok w jego życiu. A wszystko dzięki temu, że Geraneos zdradził się ze swym gniewem. Po tym Damentanis bał się mocniej targować. Wspaniała rzecz — reputacja.

— Pan Aldragoran? — zapytała jakaś kobieta, opierając się dłońmi o blat jego stołu. - Polecono mi pana jako kupca dysponującego rozległą siecią gołębi pocztowych.

Z przyzwyczajenia najpierw objął wzrokiem jej biżuterię. Cienki złoty pasek i długi naszyjnik wysadzone były bardzo przyzwoitymi rubinami, podobnie jak jedna z bransoletek, wśród rubinów znajdowały się bladozielone i niebieskie kamienie, których nie rozpoznał i natychmiast odruchowo zakwalifikował jako bezwartościowe. W złotej bransoletce na lewym nadgarstku, która stanowiła osobliwy okaz biżuterii, ponieważ połączona była łańcuszkami o spłaszczonych ogniwach z czterema pierścieniami, nie wspominając już, że misternie złobiona, nie było żadnych kamieni i dopiero na dwu pozostałych bransoletach były ładne szafiry i dalsze nieznanne zielone kamienie. Te same kamienie zdobiły dwa pierścienie na prawej dłoni, ale w dwu pozostałych osadzono nadzwyczajnej urody szafiry. Nadzwyczajnej. Dopiero po chwili dostrzegł, że na tym ręku nosi też piąty pierścień, włożony na palec, na którym był już jeden pierścień z bezwartościowym zielonym kamieniem. Złoty wąż pożerał własny ogon.

Wstrząśnięty spojrział na nią i natychmiast przeżył kolejny szok. Wyzierająca spod kaptura płaszczka twarz była taka młoda... ale przecież miała pierścienie, a niewiele było na tyle głupich, by nosić go bezprawnie. Poza tym widywał już młode Aes Sedai, dwa, może trzy razy. Nie, to nie wiek wywołał u niego wstrząs. Chodziło o to, że na czole miała *ki'sain*, czerwoną kropkę znamionującą kobietę zamężną. A przecież nie wyglądała na Malkierkę. Nie miała malkierskiego akcentu. Wielu młodych mówiło z akcentami z Saldaei, Kandoru, Arafel czy Shienaru — on sam miał akcent saldaeański — w

jej słowach nie słyszało się żadnych cech fonetycznych charakterystycznych dla Ziemi Granicznej. Poza tym nie przypominał sobie, by ostatnio słyszał o Malkierce udającej się do Białej Wieży. Wieża zawiodła Malkier w potrzebie i Malkierczycy odwrócili się plecami do Wieży. Mimo to podniósł się pośpiesznie. Zawsze lepiej okazać grzeczność Aes Sedai. Jej ciemne oczy pały. Tak, grzeczność była jak najbardziej na miejscu.

— Czym ci mogę służyć, Aes Sedai? Chcesz, żebym wysłał dla ciebie wiadomość przez jednego z moich gołębi? Z najwyższą przyjemnością. — Wyrazem mądrości było też spełnianie wszelkich próśb Aes Sedai, a gołąb był doprawdy niewielką przysługą.

— Wiadomość do wszystkich kupców, z którymi utrzymujesz kontakt. Nadchodzi Tarmon Gai'don. Niespokojnie wzruszył ramionami.

— To nie ma nic wspólnego ze mną, Aes Sedai. Jestem kupcem. — Prosiła o naprawdę wiele gołębi. Pozostawał w kontakcie z kupcami nawet w odległym Shienarze. — Ale wyślę twoją wiadomość. — Wyśle, ilekolwiek miałby poświęcić ptaków. Tylko idioci ślepi jak krety nie dotrzymywali obietnic złożonych Aes Sedai. Poza tym chciał mieć ją jak najszybciej z głowy wraz z jej gadaniną o Ostatniej Bitwie.

— Poznajesz to? — zapytała, wyławiając skórzany rzemyk zza karczku sukni.

Zaparło mu dech w piersiach, potem wyciągnął rękę i musnął palcem ciężki złoty sygnet na rzemku. Godło żurawia w locie. Skąd to wzięła? Na Światłość, skąd?

— Poznaje — odparł ochryplym z nagła głosem.

— Jestem Nynaeve ti al'Meara Mandragoran. Wiadomość, którą chcę przesłać, brzmi następująco: „Mój mąż jedzie z Krańca Świata ku Przełęczy Tarwina, ku polom Tarmon Gai'don. Czy dotrze tam sam?”.

Zadrżał. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Może obie rzeczy naraz? Była jego żoną?

— Wyślę twoją wiadomość, moja pani, ale ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Jestem kupcem. Malkier spotkała zguba. Ostateczna zguba, powiadam ci.

Żar w jej oczach rozgorzał jeszcze mocniej, jedną dłonią i szarpnęła swój gruby, czarny warkocz.

— Lan powiedział mi ongiś, że Malkier jest żywy, póki choć jeden mężczyzna nosi *hadori* na znak, że chce walczyć z Cieniem, póki choć jedna kobieta nosi *ki'sain* na znak, że pošle swych synów, by walczyli z Cieniem. Ja noszę *ki'sain*, panie Aldragoran. Mój mąż nosi *hadori*. Podobnie jak ty. Pytam, więc, czy Lan Mandragoran sam wstąpi na pola Ostatniej Bitwy?

Teraz już zdawał sobie sprawę, że się śmieje, że trzęsie się ze śmiechu. Ale równocześnie czuł spływające po policzkach łzy. To jakieś szaleństwo! Kompletnie szaleństwo! Niemniej słowa same wyrwały się z ust:

— Nie będzie sam, moja pani. Nie mogę dać poręki za nikogo innego, ale przysięgam ci na Światłość oraz na moją nadzieję odrodzenia i zbawienia, że nie będzie sam.

Przez chwilę wpatrywała się w niego, potem zdecydowanie skinęła głową i odwróciła się. Sięgnęła za nią dłonią.

— Pozwolisz sobie zaproponować wino, pani? Moja żona chętnie by cię poznała. — Alida była Saldaeanką, ale z pewnością chciałyby spotkać żonę Króla Bez Korony.

— Dziękuję, panie Aldragoran, ale powinnam dziś jeszcze odwiedzić kilka miast, a wieczorem muszę być w Łzie.

I odeszła, po drodze do drzwi zbierając poły płaszcza. Mrugał i patrzył w ślad za nią. Miała do odwiedzenia jeszcze kilka miasteczek, a wieczorem musi być w Łzie? Zaprawdę Aes Sedai zdolne były do cudów!

We wspólnej sali gospody zaległa cisza. Rozmowa z Aes Sedai nie toczyła się szeptem, więc nawet

cymbalistka zorientowała się i przestała grać. Wszyscy patrzyli na niego. Większość cudzoziemców miała usta szeroko rozdziawione ze zdumienia. — Cóż... Managan, Gorenellin — zawołał. — Pamiętacie jeszcze, jak się nazywacie? Pamiętacie, jaki wasz ród? Kto pojedzie ze mną na Przełęcz Tarwina?

Przez chwilę sądził, że żaden z tamtych się nie odezwie, ale wtedy Gorenellin poderwał się na nogi, w jego oczach lśniły łzy. — Złoty Żuraw leci ku Tarmon Gai'don — oznajmił cicho.

— Złoty Żuraw leci ku Tarmon Gai'don! — krzyknął Managan, podrywając się i przewracając krzesło.

Śmiejąc się, Aldragoran dołączył do nich i wszyscy trzej krzyczeli, co sił w płucach:

— Złoty Żuraw leci ku Tarmon Gai'don!

ROZDZIAŁ 4

KOMNATY KAMIENIA

Dopiero pod samymi murami Łzy wszechobecne błoto podgrodzia ustąpiło miejsca brukowanym ulicom. W oczy Randowi przede wszystkim rzuciła się nieobecność straży u bram. Mimo imponujących parapetów i baszt miasto było znacznie słabiej strzeżone niż *Stedding Shangtai*, gdzie o pierwszym brzasku i jemu, i każdemu innemu człowiekowi delikatnie, acz stanowczo odmówiono by wstępu. Tutaj balkony łuczników na wieżach były puste. Okute żelaznymi sztabami drzwi przysadzistej, szarej wartowni wewnątrz szerokiej bramy stały rozwarte szeroko, a w ich świetle można było dostrzec kobietę w zgrzebnych wełnach z chudymi rękoma wystającymi z podwiniętych wysoko rękawów — prała, szorując ubrania na tarce w drewnianej balii. Sprawiała wrażenie, jakby była stałą mieszkanką przybytku; dwoje małych, brudnych dzieci ssalo palce i przyglądało się przejeżdżającemu oddziałowi. Najbardziej koniom.

Tai'daishar zaiste potrafił przyciągać ludzkie spojrzenia — smukły kary ogier z szeroką pierśią. Jediną jego wadą był fakt, że za bardzo zwracał uwagę, mimo to Rand nie potrafił się oprzeć pokusie. Jeżeli Przekłęci nie mieli najmniejszych problemów ze znalezieniem go, a na to wskazywałyby ostatni incydent w dworze Algarina, nie było sensu się kryć. A przynajmniej nie warto było wkładać w to zbyt wiele wysiłku. Więc tylko nałożył czarne rękawice do jazdy konnej, pod którymi skrywały się łby smoków na wierzchach dłoni i czaple wypalone w ich wnętrzach. Kaftan był z ciemnoszarej wełny bez śladu haftu, derka pod siodłem zupełnie zwyczajna, a rękojeść i

pochwa miecza obite niewyprawioną skórą dzika jak w chwili, gdy wszedł w ich posiadanie — jednym słowem, nie ma się czemu przyglądać. Cadsuane też nałożyła pozbawione ozdób szare wełny, a głęboko naciągnięty na głowę kaptur ciemnozielonego płaszcza krył oblicze Aes Sedai, rzecz jasna Min, Nynaeve i Alivia nie musiały chować twarzy. Alę haftowany w kwiaty czerwony kaftan Min mógł ściągnąć na siebie spojrzenie, podobnie jak jej obcisłe spodnie i czerwone buty na wysokich obcasach. W Cairhien widywał kobiety, które naśladowały jej sposób ubierania się, jednak wydawało mu się nadzwyczaj nieprawdopodobne, by ta moda miała dotrzeć do Łzy, która tradycyjnie stanowiła ostoję skromności. Przynajmniej oficjalnie. Nynaeve miała na sobie błękitne jedwabie z żółtymi rozcięciami i całą posiadaną biżuterię, symbolicznie tylko ukrytą pod niebieskim płaszczem, niemniej w Łzie jedwabie z pewnością były rzeczą na porządku dziennym. Zresztą jedwabna suknia bladła w obliczu pomysłu, przy którym się z początku upierała — chciała włożyć szal! Teraz spoczywał zapakowany w jukach. A wymagało to tylko odrobiny dobrej woli.

Dopiero po dłuższej chwili usłyszał ten dźwięk: miarowy, uporczywy stukot, od czasu do czasu podkreślany przenikliwym gwizdem. Z początku słaby, z każdą chwilą rozlegał się jakby bliższy. Mimo wczesnej godziny przestrzeń ulicy widziana spod bramy zdawała się pełna ludzi. I chyba połowę z nich stanowił Lud Morza: mężczyźni obnażeni do pasa, kobiety w barwnych, lnianych bluzkach i wszyscy z szarfami znacznie bardziej jaskrawymi, niż nosiło zazwyczaj taireńskie pospólstwo. Wszystkie głowy pozostawały zwrócone ku miejscu, z którego dobiegał dźwięk. W ciżbie uwijały się dzieci, wymijając wozy zaprzężone w długorogie woły, i też pędziły w tamtą stronę. Z kilku lekyk wysiedli ich właściciele i razem z nosicielami stali podobnie zagapieni. Kupiec z długą, rozdwojoną brodą i srebrnymi łańcuchami na piersiach kaftana wychylił się do połowy z okna lakierowanej czerwono karety i krzychał na stangreta zmagającego się z nerwowym zaprzęgiem, równocześnie próbując coś dojrzeć w oddali.

Nagle ku niebu poderwały się białoskrzydłe gołębie, spłoszone ze spadzistego, krytego łupkiem dachu przez szczególnie ostry gwizd. Przypadkowo dwa stada zderzyły się ze sobą, a na widzów w dole posypał się deszcz ogłuszonych ptaków. Spadły wszystkie, co do jednego. Kilkoro ludzi oderwało wzrok od zbliżającego się hałasu i zerknęło w niebo. Zdziwiająco wielu podniosło ptaki z ziemi i natychmiast skrzyło im karki, a dotyczyło to nie tylko bosego pospólstwa, lecz także odzianych w znoszone wełny. Stojąca obok jednej z lekyk kobieta w koronkach i jedwabiach szybko podniosła sześć ptaków i znowu spojrzała tam, gdzie wszyscy, a gołębie, trzymane za nóżki bezwładnie zwisały z jej rąk.

Alivia jęknęła zaskoczona.

— To dobry czy zły omen? — zapytała swoim rozwlekłym głosem. — Zapewne zły. Chyba, że macie tu inne gołębie? — Nynaeve obrzuciła ją ponurym spojrzeniem, ale nic nie powiedziała. Od czasu, gdy Lan wczoraj zniknął, była nadzwyczaj milcząca, a w kwestii losu Lana w ogóle się nie chciała wypowiadać.

— Niektórzy z tych ludzi umrą z głodu — oznajmiła ponuro Min. W więzi zaległ smutek. — Właściwie nie ma nikogo, kogo nie otaczałyby wizje.

„Jak miałbym się ukryć?” — zaśmiał się Lews Therin „Przecież jestem *ta'veren*!

„Jesteś martwy” — ostro pomyślał w odpowiedzi Rand. Ludzie na jego oczach będą umierać z głodu, a ten się śmieje? Oczywiście i tak nic w tej sprawie nie można było zrobić, ponieważ przepowiednie Min zawsze się sprawdzały, ale śmiech to zupełnie inna sprawa. „Ja jestem *ta'veren*. Ja!”

Jakie jeszcze zdarzenia wywoła jego przybycie i dalsza obecność w Łzie? Czasami zdarzało się, że efekt *ta'veren* w ogóle mu nie towarzyszył, ale w innych wypadkach potrafił swym zasięgiem objąć

całe miasto. Najlepiej zająć się od razu tym, po co tu przybył, zanim ludzie zaczną się zastanawiać, co znaczą zjawiska w rodzaju zderzających się w powietrzu gołębi. Jeżeli Przekłęci gotowi byli wysłać po niego armię trolloków i Myrddraali, zapewne każdy Sprzymierzeniec Ciemności chętnie skorzysta z okazji wsadzenia mu strzały w serce. Niezobowiązująca troska o zatajenie swej tożsamości nie była tym samym, co zupełna beztroska.

— Równie dobrze mogłeś zabrać ze sobą Sztandar Światłości i sześciotysięczną gwardię honorową w miejsce szóstki strażniczek — mruknęła sucho Cadsuane, mierząc wzrokiem Panny, które próbowały udawać, że nie mają nic wspólnego i oddziałem Randa, równocześnie otaczając go szerokim kręgiem; *shoufy* skrywały głowy, a czarne woale swobodnie zwisały na piersi. Dwie wywodziły się z Shaido i kiedy patrzyły na niego, w ich oczach gorzał ogień. Wszystkie Panny zatknęły włócznie za uprząż futerałów łuków na plecach, ale tylko, dlatego, że Rand zagroził, iż je zostawi i weźmie kogoś innego. Nandera upierała się przynajmniej przy kilku Pannach, a mówiąc to, patrzyła na niego oczami przypominającymi dwa szmaragdy. Pod tym spojrzeniem nawet mu do głowy nie przyszło się sprzeciwić. Poza tym, skoro był jedynym dzieckiem Panny, którego tożsamość znały, miał pewne zobowiązania do spełnienia.

Zebrał wodze Tai'daishara, a wtedy znienacka pojawił się przed jego oczami wielki wóz ciężko obciążony maszyną. Maszyna szczykała i syczała, ogromne, żelazne obręcze wozów krzeszały iskry na szarych kamieniach bruku, a wóz pędził z szybkością ludzkiego truchtu. Otaczały go kłęby pary. Ciężki drewniany dyszel poruszał się w górę i w dół, uruchamiając drugi dyszel, poruszający się pionowo, z metalowego komina unosił się szary dym i tylko konia nie było, a zamiast niego z przodu znajdował się dziwny drążek, za pomocą, którego można było skręcać przednie koła. Jeden z trzech mężczyzn znajdujących się; na wozie pociągnął długi sznur i para z ostrym gwizdem wyleciała z tulei, znajdującej się na szczycie wielkiego żelaznego cylindra. Nastrój gapiów, którzy stali zadziwieni i co najwyżej zakrywali uszy, nie udzielił się zaprzęgowi kupca o rozwidlonej brodzie. Zwierzęta zarżały dziko, spłoszyły się roztrącając ludzi i o mały włos wyrzuciłyby przez okno karety swego właściciela. Ściagały je przekleństwa i kilka kwiczących mułów, które gryząc uzdy, w galopie ciągnęły za sobą wózki. Nawet kilka wołów poszło skwapliwie za ich przykładem. W więzi zobowiązań rozbłysło bezmierne zadziwienie Min.

Rand kolanami panował nad koniem, — ponieważ Tai'daishar był wyszkolonym rumakiem bojowym, reagował spokojnie, choć parskał — też patrzył zdumiony. Wychodziło na to, że pan, Poel naprawdę zbudował swój wóz parowy.

— Ale jak maszyna dotarła do Łzy? — zapytał głośno kierując swe słowa w przestrzeń. Ostatnim razem widział pojazd w Akademii Cairhieniańskiej, wówczas co kilka kroków przystawał.

— To się nazywa koń parowy, mój panie — odpowiedział mu bosy i brudny urwis w postrzępionej koszuli, podskakujący obok na bruku. Nawet w szarfie podtrzymującej workowate spodnie było tyle dziur, co w koszuli. — Widzę go już dziewiąty raz! A Com dopiero siódmy.

— Wóz parowy, Doni — zaprotestował jego równie obszarpany towarzysz. — Wóz, parowy wóz.

Żaden z nich nie mógł mieć więcej niż dziesięć lat i byli nie tyle chudzi, ile wręcz wynędzniali. Ubłocone nogi, podarte koszule i spodnie w dziurach oznaczały, że mieszkają poza murami miasta, na terenach biedoty. Rand zmienił wiele praw w Łzie, zwłaszcza te, które najbardziej dotkliwie dawały się we znaki biednym, ale nie był w stanie zmienić wszystkiego. Nie wiedział nawet, jak zacząć. Lews Therin zaczął coś bełkotać o podatkach i pieniądzach, które tworzą miejsca pracy, ale równie dobrze mógł dobierać słowa zupełnie przypadkowo, tyle Rand z tego rozumiał. Więc zamknął uszy na te słowa, które przycichły i zmieniły się w bzyczenie muchy po drugiej stronie pokoju.

— Cztery takie złączone razem, jeden za drugim, ciągnęły za sobą setkę wozów przez całą drogę z

Cairhien — ciągnął dalej Doni, ignorując drugiego chłopaka. — Każdego dnia przejeżdżały prawie sto mil, mój panie. Sto mil!

Com westchnął ciężko.

— Było ich sześć, Doni, i ciągnęły tylko pięćdziesiąt wozów, ale za to przejeżdżały każdego dnia ponad sto mil. Niekiedy nawet i sto dwadzieścia, jak słyszałem, a mówił o tym jeden z parowych ludzi.

Doni odwrócił się, spojrzął na niego złym okiem i już rwali się do bitki.

— Tak czy siak, nadzwyczajne osiągnięcie — powiedział szybko Rand, zanim zaczęły padać ciosy.

Sięgnął do kieszeni, dobył z niej dwie monety i rzucił po jednej chłopakom, nie patrząc na nominały. Nim chłopcy zręcznie schwycili pieniądze, na moment w powietrzu zamigotało złoto. Tamci wymienili zaskoczone spojrzenia, a potem rzucili się szybko ku bramom, bez wątpienia przestraszeni, że może się domagać zwrotu. Taka ilość złota zapewni ich rodzinom wyżywienie przez całe miesiące.

Min popatrzyła za nimi zasmuconym spojrzeniem, które to uczucie natychmiast powtórzyła echem więz i które trwało w niej jakiś czas po tym, jak już pokręciła głową i zapanowała nad rysami twarzy. Co widziała? Prawdopodobnie śmierć. Rund nie czuł smutku, tylko gniew. Ile dziesiątek tysięcy umrze, zanim rozstrzygnie się Ostatnia Bitwa? Ile wśród nich to dzieci? Nie miał w sercu miejsca na smutek.

— Nadzwyczajna szczodrość — oznajmiła Nynaeve przez Ściśnięte gardło. — Ale czy mamy zamiar stać tu cały ranek? — Wóz parowy powoli zniknął z pola widzenia, a mimo to jej pulchna kasztanka wciąż rżała nerwowo, rzucała łbem i sprawiała trudności, mimo iż z natury była zwierzęciem niesłychanie łagodnego usposobienia. Nynaeve jednak nie była nawet w połowie tak dobrą amazonką, za jaką się uważała. Wierzchowiec Min, pochodząca ze stajni Algarina siwa klacz o łabędziej szyi, tańczyła tak, że tylko zdecydowany chwyt czerwonych rękawiczek dziewczyny uchronił ją przed wyrwaniem wodzy z dłoni i choć deresz Alivii również próbował tańczyć, to była *damane* radziła sobie z nim tak łatwo, jak Cadsuane ze swoim gniadoszem. Alivia zdradzała talenty w zupełnie nieoczekiwanych dziedzinach. Po *damane* najwyraźniej oczekiwano zdolności hippicznych.

Kiedy zagłębiali się w miasto, Rand po raz ostatni zerknął na znikający wóz parowy. „Zdumiewający” było jak najbardziej właściwym słowem. Sto wozów czy tylko pięćdziesiąt — „tylko”! — to było zupełnie niewiarygodne. Czy kupcy zaczną je stosować zamiast koni? Mało prawdopodobne. Kupcy byli dość konserwatywnym ludem, znanym z niechęci do nowinek. Z jakiegoś powodu Lews Therin znów wybuchnął śmiechem.

Łza nie była tak piękna jak Caemlyn czy Tar Valon (próżno w niej szukać uroczych prospektów cechujących tamte metropolie), niemniej była spora — bez wątpienia jedno z wielkich miast świata — i wciąż się rozrastała, jak inne stolice bez ładu i składu. W gęstwinie krętych ulic i spadzistych dachów (krytych dachówką gospód i łupkiem stajni) wznosiły się gdzie niedzie pałace z kwadratowymi, białymi kopułami oraz wysokie wieże otoczone balkonami i zwieńczone iglicami — właśnie te ostatnie sięgały ponad szary masyw, lśniąc bielą w słońcu wczesnego poranka. Kuźnie i wytwórnie noży, szwaczki i rzeźnicy, sklepy rybne i warsztaty tkackie wciskały się w marmurowe budowle o wysokich, brązowych drzwiach, skryte za białymi kolumnadami, za którymi mieściły się izby gildii oraz faktorie i kantory.

O lej porze na ulicach zalegał jeszcze głęboki cień, mimo to tętniły życiem sławnej południowej przedsiębiorczości. Lektyki niesione przez pary wychudzonych mężczyzn przeciskały się przez ciżbę nieomal równie łatwo jak dzieci bawiące się w gonionego; powozy i karety ciągnięte przez

szóstkowe czy czwórkowe zaprzęgi miały z tym jednak kłopoty i rzadko osiągały większą prędkość niż wozy i wózki zaprzężone w wielkie woły. Tragarze nieśli ciężary po dwóch, na tyczkach spoczywających na ramionach, czeladnicy na plecach dźwigali wytwory swoich mistrzów: zwinięte dywany, inne rękodzieło w skrzynkach. Uliczni handlarze zachwalali towar z tac i obwoźnych stoisk: szpilki, wstążki, pieczone orzechy, mięsne pierożki; na każdym właściwie skrzyżowaniu dawali przedstawienia żonglerzy, akrobaci i muzycy. Nikt by nie pomyślał, że miasto zaznało obłączenia.

Jednak nie wszystko sprawiało równie kojące wrażenie. Mimo iż ranek był naprawdę wczesny, Rand widział hałaśliwych pijaków wyrzucanych z karczm oraz tawern i tyle ulicznych walk na pięści, że właściwie trudno było znaleźć spokojne miejsce. W tłumie kręciły się zbrojne zbiry do wynajęcia — miecze przy boku, na szerokich rękawach wełnianych kaftanów barwy Domów, którym akurat służyli, ale nawet ci w napierśnikach i hełmach nie podejmowali żadnych starań, by przerywać bójkę. Sami zresztą brali w nich udział — bili się między sobą, z Ludem Morza, z nieporządnie odzianymi ludźmi, którzy mogli być niewykwalifikowanymi robotnikami, czeladnikami lub rozrabiakami. Niemający nic do roboty żołnierze nudzili się, a znudzeni żołnierze upijali się i walczyli. Z zadowoleniem obserwował znudzonych żołnierzy buntowników.

Przeciskające się przez tłum Panny, które wciąż udawały, że nie mają nic wspólnego z Randem, przyciągały niepewne spojrzenia, głównie spod smagłych czół Ludu Morza i tylko czeredka dzieci biegła za nimi, gapiąc się zupełnie otwarcie. Tairenianie, wśród których wielu wcale nie było znacznie jaśniejszej karnacji, widywali już Aielów, a jeśli nawet zastanawiali się teraz, czemu tamci wrócili do miasta, to gnały ich przecież inne, ważniejsze sprawy. Z pozoru nikt nie poświęcał drugiego spojrzenia Randowi i jego kompanii. Na ulicy było wielu konnych, większość cudzoziemców — tu blady cairhieniański kupiec w skromnym kaftanie, tam Arafelianin ze srebrnymi dzwonkami w czarnych warkoczach, ówdzie miedzianoskóra Domani w omal przejrzystej sukni do jazdy konnej, ledwie przykrytej płaszczem, w towarzystwie pary potężnych strażników w skórzanych kaftanach naszywanych stalowymi krążkami, wreszcie Shienaranin z siwym kosmykiem na dokładnie wygolonej głowie i wydatnym brzuchem wypinającym guziki kaftana. W Łzie nie sposób było dać dziesięciu kroków, żeby nie natknąć się na cudzoziemca. Taireński handel sięgał daleko.

Nie należy wszakże wnosić, że podróż przez miasto przebiegła bez żadnych dalszych incydentów. W pewnym momencie biegnący przed konnym towarzystwem chłopak od piekarza potknął się i upadł, wyrzucając kosz w powietrze. Kiedy Rand przejeżdżał obok, tamten podniósł się już i z otwartymi ustami wpatrywał w piramidę, która powstała z długich bochenków stojących na sztorc obok kosza. Jakiś człowiek bez kaftana pijący na pierwszym piętrze gospody, wychylił się z okna, stracił równowagę i wypadł z wrzaskiem na ulicę — wrzask jednak zamarł mu na ustach, gdy wylądował prosto na nogach, nie dalej niż dziesięć stóp od Tai'daishara, nawet nie wypuściwszy kufła z dłoni. Rand pojechał dalej, a tamten został na ulicy z szeroko rozwartymi oczyma, popatrując w zdumieniu po sobie. Zmarszczki odmienionych prawdopodobieństw szły za Randem, ogarniając całe miasto.

Nie każde wydarzenie okaże się równie niewinne, jak w przypadku chleba, tudzież znajdzie szczęśliwy finał pozwalający spadającemu wylądować na nogach, nie na głowie. Zmarszczki prawdopodobieństwa mogą zmienić nieszkodliwą kolizję w wypadek z połamanymi kośćmi czy skręconym karkiem. Waśnie na śmierć i życie mogą powstać, ponieważ ludzie zaczną wygłaszać słowa, które nigdy by nawet im na myśl nie przyszły. Kobiety mogą podjąć decyzję otrucia mężczyzny, Pchnięte do zbrodni trywialnymi obrazami, które pokornie tolerowały przez lata. Albo ktoś znajdzie zagrzebany we własnej piwnicy sparciały worek pełen złota, nie wiedząc, co mu kazało kopać w tym, a nie innym miejscu; inny poprosi o rękę kobiety, do której przez lata nawet zbliżyć się nie śmiał, i zostanie przyjęty; tyłuż wszak spotka ruina w miejsce pomyślnego losu. Min nazywała to

równowagą. Dobro musiało równoważyć każde zło. Choć Rand przychylił się raczej do przekonania, że to zło równoważy każde dobro. Trzeba jak najszybciej załatwić wszystko w Łzie i zniknąć stąd. Galop po zatłoczonych ulicach był wykluczony, jednak pognał konia szybciej, aż Panny musiały pobiec truchtem.

Cel swej wyprawy miał przed oczyma na długo, zanim znalazł się w mieście — masyw kamienia przypominający nagie wzgórze o ostrych stokach, rozpościerający się od rzeki Erinin to centrum miasta, pokrywający co najmniej osiem lub dziewięć marszów, czyli dobrą milę kwadratową lub więcej, i dominujący na niebie miasta. Kamień Łzy był najstarszą fortecą ludzkości, najstarszą budowlą w świecie, zbudowano go dzięki Jedynej Mocy w ostatnich dniach przed samym Pęknięciem. Był właściwie litym kamiennym masywem, którego ścian nie znaczyły żadne złączenia, choć ponad trzy tysiące lat deszczu i wiatru nadgryzły lekką erozją ich lico, czyniąc je już nieco nierównym. Najniższe parapety znajdowały się na wysokości stu kroków ponad ziemią niemniej niżej ziały liczne szczeliny łucznicze oraz występy, z których obrońcy mogli razić napastników wrzącym olejem i stopionym ołowiem. Nie było sposobu, aby oblegający mogli odciąć Kamień od dostaw, które wpływały doń przez ufortyfikowane doki, a liczne manufaktury i kuźnie mogły wytwarzać lub naprawiać każdą broń, jakiej by ewentualnie zabrakło w zbrojowniach. Na usytuowanej centralnie najwyższej wieży powiewał sztandar Łzy: w połowie złoty, w połowie czerwony, przecięty trzema srebrnymi półksiężycami i tak wielki, że Rand wyraźnie widział wszystkie szczegóły marszczącego się na silnym wietrze wzoru. Na niższych wieżach były mniejsze wersje sztandaru, ale naprzemiennie z innym wzorem: czarnobiałym starodawnym symbolem Aes Sedai na czerwonym polu. Sztandar Światłości. Sztandar Smoka, nazywali go niektórzy, jakby miana tego nie nosił zupełnie inny sztandar. Wychodziło na to, że Wysoki Lord Darlin jawnie demonstrował swoją lojalność. To dobrze.

Alanna też tam była, ale czy to dobrze, czy źle, tego dopiero przyjdzie się dowiedzieć. Od czasu jak Elayne, Aviendha i Min wspólnie nałożyły mu więź zobowiązań, nie był już tak dotkliwie świadom jej obecności — przynajmniej tak mu się wydawało; jakimś sposobem zepchnęły ją na dalszy plan, od niej samej zaś usłyszał, że nie potrafi wyczuć więcej niż jego obecność, — ale wciąż była w głębi jego głowy, kłębek emocji i wrażeń cielesnych. Minęło już dużo czasu, odkąd znalazł się na tyle blisko, by je czuć. I znowu więź z nią zdała mu się czynem bezprawnym, rodzajem uzurpacji, jakiej Alanna dopuściła się wobec więzi łączącej go z Min, Elayne i Aviendhą. Czuł, że Alanna jest zmęczona, jakby ostatnio kiepsko sypiała, jakby była strasznie zirytowana, ale też rozgniewana czemuś i dodatkowo jeszcze ponura. Może negocjacje źle szły? Wkrótce się okaże. Alanna musi wiedzieć, że on znalazł się w mieście, że się zbliża, nawet, jeśli niewiele więcej. Min próbowała nauczyć go pewnej sztuczki zwanej maskowaniem, która rzekomo pozwalała ukryć istnienie więzi, ale nigdy nie potrafił właściwie jej zastosować. Rzecz jasna, Min przyznawała, iż sama też nie potrafi sprawić, by sztuczka zadziałała.

Wkrótce znalazł się na ulicy biegnącej prosto na plac otaczający Kamień z trzech stron, ale nie miał przecież zamiaru jechać bezpośrednio do miejsca przeznaczenia. Przede wszystkim, dlatego, że wszystkie nabijane żelazem bramy z pewnością będą zawarte. Ale też, dlatego, że u wylotu ulicy zobaczył kilkuset zbrojnych. Zapewne pod każdą z pozostałych bram należało się spodziewać podobnego widoku. Zbrojni nie bardzo wyglądali na kogoś, kto poważnie bierze się do oblężenia fortecy. Sprawiali wrażenie bezładnej hałastry — wielu zdjęło hełmy i oparło halabardy o ściany budynków, kręciły się wśród nich służące z pobliskich tawern i gospód, sprzedając z tac kufle piwa i kubki wina — z drugiej strony zapewne nie pozostaną bezczynni w obliczu próby przedostania się do Kamienia. Choć gdyby wiedzieli, z kim mają do czynienia, może zastanowiliby się dwa razy. Z łatwością mógł odeprzeć atak kilkuset ludzi, kosztowałoby go to nie więcej wysiłku niż walka ze

stadem ciem.

Wszelako nie przybył do Łzy, by urządzić w niej rzeź — oczywiście pod warunkiem, że nie zostanie do tego zmuszony, — więc spokojnie wjechał na podwórze stajni przy krytej dachówką gospodzie, cieszącej oczy dwoma piętrami szarego kamienia i bogatym wyglądem. Godło nad drzwiami frontowymi było świeżo wymalowane, a odwzorowano na nim — jakby już nie było innych pomysłów! — niezdarne wizerunki stworów otaczających jego przedramiona. Artysta najwyraźniej doszedł do wniosku, że obraz wyłaniający się z opisu, jaki mu przedstawiono, jest niewystarczająco efektowny, ponieważ dodał długie, ostre zęby i skórzaste, żebrowane skrzydła. Skrzydła! Sprawiały wrażenie, jakby je skopiowano bezpośrednio z jednej z seanchańskich latających bestii. Cadsuane zerknęła na godło i parsknęła. Nynaeve zachichotała. Min również!

Nawet po tym, jak Rand zapłacił stajennym srebrem za oporządzenie koni, wciąż złym okiem patrzyli na Panny, ale prawdziwie twarde spojrzenia czekały na nich dopiero we wnętrzu wspólnej sali Smoka, gdzie goście biesiadowali pod belkowanym sufitem. Rozmowy urwały się jak ucięte nożem, gdy tylko Panny ze sterczącymi znad ramion grotami włóczni i tarczami z byczej skóry w rękach weszły do środka śladem Randa i jego towarzyszek. Mężczyźni i kobiety odziani zasadniczo w niewyszukane, choć dobrej jakości wełny odwrócili się na swych krzesłach o niskich oparciach i patrzyli. Na pierwszy rzut oka klientelę stanowili średni kupcy oraz solidni rzemieślnicy, ale gapili się niczym wieśniacy, którzy po raz pierwszy w życiu widzą miasto. Służące w ciemnych sukniach z wysokimi karczkami i krótkich, białych fartuchach, zatrzymywały się wytrzeszczając oczy znad tac. Umilkła nawet muzykantka, przygrywająca młoteczkami na cymbałach między dwoma kamiennymi kominkami, wygaszonymi tak pogodnego ranka.

Tylko jeden ciemnoskóry mężczyzna o kręcących się włosach siedzący za kwadratowym stołem przy drzwiach chyba w ogóle nie zauważył Panien. Rand z początku wziął go za przedstawiciela Ludu Morza, choć przeczył temu wrażeniu dziwny kaftan tamtego: bez kołnierzyka i klap, ongiś biały, obecnie poplamiony i pomarszczony.

— Zaręczam ci, że mam na statku mnóstwo, mnóstwo... tych robaczków, co wytwarzają... tak, wytwarzają... jedwab — przemawiał namiętnie z dziwnym, śpiewnym akcentem.

— Ale muszę mieć te... te... oziomki, tak, liście oziomki, którymi się je karmi. Będziemy bogaci. Jego towarzysz machnął lekceważąco pulchną dłonią, równocześnie nie odrywając oczu od Panien.

— Robaczki? — zapytał z roztargnieniem. — Przecież wszyscy wiedzą, że jedwab rośnie na drzewach.

Rand przeszedł kilka kroków na spotkanie właściciela kręcąc głową. Robaczki! Jakich historii ludzie nie potrafili wymyślić, próbując pozbawić innych paru monet.

— Agardo Saranche do usług, mój panie, szlachetne damy — powiedział łysiejący chudzielec, kłaniając się głęboko

i rozkładając ręce. Żadną miarą nie można było twierdzić, im wszyscy Tairenianie byli smagli, ponieważ on miał cerę równie jasną, co dowolny Cairhienianin. — Czym mogę służyć? Spojrzenie ciemnych oczu coraz to uciekało ku Pannom i za każdym razem chudy lekko muskał palcami poły długiego, niebieskiego kaftana, jakby nagle go podduszał.

— Chcemy pokój z dobrym widokiem na Kamień — powiedział Rand.

— To naprawdę robaczki robią jedwab, przyjacielu — usłyszał za plecami słowa wypowiedziane ze znajomym akcentem rozwlekłych samogłoskach. — Przysięgam na moje oczy.

Słyszając to, Rand odwrócił się i zobaczył Alivię wpatrzoną szeroko rozwartymi oczami w mężczyznę w ciemnym kaftanie, który właśnie mignął w otworze drzwi wiodących na ulicę. Zaklął, pobiegnął ku drzwiom, ale na zewnątrz od razu zorientował się, że tamten może być jednym z kilkunastu

ludzi w ciemnych kaftanach, którzy przed momentem minęli gospodę. Nie było sposobu rozpoznania mężczyzny średniego wzrostu i budowy ciała, którego widziało się tylko od tyłu. Co Seanchanin robił w Łzie? Szpieg pracujący dla kolejnej inwazji? Trzeba się tym zająć. Ale tymczasem zawrócił od drzwi, żałując, że nie może dostać tamtego w swoje ręce. Lepiej mieć pewność, niż być zmuszonym do zgadywania.

Zapytał Alivię, czy przypadkiem nie widziała tamtego wyraźnie, ale tylko pokręciła w milczeniu głową. Wciąż była blada. Potrafiła z zapalem opowiadać, co też robi *sul'dam*, jednak najwyraźniej parę słów z ojczystym akcentem wytrącało ją z równowagi. Miał nadzieję, że nie okaże się to jej słabością. Miała mu pomóc... jakoś... i nie mógł pozwolić jej na okazywanie słabości.

— Kim był człowiek, który właśnie wyszedł? — zapytał Saranche'a. — Ten, który mówiąc, tak rozciągał głoski.

Karczmarz zamrugął.

— Nie mam pojęcia, mój panie. Nigdy go wcześniej nie widziałem. Życzysz sobie jednego pokoju, mój panie? — Zmierzył wzrokiem Min i pozostałe kobiety, poruszał przy tym ustami, jakby liczył.

— Jeżeli myśli pan o czymś nieprzystojnym, panie Saranche — powiedziała z urazą Nynaeve, szarpiąc za warkocz wychodzący spod kaptura jej płaszcza — to radzę się dwukrotnie zastanowić. Zanim wytargam pana za uszy.

Min syknęła cicho i zanim się zdążyła opanować, jedna jej dłoń powędrowała do rękawa. Światłości. Ależ tej dziewczynie ręce się paliły do noży!

— Co jest nieprzystojne? — zapytała Alivia, w jej słowach pobrzmiwały nuty konsternacji. Cadsuane parsknęła.

— Jeden pokój — cierpliwie powtórzył Rand.

„Kobiety zawsze znajdą sobie powód do urazy” — pomyślał. A może to był Lews Therin? Niepewnie wzruszył ramionami. I z odrobiną irytacji, która wszak nie odbijała się w słowach, dodał:

— Twój największy pokój z widokiem na Kamień. Nie zabawimy długo. Będiesz mógł go powtórnie wynająć jeszcze na dzisiejszą noc. Jednak niewykluczone, że konie zostaną dzień czy dwa.

Przez pociągłą twarz Saranche'a przemknął cień ulgi, choć w głosie brzmiały wyłącznie nuty z pewnością fałszywego smutku.

— Żałuję, ale mój największy pokój jest już wynajęty, mój panie. Po prawdzie, to wszystkie większe pokoje są zajęte. Nimniej będę szczęśliwy, mogąc cię odprowadzić do Trzech Księżyców, dalej przy tej samej ulicy i...

— Ba! — Cadsuane zsunęła kaptur z czoła na tyle, by ukazać oblicze i część złotych ozdób we włosach. Była istnym ucieleśnieniem opanowania, ale oczy patrzyły twardo, — Myślę, że jednak znajdziesz dla nas ten pokój, chłopcze. Myślę, że lepiej będzie dla ciebie, jak go znajdziesz. Zapłać mu dobrze — dodała, zwracając się do Randa; ozdoby zakołysały się na złotych łańcuszkach. — To była rada, a nie polecenie.

Saranche skwapliwie wziął od Randa cztery grube złote korony — należało wątpić, by tyle wynosił tygodniowy dochód z całej gospody, — ale oczywiście nie złoto, lecz oblicze Cadsuane spowodowało, iż pomknął w podskokach po schodach W tylnej części wspólnej sali i dosłownie po paru minutach wrócił, żeby zaprowadzić ich do pokoju na pierwszym piętrze z ciemną boazerią na ścianach i wygniecionym trzyosobowym łóżkiem; okna po obu stronach łóżka wypełniał masyw Kamienia, wyrastający ponad dachy. Poprzednia lokatorka opuściła pokój w takim pośpiechu, że zostawiła w nogach łóżka parę wełnianych pończoch, a na umywalni w kącie rzeźbiony grzebień z rogu. Następnie karczmarz zaproponował pomoc we Wniesieniu bagaży i wino. Zdziwił się, gdy

Rand odmówił, niemniej starczyło jedno spojrzenie na twarz Cadsuane, by gospodarz umknął pośpiesznie w ukłonach.

Pokój był spory, jak na pomieszczenie w gospodzie, daleko mu jednak było do większości komnat w dworze Algarina, pałacu już nie wspominając. Zwłaszcza że miał posłużyć dwunastu osobom. W jednej chwili Randowi zdało się, że ściany walą się na niego. Coś go ścisnęło w piersiach. Każdy oddech przychodził z wysiłkiem. W więzi zapulsowało współczucie i troska.

„Skrzynia” — dyszał Lews Therin. „Muszę się wydostać ze skrzyni!”.

Rand nie odrywał oczu od przestrzeni za oknami, czuł, że za żadną cenę nie może stracić z oczu Kamienia, i dopiero po chwili perspektywa otwartej przestrzeni między Kamieniem i Smokiem oraz szerokie niebo w górze sprawiły, iż ucisk w piersiach zelżał nieco. Tylko odrobinę — wciąż nie odrywając wzroku od nieba nad Kamieniem, nakazał wszystkim stanąć pod ścianami. Posłuchali bez szemrania. Powiedzmy. Cadsuane najpierw obrzuciła go ostrym spojrzeniem, Nynaeve parsknęła, zanim dostojnie podeszła do ściany, ale pozostałe nie żartowały. Jeśli nawet uznały, że potrzebuje przestrzeni z jakichś względów bezpieczeństwa... cóż, w pewnym sensie można było tak powiedzieć. W każdym razie usunęły mu się sprzed oczu i pokój zaczął wydawać się większy. Tylko trochę, ale każdy cal był błogosławioną ulgą. W więzi pulsowała już nieskrywana niczym troska.

„Muszę się wydostać” — jęczał Lews Therin. „Muszę się wydostać”.

Rand uzbroił się w oczekiwaniu na to, o czym wiedział, że zaraz nadejdzie i obserwując Lewsa Therina, pochwycił męską połowę Prawdziwego Źródła; zalał go *saidin*. Czy szaleniec znowu próbował mu je wyrwać? Musnął je, z pewnością go dotknął, ale tymczasem znalazło się już w posiadaniu Randa. Góry płomienia, walące się ognistymi lawinami i próbujące go pogrzebać. Fale, przy których lód zdawałby się ciepły, próbowały zgnieść go pośród oszalałych mórz. Pławił się w nich, zniecka tak żywy, że stan sprzed chwili wydawał się rojeniem. Słyszał oddechy wszystkich w pokoju, tak wyraźnie widział wielki sztandar łopoczący nad Kamieniem, że wydawało mu się, iż jest w stanie dostrzec fakturę tkaniny. Podwójna rana w boku pulsowała, jakby chcąc wyrwać się z ciała, ale miał w sobie Moc, więc potrafił zignorować ból. Chyba nawet cios miecza nie zrobiłby na nim większego wrażenia.

Niemniej z *saidinem* przyszły nieodłączne mdłości, prawie nieprzezwyciężalne pragnienie zgięcia się w pół i opróżnienia żołądka ze wszystkich posiłków, jakie w życiu zjadł. Zadrżały pod nim kolana. Walczył z tym uczuciem równie nieugięcie jak walczył z Mocą, ponieważ z *saidinem* trzeba walczyć, zawsze. Mężczyzna nagiął *saidina* do swej woli albo ten go niszczył. Przed jego oczyma pojawiła się na moment twarz człowieka z Shadar Logoth. Oczy patrzyły wściekle. Bez wątpienia w tej chwili widział Randa, a Rand widział jego. Najlżejszy ruch dłoni i dotkną się. Jeden drobny ruch.

— Co się dzieje? — zapytała Nynaeve, podchodząc bliżej i patrząc z troską. — Poszarzałeś na twarzy. — Sięgnęła do jego czoła, a jemu po skórze popęzła gęsia skórka. Odepchnął jej dłoń.

— Wszystko w porządku. Odsuń się.

Nie poruszyła się i tylko poczęstowała go jednym z tych spojrzeń, które kobiety noszą chyba w mieszk przy pasku. Wynikało z niego, że wie, iż on kłamie, nawet, jeśli nie jest w stanie tego dowieść. Czy one ćwiczą te spojrzenia przed lustrami?

— Odsuń się, Nynaeve.

— Z nim jest wszystko w porządku, Nynaeve — powiedziała Min, choć jej oblicze też powlókł cień szarości, a obie ręce w czerwonych rękawiczkach przycisnęła do brzucha. Wiedziała.

Nynaeve parsknęła, zmarszczyła nos z odrazą, w końcu jednak odsunęła się. Może Lan miał już tego dość i uciekł od niej. Nie, niemożliwe. Lan nigdy by jej nie zostawił, dopóki by mu nie kazała, a nawet wówczas tylko na tak długo, jak byłoby to konieczne. Dokądkolwiek się udał, Nynaeve znała

miejsce jego pobytu, a zapewne nawet sama go tam wysłała z sobie tylko znanych powodów. Aes Sedai i ich przeklęte sekrety.

Przeniósł Ducha z odrobiną Ognia i u stóp łóżka pojawiła się znana srebrna pręga; zawirowała, a potem w jej otworze zamajaczyły masywne kolumny pośród ciemności. Jedyne światło pochodziło z pokoju w gospodzie. Znajdujący się kilka cali nad podłogą otwór w powietrzu nie był większy niż drzwi do pokoju, ale dokładnie w momencie, gdy skończył się obracać, trzy Panny z welonami na twarzach i wyciągniętymi włóczyniami przeskoczyły przez niego, a mgnienie oka później Rand poczuł gęsią skórkę — to Alivia ruszyła ich śladem. Obowiązek ochrony go wzięła na siebie z własnej woli, niemniej traktowała to równie poważnie jak Panny.

Po drugiej stronie nie było żadnej zasadzki, żadnego niebezpieczeństwa, więc poszedł za nimi, dając krok w dół. Od drugiej strony brama znajdowała się więcej niż stopę ponad wielkimi płytami z szarego kamienia, którego nie chciał niszczyć bardziej, niż uczynił to wcześniej. To było Serce Kamienia, a przepelniony Mocą i wspomagany światłem padającym przez bramę, z pomieszczenia pod Smokiem dostrzegł wąski otwór w jednym z tych kamieni, gdzie ongiś wbił w posadzkę Callandora „Ktokolwiek go dobędzie, stanie się wyznawcą”. Długo i głęboko zastanawiał się, zanim posłał Narishmę, żeby przyniósł mu Callandora. A choć Proroctwa twierdziły, że Narishma był jego wyznawcą, dzisiaj miał inne zajęcia. Wszędzie wokół wznosił się las ogromnych kolumn z czerwonego kamienia, sięgających w ciemność skrywającą niezapalone złote lampy i sklepiony sufit wielkiej kopuły. Odgłos kroków niósł się echem po ogromnej komnacie, nawet w przypadku miękkich butów Panien. W tej przestrzeni natychmiast rozwiało się bez śladu poczucie uwięzienia.

Min skoczyła do wnętrza zaraz za nim — z nożami w obu dłoniach, jej głowa kręciła się z prawa na lewo, oczy przepatrywały ciemność — ale Cadsuane stanęła na brzegu bramy i oznajmiła:

— Nie skaczę, chyba, że absolutnie nie mam wyboru, chłopcze. — Wyciągnęła dłoń i zaczęła, aż podejdzie i poda jej swoją

Pomógł jej zejść, podziękowała skinieniem głowy. Przynajmniej w ten sposób można było jej skinienie głowy zinterpretować, ponieważ równie dobrze mogło znaczyć: „No nareszcie, nie spieszyłeś się”. Kula światła pojawiła się we wnętrzu jej dłoni, chwilę później Alivia też bawiła się płonąca sferą. Wokół nich rozlała się kałuża światła, od którego otaczający mrok tylko zgęstniał. Nynaeve trzeba było potraktować z podobnymi wyrazami szacunku, ona przynajmniej miała dość uprzejmości by wymruczeć podziękowanie — natychmiast też rozbłysło jej dzieło, trzecia kula światła. Kiedy wszak, już poniekąd machinalnie, spróbował podać dłoń jednej z Panien — chyba była to Sarendhra, jedna z Shaido, nie miał pewności, ponieważ widział tylko parę błękitnych oczu nad czarnym woalem — ta ofuknęła go pogardliwie i skoczyła z włóczynią w dłoni, a jej śladem poszły pozostałe dwie. Zamknął bramę, niemniej nie wypuścił *saidina*, choć w brzuchu mu się przewracało, a w głowie wirowało. Nie przypuszczał, że przed opuszczeniem Kamienia będzie potrzebował Mocy, z drugiej strony nie chciał dostarczać Lewsowi Therinowi okazji do przechwycenia Źródła.

„Musiś mi zaufać” — warknął Lews Therin. „Jeżeli mamy dotrzeć do Tarmon Gai'don, gdzie wreszcie będziemy mogli Umrzeć, musiś mi zaufać”.

„Powiedziałaś mi kiedyś, żebym nie ufał nikomu” — pomyślał Rand. „Włącznie z tobą”.

„Tylko szalenie nikomu nie ufa” — szepnął Lews Therin. Znienacka zaczął płakać. „Och, dlaczego muszę żyć z szaleńcem w głowie?”.

Rand stłumił w sobie echo słów tamtego.

Za wysokim łukiem, pod którym wychodziło się z Serca Kamienia, zaskoczył go widok dwóch Obrońców Kamienia w hełmach z grzebieniami, lśniących napierśnikach i bufiastych, czarnych

kaftanach w czarno-złote pasy. Stali z wyciągniętymi mieczami, wpatrzeni w otwór pod łukiem, ich oczy miały w sobie mieszaninę konsternacji i ponurej determinacji. Bez wątplenia zdziwiły ich światła i odgłos kroków w pomieszczeniu, do którego prowadziło tylko jedno wejście; wejście, przy którym akurat stali. Przyczajone Panny z wyciągniętymi włóczniami szły ku nim powoli w formacji wachlarza.

— Na Kamień, to on — powiedział jeden z nich, pośpiesznie chowając miecz do pochwy. Był krępy, wydatna blizna przecinała twarz od czoła, biegła przez grzbiet nosa i kończyła się na szczęce. Ukłonił się głęboko, rozkładając szeroko stalowe rękawice.

— Mój Lordzie Smoku — rzekł. — Jestem Iagin Handar, mój panie. Kamień trwa. Z tamtego dnia wyniosłem taką pamiątkę. — Musnął dłonią bliznę na twarzy.

— Szlachetna rana, Handar, jako też i dzień, który upamiętnia — zapewnił go Rand, podczas gdy drugi strażnik, szczuplejszy, pośpiesznie chował ostrze i kłaniał się. Dopiero wtedy Panny opuściły włócznie, choć nie odsłoniły twarzy. Dzień wart upamiętnienia? Trolloki i Myrddraale w Kamieniu Drugi raz w życiu, gdy naprawdę władał Callandorem, Mieczem Który Nie Jest Mieczem, w sposób, do którego ten był przeznaczony. Wszędzie wokół ciała poległych. Martwa dziewczynka, której nie potrafił przywrócić do życia. Któż mógłby zapomnieć taki dzień.

— Pamiętam, że wydałem rozkazy, aby strzec Kamienia dopóki, Callandor się w nim znajduje, czemu więc wciąż tu stoicie?

Tamci wymienili zmieszane spojrzenia.

— Wydałeś rozkazy wystawienia wart, mój Lordzie Smoku — odrzekł Handar. — I Obrońcy są im posłuszni, aczkolwiek nie powiedziałaś nic na temat Callandora, prócz tego, by nie dopuszczać doń nikogo, kto nie będzie potrafił udowodnić że przychodzi z twej poręki.

Bardziej krępy z mężczyzn znienacka wzdrygnął się i znowu ukłonił, tym razem jeszcze głębiej.

— Wybacz mi, mój panie, jeżeli wygląda, jakbym ci zaprzeczał. Nie taki był mój zamiar. Czy mam wezwać do twych apartamentów Wysokich Lordów? Komnaty czekają w gotowości na twój powrót.

— Nie ma potrzeby — odparł Rand. — Darlin mnie oczekuje i wiem, gdzie go znaleźć.

Handar zamrugał. Drugi strażnik znienacka wbił wzrok w posadzkę, jakby pod stopami zobaczył coś nadzwyczaj interesującego.

— Być może potrzebny ci będzie przewodnik, mój panie — powiedział powoli Handar. — Korytarze... Czasami korytarze się zmieniają.

A więc tak. Wzór faktycznie powoli tracił spójność. Co oznaczało, że dotyk dłoni Czarnego bardziej ciąży na świecie niżli kiedykolwiek od czasu Wojny z Cieniem. Jeżeli przed nadejściem Tarmon Gai'don Wzór rozluźni się za bardzo, Koronka Wieków może się rozpleść. Co oznaczać będzie koniec czasu, rzeczywistości i stworzenia. Zanim to nastąpi, musi jakimś sposobem doprowadzić do Ostatniej Bitwy. Tyle, że nie śmiał. Jeszcze nie.

Zapewnił Handara i jego towarzysza, że nie potrzebuje przewodnika, tamci pokłonili się znowu, najwyraźniej przyjmując do wiadomości, że Smok Odrodzony może zrobić wszystko, o czym twierdzi, że zrobić może. A prawda była taka, że potrafił znaleźć Alanę — mógł nawet wskazać kierunek, w którym należało jej szukać — a od czasu, gdy wyczuł ją po raz pierwszy, ona zmieniła miejsce pobytu. Gotów był się założyć, że poszła poszukać Darlina i poinformować go, iż Rand al'Thor przybywa. Min wymieniła jej imię wśród tych, które miał w ręku, niemniej, Aes Sedai zawsze potrafiły wygrywać jednych przeciwko drugim. Niezmiennie miały jakieś swoje własne plany, własne cele. Jak Nynaeve i Verin. Jak którakolwiek z nich.

— Skaczą, kiedy mówisz „żaba” — chłodno oznajmiła Cadsuane, odrzucając kaptur płaszcz na plecy. Wyszli z Serca Kamienia. — Kiedy zbyt wielu ludzi robi bez pytania, co im każesz, może się

to dla ciebie źle skończyć. — Naprawdę miała czelność, żeby to powiedzieć! Przeklęta Cadsuane Meliidhrin!

— Trwa wojna — odrzekł ostrym głosem. Przez te mdłości nie do końca panował nad emocjami. I po części, dlatego mówił do niej tak ostro. — Im mniej ludzi słucha moich rozkazów, tym większe szanse, że przegram, a jeśli ja przegram, przegniją wszyscy. Gdybym mógł zmusić wszystkich, by słuchali moich rozkazów, zrobiłbym to. — Zdecydowanie jeszcze zbyt wielu nie słuchało jego rozkazów albo wypełniało je na swój własny sposób. Dlaczego, na Światłość, Min się teraz nad nim lituje?

Cadsuane pokiwała głową.

— Tak też myślałam — mruknęła, na poły do swych własnych myśli. A cóż to z kolei miało znaczyć?

Kamień miał wszelkie atrybuty prawdziwego pałacu, począwszy od jedwabnych gobelinów i zdobnych chodników pochodzących z Tarabon, Altary i samej Łzy po złote stojaki lamp z odbłaśnikami. Kufry pod kamiennymi ścianami mogły zawierać utensylia potrzebne służbie do sprzątnia, niemniej zrobiono je z egzotycznego drewna częstokroć bogato rzeźbionego, zawsze wyposażone były w złote okucia. We wnękach stały czary i dzbany z porcelany Ludu Morza, cienkie jak papier i warte wielokrotnie więcej, niż wynosiła ich waga w złocie, jak też masywne, wysadzone klejnotami statuetki: wysoka na stopę złota pantera z rubinowymi oczami próbowała przygnieść do ziemi srebrnego jelenia z pokrytym perełkami porożem; obok przeżył się jeszcze większy od niej złoty lew ze szmaragdowymi oczami i szponami z ognistych łez; wreszcie inne, z taką ekstrawagancją wysadzone klejnotami, że nie prześwitywał spod nich żaden metal. Służba w czarno-złotej liberii kłaniała się na widok Randa, gdy ten wędrował przez Kamień, a ci, którzy go rozpoznawali, pochylali się naprawdę głęboko. Kilka par oczu rozszerzyło się na widok Panien idących w ślad za nim, niej mniej zaskoczenie nigdy nie sprawiło, by ktoś zapomniał o koniecznych wyrazach szacunku.

Kamień miał wszelkie atrybuty prawdziwego pałacu, ale za równo jego wnętrze, jak i zewnątrz zaprojektowano z myślą o wojnie. Na każdym skrzyżowaniu korytarzy w suficie ziały otwory strzelnicze. Wysoko między gobelinami otwierały się szczeliny łucznicze, rozszerzające się tak, by polem ostrzału objąć obszar po obu stronach korytarza. W podobny sposób zabezpieczono wszystkie klatki schodowe, które w razie potrzeby mogła zasypać ulewa strzał z łuków i bełtów z kusz. Tylko raz napastnikom udało się wdrzeć do Kamienia, ale chodziło o, Aielów, którzy poza tym pokonali mury zbyt szybko, by obrońcy zdążyli wykorzystać większość instalacji obronnych; wszelki inny wróg, któremu przyszłoby walczyć we wnętrzach Kamienia, płaciłby straszną cenę krwi za każdy zdobyty korytarz. Choć obecnie Podróżowanie na zawsze odmieniło sztukę wojenną. Podróżowanie, Kwiecie Ognia i temu podobne. Cenę krwi wciąż przychodziło płacić, a kamienne ściany i wysokie wieże nie stanowiły już zapór przed atakiem. Przy Asha'manach Kamień stał się równie przestarzały, co miecze z brązu i kamienne topory — jedyna broń ludzi po Pęknięciu Świata. Najstarsza forteca ludzkości obecnie stała się zabytkiem.

Więź zobowiązań z Alanną wiodła go coraz wyżej, póki nie doszedł do wysokich, wypolerowanych drzwi ze złotymi klamkami w kształcie sylwetek panter. Była po drugiej stronie Światłości, ależ chciało mu się wymiotować. Wziął się w garść, otworzył jedno skrzydło drzwi i wszedł do środka, zostawiając Panny na straży pod drzwiami. Min i pozostałe poszły za nim.

Wnętrze pomieszczenia było niemal równie bogate jak wystrój jego apartamentów w Kamieniu: ściany obwieszane wielkimi jedwabnymi arrasami ze scenami myśliwskimi i bitewnymi, wielki wzorzysty taraboński dywan na posadzce, warty tyle złota, za ile przez rok mogłaby się wykarmić spora wioska, czarny marmurowy komin tak wysoki, że człowiek mógłby, nie schylając się, wejść

do środka, i tak szeroki, że pomieściłby obok siebie ośmiu. Każdy element masywnego umeblowania był zdobnie rzeźbiony, połączony, posrebrzany, wysadzany klejnotami, podobnie jak wysokie złote lampy stojące, w których odbłaśnikach migotało światło płomieni, zlewając się z poświatą słoneczną wpadającą przez oszklony sufit. Złoty niedźwiedź z rubinowymi oczami i srebrnymi szponami oraz zębami, na ponad krok wysoki, stał na połączonym postumencie pod jedną ścianą pomieszczenia, podczas gdy pod przeciwną identyczny postument gościł prawie równie wysokiego orła o oczach ze szmaragdów i ogonie z rubinów. I jak na Łzę były to dość skromne ozdoby.

Alanna siedziała w fotelu i wyglądała, jakby dopiero przed momentem weszła do środka, właśnie unosiła złoty puchar, dając znak jednej z dwu młodych służących w czerniach złotych, by nalała jej wina z wysokiego, złotego dzbana. W szarej sukni do jazdy konnej z zielonymi rozcięciami podkreślającymi szczupłą sylwetkę, Alanna wyglądała dziś tak pięknie, że na jej widok Lews Therin zaczął nucić pod nosem. Rand samomalże nie podrapał się po uchu i dopiero w ostatniej chwili opanował machinalny ruch dłoni, zniechęca niepewny czy gest był jego, czy szaleńca. Alanna uśmiechnęła się, ale był w tym uśmiechu mrok, a potem objęła spojrzeniem Min, Nynaeve, Alivię i Cadsuane, w więzi odbiła się podejrzliwość, nie wspominając już o gniewie i nadęsaniu. Dwa ostatnie uczucia nasiliły się, gdy zerknęła na Cadsuane. Ale radość też się w końcu pojawiła, zmieszana z całą resztą, kiedy jej spojrzenie spoczęło na Randzie. Oczywiście w głosie nie było po niej śladu.

— Cóż, któż mógł się ciebie spodziewać, mój Lordzie Smoku? — mruknęła z niejaką goryczą akcentując tytuł. Prawdziwa niespodzianka, zgodzisz się ze mną, mój lordzie Astorilu? — A więc mimo wszystko nikogo nie ostrzegła. Ciekawe.

— Nadzwyczaj miła niespodzianka — zgodził się starszy mężczyzna w kaftanie z paskowanymi czerwienią i błękitem rękawami, potem powstał, aby się uklonić, wygładzając równocześnie wystrzyżoną w szpic i namaszczone oliwą brodę. Twarz Wysokiego Lorda Astorila Damary była porożyta zmarszczkami, sięgające ramion rzednące włosy białe jak śnieg, ale trzymał się, prosto, a ciemne oczy patrzyły bystro. — Od jakiegoś czasu wyglądałem już tego dnia. — Skłonił się znowu, tym razem przed Cadsuane, a chwilę później przed Nynaeve. — Aes Sedai — powiedział. Nadzwyczajny wyraz szacunku jak na Łzę, gdzie przenoszenie Mocy, jeśli już nie sama obecność Aes Sedai zakazane były, zanim Rand zmienił prawo.

W komnacie byli jeszcze inni goście. Darlin Sisnera, Wysoki Lord i Zarządca Łzy w imieniu Smoka Odrodzonego, odziany w zielony jedwabny kaftan z rękawami w żółte pasy i wysadzone złotem buty, był o głowę niższy od Randa, włosy miał krótko przycięte, brodę wystrzyżoną w szpic; wydatny nos i błękitne oczy rzadko spotykało się w Łzie. Teraz przerwał rozmowę prowadzoną z Caraline Damodred przy kominku, a jego oczy się rozszerzyły. Na widok Randa cairhieniańska szlachcianka wzdrygnęła się, choć on spodziewał się tu ją spotkać. Mimo to w głowie już zaczął sobie przepowiadać litanie, której używał do wykuwania w ogniu swej duszy, i dopiero po chwili zmusił się, by przestać. Kobieta była niska, szczupła i blada, miała wielkie, ciemne oczy, czarne włosy spływające falami do pasa spinał cienki złoty łańcuszek, zwieńczony na czole małym rubinem; była jak dwie krople wody podobna do swej kuzynki Moiraine. Tylko ubrała się dziwnie — nosiła długi, błękitny kaftan, haftowany w złote spiralne wzory w miejscach, gdzie nie przecinały go poziome pasy w barwach czerwieni, zieleni i bieli, narzucony na obcisłe, zielone bryczesy, spod których wyzierały niebieskie buty na obcasach. Wychodziło na to, że moda mimo wszystko wędruje po świecie. Ukloniła się na kobiecą modłę, choć wyglądało to nieco dziwnie, zważywszy na strój. Lews Therin zanucił jeszcze głośniejsze, a Rand pożałował, że tamten nie ma twarzy, w którą mógłby go uderzyć. Moiraine była wspomnieniem, którym dręczył i utwardzał swą duszę, a nie inspiracją do

lubieżnego nucenia.

— Mój Lordzie Smoku — powiedział Darlin, kłaniając się sztywno. To nie był człowiek przyzwyczajony, by kłaniać się jako pierwszy. Cadsuane w ogóle się nie uklonił, tylko obrzucił ją ostrym spojrzeniem i odtąd całkowicie ignorował. W swoim czasie przetrzymywała jego i Caraline jako „gości” w Cairhien. Zapewne nigdy jej tego nie zapomni ani nie wybaczy. Na jego znak dwie służące szybko podeszły, by zaproponować wino. Jak można było oczekiwać, Cadsuane natychmiast została rozpoznana i obsłużona pierwsza. Zaskakujące było, że potem przyszła kolej Nynaeve. Smok Odrodzony to jedna rzecz, a kobieta nosząca pierścień z Wielkim Wężem to coś zupełnie innego, nawet w Łzie. Cadsuane odrzuciła czarny płaszcz i wycofała się pod ścianę. Dziwny to był widok: usuwająca się na bok Cadsuane. Ale stamtąd mogła obserwować wszystko naraz. Alivia zajęła miejsce przy drzwiach, bez wątplenia kierowały nią identyczne pobudki.

— Uczyniłeś mi wielki honor. Choć mogę jeszcze stracić głowę, jeśli twoje Aes Sedai nie będą dokonywać szybszych postępów niż dotąd.

— Nie dąsaj się, Darlin — mruknęła Caraline, a w jej gardłowym głosie brzmiało rozbawienie. — Mężczyźni się dąsają, nieprawdaż, Min? — Z jakiegoś powodu Min wybuchnęła śmiechem.

— Co wy tu robicie? — Rand zwrócił się z tym pytaniem do dwojga, których obecność naprawdę go zaskoczyła. Wziął puchar od jednej ze służących, podczas gdy druga wahała się między Min i Alivią. Min wygrała, być może, dlatego, że Alivia miała na sobie prostą, niebieską sukienkę. Sącząc wino, Min podeszła, do Caraline. Przegnany jednym spojrzeniem Cairhienianki, Darlin odszedł, uśmiechając się. Potem dwie kobiety nachyliły głowy ku sobie i zaczęły szeptać. Wypełniony Mocą, Rand podchwytywał pojedyncze słowa. Swoje imię, Darlina.

Weiramona Saniago, również Wysokiego Lorda Łzy nie sposób było nazwać niskim, trzymał się prosto jak miecz, niemniej z jakiegoś powodu przywodził na myśl skojarzenie z puszącym się kogutem. Przyprószona siwizną broda, wystrzyżona w szpic i natarta oliwą, praktycznie rzecz biorąc aż się trzęsła z dumy.

— Chwała Panu Poranka — powiedział, kłaniając się. Albo raczej zaintonował. Weiramonowi świetnie wychodziły deklamacje i intonowanie. — Dlaczego tu jestem, mój panie? — Pytanie najwyraźniej zbiło go z tropu. — Cóż, kiedy usłyszałem, że Darlin jest oblegany w Kamieniu, jakie miałem inne wyjście, niż przyjść mu z pomocą? Żeby szczała ma dusza próbowałem nawet namówić innych, by mi towarzyszyli. Razem szybko skończylibyśmy z Estandą i jej zgrają, przysięgam! — Zacisnął pięść, demonstrując, jak zmiażdżyłby buntowników. — Ale tylko Anaiyella miała dość odwagi. Cairhienianie są wszyscy zajęczego serca!

Caraline przerwała na moment pogawędkę z Min i obrzuciła go spojrzeniem, od którego z pewnością poczułby się jak przeszyty sztyletem, gdyby tylko je zauważył. Astoril zacisnął wargi i wbił wzrok we wnętrze swego pucharu z winem.

Wysoka Lady Anaiyella Narencelona też nosiła buty na wysokich obcasach i kaftan do bryczesów, choć uzupełniony kryzą z koronki i naszywany perłami. Na ciemne włosy nałożyła obcisły czepek z pereł. Była kobietą szczupłą i śliczną. Randa przywitała skwapliwym ukłonem, podczas którego udało jej się wywołać na nim takie wrażenie, jakby go chciała pocałować w rękę. Raczej nie sposób było jej określić mianem odważnej z drugiej strony słowo „nerwowa”...

— Mój Lordzie Smoku — zagruchała. — Żałuję, że nie możemy donieść o bezwarunkowym zwycięstwie, ale mój Mistrz Koni zginął w walkach z Seanchanami, a ty większość moich zbrojnych zostawiłeś w Illian. Mimo to udało nam się przeprowadzić udaną ofensywę w twoim imieniu.

— Zwycięstwo? Ofensywa? — Alanna popatrzyła ponurym wzrokiem na Weiramona i Anaiyellę, dopiero potem odwróciła się, by stanąć twarzą w twarz z Randem. — Jednym statkiem wylądowali

w dokach Kamienia, ale większość zbrojnych i najemników zwerbowanych w Cairhien wysadzili na brzeg w górze rzeki. Z rozkazami wkroczenia do miasta i zaatakowania buntowników. — Ostatnie słowa podkreśliła nieartykułowanym odgłosem znamionującym odrazę. — Jedyńm skutkiem było wielu poległych i cofnięcie naszych negocjacji z buntownikami do punktu wyjścia. — Głupawy, pełen rozradowania uśmiech zniknął z twarzy Anaiyelli, wyglądała teraz, jakby ją mdliło.

— Mój plan przewidywał równoczesną wycieczkę z Kamienia i zaatakowanie ich z dwóch stron — protestował Weiramon. — Darlin odmówił. Odmówił!

Darlin już się nie uśmiechał. Stał w rozkroku, wyglądając na kogoś, kto zdecydowanie wolałby mieć w ręku miecz zamiast pucharu.

— Powtarzałem ci, Weiramon. Nawet gdybym całkowicie ogołocił Kamień z Obrońców, wciąż mielibyśmy przeciwko sobie przewagę liczebną. W stosunku niemożliwym do przyjęcia. Tamci wynajęli wszystkich najemników od Erinin aż do Zatoki Remara.

Rand usiadł w fotelu, przerzucił ramię przez oparcie. Masywne poręcze nie miały podparcia z przodu, więc i miecz nie sprawiał kłopotów. Caraline i Min najwyraźniej przeszły do dyskusji o modzie. A przynajmniej można było tak wnosić, widząc, jak muskają palcami swoje kaftany, poza tym słyszała słowa w rodzaju „stebnowanie” i „krój skośny”, cokolwiek znaczyły. Alanna patrzyła to na niego, to na Min, a w więzi czuł niedowierzanie walczące o lepsze z podejrzliwością.

— Zostawiłem was dwoje w Cairhien, ponieważ chciałem abyście byli w Cairhien — powiedział. Nie ufał żadnemu z nich, ale w Cairhien nie mogli wyrządzić wielkich szkód, ponieważ byli tam cudzoziemcami pozbawionymi władzy. Karmiony mdłościami gniew odbił się wyraźnie w jego głosie. — Proponuję, abyście najszybciej jak to tylko możliwe zaczęli przygotowywać plany podróży powrotnej. Najszybciej jak to tylko możliwe.

Grymas Anaiyelli nabrał jeszcze bardziej mdlącego wyrazu skuliła się lekko.

Weiramon był wykonany z twardszej gliny.

— Mój Lordzie Smoku, służę ci tam, gdzie rozkażesz, ale najlepiej mogę ci służyć na mej rodzinnej ziemi. Znam tych buntowników, wiem, w czym można im zaufać, a w czym..

— Najszybciej jak to tylko możliwe! — warknął Rand, uderzając pięścią w poręcz fotela tak mocno, że drewno głośno zatrzeszczało.

— Raz — powiedziała Cadsuane, całkiem wyraźnie i całkowicie niezrozumiale.

— Zdecydowanie sugeruję, abyś postąpił tak, jak on każe, lordzie Weiramonie. — Nynaeve popatrzyła na Weiramona spojrzeniem bez wyrazu i upiła łyk wina z pucharu. — Ostatnimi czasy miewa napady gniewu, gorsze niż kiedykolwiek wcześniej, a ty nie chciałbyś, żeby ten gniew skierował się przeciwko tobie.

Cadsuane ciężko westchnęła.

— Nie wtrącaj się, dziewczyno — powiedziała ostro. Nynaeve spojrzała na nią wściekłym wzrokiem, otworzyła usta, a polem skrzywiła się i zamknęła je znowu. Ścisnąwszy warkocz, przeszła na drugą stronę pomieszczenia, żeby porozmawiać z Min i Caraline. Szła majestatycznie, ostatnimi czasy coraz lepiej jej to wychodziło.

Weiramon wpatrywał się przez chwilę w Cadsuane, odchyliwszy głowę do tyłu tak, żeby móc sprawiać wrażenie, iż patrzy na nią z góry.

— Jak rozkaże Smok Odrodzony — powiedział na koniec — tak też uczyni Weiramon Saniago. Mój statek jutro będzie gotów do żeglugi, ślubuję. Czy to wystarczy?

Rand krótko skinął głową. Będzie musiało wystarczyć. Nie miał zamiaru marnować cennego czasu na tworzenie bramy, którą miałby odesłać tych dwojga głupców do miejsca, gdzie powinni przebywać.

— W mieście panuje głód — powiedział, mierząc wzrokiem złotego niedźwiedzia. Przez ile dni taka ilość złota zdolna byłaby wykarmić Łzę? Na myśl o jedzeniu ścisnęło go w żołądku. I choć nie było to pytanie, odpowiedzi doczekał się prawie natychmiast, tyle że z nieoczekiwanej strony.

— Darlin kazał zagnać do miasta bydło i owce — oznajmiła Caraline raczej dość zapalczywym głosem. Teraz na Randa przyszła kolej, by stał się celem spojrzeń ostrych jak sztylety. — Obecnie... — Głos jej zadrżał, ale w oczach wciąż płonął żar. — Obecnie mięso nie nadaje się do spożycia dwa dni po uboju, a więc zdecydował się na przyprowadzenie żywego inwentarza i wozów z ziarnem. Estanda i jej ludzie wzięli wszystko dla siebie.

Darlin uśmiechnął się do niej z wdzięcznością, jednak w jego głosie brzmiały przeprasające tony.

— Próbowałem to robić trzykrotnie, ale wychodzi na to, że Estanda jest chciwa. W końcu doszedłem do wniosku, że nie ma sensu zaopatrywanie moich wrogów. Twoich wrogów.

Rand pokiwał głową. Przynajmniej Darlin nie zamykał oczu na sytuację w mieście.

— Jest takich dwóch chłopców, którzy mieszkają poza murami miasta. Doni i Com. Znam tylko ich imiona. Wiek mniej więcej dziesięć lat. Kiedy buntownicy zostaną przywołani do porządku i będziesz mógł opuścić Kamień, dobrze by było, gdybyś znalazł ich i otoczył opieką.

W gardle Min zrodził się jęk, a poprzez więź napłynął smutek tak czarny, że niemal zdławił towarzyszące mu uczucie! miłości. Więc tak. Musiała widzieć śmierć. Ale myliła się w przypadku Moiraine. Może tę wizję *ta'veren* również jest w stanie odmienić.

„Nie” _ warknął Lews Therin. „Nie wolno zmieniać jej wizji. Musimy umrzeć”. Rand zignorował jego słowa.

Darlina prośba wyraźnie zaskoczyła, ale zgodził się — czy miał inne wyjście w obliczu Smoka Odrodzonego?

Rand chciał już wspomnieć o zasadniczym celu swej wizyty, kiedy do komnaty weszła Bera Harkin, kolejna Aes Sedai z wysłanych do Łzy w celu układania się z buntownikami; oglądała się za siebie, jakby Panny czyniły jej jakieś wstręty przy wejściu. Mogło tak być. W oczach Aielów zaprzysięgła Smokowi Odrodzonemu Aes Sedai były tylko uczennicami Mądrych, a Panny korzystały z każdej okazji, by przypomnieć uczennicom, że nie są jeszcze Mądrymi. Bera była przysadziłą kobietą, z krótko przystryżonymi, brązowymi włosami okalającymi kwadratową twarz. Gdyby nie liczyć zielonych jedwabi i pozbawionego śladów upływu czasu oblicza Aes Sedai, wyglądałaby na chłopkę. Chłopkę, która silną ręką rządzi swoją chałupą i farmą i która potrafiłaby powiedzieć królowi, żeby nie wnosił błota do jej kuchni. Mimo wszystko była Zieloną Ajah wraz z całą dumą i drażliwością Zielonych. Na Alivię spojrzała spod zmarszczonych brwi, zdradzając pełną niechęć Aes Sedai wobec dzikusów i dopiero na widok Randa przybrała maskę opanowania.

— Cóż, nie mogę powiedzieć, że mając na względzie, co zdarzyło się rankiem, czuję zaskoczenie na twój widok — oznajmiła. Rozpięła prostą srebrną broszę przy płaszczu, schowała ją do sakwy przy pasku, a płaszcz przewiesiła przez ramię. — Choć może w istocie chodziło o wieści, że tamci są nie dalej niż o dzień drogi na zachód od Erinin.

— Tamci? — zapytał cicho Rand. Ale w jego słowach pobrzmiwała stal.

Bera jakoś się nie przejęła. Niewzruszenie wygładzała fałdy pluszcza.

— Tamci Wysocy Lordowie i Lady, oczywiście. Sunamon, Tolmeran, oni wszyscy. Najwyraźniej co sił w nogach wierzchowców pędzą ku Łzie.

Rand poderwał się tak gwałtownie, że zahaczył pochwą miecza o poręcz fotela. Ale zahaczył tylko na moment, ponieważ połączane drewno, nadwątlone jego poprzednim ciosem, pękło z głośnym trzaskiem, a poręcz spadła na dywan. Nawet na nią nie spojrzał. Głupcy! Seanchanie stoją na granicy Altary, a oni wracają do Łzy?

— Czy wszyscy już zapomnieli, co znaczy słuchać rozkazów? — zagrzemiał. — Chcę, żeby natychmiast wysłano do nich gońców! Mają wracać do Illian jeszcze szybciej albo posypią się głowy!

— Dwa — powiedziała Cadsuane. Co ona, na Światłość, liczyła? — Drobną radą, chłopcze. Zapytaj ją, co się stało dzisiejszego ranka. Podejrzewam dobre wieści.

Bera drgnęła, zdając sobie sprawę z obecności Cadsuane. Zerknęła na nią z ukosa, ostrożnie, zamarty dłonie wygładzające płaszcz.

— Doszliśmy do porozumienia — powiedziała, jakby odpowiadając na pytanie. — Teodosian i Simaan wahali się jak zazwyczaj, ale Hearne był równie nieustępliwy jak Estanda. — Pokręciła głową. — Myślę, że Teodosian i Simaan zdecydowałiby się wcześniej, tylko że jacyś ludzie z obcym akcentem obiecywali im złoto i zbrojnych.

— Seanchanie — skostatowała Nynaeve. Alivia otworzyła usta, po chwili zamknęła je, nic nie powiedziawszy.

— Może i tak — zgodziła się Bera. — Unikali nas i patrzyli, jakbyśmy były wściekłymi sukami, gotowymi ugryźć w każdej chwili. To zgadzałoby się z tym, co słyszałam o Seanchanach. Tak czy siak, po godzinie rozmów Estanda zaczęła pytać, czy Lord Smok przywróci jej tytuły i prawa do ziemi, a po chwili inni zgodzili się z nią. Kształt porozumienia jest następujący — Darlin zatrzymuje tytuł Zarządcy Łzy z ramienia Smoka Odrodzonego, uznane zostają wszystkie twoje prawa, — w ramach reparacji za wzniecenie rebelii zobowiązują się przez rok zaopatrywać miasto w żywność. Ty ze swej strony musisz zapewnić im pełną restytucję, Darlin zostanie królem Łzy, a oni uznają jego suzerenat. Merana i Rafela właśnie przygotowują dokumenty do podpisania i opieczętowania.

— Królem? — z niedowierzaniem zapytał Darlin. Caraline podeszła, by wziąć go pod ramię.

— Restytucja? — warknął Rand, odrzucając puchar i zalewając wszystko wokół winem. W więzi z Min poczuł ostrzeżenie, ale był zbyt wściekły, by się tym przejmować. Mdłości skręcające mu wnętrzności wykoślawiły również jego gniew. — Krew i krwawe popioły! Odebrałem im i tytuły, i majątki za to, że się przeciwko mnie zbuntowali. Mogą pozostać pospolitymi ludźmi i mnie przysiąc wierność!

— Trzy — powiedziała Cadsuane, Rand poczuł gęsią skórkę, a chwilę później coś smagnęło go po pośladkach niczym rozpedzona różga. Usta Bery otworzyły się ze zdziwienia, płaszcz zsunął się na posadzkę. Nynaeve roześmiała się w głos. Szybko się pohamowała, ale wcześniej naprawdę się roześmiała!

— Nie zmuszaj mnie, żebym ci przypominała o dobrych manierach, chłopcze — podjęła Cadsuane. — Alanna poinformowała mnie o warunkach, na jakie gotów byłeś się zgodzić... Darlin jako Zarządca, nienaruszalność twoich praw, reszta sprawą otwartą... i wychodzi na to, że zostały spełnione. Oczywiście, możesz sobie zrobić, co zechcesz, ale wysłuchaj jeszcze jednej drobnej rady. Kiedy ktoś akceptuje podane przez ciebie warunki, trzymaj się tego.

„W przeciwnym razie nikt ci nie zaufa” — powiedział Lews Therin całkiem przytomnym głosem. Na moment.

Rand ze złością spojrział na Cadsuane i zacisnął pięści, gotów prawie spleść coś, co spali ją na miejscu. Pośladki bolały go, a w siodle będą dokuczały jeszcze bardziej. Urażone miejsce pulsowało, wraz z nim dygotał gniew. Cadsuane spokojnie wpatrywała się w niego znad pucharu z winem. Czy w jej wzroku dostrzegł iskierkę wyzwania, próbę sprowokowania go, by przeniósł? Ta kobieta każdą chwilę w jego obecności wykorzystywała, żeby go prowokować! Kłopot w tym, że rada była słuszna. Faktycznie zaproponował Alannie te warunki. Oczekiwał, że będą ostrzej negocjować, że zdobędą więcej, a dostał tyle, o ile na początku poprosił. Więcej. Nie pomyślał o

reparacjach.

— Wychodzi na to, że los ci sprzyja, królu Darlinie — powiedział. Jedna ze służących ukloniła się i podała Randowi drugi puchar z winem. Jej oblicze było maską opanowania, jak u Aes Sedai. Można by dojść do wniosku, że kłótnie mężczyzn siostrami są na porządku dziennym.

— Chwała królowi Darlinowi — zaintonował Weiramon, ale takim tonem, jakby go coś dusiło, chwilę później zawtórowała mu Anaiyella, jednak bez tchu, jakby właśnie przebiegła milę. Ongiś wyobrażała sobie koronę Łzy na własnej głowie.

— Ale dlaczego chcą mnie na swego króla? — zapytał Darlin, przeczesując dłonią włosy. — Czy kogokolwiek innego? W Kamieniu nie zasiadają królowie od czasu, gdy umarł Moreina, tysiąc lat temu. A może ty tego chciałaś, Bera Sedai?

Bera podniosła płaszcz z posadzki, wyprostowała się i zaczęła go otrzeptywać.

— Takie było ich... „żądanie” to za mocne słowo... ich sugestia. Każde z nich rzuciłoby się na najmniejszą możliwość zdobycia korony, szczególnie Estanda.

Anaiyella zakrztusiła się.

— Ale oczywiście wiedzą że nie mają żadnych szans. Niemniej ten pomysł pozwala im uklęknąć przed tobą, a nie przed Smokiem Odrodzonym, co jest nieco łatwiejsze do przełknięcia.

— A gdy zostaniesz koronowany — wtrąciła Caraline przyczyni się to do umniejszenia wagi tytułu Zarządcy Łzy w imieniu Smoka Odrodzonego. — Zaśmiała się gardłowo — Mogą nawet dorzucić jeszcze kilka chwalebnie brzmiących tytułów, aby ten jeden zupełnie się wśród nich zapodział.

Bera zacisnęła wargi, jakby tamta właśnie z ust jej wyjęła ostatnie słowa.

— A ty gotowa byłabyś poślubić króla, Caraline? — zapytał Darlin. — Przyjmę koronę, jeśli się zgodzisz oddać mi rękę. Choć koronę najpierw trzeba będzie zrobić.

Min odkaszlnęła.

— Jeżeli chcesz, powiem ci, jak powinna wyglądać.

Caraline zaśmiała się znowu i puściła ramię Darlina, odsuwając się nieco.

— Zanim się zdecyduję, najpierw chcę cię zobaczyć w koronie. Każ wykonać koronę wedle projektu Min, a jeżeli będziesz w niej dobrze wyglądał... — Uśmiechnęła się. — Wówczas może odpowiem twierdząco,

— Życzę wam dwojgu wszystkiego najlepszego — sucho rzekł Rand. — Czekają nas wszak sprawy znacznie bardziej niecierpiące zwłoki.

Min rzuciła mu ostre spojrzenie, przez więź przesączyła się dezaprobata. Nawet Nynaeve spojrzała na niego złym okiem. O co im chodzi?

— Przyjmiesz koronę, Darlin, a gdy tylko podpisane zostaną dokumenty porozumienia, chcę, żebyś arestował tych Seanchan, a potem zgromadził w Łzie wszystkich mężczyzn potrafiących odróżnić jeden koniec miecza czy halabardy od drugiego. Przyślę ci Asha'mana, który zabierze cię do Arad Doman.

— I mnie też, mój Lordzie Smoku? — skwapliwie dopraszał się Weiramon. Prawie drżał z niecierpliwości i choć stał nieruchomo, wyglądał, jakby drobił nogami w miejscu. — Jeżeli szykuje się walka, posłużę ci lepiej w boju, niż tracąc czas w Cairhien.

Rand przyjrzał się mu. I Anaiyelli. Weiramon był nieporadnym idiotą poza tym nie ufał żadnemu z tej dwójki, ale nie potrafił sobie wyobrazić, jakie szkody mogliby spowodować wraz z co najwyżej garstką stronników.

— Dobrze. Wy dwoje możecie towarzyszyć Wysokiemu Lordowi... to jest królowi Darlinowi.

Anaiyella z wysiłkiem przełknęła ślinę, jakby akurat teraz doszła do wniosku, że raczej woli Cairhien.

— Ale jakie zadania mam wykonać w Arad Doman? — chciał wiedzieć Darlin. — Z tego, co słyszałem, a nie jest tego wiele, ten kraj to kompletny dom wariatów.

Lews Therin zaniósł się dzikim śmiechem w głowie Randa.

— Tarmon Gai'don nadciąga — powiedział Rand. Niech światłość sprawi, by nie nadciągnął za szybko. — Udajesz się do Arad Doman, by tam przygotować się na Tarmon Gai'don.

ROZDZIAŁ 5

AŻ KOTWICA ZAPŁACZE

Choć na długich niebieskich falach strasznie rzucało Harine din Togara siedziała sztywno wyprostowana obok swej siostry, tuż przed ludźmi trzymającymi nad nimi parasole i sternikiem przy długim rumplu. Z pozoru całkowitą uwagę Shalon pochłaniała dwunastka mężczyzn i kobiet, trudząca się przy wiosłach. A może po prostu pogrzyżyła się głęboko w myślach Ostatnimi czasy było, o czym myśleć — jak choćby to spotkanie, na które Harine została wezwana, — ale ona sama jakoś nie potrafiła się skupić. Ani uspokoić. Od momentu, gdy przybyła do Illian, przed każdym spotkaniem Dwunastu Pierwszych Atha'an Miere poświęcała mnóstwo czasu, aby się uspokoić. Kiedy dotarła do Łzy i przekonała się, że Błękitna Mewa Zaidy wciąż kotwiczy w zatoce, pewna była, że kobieta wciąż pozostaje w Caemlyn, ewentualnie płynie daleko z tyłu. Co okazało się bolesną pomyłką. Choć po prawdzie niewiele by zmieniło, gdyby miała Zaidę w odległości paru tygodni za plecami. Przynajmniej niczego by to nie zmieniło w sytuacji samej Harine. Nie. Lepiej nie myśleć o Zaidzie.

Tarcza słońca wsiała o dłoń tylko ponad wschodnim horyzontem, a kilka statków przykutych do brzegu zmierzało ku długiemu falochronowi, strzegącemu zatoki illiańskiej. Jeden miał trzy maszty i coś na kształt wysokiego ożaglowania, przy czym wszystkie główne żagle były w typie ożaglowania rejowego, sam statek jednak przysadzisty i kiepsko sterowny, więc kołysał się na niskiej fali w fontannach piany, zamiast ją równo przecinać. Poza nim większość była niewielka i nisko ożaglowana. Niektóre wyglądały nawet na szybkie, ale przykute do brzegu rzadko oddalały się od lądu poza zasięg wzroku i zazwyczaj ze strachu przed mieliznami kotwiczyły na noc, więc ich szybkość niewiele im dawała. Ekspresowe cargo szybko trafiało na okręty Atha'an Miere. Oczywiście po specjalnych cenach. Choć zazwyczaj stanowiło zresztą tylko część przewożonego przez nie ładunku; raz, przez wzgląd na cenę, dwa, dlatego że w istocie niewiele rzeczy domagało się ekspresowego transportu. Poza tym, choć opłata czarterowa gwarantowała przyzwoity zysk, to kiedy Mistrz Cargo handlował w imieniu statku, wszelkie zyski szły do załogi i klanu.

Jak okiem sięgnąć na zachód i wschód, wzdłuż linii brzegowej stały na kotwiczowisku okręty Atha'an Miere: rakery, ślizgi, szybowce, dartery, otaczały je łodzie wiosłowe pełne przelewających się przez burty towarów, niczym w trakcie pijackich świąt nabrzeżnych. Przyływały tu z miasta i proponowały na sprzedaż wszystko, począwszy od suszonych owoców do ćwiartowanych tusz wołowych i baranich, od gwoździ i innych towarów żelaznych po miecze i sztylety, od kiczowatych illiańskich błyskotek, które mogły wpaść w oko chłopcu pokładowemu, po złoto i klejnoty. Choć złoto było zazwyczaj cienką folią, która ścierała się po kilku miesiącach, ukazując pod spodem mosiądz, a klejnoty okazywały się kolorowymi szkiełkami. Łodzie dostarczały też szczury, nawet jeśli nimi nie handlowano. Okręty stały na kotwiczowisku od tak dawna, że szczury stały się prawdziwą plagą. Gryzonie i szybko psująca się żywność sprawiały, że dla handlarzy zawsze istniał rynek.

Łodzie wiosłowe otaczały również masywne, pochodzące, z seanchańskich stoczni okręty, których użyto podczas Ucieczki; były ich tu niezliczone dziesiątki. Ucieczką, z dużej litery, nazywano obecnie wielki odwrót z Ebou Dar. Wystarczyło powiedzieć „Ucieczka” i nikt nie pytał, o jaką ucieczkę chodzi. Okręty były wielkie, o pełnych dziobach, co najmniej dwukrotnie szersze od rakerów, ale osobiście ożaglowane, z dziwnymi uźebrowanymi żaglami, zbyt sztywnymi, aby je porządnie postawić. Mężczyźni i kobiety roili się na masztach i rejach, przerabiając ożaglowanie na bardziej użyteczne. Wszyscy jak ognia unikali tej pracy, ale stoczniom wiele lat zabierze uzupełnienie okrętów straconych pod Ebou Dar. Poza tym koszty! Nawet, jeżeli statki te były nazbyt brzuchate, to i tak pływać będą jeszcze przez wiele lat. Nawet straciwszy całe złoto na rzecz Seanchan w Ebou Dar, żadna Mistrzynie Żagli nie pograżałaby się dobrowolnie w długach, biorąc pożyczki ze szkatuł klanów, jeśli potrafiła znaleźć inne wyjście z sytuacji. Oczywiście dla tych, które ani nie miały własnych okrętów, ani nie zdobyły żadnego z seanchańskich, alternatywy nie było.

Dwunastowiosłowa łódź Harine minęła masywną ścianę falochronu, pokrytą ciemnym szlamem i porośniętą długimi, włochatymi wodorostami, których jakoś nie potrafiły oderwać od szarego kamienia bijące weń grzywacze, i wpłynęła na rozległą szarozieloną zatokę illiańską otoczoną od strony lądu rozległymi bagnami; bagienna roślinność miejscami zmieniała ubarwienie z zimowych brązów na zieleń, brodziły wśród niej długonogie ptaki. Lekka bryza niosła nad łodzią pasma mgły, które muskały wilgocią włosy Harine, by podryfować dalej ponad zatokę. Wzdłuż granic bagna małe rybackie łodzie stawiały sieci, kłębiły się nad nimi liczne gatunki mew i rybołówek, kradnąc, co im wpadło w dzioby. Miasto nie interesowało Harine wcale, no, może poza obszarem długich, kamiennych doków z okrętami handlowymi, ale zatoka... Rozległa, prawie kolista wodna przestrzeń stanowiła największe kotwiczowisko w znanym świecie, tętniące od ruchu morskiego i rzeczno, pełne statków czekających na miejsce przy nabrzeżu. Zatoka w dosłownym sensie tego słowa pełna była setek łodzi wszelkich typów i rozmiarów, choć nie wszystkie przykuto do brzegu, dostrzec można było też rakery — te smukłe trzymasztowce, które potrafiły iść w zawody z morświnami — oraz trzy niezgrabne seanchańskie potwory. Były łodzie Mistrzyń Fal i Mistrzyń Żagli, wchodzących w skład Dwunastu Pierwszych każdego klanu, a przynajmniej te, które zmieściły się w zatoce, póki w niej jeszcze było miejsce. Nawet kotwiczowisko illiańskie miało swoje ograniczenia, a członkowie Rady Dziewięciu, nie wspominając już o Zarządcy Illian w imieniu Smoka Odrodzonego, zaczęliby robić kłopoty, gdyby Atha'an Miere stali się przyczyną przeszkód w handlu.

Znienacka z północy nadleciał silny, lodowaty wiatr. Nie, nie nadleciał, pojawił się znienacka, jakby już od dawna wiał Z całą siłą wzniesając na zatoce skłębioną pianę, niosąc ze sobą woń sosny i czegoś... ziemistego. Harine niewiele wiedziała o drzewach, ale знаła wszystkie gatunki drewna, z którego budowano okręty. Nie podejrzewała wszak, by w pobliżu Illian rosły jakieś sosnowe lasy.

Potem dostrzegła granicę mgły. Choć statki chybotwały się i kołysały pod wiejącym na południe wiatrem, mgła wciąż niewzruszenie powoli dryfowała na północ. Nagle pełna godności i opanowania postawa zaczęła wymagać wysiłku. Wilgoć na włosach zdała się czymś nieczystym. Sądziła, że po Shadar Logoth nic już nią nie wstrząśnie, ale ostatnimi czasy widywała zbyt wiele... dziwactw... dziwactw, z których należało wnosić, że ze światem nie wszystko jest w porządku.

Równie nagle, jak się pojawił, wiatr ucichł. Podniosły się szmery, w równy rytm wiosł wkradły zakłócenia, a lewoburtowe wiosło numer cztery uderzyło w dryf, obryzgując wnętrze łodzi fontanną wody. Załoga wiedziała, że wiatr nie zachowuje się w ten sposób.

— Trzymać kurs — zdecydowanie powiedziała Harine. — Tak trzymać!

— Przywrócić rytm, wy przykuci do brzegu łachmaniarze — rozdarła się na dziobie jej oficer pokładowa. Jadein była chuda i pomarszczona jak skóra i miała chyba również skórzane płuca. — Mam wam podawać tempo? — W obliczu podwójnej twarzy kilka twarzy skurczyło się w gniewie, parę spłonilo od upokorzenia, ale wiosła znowu zaczęły pracować równo.

Teraz Shalon również przyglądała się mgłę. Wypytywanie jej, co zobaczyła, do jakich doszła wniosków, będzie musiało poczekać. Harine wolałaby, aby nikt z jej załogi nie usłyszał odpowiedzi. Widzieli dość, by już się bać.

Sternik zawrócił dwunastkę ku jednemu z krępych seanchańskich okrętów, od którego zazwyczaj odganiano każdą łódź wiosłową, zanim handlarz był w stanie zamienić z załogą bodaj dwa słowa. Okręt był jednym z większych, na wysokim kasztelu rufowym mieściły się trzy rzędy okien. Trzy! Poza tym miał parę autentycznych balkonów na rufie! Nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co fala z rufy gnana przez cemaros lub jeden z tych soheen Oceanu Aryth może wyrządzić takiej konstrukcji. Pozostałe dwunastki i kilka ósemek czekały, aby przybić do burty, ustawione w porządku zgodnym z hierarchią pasażerów.

Siedząca na dziobie Jadein wstała i zwołała:

— Shodein! — Jej głos poniósł się donośnie i zbliżająca się do okrętu dwunastka zawróciła. Pozostałe łodzie cierpliwie oczekiwały swojej kolejki.

Harine nie wstała. Czekala, aż załoga pchnie wiosła wstecz, a potem wyciągnie z wody na burty. Dzięki temu dwunastka miękko podплыnęła dokładnie do miejsca, gdzie Jadein mogła schwycić zwisającą linę i przycumować maleńki stateczek obok wielkiego. Shalon westchnęła.

— Odwagi, sestro — poradziła jej, Harine. — Wyszliśmy cało z Shadar Logoth, choć na łaskę Światłości, do dziś nie jestem pewna, przed czym właściwie uszliśmy. — Roześmiała się w głos. — A co więcej, wyszliśmy cało z rąk Cadsuane Melaidhrin, a wątpię, by któraś z oczekujących nas była do tego zdolna.

Shalon uśmiechnęła się słabo, ale przynajmniej był to uśmiech.

Harine wdrapała się po drabince sznurowej z taką łatwością jakby miała dwadzieścia lat mniej, i na pokładzie została oświstana przez oficera pokładowego, przysadzistego człowieka ze świeżą blizną pod skórzaną opaską, zakrywającą miejsce, gdzie kiedyś było prawe oko. Wielu odniosło rany podczas Ucieczki. Wielu zginęło. Nawet pokład tego okrętu sprawiał dziwne wrażenie pod jej bosymi stopami, deski ułożono w osobliwy wzór. Burta natomiast była właściwie obsadzona załogą: dwunastu obnażonych do pasa mężczyzn po jej lewej stronie, dwanaście kobiet w barwnych lnianych bluzkach po prawej, wszyscy kłaniali się tak głęboko, że przy sztywnych karkach mogli patrzeć prosto w pokład. Zanim ruszyła naprzód, poczekała na Shalon i nosicieli ich parasoli. Stojące na końcu szeregu Mistrzynie Żagli i Poszukiwaczka Wiatrów skłoniły się również, choć nie tak nisko, równocześnie dotykając serca, ust i czoła. Obie miały na sobie sięgające talii białe stuły żałobne, nic więcej, podobnie jak u niej i Shalon po licznych naszyjnikach nie było śladu.

— Mój okręt wita cię, Mistrzynie Fal — powiedziała Mistrzynie Żagli, wachając puzderko z pachnidłami. — I niech spoczywa na tobie łaska Światłości, póki nie opuścisz tego pokładu. Pozostałe oczekują cię w wielkiej kajucie.

— I na tobie niech spoczywa łaska Światłości — odrzekła Harine. Turane była odziana w błękitne, jedwabne spodnie oraz czerwoną, jedwabną bluzkę i tak mocno zbudowana, że jej Poszukiwaczka Wiatrów, Serile, wyglądała przy niej na szczupłą, nie zaś przeciętnej budowy, jak było w rzeczywistości; poza tym miała świdrujące spojrzenie i kwaśno skrzywione usta, w czym wszakże nie należało się doszukiwać braku gościnności. Aż tak bezczelna Turane nie była. Po prostu wszystkich witała takim wzrokiem — jej okręt spoczywał na dnie zatoki w Ebou Dar, a tutejsza zatoka wydawała się śmierdząca po żegludze na czystym powietrzu otwartej soli.

Wielka kajuta zajmowała niemal całą długość wysokiego kasztelu rufowego, dwadzieścia dwie kobiety w jedwabiach nie mogły zająć jej całej, zwłaszcza, że nie było w niej żadnego umeblowania prócz trzynastu krzeseł i stołu pod ścianą grodzi, na którym stały napełnione winem dzbany o smukłych szyjkach i puchary z żółtej porcelany. Była ostatnią przybyłą z Dwunastu Pierwszych Atha'an Miere, a pozostałe na jej widok natychmiast zareagowały w sposób, który już wcześniej aż nadto dobrze potrafiła sobie wyobrazić. Lincora i Wallein demonstracyjnie odwróciły się plecami. Pызata Niolle spojrziała ponuro, a potem poszła napełnić swój puchar. Lacine, tak szczupła, że jej piersi wydawały się ogromne, pokręciła głową, jakby nie dowierzała temu, co ma przed oczyma, mianowicie obecności Harine. Pozostałe nie przerwały pogawędki, jakby ich dwóch wcale tu nie było. Wszystkie oczywiście nosiły żałobne stuły.

W końcu podeszła do niej Pelanna, długa, różowa blizna skroś prawego policzka kwadratowej twarzy nadawała jej groźny wygląd. Kręcące się i przylegające do głowy loki były właściwie zupełnie siwe, łańcuszek honorów na lewym policzku ciężki od złotych medalików, z których każdy przypominał kolejny triumf, a jeden stanowił pamiątkę po Ucieczce. Na kostkach i nadgarstkach wciąż znajdowały się ślady po seanchańskich okowach, choć obecnie skrywał je jedwab.

— Mam nadzieję, Harine, że z woli Światłości doszłaś już do siebie — powiedziała, przekrzywiając głowę i z udawanym współczuciem klaszcząc w pulchne, wytatuowane dłonie. — Wciąż obie macie kłopoty z siadaniem? Na wszelki wypadek położyłam poduszki na waszych krzesłach.

I zaniósła się grzmiącym śmiechem, równocześnie spoglądając na swoją Poszukiwaczkę. Ale Caire odpowiedziała spojrzeniem bez wyrazu, jakby wcześniej nie dosłyszała, i dopiero po chwili zaśmiała się słabo. Pelanna zmarszczyła czoło. Kiedy ona się śmiała, bez względu na powód, jej podwładni mieli również się śmiać. Jednak stateczna Poszukiwaczka Wiatrów miała swoje zmartwienia: córkę zagubioną wśród przykutych do brzegu, uprowadzoną przez Aes Sedai. Za co tamte będą musiały zapłacić. Nie trzeba było lubić Caire czy Pelanny, by wiedzieć, iż takich rzeczy nie puszcza się płazem.

Harine skwitowała je obie słabym uśmiechem, a potem przeszła obok Pelanny tak, blisko, że tamta musiała się cofnąć, chroniąc stopy, i poczuła satysfakcję na widok marsa na jej czole. „Córka piasków” — pomyślała kwaśno Harine.

Dopiero widok Mareil wywołał na jej obliczu szczery uśmiech. Wysoka, szczupła kobieta z długimi do ramion włosami, w których było tyle samo bieli, co czerni, była jej przyjaciółką od początku, gdy jako dziewczynki pokładowe służyły na starym rakerze pod żelazną ręką Mistrzynie Żagli, zgorzkniałej z braku perspektyw. Szczerze się ucieszyła, gdy dowiedziała się, że Mareil bez szwanku wydostała się z Ebou Dar. Ponownie zerknęła na Pelannę i Caire, tym razem spod ściągniętych brwi. Tebreille, Poszukiwaczka Wiatrów tamtej, poszła za jej przykładem, ale w

przeciwieństwie do im podobnych zrobiła to nie, dlatego, że Mareil domagała się ciągłego podlizywania. Tebreille i Caire były siostrami, lecz łączyła je właściwie tylko troska o Talaan, córkę Caire, we wszystkich innych sprawach za miedziaka jedna drugiej chętnie poderznęłaby gardło. Albo — jak należało się domyślać — jeszcze bardziej podobałoby się każdej, gdyby drugą zdegradowano do czyszczenia zęzy. Nie istniała nienawiść głębsza niż między rodzeństwem.

— Nie pozwól, by cię dziobały te błotne kaczki, Harine. — Mareil miała głos jak na kobietę niski, choć melodyjny. Podała Harine jeden z przyniesionych dwu pucharów. — Postąpiłaś w zgodzie ze swoim sumieniem, a jeśli Światłość raczy, wszystko dobrze się skończy.

Wbrew sobie Harine spojrzała na ucho osadzone w jednej belek nad głową. Mogłyby już je usunąć. Pewna była, że zostawiono je właśnie po to, by ją sprowokować. Ta dziwna młoda kobieta, Min, miała rację. Jej Targ dobity z Coramoorem uznany został za niekorzystny, zarzucono jej, że oddała zbyt wiele i zbyt mało dostała w zamian. W tej samej kabinie, na oczach reszty Dwunastu Pierwszych i nowej Mistrzyni Statków została rozebrana do naga i powieszona za nadgarstki na linie przechodzącej przez to ucho i przywiązanej do ucha pokładowego, a potem tak długo chłostana, aż wyła, ile sił w płucach, Siniaki i krwawe obrażenia już się zagoiły, ale wspomnienia dokuczały tym bardziej, im bardziej starała się je stłumić. Choć nie wyła przecież o zmiłowanie czy ulgę w cierpieniu. Gdyby tak było, nie miałyby wyjścia, jak ustąpić i zostać zwykłą Mistrzynią Żagli, a kto inny zostałby wybrany na Mistrzynię Fal klanu Shodein. Większość zgromadzonych w tej kajucie uważała, że i w następstwie tego rodzaju kary tak powinna ustąpić, być może nawet Mareil się do nich zaliczała. Ale otuchy dodawała jej druga część przepowiedni Min. Pewnego dnia zostanie Mistrzynią Statków. Prawo stanowiło, że Dwanaście Pierwszych Atha'an Miere może wybrać Mistrzynię Statków spośród wszystkich Mistrzyń Żagli, jednak tylko pięciokrotnie w ciągu ostatnich trzech tysięcy lat zdarzyło im się powołać którąś spoza własnego grona. Aes Sedai twierdziły, że przedziwne wizje Min zawsze się spełniają, niemniej nie zamierzała ryzykować.

— Wszystko się dobrze skończy, Mareil, jeśli taka będzie, wola Światłości — odrzekła. Ostatecznie. Trzeba było tylko zebrać się na odwagę i przetrwać to, co nastąpi wcześniej.

Jak zwykle przybycia Zaidy nie poprzedzały żadne szczególne ceremonie, po prostu weszła do kajuty, a za nią szły Shielyn, jej Poszukiwaczka Wiatru, wysoka szczupła, pełna rezerwy, Amylia, jasnowłosa Aes Sedai o bujnych kształtach, którą Zaida przywiozła z Caemlyn. Pozbawione śladów upływu czasu oblicze było jakby nieustannie zdziwione, świat wokół mierzyły szeroko otwarte, zaskakująco niebieskie oczy, ale z jakiegoś powodu pierś unosił przyspieszony oddech. Wszystkie się ukloniły, ale Zaida zignorowała wyrazy grzeczności. Miała na sobie zielone brokaty i białą stułę żałobną, głowę porastał; czepek siwych loków. Była niska, a mimo to wyglądała na wyższą od Shielyn. Kwestia prezencji, musiała przyznać Harine. Zaidzie jej nie brakowało, no i trzeba było jeszcze dodać zdolność chłodnej kalkulacji, której nie straciłaby, nawet gdyby złapana została przez cemaros na zawietrznej stronie brzegu. Nie tylko wróciła na statki z pierwszą Aes Sedai, której targ zezwalał na korzystanie z Czary Wiatrów, ale zdołała też wytargować eksterytorialną ziemię w Andorze rządzącą się prawami Atha'an Miere, (w której to kwestii na jaw wyszły niedoskonałości Targu Harine), a dodatkowo jeszcze zdobyła niespodziewaną zupełnie korzyść. To i wreszcie fakt, że przybyła bezpośrednio do Illian przez jedną z tych dziwnych bram, na dodatek splecioną przez własną Poszukiwaczkę Wiatrów, nie stanowiły wyłącznych powodów, dla których była teraz Mistrzynią Statków, choć z pewnością nie zaszkodziły jej sprawie.

Harine osobiście uważała to całe Podróżowanie za mocno przereklamowane. Shalon też już potrafiła stworzyć bramę. Co tego, skoro otworenie jej na pokładzie okrętu, nawet na spokojnej wodzie jak tutejsza, a już zwłaszcza na pokładzie obcego statku, w najlepszym razie było przedsięwzięciem

ryzykownym, żadna zaś nie potrafiła wykonać bramy dostatecznie dużej, by przepłynął przez nią okręt. Zdecydowanie przereklamowana umiejętność.

— Człowiek jeszcze nie przybył — oznajmiła Zaida, siadając na krześle plecami do wielkich okien rufowych i poprawiając długą, czerwoną szarfę z frędzlami, którą przewięzała się w pasie i zza której wystawała wysadzana szmaragdami rękojeść sztyletu. Była nadzwyczaj drobiazgową kobietą. Oczywiście porządek na pokładzie okrętu stanowił rzecz dla wszystkich naturalną, a schludność wchodziła w nawyk z konieczności, ona jednak była pedantyczna nawet jak na obowiązujące normy. Pozostałe krzesła, z których żadnego nie przymocowano na stałe do pokładu, stały w dwóch rzędach naprzeciw siebie. Mistrzynie Fal zaczęły zajmować miejsca, Poszukiwaczki Wiatrów stanęły za ich plecami.

— Wychodzi na to, że każe nam czekać. Amylia, zadbaj, by wszystkie puchary były napełnione. — Aha. Pewnie tamta znowu zrobiła coś złego.

Słyszając swe imię, Amylia podskoczyła, a potem zebrała brązowe spódnice nad kolanami i pobiegła do stołu, na którym znajdowały się dzbany z winem. Musiało być to coś nadzwyczaj niewłaściwego. Harine zastanawiała się, jak długo jeszcze Zaida będzie pozwalała jej nosić suknie zamiast spodni, które na pokładzie statku stanowiły odzienie znacznie praktyczniejsze. Z pewnością przeżyje niemały wstrząs, kiedy ład zniknie z oczu, a kobiety zdejmą bluzki. Amylia była z Brązowych Ajah i chciała badać życie Atha'an Miere, niemniej na badania nie miała szczególnie dużo czasu. Spoczywał na niej obowiązek nauczania Poszukiwaczek Wiatrów wszystkiego, co wiedziały Aes Sedai. Wciąż nie potrafiła przejść nad tym do porządku dziennego, ale w hierarchii Ludu Morza instruktorzy spośród przykutych do brzegu znajdowali się odrobinę tylko wyżej niż majtkowie — z początku wydawało jej się, że pozycją dorównuje pozycji Zaidy, o ile jej nie przewyższa! — dopiero cep bosmana, regularnie lądujący na jej pośladvach, powoli uczył ją, jak się rzeczy naprawdę mają. Amylia trzykrotnie już próbowała zdezerterować! Dziwne, ale nie miała pojęcia, jak się tworzy bramę i wiedzę tę skwapliwie przed nią ukrywano, poza tym powinna chyba zdawać sobie sprawę, że jest zbyt ściśle obserwowana, aby przekupić jakiegoś, illiańskiego handlarza z łodzi wiosłowej. Cóż, zapewne po raz czwarty nie spróbuje. Plotka głosiła, że powiedziano jej, iż kolejnym razem może się spodziewać publicznej chłosty, po której zostanie powieszona za kostki na rei. Z pewnością nie było kobiety gotowej ryzykować taką hańbą. Mistrzynie Żagli i Mistrzynie Fal bywały degradowane na dziewczynki pokładowe i — co więcej — chętnie się na to zgadzały, ponieważ dzięki temu mogły rozmyć swą niełaskę w masie mężczyzn oraz kobiet ciągnących liny i stawiających żagle.

Harine zdjęła poduszkę ze swojego krzesła i pogardliwie upuściła na pokład, a potem zajęła miejsce na końcu lewego rzędu, Shalon stanęła za jej plecami. Zajmowała w hierarchii przedostatnie miejsce, przed siedzącą naprzeciwko Mareil. Ale nie należało zapominać, że Zaida siedziałaby tylko jedno krzesło wyżej, gdyby nie zrobiła tego, za co dostała po grubym złotym kółku do każdego ucha i łączący je łańcuszek. Małżowiny pewnie jeszcze bolą ją od przekłuwania. Miła myśl.

— Skoro on każe nam czekać, być może my również powinniśmy zmusić go do czekania, gdy wreszcie przybędzie. — Harine w jednej dłoni trzymała nietknięty puchar z winem, drugą odprawiła zalęknioną Aes Sedai, która natychmiast podeszła do Mareil. Głupia kobieta. Czy nie wiedziała, że powinna najpierw obsłużyć Mistrzynie Statków, potem zaś Mistrzynie Fal, ale zgodnie ze starszeństwem?

Zaida bawiła się misternym puzderkiem zapachowym z metalowej plecionki, które zwisało z jej szyi na strasznie grubym złotym łańcuchu. Do tego nałożyła ciasny kołnierz z ciężkich złotych ogniw, prezent od Elayne z Andoru.

— Przybędzie od Coramoor — oznajmiła sucho Zaida - do którego miałaś się przyczepić jak

pąkla. — Mówiła zwyczajnym głosem, ale każde słowo cięło Harine jak nóż. — Ten człowiek jest moim najbliższym kontaktem z Coramoorem, wyjątkiem są sytuacje krytyczne, kiedy mogę się do niego zwrócić osobiście, a to dlatego, że zgodziłaś się, iż nie musi się ze mną spotykać częściej niż trzy razy w ciągu dwóch lat. Przez ciebie będę musiała znosić afronty ze strony tego człowieka, który może się okazać ohydny pijakiem, co drugie zdanie biegającym do relingu, by opróżnić żołądek. Ambasadorem, którego ja wyślę do Coramoora, będzie kobieta wiedząca, co to znaczy słuchać rozkazów.

Pelanna zachichotała i zadarła nos. Wydawało jej się, że wszystkie są takie jak ona.

Żeby dodać Harine otuchy, Shalon ścisnęła jej ramię, ale ta nie potrzebowała gestu wsparcia. Zostać przy Coramoorze? Nikomu, nawet Shalon nie potrafiła wyjaśnić okrutnych metod Cadsuane, którymi ta narzucała swą wolę, jak też całkowitego braku szacunku dla godności Harine. Nominalnie była ambasadorem Atha'an Miere, faktycznie musiała tańczyć, jak jej Aes Sedai zagrały. Łatwo przyznawała, nawet, jeśli tylko przed samą sobą, że prawie popłakała się z ulgi, gdy ta przekłeta kobieta pozwoliła jej wyjechać. Poza tym wizje dziewczyny zawsze się sprawdzały. Tak mówiły Aes Sedai, a one nie mogły kłamać. To jej wystarczy.

Turane wślizgnęła się do kajuty i ukloniła przed Zaidą.

— Emisariusz Coramoora przybył, Mistrzynie Statków. On... wyszedł z bramy prosto na pokład rufowy. — To wywołało poruszenie wśród Poszukiwaczek Wiatrów, a Amylia zadrżała, jakby znowu poczuła cep bosmana.

— Mam nadzieję, że nie uszkodził go zbyt, Turane — odrzekła Zaida. Harine schowała twarz w pucharku, żeby tamte nie dostrzegły jej uśmiechu. Najwyraźniej mężczyźni przyjdzie teraz poczekać, przynajmniej czas jakiś.

— W ogóle, Mistrzynie Statków. — W głosie Turane brzmiało zaskoczenie. — Brama otworzyła się dobrą stopę nad pokładem, a on przeszedł przez nią wprost z nabrzeża miasta.

— Tak — szepnęła Shalon. — Potrafię sobie wyobrazić, jak to zrobić. — Wszystko, co miało jakikolwiek związek z Mocą uważała za istny cud.

— Musiałaś przeżyć wstrząs, zobaczywszy kamienne nabrzeże na swoim pokładzie rafowym — skomentowała Zaida. — Dobrze. Przekonam się, czy Coramoor przysłał mi ohydny pijaka. Poproś go do środka, Turane. Ale nie śpiesz się. Amylia, dostanę jakieś wino, zanim się ściemni?

Turane wyszła, Aes Sedai zaś westchnęła i pobiegła napełnić pucharek, po drodze cicho jęcząc, jakby się miała zaraz rozplakać. Światłości, co też Amylia nawyrabiała? Minęła dłuższa chwila, ale Zaida miała w ręku swe wino na długo wcześniej, niż do pomieszczenia wszedł potężnie zbudowany człowiek, z ciemnymi lokami spływającymi na szerokie barki. Z pewnością nie był ohydny, nie wyglądał też na pijaka. W wysokim kołnierzu czarnego kaftana miał wpiętą po jednej stronie srebrną szpilkę w kształcie miecza, a po drugiej czerwono-złotą broszę z jednym z tych stworów, które Coramoor miał owinięte wokół przedramion. Smoki. Tak, tak się nazywały. W okrągłym godle przypiętym do lewego ramienia znajdowały się trzy złote korony na emaliowanym niebieskim polu. Zapewne herb? Może był szlachcicem wśród przykutych do brzegu? Może Coramoor naprawdę uczynił Zaidzie zaszczyt, przysyłając tego człowieka? Znajac, Randa al'Thora, wątpiła, aby był to świadomy zamiar. Nie, dlatego, żeby lubił upokarzać innych, ale nie dbał o honory i zaszczyty innych ludzi.

Mężczyzna uklonił się przed Zaidą swobodnie radząc sobie z mieczem przy pasie, ale nie dotknął serca, ust i czoła. Niemniej przykutym do brzegu trzeba przecież wybaczyć drobne uchybienia.

— Przepraszam, że się spóźniłem, Mistrzynie Statków — powiedział, — ale postanowiłem zaczekać, aż się wszystkie zbierze. — Musiał mieć znakomite szkło powiększające, żeby dostrzec

to z nabrzeża.

Spod zmarszczonych brwi Zaida obejrzała go od stóp do głów, potem upiła łyk wina.

— Masz jakieś imię?

— Jestem Logain — odpowiedział zwyczajnie mężczyzna.

Połowie obecnych w kajucie kobiet zapało dech w piersiach, większość pozostałych rozdziawiła usta. Z niejednego pucharka rozlało się wino. Nie dotyczyło to wszak Zaidy ani Harine. Logain. Imię głośnie nawet wśród Atha'an Miere.

— Mogę coś powiedzieć, Mistrzynie Statków? — zapytała szeptem Amylia. Ścisnęła porcelanowy dzban z taką siłą że Harine obawiała się, iż może pęknąć w jej dłoniach, ale przynajmniej kobieta miała dość rozumu, by nic nie mówić bez pozwolenia Zaidy. A potem słowa popłynęły z jej ust niepowstrzymanym strumieniem.

— Ten człowiek jest fałszywym Smokiem. Został za to poskromiony. Nie wiem, jak to możliwe, że znowu potrafi przenosić, ale przenosi *saidina*. *Saidina!* Jest skażony, Pani Okrętów. Jeżeli zechcesz mieć z nim cokolwiek do czynienia, ściągniesz na siebie gniew Białej Wieży. Wiem...

— Przestań — przerwała Zaida. — Powinnaś już sobie zdawać sprawę, jak bardzo się boję gniewu Białej Wieży.

— Ale...

Zaida uniosła palec, a usta Aes Sedai zamknęły się ze słyszalnym trzaskiem, potem wykrzywiły, jakby ją zemdliło. To jedno słowo mogło ją doprowadzić do ponownego pocałunku z siostrą bosmana i dobrze o tym wiedziała.

— Jej słowa są po części prawdziwe — spokojnie oznajmił Logain. — Jestem wprawdzie Asha'manem, ale skazy już nie ma. *Saidin* jest czysty. Wychodzi na to, że Stwórca zdecydował się okazać nam miłosierdzie. Mam wszakże pytanie do tej kobiety. Komu służysz, Aes Sedai, Egwene al'Vere czy Elaidzie a'Roihan?

Amylia nawet nie otworzyła ust, całkiem zresztą mądrze.

— Do końca przyszłego roku służy mnie, Logain — zdecydowanie oznajmiła Zaida. Aes Sedai zamknęła na moment jasne oczy, a kiedy znów odemknęła powieki, choć to wydawałoby się niemożliwe, był w nich wyraz jeszcze większego zdumienia niż wcześniej i ostateczne przerażenie. Czy to możliwe, by wierzyła, że Zaida zwolni ją przed upływem terminu?

— Powinieneś swe pytania ograniczyć do mojej osoby ciągnęła Mistrzynie Statków. — Najpierw jednak pozwól, że ja zadam ci dwa pytania. Gdzie jest Coramoor? Chcę wysłać do niego ambasador, a zgodnie z Targiem, musi ona rezydować w jego bezpośrednim otoczeniu. A po drugie: jakie wieści przywozisz od niego? Zapewne żądanie jakiejś służby.

— Nie potrafię powiedzieć, gdzie przebywa. — Uśmiechnął się, jakby właśnie opowiedział dowcip. Uśmiechnął się!

— Domagam się odpowiedzi — zaczęła Zaida, ale przerwał jej, co wywołało szepty i gniewne spojrzenia zgromadzonych. Ten głupiec najwyraźniej wyobrażał sobie, że jest równy Mistrzynie Statków.

— Obecnie chce utrzymać miejsce swego pobytu w tajemnicy, Mistrzynie Statków. Przekłęci podejmowali próby zgładzenia go. Wszelako chętnie zabiorę ze sobą Harine din Togara. Z tego, co słyszałem, jej osoba wydaje mu się jak najbardziej do przyjęcia.

Harine drgnęła tak mocno, że wino polało się jej po wierzchu dłoni, potem upiła potężny łyk. Ale nie, prędzej Zaida rozwiedzie się z Amelem i wyjdzie za kamień balastowy, niż uczyni z Harine din Togara swą ambasador. Mimo to na samą myśl język z przerażenia przywarł jej do podniebienia. Nawet zostanie Mistrzynią Statków może być niedostateczną rekompensatą za konieczność znoszenia

Cadsuane.

Zaida przypatrywała się Logainowi z kamienną twarzą, po chwili kazała Amylii nalać mu wina. Aes Sedai drgnęła, a dotarłszy do stołu, trzęsła się tak bardzo, że dzban szczękał o krawędź pucharka. Tyleż samo wina poszło na pokład, co do wnętrza naczynia. Dziwne, ale Logain podszedł bliżej i położył rękę na jej dłoni, próbując uspokoić. Czy należał do tych, którzy nie umieli zostawić innym ich pracy?

— Nie masz się, czego bać z mojej strony, Amylio Sedai — zapewniał ją. — Minęło sporo czasu, od kiedy po raz ostatni zjadłem kogoś na śniadanie. — Popatrzyła na niego z rozdziawionymi ustami, jakby niepewna, czy faktycznie żartuje.

— A służba, jakiej się domaga? — zapytała Zaida.

— To nie jest żądanie, Pani Okrętów. — Musiał uważnie podnieść dzban, żeby wino nie przelało się przez krawędź pucharka. Wziął go do ręki, odsunął się od Amylii, ale ona wciąż wbijała wzrok w jego plecy. Światłości, ta kobieta jak nikt umiała pakować się w kłopoty.

— To wezwanie do wywiązania się z twojej części umowy z Coramoorem. Obiecałaś mu między innymi okręty, które przewiozą żywność i inne towary z Illian i Łzy do Bandar Eban.

— To da się zrobić — powiedziała, Zaida, nie do końca maskując ulgę, choć równocześnie obrzuciła Harine złym spojrzeniem. Pelanna również patrzyła na nią z wściekłością, rzecz jasna, ale podobnie Lacine, Niolle i kilka innych. Harine stłumiła westchnienie.

Niektóre z ustaleń Targu były dość złowieszcze, to sama przyznawała, jak choćby wymóg, by Mistrzynie Statków przygotowana była, żeby stawić się na wezwanie Coramoora trzy kromie w ciągu dwóch lat. Proroctwa Jendai głosiły, że Atha'an Miere mieli służyć Coramoorowi, jednak raczej nieliczni byli przekonani, że służba znaczy między innymi gotowość Mistrzynie Statków na każde jego wezwanie. Ale tamci nie byli wraz z nią, targując się z Aes Sedai przekonaną, iż nie ma żadnej alternatywy dla propozycji Targu, prócz tej, jaką sama przedstawia. Na Światłość, to prawdziwy cud, że nie skończyło się gorzej!

— Towary dla ponad miliona ludzi, Mistrzynie Statków — wyjaśnił Logain tak swobodnym tonem, jakby prosił o drugi pucharek wina. — Nie potrafię powiedzieć, ilu dokładnie, ale w Bandar Eban szaleje głód. Okręty muszą tam dopłynąć możliwie jak najszybciej.

W kajucie zawrzało. Nie tylko Harine odczuła nagłą potrzebę napicia się wina. Nawet oczy Zaidy rozszerzyły się w zdumieniu.

— To może wymagać więcej rakerów, niż posiadamy — powiedziała na koniec, niezdolna opanować wyraźnie słyszalnego w słowach niedowierzania.

Logain wzruszył ramionami, jakby to nie miało większego znaczenia.

— A jednak on tego właśnie od was wymaga. Wykorzystajcie inne statki, jeśli będzie trzeba.

Zaida zeszywniała na krześle. Wymaga. Niezależnie, jak stanowił Targ, nierozważnie było w jej obecności używać takiego języka.

Do kajuty znowu wślizgnęła się Turane i łamiąc protokół, podbiegła do Zaidy; bosc stopy plaskały po pokładzie. Pochyliła się nisko, wyszeptala coś do ucha Mistrzynie Statków. Oblicze Zaidy stopniowo przybierało wyraz grozy. Wzięła w palce pudełko z pachnidłami, potem zadrżała i upuściła je na swe lono.

— Przyślij ją do środka — powiedziała. — Natychmiast przyślij ją do środka. Od tych wieści aż kotwica zapłacze — ciągnęła, gdy Turane wybiegała z kajuty. — Pozwolę wam wysłuchać ich z ust tej, która je przyniosła. Musisz zaczekać — dodała, kiedy Logain już otwierał usta. — Ty też musisz zaczekać.

Miał dość rozumu, by nie nalegać, ale nie dość, by ukryć zniecierpliwienie; stanął pod ścianą

kajuty z zaciśniętymi ustami i ściągniętymi brwiami.

Młoda kobieta, która weszła do środka i nisko ukloniła się przed Zaidą, była wysoka i szczupła; zasługiwałaby pewnie na miano ładnej, gdyby niewycieńczona twarz. Lniana bluzka i zielone spodnie wyglądały, jakby nie zmieniała ich od wielu dni, ze zmęczenia chwiała się na nogach. Na łańcuszku honorów była tylko garstka medalików, jak przystało młodości, jednak Harine widziała, że co najmniej trzy oznaczały akty wielkiej odwagi.

— Jestem Cemeille din Selaan Długie Oczy, Pani Okrętów — powiedziała ochryłym głosem. — Mistrzynie Żagli darlera Ścigacz Wiatru. Płynęłam tak szybko, jak mogłam, ale obawiam się, że już za późno, by cokolwiek zrobić. Zatrzymywałam się przy każdej wyspie między Tremalking a tym miejscem, ale zawsze byłam spóźniona. — Łzy popłynęły po jej policzkach, wszak zdawała się tego zupełnie nieświadoma.

— Przekaż Dwunastu Pierwszym własnymi słowami smutne wieści — delikatnie przykazała Zaida. — Amylia, daj jej wina! — To już wcale nie brzmiało delikatnie. Aes Sedai rzuciła się, by wykonać rozkaz.

— Prawie trzy tygodnie temu — zaczęła Cemeille — Amayarowie z Tremalking poprosili o dar podróży na wszystkie wyspy. Zawsze jeden mężczyzna i jedna kobieta na każdą wyspę. Ci, którzy zdecydowali się na Aile Somera, kiedy dowiedzieli się, że pozostaje pod panowaniem Seanchan, domagali się, by zwodowano ich w łodziach, tak by byli niewidoczni z lądu. — Wzięta z rąk Amylii pełny puchar, podziękowała skinieniem głowy, wypita chciwie.

Harine wymieniła pytające spojrzenia z Mareil, która lekko pokręciła głową. Jak daleko Harine sięgała pamięcią, żaden Amayar nigdy nie poprosił o dar podróży, choć dla nich rzeczywiście byłby to dar, ponieważ nie oczekiwano by od nich nic w zamian. Niemniej oni unikali soli, trzymając się w swych maleńkich rybackich łodziach blisko brzegu, tak więc prośba o wysadzenie ich z dala od lądu była równie dziwna jak prośba o dar podróży. Wszelako nic złowieszczonego jeszcze w tym nie było.

— Z portów odpłynęli wszyscy Amayarowie, nawet ci, którym stocznie czy wytwórnie lin winne były pieniądze, niemniej przez jakieś dwa, trzy dni nikt nie wiedział, o co chodził — Wino nie zdołało na tyle zwilżyć gardła Cemeille, by przestała chrypieć. Wierzchem dłoni otarła łzy z policzków. — Aż zorientowaliśmy się, że żaden nie wrócił. Rząd wysłał ludzi do wiosek Amayarów i tam znaleźli... — Zacisnęła powieki. — Amayarowie byli martwi lub umierali. Mężczyźni, kobiety — jej głos się załamał — dzieci.

Żałobny lament podniósł się w kajucie, zaskoczona Harine zdała sobie sprawę, że ostre tony pieśni wydobywają się również z jej ust. Dostatecznie smutne, by kotwica zapłakała? Tak smutne, że niebo powinno łkać. Nic dziwnego, że głos Mistrzynie Żagli był ochrypy. Ile godzin, ile dni musiała przepłakać, odkiedy dowiedziała się o tej katastrofie?

— Dlaczego? — dopytywała się Pelanna, kiedy lamentacja ucichła. Z oszalałą twarzą pochylała się na krześle. Trzymała puzderko z pachnidłami przy nosie, jakby dzięki temu jakoś mogła odepchnąć wstrętny odór usłyszanych wieści. — Jakaś choroba? Mów, kobieto!

— Trucizna, Mistrzynie Fal — odparła Cemeille. Spróbowała się opanować, ale łzy znowu popłynęły po policzkach. — Wszędzie, gdzie dotarłam, wyglądało to tak samo. Dali dzieciom truciznę, po której zasnęły snem, z którego już się nie obudziły. Trucizny wszak chyba nie starczyło dla wszystkich, więc wielu dorosłych przyjęło środki wolniej działające. Niektórzy żyli dość długo, by zastano ich przy życiu i wypytano. Wielka Dłoń Tremalking zniknęła. W miejscu wzgórza, na którym stała, jest teraz głęboka dziura. Wychodzi na to, że Amayarowie mieli prorocstwo, które wspominało o Dłoni, a kiedy została zniszczona, uwierzyli, że oznacza to koniec czasu, jak oni mówią: koniec Iluzji. Uwierzyli, że naszedł czas, by opuścili tę... iluzję — zaśmiała się gorzko,

wymawiając ostatnie słowo — którą my nazywamy światem.

— Żaden nie ocalał? — zapytała Zaida. — Ani jeden? - Na jej policzkach również lśniły łzy, ale Harine nie winiła jej za to. Jej własne policzki też były mokre.

— Żaden, Mistrzynie Statków.

Zaida wstała, mimo łez na policzkach otaczała ją władcza mira, a głos brzmiał mocno.

— Na każdą wyspę należy wysłać najszybszy statek. Nawet na Aile Somera. Trzeba znaleźć sposób, żeby tam dopłynąć. Kiedy po Pęknięciu sól uspokoiła się po raz pierwszy, Amayarowie poprosili nas o ochronę przed piratami i bukanierami, wciąż winniśmy im wywiązanie się z tej obietnicy. Nawet, jeśli znajdziemy tylko garstkę żyjących, nasze przyrzeczenie pozostanie w mocy.

— Jest to chyba najsmutniejsza historia, jaką w życiu słyszałem. — Głos Logaina grzmiał zbyt głośno w żałobnej ciszy, on sam podszedł i stanął przed Zaidą. — Ale wasze okręty muszą popłynąć do Bandar Eban. Jeśli nie macie dość rakerów, użyjcie innych szybkich jednostek. Wszystkie są niezbędne.

— Jesteś nie tylko bez serca, ale również szalony? — zapytała Zaida. Stała na rozstawionych nogach, wsparła się; pięściami pod boki, jakby miała pod stopami chybotliwy pokład rufowy. — Musimy odprawić żałobę. Uratować tych których uratować się da, odprawić żałobę po niezliczonych tysiącach, których uratować nie potrafiliśmy.

Równie dobrze mogła się uśmiechać, jeśli wnosić po skutku, jaki jej wściekłe spojrzenia wywarły na Logainie. Kiedy przemówił, Harine zdało się, że w kajucie powiało lodem, a światła przygasły. Nie była jedyną kobietą, która objęła się ramionami, osłaniając się przed chłodem.

— Odprawiajcie żałobę, jeżeli musicie — powiedział. — Ale odprawiajcie ją po drodze ku Tarmon Gai'don.

ROZDZIAŁ 6

WEZWANIE NA POSIEDZENIE KOMNATY

Magla i Salita przez cały ranek były nieobecne, więc Romanda miała połatany brązowy namiot wyłącznie dla siebie, co dawało jej wspaniałą okazję, by wreszcie poczytać. W spokojnej lekturze przeszkadzał tylko fakt, że niedopasowane mosiężne lampy na małym stole rozsiewały wokół woń zepsutej oliwy, wprawdzie słabą, ale kręcącą w nosie. Czasy były takie, że należało przywykać do tego rodzaju rzeczy. Gdyby ktoś zerknął na książkę, być może wydałaby mu się niegodna jej osiągnięć i pozycji — ongiś dziewczynie z Far Madding zabraniano czytania takiej literatury, — ale pozwalała się oderwać od suchych traktatów historycznych i przerażających raportów o psującej się żywności. Jeszcze niedawno wołowe tusze mogły przez wiele miesięcy pozostawać równie świeże, co w dniu zarżnięcia krowy, ale obecnie Konserwacje zawodziły jedna po drugiej. Niektóre zaczynały szemrać,

że dowodzi to błędów dzieła Egwene, ale było to po prostu głupie gadanie. Jeżeli prawidłowo wykonany splot działał raz, musiał działać zawsze pod warunkiem, że nic nie zniszczyło splotu, a nowe wzory Egwene funkcjonowały zawsze zgodnie z przewidywaniami. To trzeba jej oddać. Poza tym, mimo iż właściwie każda próbowała, i to próbowała naprawdę poważnie, żadnej nie udało się znaleźć ewentualnych interwencji w sploty. Wyglądało to tak, jakby sam *saidar* słabł. Rzecz nie do pomyślenia. A w ewentualnych skutkach tragiczna. I co gorsza, żadna nie potrafiła wymyślić, co w tej sytuacji można zrobić! Z pewnością Romanda wymyślić nie potrafiła. Krótka ucieczka w świat przygody i romansu wydawała się znacznie miłsza niż próżne deliberowanie nad tragiczną zawodnością i niemocą tego, co z samej swej natury było niezawodne.

Sprzątająca namiot nowicjuszka miała dość rozumu, by nie komentować jej lektury, czy bodaj nawet dwukrotnie spojrzeć na oprawioną w drewno książkę. Bodewhin Cauthon była całkiem śliczna, a równocześnie nie brakowało jej inteligencji, choć zdecydowanie miała w sobie za dużo z brata — w psotnych iskierkach oczu, ale i w głowie, w tym drugim przypadku zapewne więcej, niż gotowa była przyznać. Bez wątpienia też czyniła spore postępy na drodze do zostania Zieloną, a może Błękitną. Dziewczyna wyraźnie przedkładała prawdziwe przygody nad lekturę o przygodach, jakby życie Aes Sedai nie stanowiło gwarancji przygód, niezależnie, czy się tego chce, czy nie. Romanda nie żałowała domniemanego wyboru dziewczyny. Żółte miały, co wybierać z odpowiednich kandydatek. Oczywiście starsze kobiety nie wchodziły w grę, niemniej chętnych dalej było sporo. Skupiła się na książce. Naprawdę lubiła opowieść o Birgitte i Gaidalu Cainie.

Namiot nie był szczególnie duży, poza tym raczej zagracony. Trzy twarde łózka polowe, których niewygodę trochę tylko łagodziły cienkie materace wypchane zbryloną wełną; trzy krzesła o drabinkowych oparciach, każde wyraźnie wykonane inną ręką; rozchybotana umywalnia z popękanyim lustrem i wyszczerbionym niebieskim dzbanem w białej misce, której nogę, podobnie jak w przypadku stołu, trzeba było podpierać drewnianą szczapą; okute mosiądzem kufry na ubrania; pościele i dobytek osobisty. Jako Zasiadająca Komnaty mogłaby mieć całą tę przestrzeń dla siebie, ale wolała nie spuszczać z oka Magli i Sality. Sam fakt, że wszystkie zajmowały w Komnacie miejsca z ramienia Żółtych, nie stanowił jeszcze przesłanki do ślepego zaufania. Magła, która rzekomo miała być jej sprzymierzeńcem w Komnacie, zbyt często chadzała własnymi drogami, a Salita zawsze miała swoje pomysły. Namiot był, więc nie tylko zagracony, ale i niewygodny. Bodewhin miała z nim mnóstwo pracy, głównie zresztą ze sprzątaniem sukni i pantofli Sality, które rozrzucała po postrzępionych dywanikach, gdy dochodziła do wniosku, że nie pasują. Ta kobieta frywolnością dorównywała Zielonym. Każdego ranka przetrząsała chyba całą swoją garderobę! Zapewne myślała, że Romanda każe sprzątać swej służącej — zawsze uważała, że Aelmara jest w takim samym stopniu jej służącą, co Romandy, — ale Aelmara służyła Romandzie przez wiele lat i teraz właściwie była na emeryturze, nie wspominając już, że jakiś czas temu wybawiła ją z drobnych kłopotów w Far Madding i pomogła w ucieczce. Nie wyobrażała sobie, by wymagać od Aelmary zajmowania się również inną siostrą.

Zmarszczyła brwi, zrozumiałwszy, że wpatruje się w książkę, nie widząc ani słowa. Dlaczego, na Światłość, Magła jeszcze w Salidarze upierała się przy kandydaturze Sality? Fakt, padło wówczas wiele imion, ale każde było bardziej nonsensowne od poprzedniego, a wypadło na Salitę, ponieważ Romanda doszła do wniosku, że pulchna Tairenianka ma największe szanse na zdobycie fotela. Romanda wolałaby na tym miejscu widzieć Dagdarę, która była znacznie bardziej odpowiednią kandydatką i którą poza tym łatwiej dałoby się podporządkować, jednak wówczas ona sama podejmowała starania o fotel Komnaty, a Magła już go miała. I tylko to się liczyło, natomiast nic ich nie obchodziło, że Romanda wcześniej zasiadała w Komnacie dłużej niż którakolwiek kobieta w

pamięci żywych. Cóż, stało się, i to wszystko. Czego nie da się odmienić, trzeba wytrzymać. Do namiotu weszła Nisao i w tej samej chwili otaczająca ją poświata *saidara* zgasła. Zanim z powrotem opadła kłapa namiotu, przez moment w wejściu widać było Sarina, jej łysego, krępego Strażnika — z dłonią na rękojeści miecza taksował otoczenie, pełnił wartę.

— Mogę z tobą porozmawiać na osobności? — zapytała drobniutka siostra. Była tak niska, że przy niej nawet Sarin wydawał się wysoki, Romandzie zawsze przywodziła na myśl i wielkookiego wróbla. Ale jeśli chodzi o jej władze intelektualne i zdolność obserwacji, nie miała w sobie nic śmiesznego. Była naturalną kandydatką do rady, którą stworzyły Ajah, żeby mieć na oku Egwene, i z pewnością nie należało jej obwiniać za to, iż rzeczona rada miała niewielki lub wręcz żaden wpływ na tę kobietę.

— Oczywiście, Nisao. — Romanda powoli zamknęła książkę i podniosła się, żeby wsunąć ją pod poduszkę z żółtymi frędzlami na swoim krześle. Lepiej, aby się nie rozniosło, co czyta. — Chyba już czas na twoją następną lekcję, Bodewhin. Z pewnością nie chcesz się spóźnić.

— Ależ nie, Aes Sedai! Sharina mogłaby się bardzo zdenerwować. — Nowicjuszka rozłożyła białą sukienkę w głębokim ukłonie i wybiegła z namiotu.

Usta Romandy zacisnęły się. Sharina mogłaby się bardzo zdenerwować. Ta kobieta stanowiła symbol wszelkiego zła, jakie wiązało się z dopuszczaniem kobiet powyżej osiemnastego roku życia w szeregi nowicjuszek. choć dysponowała wręcz; niewyobrażalnym potencjałem, nie miało to żadnego znaczenia. Osoba Shariny Melloy zakłócała normalny tok spraw. Ale jak się jej pozbyć? Jej i wszystkich pozostałych kobiet, zbyt starych, by ich imiona w ogóle znalazły się w księdze nowicjuszek. Kiedy kobieta została już wpisana do księgi, możliwości jej wydalenia ograniczały dość ściśle klauzule. Nieszczęśliwie się składało, że istniał w tej sprawie precedens — otóż w przeszłości zdarzało się, że kobiety kłamały na temat swego wieku, aby zostać przyjęte do Wieży. Zazwyczaj w najgorszym wypadku chodziło tylko o parę lat, niemniej zwyczajowo pozwalano im zostać. W porównaniu z tym precedens ustanowiony przez Egwene al'Vere był znacznie gorszy. Musi istnieć jakiś sposób, żeby go unieważnić.

— Mogę zapewnić nam prywatność? — zapytała Nisao.

— Jak sobie życzysz. Dowiedziałaś się czegoś na temat negocjacji? — Mimo schwywania Egwene rozmowy trwały dalej, jak przedtem w namiocie u stóp mostu w Darein. A może raczej trwały symulowane rozmowy. Czy wręcz zwykła farsa, pantomima uporu. To jednak nie zwalniało z bacznego przyglądania się negocjatorom. Wprawdzie zajmowała się tym głównie Varilin, powołując się na prerogatywy Szarych Ajah, ale Magła potrafiła się wkręcić w te sprawy, gdy tylko mogła, podobnie jak Saroiya, Takima i Faiselle. Co gorsza, najwyraźniej nie tylko żadna nie ufała innym w kwestii przebiegu negocjacji... ani w prawie żadnych innych sprawach, jeśli już o tym mowa... jednak czasami wydawało się, jakby negocjowały w imieniu Elaidy. No, może nie aż tak. Mimo wszystko zdecydowanie obstawały przeciwko absurdalnemu postulatowi tamtej, by rozwiązać Błękitne Ajah, i proponowały, choć już nie tak energicznie, konieczność ustąpienia Elaidy, gdyby jednak ona... i Lelaine, to trzeba przyznać... od czasu do czasu nie naprostowały ich odpowiednio, pewnie gotowe byłyby przystać na któreś z obraźliwych warunków Amyrlin z Białej Wieży. Światłości, czasami się wydawało, że zupełnie zapomniały, czemu ma służyć ten marsz na Tar Valon!

— Nalej nam herbaty — poprosiła, wskazując gestem tacę z malowanego drewna, stojącą na zestawionych pionowo kuferekach; na tacy znajdował się srebrny dzbanek i kilka powyginanych cynowych kubków. — I opowiedz, czego się dowiedzieć chciałaś. Na krótką chwilę Nisao otoczyła poświata *saidara*, stworzenie osłon przed podsłuchem i podwiązanie splotu nie zabrało dużo czasu.

— O negocjacjach nic nie wiem — zaczęła, napełniając dwa kubki. — Chciałam cię prosić, żebyś

porozmawiała z Lelaine.

Romanda przyjęła zaproponowany kubek i wolno pijąc kilka łyków, równocześnie zastanawiała się. Przynajmniej herbata jeszcze się nie zepsuła. Lelaine? Cóż takiego dotyczyło Lelaine, a wymagało osłon przed podsłuchem? Z drugiej strony wszystko, czego mogłaby się dowiedzieć na temat tamtej, mogło się przydać. Ostatnimi czasy Lelaine traktowała ją z taką wyższością, że nie sposób było czegoś nie podejrzewać. Umościła się wygodniej na poduszce krzesła.

— O czym? Dlaczego sama z nią nie porozmawiasz? Nie upadliśmy jeszcze tak nisko, jak Biała Wieża najwyraźniej upadła pod panowaniem Elaidy.

— Już z nią rozmawiałam. A raczej to ona mówiła ze mną, i to w tonie dość gwałtownym. — Nisao usiadła, postawiła kubek na stole i pieczołowicie ułożyła suknie z żółtymi rozcięciami. Na jej czole zastygł drobny mars. Wyglądało, jakby również grała na czas. — Lelaine zażądała, abym przestała zadawać pytania o Anaię i Kairen — rzekła na koniec. — Jej zdaniem te morderstwa to wewnętrzna sprawa Błękitnych.

Romanda parsknęła, znowu poprawiła się na krześle. Drewniana okładka książki była nieznośnie twarda, rogi uwierały ją w pośladki.

— Zupełna bzdura. Ale dlaczego zadawałaś te pytania? Nie przypominam sobie, by te sprawy szczególnie cię interesowały.

Tamta podniosła kubek do ust, ale nawet jeśli się napiła, musiał to być najdrobniejszy łyżeczek. Odstawiła kubek i nagle jakby urosła, tak sztywno się wyprostowała. Wróbel stawał się jastrzębiem.

— Ponieważ takie otrzymałam polecenie od Matki.

Romanda z najwyższym wysiłkiem zapanowała nad wyrazem ostatecznego zdziwienia, który miał odbić się na jej twarzy. A więc tak. Z początku zaakceptowała Egwene z tego samego powodu, jak podejrzewała, dla którego zaakceptowały ją pozostałe Zasiadające Komnaty. A już z pewnością Lelaine, gdy zrozumiała, że nie ma szans na zdobycie stuły i laski dla siebie. Podatna młoda dziewczyna miała okazać się marionetką w rękach Komnaty, a Romanda zdecydowana była zostać jedną z pociągających za sznurki. Później przez czas jakiś wszystkim wydawało się oczywiste, że prawdziwą panią marionetek jest Suan i z pozoru nie istniał sposób na powstrzymanie jej, który nie oznaczałby rebelii przeciwko drugiej Amyrlin, co z pewnością oznaczałoby koniec rebelii, przeciwko Elaidzie. Romanda miała nadzieję, że Lelaine zaciśnie zęby i jak ona przejdzie nad tą sprawą do porządku. Teraz Egwene była w rękach Elaidy, a mimo to w trakcie kilku spotkań pozostawała spokojna i opanowana, zdecydowana trwać przy swojej strategii, jak i strategii siostr poza murami Tar Valon. Romanda znalazła w sobie niechętny podziw dla dziewczyny. Nadzwyczaj niechętny, niemniej nie potrafiła go zanegować. To musiała być Egwene we własnej osobie. Komnata nie wypuszczała z ręki *ter'angreala snów*, a ponieważ żadnej nie udało się znaleźć tego, który został wypożyczony Leane przed tamtą nieszczęsną nocą, Romanda i Suan praktycznie rzecz biorąc, wciąż skakały sobie do gardeł. Nie było większych wątpliwości, że Suan wślizguje się, do *Tel'aran'rhiod*, by informować tę kobietę, co ma mówić. Czy możliwe, że Nisao doszła do tych samych wniosków na temat Egwene, nie zobaczywszy jej wcześniej w Niewidzialnym Świecie? Tajna rada dawała jej się mocno we znaki.

— I to uznałaś za dostateczny powód, Nisao? — Niebyło sposobu, żeby wyjąć niepostrzeżenie książkę. Znowu zmieniła pozycję, ale nie miała szans na znalezienie wygodniejszej. Jeśli tak dalej pójdzie, nabawi się siniaków.

Nisao przechyliła swój kubek, ale wciąż nie chciała odwrócić wzroku.

— To był główny powód. Z początku myślałam, że ona skończy jako twój piesek pokojowy. Albo Lelaine. Później, kiedy stało się jasne, że oparła się waszym wpływom, doszłam do wniosku, iż to

Siuan trzyma smycz, wkrótce jednak okazało się, że się pomyliłam. Siuan była jej nauczycielką, tego jestem pewna, i doradczynią, a może nawet przyjaciółką, ale sama widziałam, jak Egwene przywoływała ją do porządku. Nikomu nie udało się nałożyć smyczy Egwene al'Vere. Jest inteligentna, spostrzegawcza, szybko się uczy i ma talent. Może zostać jedną z wielkich Amyrlin. — Ptasia siostra roześmiała się zniecka i przelotnie. — Zdajesz sobie sprawę, że będzie najdłużej panującą Amyrlin w dziejach? Żadna nigdy nie pożyje tak długo, by pobić jej rekord, chyba że ustąpi z własnej woli, — Uśmiech wkrótce ustąpił powadze, może nawet zmartwieniu. Jednak powodem nie był fakt, że poruszała się na granicy pogwałcenia obyczaju. Nisao znakomicie panowała nad swoim obliczem, ale w jej oczach widać było napięcie. — To znaczy, o ile pozbędziemy się Elaidy.

Słuchanie własnych myśli, które w wersji zredagowanej rzucane są w twarz, było naprawdę denerwujące. Wielka Amyrlin? Cóż! Wiele lat minie, nim się zweryfikuje przepowiednię. Ale niezależnie, czy Egwene uda się osiągnąć ten niezwykły i mało wiarygodny cel, najpierw będzie się musiała przekonać, że gdy jej uprawnienia wojenne wygasną, Komnata będzie znacznie mniej uległa niż dotąd. A z pewnością mniej uległa okaże się Romanda Cassin. Szacunek jest jedną rzeczą, bycie pieskiem kanapowym całkiem inną. Pod pretekstem wygładzenia ciemnożółtych sukni wstała, wyciągnęła spod poduszki książkę i spróbowała niepostrzeżenie upuścić. Drewniana okładka z hukiem upadła na dywan, brwi Nisao zadrżały. Romanda zignorowała wyraz twarzy tamtej i stopą wepchnęła książkę pod stół.

— Pozbędziemy się — wypowiedziała te słowa ze znacznie silniejszym przekonaniem, niż w istocie żywiła. Dziwaczne negocjacje i przedłużające się uwięzienie Egwene dały jej chwilę oddechu, oczywiście między bajki należało włożyć przekonanie dziewczyny, że od środka podkopie pozycję Elaidy. Choć wydawało się, że połowę jej pracy wykonują inne siostry, jeśli jej raporty na temat sytuacji w Wieży były adekwatne. Ale Romanda wierzyła, ponieważ wierzyć musiała. Nie miała zamiaru spędzić reszty życia odcięta od swoich Ajah, zgodzić się na pokutę i czekać, aż Elaida uzna ją za zdolną do bycia z powrotem pełną Aes Sedai, wreszcie zobaczyć Amyrlin w Elaidzie a'Roihan. Już lepsza Lelaine, a przecież głównym argumentem, jaki wysuwała w rozmowach z samą sobą na rzecz oddania Egwene stuły i laski, było właśnie niedopuszczenie do takiego obrotu spraw. Bez wątplenia Lelaine myślała w ten sam sposób o niej.

— Poinformuję Lelaine w słowach nierodzących wątpliwości, że masz prawo zadawać pytania, jakie zechcesz. Musimy rozwiązać zagadkę tych morderstw, poza tym morderstwo siostry jest sprawą wszystkich sióstr. Czego się już dowiedziałas? — Nie było to może szczególnie grzeczne pytanie, ale z pozycją Zasiadającej Komnatę wiązały się określone przywileje. Przynajmniej Romanda zawsze tak uważała.

Nisao nie wydawała się zbита z tropu tą bezpośredniością i odpowiedziała bez wahania.

— Obawiam się, że bardzo mało — odrzekła ze smutkiem, spoglądając w głąb kubka i marszcząc brwi. — Sądziłam, że musi istnieć jakiś związek między Anaiją i Kairen; coś, co sprawiło, iż właśnie one zostały przez mordercę wzięte na cel, ale dowiedziałam się tylko, że przyjaźniły się od wielu lat. Błękitne mówiły na nie i jeszcze jedną Błękitną siostrę, Cabriane. Mecandes: „Trójca”, ponieważ zawsze trzymały się razem. Ale nic więcej nie chciały mi powiedzieć. Żadna nie potrafiła sobie przypomnieć, by rozmawiała z którąś na temat jej spraw. Najwyraźniej rozmawiały tylko ze sobą. Tak czy siak, przyjaźń to chyba dość słaby motyw morderstwa. Wciąż mam nadzieję, że znajdę powód, dla którego ktoś chciałby je zamordować... zwłaszcza zaś zdolny do przenoszenia mężczyzna... przyznaję jednak, że nadzieja ta jest coraz słabsza.

Romanda zmarszczyła czoło. Cabriana Mecandes. Mało interesowała się sprawami innych Ajah — jej zdaniem tylko Żółte wypełniały naprawdę pożyteczne zadania; bo jak inne powołania mogły się

równać z Uzdrawianiem? — niemniej na dźwięk tego imienia jakiś dzwonek zadźwięczał w jej głowie. Dlaczego? Wcześniej czy później sobie przypomni, a może nie. Zresztą rzecz mogła być zupełnie nieważna.

— Słaba nadzieja też potrafi wydać zaskakujące owoce Nisao. To stare powiedzenie z Far Madding, ale jak najbardziej prawdziwe. Kontynuuj dochodzenie. Pod nieobecność Egwene, o swoich odkryciach możesz informować mnie.

Nisao zamrugnęła, jej szczęki zacisnęły się przelotnie, ale niezależnie, czy podobał się jej pomysł donoszenia Romandzie, pozostawało jedynie posłuszeństwo. Nie bardzo mogła zasłaniać się zakazem wtrącania jednej siostry w sprawy drugiej. Morderstwo nie może być wyłączną sprawą jednej siostry. Poza tym, choć Magła mogła się cieszyć swym absurdalnym wyborem na trzecią Zasiadającą Żółtych, to Romanda bez żadnego trudu zagwarantowała sobie pozycję Pierwszej Tkaczki. Mimo wszystko przed wycofaniem się z aktywnej działalności była głową Żółtych i nawet Magła nie mogła się jej przeciwstawić. Z pozycją tą związana była znacznie mniejsza władza, niżby chciała, ale przynajmniej mogła liczyć na posłuch w większości kwestii. Posłuch Żółtych sióstr, jeśli już nie Zasiadających Komnaty.

Kiedy Nisao rozplątała swoje osłony przed podsłuchem i pozwoliła się rozpuścić splotom, do namiotu wsunęła głowę Theodrin. Miała szal na ramionach, noszony w pełnej krasie frędzli, jak to często czyniły świeżo wyniesione siostry. Gdy Egwene przyznała jej prawo do szala, smukła Domani wybrała Brązowe Ajah, ale Brązowe nie miały pojęcia, co z nią zrobić, więc z przymusu przyjęły ją w swoje szeregi. Jakby zdecydowały się ją ignorować, co samo w sobie było nadzwyczaj niestosowne, więc Romanda przygarnęła ją pod swoje skrzydła. Theodrin próbowała się zachowywać, jakby była prawdziwą Aes Sedai, oprócz tego jednak była bystra i miała dość zdrowego rozsądku. Rozłożyła brązowe spódnice w ukłonie. Ukłon był płytki, niemniej był to ukłon. Doskonale rozumiała, że nie nabędzie prawa do szala, póki nie przejdzie prób. Z powodzeniem. Okrucieństwem byłoby ukrywanie przed nią tego faktu.

— Lelaine zwołała posiedzenie Komnaty — oznajmiła bez tchu. — Nie potrafiłam się dowiedzieć, z jakiego powodu. Zaraz przybiegłam do ciebie, ale nie chciałam przeszkadzać, póki istniały osłony.

— I bardzo słusznie — odpowiedziała Romanda. — Nisao, pozwól, że cię przeproszę, muszę sprawdzić, co zamierza Lelaine. — Z wieka kufierka na odzież pochwyciła swój szal z żółtymi frędzlami, narzuciła go na ramiona, zerknęła do lustra, żeby sprawdzić stan fryzury, a potem wygoniła obie kobiety z namiotu i posłała swoją drogą. Nie podejrzewała wprawdzie, że Nisao zostawiona sama sobie będzie chciała sprawdzić, co spowodowało głośny łomot, ale lepiej nie ryzykować. Aelmara odłoży książkę na miejsce, to znaczy do osobistego kufierka Romandy, w którym znajdowało się kilka podobnych tomów. Kuferek miał mocny zamek, były do niego tylko dwa klucze — jeden znajdował się w mieszk przy sakwie Romandy, drugi w sakwie przy pasku Aelmary.

Ranek był rześki, mimo to wiosna rażno schodziła na świat. Ciemne chmury gromadzące się za strzaskanym szczytem Góry Smoka z pewnością nie przyniosą już śniegu, lecz deszcz, choć lepiej, by nad obozem nie padało. Wiele namiotów przeciekało, a uliczki były już prawdziwym grzęzawiskiem. Dostawcze wozy konne rozpryskiwały błoto spod wysokich kół, żłobiąc nowe koleiny — powoziły nimi zasadniczo kobiety, choć zdarzali się też pojedynczy siwowłosi mężczyźni. Obecnie dostęp mężczyzn do obozu Aes Sedai był ściśle kontrolowany. A mimo to prawie każda siostra wędrująca teraz w zasięgu wzroku Romandy po nierównych drewnianych chodnikach otoczona była poświatą *saidara* i strzeżona przez swego Strażnika (oczywiście, jeśli go posiadała). Romanda nie miała zamiaru obejmować Źródła przy każdym wyjściu na zewnątrz — ktoś musiał dawać przykład właściwego zachowania nawet w sytuacji, gdy wszystkie siostry chodziły po obozie jak na szpilkach

— ale czuła, jakby jej czegoś brakowało. Strażnika zresztą też jej brakowało. Ograniczenie dostępu mężczyźn do obozu było dobrym pomysłem, niemniej morderca z pewnością nie będzie zwracał uwagi na żadne zakazy.

Przed nią z bocznej uliczki wyjechał Gareth Bryne, potężnie zbudowany mężczyzna z głową już prawie całkiem posiwiąłą, na brązowo-żółtym kaftanie zapięty miał napierśnik, u łęku siodła wisiał hełm. Obok jechała Siuan, kolebiąc się na krępej, kudłatej klaczy; wyglądała na tak śliczną dziewczynę, że prawie można było zapomnieć, iż jest równie uparta i zjadliwa, co Amyrlin. Łatwo było też zapomnieć, iż wciąż pozostaje utalentowaną intrygantką. Błękitne zresztą zawsze takie były. Klacz, ociągając się leniwie, parła naprzód, ale w pewnym momencie Siuan i tak by spadła, gdyby Bryne nie podał jej pomocnej dłoni. Na skraju kwater Błękitnych — obóz zbudowany został z grubsza na planie kwater Ajah w Wieży — zsiadł, pomógł jej zejść z siodła, a potem wskoczył na siodło swego gniadosza, ona zaś została z wodzami w dłoniach, patrząc w ślad za nim. Właśnie, dlaczego to robiła? To znaczy czerniła jego buty, prała rzeczy. Ta sytuacja była odrażająca. Błękitne powinny położyć temu kres. Jakkolwiek silny, obyczaj nie mógł być nadużywany w sposób, który wystawiał na śmieszność Aes Sedai.

Zawróciwszy w kierunku przeciwnym niż ten, w którym stała, Siuan, ruszyła ku namiotowi, gdzie obradowała tymczasowa Komnata Wieży. Mimo iż oczywiście przyjemnie było się spotykać w prawdziwej Komnacie, nie wspominając już, że odbyło się to pod samym nosem Elaidy, rzadko, które siostry potrafiły zasnąć o dowolnie wybranej porze, więc namiot wciąż będzie musiał się wywiązywać ze swej funkcji. Bez pośpiechu ruszyła chodnikiem. Nikt nie zobaczy, że śpieszy się na wezwanie Lelaine. Czego znów chce ta kobieta?

Zabrział gong, jego dźwięk zasilony Mocą poniósł się wyraźnie po całym obozie — to kolejna z sugestii Shariny — i nagle chodniki zaroily się od nowicjuszek, spieszących na następną lekcję lub do innych obowiązków. Nowicjuszki trzymały się zawsze w grupach rodzinnych, po sześć, siedem, razem słuchały wykładów, razem pracowały, w istocie wszystko robiły wspólnie. Działo się tak przy pełnej aprobacie Aes Sedai, które widziały w tym metodę radzenia sobie z tak wielką liczbą nowicjuszek — w ciągu ostatnich dwóch tygodni ich liczba powiększyła się o ponad pięćdziesiąt, co dawało prawie tysiąc nowicjuszek w obozie, z których połowa była w odpowiednim wieku; więcej niż Wieża gościła naraz w ciągu ostatnich stuleci! — Romanda żałowała tylko, że to znowu był koncept Shariny. Ta kobieta nawet nie uzgodniła swego pomysłu z Mistrznią Nowicjuszek. Po prostu zorganizowała całą sprawę, potem przedstawiła Tianie jako fakt dokonany! Tymczasem nowicjuszki, a wśród nich były siwe i pomarszczone, tak, że nie sposób było nawet w myślach nazywać ich dziećmi, usuwały się na skraj chodnika, aby przepuścić siostry, i kłaniały się z szacunkiem, żadna jednak nie miała zamiaru pobrudzić sobie bucików w błocie. Znowu Sharina. Sharina dała do zrozumienia, że nie chce, by dziewczyny bez potrzeby brudziły śliczne białe wełny. Na tę myśl Romanda znowu zazgrzytała zębami. Kłaniające się akurat przed nią nowicjuszki wyprostowały się i właściwie uciekły.

W oddali zobaczyła Sharinę we własnej osobie, rozmawiała i Tianą, otuloną poświatą saidara. To znaczy ona mówiła, a Tiania od czasu do czasu kiwała głową. Oczywiście w zachowaniu Shariny nie było nic uwłaczającego, niemniej z pomarszczoną twarzą i małym, siwym koczkim na głowie, mimo bieli nowicjuszki wyglądała na tę, którą była — czyli na babcię. Natomiast Tianę dotknęło nieszczęście wyjątkowo młodszej aparycji. Budowa ciała i wielkie, brązowe oczy jakoś gasiły stateczny wyraz pozbawionego śladu przeżytych lat oblicza Aes Sedai. Niezależnie, z jakim szacunkiem Sharina by się do niej zwracała, wyglądała w oczach Romandy jak kobieta strofująca swą wnuczkę. Kiedy podeszła bliżej, Sharina ukloniła się stosownie — jak najbardziej stosownie,

musiała przyznać Romanda — i pośpiesznie odeszła, by dołączyć do czekającej na nią rodziny. Czy naprawdę z jej twarzy zniknęło parę zmarszczek? Cóż, nikt nie miał pojęcia, co się stanie z kobietą, która w jej wieku zacznie zajmować się Mocą. Sześćdziesięciosiedmioletnia nowicjuszka!

— Sprawia ci jakieś trudności? — zapytała Romanda a Tiana podskoczyła, jakby sopel lodu wślizgnął się jej za karczek sukni. Ta kobieta nie miała w sobie nawet śladu godności i powagi koniecznej dla Mistrzynie Nowicjuszek. Czasami sprawiała nadto wrażenie, jakby nadmiar obowiązków ją przytłaczał. Była też zbyt pobłażliwa w sytuacjach, które nie dopuszczały żadnych wymówek.

Tym razem szybko się opanowała, spokojnie ruszyła obok Romandy i tylko jej ręce zupełnie niepotrzebnie wygładzały! szare suknie.

— Trudności? Oczywiście, że nie. Sharina zachowuje się najlepiej ze wszystkich nowicjuszek. Prawdę mówiąc, wszystkie zachowują się dobrze. Większość odsyłanych do mojego gabinetu to matki zdenerwowane tym, że córki uczą się szybciej od nich lub że mają większy potencjał, wreszcie ciotki z tymi samymi zarzutami wobec siostrzenic. Wydaje im się chyba, że te sprawy też można jakoś załatwić. I potrafią być uparte jak oślice, póki nie wytłumaczę im, jakie są konsekwencje tępego uporu wobec siostry. Choć obawiam się, że mimo wszystko większość trafia do mnie częściej niż raz. Kilka przeżyło niemiłe zaskoczenie, gdy okazało się, że nic nie stoi na przeszkodzie, by zostały wychłostane.

— Doprawdy? — wtrąciła roztargnionym głosem Romanda. Zobaczyła właśnie jasnowłosą Delanę, która spieszyła w tą samą stronę. Szal o szarych frędzlach spoczywał na ramionach, obok wędrowała jej tak zwana sekretarka. Delana miała na sobie skromne, szare wełny, natomiast ta nierządnicą Saranov była w zielonych jedwabiach z niebieskimi rozcięciami, które odsłaniały połowę jej łona i opinały nieprzyzwoicie rozkołysane biodra. Ostatnio ta dwójka najwyraźniej przestała udawać, że Halima jest zwykłą służącą Delany. Zaiste teraz gestykulowała żywo, a Delana potakiwała w najpokorniejszy z możliwych sposób. Pokora! Zawsze błędem było wybieranie sobie przyjaciółek do poduszki spośród kobiet, które nie nosiły szala. Zwłaszcza, gdy było się na tyle głupią, by stać się w związku stroną uległą.

— Sharina nie tylko dobrze się zachowuje — paplała radośnie Tiana — ale zdradza też niezwykle zdolności w operowaniu tymi nowymi splotami Uzdrawiania, które wymyśliła Nynaeve. Podobnie jak kilka innych starszych nowicjuszek. Większość to takie czy inne Mądre Kobiety, choć nie rozumiem, dlaczego miałyby to mieć jakieś znaczenie. Jedna jest szlachcianką z Murandy. Romanda potknęła się o własne nogi, chwiejnie dała dwa kroki, wymachując rękoma w poszukiwaniu równowagi. W końcu udało jej się ją odzyskać i poprawiła szal na ramionach. Tiana podała jej rękę, mrucząc coś o nierównych chodnikach, ale Romanda pomocy nie przyjęła. Sharina miała dar nowego Uzdrawiania? I kilka innych kobiet również? Ona sama nauczyła się wprawdzie nowych sposobów, ale tam, gdzie różniły się tak bardzo od starych, że wyuczone pierwotnie umiejętności nie znajdowały zastosowania, okazywało się, iż jej dar zawodzi. A przynajmniej nie sprawdza się równie dobrze jak klasyczne metody.

— A dlaczego nowicjuszkom zezwala się na ćwiczenie tych splotów, Tiano? Tiana splonęła rumieńcem i nic dziwnego. Te sploty były zdecydowanie zbyt skomplikowane dla nowicjuszek, nie wspominając już, że bywały niebezpieczne w przypadku błędów splotu. Niewłaściwie zaaplikowane Uzdrawianie mogło zabić, zamiast wyleczyć.

— Nie bardzo potrafię je powstrzymać przed Uzdrawianiem, Romando — tłumaczyła się Tiana, wykonując dłońmi ruchy, jakby poprawiała szal, którego nie miała na ramionach. — Zawsze są jakieś złamane kończyny albo któryś głupiec poważnie się skaleczy, nie wspominając już o

chorobach, które ostatnimi czasy tak się rozpleniły. Większość starszych kobiet musi tylko raz zobaczyć splot, żeby go powtórzyć. — Znienacka, na mgnienie tylko, czerwień znów zabarwiła jej policzki. — W każdym razie, Romando, nie muszę ci chyba przypominać, że nowicjuszki i Przyjęte należą do mnie. Jako Mistrzynie Nowicjuszek ja decyduję, czego mogą się uczyć i kiedy. Niektóre z tych kobiet mogłyby już być inicjowane na Przyjęte, po kilku ledwie miesiącach nauki. Przynajmniej gdy chodzi o władanie Mocą. Jeżeli postanowiłam, że nie powinny beczynn timerzebrać palcami w butach, jest to moja decyzja.

— Może powinnaś pobiec i się przekonać, czy Sharina nie ma dla ciebie nowych poleceń — chłodno oznajmiła Romanda.

Plamy szkarłatu zabarwiły policzki Tiany, bez słowa odwróciła się i poszła w swoją stronę. Nie była to jeszcze niegrzeczność tak dalece posunięta, że zabraniana przez obyczaj, ale prawie. Nawet oglądana z tyłu, stanowiła ucieleśnienie urazy: plecy sztywne jakby połknęła kij, krok szybki. Cóż, Romanda gotowa była sama przed sobą przyznać, że okazała się niegrzeczna. Ale nie bez powodu.

Starając się zapomnieć o Mistrzynie Nowicjuszek, znów podjęła marsz w kierunku namiotu Komnaty, jednak dbała, by nie iść tak szybko jak Tiana. I parę innych starszych kobiet. Może powinna zastanowić się nad rezygnacją z zajmowanej pozycji? Nie. Oczywiście, że nie. Imiona tamtych żadną miarą nie powinny się znaleźć w księdze nowicjuszek. A trafiły na te karty i najwyraźniej nie bez powodu, skoro z łatwością potrafiły opanować cudowne, nowe sploty Uzdrawiania. Och, to niepojęta gmatwanina. Lepiej już o tym nie myśleć. Przynajmniej na razie.

Namiot stał w centrum obozu, płótno stanowiła wielokrotnie łatana płachta, otaczał go chodnik trzy razy szerszy niż wszystkie pozostałe. Romanda uniosła spódnicę, żeby uchronić je przez zabrudzeniem, i ruszyła na przełaj ku namiotowi. Kiedy stawką było szybsze wydostanie się z błota, pośpiech nie przeszkadzał. Mimo to Aelmara będzie miała mnóstwo roboty z czyszczeniem butów. „I halki” — pomyślała, opuszczając spódnicę i ponownie przywoicie zakrywając kostki.

Słowo o posiedzeniu Komnaty zawsze ściągało na miejsce siostry, chętne poznania najnowszych wieści o negocjacjach czy losie Egwene; również teraz co najmniej pięćdziesiąt zebrało się w towarzystwie Strażników wokół namiotu, kilka weszło do wnętrza, stając za miejscami Zasiadających Komnaty. Nawet tutaj większość otaczało lśnienie Światła Mocy. Jakby wśród tyłu Aes Sedai mogło im grozić jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Romanda stłumiła nagłą ochotę, by przejść się po namiocie i natrzeć kilka par uszu. Tak nie wolno, to jasne. Nawet gdyby odłożyć na bok obyczaje, — czego żadną miarą nie uczyniłaby — fotel w Komnacie nie dawał prerogatyw do podobnego postępowania. Wśród sióstr w oczy rzucała się, Sheriam z wąską, błękitną stulą Opiekunki, wyraźnie odznaczającą się na ramionach, po części pewnie, dlatego, że otaczała ją pusta przestrzeń. Inne siostry unikały spoglądania w jej stronę, a co dopiero zbliżania się. Płomiennowłosa kobieta stanowiła zgorszenie dla wielu sióstr, ponieważ uczestniczyła we wszystkich spotkaniach Komnaty. Prawo w tej kwestii stanowiło jasno. Każda siostra mogła brać udział w posiedzeniach Komnaty, chyba że były to posiedzenia zamknięte, ale Amyrlin nie mogła wejść do Komnaty Wieży nie anonsowana przez Opiekunkę, a Opiekunka nie miała prawa znajdować się w niej bez Amyrlin. Zielone oczy Sheriam jak zwykle zdradzały napięcie, nerwowo i całkiem niestosownie przestępowała z nogi na nogę, niczym nowicjuszka oczekująca na wizytę w gabinecie Mistrzynie Nowicjuszek. Dobrze choć, że nie obejmowała Źródła i że jej Strażnika nie było w pobliżu.

Zanim Romanda weszła do namiotu, zerknęła przez ramię i westchnęła. Formacja czarnych chmur za Górą Smoka zniknęła. Nie rozproszyła się, po prostu zniknęła. Fakt ten zapewne wywołał nową falę paniki wśród stajennych, robotników i służących. Co dziwne, nowicjuszki znacznie łatwiej przechodziły do porządku dziennego nad tego rodzaju zaskakującymi zdarzeniami. Być może, dlatego,

że starały się naśladować siostry, ale ona podejrzewała w tym znów działanie Shariny. Co począć z tą kobietą?

Wewnątrz namiotu osiemnaście pokrytych płótnem skrzynek w barwach sześciu Ajah reprezentowanych w obozie tworzyło podesty dla wypolerowanych lśniąco ławek, ich amfiteatralnie ustawione na dywanach dwa rzędy schodziły w dół ku I skrzyni pokrytej paskami we wszystkich siedmiu barwach. Mimo poważnych sprzeciwów Egwene mądrze postąpiła, nalegając na uwzględnienie czerwieni. Jasne było, że Elaida dąży do odseparowania Ajah od siebie, a Egwene pracuje na rzecz i ich jedności, nie wykluczając nawet Czerwonych. Na drewnianej ławce centralnego podestu znajdowała się siedmio pasiasta stuła Amyrlin. Żadna z kobiet nie przyznała się, że ją tam położyła, ale żadna też nie zdradzała ochoty jej usunąć, i Romanda nie była pewna, czy stuła służy jako reminiscencja Egwene al'Vere, echo jej obecności czy symbol jej nieobecności i uwięzienia. Nie była jedyną z Zasiadających Komnaty, która ociągała się z odpowiedzią na wezwanie Lelaine. Delana oczywiście była już na miejscu; skulona na swojej ławce, pocierała palcem nos, wodniste błękitne oczy patrzyły cokolwiek nieprzytomnie. I Romanda ongiś uznawała ją za rozsądną kobietę. Niezasługującą wprawdzie na fotel, ale rozsądną. Wówczas przynajmniej nie przyprowadzała Halimy na posiedzenia Komnaty i nie dawała jej się sztorcować. Czy może raczej wówczas Halima jeszcze nie miała na to ochoty. Nikt, kto słyszał, jak Halima darła się na Delanę, nie miał wątpliwości, kto komu rozkazuje. Sama Lelaine również zajęła już swoje miejsce na ławie, tuż poniżej miejsca Amyrlin — szczupła kobieta o twardym spojrzeniu, która zazwyczaj niechętnie rozdzielała uśmiechy. Tym bardziej dziwne sprawiała teraz wrażenie, ponieważ coraz to zerkwała w stronę stuły z Siedmioma paskami i uśmiechała się lekko. Na widok tego uśmiechu Romanda poczuła się niepewnie, co nie zdarzało się jej często. Moria w błękitnych wełnach haftowanych srebrem spacerowała w tę i w tę przed podestami pokrytymi błękitem. Czy mars na jej czole był wywołany tym, że wiedziała, dlaczego Lelaine zwołała Komnatę, i nie pochwałała tego, czy też martwiła się, iż nie wie, o co chodzi?

— Widziałam Myrelle w towarzystwie Llywa — powiedziała Malind na widok Romandy i otuliła się ciasno szalem o zielonych frędzlach. — I nie sądzę, bym kiedykolwiek miała przed oczyma siostrę, wyglądającą na równie wstrząśniętą. — Mimo współczucia w głosie, jej oczy błyszczały, a kąciaki pełnych ust unosiły się z rozbawieniem. — Jak ją namówiłaś, żeby nałożyła mu więź zobowiązań? Byłam obecna w chwili, gdy któraś jej to zaproponowała, i przysięgam, że zbladła jak śmierć. Ten mężczyzna mógłby niemal uchodzić za Ogira.

— Wyłącznie obowiązek zmusił mnie, bym to zaproponowała.

Faiselle, przysadzista, o kwadratowej twarzy, wyglądała, jakby mogła każdego do wszystkiego zmusić; zaiste, młot nie kobieta. Stanowiła kpinę ze wszystkich bajek o uwodzicielskich Domani.

— Wskazałam, że z każdą chwilą dzielącą go od śmierci Kairen Llyw staje się coraz bardziej niebezpieczny dla siebie i innych i że tak dalej być nie może. Wy tłumaczyłam jej, że jako jedyna siostra, która uratowała aż dwóch Strażników będących w tym samym położeniu, jest najbardziej odpowiednią kandydatką do następnej próby. Przyznaję, że trochę musiałam ją i zmusić, ale w końcu zrozumiała, że mam rację.

— Jak, na Światłość, potrafiłaś do czegokolwiek przymusić Myrelle? — Malind nachyliła się ciekawie.

Romanda poszła dalej. Jak którakolwiek mogła do czegokolwiek nakłonić Myrelle? Nie. Żadnych plotek.

Janya zajmowała swoją ławkę na miejscach Brązowych, i mrużąc oczy w namyśle. Choć pewne było tylko to, że mrużyła oczy, ta kobieta jednak zawsze się nad czymś zastanawiała, nawet w trakcie

rozmowy. Może to jednak z jej oczami coś było nie w porządku. Reszta ław wciąż pozostawała pusta. Romanda pożałowała, że nie ociągała się bardziej. Powinna być ostatnią na miejscu, a nie jedną z pierwszych.

Przez moment wahała się, ale w końcu podeszła do Lelaine.

— Mogłabyś mi powiedzieć, jaka jest przyczyna zwołania Komnaty?

Lelaine uśmiechnęła się z wyższością, uśmiech był pełen rozbawienia i przez to chyba jeszcze bardziej nieprzyjemny.

— Równie dobrze możesz zaczekać, aż zbiorą się wszystkie siostry i zaczniemy obrady. Nie lubię się powtarzać. Powiem ci tylko tyle, że rzecz zapowiada się dramatycznie. — Jej spojrzenie pobiegło ku pasiastej stule, a Romandę przeszył dreszcz.

Oczywiście nie dała nic po sobie poznać, po prostu zasiadła na swoim miejscu po przeciwnej stronie niż miejsce Lelaine. Nie potrafiła się jednak powstrzymać, żeby samej nie zerkać na stulę. Czy to jakaś intryga, żeby usunąć Egwene? Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, by Lelaine zdołała znaleźć argument, który przekona Romandę i stworzy większy konsens. Podobnie myślały pozostałe Zasiadające Komnaty, ponieważ oznaczałoby to powrót do sytuacji walki o władzę i osłabiłoby ich pozycję wobec Elaidy. Niemniej atmosfera pewności siebie, jaką roztaczała Lelaine, była naprawdę denerwująca. Romanda przywdziała maskę spokoju i czekała. Nie było nic innego do roboty.

Kwamesa właściwie wbiegła do namiotu, na ostronosym obliczu widniało rozczarowanie, że nie jest pierwsza; po chwili dołączyła do Delany. Po niej pojawiła się Salita, ciemnowłosa, chłodnooka, w zielonej sukni z żółtymi rozcięciami i żółtą wolutą haftu przy dekolcie, a potem zaczął się ruch. Majestatycznie wkroczyła Lyrelle, wdzięczna i elegancka w brokatowym, błękitnym jedwabiu i zajęła miejsce wśród Błękitnych; po niej Saroiya i Aledrin z nachylonymi głowami, jak zwykle przysadzista Domani wydawała się omal szczupła przy postawnej Taraboniance. Kiedy zajmowały miejsca na ławach Białych, Samalin o lisiej twarzy dołączyła do Faiselle i Malind, a do namiotu wbiegła drobniutka Escaralde. Wbiegła! Ta kobieta też była z Far Madding. Powinna wiedzieć, jak się zachowywać.

— Varilin jest w Darein, jak mniemam — powiedziała Komanda, gdy Escaralde wspięła się na miejsce obok Janyi. — Ale nawet gdyby jeszcze parę miało się spóźnić, jest nas więcej niż jedenaście. Może zaczniesz, Lelaine, czy chcesz jeszcze poczekać?

— Chętnie zacznę.

— Wnosisz o ogłoszenie formalnego posiedzenia?

Lelaine znowu się uśmiechnęła. Tego ranka jakoś jej to łatwo przychodziło. Ale uśmiechy w niczym nie łagodziły wyrazu twarzy.

— To nie będzie konieczne, Romando. — Nieznacznym gestem wygładziła suknię. — Ale wnoszę, by to, co zostanie tutaj powiedziane, na razie zostało Opieczętowane przez Komnatę. — Wśród rosnących szeregów sióstr za ławami i przed namiotem podniósł się szmer. Nawet niektóre z Zasiadających zdawały się zaskoczone. Jeżeli posiedzenie nie miało formalnego charakteru, dlaczego tak ściśle utajniać to, co zostanie powiedziane?

Niemniej Romanda pokiwała głową, jakby to był najrozsądniejszy wniosek na świecie.

— Niech wyjdą wszystkie, które nie zajmują foteli. Aledrin, zapewnisz nam prywatność?

Mimo jedwabistych ciemnoblonde włosów i wielkich, wilgotnych piwnych oczu Biała siostra z Tarabon nie była szczególnie ładna, miała natomiast, — co znacznie ważniejsze — głowę na karku. Wstała wyraźnie niepewna, czy ma przedstawić formalny wniosek, ostatecznie zadowolona się splotem osłony przed podłuchem, którą otoczyła cały namiot i którą miała przez cały czas trzymać.

Siostry w towarzystwie Strażników wychodziły poza obręb osłon, szmer powoli przycichał, aż w końcu wraz z ostatnią zamilkł zupełnie, zapadła cisza. Później stłoczyły się w prześwicie wejścia, Strażników odpychając na tyły, żeby każda mogła widzieć.

Lelaine poprawiła szal na ramionach i wstała.

— Do obozu przybyła Zielona siostra i wypytywała o Egwene, w końcu skierowano ją do mnie. — Zasiadające z ramienia Zielonych poruszyły się w miejscach, zerkając na siebie i bez wątpienia zastanawiając się, dlaczego siostry nie skierowano do nich. Lelaine udała, że niczego nie dostrzega.

— Nie szukała Zasiadającej na Tronie Amyrlin, ale Egwene al'Vere. Przyniosła ze sobą propozycję, która może uczynić zadość naszym oczekiwaniom, lecz mnie nie chciała wiele zdradzić z jej treści. Moria, może ją przyprowadzisz, żeby zapoznała Komnatę ze swoim przesłaniem? — Usiadła.

Wciąż marszcząc brwi, Moria wyszła z namiotu, a tłumek na zewnątrz rozstał się, by ją przepuścić. Romanda widziała, jak siostry próbują ją wypytywać i jak ona je ignoruje, przechodzi przez ulicę i znika w kwaterach Błękitnych Ajah. Do głowy cisnęły jej się niezliczone pytania, które chętnie zadałaby w przerwie, ale niezależnie od charakteru posiedzenia, na pytania przyjdzie właściwy czas. Jednak inne siostry nie miały zamiaru czekać w milczeniu. Wszystkie Ajah z wyjątkiem Błękitnych zeszły na dół, by się naradzić, i teraz szeptały przyciszonymi głosami. Z wyjątkiem Błękitnych i Żółtych. Salita wstała i chciała podejść do podestu Romandy, ale ta powstrzymała ją gestem. — Nie mamy, o czym rozmawiać, póki nie zapoznamy się z treścią propozycji, Salita.

Twarz Tairenianki była nieodgadniona, niczym wykuta z kamienia, ale po chwili skinęła głową i zajęła swoje miejsce. Nie była mało inteligentna, wręcz przeciwnie. Po prostu się nie nadawała.

W końcu Moria wróciła, w ślad za nią szła wysoka kobieta w ciemnych zieleniach, ciemne włosy zaczesane miała gładko do tyłu i spięte srebrnym grzebieniem, twarz surową i bladą jak kość słoniowa. Wszystkie siostry wróciły na swoje miejsca. Trzej mężczyźni z mieczami przy bokach towarzyszyli nowo przybyłej wśród tłumu przed namiotem, a potem do środka. Bardzo niezwykle. Bardzo niezwykle, jak na sprawy, które Opieczętowano w imię Komnaty. Lecz z początku Romanda nie zwróciła na nich uwagi. Od czasu śmierci swojego Strażnika, wiele lat temu, mężczyźni jej nie interesowali. Jednak wśród Zielonych któraś westchnęła, a Aledrin pisnęła. Naprawdę pisnęła! I nie odrywała oczu od tych Strażników. Musieli, bowiem być Strażnikami, i to nie tylko, dlatego, że towarzyszyli Zielonej. Śmiertelnej gracji Strażników nie sposób było z niczym pomylić. A więc Romanda przyjrzała się uważniej i omal sama nie westchnęła. Mężczyźni nie mogli być bardziej od siebie różni, jedyne łączące ich podobieństwo polegało na tym, co wspólnego mają pantera i lew, niemniej jeden z nich, śliczny opalony chłopiec z włosami zaplecionymi w cienkie warkoczyki i odziany w nieskazitelną czerń, miał dwie szpilki przy wysokim kołnierzu kaftana — srebrny miecz i jakąś wężową czerwonożółtą istotę z bujną grzywą. Słyszała dość opisów, by wiedzieć, że ma przed sobą Asha'mana. Asha'mana, na którego najwyraźniej nałożono więź zobowiązań. Malind zebrała suknie, zbiegła na dół, a potem pomknęła ku wyjściu i zniknęła w tłumie sióstr. Z pewnością nie mogła się bać! Choć Romanda musiała sama przed sobą przyznać, że też czuje się odrobinę nieswojo.

— Nie jesteś jedną z nas — powiedziała Janya, jak zawsze odzywając się wtedy, gdy należało zmilczeć. Pochyliła się naprzód, zmrużonymi oczyma mierząc nową siostrę. — Czy mam więc rozumieć, że nie przybyłaś się do nas przyłączyć?

Usta Zielonej zacisnęły się w nieskrywanej odrazie.

— Dobrze rozumiałaś — odrzekła z silnym tarabońskim akcentem. — Na imię mam Merise Haindehl i jeśli o mnie chodzi, nie stanę przy boku żadnej siostry, która występuje przeciwko innej

siostrze, nie bacząc, iż waży się los świata. Naszym wrogiem jest Cię, a nie kobiety, które jak my noszą szale.

Po namiocie poniosły się szmery, jedne gniewne, inne, jak uznała Romanda, zawstydzone.

— Jeżeli kwestionujesz nasze poczynania — ciągnęła dalej Janya, jakby miała prawo pierwszeństwa głosu przed Romandą — dlaczego w ogóle kłopotujesz się przywożeniem nam jakichkolwiek propozycji?

— Ponieważ Smok Odrodzony poprosił o to Cadsuane, a Cadsuane poprosiła mnie — odrzekła Merise. Smok Odrodzony? W namiocie zapanowała nieomal dotykalna atmosfera napięcia, ale kobieta kontynuowała, jakby nic nie czuła. — Dokładniej mówiąc, słowa to nie jest moja propozycja. Jahar, przemów do nich.

Opalony chłopiec wystąpił naprzód, a kiedy mijał Merise, ta poklepała go po ramieniu gestem dodającym otuchy. Romanda poczuła nagły napływ szacunku dla tej kobiety. Już nałożenie więzi Asha'manowi stanowiło osiągnięcie nie lada. Poklepanie takiego po ramieniu, jak klepie się myśliwskiego psa wymagało odwagi i pewności siebie, jakich Romanda zapewne nie potrafiłaby w sobie znaleźć.

Chłopiec wyszedł na środek namiotu, przez cały czas wpatrując się w miejsce, gdzie leżała stula, Amyrlin. Staął, obrócił się powoli, mierząc siostry śmiałym wzrokiem. Romanda zdała sobie sprawę, że on również niczego się nie boi. Aes Sedai dźwżyła jego więz zobowiązań, był sam w otoczeniu sióstr i jeśli nawet zrodził się w nim lęk, to młodzieniec miał go pod całkowitą kontrolą.

— Gdzie jest Egwene al'Vere? — zapytał. — Rozkazano mi, abym ofertę przedstawił jej samej.

— Matka nie jest w tej chwili osiągalna — gładko odpowiedziała Romanda. — Możesz powiedzieć nam, a my przekazemy jej twoje słowa, najszybciej jak się da. Oferta pochodzi od Smoka Odrodzonego?

I Cadsuane. Odpowiedź na pytanie, co ta kobieta robi w towarzystwie Smoka Odrodzonego, musiała zaczekać.

Zamiast odpowiedzieć, warknął coś i odwrócił się ku Merise.

— Jakiś mężczyzna właśnie próbował podsłuchiwać — rzekł. — A może to był ten Przeklęty, który zabił Ebena.

— Ma rację — wtrąciła Aledrin nieco drżącym głosem. A przynajmniej coś właśnie dotknęło moich osłon i nie był to *saidar*.

— On przenosi? — zapytał z niedowierzaniem czyjś głos. Wśród Zasiadających Komnaty nastąpiło lekkie zamieszanie, kilka otoczyła poświęta Mocy.

Znienacka wstała Delana.

— Muszę odetchnąć świeżym powietrzem — oznajmiła, patrząc na Jahara takim wzrokiem, jakby mu chciała rozszarpać gardło.

— Nie ma powodów do niepokoju — próbowała ją uspokajać Romanda, ale sama nie do końca wierzyła we własne słowa. Delana z szalem na ramionach już wybiegała z namiotu. W wejściu minęła się z Malind i Nacelle, wysoką, szczupłą Malkierką, jedną z garstki tej nacji, jakie przebywały w Wieży. W próżnych planach pomszczenia ziemi rodzinnej wiele ich przez lata zginęło po tym, jak Malkier dostała się pod panowanie Cienia, dopływ nowicjuszek z konieczności był mizerny, Nacelle nie była szczególnie inteligentna, niemniej Zielone nie potrzebowały inteligencji, jeno odwagi.

— To posiedzenie odbywa się pod Pieczęcią Komnaty, Malind — ostro zauważyła Romanda.

— Nacelle wystarczy chwila — odparowała Malind, zacierając ręce. Zwłaszcza irytujące było, że nawet nie spojrzała na Romandę, nie spuszczając oka z Zielonej towarzyszki. — To jej pierwsza

szansa na przetestowanie nowego splotu. Dalej, Nacelle. Zrób to.

Szczupłą siostrę otoczyła poświata *saidara*. Wstrząsające! Ta kobieta ani nie poprosiła o pozwolenie, ani nie wyjaśniła, jaki wykona splot, choć przecież istniały ścisłe regulacje dotyczące używania Mocy w Komnacie. Tamta przeniosła wszystkie Pięć Mocy i splotła wokół Asha'mana coś, co przypominało splot wykrywający residua Mocy, o którym Romanda niewiele wiedziała.

— On przynosi — szepnęła. — A przynajmniej utrzymuje *saidina*.

Jakby kierowane własną wolą brwi Romandy uniosły się. Nawet Lelaine jęknęła. Potrafiących przynosić mężczyzn wykrywano, właśnie analizując residua ich poczynań z Mocą a potem pracownicy zawężając krąg podejrzanych. Przynajmniej kiedyś tak się działo. Naprawdę cudowne. Tak było, zanim potrafiący przynosić mężczyźni wdziali czarne kaftany i zaczęli swobodnie biegać po świecie. Niemniej dzięki splotowi można było zniwelować jedyną przewagę, jaką ci mężczyźni mieli nad Aes Sedai. Asha'mana całe te zabiegi z pozoru nie interesowały. Wargi wykrzywił grymas, który mógł być uśmiechem.

— Możesz mi powiedzieć, co on przynosi? — zapytała i ku jej rozczarowaniu Nacelle pokręciła głową.

— Myślałam, że splot nam to powie, ale się myliłam. Z drugiej strony... Ty, tam, Asha'manie. Sięgnij strumieniem ku jednej z Zasiadających Komnaty. Uważaj, nic niebezpiecznego, i nie dotykaj jej.

Merise popatrzyła na nią wściekle, wsparła pięści na biodrach. Może Nacelle nie zorientowała się, że to jeden z jej Strażników. Z pewnością ten gest nie dopuszczał sprzeciwu.

Jahar otworzył usta, w jego oczach wezbrał upór.

— Zrób to, Jahar — powiedziała Merise. — On jest mój, Nacelle, ale pozwolę ci wydać mu rozkaz. Tym razem. — Nagle Nacelle zrobiła taką minę, jakby przeżyła wstrząs. Najwyraźniej nie zdawała sobie z niczego sprawy.

Jeśli zaś o Asha'mana chodzi, uparte spojrzenie wprawdzie nie zniknęło z jego oczu, jednak musiał posłuchać polecenia, ponieważ w pewnym momencie Nacelle klasnęła w dłonie i roześmiała się.

— Saroiya — powiedziała podniecona. — Sięgnąłeś strumieniem ku Saroiyi. Biała Domani. Mam rację?

Miedziane oblicze Saroiyi powlekła bladość, otuliła się szalem o białych frędzlach i skuliła na ławce, jakby chciała zniknąć wszystkim z oczu. Jeśli już o tym mowa, to Aledrin też chyba się dokądś wybierała.

— Powiedz jej — poleciła Merise. — Jahar potrafi być uparty, ale to dobry chłopak.

— Biała Domani — zgodził się niechętnie Jahar. Saroiya zachwiała się, jakby zaraz miała zemdleć, on popatrzył na nią pogardliwie. — To był tylko Duch i od dawna już go nie ma.

Oblicze Saroiyi dla odmiany pociemniało, ale czy z gniewu, czy zawstydzenia, nie sposób było stwierdzić.

— Niezwykle odkrycie — stwierdziła Lelaine. — I pewna jestem, że Merise pozwoli ci dalej z nim eksperymentować, Nacelle, teraz jednak Komnata musi się zająć swoimi sprawami. Pewna jestem, że się ze mną zgodzisz, Romanda.

Romanda ledwie się opanowała, by nie popatrzeć na tamtą wilkiem. Lelaine coś za często wysuwała się przed nią. — Jeśli to już koniec pokazu — powiedziała — to możesz odejść, Nacelle. — Zielona Malkierka ociągała się z wyjściem, być może dlatego, że potrafiła odczytać z wyrazu twarzy Merise, iż żadnych dalszych testów nie będzie... a przecież naprawdę ze wszystkich kobiet to właśnie Zielone powinny najlepiej wiedzieć, że nie robi się nic ze Strażnikiem innej siostry... lecz oczywiście nie miała wyboru.

— Jaką więc propozycję ma dla nas Smok Odrodzony, chłopcze? — zapytała Romanda, gdy Nacelle znalazła się po drugiej stronie osłon antypodśluchowych.

— Oto ona — odparł, dumnie patrząc jej w oczy. — Każda siostra wierna Egwene al'Vere może nałożyć więź zobowiązań na Asha'mana, w ostatecznej liczbie czterdziestu siedmiu. Smok Odrodzony nie wchodzi w grę ani żaden mężczyzna noszący smoka, ale żaden Żołnierz czy Oddany nie będzie mógł wam odmówić.

Romanda poczuła, jakby właśnie z jej płuc odeszło wszelkie powietrze.

— Zgadza się, że zadowala to nasze oczekiwania? — zapytała z całkowitym spokojem Lelaine. Ta kobieta od początku musiała wiedzieć, o co chodzi; żeby szezła.

— Zgadzam się — odpowiedziała Romanda. Z pomocą czterdziestu siedmiu przenoszących mężczyzn będzie można znacznie poszerzyć kręgi. Być może nawet do rozmiaru, w którym obejmą wszystkich czterdziestu siedmiu. A jeśli nawet pojawią się jakieś ograniczenia, inaczej niż poprzez praktykę się ich nie pozna.

Faiselle wstała, jakby odbywało się posiedzenie formalne.

— To domaga się debaty. Wnoszę o zwołanie posiedzenia formalnego.

— Nie widzę potrzeby — sprzeciwiła się Romanda, nie wstając. — To jest znacznie lepsza propozycja niż to... co wcześniej ustaliłyśmy. — Nie ma sensu mówić zbyt wiele w obecności tego chłopca. Tudzież Merise. Co ją łączyło ze Smokiem Odrodzonym? Może jest jedną z sióstr, które złożyły mu przysięgę wierności?

Zanim jeszcze Romanda skończyła mówić, Saroiya już stała.

— Wciąż pozostaje kwestia odpowiedniego paktu, który zagwarantuje nam kontrolę nad sytuacją. Wciąż nie ma zgody względem treści takiego paktu.

— Osobiście sądzę, że więź Strażnika czyni wszelkie inne punkty całkowicie nieistotnymi — sucho oznajmiła Lelaine.

Faiselle powstała gwałtownie, ona i Saroyia zaczęły mówić jedna przez drugą.

— Skaza... — Urwały, patrząc na siebie podejrzliwie.

— *Saidin* jest czysty — poinformował je Jahar, choć nikt nie zwracał się do niego o opinię. Merise naprawdę powinna nauczyć chłopaka manier, jeśli już przyprawdza go na posiedzenie Komnaty. — Czysty? — zapytała kpiąco Saroiya.

— Był skażony przez ponad trzy tysiące lat — wtrąciła ostro Faiselle. — Jak może teraz być czysty?

— Spokój! — warknęła Romanda, próbując odzyskać kontrolę nad przebiegiem posiedzenia. — Spokój! — Patrzyła na Saroiyę i Faiselle, póki nie usiadły, potem zwróciła się do Merise. — Czy mogę przyjąć, że łączyłaś się z nim?

Zielona siostra skinęła głową. Ewidentnie nie przepadała za towarzystwem, w którym się znalazła, i nie zamierzała wdawać się w pogawędkę.

— Możesz nas zapewnić, że *saidin* nie ma na sobie skazy? Tamta nawet się nie zawahała.

— Mogę. Trochę czasu mi zabrało, zanim się upewniłam. Męska część Mocy jest bardziej obca, niż potraficie sobie wyobrazić. Nie jest to bezlitosna, ale delikatna moc *saidara*, raczej wściekłe morze ognia i lodu smagane sztormem. Niemniej mogę was zapewnić. Jest czysty.

Komanda wypuściła długo wstrzymywany oddech. Cud jako równowaga dla szeregu koszmarów.

— Nie uczestniczymy w posiedzeniu formalnym, ale poddaję sprawę pod głosowanie. Która wstanie, żeby zaakceptować propozycję? — Zanim skończyła, już stała, Lelaine jednak ją wyprzedziła, a Janya je obie. Po chwili stały wszystkie, wyjąwszy Saroiyę i Faiselle. Za osłonami antypodśluchowymi głowy wyciągały się w ich stronę, siostry bez wątplenia zastanawiały się, nad czym głosowano.

— Odtąd obowiązuje mniejszy konsens, oferta zaś nałożenia więzi zobowiązań na czterdziestu siedmiu Asha'manów jest w mocy. — Saroiya zgarbiła ramiona, a Faiselle westchnęła ciężko.

W imię jedności wezwała do ustalenia większego konsensu, choć nie poczuła zaskoczenia, gdy tamte dwie nie ruszyły się z ławek. Konsekwentnie i na każdym etapie sprzeciwiały się projektowi zbliżenia z Asha'manami, wbrew prawu i obyczajom próbując powstrzymać ten proces, mimo wcześniej podjętej decyzji. Tak czy siak, dokonano się, bez potrzeby wchodzenia nawet w tymczasowy sojusz. Wiąż zobowiązań trwał oczywiście całe życie, niemniej lepsza jest niż dowolny sojusz. Sojusz zakładał zbyt wielką równość stron.

— Osobliwa liczba, czterdzieści siedem — zadumała się Janya. — Mogę zadać pytanie twojemu Strażnikowi, Merise? Dziękuję. Skąd Smok Odrodzony wziął tę liczbę?

„Dobre pytanie” — pomyślała Romanda. W oszołomieniu, jakie poczuła, gdy okazało się, że nie istnieje potrzeba nawiązywania autentycznego partnerstwa, jakoś jej to umknęło.

Jahar wyprostował się, jakby od dawna na to pytanie czekał i bał się, jaka będzie reakcja na odpowiedź.

— Jak dotąd Asha'mani nałożyli więzi zobowiązań na pięćdziesiąt jeden sióstr, a czterech z nas pozostaje związanych z Aes Sedai. Różnica wynosi czterdzieści siedem. Było nas pięciu, ale jeden zginął w obronie swej Aes Sedai. Niech jego imię przetrwa w waszej pamięci. Nazywał się Eben Hopwil. Zapamiętajcie go!

W ławach zaległa martwa cisza. Romanda poczuła zimną kluchę w żołądku. Pięćdziesiąt jeden sióstr? Na które Asha'mani nałożyli więzi zobowiązań? To jakaś ohyda!

— Zachowuj się, Jahar! — warknęła Merise. — Nie zmuszaj mnie, bym cię znowu napominała!

Zdumiewające, ale nie położył uszu po sobie. — Muszą wiedzieć, Merise. Muszą wiedzieć! — Odwrócił się i powiódł wzrokiem po ławach. Jego oczy gorzały. Niczego się nie bał. Był wściekły, wciąż. — Eben był połączony z Daigian i Beldeine, a to Daigian kontrolowała po łączenie, więc kiedy stanęli naprzeciwko jednej z Przeklętych, mógł tylko krzyknąć: „Ona przenosi *saidina*” i zaatakować ją mieczem. I mimo wszystkiego, co mu zrobiła, umęczony strasznie, wytrwał, nie wypuścił *saidina* dostatecznie długo, by Duigian tamtą odpędziła. A więc zapamiętajcie jego imię! Eben Hopwil. Walczył o swoją Aes Sedai długo po tym, jak powinien paść martwy!

Kiedy umilkł, przez dłuższy czas panowała cisza, póki na koniec Escaralde cicho nie powiedziała:

— Zapamiętamy go, Jahar. Ale jak doszło do tego, że Asha'mani nałożyli... pięćdziesięciu jeden siostrom więzi zobowiązań? — Pochyliła się naprzód, jakby oczekiwała, że odpowiedź będzie równie cicha.

Chłopak wzruszył ramionami, wciąż zły. Dla niego fakt, że Asha'mani nakładali Aes Sedai więzi, nie miał większego znaczenia.

— Elaida posłała je, by nas zniszczyły. Obowiązuje stały rozkaz Smoka Odrodzonego, że żadnej Aes Sedai nic się nie może stać, chyba, że pierwsza spróbuje któremuś z nas coś zrobić, więc Taim postanowił je schwytać i nałożyć im więzi zobowiązań, zanim czegoś spróbują.

No, tak. To były poplecniczki Elaidy. Czy to robi różnicę?

W jakimś sensie, choć niewielką. Ale każda siostra w rękach Asha'manów pozwalała postawić na nowo kwestię równości w tym partnerstwie, a na to nie można było pozwolić.

— Ja też chciałabym mu zadać pytanie, Merise — poprosiła Moria i poczekała, aż Zielona skinęła głową.

— Dwukrotnie wspomniałaś o kobiecie, która rzekomo przenosiła *saidina*. O co chodzi? To niemożliwe. — Zgodny szmer poniósł się po namiocie.

— Może i jest to niemożliwe — odparł chłodno chłopak — Ale tak właśnie było. Przenosiła.

Daigian doniosła nam o tym, co powiedział Eben, i potwierdziła, że niczego nie widziała, nawet gdy tamta kobieta przenosiła. To musiał być *saidin*.

Nagle znów ten sam dzwoneczek zadźwięczał w głębi głowy Romandy i zrozumiała, gdzie słyszała imię Cabriany Mcandes.

— Natychmiast trzeba zarządzić aresztowanie Delany i Halimy — rzekła.

Oczywiście musiała im przedstawić uzasadnienie. Nawet Tron Amyrlin nie miał prawa bez uzasadnienia aresztować Zasiadającej Komnatę. A więc: dokonane przy użyciu *saidina* morderstwa dwu sióstr, przyjaciółek Cabriany, z którą Halima też się ponoć przyjaźniła; Przekłeta władająca męską połową Mocy. Z początku były raczej nieprzekonane, zwłaszcza Lelaine, ale przeszukanie obozu nie zaowocowało znalezieniem którejkolwiek z kobiet. Widziano je, jak szły w kierunku terenów Podróżowania — Delana i jej służąca niosły za Halimą ciężkie tobołki — a potem ślad po nich zaginął.

ROZDZIAŁ 7

HERBATA Z MIODEM

Egwene od samego początku zdawała sobie sprawę, iż jej] dziwna niewola będzie trudna, wierzyła wszak, że najłatwiej poradzi sobie z bólem, który nauczyła się pokonywać na modłę Aielów. Jakkolwiek patrzeć, została mocno pobita w ramach *toh*, który miała wobec Mądrych za swe kłamstwa. Dobrze pamiętała, jak biły ją jedna po drugiej, ale pamiętała też, że potrafiła to wytrzymać. Lecz opanowanie bólu nie polegało na uleganiu mu zamiast przeciwstawiania się. Należało pozwolić, by wniknął głęboko w każdą komórkę ciała, i otworzyć się nań, jak na część samej siebie. Aviendha mówiła, że trzeba być zdolnym uśmiechać się i śmiać z radości lub śpiewać, mimo iż ciałem targają najstraszliwsze boleści. To już nie było takie proste.

Ale starała się, jak mogła, owego pierwszego poranka przed świtem w komnacie Silviany, gdy Mistrzynie Nowicjuszek tłukła jej gołe pośladki pantoflem o twardej podeszwie. Wcale nie próbowała powstrzymać szlochów ani też — później — nieartykułowanego krzyku. Kiedy miała ochotę wierzgać nogami, wierzgała, a gdy Mistrzynie Nowicjuszek niezdarnie, z uwagi na obszerne spódnice, zablokowała je swoją nogą, tylko bębniła palcami o podłogę, rzucając wściekle głową. Usiłowała wchłonąć ból w siebie, wciągnąć go niczym oddech. Ból stanowił równie ważną część życia. Tak przynajmniej pojmowali życie Aielowie. Jednak, o Światłości, jakże bolało!

Kiedy w końcu, po czasie, który wydawał się nieomal wiecznością, mogła się wyprostować, wstała i skrzywiła się, gdy halka i sukienka urażały obolałe ciało. Biała wełna zdawała się ciężka na podobieństwo ołowiu. Próbowała również poddać się piekącemu do żywego gorącu, wchłonąć je, jak poprzednio ból. Nie poszło łatwo. Wręcz przeciwnie, było strasznie trudno. Dopiero po chwili,

ku własnemu zdumieniu przekonała się, że jej szloch ucichł, jakby kierowany własną wewnętrzną logiką a strumienie łez zmienacka wyschły. Przestała pochlipywać; i spazmować. Przeglądała się w wiszącym na ścianie lustrze o ramach z obłazającej pozłoty. Ile tysięcy kobiet zaglądało do niego przez lata. Od tych, którym karę wymierzano w tym pokoju, oczekiwano zawsze, że po zakończeniu przyjrzą się uważnie własnemu odbiciu i zastanowią, dlaczego zostały ukarane. Ona jednak spojrzała do lustra z innych powodów. Twarz miała w dalszym ciągu zaczerwienioną, mimo to wyglądała właściwie na... spokojną. Pomimo piekącego bólu w pośladkach. Naprawdę czuła się spokojna. Może powinna zaśpiewać? Chyba lepiej nie. Ostrożnie otarła policzki lnianą chusteczką, którą wyciągnęła z rękawa.

Silviana zmierzyła ją wzrokiem pełnym satysfakcji, zanim odłożyła pantofel z powrotem do wąskiej szafki naprzeciw zwierciadła.

— Mam nadzieję, że od pierwszej chwili udało mi się zwrócić twoją uwagę, w przeciwnym razie postąpiłabym bardziej stanowczo — rzuciła oschle, głaszcząc kok z tyłu głowy. — W każdym razie sądzę, że nieprędko się zobaczymy. Zapewne zainteresuje cię, że zadałam pytania, o których wspomniałaś. Zresztą Melare mnie uprzedziła. Ta kobieta to sama Leane Sharif, choć Światłość tylko wie, jakim sposobem... — Urwała, pokręciła głową i obróciwszy o sto osiemdziesiąt stopni krzesło stojące za biurkiem, siadła z powrotem. — Bardziej niepokoi się o ciebie niż o samą siebie. Możesz ją odwiedzić w wolnej chwili. Oczywiście nie wiadomo, czy w ogóle będziesz mieć czas dla siebie. Wydam odpowiednie polecenia. Przebywa w otwartej celi. A teraz radzę ci się pospieszyć, jeżeli w ogóle chcesz coś zjeść, zanim zacznie się pierwsza lekcja.

— Dziękuję — powiedziała Egwene i ruszyła ku drzwiom. Silviana westchnęła ciężko.

— A ukłon, dziecko? — Maczając pióro w kałamarzu ze srebrnym wieczkiem, zaczęła pisać w księdze kar, schludnym, bardzo czytelnym pismem. — Zobaczymy się po południu. Zapowiada się na to, że swoje pierwsze posiłki w Wieży spożyjesz na stojąco.

Egwene mogła na tym poprzestać, jednak tej nocy, gdy czekała, aż wszystkie siostry przybędą do sali w *Tel'aran'rhiod*, doszła do wniosku, że tak naprawdę czeka ją wędrówka po bardzo cienkiej linie. Miała zamiar walczyć, musiała to jednak czynić, stwarzając pozory, że wypełnia narzucone obowiązki. Które wypełniać będzie, tyle że w pewnym określonym zakresie. W granicach wyznaczonych przez nią samą. Konsekwentny sprzeciw wobec wszystkich poleceń skończyłby się tym, że traktowano by ją jak krnąbrną dziewczynkę, — a zapewne również zamknięciem w celi. W celi, gdzie nikomu na nic by się nie przydała. Jeśli chce zachować jakieś pozory powagi, niektórych poleceń za nic nie wolno jej wypełniać. A godność jest najważniejsza. Nie tylko jej pozory. Nie wolno dopuścić, by zanegowały to, kim jest, jakkolwiek by się starały.

— Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie kłania się przed nikim — oznajmiła spokojnie, doskonale wiedząc, jakiej reakcji należy oczekiwać.

Rysy twarzy Silviany ściągnęły się, znowu wzięła pióro do ręki.

— A więc spotkam się z tobą w porze obiadu. Radzę ci oddalić się bez dalszych słów, jeżeli nie chcesz spędzić całego dnia przełożona przez moje kolano.

Egwene wyszła bez słowa. I bez ukłonu. Cienka lina, jak drut nad głęboką przepaścią. A ona musi po niej iść.

Ku swemu zdumieniu, przed gabinetem Mistrzynie Nowicjuszek zobaczyła Alviarin, przechadzającą się w tą i w tę po korytarzu. Na ramionach miała szal z białymi frędzlami, kuliła się w sobie i wpatrywała niewidzącym wzrokiem w przestrzeń. Wiedziała, że ta kobieta przestała już być Opiekunką Kronik Elaidy, ale nie знаła powodów tak raptownej dymisji. Przeszpiegi w *Tel'aran'rhiod* przyniosły tylko strzępy spojrzeń i urywki rozmów. Pod bardzo wieloma względami Świat Snów Stanowił wyłącznie niewyraźne odbicie świata jawy. Z pewnością Alviarin słyszała jej

krzyki, ale — o dziwo — Egwene nie czuła wstydu. Uczestniczyła w dziwacznej bitwie, a w bitwie żołnierze odnoszą rany. Biała siostra, zazwyczaj lodowata, dziś wcale nie wydawała się tak nieprzystępna. Wręcz przeciwnie, z rozwartymi ustami i płonącymi oczyma sprawiała wrażenie nadzwyczaj poruszonej. Egwene nie ukloniła się jej, a Alviarin przed wejściem do komnaty Silviany obrzuciła ją pojedynczym złośliwym spojrzeniem. Spacer po cienkiej linie.

W głębi korytarza stały dwie Czerwone siostry i obserwowały ją. Jedna miała okrągłą twarz, druga była szczupła, szale spływały z ramion obu, więc z daleka widać było czerwone frędzle. Nie były to te same dwie, które widziała po przebudzeniu, ale ich obecność nie mogła stanowić czystego przypadku. Nie były jej strażniczkami w dokładnym tego słowa znaczeniu, z drugiej strony, kim niby innym miały być? Im też się nie ukloniła. Odprowadziły ją beznamiętnymi spojrzeniami.

Nie przeszła jeszcze pół tuzina kroków po posadzce wykładanej czerwono-zielonymi płytkami, kiedy z tyłu dobiegł ją; krzyk bólu jakiejś kobiety, słabo tłumiony przez ciężkie drzwi prowadzące do komnaty Silviany. A więc rozpoczęła się pokuta Alviarin, którą ta najwyraźniej znosiła źle, wnioskując z tego, jak szybko i rozpaczliwie zaczęła krzyczeć. Chyba, że także próbowała wchłonąć ból na modłę Aielów, ale to wydawało się mało prawdopodobne. Egwene pożałowała, że nie wie, dlaczego Alviarin odbywa pokutę oraz czy jest ona dobrowolna, czy zadana. Generał miał zwiadowców, a także siatki szpiegowskie, dostarczające mu informacji o wrogu. Ona miała tylko własne oczy i uszy oraz całą wiedzę, jaką mogła zdobyć w Niewidzialnym Świecie. Niemniej użyteczny mógł się okazać każdy okruch informacji, niczego nie wolno lekceważyć.

Śniadanie śniadaniem, najpierw postanowiła powrócić do swej niewielkiej komnaty w kwaterach nowicjuszek, by przemyć twarz zimną wodą z umywalni i uczesać włosy. Grzebień, który cały czas nosiła w sakiewce u paska, był jedną z nielicznych rzeczy osobistych, które pozwolono jej zatrzymać. Odzież, którą nosiła, gdy ją pojmano, zniknęła gdzieś nocą. W to miejsce pojawiła się biel nowicjatu, lecz suknie i bielizna zawieszona na kołkach w białej ścianie należały wcześniej do niej. Trafiły do magazynu, gdy została wyniesiona do rangi Przyjętej. Wiedziała o tym, ponieważ w lamówki wszyte były drobne etykiety z jej imieniem. Rozrzutność była całkowicie obca Wieży. Nigdy nie wiadomo, kiedy okaże się, że garnitur starych ubrań pasuje na jedną z nowo przybyłych. Wszak konieczność noszenia bieli nowicjatu nie czyniła z niej nowicjuszką, cokolwiek sądziły na ten temat Elaida i pozostałe. Zdecydowała, że jest gotowa do wyjścia dopiero wtedy, gdy z policzków znikną resztki czerwieni, sama zaś poczuła się w pełni opanowana. Kiedy ma się niewiele broni, wygląd zewnętrzny może służyć za oręż. Te same dwie Czerwone siostry czekały na ogrodzonej balustradą galerii — nieodłączne cienie.

Refektarz nowicjuszek położony była na najniższym poziomie Wieży, tuż obok głównej kuchni. Była to duża komnata o białych ścianach i surowym wystroju, choć płytki posadzki mieniły się wszystkimi barwami Ajah; całą salę wypełniały stoły, przy każdym na niewielkich ławeczkach z powodzeniem zasiąść mogło sześć do ośmiu kobiet. I właśnie siedziały — sto lub więcej odzianych w biel, szczebioczących do siebie nad talerzami. Elaida musi być urzeczona tak wielką liczbą kobiet. Wieża od wielu już lat nie gościła tylu nowicjuszek. Bez wątplenia wieści o rozłamie w Wieży zasiały wątpliwości w wielu głowach, skłaniając do rezygnacji z podróży do Tar Valon. Egwene nie była pod większym wrażeniem. Śniadające nie zajmowały nawet połowy wszystkich miejsc przy stołach, zaś jedno piętro wyżej mieścił się kolejny refektarz, od wieków już nieotwierany. Kiedy ona obejmie wreszcie władzę w Wieży, znów trzeba będzie uruchomić drugą kuchnię, a nowicjuszki będą jadać w dwóch turach — rzecz niesłychana od czasów poprzedzających Wojny z Trollokami.

Ledwie weszła do środka, Nicola od razu ją dostrzegła, jakby jej wyczekiwała. Łokciami odsunęła siedzące obok nowicjuszki. Powoli sala milkła, jakby przechodziła po niej fala ciszy, wszystkie

głowy zwróciły się w stronę idącej główną nawą Egwene. Ta nie oglądała się ani w prawo, ani w lewo.

Naraz, w połowie drogi przez komnatę, niska, szczupła nowicjuszka o długich ciemnych włosach podstawiała jej nogę. Egwene zachwiała się. Cudem odzyskawsz y równowagę, odwróciła się i spojrzała zimno. Kolejna potyczka w wielkiej wojnie. Kobieta miała jasną cerę Cairhienianki. Z bliska Egwene widziała, że tamtą wkrótce czeka inicjacja Przyjętej, chyba że jej konto obciążały inne wady. Ale Biała Wieża dobrze wiedziała, jak sobie z nimi radzić.

— Jak masz na imię? — zapytała. — Alvistere — odparła młoda kobieta. Akcent potwierdzał to, co można było wnosić z jasnej cery. — Dlaczego pytasz? Żeby donieść Silvianie? To na nic. Żadna nie piśnie ani słówkiem, że cokolwiek widziała.

— To strasznie przykre, Alvistere. Chcesz zostać Aes Sedai i zrezygnować z możliwości kłamania, a jednocześnie pragniesz, aby inne kłamały za ciebie. Nie dostrzegasz w tym sprzeczności?

Twarz Alvistere poczerwieniała.

— Kim jesteś, aby mnie pouczać?

— Jestem Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Więźniarka, mimo to wciąż Zasiadająca na Tronie Amyrlin.

Olbrzymie źrenice Alvistere rozszerzyły się, po sali przeszedł szmer. Egwene skierowała kroki ku kuchni. Najwyraźniej nie wierzyły, że odziana w biel i sypiająca razem z nimi, wciąż nie zrezygnuje z pretensji do tytułu Amyrlin. Lepiej jak najszybciej rozwiązać ich złudzenia

Kuchnia była wielka, z wysokim sufitem i posadzką wykładaną szarymi płytkami, rozna nad długim, kamiennym paleniskiem nie pracowały, ale żelazne piece i piekarniki emitowały dość ciepła, by natychmiast się spociła, gdyby wcześniej nic opanowała techniki nie pocenia się. Kiedyś dość się napracowała w tej kuchni, nie miała większych wątpliwości, że teraz przyjdzie jej tu wrócić w tej samej roli. Z trzech stron otaczały kuchnię refektarze — Przyjętych, Aes Sedai, nowicjuszek. Laras, Mistrzyni Kuchni, przechadzała się po niej kaczkowatym chodem. Miała spoconą twarz i nienagannie biały fartuch; jego płótna starczyłoby na trzy suknie nowicjuszek; wymachiwała długą, drewnianą łyżką niczym berłem, znamionującym władzę nad kucharkami, podkuchennymi oraz pomywaczkami, które wykonywały jej rozkazy równie skwapliwie, co prawdziwi dworzanie królowej. Pewnie nawet bardziej ochoczo. Wydawało się mało prawdopodobne, by jakkolwiek władczyni wymierzyła komuś berłem klapsa za opieszałość.

Na tace wędrowała ogromna z pozoru ilość jedzenia, jedne tace były z kutego srebra, inne z rzeźbionego i pozłacanego drewna, kobiety wносиły je przez drzwi do głównej sali jadalnej sióstr. Nie były to podkuchenne z białym Płomieniem Tar Valon wyhaftowanym na łonach, lecz kobiety szacowne, otulone w doskonale skrojone wełniane tkaniny, z jaśniejącymi akcentami upiększeń, osobiste służące sióstr, które podejmą zmusną wspinaczkę w drodze do kwater Ajah.

Aes Sedai mogły, jeśli chciały, jadać w swoich pokojach, choć zazwyczaj wiązało się to z uciążliwym odgrzewaniem potraw. Większość wołała podczas posiłków cieszyć się towarzystwem. Tak przynajmniej było kiedyś. Teraz nieprzerwany strumień kobiet, niosących przykryte tkaniną tace stanowił po twierdzeniu faktu, że Białą Wieżę pokryła pajęczna sieć pęknięć. Powinna w związku z tym odczuwać satysfakcję. Elaída stała na podwyższeniu, gotowym w każdej chwili runąć pod jej ciężarem. Jednak Wieża była domem. Więc Egwene czuła tylko smutek. A także złość na Elaíde. Całkowicie zasłużyła sobie, żeby ją obalić, choćby za to, co uczyniła Wieży od czasu, gdy zdobyła stulę i laskę!

Laras obrzuciła ją przeciągłym spojrzeniem, pochyliła głowę, aż na szyi powstał czwarty podbródek, potem wróciła do wymachiwania łyżką i zaglądania kucharkom przez ramię. Ongis

dopomogła w ucieczce Siuan i Leane, zatem jej lojalność wobec Elaidy była wątpliwa. Czy teraz inna kobieta może na nią liczyć? Z całą pewnością dokładała wszelkich starań, by nie patrzeć Egwene w oczy. Tuż obok niej pojawiła się podkuchenna, która prawdopodobnie nie odróżniała jej od pierwszej lepszej nowicjuszki. Uśmiechnięta kobieta wyraźnie pracowała nad wyhodowaniem sobie podwójnego podbródka. Wręczyła jej drewnianą tacę z olbrzymim, pękatym kubkiem parującej herbaty i pokrytym białą glazurą talerzem, na którym znajdowały się chleb, oliwki i kruchy biały ser. Egwene zaniósła posiłek do sali jadalnej.

Tam znowu napotkała ciszę i setkę utkwionych w nią spojrzeń. Musiały wiedzieć, że została wezwana przed oblicze Mistrzynie Nowicjuszek. Koniecznie chciały się przekonać, czy będzie jadła na stojąco. Niczego bardziej nie pragnęła, niż rozciągnąć się na jednej z twardych, drewnianych ławek, zmusiła się jednak, by siedzieć normalnie. Co oczywiście tylko podsyciło płomień palący w pośladkach. Nie tak silny jak wcześniej, jednak na tyle dokuczliwy, by nie zdoławszy się opanować, odruchowo zmieniła pozycję. Dziwne, ale jej twarz w naturalny sposób była spokojna — żadnego skrzywienia ani grymasów. Miała ochotę stać, prawda, ale nie okazywać bólu. Był częścią jej samej. Pogodziła się z nim bez walki.

Teraz starała się go przyjąć w siebie, to jednak nadal pozostawało poza zasięgiem możliwości. Oderwała kawałek chleba — mąka, z której go upieczono, zawierała także, jak się okazało, włókno zbożowe — na sali zaś stopniowo ponownie zaczęły rozlegać się rozmowy, przyciszone, ponieważ nowicjuszkom nie pozwalano na hałasy. Przy jej stole również rozmawiano, choć nikt nie kwapił się, by do niej zagadnąć. Ale tak też było dobrze. Nie znalazła się tutaj po to, by zawierać przyjaźnie z nowicjuszkami. Ani po to, aby uznały ją za jedną ze swoich. O nie, miała zupełnie inny cel.

Zwróciła tacę do kuchni, wyszła z refektarza wraz z innymi nowicjuszkami i przekonała się, że czeka na nią następna para czerwonych sióstr. Jedną była lisia Katerine Alruddin, w szarej sukni z licznymi czerwonymi rozcięciami. Burza kruczoczarnych włosów spadała kaskadą do talii, szal spoczywał na ramionach.

— Wypij to — powiedziała Katerine kategorycznie, smukłą dłonią podając jej cynowy kubek. — Do dna, pamiętaj. — Druga Czerwona, smągła, o kwadratowej twarzy z niecierpliwością poprawiła szal i wykrzywiła twarz w grymasie. Najwyraźniej nie podobała jej się rola służącej czy bodaj towarzyszki służącej. Niewykluczone też, że nie podobała jej się zawartość kubka.

Egwene pochłonęła zawartość, tłumiąc westchnienie. Słaby napar z widłokorzenia wyglądał jak lekko zbrązowiała woda, a odległą nutą smakował miętą. Zresztą bardziej wspomnieniem po mięcie niż samą miętą. Pierwszy kubek wypiła niemal zaraz po przebudzeniu, kiedy pełniące dyżur Czerwone siostry miały już dosyć oddzielania jej tarczą i pałały ochotą zajęcia się swoimi sprawami. Katerine spóźniła się o godzinę, mimo to Egwene wątpiła, by nawet bez tej porcji widłokorzenia potrafiła poważniej przetrzymać. Przynajmniej na tyle, żeby coś z tego wyniknęło.

— Nie chcę spóźnić się na swoją pierwszą lekcję — rzekła, oddając kubek. Katerine wzięła go z jej ręki, choć z jakiegoś powodu wyglądała na zdumioną własnym gestem. Egwene poszła za nowicjuszkami, zanim siostra zdążyła zaprotestować, Lub zrugnąć za brak ukłonu.

Pierwsza lekcja odbywała się w surowym pomieszczeniu bez okien, gdzie dziesięć nowicjuszek okupowało ławki przeznaczone dla trzydziestu lub więcej, i okazała się w każdym calu tą właśnie katastrofą, jakiej oczekiwała. Oczywiście to nie ją spotkała katastrofa, jakkolwiek rzeczy się miały. Instruktorcą była Idrelle Menford, koścista kobieta o stalowym spojrzeniu, która była już Przyjętą, kiedy Egwene przybyła po raz pierwszy do Wieży. Wciąż jeszcze nosiła białą suknię z lamówką i mankietami obszytymi tasiemką siedmiu kolorów. Egwene zajęła miejsce na skraju ławki, znów nie dbając o wrażliwe miejsca. Były już nieco mniej wrażliwe, choć naprawdę nieco. Wypić cały ból.

Idrelle stała na niewielkim podwyższeniu z przodu pokoju i patrzyła na wszystkie z góry. Na widok Egwene w bieli w jej oczach zamigotała iskierka satysfakcji, dzięki której złagodniał odrobinę mars na czole, stanowiący trwałą cechę jej oblicza.

— Wszystkie nauczyłyście się już tworzyć proste kule ognia — oświadczyła klasie. — Przekonajmy się teraz, do czego zdolna jest nowa uczennica. Wszystkie pamiętamy, jak dumna była ze swych umiejętności. — Kilka nowicjuszek zachichotało.

— Przygotuj kulę ognia, Egwene. Migiem, dziecko.

Kula ognia? To była jedna z pierwszych rzeczy, jakich się uczyły nowicjuszeki. O co chodzi?

Egwene otworzyła się na Źródło, objęła *saidara*, pozwoliła, by ją wypełnił. widłokorzeń pozwalał zaczerpnąć tylko drobny strumyczek Mocy, a ona przywykła już do fal powodzi, niemniej Moc była i niezależnie od ilości, niosła ze sobą całe życie i radość *saidara*, całą wzmożoną świadomość siebie i komnaty, i w której przebywała. Wzmożona samoświadomość oznaczała jednak odświeżenie doświadczenia chłosty pantoflem, ale nawet nie drgnęła. Wetchnąć w siebie ból! Czowała delikatną woń mydła z porannej kąpieli nowicjuszek, widziała niewielką żyłkę, pulsującą na czole Idrelle. Jakaś część jej samej pragnęła trzepnąć tę kobietę w ucho strumieniem Powietrza, wzięwszy wszak pod uwagę rozmiar Mocy, którą obecnie rozporządzała, Idrelle z ledwością cokolwiek by poczuła. Zamiast tego Egwene przeniosła Ogień i Powietrze w taki sposób, że utworzyły niewielką kulę z zielonego płomienia, która zawisała przed jej twarzą. Kula była blada, przezroczysta i w istocie pożałowania godna. — Doskonale — oświadczyła Idrelle z sarkazmem. O to przecież chodziło. Pragnęła zacząć od udowodnienia nowicjuszkom, jak marnie radzi sobie Egwene z przenoszeniem. — Uwolnij *saidara*. A teraz, dziewczynki...

Egwene dodała do tamtej błękitną kulę, potem brązową i szarą, wprawiając je w taniec wokół siebie wzajem. — Wypuść Źródło — zażądała szorstko Idrelle.

Do kul przyłączyła się jeszcze żółta, biała i — na samym końcu — czerwona. Egwene szybko ozdobiła kule pierścieniami ognia, jedne wewnątrz drugich. Opasały z zewnątrz wirujące kule. Czerwoną stworzyła na samym początku, bo w zamyśle Egwene miała być najmniejsza, zielona miała być ostatnia i największa. Gdyby wybierała Ajah, przyłączyłaby się do Zielonych. W powietrzu, wokół siedmiu kul ognia, kręciło się siedem ognistych obręczy, każda w innym kierunku. W ich sercu nieprzerwanie trwał zawity taniec. Jakkolwiek były blade i mętne, oglądane z zewnątrz składały się wszak na sugestywne przedstawienie, ponieważ Egwene dowodziła, że potrafi rozdzielić potok *saidara* na czarnaście strumyków. Żonglerka Mocą nie była ani na jotę prostsza niż zwykła żonglerka.

— Przestań — wrzasnęła Idrelle. — Natychmiast! — Poświata *saidara* spowiła nauczycielkę, Egwene poczuła na plecach uderzenie strumienia Powietrza.

— Powiedziałam ci, żebyś przestała! — Strumień uderzył ją znowu, potem jeszcze raz.

Egwene ze spokojem kontynuowała ruch obręczy, taniec kul. Po nauczce, którą wymierzył jej z rozmachem pantofel Silviany, łatwo mogła teraz przełknąć ból, który zadawały ciosy Idrelle. A nawet powitać go z utęsknieniem. Czy kiedykolwiek nauczy się, jak z uśmiechem przyjmować razy? W drzwiach stanęła Katherine i ta druga Czerwona.

— Co się tutaj dzieje? — zażądała wyjaśnień siostra o kruczoczarnych włosach. Oczy jej towarzyszek otworzyły się szeroko na widok cudów, których dokonywała Egwene. Wydawało się mało prawdopodobne, aby choć jedna z nich potrafiła tak daleko dojść w umiejętności dzielenia strumieni Mocy.

Na widok Aes Sedai wszystkie nowicjuszeki oczywiście poderwały się z miejsc i dygnęły. Wszystkie, oprócz Egwene. Idrelle poprawiła fałdy spódnicy. Wyglądała na zmartwioną.

— Nie można jej przemówić do rozumu — rozpaczała, — Próbowałam, ale bez skutku.

— Przestań natychmiast, Egwene — padł krótki rozkaz Katerine.

Egwene podtrzymywała sploty, póki tamta znów nie otwarła ust. Dopiero wówczas uwolniła saidara i powstała.

Katerine gwałtownie zamknęła usta i wzięła głęboki oddech. Twarz nie straciła charakterystycznej dla Aes Sedai pogody ducha, ale jej oczy pały.

— Natychmiast udasz się do gabinetu Silviany; powiesz, że nie chciałaś słuchać instruktorki i przeszkadzałaś w lekcji. Natychmiast!

Opóźniając chwilę wyjścia o czas potrzebny na wygładzenie spódnicy — skoro już postanowiła usłuchać, nie może okazać gorliwości bądź pośpiechu — Egwene przecisnęła się pomiędzy dwoma Aes Sedai i ruszyła korytarzem.

— Powiedziałam, biegiem — w ślad za nią padły ostre słowa Katerine.

Strumień Powietrza uderzył w jej wciąż piekące pośladki. Pogódź się z bólem. Kolejne uderzenie. Wciągnij ból jak powietrze. Trzecie uderzenie było tak silne, że się zachwiała. Weź ból za swój.

— Wyręcz mnie, Jezrail — warknęła Katerine.

— Nie będę robić takich rzeczy — powiedziała druga siostra z silnym taireńskim akcentem. — Posuwasz się za daleko, Katerine. Jeden lub dwa szturchańce są dopuszczalne, jednak dalsza część kary to już sprawa Mistrzynie Nowicjuszek. Na Światłość, po takich uderzeniach nie da rady dojść do gabinetu Silviany.

Katerine oddychała z trudem.

— Doskonale — przemówiła w końcu. — Listę wykroczeń może wszakże uzupełnić także o nieposłuszeństwo względem siostry. Upewnię się, że zostało ono odnotowane, Egwene, nie łudź się więc, że masz sprawę z głowy.

Kiedy Egwene przekroczyła próg gabinetu Mistrzynie Nowicjuszek, Silviana powitała ją zdumionym uniesieniem brwi.

— Już z powrotem? Przynieś mi, dziecko, pantofel spod szafki i powiedz, co przeszkrobałaś.

Po dwóch kolejnych lekcjach i dwóch następnych wizytach w gabinecie Silviany — nie pozwalała robić z siebie pośmiewiska, a jeśli jakaś Przyjęta nie chciała, aby robiła coś lepiej od niej, nie powinna w ogóle prosić, by to robiła — oraz z góry zaplanowanej wizycie w porze obiadowej, Silviana zdecydowała, że każdy dzień Egwene będzie zaczynał się od Uzdrawiania.

— W przeciwnym razie będziesz w niedługim czasie tak posiniaczona, że każda chłosta skończy się krwawo. Ale nie sądz, że okazuję ci pobłażliwość. Nawet gdybyś trzy razy dziennie potrzebowała Uzdrawiania, tym mocniej będę cię tłukła. W razie potrzeby sięgnę po pas lub różgę. Ponieważ ja cię nauczę, dziecko. Masz na to moje słowo. Te trzy lekcje z trzema bardzo zażenowanymi Przyjętymi przyniosły inny jeszcze skutek. Jej nauki ograniczone zostały do indywidualnych konsultacji z Aes Sedai, które zazwyczaj przysługiwały wyłącznie Przyjętym. Oznaczało to długą wspinaczkę po spiralnych, ozdobionych draperiami korytarzach do kwater Ajah, przy których wejściu stały siostry, jak na warcie, i w istocie pełniły wartę. Ostatnimi czasy odwiedziny ze strony innych Ajah były — łagodnie rzecz ujmując — niemile widziane. I nigdy nie napotkała żadnych Aes Sedai w pobliżu kwater innych Ajah.

Pominąwszy Zasiadające Komnaty, nieczęsto zdarzało jej się spotkać siostry same, nie w grupie, na korytarzach na zewnątrz kwater. Zawsze miały szale na ramionach, często w ślad za nimi podążali Strażnicy, ale ten lęk był inny od tamtego, który trzymał w swych szponach obozowisko poza murami Tar Valon. Tutaj siostry zawsze trzymały się swoich Ajah, zawsze przebywały razem, mijając zaś inne, albo patrzyły na siebie ponuro, albo całkowicie je ignorowały. Nawet najbardziej upalnym

latem w Wieży panował chłód, lecz obecnie przyspotkaniu różnych Ajah powietrze zdawało się rozgorączkowane i ozięble równocześnie. Również te Zasiadające, które znała zdawały się wciąż dokądś śpieszyć. Kilka ją rozpoznało, czego owocem były przeciągłe, uważne spojrzenia, większość wszak jakby jej nie zauważała. Pevara Tazanovni, pulchna, ładna Zasiadająca Komnatę w imieniu Czerwonych, pewnego dnia niemal na nią wpadła — Egwene nie miała zamiaru ustępować na bok, nawet przed Zasiadającym, — ale pospieszyła naprzód, jak gdyby nigdy nic. Innym razem dokładnie tak samo postąpiła Doesine Alwain, całkowicie pochłonięta rozmową z inną Żółtą siostrą choć zazwyczaj była elegancka, po chłopięcemu szczupła i zręczna. Żadna z tamtych dwóch nie zatrzymała na niej spojrzenia. Żałowała, że choć w przybliżeniu nie wie, kim mogła być druga Żółta.

Znała imiona dziesięciu „cichociemnych”, które Sheriam wysłała do Wieży, aby spiskowały przeciwko Elaidzie, i bardzo żałowała, że nie udało jej się z żadną nawiązać kontaktu. Nie znała ich przecież z widzenia, pytać zaś znaczyło tylko ściągać na nie: uwagę. Miała nadzieję, że jedna z nich odciągnie ją na bok albo wręczy liścik, nic takiego jednak nie nastąpiło. Musiała sama — jeśli nie liczyć Leane — rozegrać tę bitwę, o ile nie uda jej się podsłuchać czegoś, dzięki czemu zdoła skojarzyć twarze przynajmniej z niektórymi z imion.

Nie zaniedbywała oczywiście Leane. Podczas drugiej nocy w Wieży, po kolacji, pomimo dojmującego znużenia zeszła do Otwartych cel na dole. W sześciu pomieszczeniach na pierwszym poziomie piwnic lokowano kobiety, które potrafiły przenosić, pod warunkiem, że nie zachodziła konieczność ścisłego zamknięcia. W każdej celi znajdowała się duża, wykonana z żelaznej kraty klatka. Kraty sięgały od kamiennej posadzki aż po sufit. Każda była szeroka na cztery kroki, jedyne źródło światła stanowiły żelazne lampy stojące. W celi Leane na ławkach na przeciw ściany siedziały dwie Brązowe siostry w towarzystwie Strażnika szerokiego w barkach mężczyzny o pięknej twarzy i skroniach nieznacznie przyprószonych siwizną. Strażnik zerknął na Egwene, gdy ta weszła do celi, i zaraz powrócił do ostrzenia sztyletu o kamień.

Jedną z Brązowych była Felaana Bevaine, smukła o długich, złocistych włosach, błyszczących, jakby czesała je kilka razy dziennie. Na moment przestała pisać w oprawnym w skórę notatniku na przenośnym pulpicie i wyrzuciła z siebie zgrzytliwym głosem:

— Och, kogo ja widzę? Dobrze, dziecko, Silviana powielala, że możesz ją odwiedzać, ale nie wolno ci nic jej dawać nie pokazawszy tego uprzednio Dalevien lub mnie. I nie rób żadnych awantur.

Natychmiast powróciła do pisania. Dalevien, krępa kobieta której krotko ścięte, ciemne włosy przetykały pasemka siwizny na chwilę nie podniosła wzroku sponad lektury porównawczej tekstów dwóch ksiązek. Każda leżała otwarta na jednym z jej kolan. Otaczała ją poświata saidara — odgradzała Leane tarczą — najwyraźniej nie widziała powodu, by zerkać na raz utkany splot.

Egwene nie tracąc chwili, pośpiesznie przerzuciła ręce przez żelazne okratowanie i uściskała Leane.

— Silviana powiedziała mi, że w końcu uwierzyły, iż jesteś, kim jesteś — oznajmiła ze śmiechem. — Nie sądziłam jednak, że znajdę cię w takim luksusie.

Był to luksus tylko w porównaniu z małymi, ciemnymi celami, w których siostry zazwyczaj oczekiwały na proces; dawano im wtedy wiązkę słomy na poślanie, a jeśli miały szczęście,,; również koc. Niemniej urządzenie celi Leane naprawdę sprawiało wrażenie wygody. Mieściło się w niej małe łóżko, na pierwszy rzut oka bardziej miękkie niż łóżka w kwaterach nowicjuszek, krzesło z drabinkowym oparciem oraz niebieską poduszką z frędzlami, wreszcie stół, na którym leżały trzy książki i stała taca z resztkami kolacji. Była nawet umywalnia.' Co z tego, że biały dzban i misę znaczyły szczyrby, a na powierzchni lustra utworzyły się pęcherzyki powietrza, nocnik zaś skrywał

się za parawanem do higieny intymnej, który do takiego stopnia nie przepuszczał światła, że przykucnięta Leane jawiła się tylko jako cień postaci.

Leane zawtórowała śmiechem.

— Och, wszystkie mnie tu bardzo lubią — oznajmiła energicznie. Nawet stojąc bez ruchu, zdawała się omdlewać i mimo niewyszukanej odzieży z ciemnej wełny stanowiła kwintesencję wizerunku ponętnej Domani. Energiczny ton pochodził jednak z okresu, zanim podjęła decyzję, by przeistoczyć się w te., którą chciała być. — Miałam dziś przez cały dzień nieprzerwany strumień gości, same Ajah, prócz Czerwonych. Nawet Zielone usiłują nakłonić mnie, bym nauczyła je Podróżowania i w ogóle chcą dostać mnie w swoje ręce, przede wszystkim dlatego, że twierdzą, iż teraz jestem Zielona. — Zadrżały zbyt ostentacyjnie, by mogło to ujść za naturalny odruch. — Byłoby to równie okropne, jak powrót do Melare i Desali. Desala to przerażająca kobieta. — Uśmiech jej rozpląnął się jak mgiełka w promieniach słońca w południe. — Zapowiedziały, że obleką mnie w biel. Lepsze to, jak przepuszczam, niż inne możliwości. Podają ci widłokorzeń? Mnie też.

Egwene, zdumiona, popatrzyła w kierunku siostry, która dzierżyła tarczę. Leane parsknęła:

— Zwyczaj. Gdybym nie była pod oddzielną tarczą zapewne nie potrafiłabym zrobić krzywdy. Zwyczaj jednak każe, by kobiety w otwartych celach były zawsze osłonięte tarczą. Tobie pozwalają się włóczyć?

— Nie do końca — odparła sucho Egwene. — Na zewnątrz czekają dwie Czerwone, które odprowadzą mnie do mojej sypialni i osłonią na czas snu.

— Tak to jest. Ja siedzę w celi, ty zaś jesteś pod obserwacją i obie szklankami pijemy napar z widłokorzenia — westchnęła Leane. Rzuciła długie spojrzenie z ukosa na dwie Brązowe, Felaana nadal pochłonięta była pisaniem. Dalevien przewracała strony obu leżących na jej kolanach książek równocześnie i mruzczała coś pod nosem. Strażnik ostrzył sztylet z takim zapalem, iż zanosiło się na to, że będzie się nim golił. Ale z pozoru głównie interesowały go drzwi wejściowe.

— Kiedy uciekamy? — zapytała Leane przyciszonym głosem.

— Nie uciekamy — odparła Egwene i wyłuszczyła swoje racje oraz plan, równocześnie nieprzerwanie obserwując siostry kątem oka. Opowiedziała Leane o wszystkim, co zobaczyła. I zrobiła. Prawie nie mogła się doliczyć, ile razy tego dnia została wychłostana i jak znosiła cięgi, musiała wszak o tym opowiedzieć, by przekonać kobietę, że się nie załamie.

— Rozumiem, że żadna ekspedycja ratunkowa nie wchodzi w grę. Miałam jednak nadzieję... — Strażnik poruszył się i Leane urwała w pół zdania. On jednak chował tylko sztylet do pochwy. Splótł ramiona na piersiach, wyciągnął nogi przed siebie i oparł się o ścianę, ze spojrzeniem utkwionym w drzwi.

Wyglądało, jakby potrafił w okamgnieniu zerwać się na równe nogi.

— Laras pomogła mi raz uciec — powiedziała Leane spokojnym tonem. — Nie jestem wszak pewna, czy zgodzi się pomóc po raz drugi. — Zadygotała, tym razem autentycznie. Zanim Laras pomogła uciec jej i Suan, została ujarzmiona. — Zrobiła to przede wszystkim dla Min, dopiero w dalszej kolejności miała na uwadze Suan czy mnie. Jesteś pewna? Silviana Brehon to twarda kobieta. Przyzwoita, z tego, co słyszałam, jednak tak silna, że mogłaby łamać w ręku podkowy. Czy jesteś absolutnie pewna, Matko?

Kiedy Egwene przytaknęła, Leane westchnęła po raz kolejny.

— Wtedy zostaną z nas dwa robaki wgryzione w korzeń, czyż nie? — To nie było pytanie.

Widywała się z Leane każdego wieczora, gdy tylko wyczerpanie nie wiodło jej prosto po kolacji do łóżka, i za każdym razem zastawała ją w zdumiewająco dobrym nastroju, jak na więźnia zamkniętego w celi. Strumień sióstr odwiedzających Leane nie malał, ona zaś do każdej rozmowy

przemyciała informacje, zgodne z sugestiami Egwene. Odwiedzające siostry nie mogły nakazać wychłostania Aes Sedai, nawet, jeśli ta przebywała w celi, choć kilka rozgniewało się do tego stopnia, że z pewnością tego żałowały. Poza tym, kiedy jedna z sióstr mówiła o tych sprawach, wyglądało to na sprawę znacznie poważniejszą, niż gdyby usłyszały o nich od nowicjuszki. Leane mogła się nawet klócić, przynajmniej dopóki nie wypłoszyła odwiedzających. Jak donosiła, wiele zostawało. Kilka nawet przyznało jej rację. Nieśmiało i z ociąganiem, z różnymi zastrzeżeniami, niemniej przyznały rację. Poza tym, co było równie ważne — przynajmniej dla Leane — niektóre Zielone orzekły, iż skoro została ujarzmiona i tym samym wykluczona na pewien czas ze społeczności Aes Sedai, miała prawo ubiegać się o przyjęcie do każdego Ajah, gdy już znów zostanie siostrą. Więc nie wszystkie, ale „kilka” brzmiało lepiej niż „żadna”.

Egwene zaczęła podejrzewać, że Leane w swojej celi sprawia się znacznie lepiej niż ona na wolności. Cóż, wolności ograniczonej. Nie była zazdrosna. Zajmowały się dobrą robotą. I w rzeczywistości nie miało znaczenia, która z nich lepszą, dopóki praca szła do przodu. Czasami tylko cięższa zdawała się wędrówka do gabinetu Silviany. Mimo to Egwene mogła poszczycić się sukcesami. Swego rodzaju sukcesami.

Po południu tego pierwszego dnia w pękającym w szwach salonie Bennae Nalsad — wszędzie na posadzce piętrzyły się w nierównych stosach książki, półki zaś ugiwały się pod ciężarem zakonserwowanych czaszek ssaków, ptaków oraz węży, a także wypchanych okazów przedstawicieli pomniejszych gatunków; na olbrzymiej niedźwiedziej czaszce przysiadła duża, brązowa jaszczurka (wyglądała jak wypchana, dopóki w pewnej chwili nie zamrugnęła oczami) — tego pierwszego popołudnia Brązowa Shienaranka poprosiła, aby wykonała wyczerpującą serię splotów, jeden za drugim. Bennae zasiadła na krześle z wysokim oparciem, po jednej stronie kominka z marmuru o brązowych żyłkach. Egwene wybrała niewygodę i usiadła z drugiej strony. Nikt nie prosił jej, by siadała, lecz przecież Bennae nie zaproponowała.

Egwene wykonała wszystkie sploty, o które została poproszona, aż wreszcie usłyszała, że ma sporządzić splot Podróży, na co tylko uśmiechnęła się i złożyła ręce w mały znak. Siostra odchyliła się do tyłu i poprawiła jedwabną spódnicę oraz włosy w tym samym odcieniu głębokiego brązu. Oczy Bennae były błękitne, o ostrym spojrzeniu, włosy zaś ujęte w srebrną siatkę i miejscami przetykane pasmami siwizny. Dwa palce poplamione były atramentem, atrament znaczył też nos po jednej stronie. Trzymała porcelanową filiżankę do herbaty, której nie zaproponowała Egwene.

— Uważam, dziecko, że niewiele pozostało ci jeszcze do nauczenia się o Mocy, zwłaszcza gdy weźmiemy pod uwagę twoje cudowne odkrycia.

Egwene skinęła głową, przyjmując komplement. Część z tych rzeczy były to faktycznie jej odkrycia, ale w tej sytuacji nie miało to żadnego znaczenia.

— W żadnym wypadku nie oznacza to, że obecnie nie pozostało ci już nic do nauczenia się. Odebrałaś kilka zaledwie lekcji nowicjatu, zanim... — Brązowa popatrzyła krzywo na białą suknię Egwene i odkasznęła. — I jeszcze mniej lekcji, jako... cóż, później o tym pomówimy. Może zechcesz mi powiedzieć, jakie błędy popełnione przez Shein Chunla doprowadziły do Trzeciej Wojny o Mur Garen? Z jakich powodów wybuchła Wielka Wojna Zimowa pomiędzy Andorem a Cairhien? Jakie przyczyny legły u podstaw Rebelii Weikina? I jak się skończyła? Historia jest zasadniczo nauką o wojnach, doniosłą zaś jej część zajmują pytania, jak i dlaczego wybuchły, a także jak się skończyły. Nie doszłoby do bardzo wielu wojen, gdyby ludzie potrafili uczyć się na błędach innych ludzi. Więc?

— Shein nie popełniła żadnego błędu — odparła Egwene z namysłem. — Niemniej masz rację. Zostało mi wiele do nauczenia się. — Pozostałych wojen, które wymieniłaś, nie znam nawet z nazw. — Wstała i nalala sobie herbaty ze srebrnego dzbanka, który stał obok na stoliku. Oprócz

sporządzonej z srebrnej plecionki tacy, stolik dekorował wypchany r yś i czaszka węża. Była rozmiarów ludzkiej!

Bennae popatrzyła krzywo, ale nie z powodu herbaty. Na to właściwie nie zwróciła uwagi.

— Co miałaś na myśli, mówiąc, że Shein nie popełniła żadnego błędu, dziecko? Jak to? Zagmatwała sprawy tak jak nikomu przed nią się chyba nie udało.

— Otóż przed wybuchem Trzeciej Wojny o Mur Garen — odpowiedziała Egwene, sadowiąc się z powrotem na krzesło — Shein wykonywała dokładnie polecenia Komnaty, nic więcej. — Na wielu obszarach wiedzy historycznej Egwene ziały poważne luki, lecz Siuan nauczyła jej dokładnie wszystkich błędów, które popełniły pozostałe Amyrlin. Natomiast to konkretnie pytanie stało się przesłanką do rozpoczęcia wykładu. I dzięki temu siadanie obeszło się bez normalnego wysiłku i bólu. — O czym ty mówisz?

— Próbowwała żelazną ręką utrzymać porządek w Wieży, nigdy nie przystała na żaden kompromis, natychmiast brała za łeb każdą opozycję. Komnata miała już tego dość, nie mogły wszak znaleźć nikogo na jej miejsce, zamiast więc ją usunąć, wybrały gorsze rozwiązanie. Pozostawiły Shein na stanowisku i nakazywały pokutę za każdym razem, kiedy próbowała wydać jakieś rozporządzenie. Nawet najdrobniejsze — ciągnąc swoją opowieść, Egwene zdawała sobie sprawę, że brzmi jak przemowa, musiała jednak wyrzucić z siebie to wszystko. I tak trudno było siedzieć nieruchomo na twardym drewnie, z którego wykonane zostało siedzenie krzesła. Weź w siebie ból. — Komnata decydowała o tym, co robi Shein i Wieża. Same jednak źle kierowały wieloma sprawami, przede wszystkim z tego powodu, że poszczególne Ajah miały własne cele i zabrakło przywódczej ręki, zdolnej tak nimi pokierować, aby stały się wspólnym celem Białej Wieży. Okres panowania Shein cechowały wojny, wybuchające we wszystkich miejscach widocznych na mapie. W końcu siostry dość już miały partactwa Komnaty. Podczas jednego z sześciu buntów, jakie zna historia Wieży, obalone zostały wspólne rządy Shein oraz Komnaty. Oficjalna wersja podaje, że zmarła w Wieży śmiercią naturalną, jednakże w rzeczywistości została uduszona pięćdziesiąt jeden lat później we własnym łóżku, na wygnaniu, gdy wykryto spisek, który miał na celu ponowne osadzenie jej na Tronie Amyrlin.

— Bunt? — zapytała Bennae z niedowierzaniem. — Aż sześć? Skazana na wygnanie i uduszona?

— Wszystko to zapisane zostało w sekretnych historiach, przechowywanych w Depozycie Trzynastym. Choć jak sądzę, nie powinnam ci o tym mówić. — Egwene upiła łyk herbaty i skrzywiła się. Herbata była prawie zwietrzała. Nic dziwnego, że Bennae nawet swojej nie tknęła.

— Sekretne historie? Depozyt Trzynasty? Gdyby taki istniał, zapewne bym o nim wiedziała. Dlaczego nie powinnaś mi o tym mówić?

— Ponieważ zgodnie z literą prawa o istnieniu sekretnych historii, jak również o tym, co stanowi ich treść, wiedzieć mogą tylko Amyrlin, Opiekunka oraz Zasiadające Komnaty. I z konieczności bibliotekarze, którzy przechowują dokumenty. Nawet samo to prawo stanowi w istocie część Depozytu Trzynastego, więc, jak mniemam, o nim również nie powinnam ci wspominać. Jeśli jakimś sposobem uzyskasz dostęp do tych źródeł lub znajdziesz kogoś, kto ci o tym opowie, przekonasz się, że mam rację. Sześć razy w dziejach Wieży, w momentach, gdy Amyrlin działały szczególnie rozłamowo albo wykazywały niebezpieczną niekompetencję, Komnacie zaś brakowało zdolności do działania, siostry wzniewały rebelie, których celem było ich usunięcie. — Na tym skończyła. Dalej nie mogła już siać ziarna zwątpienia. Ani głębiej zakopać kości niezgody.

Bennae popatrzyła na nią przez dłuższą chwilę, potem podniosła filiżankę do ust. Ledwie poczuła na języku smak herbaty, prysnęła śliną i zaczęła zbierać plamy z sukni za pomocą wykonanej z delikatnej tkaniny koronkowej chusteczki.

— Wielka Wojna Zimowa — powiedziała bezbarwnym głosem i postawiła filiżankę na posadzce obok krzesła — wybuchła pod koniec roku sześćset siedemdziesiątego pierwszego... — Nie wspominała już o tajnych dokumentach ani o buntach, lecz nie musiała. Więcej niż raz podczas tej lekcji odchyłała się na krzesło, spoglądała krzywo gdzieś ponad głowę Egwene, ta zaś nie miała już wątpliwości.

Nieco później tegoż dnia Lirene Doirellin oświadczyła:

— Cóż, Elaida popełniła w tym miejscu poważny błąd. — Spacerowała w tę i z powrotem wzdłuż kominka w jej salonie. Cairhienianka była zaledwie o włos niższa od Egwene, jednak nerwowe spojrzenia, które ciskały jej oczy, nadawały jej wygląd zaszczutego stworzenia, wróbla, który boi się kotów i hołduje przeświadczeniu, że w okolicy jest ich bardzo wiele. Jej ciemnozielone szaty ozdobione były zaledwie czterema dyskretnymi, czerwonymi wycięciami, choć raz w życiu zdarzyło się jej piastować godność Zasiadającej Komnatę. — Nic chyba nie mogło się przyczynić bardziej do tego, by chłopak trzymał się tak daleko od Wieży, jak to tylko możliwe, niż ta proklamacja, której towarzyszyła następnie próba porwania al'Thora. O tak, Elaida popełniła błędy.

Egwene pragnęła zadać pytanie na temat Randa i próby porwania — porwania? — Lirene jednak bez żadnych dalszych wstępów wdała się w wymienianie licznych błędów Elaidy. Oczy jej biegały, nieświadomie wylamywała palce i przez cały czas się przechadzała. Egwene nie była przekonana, czy bieżące spotkanie można zaliczyć do udanych, z drugiej strony nie była to też całkowita porażka. I czegoś się nauczyła.

Oczywiście, nie wszystkie jej intrygi miały równie pomyślny przebieg.

— Nie ma tu miejsca na żadne dyskusje — uci ęła Pritalle Ncrbaijan. Ton jej głosu był całkowicie spokojny, jednak rzucone z ukosa spojrzenie zielonych oczu paliło. Jej komnaty wyglądem bardziej przypominały siedzibę Zielonej, nie zaś Żółtej. Na ścianach wisiało kilka obnażonych mieczy, a jedwabne gobeliny przedstawiały walkę ludzi z trollokami. Często ścisnęła rękojeść sztyletu za paskiem ze srebrnej plecionki. Nie był to zwykły podręczny nóż. Posiadał ostrze długie niemal na stopę, a rękojeść zdobiła szmaragdowa głowica. Dlaczego zgodziła się wygłosić Egwene wykład, pozostawało tajemnicą, zważywszy na to, jak bardzo nie lubiła nauczać. Być może dlatego, że chodziło o Egwene.

— Wysłuchasz teraz lekcji o granicach Mocy. To podstawowa lekcja, jak najbardziej właściwa dla nowicjuszek.

Egwene zapragnęła zmienić pozycję na trójnogu, na którym usadowiła ją Pritalle, zamiast tego skupiła się na piekącym bólu, poświęcając całą uwagę jego internalizacji. Uczynieniu go częścią siebie. Dzień ów był świadkiem trzech wizyt Egwene w gabinecie Silviany, przecucie zaś dyktowało jej, że nadciągą następna, choć do południowego posiłku brakowało jeszcze całej godziny.

— Powiedziałam tylko, że jeśli można uczynić Shemerin Sedai zwykłą Przyjętą, znaczy to, że władza, Elaidy nie ma granic. Przynajmniej ona tak uważa. A jeśli wszystkie się z nią zgodzą, faktycznie tak się stanie.

Pritalle zacisnęła dłoń na rękojeści sztyletu, aż kłykcie zbieleły, z czego najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy.

— Skoro uważasz, że wiesz lepiej — oznajmiła chłodno może gdy skończymy, udasz się do Silviany.

Egwene uznała to za połowiczny sukces. Była pewna, że nie jej dotyczył gniew Pritalle.

— Spodziewam się po tobie stosownego zachowania oświadczyła jej następnego dnia z całą

stanowczością Serancha Colvine. Właściwym słowem na oddanie wyglądu Szarej siostry było: „ściągnięta”. Ściągnięte usta, bez przerwy zmarszczony nos, jakby wciąż węszyła nieprzyjemny zapach. Nawet otoczenie bladoniebieskich oczu zdawało się ściągnięte w wyrazie dezaprobaty. Bez tego grymasu mogła z powodzeniem uchodzić za ładną. — Zrozumiałaś?

— Zrozumiałam — odparła Egwene, sadowiac się na taborecie, który postawiono naprzeciw krzesła z wysokim oparciem, należącego do Seranchy. Poranek ów należał do chłodnych, więc na kamiennym palenisku płonął niewielki płomień, Przełknij ból. Uczyn go częścią siebie.

— Odpowiedź nieprawidłowa — powiedziała Serancha. — Prawidłowa odpowiedź to ukłon i słowa: „Zrozumiałam, Serancha Sedai”. Zamierzam przygotować listę twych uchybień, którą zanieziesz Silvianie, gdy skończymy. Rozpocznijmy od nowa. Zrozumiałaś, dziecko?

— Zrozumiałam — odrzekła Egwene, nie podnosząc się z taboretu. Twarz Seranchy oblała się purpurą... i tyle ze sławnej pogody ducha Aes Sedai. Lista w końcu liczyła cztery strony. Serancha podała ją kurczowo zaciśniętą dłonią. Poświęciła więcej czasu na pisanie niż na wykład! Tego spotkania nie można było uznać za sukces.

Potem była Adelorna Bastine. Zielona Saldaeanka roztaczała wokół siebie stateczną atmosferę, choć była szczupła i nie wyższa od Egwene. Cechowało ją przy tym iście królewskie, władcze obejście, które mogłoby onieśmielać, gdyby Egwene na to sobie pozwoliła. — Dowiedziałam się, że sprawiasz kłopoty — rzekła, podnosząc oprawioną w kość słoniową szczotkę z małego inkrustowanego stolika obok krzesła, na którym siedziała. — Jeżeli spróbujesz sprawiać kłopoty mnie, przekonasz się, że wiem, jak zareagować.

Egwene przekonała się, nawet nie próbując sprawiać kłopotów. Trzy razy łądowała na kolanach Adelorny. Kobieta naprawdę umiała posłużyć się szczotką w innym celu niż czesanie włosów. A godziną lekcję przeciągnąć do dwóch.

— Czy mogę już iść? — zapytała w końcu Egwene, ocierając spokojnie policzki chusteczką, która i tak była już mokra. Wcethnij ból. Wch łonń ogień. — Miałam przynieść wodę Czerwonym siostram i nie chcę się spóźnić. Adelorna spojrzała na szczotkę i skrzywiła się, następnie odniosła ją na stolik, który Egwene wcześniej dwukrotnie przewróciła kopniakiem. Potem wykrzywiła się, patrząc na Egwene, badając ją wzrokiem, jakby chciała zajrzeć w głąb serca.

— Szkoda, że w Wieży nie ma Cadsuane — wymruczała. — Myślę, że stanowiłabyś dla niej prawdziwe wyzwanie. — zdawało się, że w głosie zabrzmiała nuta szacunku.

Dzień ten pod pewnymi względami okazał się punktem zwrotnym. Choćby, dlatego, że Silviana postanowiła, iż Egwene dwukrotnie w ciągu dnia będzie poddawana Uzdrawianiu.

— Zdaje się, że obrywanie ci ęgów sprawia ci przyjemność, dziecko. To zwykły upór, którego nie zamierzam tolerować, Staniesz twarzą w twarz z rzeczywistością. Przy następnej wizycie w moim gabinecie przekonamy się, jak ci smakuje pas. — Mistrzynie Nowicjuszek podwinęła koszulę na plecach Egwene i urwała. — Uśmiechasz się? Czy powiedziałam coś śmiesznego?

— Przyszło mi po prostu do głowy coś zabawnego — odrzekła Egwene. — Nic ważnego. — Przynajmniej nie było to nic ważnego dla Silviany. Egwene nauczyła się, jak czynić ból częścią siebie. Rozgrywała wojnę, a nie pojedynczą bitwą i każda wizyta w gabinecie Silviany była oznaką, iż stoczyła kolejną walkę i nie uległa. Ból był krzyżem walecznych. Przy każdym uderzeniu pantofla wyła i wierzgała tak jak wcześniej, lecz gdy następnie osuszała policzki, nuciła sobie po cichu. Jak lekko nosi się krzyż walecznych.

W drugim dniu jej niewoli postawy nowicjuszek zaczęły się zmieniać. Chyba Nicola oraz Areina, która znalazła zajęcie w stajniach i często przychodziła z wizytą do Nicoli — były tak blisko ze sobą że Egwene zastanawiała się, czy przypadkiem nie są przyjaciółkami od poduszki; głowy zawsze

blisko, twarze tajemniczo uśmiechnięte — raczył y wszystkie pozostałe nowicjuszki opowieściami o Egwene. Dodając im pikanterii. W relacjach tych dwóch kobiet Egwene prezentowała się jako postać łącząca w sobie przymioty wszystkich legendarnych Aes Sedai plus Birgitte Srebrny Łuk oraz samej Amaresu, z Mieczem Słońca w dłoni, ruszającej do bitwy. Wydawało się, że połowę nowicjuszek Egwene napawała lękiem, podczas gdy druga połowa była na nią z jakiegoś powodu zła lub otwarcie ją lekceważyła. Niektóre naiwnie próbowały naśladować jej za chowanie na lekcjach, póki w końcu zalew odwiedzin w gabinecie Silviany nie położył kresu tym praktykom: trzeciego dnia południowy posiłek spożywało na stojąco ponad dwadzieścia czerwonych ze wstydu nowicjuszek. Była wśród nich Nicola,, Oraz — o dziwo — także Alvistere. Podczas kolacji liczba ich spadła do siedmiu, czwartego zaś dnia tylko Nicola i Cahicnianka jadły na stojąco. I taki był koniec całej historii.

Egwene przypuszczała, że niektóre tak mogą jej zazdrościć konsekwencji, że same stawały na baczność i gięły karki. Wbrew oczekiwaniom, wychodziło na to, że maleje liczba nowicjuszek jej niechętnych, a rosną zastępy tych, które ją szanują. Żadna nie próbowała się z nią zaprzyjaźnić, co też było dobrym znakiem. Mimo białych szat była Aes Sedai i nie wypadało jej wchodzić w bliższe relacje z nowicjuszkami. Zawsze istniało ryzyko, że przyjaciółka zadrze nosa i narobi sobie kłopotów. Nowicjuszki zaczęły przychodzić do niej po radę, po pomoc w odrabianiu lekcji. Z początku ledwie garstka, liczba ich wszak rosła z dnia na dzień. Pomagała im, co zazwyczaj sprowadzało się do umocnienia wiary dziewczyny w siebie, wytłumaczenia sensu rozwagi bądź na cierpliwym poprowadzeniu jej za rękę przez arkana wiedzy na temat sprawiających kłopoty splotów. Nowicjuszkom nie wolno było przenosić pod nieobecność Aes Sedai bądź Przyjętej, niemniej potajemnie prawie wszystkie lekcewały zakaz, a Egwene mimo wszystko była siostrą. Tego rodzaju pomoc starała się wszak zdecydowanie ograniczać. Plotki o tym, co dzieje się na spotkaniach, musiały wyjść na jaw, a w efekcie do gabinetu Silviany nie trafi sama. Ona była na to gotowa, ale nie chciała narażać innych. Jeśli idzie zaś o rady... Nowicjuszkom, którym zabraniano kontaktów z mężczyznami, mogła powiedzieć tylko jedno. Choć napięcia pojawiające się między przyjaciółkami od poduszki bywały tak samo bolesne jak kłopoty z mężczyznami.

Pewnego wieczora, w drodze powrotnej z kolejnej wizyty w gabinecie Silviany podsłuchiwała rozmowę Nicoli z dwoma nowicjuszkami, które nie mogły mieć więcej niż piętnaście, szesnaście lat. Egwene pamiętała, jaka sama była w ich wieku. Choć zdawało się, że to już stulecia temu. Marah była kręłą dziewczyną z Murandy, w jej niebieskich oczach drzemały ukryte chochliki. Namene była wysoką, szczupłą Domani, chichoczącą bez powodu.

— Zapytaj Matkę — powiedziała Nicola.

Nieliczne nowicjuszki w ten sposób tytułowały Egwene, choć nie sposób było zetknąć się z tym tytułem nigdzie poza kwaterami kobiet w bieli. Były naiwne, ale nie do przesady. — Zawsze chętnie służy radą.

Namene zaśmiała się nerwowo i okręciła na pięcie.

— Nie chcę jej przeszkadzać.

— Poza tym — zaczęła Marah śpiewnie — ona zawsze udziela jednej rady i za każdym razem jest to ta sama rada.

— I to dobra rada. — Nicola podniosła dłoń i strzeliła palcami. — Słuchajcie Aes Sedai. Słuchajcie Przyjętych. Pracujcie ciężko. Coraz ciężiej.

Egwene uśmiechnęła się i poszła do swojego pokoju. Gdy była prawowitą Amyrlin, nie zdołała nauczyć Nicoli właściwego zachowania, być może dokona tego w przebraniu nowicjuszki. Ciekawe.

Mogła służyć im w jeszcze jeden sposób — pociechą. Choć to pozornie sprzeczne ze zdrowym rozsądkiem, wewnątrz Białej Wieży faktycznie niekiedy się zmieniało. Ludzie gubili się, próbując

odnaleźć drogę do komnat, w których bywali już dziesiątki razy. Ze ścian wychodziły kobiety albo w nich znikwały, często odziane w suknie o starodawnym kroju, niekiedy w cudacznych kostiumach, w szatach, które wyglądały po prostu na długie, jaskrawo farbowane tkaniny, owinięte wokół ciała, w wyszywanych płaszczach do kostek, pod które, co jeszcze bardziej zdumiewające, wkładały szerokie spodnie. Światłości, jak którakolwiek kobieta mogłaby nałożyć suknię całkowicie ukazującą łono? Egwene przedyskutowała te sprawy z Siuan w *Tel'aran'rhiod* i wiedziała, że to oznaki zbliżania się Tarmon Gai'don. Nieprzyjemna myśl, w tej kwestii wszakże nic nie mogła zrobić. Co się stało, nie odstanie się, poza tymi pierwszym zwiastunem Ostatniej Bitwy był przecież sam Rand. Siostry w Wieży musiały wiedzieć, co to wszystko oznacza, ale pochłonięte własnymi sprawami nie miały czasu dla nowicjuszek, które płakały ze strachu. Pocieszać je próbowała Egwene.

— Świat jest pełen niezwykłych cudów — zapewniała jasnowłosą Coride, która łkała, z twarzą wciśniętą w poduszkę. Młodsza od niej zaledwie o rok, Coride mimo półtora roku spędzonego w Wieży, była nadal dziewczynką.

— Cóż dziwnego, że niektóre z nich zdarzają się w Białej Wieży? Czy mogłoby zresztą istnieć lepsze miejsce? — W obecności dziewczyn nie wspominała nigdy o Ostatniej Bitwie. To z pewnością nie byłaby żadna pociecha.

— Ale ona przeszła przez ścianę! — zawodziła Coride, unosząc głowę. Miała czerwone wypieki na twarzy, policzki mokre od łez. — Przeszła przez ścianę! I żadna z nas nie potrafiła odnaleźć klasy, Pedra też, i się na nas rozgniewała. Pedra nie złości się nigdy. Ona też się przestraszyła!

— Założę się jednak, że Pedra nie zaczęła płakać. — Egwene siadła na krawędzi łóżka dziewczyny, zadowolona, że udało jej się nie skrzywić z bólu. Materace nowicjuszek nie służyły z wygody. — Zmarli nie mogą wyrządzić żadnej krzywdy żywym, Coride. Nie mogą nawet nas dotknąć. Zdaje się, że nas zupełnie nie zauważają. Poza tym to tylko nowicjuszki bądź służące Wieży z dawnych czasów. Był to kiedyś ich dom tak samo, jak teraz jest nasz. Jeśli zaś idzie o komnaty i korytarze, które znajdują się tam, gdzie nie powinny, nie zapominaj, że Wieża to miejsce dziwów. Pamiętaj o tym, wtedy przestaniesz się ich bać.

Według Egwene brzmiało to nieprzekonująco, mimo to Coride otarła oczy i przyrzekła, że nie będzie się już bać. Niestety, podobne lęki gościły w głowach stu i dwóch nowicjuszek takich jak ona i nie wszystkie można było równie łatwo pocieszyć. Co tylko pogłębiło niechęć Egwene wobec sióstr z Wieży.

Lekcje, pocieszanie nowicjuszek i kary wymierzane ręką Mistrzynie Nowicjuszek nie wypełniały jej dni bez reszty, choć kar — rzecz jasna — było co dzień okropnie dużo. Silviana miała rację, wątpiąc pierwszego dnia, by Egwene zostało wiele wolnego czasu. Nowicjuszki zawsze miały dużo obowiązków. Niejednokrotnie były to prace pozorne, ponieważ Wieżę obsługiwała służba w liczbie ponad tysiąc mężczyzn i kobiet, nie licząc pracowników tymczasowych, wszelako od zawsze w Wieży obowiązywała doktryna, iż praca fizyczna wzmacniała charakter. Poza tym uważano, że dzięki niej nowicjuszki będą zbyt zmęczone, aby myśleć o mężczyznach. Problem w tym, że Egwene obciążano większą liczbą obowiązków niż pozostałe nowicjuszki. Niektóre prace przydzielone zostały przez siostry, widzące w niej uciekinierkę, inne przez, Silwianę, która żywiła nadzieję, iż dzięki temu utemperuje „buntowniczy” charakter Egwene.

Codziennie po jednym z posiłków za pomocą soli kuchennej i drucianych szczotek szorowała brudne garnki w głównej kuchni. Czasami do kuchni wtykała głowę, Laras, ale nigdy nie odezwała się słowem. Nigdy też nie posłużyła się wobec niej swoją długą łyżką, nawet w chwilach, gdy Egwene, zamiast szorować, masowała krzyż, obolały od nachylania się nad garnkami. Laras hojną ręką wymierzała klapsy pomywaczkom i podkuchennym, które próbowały płatać Egwene figle, jak to

miały w zwyczaju w przypadku nowicjuszek wysyłanych do pracy w kuchni. Laras wprawdzie głośno oznajmiała za każdym razem, kiedy uderzyła kogoś, kto naprzykrzał się, Egwene, że powodem jest uchylanie się od pracy, niemniej Egwene zauważyła, że w wymierzaniu kar była znacznie bardziej powściągliwa, gdy ktoś prawdziwej nowicjuszce dokuczał lub wylewał jej kubek zimnej wody za kołnierz. Wychodziło na to, że ma swego rodzaju sprzymierzeńca. Gdyby tylko wiedziała, jak to wykorzystać.

Nosiła wodę na koromysłach: do kuchni, do kwater nowicjuszek, do kwater Przyjętych, wreszcie całą drogę do apartamentów Ajah. Dostarczała posiłki do komnat sióstr, grabiła ogrodowe ścieżki, wyrywała chwasty, była u sióstr na posyłki, dyżurowała przy Zasiadających Komnaty, zamiatała i myła posadzki, szorowała posadzki na kolanach, a to bynajmniej nie wyczerpywało listy jej prac. Nigdy nie uchylała się od tych obowiązków, po części, dlatego, by nikt nie mógł nazywać jej leniwą. Widziała w tych obowiązkach rodzaj kary, że nie przygotowała właściwie operacji przemiany łańcucha zatoki w *cuendillara*. Pokutę należy odprawiać z godnością. W każdym razie z taką godnością, na jaką stać szorującą podłogi.

Poza tym odwiedziny w kwaterach Przyjętych dawały sposobność przekonania się, jak one ją postrzegają. W Białej Wieży żyło trzydzieści jeden Przyjętych, lecz zawsze jakieś udzielały lekcji nowicjuszkom, inne same uczestniczyły w zajęciach. Dlatego nieczęsto zdarzało jej się zastać więcej niż dziesięć bądź dwanaście Przyjętych w ich kwaterach wokół dziewięciokondygnacyjnych krużganków, otaczających niewielki ogród. Wieść o jej przybyciu niosła się jednak szybko i nigdy nie brakowało jej audytorium. Z początku kilka próbowało zasypać ją gradem poleceń, zwłaszcza Mair, pulchna i błękitnooka Arafeliana, i Asseil, Tarabonianka o zimnych oczach i brązowych włosach. Kiedy przybyła do Wieży, obie były nowicjuszkami, a gdy ją opuszczała, zazdrościły tak szybkiego wyniesienia do rangi Przyjętej. W ich wypadku, co drugie zdanie zaczynało się od „Przynieś..” bądź „Zanieś...”. Dla nich wszystkich, Egwene była tą „nowicjuszką”, która sprawiła najwięcej kłopotów, „nowicjuszką”, która uważała się za Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Dźwigała kubły wody, aż do bólu w karku, bez słowa skargi. Nie godziła się wszakże słuchać wydawanych przez nie poleceń. Co oczywiście mnożyło liczbę jej odwiedzin w gabinecie Mistrzynie Nowicjuszek. W miarę upływu dni, gdy okazało się, że bezustanne wędrówki do gabinetu Silviany nie przynoszą żadnego skutku, liczba poleceń malała, aż w końcu tamte dały za wygraną. Asseil czy Mair z natury nie były podłe, chciały tylko zachować się jak należy, wzięwszy pod uwagę okoliczności, i znalazły się w kropce, nie wiedząc, co zrobić z Egwene.

Niektóre Przyjęte też lękały się spotkań z umarłymi i zmian w układzie architektonicznym Wieży, więc ilekroć widziała poblądłe twarze lub oczy pełne łez, powtarzała to samo, co mówiła do nowicjuszek. W takich wypadkach wprawdzie rzadko zwracała się bezpośrednio do pocieszanej, ponieważ to mogło wywołać odwrotną reakcję, tylko starała się o wrażenie, jakby wszystko tłumaczyła samej sobie. Sposób ten sprawdzał się zarówno w wypadku Przyjętych, jak i nowicjuszek. Gdy zaczynała mówić, często wiele podrywało się na równe nogi bądź otwierało usta, jakby chciały powiedzieć, żeby była cicho, ostatecznie żadna tego nie czyniła — po chwili przychodził namysł. Ostatnio, gdy wchodziła na teren kwater Przyjętych, tamte wciąż pojawiały się na obramowanych kamienną balustradą galerijkach, ale teraz tylko patrzyły w milczeniu, jakby zastanawiając się, kim naprawdę jest. W końcu postanowiła nauczyć je, kim naprawdę jest. Nauczyć tego nowicjuszki oraz siostry.

Kobieta w bieli, posługująca Zasiadającym Komnaty oraz siostrami i zazwyczaj stojąca cicho w kącie, mimo iż ostatecznie taka nieznośna, wkrótce stała się częścią umeblowania. Na jej widok zmieniały temat rozmowy, udało jej się posłyszeć dość, aby się zorientować w intrygach, zazwyczaj

wyrastających z małostkowej chęci odwetu na innych Ajah. Zastanawiające było, że większość sióstr zdawała się uważać inne Ajah Wieży za gorszych wrogów niż siostry z obozu poza murami miasta, a Zasiadające Komnaty nie były lepsze. Niejednej miała ochotę, dać klapsa. Co prawda, to dobrze wróżyło wzajemnym stosunkom, kiedy siostry wrócą do Wieży, jednak...

Udało jej się podsłuchać, co nieco o innych sprawach. Na przykład o klęsce, która spotkała ekspedycję skierowaną przeciw Czarnej Wieży. Wydawało się, że niektóre siostry nie wierzą, tym pogłoskom i próbują same siebie oszukiwać, iż coś takiego nie mogło się zdarzyć. Kolejne siostry wzięto do niewoli po walnej bitwie i jakimś sposobem zmuszono do zaprzysiężenia wierności Randowi. Egwene już wcześniej żywiła podobne podejrzenia, a kiedy się potwierdziły, zareagowała na nie równą niechęcią, jak niechęć sióstr, którym Asha'mani nałożyli więzi zobowiązań. Fakt, że Rand był *ta'veren*, Smokiem Odrodzonym, nie stanowił dostatecznego wytłumaczenia. Nigdy w dziejach żadna Aes Sedai nie przysięgała na wierność żadnemu mężczyźnie. Siostry oraz Zasiadające Komnaty spierały się, kto był temu winien. Najcięższe zarzuty padały pod adresem Randa i Asha'manów. Wszakże jeszcze jedno imię przewijało się w niemal każdej rozmowie. Elaida do Avriny a'Roihan. Dużo też słyszała o samym Randzie, o tym, jak go odnaleźć, zanim nadejdzie Tarmon Gai'don. Wiedziały, że się zbliża, mimo iż nie robiły nic w sprawie uspokojenia nowicjuszek oraz Przyjętych i rozpaczliwie pragnęły dostać Randa w swoje ręce.

Czasami ryzykowała komentarz — tu wzmianka, że Shemerin wbrew wszelkim zwyczajom odarto z szala, tam sugestia, iż edykt Elaidy w sprawie Randa był najlepszym pod słońcem sposobem sprowokowania go. Wyrażała się ze współczuciem o siostrach, które zostały wzięte do niewoli przez Asha'manów, a także o tych, które pojmano pod Studniami Dumai — padało przy tym imię Elaidy — bądź ubolewała nad zaniedbaniami, które doprowadziły do tego, iż wspaniałe ongiś ulice Tar Valon przemieniły się w gnijący śmietnik. Wtedy nie musiała już wymieniać imienia, Elaidy — dobrze wiedziały, kto był odpowiedzialny za Tar Valon. Czasami komentarze te kończyły się nadprogramowymi odwiedzinami w gabinecie, Silviany. Czasami zaś dodatkowymi obowiązkami. Zadziwiające było, że nie zawsze. Zwracała baczną uwagę na siostry, które ograniczały się do upominania jej, by siedziała cicho. Lub — jeszcze lepiej — nic nie mówiły. Niektóre nawet kiwały głową na znak zgody, zanim się zorientowały, co robią.

Dodatkowe obowiązki owocowały zaskakującymi spotkaniami.

Rankiem drugiego dnia pobytu w Wieży za pomocą długiego, bambusowego czerpaka czyściła stawy w Wodnym Ogrodzie. Poprzedniej nocy spadł ulewny deszcz, a po ciężkich wichurach, pośród jasnozielonych liści lilii oraz pączkujących irysów wodnych zaległy liście i trawa; znalazła nawet martwego wróbla, którego pieczołowicie pochowała na jednym z kwiatnych ganków. Para Czerwonych sióstr zajęła miejsce na jednym z łukowato sklepionych mostków, przechylały się ponad kamienną balustradą o koronkowych rzeźbieniach i przyglądały się jej oraz rybom, które wirowały w wodzie w tańcu z czerwieni, złota oraz bieli. Kilka wron wzbiło się w powietrze z gałęzi skórzanego liścia i poszybowało na północ. Wrony! W myśl założeń tereny Wieży winny być bacznie strzeżone przed krukami i wronami. Wyglądało na to, że Czerwone nic nie zauważyły.

Siedziała w kucki na brzegu jednego ze stawów, zmywając z rąk brud po pogrzebie nieszczęsnego ptaka, kiedy pojawiła się Alviarin owinięta ściśle szalem z białymi frędzlami. Jakby poranek był w dalszym ciągu wietrzny, a na niebie nie świeciło słońce. Oto trzeci już raz napotykała Alviarin i znowu samą, nie zaś w towarzystwie innych Białych, które wszak gromadkami kręciły się po korytarzach. Czy należy się w tym dopatrywać jakiejś wskazówki? Jeżeli nawet, nie potrafiła sobie wyobrazić, o co może chodzić. Chyba że chodziło o ostracyzm Alviarin ze strony jej Ajah. Z pewnością zgnilizna nie doszła tak głęboko.

Alviarin wystarczył rzut oka na Czerwone. Zaczęła zbliżać się do Egwene, idąc wzdłuż wyłożonej grubym żwirem ścieżki, która wiła się pomiędzy stawami.

— Nisko upadłaś — odezwała się, kiedy znalazła się bliżej — Musi cię to bardzo boleć.

Egwene wyprostowała się i wytarła brudne ręce w spódnicę, następnie uniosła czerpak.

— Nie ja jedna. — Przed świtem odbyła kolejną sesję z Silvianą, a kiedy wychodziła z gabinetu, Alviarin czekała pod drzwiami na swoją kolej. To był codzienny rytuał Białej siostry i temat niekończących się plotek w kwaterach nowicjuszek, w których spekulowano nad przyczyną.

— Mama zawsze mówiła, żebym nie płakała nad rozlanym mlekiem. W tych okolicznościach to chyba dobra rada.

Na policzkach Alviarin pojawiły się słabe rumieńce.

— Wydaje mi się jednak, iż płakałaś całkiem sporo. Bez przerwy, według wszelkich doniesień. Na pewno wyrwałabyś się z tego, gdybyś mogła.

Egwene ujęła szczotką kolejny dębowy liść i zmiotła go do drewnianego skopka pełnego wilgotnej ściółki.

— Twoja lojalność wobec Elaidy nie ma zbyt mocnych podstaw, nieprawdaż?

— Dlaczego tak mówisz? — spytała Alviarin z niedowierzaniem. Spoglądając na dwie Czerwone, które, jak się zdawało, poświęcały w tej chwili więcej uwagi rybom niż Egwene, podeszła bliżej, zniżając głos do szeptu.

Egwene wybrała czerpakiem długie żdźbła trawy, które musiały pochodzić z równiny poza rzeką. Czy pora teraz wspominać o liście, jaki ta kobieta napisała do Randa? Obiecowała w nim, praktycznie rzecz biorąc, że złoży mu Białą Wieżę u stóp. O nie, taka informacja może okazać się bezcenna, należała wszak do tego rodzaju rzeczy, którymi posłużyć się można tylko raz.

— Pozbawiła cię stuły Opiekunki i skazała na pokutę. To niewielka zachęta do lojalności.

Twarz Alviarin była nadal gładka, jednak ramiona wyraźnie opadły. Rzadko zdarzało się, by Aes Sedai okazywała tak wiele uczuć. Zapewne odczuwa niezwykle skrępowanie, skoro do tego stopnia traci panowanie nad sobą. Znowu zerknęła w stronę Czerwonych.

— Rozważ tę sytuację — powiedziała głosem niemal zniżonym do szeptu. — Jeżeli szukasz drogi ucieczki przed konsekwencjami, cóż, być może ją znajdziesz.

— Jestem zadowolona z sytuacji, w której si ę znalazłam — odparła Egwene z prostotą. Alviarin uniosła brwi z niedowierzaniem, znowu patrząc w kierunku Czerwonych — jedna z nich przestała przyglądać się rybom i zwróciła spojrzenie w ich kierunku, — po czym odeszła, bardzo szybko, prawie biegiem.

Przychodziła co dwa, trzy dni w czasie, gdy Egwene wykonywała swe obowiązki i choć nigdy otwarcie nie zaproponowała pomocy w ucieczce, często używała tego słowa, kiedy zaś Egwene najwyraźniej nie chciała chwycić przynęty, zaczęła zdradzać objawy frustracji. Bo była to — oczywiście — przynęta. Egwene nie ufała tej kobiecie. Być może chodziło o ten list, napisany zapewne tylko po to, by ściągnąć Randa do Wieży, w szpony Elaidy, może zaś o to, że cały czas wyczekiwała, aż Egwene zrobi pierwszy ruch — najlepiej jakby zaczęła żebrać. Wtedy zapewne Alviarin zaczęłaby stawiać warunki. W każdym razie nie miała najmniejszego zamiaru uciekać, chyba że nie będzie miała innego wyboru, więc zawsze udzielała tej samej odpowiedzi:

— Odpowiada mi ta sytuacja.

Słyszając to wciąż i wciąż, Alviarin zaczynała zgrzytać zębami, Czwartego dnia pobytu, kiedy Egwene znów na kolanach szorowała błękitno-białe kafelki posadzki, przed jej oczyma przededefilowały trzy pary męskich butów z cholewami. Mężczyznom towarzyszyła siostra odziana w szary jedwab z bogatym, czerwonym haftem. Po paru krokach tamci zatrzymali się.

— To musi być ona — powiedział męski głos o akcencie wskazującym pochodzenie z Illian. — Wskazano mi ją. Chciałbym z nią porozmawiać.

— To tylko zwykła nowicjuszka, Martinie Stepaneos — odrzekła siostra. — Chciałeś przejść się po ogrodzie.

Egwene zamoczyła szczotkę do szorowania w wiadrze z wodą mydlaną i przystąpiła do pracy nad kolejnym szeregiem płytek.

— Okalecz mnie, fortune, Cariandre, może to i Biała Wieża, nie ja nadal pozostaję prawowitym królem Illian i jeżeli chcę z nią rozmawiać, to będę z nią rozmawiał, a ty możesz być przyzwoitką, żeby wszystko było jak należy i przyzwoicie. Słyszałem, że dorastała w tej samej wsi, co al'Thor. — Ponieważ Egwene nie unosiła już oczu, dostrzegła tylko buty wypastowane czarną pastą aż do połysku, które skierowały się w jej stronę.

Dopiero wówczas powstała, trzymając w jednej ręce ociekającą wodą szczotkę. Wierzchem drugiej ręki odgarnęła włosy z twarzy. Musiała się powstrzymać, by nie potrzeć twarzy dłonią, na co miała olbrzymią ochotę. Mattin Stepaneos był krępy i prawie całkiem łysy, miał siwą brodę, przystrzyżoną schludnie na modłę Illian. Twarz znaczyła sieć licznych zmarszczek. Oczy patrzyły bystro i gniewnie. Zbroja pasowała do niego lepiej niż płaszcz z zielonego jedwabiu, na którego rękawach i klapach przysiadły wyhaftowane złotą nicią pszczoły.

— Kolejna nowicjuszka? — wymruczał. — Myślę, że się mylisz, Cariandre. Zażywna Czerwona siostra zacisnęła usta, zostawiła dwóch służących z Płomieniem Tar Valon na piersiach i przyłączyła się do łysiejącego mężczyzny. Przez chwilę mierzyła Egwene niechętnym spojrzeniem, zanim odezwała się do niego:

— To ta często karana nowicjuszka, która musi szorować podłogi. Chodź. W ogrodzie o poranku jest pięknie.

— Naprawdę pięknie byłoby — odparł — porozmawiać z kimś innym niż Aes Sedai. Z kimś innym niż Czerwone Ajah, jeśli już o tym mowa, ponieważ uniemożliwiacie mi kontakty z innymi. Nie licząc służących, którzy równie dobrze mogliby być niemi i Gwardii Wieży, którą — jak sędzę — poinformowano, żeby w mej obecności trzymała język za zębami.

Umilkł na widok zbliżających się dwóch Czerwonych sióstr. Nesita, zażywna, o niebieskich oczach i podła jak zmija, skinęła Cariandre przyjaźnie głową, Barasine wręczyła Egwene nazbyt jej już znajomy cynowy kubek. Wyglądało na to, że pilnowanie jej mimo wszystko zlecono Czerwonym — w każdym razie jej stróżki i dozorkynie wywodziły się zawsze z Czerwonych, — które rzadko pozwalały. Kubek naparu z widłokorzenia pojawiał się rzadziej, niż to nakazano. Egwene opróżniła zawartość kubka i oddała z powrotem. Zdawało się, iż Nesita jest rozczarowana, że Egwene nie protestuje i nie odmawia wypicia zawartości, ale ta rozumiała, że to bez sensu. Raz spróbowała protestów i Nesita dołożyła starań, aby wlać wstrętną zawartość kubka do jej gardła. Posłużyła się w tym celu lejkiem, który trzymała w pogotowiu w torbie u paska. Ładnie by to wyglądało w obecności Mattina Stepaneosa.

On przyglądał się tej milczącej scenie z pełnym niezrozumieniem zainteresowaniem, mimo iż Cariandre ciągnęła go za rękaw, ponaglając do spaceru po ogrodach.

— Czy siostry przynoszą ci wodę, gdy jesteś spragniona? — zapytał, gdy Barasine i Nesita sobie poszły.

— Są przekonane, iż napar podniesie mnie na duchu — odpowiedziała. — Wyglądasz doskonale, Mattinie Stepaneosie. Jak na zakładnika Elaidy. — O tym również rozpowiadano w kwaterach nowicjuszek.

Cariandre syknęła i otworzyła usta, lecz Mattin pierwszy przemówił, przez zaciśnięte szczęki.

— Elaida uratowała mnie od śmierci z rąk al'Thora — powiedział. Czerwona potakująco skinęła głową.

— Dlaczego sądzisz, że grozi ci z jego strony niebezpieczeństwo? — indagowała dalej Egwene. Mężczyzna odkaslnął.

— W Caemlyn zamordował Morgase, w Cairhien zabił Colavaere. Słyszałem, że mordując Colavaere, zniszczył połowę Pałacu Słońca. Słyszałem również o Wysokich Lordach Łzy, otrutych bądź zasztyletowanych w Cairhien. Kto wie, ilu jeszcze władców zamordował i pozbył się ciał? — Cariandre ponownie skinęła głową i uśmiechnęła się. Z powodzeniem uchodzić mógł za chłopca, który opowiada wyuczoną lekcję. Czy te kobiety zupełnie nie rozumieją mężczyzn? Z całą pewnością to spostrzegł. Jego szczęki zacisnęły się jeszcze silniej, ręce zaś na chwilę zwały w pięści.

— Colavaere się powiesiła — powiedziała Egwene z cierpliwością. — Pałac Słońca zniszczył ktoś inny później. Ten ktoś próbował zabić Smoka Odrodzonego, być może był to Przeklęty, a według słów Elayne Trakand, jej matkę zamordował Rahvin. Rand poparł jej roszczenia zarówno względem Tronu Lwa, jak i Tronu Słońca. Nie zabił nikogo spośród szlachty Cairhien, która wznieciła przeciw niemu powstanie. Nie zabił też żadnego z Wysokich Lordów, którzy się zbuntowali. Po prawdzie, jednego z nich uczynił Zarządcą Łzy.

— Uważam, że to zupełnie... — zaczęła Cariandre, naciągając szal na ramiona, Egwene jednak kontynuowała opowieść, nie zwracając na nią uwagi:

— Każda siostra ci o tym opowie. Jeśli zechce. O ile dowiedziała się od innych. Dlatego spotykasz się wyłącznie z Czerwonymi. Czy widziałeś kiedyś, żeby rozmawiały z sobą siostry różnych Ajah? Por wano cię i wprowadzono na pokład tonącego okrętu.

— Dość już tego — warknęła Cariandre dokładnie w momencie, gdy Egwene kończyła ostatnie zdanie. — Kiedy skończysz z tą podłogą, udasz się do gabinetu Mistrziny Nowicjuszek i poprosisz o karę za uchylanie się od pracy za brak szacunku okazywany Aes Sedai.

Egwene ze spokojem przyjęła wściekłe spojrzenie tamtej.

— Kiedy uporam się ze sprzątnięciem posadzki, zostanie mi niewiele czasu do rozpoczęcia lekcji z Kiyoshi. Czy nie mogę zejść do gabinetu Silviany po jej zakończeniu?

Cariandre poprawiła szal na ramionach, wyraźnie zdumiona jej opanowaniem.

— Odpowiedź na to pytanie musisz sama znaleźć — odparła nareszcie. — Chodź, Mattinie Stepaneosie. Dość długo już pomagałeś temu dzieciakowi uchylać się od pracy.

Po opuszczeniu gabinetu Silviany Egwene nie znalazła czasu, by zmienić przemoczone ubranie lub choćby przeczesać włosy, jeżeli miała zachować choć iszkiełkę nadziei, że zdąży na spotkanie z Kiyoshi, nie biegnąc, bo całkiem nie miała na to ochoty. Dlatego się spóźniła. Okazało się, że wysoka, szczupła Szara była wrażliwa na punkcie punktualności i porządku. W niecałą godzinę później z tego też powodu Egwene jęczała i wierzgała, otrzymując tęgie razy od Silviany. Nieoczekiwanie uratowało ją coś innego niż tylko umiejętność przyjmowania bólu. Było to wspomnienie zadumanego wyrazu twarzy Martina Stepaneosa, gdy Cariandre prowadziła go korytarzem, a także fakt, że dwukrotnie zerknął na nią przez ramię. Posiała następne ziarno. Posieje dość wiele, a może wzejdą i rozsądzą piedestał, na który wyniosła się Elaida. Odpowiednia liczba ziaren ją obali.

Wczesnym rankiem siódmego dnia niewoli znów nosiła wodę do wieży, tym razem do kwater Białych Ajah, gdy naraz zatrzymała się; poczuła, jakby ktoś uderzył ją pięścią w żołądek. W jej kierunku spiralnym korytarzem szły dwie kobiety w szalach z szarymi frędzlami, w ślad za nimi wędrowali dwaj Strażnicy. Jedną z sióstr była Melavaire Someinellin, tęga Cairhienianka, odziana w

przepiękne szare wełny. Ciemne włosy znaczyły drobiny siwizny. Drugą, o błękitnych oczach i włosach koloru ciemnego miodu, była Beonin!

— Zatem to ty mnie zdradziłaś! — powiedziała Egwene ze złością. Przez głowę przemknęła jej myśl. Jak to możliwe, by Beonin zdradziła ją po złożeniu przysięgi na wierność? — Musisz być Czarną Ajah!

Melavaire wyprostowała się, jak mogła, a mogła nie bardzo, ponieważ była o parę cali niższa od Egwene, wsparła się pięściami o obfite biodra i otwarła usta, by ją zrugać. Egwene miała z nią jedną lekcję i choć zazwyczaj była kobietą łagodną w obejściu, w chwilach wściekłości potrafiła być przerażająca. Beonin oparła dłoń na pulchnym ramieniu drugiej siostry.

— Pozwól, Melavaire, porozmawiam z nią na osobności.

— Mam nadzieję, że rozmowa będzie krótka i ostra — powiedziała Melavaire lodowatym głosem. — Na samą myśl o takich oskarżeniach...! Na samo wspomnienie o takich rzeczach...! — Potrząsając głową na znak obrzydzenia, cofnęła się odrobinę w głąb korytarza. Tuż za nią udał się jej Strażnik, przysadzisty i szerszy nawet od niej, istny niedźwiedź, nie człowiek, choć poruszał się z gracją przystającą Strażnikom.

Beonin dała znak dłonią i zaczęła, aż podszedł jej Strażnik, szczupły z długą blizną na twarzy. Kilka razy poprawiła szal na ramionach.

— Nikogo nie zdradziłam — rzekła ze spokojem. — Nie przysięgałabym tobie, gdyby nie fakt, że Komnata kazałaby mnie wychłostać, gdyby poznała tajemnice, o których ty wiesz. Pewnie nie raz. To chyba wystarczający powód, by przysięgać, czyż nie? Nigdy nie udawałam, że ciebie kocham, jednak dochowałam przysięgi do chwili, gdy dowiedziałam się, że cię pojmano. Ale nie jesteś już Amyrlin, nieprawdaż? Nie jesteś jeńcem i nie ma nadziei na uratowanie cię, ponieważ sama odmawiasz zgody na ratunek. Znowu jesteś nowicjuską, a więc przysięga nie obowiązuje z dwóch przynajmniej powodów. Cała ta gadanina o buncie to były tylko wariackie pomysły. Rebelia się skończyła. Biała Wieża wkrótce znowu stanie się jednością, mnie zaś z tego powodu na pewno nie będzie przykro.

Egwene zsunęła koromysła z ramion, postawiła kubły z wodą na ziemi i splotła ramiona na piersiach. Od chwili, gdy została pojmana, próbowała zachować obojętność — wyjątkiem zapewne były chwile cierpienia podczas bicia — wszakże w takiej sytuacji nawet głąz by zapłakał.

— Nadzwyczaj wymownie się tłumaczysz — powiedziała oschle. — Samą siebie próbujesz przekonać? Wszystko to na nic, Beonin. Na nic. Powiadasz, że powstanie wygasło... Gdzie, zatem strumień sióstr, które przychodzą, by klęknąć przed Elaidą i przyjąć z jej rąk pokutę? Światłości, co jeszcze zdradziłaś? Wszystko? — Wydawało się to prawdopodobne. Zachodziła do gabinetu Elaidy kilkakrotnie w czasie *Tel'aran'rhiod*, ale skrzynka na listy Elaidy była zawsze pusta, Teraz wiedziała już dlaczego.

Na policzkach Beonin pojawiły się jaskrawe wypieki.

— Mówię ci, że nie zdradziłam n...! — Zakończyła zdławionym jękiem i schwyciła ręką gardło, przez które nie chciało przejść kłamstwo. To dowodziło, że nie jest Czarną Ajah; ale równocześnie dowodziło czegoś więcej.

— Zdradziłaś „cichociemne”. Czy wszystkie siedzą w celach piwnicznych?

Beonin rozejrzała się po korytarzu. Melavaire rozmawiała ze swoim Strażnikiem, który pochylał głowę. Choć przysadzisty, był od niej wyższy. Znajdowali się zbyt daleko, żeby cokolwiek usłyszeć, ale Beonin podeszła bliżej i zniżyła głos.

— Elaida kazała je obserwować, choć jestem przekonana, że Ajah nie donoszą jej o wszystkim, czego się dowiedzą. Niewiele sióstr z własnej woli informuje o czymkolwiek Elaidę. Zrozum, to było konieczne. Nie mogłam wrócić do Wieży i utrzymać rzeczy w sekrecie. W końcu i tak wszystko

wyszłoby na jaw.

— W takim razie musisz je ostrzec. — Egwene nie udało się ukryć pogardy w głosie. Ta kobieta dzieliła włos na czworo! Posłużyła się najbardziej tandetną wymówką, aby uznać, iż przysięga jej dłużej już nie obowiązuje, a następnie zdradziła kobietę, którą sama pomagała wybrać. Krew i krwawe popioły!

Beonin przez dłuższą chwilę milczała, bawiąc się bezmyślnie szalem, w końcu — o dziwo — przemówiła.

— Ostrzegłam już Meidani i Jennet. — Były to dwie Szare spośród „cichociemnych”.

— Zrobiłam dla nich, co mogłam. Reszta musi utonąć albo na własną rękę nauczyć się pływać. Zdarzało się, że siostry zbierały cięgi za to tylko, że podeszły zbyt blisko kwater innych Ajah. Nie mam zamiaru wędrować do mych komnat odziana zaledwie w szal i siniaki.

— Uważaj to za pokutę — przerwała jej Egwene. Światłości! Napaść na siostry?! Sprawy przybrały gorszy obrót, niż przypuszczała. Musiała sobie przypomnieć, że w ziemi dobrze potraktowanej nawozem ziarna lepiej kiełkują.

Beonin znowu rozejrzała się po korytarzu, Tervail postąpił krok w jej kierunku, nim zatrzymała go ruchem głowy. Jej oblicze było nieporuszone, pomimo zaczerwienionych policzków, w środku jednak musiała się gotować.

— Wiesz, że mogę cię odesłać do Mistrzynie Nowicjuszek, czyż nie? — powiedziała podniesionym głosem. — Słyszałam, że przez połowę dnia piszczysz pod jej pantoflem. Masz chyba dość już tych wizyt. Nie myłę się, prawda?

Egwene uśmiechnęła się do Beonin. Niespełna dwie godziny wcześniej uśmiechnęła się, gdy Silviana odłożyła pas. Teraz przyszło jej to z większym trudem.

— A kto wie, co ja sobie piszczę? Może pisnęłam słówko o przysi ęgach?

Z twarzy drugiej kobiety uciekła cała krew, pozostawiając oblicze blade i bez rumieńców. Nie, stanowczo nie chciała, żeby to wyszło na jaw.

— Być może udało ci się przekonać samą siebie, że nie jestem już Amyrlin, Beonin, czas jednak zacząć przekonywać się, że nadal nią jestem. Udzielisz ostrzeżenia pozostałym, ilekolwiek będzie cię to kosztować. Powiedz, żeby trzymały się ode mnie z daleka, chyba, że zmienię decyzję. Ściągnęły już na siebie wystarczająco dużo uwagi. Od dziś jednak będziesz rozglądać się za mną każdego dnia, na wypadek gdybym miała dla nich jakieś polecenia. Już teraz mam ich kilka. — Sporządziła naprędce listę tematów, które powinny podjąć w rozmowach z innymi siostrami. Shemerin pozbawiona stuły, współudział Elaidy w katastrofie pod Czarną Wieżą i Studniami Dumai, wszystkie ziarna, które sama wcześniej siała. Teraz trafią w ręce nie tylko jednego siewcy, lecz całego zastępu.

— Nie mogę mówić za inne Ajah — stwierdziła, Beonin, gdy Egwene skończyła. — Ale wśród Szarych siostry często same rozmawiają na te tematy. Siatki szpiegowskie mają ostatnio dużo zajęć. Wychodzą na jaw tajemnice, które Elaida wolałaby ukryć. Jestem pewna, że tak samo jest w wypadku innych. Być może nie muszę...

— Musisz je ostrzec i przekazać moje instrukcje, Beonin, — Egwene z powrotem narzuciła koromysła na ramiona, starając się je w miarę wygodnie zrównoważyć. Jeżeli te dwie, trzy Białe czekające na wodę uznają, że szła wolno, gotowe połamać na jej grzbiecie szczytki do włosów czy pantofle, a na koniec dodatkowo wysłać do Silviany. Zgoda na ból, nawet uczynienie go częścią siebie, nie oznaczała, że trzeba go wywoływać niepotrzebnie.

— Pamiętaj. To pokuta, którą na ciebie nałożyłam.

— Zrobię, jak każesz — przyrzekła Beonin z jawną niechęcią. W jej oczach nagle pojawiły się stalowe błyski, ale to nie miało związku z Egwene. — Z jaką radością ujrzę obalenie Elaidy —

dodała nieprzyjemnym głosem, a potem pośpieszyła w kierunku Melavaire.

Zdumiewające spotkanie, które znienacka zaowocowało konkretnym triumfem, wprowadziło Egwene w radosny nastrój, którego nie zatępiło późniejsze spotkanie z Ferane ani fakt, że traktowała Egwene jak ociążała na umyśle. Biała Zasiadająca Komnatę była pulchna, a rękę miała równie ciężką, jak Silviana.

Po kolacji powlokła się do otwartych cel, choć częścią swej istoty rozpaczliwie pragnęła znaleźć się w łóżku. Z przerwami na lekcje i wycie pod pasem Silviany — ostatnie spotkanie wypadło tuż przed kolacją — większość dnia spędziła na dźwiganiu wody. Bolały ją ramiona i nogi. Z trudem mogła ustać ze zmęczenia. Dziwne, ale od znalezienia się w niewoli przestały ją dręczyć przyprawiające o mdłości bóle głowy, ustały też ponure sny, które pozostawiały po sobie uczucie zagubienia, mimo iż nic z nich nie pamiętała. Dopiero dzisiaj zaczęło się zbierać na kolejną migrenę. A ta — jak zawsze — utrudniła odróżnienie prawdziwych snów; ostatnio miała ich kilku, nadzwyczaj wyraźnych. Dotyczyły Randa, Mata, Perrina, a nawet Gawyna, choć większość snów na temat tego ostatniego była tylko sennymi marzeniami.

Leane pilnowały trzy siostry znane jej z widzenia: Nagora, szczupła kobieta o jasnych włosach, które wiązała w węzeł na karku (zawsze siadała wyprostowana, żeby nadrobić niedostatki figury); Norine, urocza, o ogromnych, wilgotnych oczach, często równie roztargnionych, co oczy Brązowych; oraz Miyai, wysoka i pulchna o stalowosiwych włosach, kobieta zniszczona życiem, która nie mogła ścierpieć żadnych absurdów i dopatrywała się ich we wszystkim. Nagora, otoczona światłem *saidara* osłaniała Leane tarczą, wszystkie dyskutowały nad pewną logiczną kwestią, której Egwene nie potrafiła zrekonstruować z urywków, jakie usłyszała. Nie potrafiła nawet ocenić, czy są dwie strony w sporze, czy trzy. Żadna nie podnosiła głosu, żadna nie gestykulowała w najdrobniejszy nawet sposób, twarze wszystkich były niczym nieporuszona maska Aes Sedai, wszak chłodna nuta pobrzmiwająca w głosach nie pozostawiała wątpliwości, że gdyby nie były Aes Sedai, krzyczałyby, a może nawet wymierzały ciosy. Wnioskując z uwagi, jaką jej poświęciły, Egwene równie dobrze mogłaby nie istnieć.

Obserwując kątem oka całą trójkę, przysunęła się jak najbliżej żelaznej kraty i wsparła o nią obiema rękoma, żeby nie upaść, Światłości, jak bardzo była zmęczona! — Widziałam dziś Beonin — zaczęła łagodnie. — Jest tu w Wieży. Twierdzi, że przysięga, którą mi składała, utraciła znaczenie, ponieważ nie jestem już Zasiadającą na Tronie Amyrlin.

Leane westchnęła i przysunęła się na tyle, blisko, iż ciałem dotykała żelaznych krat.

— Zdradziła nas?

— Immanentna niemożliwość struktur symulowanych jest rzeczą pewną — odparła z przekonaniem Nagora. Jej głos brzmiał jak uderzenie lodowatego młota. — Pewną.

— Zaprzecza temu, a ja jej wierzę — odrzekła szeptem Egwene. — Przyznała się wszak, iż zdradziła „cichociemne”. Elaida na razie tylko je obserwuje, w każdym razie kazałam Beonin je ostrzec; obiecała, że tak uczyni. Twierdziła, że Meidanll oraz Jennet już ostrzegła, z drugiej strony, dlaczego miałyby je zdradzać, a później o tym informować? Sprawiała wrażenie, jakby nie mogła się doczekać chwili obalenia Elaidy. Dlaczego miałyby przejść na stronę Elaidy, skoro w dalszym ciągu życzy jej upadku? Prawie przyznała, iż jak dotąd żadna nie zdradziła naszej sprawy. Czegoś mi tu brakuje, ale jestem zbyt zmęczona by dostrzec, co to jest. — Ziewnęła rozdzierająco, ledwo zdążywszy zasłonić usta dłonią.

— Struktury symulowane są konsekwencją czterech z pięciu aksjomatów racjonalności szóstego rzędu — powiedziała Miyasi z identyczną stanowczością. — Jest to silne wynikanie.

— Tak zwana racjonalność szóstego rzędu została zanegowana przez wszystkie, które miały, choć

odrobinę intelektu, to zwykła aberracja — wtrąciła Norine, nieco zbyt ostrym głosem. — Lecz bez struktur symulowanych nie da się zrozumieć tego, co dzieje się, na co dzień w Wieży. Rzeczywistość deformuje się, zmienia każdego dnia.

Leane zerknęła na Białe siostry.

— Niektóre zawsze twierdziły, że są wśród nas agentki

Elaidy. Jeżeli Beonin była jedną z nich, przysięga, którą tobie złożyła, obowiązywałaby do momentu, w którym zdołałaby przekonać siebie, iż nie jesteś już Amyrlin. Jeśli z kolei w Wieży spotkała się z innym przyjęciem, niż oczekiwała, być może obiekt jej lojalności znowu uległ zmianie. Beonin była zawsze ambitna. Skoro uznała, że nie oddano jej sprawiedliwości... — Rozłożyła ręce. — Zawsze oczekiwała, że otrzyma to, na co zasłużyła, albo więcej.

— Logika zawsze znajduje zastosowanie w rzeczywistym świecie — powiedziała Miyasi z niechęcią. — Jednak tylko nowicjuszka mogłaby wpaść na pomysł, iż rzeczywisty świat można przełożyć na logikę. Aksjomaty należy tworzyć na podstawie idealizacji. Nie zaś w oparciu o ziemskie prawa. — Nagora zgrzytnęła zębami i popatrzyła ponuro, jakby wypowiedziane przed momentem słowa siłą zostały wydarte z jej ust.

Z lekka zarumieniona Norine podniosła się z miejsca i zaczęła przeciskać między ławkami w kierunku Egwene. Dwie pozostałe odprowadzały ją wzrokiem. Chyba czuła na sobie ciężar ich spojrzeń, ponieważ wciąż poprawiała szal na ramionach.

— Dziecko, wyglądasz na skonaną. Idź natychmiast do łóżka.

Egwene o niczym innym nie marzyła, wpierv jednak pragnęła usłyszeć odpowiedź na swoje pytanie. Tylko, że teraz należy zachować najdalej posuniętą ostrożność. Uwaga trzech Białych sióstr była niepodzielnie skupiona na niej.

— Leane, czy siostry, które przychodzą do ciebie w odwiedziny, zadają ciągle te same pytania?

— Mówiłam ci, że masz się położyć — powtórzyła ostro Norine. Klasnęła w dłonie, jakby to mogło nakłonić Egwene do posłuszeństwa.

— Tak. — powiedziała Leane. — Już rozumiem, o co ci chodzi. Zapewne można mówić o ograniczonym zaufaniu.

— Bardzo ograniczonym — odparła Egwene.

Norine wsparła ręce na biodrach. W jej głosie oraz na twarzy pojawił się chłód, wszelkie roztargnienie rozwiało się bez śladu.

— Skoro odmawiasz pójścia do łóżka, możesz udać się do gabinetu Mistrzynie Nowicjuszek i powiedzieć, że nie chciałaś słuchać siostry.

— Oczywiście — odparła pospiesznie Egwene. Wykonała zwrot do tyłu. Uzyskała odpowiedź: Beonin nie zdradziła splotów Podróżowania, z czego należało wnosić, że najprawdopodobniej nie przekazała Wieży nic innego; niewykluczone, iż może zaryzykować ograniczone zaufanie do niej. Nagora oraz Miyasi szły w jej stronę. Na pewno nie chciała, by osobiście zawlokły ją do gabinetu Silviany, do czego przynajmniej Miyasi była zdolna. Miała nawet więcej siły niż Ferane.

Przed pierwszym brzaskiem dziewiątego dnia pobytu w Wieży Doesine weszła do niewielkiego pokoiku Egwene, by zaferować jej poranną dawkę Uzdrawiania. Na zewnątrz tępo dudnił deszcz. Dwie Czerwone siostry, które czuwały nad snem Egwene, podały jej widłokorzeń, popatrzyły krzywo na Doesine i pośpiesznie opuściły pokój. Zasiadająca w imieniu Żółtych skwitowała to pogardliwym parsknięciem, gdy drzwi się zamknęły. Posłużyła się starą, klasyczną metodą Uzdrawiania, od której Egwene odebrało dech w piersiach, jakby zanurzyła się w lodowatym stawie, a potem strasznie zachciało się jeść. Niebolesność pośladek zdała się przeżyciem osobliwym. Naprawdę dziwne, ale człowiek z biegiem czasu przywykał do wszystkiego i nawet posiniaczone

pośladki wydawały się sprawą normalną. Stara metoda, którą nieodmiennie posługiwały się tamte przy każdym dotychczasowym Uzdrawianiu, wskazywała wszakże, że Beonin zachowała kilka tajemnic, choć jak jej się to udało, wciąż stanowiło zagadkę. Sama Beonin twierdziła, że większość siostr uważa opowieści o nowych splotach za zwykłe plotki.

— Nie zamierzasz się chyba, cholera, poddawać, co, dziecko? — powiedziała Doesine, gdy Egwene przeciągała suknię przez głowę. Język tej kobiety jawnie klócił się z jej elegancką powierzchownością: błękitna suknia ze złotym haftem, szafiry w uszach i we włosach.

— Czy Zasiadająca na Tronie Amyrlin mogłaby się poddać? — zapytała Egwene, gdy tylko jej głowa wydostała się z dekoltu sukni. Sięgnęła rękoma do tyłu, aby pozapinać białe rogowe guziki. Doesine znowu parsknęła, choć — jak uznała Egwene — tym razem bez śladu pogardy.

— Śmiałe słowa, dziecko. Mimo to gotowa jestem się założyć, że już niedługo Silviana z właściwą sobie energią nauczy ci ę prosto siedzieć i równo chodzić. — Bez dalszych słów opuściła pomieszczenie i nie posłała Egwene na dół za uzurpację miana Zasiadającej na Tronie Amyrlin.

Przed śniadaniem Egwene miała wyznaczoną jeszcze jedną wizytę u Mistrzynie Nowicjuszek — jak dotąd stanowiły one codzienny rytuał — i w następstwie operacji, która zniweczyła wszystkie wcześniejsze wysiłki Doesine, z determinacją przestała płakać natychmiast po tym, jak Silviana odłożyła pas. Kiedy podniosła się znad biurka, do którego przymocowana była poduszka ze skóry, przeznaczona dla odbierających karę, wytarta już przez ciała nie wiadomo ilu kobiet, jakie na niej leżały; kiedy suknia i halka dotknęły urażonej skóry, nie poczuła ochoty, by się skrzywić. Pogodziła się z palącym bólem, uczyniła z niego część siebie, ocieplała się w jego żarze, jakby grzała ręce przed kominkiem w zimowy poranek. W tym momencie analogia między jej pośladkami a palącym ogniem kominka wydała się szczególnie trafna. Spoglądając w lustro, ujrzała twarz o niezmaconym wyrazie. Policzki były zaognione, ale oblicze wszak spokojne.

— Jak Shemerin mogła zostać obrócona w Przyjętą? — zapytała, ocierając łzy chusteczką. — Dowiadywałam się i nie ma takiej klauzuli w prawie Wieży.

— Ile razy przysłano cię do mnie z powodu owych „dociekań”? — odpowiedziała pytaniem na pytanie Silviana, odwieszając harap o rozwidlonym końcu do wąskiej szafki razem ze skórzaną poduszką i różgą. — Można by pomyśleć, że już dawno powinno ci się znudzić. — Ciekawa jestem, jak to możliwe, skoro prawo nie przewiduje takich przypadków.

— Nie przewiduje takich przypadków, dzieciaku — od rzekła Silviana łagodnie, jakby odkrywała przed dzieckiem stare prawdy. — Ale również nie zabrania. To taka furтка... Cóż nie będziemy tego roztrząsać. Idąc tą ścieżką, ponownie zarobiłabyś na lanie. — Pokręciła głową i z powrotem usadowiła się za biurkiem. Oparła ręce na blacie. — Problem polega na tym, że Shemerin się z tym pogodziła. Inne siostry radziły jej aby zignorowała edykt, skoro jednak uświadomiła sobie, iż apelacja nie zmieni decyzji Amyrlin, przeniosła się do kwater Przyjętych.

Egwene zaczęło głośno burczeć w brzuchu, żołądek domagał się śniadania, jednak nie miała zamiaru na tym poprzestać. Zrozumiała, bowiem, że oto prowadzi z Silvianą prawdziwą rozmowę. Jakkolwiek dziwny był jej temat.

— Dlaczego jednak uciekła? Z pewnością przyjaciółki usiłowały przemówić jej do rozumu.

— Niektóre tak — odrzekła Silviana sucho. — Pozostałe... — Wykonała ruch dłońmi, naśladując kołyszące się szale wagi, najpierw uniosła jedną rękę, potem drugą. — Inno próbowały siłą wlać jej oleju do głowy. Przychodziła do mojej go gabinetu prawie tak często jak ty. Traktowałam jej wizyty niczym prywatną pokutę, brakowało jej wszakże twojej... — Naraz urwała, odchylając się do tyłu na krześle, by zmierzył Egwene spojrzeniem znad złożonych smukłych palców, — No cóż. Wyciągnęłaś mnie na pogawędki. Nie jest to z pewnością zabronione, jednakże zważywszy na okoliczności, trudna

uznać to za właściwe. Idź na śniadanie — powiedziała, ujmując pióro w dłoń, a drugą odkręcając srebrne wieczko kałamarza. — Wyznaczam ci kolejne spotkanie po południu, ponieważ wiem, że nie masz zamiaru się nikomu kłaniać. — W jej głosie dało się słyszeć odległą nutę rezygnacji.

Kiedy Egwene weszła do refektarza nowicjuszek, pierwsza która ją zobaczyła, wstała i nagle po całej komnacie poniosło się głośnie szuranie ławek o kolorowe płytki posadzki — to reszta poszła za jej przykładem. Stały w milczeniu wyprostowane przy ławkach, podczas gdy Egwene maszerowała pomiędzy środkowymi rzędami w kierunku kuchni. Naraz Ashelin, zażywna, ładna dziewczyna z Altary wyprzedziła ją niczym strzałą. Zanim Egwene stanęła u drzwi kuchni, Ashelin była z powrotem, trzymając w rękach tacę, na której znajdował się tradycyjnie fajansowy kubek z parującą herbatą oraz talerz z chlebem, oliwkami i serem. Egwene sięgnęła po tacę, jednak dziewczyna o oliwkowej karnacji uprzedziła ją i pospieszyła do najbliższego stołu, na którym — naprzeciw pustej ławki — postawiła tacę. Cofając się, wykonała coś, co przypominać miało ukłon. Szczęściem dla niej tego ranka żadna siostra z eskorty Egwene nie zajrzała do refektarza. Był to również Uśmiech losu dla wszystkich nowicjuszek, które wstały.

Na ławce, naprzeciw uszykowanej dla Egwene tacy leżała poduszka. Śmieszny łachman, na którym więcej było łat we wszelkich możliwych do wyobrażenia kolorach, ale jednak poduszka. Egwene podniosła poduszkę i położyła na końcu stołu, zanim usiadła. Oswajanie bólu było proste. Grzała się w gorącu swego wewnętrznego ognia. Przez salę przebiegł cichy szmer — echo powszechnego westchnienia. Dopiero, kiedy wetknęła oliwkę do ust, reszta usiadła. Zaraz niemal wypluła ją — była prawie zepsuta, — ale głód w następstwie Uzdrawiania zmusił do wyplucia wyłącznie pestki, którą ukryła we wnętrzu dłoni i odłożyła na talerz, zapijając przykry smak łykiem herbaty. W herbacie był miód! Nowicjuszki dostawały miód tylko na specjalne okazje. Próbowwała powstrzymać uśmiech, kiedy zjadała resztki z talerza, a robiła to dokładnie, usuwając poślinionymi opuszkami palców okruszki chleba i sera. Trudno jednak było się nie uśmiechnąć. Najpierw Doesine — Zasiadająca Komnatę! — potem rezygnacja Silviany, i na koniec to! Postawy dwóch sióstr były znacznie ważniejsze niż gest nowicjuszek czy miód w herbacie, ale wszystkie wskazywały na jedno. Wygrywała tę wojnę.

ROZDZIAŁ 8

W SŁUŻBIE ELAIDY

Ze skórzaną teczką pod pachą Tama wspinała się ku apartamentom, Elaidy, wybierając drogę blisko

centrum Wieży, przez co musiała — zamiast wznoszących się łagodną spiralą korytarzy — pokonywać niezliczone z pozoru klatki schodowe. Dwukrotnie zdarzyło się, że schody były w innym miejscu, niż pamiętała, póki wszak wiodły w górę, nie przerywała wędrówki, mając pewność, że dotrze do miejsca przeznaczenia. Na schodach nie spotykała nikogo prócz nielicznej służby, tamci kłaniali się, kobiety dygały, a potem spieszyli do przerwanych zadań. Idąc korytarzem, musiałaby mijać kwatery Ajah i może spotkałaby inne siostry. Stuła Opiekunki umożliwiała jej wstęp do kwater wszystkich Ajah, mimo to unikała ich — Czerwone były wyjątkiem — poza sytuacjami, gdy obowiązek wzywał. Wśród sióstr innych Ajah miała dokuczliwą świadomość, że jej stuła jest czerwona, oraz czuła palące spojrzenia bijące z chłodnych twarzy. Nie wyprowadzały jej z równowagi — niewiele rzeczy potrafiło; na przykład od razu przyzwyczała się do deformacji wnętrza Wieży — mimo to... Nie sądziła, by sprawy zaszły tak daleko, żeby ktoś zaatakował Opiekunkę, niemniej lepiej nie ryzykować. Sytuacja była jeszcze do uratowania, choć wbrew temu, co sądziła Elaida, wymagało to długich, mozolnych wysiłków, a napaść na Opiekunkę mogła bezpowrotnie zmienić ten stan rzeczy.

Dzięki temu, że nie musiała cały czas oglądać się przez ramię, mogła myśleć nad kłopotliwym pytaniem Pevary, którego nie wzięła pod uwagę, zanim wysunęła propozycję nałożenia Asha'manom więzi zobowiązań. Komu wśród Czerwonych można by powierzyć zadanie? Odwieczne polowanie na mężczyzn potrafiących przenosić wytworzyło u Czerwonych sióstr odruch niechęci wobec wszystkich mężczyzn, u niektórych była to wręcz nienawiść. Rodzony brat lub ojciec, ulubiony kuzyn bądź wujek mogli wzbudzać w nich autentyczne uczucia, ale wraz z ich śmiercią uczucie zniknęło. I zaufanie. A w grę wchodził jeszcze inny rodzaj zaufania. Nałożenie mężczyźnie więzi zobowiązań stanowiło pogwałcenie obyczaju równie silnego jak prawo. Nawet z błogosławieństwem Tsutamy, kiedy padnie wzmianka o nałożeniu więzi Asha'manom, ile sióstr może natychmiast pobiec z językiem do Elaidy? Zanim dotarła do apartamentów Elaidy, które mieściły się zaledwie o dwa piętra poniżej szczytu Wieży, usunęła kolejne trzy imiona z mentalnej listy. Po niespełna dwóch tygodniach jej lista nazwisk kobiet, którym mogła ufać, ograniczała się zaledwie do jednego, ona zaś z kolei całkowicie nie nadawała się do zamierzonego zadania.

Elaidę zastała w salonie, gdzie całość umeblowania zdobiona była inkrustacją ze złota i kości słoniowej, zaś ogromny wzorzysty dywan stanowił wspaniały przykład rękodzieła Łzy. Siedziała na krześle o niskim oparciu naprzeciw kominka i sączyła wino w towarzystwie Meidani. Obecność Szarej siostry mimo wczesnej pory nie była zaskoczeniem. Meidani zazwyczaj wieczorami spożywała kolacje wspólnie z Amyrlin i często, zaproszona, odwiedzała ją w ciągu dnia. Elaida miała na ramionach siedmiobarwną pasiastą stułę, dość szeroką, by zakryć ramiona, patrzyła na drugą kobietę ponad brzegiem szklanego pucharu, jak błękitnooki orzeł o ogromnych źrenicach wpatruje się w mysz. Meidani, ze szmaragdami w uszach i na szerokim naszyjniku wokół smukłej szyi, była w pełni świadoma spojrzenia tych oczu. Jej pełne wargi rozchyłały się w uśmiechu, a równocześnie zdawały się drżeć. Dłoń, w której nie trzymała pucharu, bezustannie wędrowała: do szmaragdowego grzebienia nad lewym uchem, do włosów, do dekoltu, aż i nazbyt śmiałego w staniku z szarosrebrnego brokatu. Jej łono nie zasługiwało bynajmniej na miano nadmiernie obfitego, tylko zdawało się takim przy szczupłej sylwetce — w każdym razie piersi wyglądały, jakby miały za chwilę wymknąć się z krępującej klatki szat. Była ubrana jak na bal. Albo na intymne spotkanie we dwoje.

— Przyniosłam raporty poranne, Matko — powiedziała Tarna, skłaniając się nieznacznie. Światłości! Czują się, jakby zepsuła wieczór kochankom!

— Nie pogniewasz się, jeśli poproszę cię, abys wyszła, Meidani? — Nawet uśmiech, który Elaida

przesłała kobiecie o słomianych włosach, był drapieżny.

— Oczywiście, że nie, Matko — odrzekła Meidani, odstawiając puchar na niewielki stolik, który stał obok jej fotelika, i Zaraz skoczyła na nogi, aby złożyć głęboki ukłon, przy którym omal nie pogubiła swoich sukien. — Oczywiście, że nie. — Wymknęła się z komnaty, oddychając ciężko, z rozszerzonymi źrenicami.

Kiedy zamknęły się za nią drzwi, Elaida wybuchnęła śmiechem.

— Za nowicjatu byliśmy przyjaciółkami od wspólnej poduszki — powiedziała, podnosząc się. — I jak sądzę, zależy jej na odnowieniu przyjaźni. Może na to pozwolę. Na wspólnej poduszce zdradzi zapewne więcej sekretów niż dotąd. A tych nie ma zbyt wiele, prawdę mówiąc. — Pomaszerowała do najbliższego okna i stanęła przy nim, wpatrując się w dół, w miejsce, gdzie powstanie jej wyimaginowany pałac, który przyćmi samą Wieżę. Tak się w końcu stanie. Tylko trzeba przekonać siostry, żeby wróciły do pracy nad nim. Nocny ulewny deszcz wciąż padał i wydawało się mało prawdopodobne, by w jego strugach udało się dostrzec cokolwiek, choćby zarys fundamentów. Fundamenty były jedyną ukończoną częścią pałacu. — Nalej sobie wina, jeżeli masz ochotę.

Tarna z wysiłkiem opanowała twarz. Przyjaźń od poduszki należała do zjawisk powszednich pośród nowicjuszek i Przyjętych, lecz kiedy mija wiek dziewczęcy, trzeba zapomnieć o dziewczęcych sprawach. Z pewnością nie wszystkie siostry dostrzegały taką konieczność. Galina była naprawdę zdziwiona, kiedy Tarna odrzuciła jej starania po wyniesieniu do szala. Osobiście uważała, że mężczyźni są atrakcyjniejsi od kobiet. Większość oczywiście, Aes Sedai nadzwyczaj onieśmiały, zwłaszcza, gdy dowiadawali się, iż siostra jest Czerwoną Ajah, niemniej przez lata zetknęła się z paroma mężczyznami, których to nie dotyczyło.

— Dziwne, ale nie odniosłam takiego wrażenia, Matko — powiedziała, kładąc skórzaną teczkę na stole obok złotej tacy kutej w misterne ornamenty. Na tacy znajdował się kryształowy dzban z winem oraz podobne puchary. — Sprawia takie wrażenie, jakby się ciebie bała. — Napełniła puchar i zanim upiła łyk, wciągnęła w nozdrza woń wina. Wyglądało na to, że sploty Konserwacji działały jak należy. Elaida w końcu nią zgodziła, że wszystkie powinny je poznać. — Niemal jakby wiedziała, że zdajesz sobie sprawę, iż jest szpiegiem.

— Oczywiście, że się mnie boi — głos Elaidy ociekał sarkazmem, wkrótce jednak przybrał ton grobowy: — Chcę, żeby się bała. Mam zamiar przepuścić ją przez magiel. Zanim rozkażę ją wychłostać, gotowa będzie na jedno moje słowo sama przywiązać się do pręgierza. Tarna, gdyby ona była świadoma, że ja wiem, zamiast pchać się w moje ręce, wzięłaby nogi za pas. — Elaida pociągnęła łyk wina, w dalszym ciągu wpatrując się w obfite strugi deszczu. — Czy masz jakieś wieści o innych? — Nie, Matko. Gdybym mogła powiedzieć Zasiadającym Komnaty, jakie są powody tej obserwacji...

— Nie! — odwarknęła Elaida, obracając się ku niej. Jej suknia stanowiła taką plataninę misternych czerwonych ślimacznic, że haft przysłaniał prawie całkiem szary jedwab pod spodem. Wcześniej Tarna zasugerowała, iż mniej ostentacyjne przywiązanie do dawnych Ajah — ujęła to bardziej dyplomatycznie, ale sens był taki sam — może przyczynić się do ponownego zbliżenia Ajah. Wszakże wybuch furii, w jaką wpadła Elaida, wystarczył, aby więcej nie poruszała tej sprawy.

— A może niektóre Zasiadające Komnaty kolaborują z nimi? Moim zdaniem są do tego zdolne. Te absurdałne negocjacje na moście trwają, mimo mych rozkazów. Tak, absolutnie są do tego zdolne.

Tarna zbliżyła usta do krawędzi pucharu, jakby na znak, że nie zamierza polemizować. Elaida nie chciała zrozumieć, że skoro Ajah nie posłuchały jej nakazu zerwania negocjacji, zapewne również nie będą szpiegować własnych sióstr, nie wiedząc dlaczego. Gdyby to powiedziała na głos,

skończyłoby się kolejną tyradą.

Elaida patrzyła na Tarnę, jakby chciała upewnić się, że ta nie będzie się kłócić. Kobieta wyglądała na twardszą niż zazwyczaj. A także bardziej kruchą.

— Szkoda, że nie powiodło się powstanie w Tarabon — powiedziała na koniec. — Domyślam się, że nic w tej sprawie nie można już zrobić. — Od czasu, gdy przysły wieści, że Seanchanie przystąpili do umacniania władzy nad tym krajem, wspominała o tym często, w najbardziej niestosownych momentach. Nie była aż tak zrezygnowana, jak udawała. — Chciałabym usłyszeć jakieś dobre wieści, Tarna. Czy jest coś na temat pieczęci, założonych na więzieniu Czarnego? Musimy mieć pewność, że żadna następna nie pękła. — Jakby Tarna tego nie wiedziała!

— Ajah o niczym nie doniosły, Matko, a nie sądzę, że taiłyby takie wieści. — Z miejsca pożałowała wypowiedzianych słów.

Elaida jęknęła. Od Ajah przeciekały tylko strzępy tego, co wiedziały dzięki swym siatkom szpiegowskim, a o co Elaida miała do nich gorzkie pretensje. Jej własne siatki operowały głównie na terenie Andoru. — Jak postępują roboty w zatoce?

— Opieszale, Matko.

Wraz ze zdławieniem handlu miasto stanęło prawie na krawędzi głodu. I wkrótce zacznie głodować, jeżeli ujścia zatok nie zostaną otwarte. Nawet odcięcie żelaznej części łańcucha w Południowej Przystani nie sprawiło, że do Tar Valon zaczęła docierać odpowiednia liczba statków. Kiedy Tarna wreszcie zdołała przekonać Elaidę o zaistniałej konieczności, ta rozkazała rozebrać wieże, aby dzięki temu dało się usunąć owe olbrzymie kawałki cuendillara. Niemniej, podobnie jak mury miasta, wieże zostały wzniesione i umocnione przy użyciu Mocy i tylko Moc potrafiła je rozebrać. Zadanie nie było łatwe. Pierwotni mularze zrobili dobrą robotę, a te osłony jak dotąd nie osłabły ani o włos. — Na razie Czerwone wykonują większość roboty. Siostry z innych Ajah przychodzą i odchodzą, zawsze jest ich nie więcej niż kilka. Spodziewam się, że to się wkrótce zmieni. — Rozumiały konieczność, jakkolwiek było to niemile, siostrom nie przypadła do gustu tego rodzaju praca. Z pewnością Czerwone, które wykonywały większą część zadań, utyskiwały, rozkaz wszakże pochodził z ust Elaidy, co dzisiaj wywierało niestety skutek poniekąd odwrotny.

Elaida westchnęła ciężko, po czym pociągnęła długi łyk z pucharu. Wydawało się, że tego było jej trzeba. Ręka zacisnęła się na pucharze tak silnie, że na skórze uwydatniły się ścięgna. Przeszła po wzorzystym, jedwabnym dywanie i podeszła do Tarny, jakby miała zamiar ją uderzyć.

— Znów mi się sprzeciwiają. Znowu! Wymuszę na nich posłuszeństwo, Tarna. Zrobię to! Zapisz mój rozkaz, a gdy go podpiszę i opieczętuję, wyślij zaraz do wszystkich kwater Ajah. — Przystanąła, nieomal zderzywszy się czołem z Tarną. Jej ciemne oczy lśniły jak u kruka. — Zasiadające Komnaty każdej Ajah, które nie zdołają wydelegować sióstr do stosownego udziału w pracach przy wieżach łańcucha, codziennie będą odbierać chłostę z rąk Silviany, do chwili, gdy bieg spraw przybierze właściwy obrót. Codziennie! I to samo stanie się z Zasiadającymi Komnaty Ajah wszelkiej maści, które wysyłają siostry na te... te rozmowy. Napisz to i zostaw mi do podpisu!

Tarna wzięła głęboki oddech. Kary mogły przynieść skutek, ale niekoniecznie oczekiwany, zależnie od tego, w jakim usposobieniu znajdowały się Zasiadające Komnaty. Nie sądziła, by w głowach Ajah doszło do takiego pomieszania pojęć, że mogą w ogóle odmówić zgody na przyjęcie pokuty. Oznaczałoby to z pewnością koniec Elaidy, być może koniec Wieży. Jednak publiczne ogłoszenie rozkazu, bez pozostawienia siostrom choćby możliwości dyskusji pozwalającej na zachowanie godności, było niewłaściwą drogą postępowania. W rzeczywistości wielce prawdopodobne, że była to najgorsza z dróg.

— Gdybym mogła coś zaproponować... — zaczęła zdanie z taką delikatnością, na jaką było ją stać,

a nie słyneła z delikatności.

— Daruj sobie — ucięła Elaida ostro. Pociągnęła kolejny długi łyk i opróżniła puchar do końca. Przeszła po dywanie do stoliczka, aby go znowu napełnić. Ostatnio za dużo piła. Tarna nawet raz widziała ją pijaną! — Jak Silviana radzi sobie z tą dziewczyną al'Vere? — zagadnęła, po raz kolejny napełniając puchar.

— Niemal połowa dnia Egwene upływa na wizytach w gabinecie Silviany, Matko. — Starła się, aby ton jej głosu zabrzmiał neutralnie. Elaida zapytała o młodą kobietę po raz pierwszy, odkąd ta została pojmana dziewięć dni wcześniej.

— Aż pół dnia? Moim pragnieniem było, by utemperowano jej charakter stosownie do rygorów panujących w Wieży Nie było wszak moją wolą łamać jej charakteru.

— Cóż... wątpię, aby zdołano ją złamać, Matko. Już Silviany w tym głowa. — Pozostawała jeszcze kwestia samej dziewczyny. Ta historia jednak nie była przeznaczona dla uszu Elaidy. Tarna miała już dość krzyków. Nauczyła się unikać tematów, które owocowały jedynie wrzaskiem. Niewypowiedziane sugestie i rady były tak samo bezużyteczne, jak te, które ignorowano, a Elaida zawsze je ignorowała. — Egwene jest uparta, spodziewam się jednak, że wkrótce musi dojść do właściwych wniosków. — Musiała. Wysiłki Galiny, które zmierzały do wybicia jej z głowy upor, w dziesiątej części nie dorównywały staraniom, jakie Silviana czyniła w stosunku do Egwene. Dziewczyna wkrótce będzie musiała się poddać.

— Świetnie — mruknęła Elaida. — Wyśmienicie. — Spojrzała przez ramię. Twarz jej była maską spokoju. Oczy w dalszym ciągu lśniły. — Wpisz jej imię na listę tych, które mają u mnie pełnić służbę. Najlepiej już od dzisiejszego wieczoru. Może podać kolację dla mnie i dla Meidani.

— Uczynię, jak każesz, Matko. — Kolejna wizyta u Mistrzynie Nowicjuszek wydawała się nieunikniona, ale bez cienia wątpliwości Egwene czekałaby dokładnie taka sama liczba wizyt, gdyby nie trafiła do Elaidy.

— Teraz poproszę o raporty, Tarna. — Elaida ponownie usiadła na krześle, założyła nogę na nogę. Odstawiwszy z powrotem na tacę puchar, w którym ledwie umoczyła usta, Tarna ujęła teczkę i zasiadła na krześle, na którym wcześniej spoczywała Meidani.

— Wygląda na to, że odnowione osłony odstraszą szczury. Matko. — Inną kwestią było, na jak długo; sama codziennie sprawdzała te osłony. — Ale na terenie Wieży widywano kruki i wrony, zatem osłony na murach muszą...

W promieniach południowego słońca rozigrane plamki światła tańczyły na ziemi pod gałęziami wysokich liściastych drzew — las porastały głównie skórzane liście i tulipanowce, wśród nich gdzieniegdzie strzelały ku niebu topole oraz masywne sosny. Jakiś czas temu tereny te musiała nawiedzić sroga burza, ponieważ powalone pnie układały się w jednym kierunku tak, że wystarczyło tylko odciąć kilka gałęzi toporkiem, by zyskać znakomite miejsce na obozowisko. Rzadkie poszycie umożliwiało skuteczną obserwację na wszystkie strony, niedaleko po omszałych kamieniach pluskając, pomykał wąski, czysty strumień. Miejsce na obozowisko byłoby znakomite, gdyby nie fakt, że Mat starał się pokonać każdego dnia jak najwięcej drogi, pozostawał, więc krótki popas, podczas którego zjedzą i dadzą odpocząć koniom. Od Gór Damonas wciąż dzieliło ich trzysta mil, a postanowił dotrzeć do nich w ciągu tygodnia. Vanin powiedział, że zna przełęcz przemytników — tylko z plotek; przypadkiem coś mu wpadło w ucho, niemniej, rzecz jasna, znajdzie ją bez najmniejszych trudności — dzięki której dwa dni później znajdą się w Murandy. Znacznie bezpieczniejsza trasa niż próba jazdy na północ do Andoru albo na południe w kierunku Illian. W obu wypadkach za bardzo oddalaliby się od stosunkowo bezpiecznych terenów i dodatkowo ryzykowali

spotkanie Seanchan.

Mat przeżuł ostatni kąsek mięsa z króliczego udka i rzucił kostkę na ziemię. Siwiejący Lopin w zaambarasowaniu głaszcząc brodę, zaraz się na nią rzucił, żeby podnieść i wrzucić do schludnego dołu, który on i Nerim wykopali w pokrytej ściółką ziemi, choć oczywiste było, że pół godziny po ich odjeździe zwierzęta go rozgrzebią. Wstał, wytarł dłonie w spodnie. Tuon, która po drugiej stronie ogniska skubała udko głuszca, obrzuciła go znaczącym spojrzeniem, uniosła brwi, równocześnie przekazując coś mową palców Selucii, sycącej apetyt całą połówką ptaka. Z pełnymi ustami trudno coś odpowiedzieć, więc właścicielka wydatnych piersi tylko parsknęła. Głośno. Nie pozostawiało nic innego, jak spojrzeć Tuon w oczy i demonstracyjnie znów wytrzeć dłonie w spodnie. Poszedłby do strumienia, gdzie myły ręce Aes Sedai, ale — tak czy siak — gdy dotrą do Murandy, nikt nie będzie miał nieskazitelnie czystego ubrania. Poza tym, kiedy kobieta przez cały czas nazywała człowieka Zabaweczką, należało korzystać z każdej okazji, by jej dowieść, że nie jest się niczyją igraszką. Pokręciła głową, palce znowu zamigotały. Tym razem Selucia roześmiała się, i Mat poczuł, jak twarz oblewa mu szkarłat. Potrafił sobie wyobrazić dwie, trzy rzeczy, o których mogli rozmawiać i żadnej nie chciałby usłyszeć wypowiedzianej na głos.

Siedząca na krańcu jego kłody Setalle i tak zadbała, by nie uszło mu to płazem. Choć miał z byłą Aes Sedai coś w rodzaju porozumienia, nie mógł liczyć, że w czymkolwiek zmieni to jej stosunek do świata.

— Może powiedziała, że wszyscy mężczyźni to świnie — mruknęła, nie unosząc spojrzenia znad tamborka z haftem. — Albo, że ze wszystkich tylko ty jesteś świnia. — Mimo iż miała na sobie ciemną suknię do jazdy konnej z wysokim karczkiem, nie zdjęła pysznego srebrnego naszyjnika, z którego zwisał małżeński nóż. — Może powiedziała, że jesteś dla niej wiejskim burakiem z ubłoconymi stopami, brudnymi uszami i słomą we włosach. Może powiedziała.

— Chyba już się domyślam, do czego zmierzasz — poinformował ją przez zaciśnięte zęby. Tuon zachichotała, ale już po chwili jej oblicze przybrało maskę kata: zimną i surową.

Wyciągnął z kieszeni kaftana fajkę ze srebrną główką i kapciuch z koziej skóry, nabił tytoniu do pełna, podniósł pokrywkę pojemnika z zapalnikami stojącego u stóp. Jak zawsze z fascynacją przyglądał się płomieniowi, który po potarciu czerwono-białą główką o chropowaty bok pudełka strzelał na wszystkie strony. Pozwolił mu się palić przez chwilę, potem przytknął do główki fajki. Na samym początku zdarzyło mu się wciągnąć w płuca ostry zapach i smak siarki, od tamtego razu bardziej uważał. Upuścił płonący patyczek na ziemię i przydeptał stopą. Ściółka wciąż była mokra po ostatnim deszczu, ale lepiej nie ryzykować pożaru lasu. Kiedy w Dwu Rzekach palił się las, w promieniu wielu mil następował ludzki exodus. Czasami paliły się nawet wielkie połacie bagien.

— Nie należy marnować zapalek — powiedziała Aludra, unosząc spojrzenie znad planszy do gry w kamienie, balansującej na pobliskiej kłodzie. Thom, gładząc długie siwe wąsy, i wciąż rozmyślał nad krzyżującymi się liniami szachownicy. Rzadko przegrywał w kamienie, ale jakimś sposobem od czasu rozstania z widowiskiem Aludra wygrała dwie partie. Dwie z kilkunastu co najmniej, ale Thom zupełnie inaczej traktował każdego, kto wygrał z nim choć raz. Kobieta ruchem głowy odrzuciła na ramię niezliczone cienkie warkoczyki z wplecionymi w nie paciorkami.

— Na zrobienie nowych potrzebuję przynajmniej dwudniowego postoju. Mężczyźni zawsze chętnie przysparzają kobietom pracy, tak?

Mat wydmuchnął dym, jeśli nawet nie z rozkoszą, to przynajmniej z odrobiną zadowolenia. Kobiety! Czysta rozkosz dla oka i rozkoszne towarzyszki. Póki nie znalazły sposobu, by się mężczyźnie dobrać do skóry. Tyle samo w nich dobrego, co złego. Zaprawdę. Większość skończyła już się posilać — na rożnie nad ogniskiem zostały wprawdzie spore części

dwóch głuszców i jeden królik, ale zawinięte w płótno staną się prowiantem na drogę; podczas porannej podróży polowanie udawało się znakomicie, trudno było wszak liczyć, że popołudnie okaże się równie szczęśliwe, a fasola i płaski chleb wypiekany bez drożdży składały się na kiepski posiłek. Ci, którzy skończyli, odpoczywali i tylko Czerwonoręcy sprawdzali, czy nie ochwaciły się juczne konie — a było ich ponad sześćdziesiąt, powiązanych w cztery kolumny. Wszystkie zakupione zostały w Maderin po niemałych kosztach, ale z pewnością kosztowałyby więcej, gdyby Luca nie popędził do miasta, by dopilnować targów, jak tylko usłyszał o śmierci kupca. Sam zresztą gotów był prawie — prawie, choć nie do końca — zaoferować im juczne konie widowiska, żeby tylko jak najszybciej pozbyć się Mata. Liczne zwierzęta niosły sprzęt i zapasy Aludry. A Luca skończył jako właściciel większej części złota Mata. Przy pożegnaniu Mat wsunął Clarine i Petrze grubą sakiewkę, wyłącznie jako wyraz przyjaźni i troski o to, by szybciej mogli nabyć swoją gospodę. W jukach zostało mu dość, aby wygodnie dotarli do Murandy, poza tym w każdej chwili mógł uzupełnić stan kasy — wystarczyło tylko znaleźć wspólną salę gospody, gdzie grają w kości.

Leilwin i Domon rozmawiali na pobliskiej kłodzie z Juilinem i Amatherą, z pierwszej dwójki ona miała zakrzywiony miecz przy szerokim pasie przepiętym skroś piersi, on zaś krótki miecz przy jednym boku, a wysadzaną mosiądzem maczugę przy drugim. Leilwin — Mat ostatecznie pogodził się, że innego imienia tamta nie przełknie — demonstracyjnie starała się dowodzić, że wcale nie unika Tuon czy Selucii tudzież nie unika wzrokiem ich oczu, lecz faktem pozostawało, iż wyraźnie się zmuszała. Mankiety czarnego kaftana Juilina były podwinięte — znak, że przebywa wśród przyjaciół, a przynajmniej w towarzystwie ludzi, którym może zaufać. Niegdyjsza Panarch Tarabonu wciąż kurczowo ścisnęła ramię łowcy złodziei, jednak w stalowoblękitne oczy Leilwin potrafiła już patrzeć bez drżenia. Po prawdzie, często zerkała na nią z podziwem i zdumieniem.

Noal siedział ze skrzyżowanymi nogami na ziemi i nie dbając o wilgoć, grał w Węże i Lisy z Olverem, opowiadając niestworzone historie o świecie poza Pustkowiec Aiel: na przykład o wielkim nabrzeżnym mieście, z którego cudzoziemcom nie wolno było się wydostawać inaczej jak drogą morską którego mieszkańcy nie mieli prawa opuszczać w żaden sposób. Mat wolałby, żeby sobie znaleźli inną grę. Za każdym razem, gdy wyciągali ten fragment czerwonego płótna z pajęczyną czarnych linii, przypominała mu się obietnica, jaką złożył Thomowi, fakt, że przekłęci Eelfinn jakimś sposobem siedzą w jego głowie, a cholerni Aelfinn być może również. Aes Sedai wróciły znad strumyka, Joline zatrzymała się, by porozmawiać z Blaerikiem i Fenem. Wlokące się za nią Bethamin oraz Seta zawahały się, póki Zielona siostra gestem nie odesłała ich do kłody, na której — tak daleko od siebie, jak to tylko możliwe — przedzielone ściętymi gałęziami siedziały Teslyn i Edesina; tam zajęły się lekturą oprawnych w skórę notesów, wydobytych z sakiewek przy paskach. Bethamin, i Seta stanęły bliżej Edesiny.

Słomianowłosa była *sul'dam* dochodziła do siebie w spektakularny i bolesny sposób. Bolesny dla niej i dla sióstr. Kiedy podczas wczorajszej kolacji po raz pierwszy z wahaniem wyznała, że chciałaby się uczyć, z punktu odmówiły. Miały zamiar uczyć Bethamin tylko, dlatego, że już zaczęła przenosić. Seta natomiast była zbyt stara na nowicjuszkę, nie przenosiła... i tyle. A więc zdecydowała się powtórzyć to, co zrobiła Bethamin, i po chwili wszystkie trzy siostry skakały wokół ogniska w ulewie tańczących iskier, szaleństwo trwało, dopóki Seta była w stanie utrzymać Moc. Po tym zgodziły się ją uczyć. A przynajmniej Joline i Edesina się zgodziły. Teslyn wciąż nie chciała mieć nic do czynienia z żadną *sul'dam*, była czy aktualną, Przed chłostą natomiast nie wzbraniała się żadna z trzech, więc często poranki Sety upływały na daremnych próbach znalezienia wygodnej pozycji w siodle. Wciąż wyglądała na trochę przestraszoną — Jedyną Mocą, a może Aes Sedai, — ale na jej twarzy można było zobaczyć również... satysfakcję. Skąd się brała, to już było poza zasięgiem

wyobraźni Mata.

Choć sam powinien czuć satysfakcję. Uniknął oskarżenia o morderstwo, uniknął pułapki Seanchan, w którą wjechałby zupełnie na ślepo i w której zginęłaby Tuon, wreszcie tym razem zostawił daleko za sobą gholam. Gholam z pewnością podąży teraz za widowiskiem Luki, a Luca został ostrzeżony — choć wątpliwe, by wiele mu z tego przyszło. A Mat w ciągu dwóch tygodni pokona góry i dotrze do Murandy. Konieczność wymyślenia, jak bezpiecznie odstawić Tuon do Ebou Dar oraz jak ustrzec ją przed zakusami Aes Sedai, sprawiała, iż zapewne dłużej przyjdzie mu oglądać jej buzię. I będzie miał więcej czasu, by rozszyfrować, co dzieje się za tymi wielkimi, pięknymi oczami. Powinien być szczęśliwy jak kozioł w spichrzu z kukurydzą. Nie był. Przede wszystkim, dlatego, że rany od miecza, które odniósł w Maderin, naprawdę bolały. Kilka zaogniło się, choć — jak dotąd — zdołał ukryć ten fakt przed towarzyszami. Litości nad sobą nie znosił w takim samym stopniu, co stosowania wobec niego Mocy. Lopin i Nerim pozszywali go najlepiej, jak potrafili, na Uzdrawianie zaś się nie zgodził, mimo iż wszystkie trzy Aes Sedai nie na żarty go zameczyły. Był zaskoczony, że najbardziej niezdolna okazała się właśnie Joline — aż ręce załamywała z rozpacz, gdy nie miał zamiaru ulec. Tuon sprawiła mu następną niespodziankę.

— Nie bądź głupi, Zabaweczko — zaciągała, stojąc nad nim w jego namiocie z rękoma splecionymi na piersiach; tymczasem Lopin i Nerim z igłami pochylali się nad ranami, a Mat zgrzytał zębami. Zaborcza atmosfera, jaką rozsiewała wokół siebie Tuon, zachowująca się niczym właścicielka dbająca, aby odpowiednio naprawiono jej własność, sama w sobie wystarczała, żeby zgrzytać zębami, o igłach nie wspominając. Poza tym był rozebrany do bielizny! Tak po prostu weszła sobie do środka i widać było, że nie da się dobrowolnie usunąć, poza tym nie miał zamiaru ryzykować przemocy wobec kobiety, która Z łatwością mogła mu złamać rękę.

— Uzdrawianie to zupełnie cudowna rzecz. Moja Mylen się na tym wyznaje, inne też nauczyłam. Oczywiście wielu ludzi reaguje głupim lękiem na myśl o dotknięciu Mocy. Połowa mojej służby zemdlałaby na samą myśl, większość Krwi również, więc niby nie powinnam być zaskoczona. Ale po tobie się tego nie spodziewałam. — Niechby miała bodaj czwartą część tych doświadczeń z Aes Sedai co on.

Zjechali z drogi wiodącej z Maderin, jakby kierowali się na Lugard, a potem, gdy tylko ostatnie farmy zniknęły im z oczu, skręcili w las. W momencie, kiedy znikali wśród drzew, kości znowu zaczęły toczyć się w jego głowie. To była druga rzecz odpowiedzialna za jego kiepski nastrój — od dwu dni przekłety grzechot kości w głowie. Poza tym las nie wydawał się najlepszym miejscem na rozstrzygnięcie, które sprawi, że się zatrzymają. Cóż ważnego może się zdarzyć w lesie? Mimo to trzymał się z dala od siół, które mijali. Wcześniej czy później, kości się zatrzymają, mógł tylko czekać.

Tuon i Selucia poszły umyć się w strumyku, przez cały czas migając do siebie palcami. Pewien był, że rozmawiają o nim. Kiedy kobiety nachylały głowy ku sobie, można było być pewnym...

Amathera krzyknęła i wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę. Mat zorientował się, o co chodzi w tym samym momencie, w którym zareagował Juilin — długi na dobre siedem stóp czarny wąż ześlizgiwał się szybko z kłody. Leilwin zakłęta i z dobytym mieczem skoczyła na równe nogi, lecz Juilin, jako się rzekło, był szybszy. Dobył z pochwy krótki miecz i rzucił się za wężem tak energicznie, że z głowy spadł mu czerwony stożkowaty kapelusz. — Zostaw go, Juilin — powiedział Mat. — Ucieka przed nami. Zostaw. — Stworzenie najprawdopodobniej miało pod tą kłodą swoją jamę i przestraszyło się obecności ludzi. Na szczęście czarne piki prowadziły samotny tryb życia.

Juilin wahał się przez moment, wreszcie najwyraźniej doszedł do wniosku, że uspokojenie roztrzęsionej Amathery jest ważniejsze niż ściganie węża.

— Ktoś wie może co to za gatunek? — zapytał, splatając ramiona na piersiach. Mimo wszystko był człowiekiem z miasta. Mat poinformował go i przez chwilę znów się zdawało, że może jednak za nim pogoni. Zdecydował inaczej... Mądrze. Czarne piki były szybkie jak błyskawice, a z krótkim mieczem trzeba było podejść blisko. W każdym razie Amathera tuliła się do niego tak mocno, że donikąd by nie pobiegł.

Mat zdjął swój kapelusz z końca drzewca wbitego ostrzem w ziemię *ashandarei* i nasadził na głowę.

— Marnujemy światło dnia — oznajmił, nie wyjmując cybucha z ust. — Czas, byśmy ruszali. Nie grzeb się, Tuon. Twoje ręce są już dość czyste. — On sam próbował mówić do niej „Skarbie”, ale od czasu, gdy w Maderin jednostronnie proklamowała swoje zwycięstwo w tej grze, udawała, że nie słyszy jego słów, kiedy się tak zwracał.

Oczywiście, w ogóle się nie spieszyła. Zanim wróciła na miejsce postoju i wytarła dłonie w mały ręcznik, który Selucia zazwyczaj suszyła na łąku swojego siodła, Nerim, z Lopinem zakopali dół na odpadki, spakowali resztki posiłku, schowali je w jukach Nerima i zalali ogień wodą ze strumyka, przyniesioną w skórzanych składanych wiadrach. Z *ashandarei* w dłoni Mat gotów był dosiąść Oczka.

— Dziwnym jest człowiek, który spokojnie pozwala oddalić się jadowitym węzom — powiedziała Tuon. — Wnioskując z reakcji tego człowieka, czarna pika jest jadowita, nieprawdaż?

— Bardzo — poinformował ją. — Ale węże nie kęsają niczego, czego nie mogą zjeść, chyba że czują się zagrożone. — Wsadził stopę w strzemień.

— Możesz mnie pocałować, Zabaweczko. Zadrzał. Ponieważ przemówiła zupełnie swobodnym głosem, wszystkie oczy spoczęły na nich. Twarz Selucii była do tego stopnia pozbawiona wyrazu, że trudno już o bardziej dobitny wyraz dezaprobaty.

— Teraz? — zapytał. — Kiedy zatrzymamy się na noc, możemy pójść na spacer i...

— Do wieczora mogę zmienić zdanie, Zabaweczko. Nazwij to kaprysem, łaską damy dla człowieka, który pozwala odejść w spokoju jadowitym węzom. — Może dla niej był to kolejny omen? Zdjął kapelusz, ponownie wbił czarną włócznię w ziemię, wyjął fajkę z ust i pocałował ją skromnie w pełne usta. Pierwszy pocałunek powinien być delikatny. Nie chciał, by uznała go za natręta czy brutala. W końcu nie była tawernianą dziewczką, którą bawią klapsy i łaskotki. Poza tym prawie namacalnie czuł na sobie wszystkie spojrzenia. Ktoś się zaśmiał. Selucia przewróciła oczami.

Tuon zaplotła ramiona na piersiach i spojrzała na niego spod długich rzęs.

— Czy przypominam ci w czymś twoją siostrę? — zapytała groźnie. — A może matkę? — Ktoś się zupełnie otwarcie roześmiał. I nie on jeden.

Mat ponuro wystukał fajkę o obcas buta, po czym wsunął ją do kieszeni kaftana. Odwiesił kapelusz na koniec drzewca, *ashandarei*. Jeżeli chce prawdziwego pocałunku... Czy wcześniej naprawdę wyobrażał sobie, że będzie zbyt drobna w jego ramionach? Była szczupła — prawda — i filigranowa, ale mieściła się idealnie w jego uścisku. Pochylił się nad nią. Nie była pierwszą kobietą, którą całował. Wiedział, jak to się robi. Ale o dziwo — a może wcale nie — ona nie wiedziała. Była wszak pojętną uczennicą. Bardzo pojętną.

Kiedy na koniec ją puścił, przez chwilę stała, patrząc na niego i próbując odzyskać dech w piersiach. Wreszcie oddech powrócił, cokolwiek przyspieszony. Metwyn zagwizdał z podziwem. Mat uśmiechnął się. A co ona sobie myśli o ewidentnie pierwszym prawdziwym pocałunku w życiu? Mimo to próbował się nie uśmiechać zbyt szeroko. Nie chciał, żeby pomyślała sobie, iż triumfuje. Musnęła koniuszkami palców jego policzek.

— Tak też myślałam — powiedziała głosem jak lejący się miód. — Masz gorączkę. W twoje rany musiała wdać się infekcja.

Mat zamrugał. Pocałował ją tak, że dreszcz powinien ją przeszyć od stóp do głów, a ona myśli tylko o jego rzekomej gorączce? Znowu pochylił się nad nią — tym razem nie będzie w stanie ustać na nogach! — ale odepchnęła go dłonią.

— Selucia, przynieś szkatułkę z maściami, którą dostałam od pana Luki — rozkazała. Selucia pobiegła szukać czarno-białego wierzchowca Tuon.

— Nie mamy teraz czasu — protestował Mat. — Nasmaruję się wieczorem. — Równie dobrze mógłby w ogóle się nie odzywać.

— Rozbierz się, Zabaweczko — powiedziała tym samym tonem, jakiego używała wobec swej pokojówki. — Maść szczypie, jednak spodziewam się, że będziesz odważny. — Nie mam zamiaru...

— Ktoś nadjeżdża — oznajmił Harnan. Siedział już w siodle ciemnego gniadosza z białymi przednimi pęcunami, trzymając uzdę prowadzącego w jednej z kolumn jucznych konia. — To Vanin.

Mat wskoczył na grzbiet Oczka, żeby mieć lepszy widok. Dwóch jeźdźców zbliżało się do nich galopem, omijając powalone drzewa. Widział wprawdzie bułanka Chela Vanina, ale i tak rozpoznałby człowieka. Nikt tak gruby i wyglądający w siodle niczym worek łożu nie dałby rady narzucić takiego tempa. Ale tamten utrzymałby się pewnie na rozjuszonych dzikiej świni. A wtedy Mat rozpoznał również drugiego jeźdźcę, za którym powiewały poły płaszcza, i poczuł, jakby otrzymał cios w żołądek. Nie byłby zaskoczony, gdyby w tej chwili kości zechciały się zatrzymać, ale nie takiego nie nastąpiło. Cóż, na Światłość, przeklęty Talmanes robi w Altarze?

Niedaleko od Mata obaj jeźdźcy zwolnili do stępa, Vanin ściągnął wodze jeszcze bardziej, dając pierwszeństwo Talmanesowi. Oczywiście powodem nie było zażenowanie wobec pozycji tamtego. Vanin nikogo się nie krępował. Teraz też leniwie wsparł się na łuku siodła i splunął przez szczelinę między zębami. Nie, po prostu wiedział, że Mat nie będzie zadowolony, i trzymał się z dala.

— Vanin objaśnił mi sytuację, Mat — zaczął Talmanes. Niski, żyłasty, z wygolonym i napomadowanym czołem, pochodził z naprawdę dobrej cairhieniańskiej szlachty; miałby pełne prawo do licznych barwnych pasów skroś piersi czarnego kaftana, który wszak zdobił tylko małą czerwoną ręką, lewy nadgarstek przewiązał czerwoną chustką. Nigdy się nie śmiał, rzadko uśmiechał, miał po temu powody. — Słyszałem o Naleseanie i tamtych, przykro mi. Nalesean był dobrym człowiekiem. Wszyscy byli.

— Tak, byli — odrzekł Mat, trzymając swój gniew na wodzy. — Przyjmuję, że Egwene nie przysłała do ciebie prosić o zabranie jej od tych głupich Aes Sedai, ale co, na przekłątą Światłość, robisz tutaj? — Cóż, może mimo wszystko nie panował nad sobą tak dobrze, jak mu się wydawało. — Przynajmniej powiedz, że nie zabrałeś ze sobą całego cholernego Legionu trzysta mil w głąb terytorium Altary.

— Egwene wciąż jest Amyrlin — odrzekł tamten spokojnie, wygładzając płaszczy. — Myliłeś się w odniesieniu do niej, Mat. Naprawdę jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin, a te wszystkie Aes Sedai trzyma krótko za kark. Choć niewykluczone, że niektóre z nich wciąż o tym nie wiedzą. Ostatni raz widziałem ją, jak wraz z całą swoją zgrają wyruszała na oblężenie Tar Valon. Być może już je zdobyła. Potrafią robić dziury w powietrzu, jak ta, przez którą Smok Odrodzony przeniósł nas w okolice Salidaru. — Przed oczyma Mata zawirowały kolory, na moment skrzepły w postać Randa, który rozmawiał z jakąś kobietą z siwym koczkim na czubku głowy, bez wątpienia Aes Sedai, ale jego gniew zdmuchnął wizję niczym dym.

Całe to gadanie o Tronie Amyrlin i Tar Valon przyciągnęło, rzecz jasna, uwagę sióstr. Przysunęły się na koniach w pobliże Mata i próbowały zdominować rozmowę. Cóż, Edesina trzymała się nieco z boku jak zawsze, gdy Teslyn i Joline próbowały ją sobie podporządkować, ale one dwie...

— O kim ty mówisz? — zapytała Teslyn, nim Joline zdążyła otworzyć usta. — Egwene? Była taka

Przyjęta o imieniu Egwene al'Vere, ale ona jest uciekinierką.

— O tej samej Egwene al'Vere właśnie mówię, Aes Sedai — grzecznie stwierdził Talmanes. Zawsze traktował Aes Sedai z najwyższą uprzejmością. — I nie jest żadną uciekinierką. Jest Zasiadającą na Tronie Amyrlin, ręczę mym słowem.

Z gardła Edesiny wyrwał się odgłos, który, gdyby nie chodziło o Aes Sedai, w pełni zasługiwałby na określenie „pisk”. — Odłóżmy to na później — mruknął Mat. Joline znów otworzyła usta, wyraźnie zagniewana. — Później, powiedziałem. — Tego z pewnością nie starczyłoby, by powstrzymać smukłą Zieloną siostrę, ale Teslyn położyła jej rękę na ramieniu, szepnęła coś... i tyle. Joline wciąż ciskała gromy oczami, obiecującymi, że później wyciągnie z Talmanesa wszystko, co zechce. — Co z Legionem, Talmanes?

— Och. Nie. Przyprowadziłem tylko trzy chorągwie jeźdźców i cztery tysiące konnych kuszników. Trzy konne chorągwie i pięć pieszych czekają w Murandy gotowe do wyruszenia na północ do Andoru. Trochę brakuje kusz. I jest oczywiście Chorągiew Mularzy. Dobrze jest mieć pod ręką mularzy, na wypadek gdyby pojawiła się konieczność zbudowania mostu czy coś takiego. Mat na moment z całej siły zacisnął powieki. Sześć chorągwi konnych i pięć pieszych. I chorągiew mularzy! Kiedy opuszczał Salidar, Legion składał się z dwu chorągwi, licząc i pieszych, i konnych. Nagle pożałował, że nie ma, choć połowy tego złota, którym tak szczerze obdarował Lucę.

— Jak mam zapłacić żołąd tym ludziom? — zapytał ostro. — W ciągu roku nie wygram tyle w kości! — Cóż, jeśli o to chodzi, zawarłem drobną umowę z królem Roedranem. Już została zrealizowana, zresztą rychło w czas... podejrzewam, że nie chciał się z niej wywiązać, później to wyjaśnię... ale w chwili obecnej w kasie Legionu jest ponadroczny żołąd. Poza tym, wcześniej czy później, Smok Odrodzony z pewnością nada ci posiadłości, i to niemałe. Słyszałem, że wynosi ludzi do władzy nad całymi krajami, a ty przecież wychowywałeś się razem z nim.

Tym razem Mat nie walczył z wirującymi kolorami, które uformowały się w postać Randa i tamtej Aes Sedai. Nie było już wątpliwości — faktycznie Aes Sedai. Wyglądała nadzwyczaj srogo. Jeżeli Rand będzie chciał nadać mu jakieś tytuły, może się spodziewać, że Mat wepchnie mu je do przeklętego gardła. Mat Cauthon nie przepadał za szlachtą — cóż, niektórzy jak Talmanes byli w porządku; Tuon też, nigdy nie wolno zapominać o Tuon — i z pewnością szlachcicem nie miał zamiaru zostać! Ale powiedział tylko:

— Może, może.

Selucia głośno odkaszlęła. Obie kobiety już wcześniej podprowadziły swoje konie do boku Mata, a Tuon trzymała się w siodle tak prosto, patrzyła tak chłodno i roztaczała wokół siebie taką królewską atmosferę, iż oczekiwał, że Selucia zaraz zacznie recytować jej tytuły. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Zamiast tego zmieniła tylko pozycję w siodle, spojrzała na niego oczyma niczym płonące błękitne węgle i odkaszlęła znowu. Tym razem jeszcze głośniejsze. Ach, tak.

— Tuon — zaczął Mat. — Pozwól sobie przedstawić lorda Talmanesa Delovinde'a z Cairhien. Pochodzi z nadzwyczaj starego i wspaniałego rodu, któremu sam też przysporzył nowych zaszczytów. Drobną kobietką przechyliła głowę. Może o cal.

— Talmanesie, to Tuon. — Póki będzie go nazywała Zabaweczką, nie doczeka się z jego ust żadnych tytułów. Choć wydawałoby się to pewnie niemożliwe, oczy Selucii rozgorzały jeszcze mocniej.

Talmanes zamrugał zaskoczony, a potem bardzo nisko skłonił się w siodle. Vanin głębiej nasunął kapelusz, prawie zupełnie skrywając twarz. Wciąż nie patrzył Matowi prosto w oczy. A więc tak. Wychodziło na to, że zdążył już wyjaśnić Talmanesowi jej pozycję społeczną.

Mat warknął cicho, pochylił się w siodle, porwał kapelusz z włóczni, potem wyciągnął z ziemi samą

ashandarei. Nasadził kapelusz na głowę.

— Jesteśmy gotowi do drogi, Talmanes, Zabierz nas do swoich ludzi, a przekonamy się, czy szczęście unikania Seanchan będzie nam tak samo dopisywać przy wyjeździe z Altary, jak dopisywało ci wcześniej.

— Widzieliśmy wielu Seanchan — powiedział Talmanes, zawracając swego gniadosza i zajmując miejsce obok Oczka. — Choć większość spotykanych przez nas żołnierzy to byli raczej Altarianie. Chyba wszędzie mają swoje obozy. Na szczęście nie widzieliśmy nigdzie latających stworów, o których mi opowiadano. Lecz jest jeden szkopuł, Mat. Zeszła lawina. Straciłem ariergardę i trochę jucznych koni. Przełęcz jest na dobre zablokowana. Wysłałem trzech ludzi przez góry z rozkazami dla Legionu, żeby ruszał do Andoru. Jeden skręcił kark, drugi złamał nogę.

Mat ściągnął ostro wodze Oczka.

— Zakładam, że to ta sama przełęcz, o której mówił Vanin? Talmanes pokiwał głową a Vanin, który wciąż czekał, by dołączyć do ariergardy kolumny, rzekł:

— Cholerna racja, to ta. Przełęcz nie rosną na drzewach, zwłaszcza w takich górach jak Damonas. — Żadnego szacunku dla rangi ani pozycji społecznej.

— Wobec tego będziesz musiał znaleźć inną — poinformował go Mat. — Słyszałem, że potrafisz z zawiązanymi oczyma znaleźć drogę po nocy. Więc nie powinieneś mieć trudności. — Odrobina pochlebstwa nigdy nie zaszkodzi. Poza tym naprawdę ktoś mu tak o Vaninie mówił.

Ten wydał z siebie odgłos, jakby nagle połknął język. — Znaleźć inną przełęcz? — mruknął. — Znaleźć inną przełęcz, powiadają. W młodych górach, takich jak Damonas, nie można po prostu pójść i znaleźć inną przełęcz. A dlaczego sądzisz, że znałem tę? — Musiał przeżyć nielichy szok, skoro praktycznie rzecz biorąc, się przyznał. Przedtem twierdził, że o rzeczonyj przełęcz wyłącznie słyszał.

— O czym ty mówisz? — zapytał Mat, a Vanin wyjaśnił. Jak na niego, nadzwyczaj szczegółowo.

— Raz mi to jedna Aes Sedai tłumaczyła. Są młode góry i stare góry. Stare były już przed Pęknięciem, może znajdowały się na dnie morza czy gdzieś. Wszędzie w nich są przełęcz, szerokie i łagodne. Można przez nie jechać grzbietem, a byle tylko się nie zgubić, trzymać kierunek i mieć dość zapasów, wcześniej czy później wyjedzie się z drugiej strony. No i są jeszcze góry powstałe podczas Pęknięcia. — Grubas odwrócił głowę i splunął obfitą śliną. — Przełęcz są w nich wąskie, naprawdę kręte i czasami w ogóle nie przypominają normalnych przełęcz. Jeżeli wjedziesz w taką możesz się zgubić i umrzeć z głodu, zanim znajdziesz wyjście. Kiedy taką przełęcz zasypie lawina, może to bardzo zboleć ludzi, którzy żyją z czegoś, co można określić jako transport towarów nieopodatkowanych. Gdyby nie znaleźli innego zajęcia, umarliby z głodu, zanim odkryliby nową przełęcz. Jeżeli na ślepo wjedziemy w Damonas, wiedząc, że tej przełęcz już nie ma, pewnie też umrzemy. Wielu, co nie zawrócili w porę i nie mieli szczęścia, nie znalazło drogi powrotnej.

Mat popatrzył po towarzyszach: Tuon, Aes Sedai, Olver. Ich los zależał od niego, od tego, czy uda mu się doprowadzić ich w bezpieczne miejsce, a tymczasem okazywało się, że bezpieczna droga z Altary zniknęła.

— Jedźmy — powiedział. — Muszę pomyśleć. — Tak, powinien się zastanowić i to naprawdę poważnie.

Zabaweczka narzucił szybkie tempo jazdy przez las, ale Tuon trzymała się blisko — Selucia, oczywiście, cały czas była przy jej boku, — więc mogła się przysłuchiwać jego rozmowie z Talmanesem. Ale nie potrafiła się skupić na podsłuchiowaniu, gdyż przeszkadzały jej własne myśli. A więc dorastał razem ze Smokiem Odrodzonym, tak? Ze Smokiem Odrodzonym! I zaprzeczał, by cokolwiek wiedział o tym człowieku. Jedno z jego kłamstw, którego nie wyłapała, choć była bardzo wyczulona na łgarstwa. W Seandarze nie wykryte kłamstwo mogło stać się przyczyną śmierci lub początkiem drogi na targ niewolników. Gdyby wiedziała, jaki jest fałszywy, raczej dałaby mu w twarz, niż pozwalała się całować. A to dopiero był wstrząs, po którym niewykluczone, że jeszcze nie doszła do siebie. Selucia opowiadała jej, jak to jest być całowaną przez mężczyznę, lecz wszelkie opisy bladły w porównaniu z rzeczywistością. Nie, lepiej słuchać.

— Powierzyłeś dowództwo Esteanowi? — wybuchnął Zabaweczka tak głośno, że z kryjówki w rzadkim poszyciu z żalobnym trzepotem poderwało się do ucieczki stadko szarych gołębi. — To głupiec!

— Nie jest aż tak głupi, żeby słuchać Daerida — spokojnie odparł Talmanes. Wyglądał na człowieka, który niełatwo poddaje się emocjom. Cały czas uważnie obserwował otoczenie. Od czasu do czasu zerkał nawet na niebo, prześwitujące przez grube gałęzie nad głowami. Tylko słyszał o rakenach, ale ich wypatrywał. Słowa wymawiał jeszcze szybciej i w sposób bardziej skrzypiący niż Zabaweczka, przez co był jeszcze trudniejszy do zrozumienia. Wszyscy ci ludzie mówili tak szybko!

— Carlomin i Reimon nie są głupi, Mat... a przynajmniej Reimon miewa właściwe pomysły... ale żaden z nich nie będzie słuchał rozkazów człowieka bez tytułu, niezależnie od tego, ile więcej wie o wojnie niż oni. Inaczej ma się rzecz z Edorionem, ale on był mi potrzebny.

Ten symbol czerwonej ręki, który nosił Talmanes, był intrygujący. Bardzo intrygujący. Wręcz nadzwyczaj. Pochodził ze starego i wielkiego Domu, tak? Ale to Zabaweczka był tym jedynym. Pamiętał oblicze Jastrzębiego Skrzydła. Z pozoru wydawało się to zupełnie niemożliwe, ale jego zaprzeczenie było widocznym kłamstwem, wyraźnym jak cętki na skórze lamparta. Czy Czerwona Ręka jest herbem Zabaweczki? Jeśli tak, co z pierścieniem? Omal nie zemdląta, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Cóż, przynajmniej znalazła się bliżej stanu omdlenia niż kiedykolwiek od czasów dzieciństwa.

— To się musi zmienić, Talmanes —• warknął Zabaweczka. — Zbyt długo nic w tej sprawie nie robiłem. Skoro Reimon i tamci są obecnie dowódcami chorągwi, to z nich czynił generałów sztandaru. A ty jesteś generałem porucznikiem. Reimon i inni będą słuchać rozkazów albo droga wolna. Nadchodzi Tarmon Gai'don i ja nie chcę stracić głowy, ponieważ on nagle, cholera, odmówią słuchania rozkazów kogoś bez ziemi.

Talmanes skręcił, żeby ominąć krzak dzikiej róży, a pozostali pojechali jego śladem. Splątane gałęzie miały szczególnie długie kolce, na dodatek zaopatrzone w haczyki.

— Nie spodoba im się to, Mat, ale odjechać, nie odjadą. Dobrze wiesz. Wpadłeś już na pomysł, jak się wydostaniemy z Altary?

— Myślę — odmrunknął Zabaweczka. — Myślę o tym. Ci kusznicy... — Ciężko westchnął. — To nie było mądre, Talmanes. Po pierwsze, przywykli do maszerowania na własnych nogach. Kiedy pojedziemy szybko, a pojedziemy, połowa z nich będzie myślała tylko o tym, jak się utrzymać w siodle. Przydatni są na przykład w takim lesie i w ogóle w miejscu zapewniającym odpowiednią osłonę, jednak na otwartym terenie bez pikinierów zmiecie ich szarża, zanim zdążą wystrzelić drugą salwę. W oddali zakaszła lew. W sporej odległości, mimo to konie zarżały nerwowo i przetańczyły kilka kroków. Zabaweczka pochylił się nad karkiem swego wałacha i chyba szepnął coś zwierzęciu do ucha. Wierzchowiec uspokoił się natychmiast. A więc to nie była kolejna z jego fantastycznych opowieści. Zdumiewające.

— Wybrałem ludzi, którzy potrafią jeździć konno, Mat — zapewnił go Talmanes, gdy tylko jego koń przestał się płoszyć. — wszyscy mają no we kołowroty. — Teraz w jego słowach zabrzmiała nuta podniecenia. Nawet pełni całkowitej rezerwy mężczyźni nabierali rumieńców, mówiąc o broni. — Trzy obroty korby — jego ręce poruszyły się w powietrzu, demonstrując te trzy obroty — i kusza jest naciągnięta. Po krótkim szkoleniu żołnierz może wystrzelić siedem, osiem bełtów na minutę. Z ciężkiej kuszy.

Selucia cicho jęknęła. słusznie była zaskoczona. Jeżeli Talmanes mówił prawdę, a Tuon nie potrafiła dostrzec powodów, by miał kłamać, wówczas należało za wszelką cenę zdobyć ten cudowny kołowrót. Choć jeden egzemplarz — rzemieślnicy z łatwością go skopiują. Łucznicy strzelali szybciej niż kusznicy, ale wyszkolenie łuczника zajmowało znacznie więcej czasu. W każdej armii było więcej kuszników niż łuczników.

— Siedem? — z niedowierzaniem wykrzyknął Zabaweczka. — To więcej niż potrzeba, ale o czymś takim nigdy nie słyszałem. Nigdy. — Ostatnie słowo wymruczał z namaszczeniem, jakby miało dlań wyjątkowe znaczenie, potem pokręcił głową. — Skąd je zdobyłeś?

— Siedem lub osiem. W Murandy był pewien mechanik, który chciał zawieźć do Caemlyn cały wóz pełen swoich wynalazków. W Caemlyn znajduje się jakaś szkoła, zatrudniająca uczonych i wynalazców. Potrzebował jednak pieniędzy na podróż, więc zgodził się nauczyć zbrojmistrzów Legionu, jak się robi te kołowroty. Daje to zupełnie nową taktykę: przy każdej możliwej sposobności można zalewać przeciwnika strzałami. Zawsze lepiej zabijać z daleka niż w bezpośrednim boju.

Selucia uniosła dłonie tak, by Tuon je widziała, smukłe palce zamigotały szybko. CO TO ZA LEGION, O KTÓRYM MÓWIA? Posługiwała się właściwą formą wypowiedzi — gorsza zwracała się do lepszej od siebie, — lecz jej niecierpliwość była prawie namacalna. Niecierpliwość w obliczu wszystkiego, co się działo. Tuon niewiele miała przed nią tajemnic, choć rozsądnie było na razie parę zachować. Przypuszczała, że w razie czego Selucia gotowa jest siłą zawlec ją do Ebou Dar, aby tylko nie złamała słowa. Wiele istniało sekretnych zobowiązań, niektóre wymagały ofiary ostatecznej. A on za nic nie chciałaby znaleźć się w sytuacji, w której musiałaby zarządzić egzekucję Selucii.

Odpowiedziała w formie rozkazu.

WYRAŹNIE PRYWATNA ARMIA ZABAWECZKI.
SŁUCHAJ, MOŻE DOWIEMY SIĘ WIĘCEJ.

Zabaweczka na czele armii — raczej trudno było to sobie wyobrazić. Bywał czarujący, a nawet bystry i zabawny, ale często zmieniał się w bufona i zawsze wychodził z niego łotr. Jako pieszczoszek Tylin wydawał się całkowicie w swoim żywiole, Z drugiej strony, wśród artystów widowiska też czuł się jak u siebie, podobnie w obecności *marath'damane* i dwu zbiegłych *damane*, i w mordowni. Mordownia okazała się taka rozczarowująca. Żadnej walki! Późniejsze wydarzenia nie stanowiły dostatecznej rekompensaty. Dać się ogarnąć ulicznej bójce to nie to samo, co zobaczyć

walkę w mordowni. Która przyznać trzeba — okazała się znacznie nudniejsza, niż głosiły plotki usłyszane w Ebou Dar. Z drugiej strony, podczas tej ulicznej bójki Zabaweczka ukazał swoje niespodziane oblicze. Niezwykły człowiek, choć obdarzony osobliwą słabością. Kiedy o nim w ten sposób pomyślała, z jakiegoś powodu zrobiło jej się ciepłej na sercu.

— Dobra rada — powiedział z roztargnieniem, szarpiąc czarną chustkę obwiązaną wokół szyi. Nie mogła nie zastanawiać się, jak wygląda blizna, którą z takim uporem skrywał. Fakt, że to robił, był całkowicie zrozumiały. Za co go powieszono i jak uszedł z życiem? Nie mogła zapytać. Jedną rzeczą jest utrzymać mu od czasu do czasu nosa... po prawdzie, to nawet zabawne: oglądać, jak łatwo się wije pod jej słowem, wymagało to tak niewiele wysiłku... ale nie chciała go zniszczyć. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— Nie poznajesz? — zapytał Talmanes. — To z twojej książki. Król Roedran miał dwa egzemplarze w swojej bibliotece. Zresztą nauczył się jej na pamięć. Myślał, że dzięki temu zostanie wielkim dowódcą. Był tak uradowany skutecznością naszej umowy, że kazał dla mnie skopiować i oprawić książkę. Zabaweczka obrzucił tamtego zdumionym spojrzeniem. — Moja książka?

— Ta, o której nam opowiadałeś, Mat. Mgła i stal autorstwa Madoca Comadrina.

— Ach, ta książka. — Zabaweczka wzruszył ramionami. Czytałem ją tak dawno temu. Tuon zazgrzytała zębami. Jej palce zamigotały.

KIEDY WRESZCIE PRZESTANĄ ROZMAWIAĆ O KSIĄŻKACH I WRÓCĄ DO CIEKAWSZYCH RZECZY? JEŻELI BĘDZIEMY SŁUCHAĆ, MOŻE DOWIEMY SIĘ WIĘCEJ, odpowiedziała Selucia. Tuon popatrzyła na nią złym okiem, ale na widok spojrzenia pełnego ucieleśnionej niewinności nie potrafiła się gniewać. Zaśmiała się — cicho, żeby Zabaweczka nie zorientował się, jak blisko za nim jada — po chwili Selucia przyłączyła się do niej. Cichutko.

Kłopot w tym, że Zabaweczka akurat pograżył się w milczeniu, a Talmanes zdawał się całkowicie usatysfakcjonowany tym stanem rzeczy. Jechali w całkowitej ciszy, zakłócaney tylko odgłosami lasu: śpiewem ptaków, kwileniem biegających po gałęziach wiewiórek z czarnymi ogonkami. Wśród drzew przemykały jaskrawo upierzone ptaki. Raz zobaczyli liczące jakieś pięćdziesiąt sztuk stadko wysokich, chudych krów z bardzo długimi rogami, sterczącymi prosto po obu stronach łbów. Zwierzęta wcześniej usłyszały, że się zbliżają, i zbiły się w ciasną gromadę. Patrzyły. Byk zarzucił łbem i grzebał kopytem w ziemi. Zabaweczka i Talmanes ostrożnie, z daleka okrążyli stado. Tuon jeszcze czas jakiś oglądała się przez ramię. Czerwonoręcy — skąd ta nazwa? Będzie musiała zapytać Zabaweczkę — Czerwonoręcy prowadzili juczne zwierzęta, ale Gorderan trzymał uniesioną kuszę, a pozostali mieli strzały nasadzone na cięciwy łuków. Czyli te krowy były niebezpieczne. Z bydlęciem związanych było parę omenów, więc poczuła się lepiej, gdy stado zniknęło za nimi wśród drzew. Nie po to przebyła całą tę drogę, żeby zostać zabita przez krowę. Albo przyglądać się, jak Zabaweczkę biorą na rogi.

Po jakimś czasie dołączyli do niej Thom i Aludra, kobieta zerknęła na nią raz, a potem już tylko wpatrywała się przed siebie nieruchomym wzrokiem. Kiedy spoglądała na nią lub Selucię, jej twarz — otoczona cienkimi warkoczykami z wplecionymi w nie jaskrawymi paciorkami — przybierała ten drewniany wyraz, jakże wyraźny u wszystkich, którzy nie potrafili zaakceptować Powrotu. Teraz spojrziała na Zabaweczkę i przez moment wydawała się... zadowolona. Jakby właśnie sprawdziły się jakieś jej domniemania. Dlaczego Zabaweczka zabrał ją ze sobą? Z pewnością nie dla jej fajerwerków. Były wprawdzie śliczne, ale nie mogły się równać ze Światłami Niebios, wykreowanymi przez bodaj na poły wyszkoloną damane.

Thom Merrilin był znacznie bardziej interesujący. Tuon gotowa była się założyć, że siwowłosa jest wyszkolonym i doświadczoneym szpiegiem. Kto go wysłał do Ebou Dar? Od razu przychodziła na

myśl Biała Wieża. Stosunkowo obojętnie traktował te samozwańcze Aes Sedai, ale dobrze wyszkolony szpieg nigdy by się w ten sposób nie zdradził. Jego obecność niepokoiła ją. Póki ostatnia Aes Sedai nie zostanie wzięta na smycz, Białej Wieży należało się strzec. Mimo wszystkich świadectw, że jest inaczej, wciąż od czasu do czasu nawiedzały podejrzenia, iż Zabaweczka jest częścią intrygi Białej Wieży. Oczywista niemożliwość, chyba że te Aes Sedai były wszechwiedzące — ale jakoś nie mogła się od tej myśli opędzić. — Dziwny zbieg okoliczności, nieprawdaż, panie Merrillin? — zapytała. — Spotkanie z oddziałem armii Zabaweczki w głuszy altarańskiego lasu? Podkreślił kciukiem długiego wąsa, ale nie udało mu się zamaskować nieznacznego uśmiechu.

— On jest *ta'veren*, moja pani, a nie sposób przewidzieć, co może się stać w obecności *ta'veren*. Podróże w towarzystwie takowego są... zawsze... interesujące. Mat potrafi znaleźć dokładnie to, czego potrzebuje, w chwili, gdy jest mu potrzebne. Czasami nawet wcześniej, niż zda sobie z tego sprawę.

Wbiła w niego wzrok, ale najwyraźniej mówił poważnie.

— Jest przykuty do Wzoru? — Tak powinno brzmieć tłumaczenie tego słowa. — Co to miałyby znaczyć?

Błękitne oczy starego rozszerzyły się ze zdumienia. — Nie wiesz? A przecież powiada się, że Artur Jastrzębie Skrzydło był najsilniejszym *ta'veren*, jakiego znał świat, być może równie silnym jak Rand al'Thor. Można by mniemać, że spośród wszystkich ludzi wy właśnie... Cóż, skoro twierdzisz, że nie wiesz, pewnie nie wiesz. *Ta'veren* to człowiek, wokół którego kształtuje się Wzór, to człowiek, którego Wzór utkał tak, aby dzięki niemu zapewnić sobie właściwy porządek tkania, a być może, aby naprawić wady, jakie wkradły się w procesie tkania. Któraś z Aes Sedai z pewnością potrafiłaby to lepiej objaśnić. — Jakby mogła sobie pozwolić na konwersacje z *marath 'damane* albo, co gorsza, ze zbiegłą *damane*.

— Dziękuję — odezwała się grzecznie. — Chyba usłyszałam już dość. — *Ta'veren*. Absurdalne. Ci ludzie i ich niezliczone przesady! Mały brązowy ptaszek, zapewne zięba, wyfrunął z korony wysokiego dębu i w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara trzykrotnie okrążył Tuon ponad jej głową potem odleciał. Oto wyczekiwany omen. Trzymaj się blisko Zabaweczki. Oczywiście, wcale nie miała zamiaru postępować inaczej. Dała słowo, więc grała w tę grę zgodnie ze wszystkimi regułami, poza tym nigdy w życiu nie złamała danego słowa.

Jakąś godzinę po wyruszeniu w drogę przed nimi zaśpiewał ptak, a Selucia wskazała pierwszego wartownika: mężczyzna siedział z kuszą wśród rozłożystych gałęzi dębu, przyciskając zwiniętą dłoń do ust. A więc to nie ptak. Kolejne ptasie śpiewy towarzyszyły ich pochodowi i wkrótce wjechali do porządnie rozbitego obozu. Namiotów wprawdzie w nim nie było, ale lance stały równo, konie były spętane i uwiązane w rzędach wśród drzew, blisko koców ludzi, którzy później ich dosiądą siodła i juczne siodła tuż obok każdego zwierzęcia. Obóz można było zwinąć właściwie w jednej chwili i zaraz ruszać. Ogniska były niewielkie i dawały mało dymu.

Kiedy jechali przez obóz, na ich widok podnosili się żołnierze w ciemnozielonych napierśnikach, z godłem czerwonej ręki na rękawach kaftanów i czerwonymi szarfami zawiązanymi na lewym ramieniu. Widziała posiwiałe i pobliźnione czerepy, ale też świeże i młode oblicza — wszyscy patrzyli na Zabaweczkę, a w oczach mieli wyraz, który zasługiwał na miano: żar. Niósł się za nimi coraz głośniejszy szmer głosów, niczym wiatr szumiący wśród drzew.

— To lord Mat.

— Lord Mat wrócił.

— Lord Mat nas znalazł.

— Lord Mat.

Tuon wymieniła z Selucią spojrzenia. Poruszenie w głosach nie było udawane. Dowódcom nieczęsto udawało się wzbudzić w żołnierzach tego rodzaju przywiązanie i zazwyczaj dotyczyło to tych, którzy nie przykładali się do egzekwowania dyscypliny. Jeszcze przed chwilą oczekiwała, że armia Zabaweczki będzie obszarpaną bandą spędzającą większość czasu na piciu i grze. Ci ludzie natomiast nie wyglądali gorzej niż dowolny regiment regularnego wojska po pokonaniu górskiego łańcucha i kilkuset mil. Nikt nie chwiał się na nogach.

— Staramy się unikać Seanchan, obozując za dnia i jadąc nocą — Talmanes wyjaśnił Zabaweczce. — Z faktu, że nie widzieliśmy żadnej latającej bestii, nie wynika, iż gdzieś się tu nie kręca. Większość sił Seanchan stacjonuje chyba dalej na północ i południe, niemniej najbliższy ich obóz znajduje się niecałe trzydzieści mil stąd, a plotka głosi, że mają tam latającego stwora.

— Wyglądasz na dobrze poinformowanego — powiedział Zabaweczka, przyglądając się mijającym go żołnierzom. Nagle zdecydowanie kiwnął głową jakby właśnie podjął decyzję. Wydawał się ponury i może... zrezygnowany?

— Jestem, Mat. Wziąłem ze sobą połowę oddziałów zwiadowczych, zwerbowałem też nieco Altaran, którzy walczyli z Seanchanami. Cóż, większość zainteresowana była głównie kradzieżą ich koni, lecz znalazło się paru, którzy naprawdę chcieli walczyć. Sądzę, że znam położenie większości seanchańskich obozów, stąd aż po Przesmyk Malvide na południu.

Nagle ktoś zaczął śpiewać głębokim głosem, po chwili dołączyli inni i pieśń poniosła się po obozie.

*Uciecha jest wielka w piwie i winie,
jest jej też siła w miłej dziewczynie,
a mnie co innego raduje, czyż nie?*

Ja wolę zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Teraz śpiewali już wszyscy, tysiące głosów ryczały pieśń.

Będziem kości uparcie rzucać do ranka białego, Dziewczyny podszczypywać, drwiąc sobie z Czarnego, A gdy Mat w drogę ruszy, weźmiem przykład z niego, Żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.

Skończyli, krzyknęli, zaczęli się śmiać i klepać po plecach. Kim, na Światłość, był ten Widmowy Jake?

Zabaweczka ściągnął wodze i uniósł tą swoją dziwną włócznię. Tylko tyle, — ale wśród żołnierzy nagle zapanowała cisza. A więc nie miał kłopotów z dyscypliną. Istniały wprawdzie inne powody autentycznej sympatii, jaką dowódcy cieszyli się wśród żołnierzy, ale najbardziej oczywisty z nich nie mógł się stosować do Zabaweczki... nie do niego przecież.

— Nie informujmy ich, że tu jesteśmy, dopóki nie będziemy chcieli, by wiedzieli — głośno oznajmił Zabaweczka. Nie przemawiał, po prostu chciał, żeby jego słowa dotarły do uszu wszystkich. I ludzie słyszeli, powtarzali je przez ramię stojącym z tyłu, a tamci przekazywali następnym.

— Jesteśmy daleko od domu, ale zaprowadzę was z powrotem. Gotujcie się do wymarszu, i to szybko. Legion Czerwonej Ręki potrafi maszerować tak prędko jak nikt, a my zaraz tego dowiedzimy. — Nie było okrzyków radości, wielu jednak kiwało głowami. Odwrócił się do Talmanesa i zapytał: — Masz mapy?

— Najlepsze, jakie można było znaleźć — odrzekł Talmanes. — Legion ma obecnie własnego kartografa. Zanim się do nas przyłączył, pan Roidelle dysponował już dobrymi mapami terenów od Oceanu Aryth do Grzbietu Świata. Od kiedy pokonaliśmy Damonas, wraz z asystentami sporządzali mapy wszystkich obszarów, jakie przemierzaliśmy. Dysponujemy nawet mapą wschodniej Altary z zaznaczonymi pozycjami Seanchan. Lecz większa część ich obozów ma charakter tymczasowy. Przystanki na trasie marszruty.

Selucia poruszyła się w siodle, a Tuon przekazała jej palcami znak: CIERPLIWOŚCI w postaci nie dopuszczającej sprzeciwu, w istocie był to rozkaz. Na jej twarzy nic się nie odbijało, w środku aż się trzęsła ze złości. Z wiedzy, gdzie znajdują się Żołnierze, można było wywnioskować, dokąd zmierzają. Trzeba będzie jakoś zniszczyć tę mapę. To równie ważne, co te nowe kołowroty do kusz. — Z panem Roidelle też porozmawiam — powiedział Zabaweczka.

Pojawili się żołnierze, żeby zaopiekować się ich końmi i na moment wokół zapanował niewielki rozgardiasz. Jakiś szczerbaty człowiek wziął wodze Akein, a Tuon dokładnie poinformowała go, jak ma zadbać o klacz. Obrzucił ją ponurym spojrzeniem, uklonił się. Pospólstwo na tych ziemiach zachowywało się, jakby uważało siebie za równych. Selucia udzieliła tych samych instrukcji chudemu młodzikowi, który wziął Pączek Róży. Wcześniej doszła do wniosku, że to jak najbardziej stosowne imię dla wierzchowca garderobianej. Młodzieniec zagapił się na jej biust, za co dostał w ucho. Mocno. Ale tylko uśmiechnął się i odprowadził bułanka, rozcierając głowę. Tuon westchnęła. Selucia mogła sobie robić, co chciała, gdyby zaś jej przyszło uderzyć pospolitaka, przez miesiące nie mogłaby nikomu spojrzeć w oczy. Wkrótce już siedziała na składanym stołku, Selucia stała za nią, a krępy Lopin podawał im blaszane kubki z ciemną herbatą, kłaniając się stosownie zarówno przed Selucią, jak i przed Tuon. Nie pochylał się wprawdzie dostatecznie głęboko, ale trzeba było oddać łysolowi, że się starał. Herbata była idealnie doprawiona miodem, idealnie, to znaczy lekko — służył jej już dość długo, by wiedzieć. Wokół trwała gorączkowa aktywność. Talmanes porozmawiał krótko z siwowłosym Nerimem, który najwyraźniej był jego służącym i równie wyraźnie ucieszył się na jego widok. Co należało wnosić z faktu, że skrzeple w żałobnych zmarszczkach oblicze z wysiłkiem próbowało się ułożyć w uśmiech. Takie rzeczy najlepiej załatwiać na osobności. Leilwin i Domon pozwolili panu Charinowi oprowadzić Olvera po obozie — Juilin i Thera poszli razem z nimi, a po krótkim namyśle dołączyli do nich Thom i Aludra, żeby rozprostować nogi, jak stwierdzili — potem rozmyślnie usiedli nie daleko. Leilwin posunęła się nawet do tego, by patrzeć przez dłuższą chwilę na Tuon, i ani razu nie mrugnęła. Z gardła Selucii wydobył się dziwny głuchy odgłos, coś jakby warczenie, ale Tuon zignorowała prowokację i gestem zaprosiła do siebie panią Anan; ta przyniosła swój stołek i usiadła przy niej. Ostatecznie zdrajcy zostaną ukarani, jako też złodziej, rzeczy wrócą do ich prawowitych właścicieli, *marath'damane* zostaną wzięte na smycz — jednak wszystko to musi ustąpić miejsca kwestiom bardziej nagłym.

Pojawiło się trzech kolejnych oficerów, wszyscy byli młodzi i szlachetnie urodzeni, każdy miał na ciemnym jedwabnym kaftanie tę czerwoną rękę, a ich spotkanie z Zabaweczka przebiegało wśród głośnych wybuchów śmiechu i poklepywania po plecach, które tutaj najwyraźniej uważano za oznakę sympatii. Wkrótce zorientowała się, kto jest kim. Eдорion był smagły, szczupły i poważny, gdy się nie uśmiechał; Reimon — potężnie zbudowany i uśmiechał się właściwie przez cały czas; a Carlomin był wysoki i szczupły. Eдорion gładko wygolony, natomiast i Reimon, i Carlomin mieli brody czarne,

wystrzyżone i lśniące niczym natarte oliwą. Wszyscy trzej z nadzwyczajnym szacunkiem odnosili się do Aes Sedai, kłaniając się im głęboko. Pokłon złożyli nawet Bethamin i Secie! Tuon pokręciła głową.

— Od dawna ci powtarzam, że to jest inny świat niż ten, do którego przywykłaś — mruknęła pani Anan. — Ale wciąż nie potrafisz w to uwierzyć, nieprawdaż?

— Z faktu, że coś układa się tak, a nie inaczej — zareplikowała Tuon — nie wynika, że tak powinno być, nawet, jeśli trwa to od bardzo dawna.

— Niektórzy mogliby to samo powiedzieć o twoim ludzie, moja pani.

— Niektórzy mogliby. — Tuon postanowiła w tym miejscu zakończyć temat, choć zazwyczaj dobrze jej się rozmawiało z kobietą. Pani Anan sprzeciwiała się braniu na smycz *marath'damane*, czego można było oczekiwać, choć nie podobało jej się również trzymanie *da'covale*, co już bardzo dziwiło, niemniej były to dyskusje, a nie kłótnie, i Tuon zdarzyło się ustąpić w paru kwestiach. Wciąż nie traciła nadziei, że ostatecznie tamtą przekona. Choć nie nastąpi to dzisiaj. Dzisiaj wołała się skupić na Zabaweczce.

Pojawił się pan Roidelle, okrągłolicy, siwy mężczyzna z brzuchem wypinającym ciemny kaftan. Za nim szło sześciu krzepkich młodzieńców; każdy niósł długą cylindryczną skórzaną tuleję.

— Przyniosłem wszystkie mapy Altary, jakie posiadam, mój panie — kłaniając się, poinformował Talmanesa melodyjnym głosem. Czy wszyscy na tych ziemiach musieli mówić, jakby poganiali słowa? — Niektóre obejmują obszar całego kraju, inne tylko po kilkaset mil kwadratowych. Najlepsze wyszły oczywiście spod mojej ręki, zrobiłem je w ciągu ostatnich kilku tygodni.

— Lord Mat powie ci, co chce zobaczyć — odparł Talmanes. — Mamy zostawić cię samego, Mat? Ale Zabaweczką już mówił kartografowi, na czym mu zależy — mianowicie na mapie z obozami Seanchan. Wkrótce została wydobyta z tulei i rozłożona na ziemi, Zabaweczką przykucnął nad nią. Pan Roidelle posłał któregoś asystenta po stołek. Gdyby chciał pójść za przykładem Zabaweczki, nie wytrzymałyby guziki jego kaftana, nie mówiąc już o tym, że pewnie by się przewrócił. Talmanes i pozostali szli w kierunku Tuon, po drodze patrzyli na siebie i śmiali się, jakby ich ironiczne uwagi były najśmieszniejsze w świecie. Aes Sedai stanęły nad mapą, póki Zabaweczką nie zakazał im zaglądać sobie przez ramię. Odsunęły się trochę, Bethamin i Seta wciąż się trzymały za nimi z dala i o czymś szeptały, od czasu do czasu zerkając na niego. Gdyby Zabaweczka zechciał się przyjrzeć ich oczom, zwłaszcza Joline, mógłby się przejąć mimo niewiarygodnego *ter'angreala* który wedle słów pani Anan stale nosił przy sobie.

— Jesteśmy gdzieś tutaj, prawda? — powiedział, dotykając palcem mapy. Pan Roidelle mruknął twierdząco.

— A więc to w tym obozie rzekomo ma się znajdować *raken*? Latający stwór? Kolejne mruknięcie.

— Dobrze. Co to za obóz? Ilu jest w nim żołnierzy?

— Wedle raportów jest to obóz zaopatrzeniowy, mój panie, Zaopatruje patrole. — Któryś z młodzieńców pojawił się ze składanym stołkiem, potężnie zbudowany mężczyzna osunął się nań z sapnięciem. — Zwiadowcy donieśli, że zapewne jest w nim około setki żołnierzy, głównie Altaran, ale z innych źródeł wnoszę, że od czasu do czasu może być ich tam pięciuset i więcej. — Ostrożny człowiek, ten pan Roidelle.

Talmanes uklonił się przed Tuon w dziwny sposób, to znaczy wysuwając naprzód jedną nogę, pozostali poszli za jego przykładem.

— Moja pani — powiedział Talmanes — Vanin poinformował mnie o twojej sytuacji i obietnicach, jakie złożył ci lord Mat. Chciałem cię tylko upewnić, że dotrzymuje słowa.

— Zaiste, dotrzymuje, moja pani — mruknął Edorion. — Zawsze.

Tuon dała mu gestem znak, żeby się odsunął i umożliwił jej dalszą obserwację Zabaweczki, co uczynił, zerkając zaskoczony najpierw na Zabaweczkę, potem na nią. Popatrzyła na niego surowo. Absolutnie nie chciała, żeby sobie zaczęli coś wyobrażać. Nie wszystko jeszcze potoczyło się w pożądaną stronę. Wciąż istniała możliwość, że się nie uda.

— On w końcu jest lordem czy nie? — zapytała.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Talmanes. — Ale czy zechciałabyś powtórzyć? Przepraszam. Chyba muszę mieć brudne uszy.

Powtórzyła, więc pytanie, tym razem wyraźniej, ale mimo to dobrą chwilę zabrało im zrozumienie.

— Żeby szczęła ma dusza, nie — na koniec oznajmił ze śmiechem Reimon. Pogładził brodę. — Tylko w naszych oczach. Dla nas jest w wystarczającym stopniu lordem.

— On raczej nie przepada za szlachtą — powiedział Carlomin. — Za zaszczyt poczytuję sobie, że jestem wśród tych, których ceni.

— Zaszczyt, zaiste — zgodził się Reimon. Edorion tylko kiwał głową.

— Żołnierze, panie Roidelle — zdecydowanie stwierdził Zabaweczka. — Pokaż mi, gdzie stacjonują żołnierze. W oddziałach większych niż kilkusetosobowe.

— O co mu chodzi? — zapytała Tuon, marszcząc brwi. — Nie wyobraża sobie chyba, że wymknie się z taką armią z Altary, choćby nawet znał pozycję każdego wrogiego żołnierza. Zawsze są lotne patrole, obserwatorzy na *rakenach*. — Znowu chwilę im zabrało, zanim odrzekli. Być może należało mówić bardzo szybko. — Nie widzieliśmy żadnych patroli na przestrzeni ostatnich trzystu mil, żadnych... *rakenów*... żadnych *rakenów* również — cicho wyjaśnił Edorion. Przyglądał jej się uważnie. Już za późno, żeby powściągnąć jego imaginację.

Reimon znów się roześmiał. — Na ile znam Mata, układa strategię bitwy. Legion Czerwonej Ręki znów rusza do boju. Jeśli chcecie znać moje zdanie, zbyt długo siedzieliśmy beczynnie.

Selucia parsknęła, podobnie jak pani Anan. Tuon musiała się z nimi zgodzić.

— Żadna bitwa nie otworzy wam drogi z Altary — rzekła ostro.

— W takim razie — stwierdził Talmanes — zapewne układa plany całej wojny. — Pozostali kiwnęli głowami, jakby to była najnormalniejsza rzecz pod Światłością. Reimon nawet się roześmiał. Jemu chyba wszystko wydawało się zabawne.

— Trzy tysiące? — zapytał Zabaweczka. — Jesteś pewien? W przybliżeniu, człowieku. Wystarczy rozsądne przybliżenie. Vanin ich znajdzie, jeśli nie oddalili się za bardzo.

Tuon popatrzyła na niego, jak kuca nad mapą, wodzi po niej palcem — i nagle ujrzała go w całkiem nowym świetle. Bufon? Bynajmniej. Widok lwa uwięzionego w końskim boksie może przywołać na myśl osobliwy żart, ale lew na wysokim plateau to coś całkiem innego. A teraz Zabaweczka poruszał się po wyżynach. Przeszył ją dreszcz. Z jakim człowiekiem związała swój los? I zrozumiała, że mimo wszystkich dni razem spędzonych nic o nim nie wie.

Noc była na tyle chłodna, że choć Perrin miał obszyty futrem płaszcz, lekki dreszcz przejmował go za każdym razem gdy zrywał się wiatr. Halo wokół tłustego półksiężyca zwiastowało rychły deszcz. Gęste chmury gnające po niebie sprawiały, że blada poświata gasła i znowu rozbłyskiwała, gasła i rozbłyskiwała, dla jego oczu wszakże światła było zawsze dość. Siedział na Stepperze tuż przed krawędzią lasu i obserwował stojące blisko siebie cztery wiatraki z szarego kamienia na niezarośniętym szczycie wzgórza — ich jasne skrzydła na przemian rozbłyskiwały i ciemniały wraz z każdym obrotem. Maszynaria jęczała głośno. Wydawało się wątpliwe, by Shaido wiedzieli, że powinni regularnie natłuszczać werki. Kamienny akwedukt był cieniem na wysokich kamiennych

lukach, sięgającym ponad opuszczonymi farmami i ogrodzonymi polami na wschód — Shaido wprawdzie zasiali, ale zbyt wcześnie, jak się okazało przy takich opadach — aż ku kolejnemu wzgórzu i znajdującemu się za nim jezioru. Malden leżało za jeszcze następnym wzgórzem. Za kilka godzin na skórzanym rzemieniu w kieszeni pojawi się pięćdziesiąty czwarty węzeł.

Wybiegł myślami daleko poza siebie. „Jesteś gotów, Śnieżny Świecie?” — pomyślał. „Jesteście już, dość blisko?”. Wilki unikały miast, a ponieważ okoliczne lasy za dnia nawiedzały liczne grupy myśliwych Shaido, trzymały się od Malden jeszcze dalej, niż czyniłyby to w zwykłych okolicznościach.

„Cierpliwości, Młody Byku” — nadeszła zabarwiona irytacją odpowiedź. Ale przecież Śnieżny Świt był z natury drażliwy, jak przystało na poblížnionego starego samca, który kiedyś w pojedynkę zabił panterę. Te stare rany często dawały mu się we znaki, nie pozwalając porządnie się wyspać. „Powiedziałaś, dwa dni od teraz. Będziemy. Teraz pozwól mi się wyspać. Jutro musimy porządnie zapolować, bo pojutrze polować już nie będziemy mogli”. Odpowiedź oczywiście nadeszła w obrazach i woniach, nie w słowach. „Dwa dni” to było słońce dwukrotnie pokonujące nieboskłon; „polowanie” to stado biegnące z nosami pod wiatr i zapach jelenia. Umysł Perrina przetwarzał obrazy w słowa, jeszcze zanim ukazały się w jego głowie.

Cierpliwość. Tak. Pośpiech jest wrogiem pracy. Ale teraz było najtrudniej, teraz, gdy był już tak blisko. Strasznie trudno. W ciemnej przestrzeni drzwi najbliższego wiatraka pojawiła się czyjaś sylwetka, pomachała nad głową aielową włócznią. Hałas wydawany przez maszynię gwarantował właściwie, że w wiatrakach wciąż nikogo nie ma — jak nie było wcześniej, gdy dotarł do nich zwiad Panien; nikt chyba nie znosiłby tych potwornych odgłosów dłużej niż to konieczne — ale wysłał jeszcze raz Gaula i kilka Panien, żeby się upewnić.

— Jedźmy, Mishima — powiedział, zbierając wodze. — Dokonało się. — W taki czy inny sposób.

— Jak ty w ogóle cokolwiek widzisz? — mruknął Seanchanin. Unikał patrzenia na Perrina, wiedząc, że złote oczy świecą w ciemnościach. Poblížniony weteran, kiedy pierwszy raz je zobaczył, drgnął ze strachu. Dzisiejszej nocy też nie pachniał swobodą i rozbawieniem. W jego woni było napięcie. Niemniej cichy głos brzmiał spokojnie: — Dawać naprzód bryczki. Szybko. Szybciej. I zachować ciszę, albo poobcinam uszy!

Perrin wbił obcasy w boki bułanka i nie czekając na pozostałych ani na sześć bryczek na wysokich kołach, pchnął ogiera naprzód. Porządnie natłuszczone osie skrzypiały cichutko. I tylko w jego uszach wszystkie dźwięki odzywały się głośno: kopyta koni rozchlapujące błoto, same bryczki, skrzypiące rozciągającym i ocierającym się o siebie drewnem, wąpiał wszak, by ktokolwiek inny mógł je usłyszeć z odległości pięćdziesięciu kroków, może nawet mniejszej. Na szczycie łagodnego stoku zsiadł ze Steppera i puścił swobodnie wodze. Ponieważ ogier był wyszkolonym rumakiem bojowym, póki wodze zwisają, będzie tkwił w miejscu jak przymurowany. Skrzydła wiatraków skrzypiały, ustawiając się wolno pod wiatr. Były tak długie, że w najniższym punkcie toru Perrin mógłby któregoś dotknąć, wystarczyło podskoczyć. Popatrzył w kierunku wzgórza, za którym kryło się Malden. Nie rosło tam nic wyższego od krzaków. Nic nie poruszało się w ciemnościach. Tylko to wzgórze dzieliło go od Faile. Panny dołączyły do Gaula na zewnątrz, wszystkie wciąż były zamaskowane.

— Nie ma nikogo — powiedział Gaul, nie starając się ściszać głosu. Tutaj rżenie maszynii wiatraków skutecznie zagłuszyłoby ciche słowa.

— Powłoka kurzu wygląda tak samo jak wówczas, gdy byłam tu ostatni raz — dodała Sulin.

Perrin podrapał się po brodzie. I bardzo dobrze. Gdyby musieli pozabijać jakichś Shaido, ciała można by usunąć, ale z pewnością ktoś zainteresowałby się losem zabitych, co może ściągnęłoby

niepotrzebną uwagę na wiatraki i akwedukt, A w efekcie ktoś mógłby się zacząć zastanawiać nad wodą.

— Pomóż mi zdjąć te pokrywy, Gaul. — Wcale nie musiał tego robić. W ten sposób zaoszczędzą tylko parę minut, niemniej czuł potrzebę zrobienia czegoś. Gaul bez słowa wsunął włócznię za futerał z łukiem na plecach, gdzie tkwiły pozostałe.

Akwedukt biegł poziomo nad ziemią po szczycie wzgórza między czterema wiatrakami. Perrinowi sięgał do ramienia, Gaulowi nawet nie, ponieważ Aiel był znacznie wyższy. Uchwyty z brązu po obu stronach pozwalały podnieść ciężkie kamienne płyty szerokie na dwie stopy i długie na pięć. Szybko odsłoniли sześciostopowy otwór. Po co to było potrzebne budowniczym akweduktu, nie wiedział. Po drugiej stronie było identycznie. Może do obsługi zaworów zapewniających, że woda płynęła tylko w jedną stronę, albo na wypadek konieczności naprawy jakiegoś przecieku. Widział drobne zmarszczki wody płynącej ku Malden, kamienny kanał był do połowy pełny.

Mishima dołączył do nich, zsiadł z konia, potem przez chwile stał bez ruchu i mierzył wzrokiem Sulin oraz pozostałe Panny. Pewnie mu się wydawało, że ciemności skryją wyraz jego twarzy. Teraz pachniał czujnością. Wkrótce jego śladem przyszedł pierwszy z seanchańskich żołnierzy w czerwonym kaftanie, potem pojawili się następni identycznie odziani — gramolili się po gliniastym stoku, każdy niósł po dwa średniej wielkości jutowe worki. Średniej wielkości, ale bynajmniej nie ciężkie. Ważyły tylko po dziesięć funtów. Przyglądając się podejrzliwie Aielowi, jakaś żylasta kobieta postawiła swoje worki na ziemi, sztyletem rozcięła materię jednego. Garść drobnych ciemnych ziaren posypała się na grunt.

— Rób to nad otworem — powiedział Perrin. — Żeby każde ziarno trafiło do wody.

Żylasta kobieta spojrzała na Mishimę, który zdecydowanie rzekł:

— Rób, co rozkaże lord Perrin, Arrata.

Perrin przyglądał się, jak opróżniała zawartość worka do wnętrza akweduktu, wysoko unosząc ręce ponad głowę. Ciemne ziarna popłynęły ku Malden. Wcześniej wrzucił szczyptę do kubka z wodą — nienawidząc siebie za marnowanie nawet takiej drobin — i przekonał się, że czas jakiś zabierze im, nim napęcznieją i zatoną. Miał nadzieję, że dostatecznie długo, by |dotarły do wielkiej cysterny w mieście. Jeśli nie, zmacerują się w samej przestrzeni akweduktu. Tak czy siak, cysterna będzie dawać roztwór widłokorzenia. Światłości, spraw, oby był dostatecznie mocny. Przy odrobinie szczęścia będzie nawet na tyle mocny, by podziałać na *algai'd'siswai*. Jego celem były potrafiące przenosić Mądre, niemniej przyda się każda przewaga. Światłości, spraw, by roztwór za szybko nie zrobił się zbyt silny. Jeśli Mądre zaczną się słaniać na nogach, mogą się zorientować w przyczynach swego stanu, zanim Perrin będzie gotów. Nie było jednak innego wyjścia, niż postępować tak, jakby dokładnie wiedział, co się stanie. I modlić się.

Zanim drugi worek kobiety trafił do kamiennego kanału, na stoku zrobiło się tłoczno. Pierwsza pojawiła się Seonid, niska kobieta, zadzierająca ciemne suknie do jazdy konnej, żeby je uchronić przed zabrudzeniem. Mishima zaraz przestał patrzeć na Panny, spojrzał w jej stronę i wykonał jeden z tych drobnych gestów, mających strzec od złego. Dziwne, że ci ludzie wierzą, iż to działa. Żołnierze stali w rzędzie ze swoimi workami, gapili się na nią, nierzadko szeroko rozwartymi oczami, i przestępowali z nogi na nogę. Seanchanom nie przychodziło łatwo współdziałanie z Aes Sedai. Strażnicy Seonid, Furen i Teryl, szli tuż za nią, wspierając dłonie na rękojeściach mieczy. Najwyraźniej o Seanchanach myśleli mniej więcej to, co ci na ich temat. Furen miał smagłą cerę i czarne loki przyprószone siwizną, Teryl był bladej kompleksji i znacznie młodszy, twarz zdobiły mu sumiaste wąsy — a mimo wszystko wydawali się podobni do siebie jak dwa ziarna fasoli: wysocy,

smukli, twardzi. Krótco po nich pojawił się Rovair Kirklin, mocno zbudowany, lekko łysiejący, z ponurą miną na obliczu. Nie lubił tracić z oczu Masuri. Wszyscy trzej mieli niewielkie zawiniątka z prowiantem przytroczone do pleców, z ramion zwisały znaczne worki na wodę. Jakiś chudzielec właśnie stawiał swoje worki z widłokorzeniem na krawędzi otworu, a żyłasta kobieta szła już w dół stoku po następne. Na bryczkach były tego całe stosy.

— Pamiętaj — Perrin napominał Seonid — z największym niebezpieczeństwem związana jest droga od cysterny do fortecy. Powinnaś iść chodnikiem straży po murach, w mieście nawet o tej godzinie mogą przebywać Shaido.

Galina nie do końca była pewna, jak to z tym jest. W oddali głucho zahuczał grzmot, potem następny.

— Może spadnie deszcz i cię osłoni.

— Dzięki — odrzekła lodowato. Jej skryta w cieniach księżycowej poświaty twarz była uosobieniem pogody ducha Aes Sedai, ale poczuł woń urazy. — Gdybyś mi nie powiedział, nigdy bym na to nie wpadła. — W następnej chwili jej przeszło, położyła dłoń na jego ramieniu. — Wiem, jak się o nią martwisz. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy. — W tonie jej głosu trudno było się doszukać sympatii, jak zawsze zresztą, ale nie był już lodowaty, może nawet zabarwiała go odrobina współczucia. Teryl wziął ją na ręce i podsadził na krawędź akweduktu — Seanchanie rytmicznie sypali widłokorzeń w czeluść; wysoki mężczyzna, prawie równie mocno pobliźniony, co Mishima, o mało nie upuścił swego worka — ona zaś skrzywiła się lekko, opuściła nogi i weszła do wody. Zaraz zaczerpnęła gwałtownie powietrza, woda musiała być zimna. Schyliła głowę, żeby uniknąć wzroku ewentualnych obserwatorów z Malden. Furen wspiął się zaraz za nią, po nim Teryl, wreszcie Rovair. Ci musieli się zginać w pół, by zmieścić się pod stropem akweduktu.

Następny był Elyas. Zanim się podciągnął, poklepał Perrina po plecach.

— Trzeba mi było przystrzyc brodę, twoja jest znacznie bardziej praktyczna do takich przedsięwzięć — rzekł, zerkając w dół na płynącą wodę. Jego stargana przez wiatr siwa broda sięgała piersi. A jeśli już o tym mowa, związane na karku skórzanym rzemieniem siwe włosy spływały aż do pasa. Też miał małe zawiniątko z jedzeniem i worek z wodą. — Z drugiej strony, zimna kąpiel od czasu do czasu ułatwia mężczyźnie trzymanie się z dala od kłopotów.

— Sądziłem, że ułatwia trzymanie się z dala od kobiet — zareplikował Perrin. Nie był wprawdzie w nastroju do żartów, ale nie uważał też, by każdy musiał być ponury.

Elyas roześmiał się.

— A niby skąd biorą się męskie kłopoty? — Zniknął w wodzie, na jego miejscu pojawił się Tallanvor.

Perrin schwycił go za rękaw ciemnego kaftana.

— Pamiętaj, żadnej brawury. — Do ostatniej chwili nie potrafił się zdecydować, czy pozwolić mu na udział w ekspedycji.

— Żadnej brawury, mój panie — potulnie zgodził się Tallanvor. Po raz pierwszy od bardzo dawna wyglądał, jakby mu wreszcie na czymś zależało. A jego woń aż drżała z ochoty. Choć można w niej było znaleźć również nutę ostrożności. I wyłącznie z przyczyny owej ostrożności nie znajdował się teraz w obozie. — Nie ośmielę się narażać Maighdin. Ani lady Faile. Po prostu śpieszy mi się do widoku Maighdin.

Perrin pokiwał głową i pozwolił tamtemu pójść. To rozumiał. Jakaś jego część też chciała się wspiąć do wnętrza akweduktu. Żeby szybciej zobaczyć Faile. Ale wszystkie fragmenty dzieła musiały być wykonane właściwie, a jego czekały inne zadania. Poza tym, wątpił, że gdyby już faktycznie znalazł się w Malden, potrafiłby się powstrzymać przed wszczęciem natychmiastowych poszukiwań Faile. Oczywiście nie czuł własnego zapachu, z pewnością jednak nie było w nim śladu ostrożności.

Wiatr zmienił kierunek i kopuły wiatraków obróciły się z głośnym zgrzytem. Wiatr nigdy chyba tu nie cichł. Każda przerwa w dostawie wody mogła się skończyć katastrofą.

Na grzbiecie wzgórza robiło się coraz tłoczniej. Dwadzieścioro akolitów Faile czekało na swą kolej przy akwedukcie, czyli wszyscy, prócz dwójki szpiegującej Masemę. Kobiety miały na sobie męskie kaftany i spodnie, a włosy przycięte krótko, prócz kosmyka z tyłu, który miał być imitacją aielowego — o tym, że żaden Aiel nigdy nie wzięłby do ręki miecza, jakoś nie pamiętali. Kilku Tairenian zgoliło brody, ponieważ Aielowie ich nie nosili. Za nimi czekało pięćdziesięciu ludzi z Dwóch Rzek: halabardy, nienaciągnięte łuki, cięciwy bezpiecznie pochowane za pazuchą, na plecach obok porcji prowiantu po trzy najeżone strzałami kołczany. Do tego zadania zgłosili się na ochotnika wszyscy w obozie, Perrin kazał im ciągnąć losy. Zastanawiał się też nad podwojeniem czy nawet potrojeniem stanu oddziału. I akolici, i ludzie z Dwóch Rzek mieli zawiniątka z jedzeniem i worki z wodą. Równy strumień seanchańskich żołnierzy wciąż płynął obok, pełne worki szły w górę, puste w dół. Byli nadzwyczajnie wręcz zdyscyplinowani. Kiedy, co się w miarę regularnie zdarzało, któryś poślizgnął się w błocie, nie było żadnych przekleństw, nawet szmerów. Po prostu wstawali i szli dalej.

Selande Darengil w czarnym kaftanie z sześcioma pionowymi kolorowymi pasami na piersiach zatrzymała się, by uścisnąć dłoń Perrina. Sięgała mu zaledwie do piersi, ale Elyas twierdził, że umie się posługiwać mieczem, który miała przy pasie. Perrin nie uważał już jej i pozostałych za skończonych głupców, cóż, przynajmniej nie przez cały czas, — bo nad staraniami naśladowania Aielów nie potrafił przejść do porządku. I pewnie nad swobodną interpretacją ich obyczajów — na przykład tym, że kosmyk czarnych włosów na karku Selande był związany długą, ciemną wstążką. W jej woni nie było strachu, tylko determinacja. — Dziękuję ci, że pozwoliłeś mi wejść w skład tej ekspedycji, mój panie — powiedziała wyrazistym cairhieniańskim akcentem. — Nie zawieziemy cię. Ani lady Faile.

— Wiem o tym — odrzekł, potrząsając jej dłonią. Były chwile, gdy upierała się, że nie służy jemu, a wyłącznie Faile. Po kolei ścisnął dłoń każdemu, w miarę jak wchodzili do akweduktu. Wszyscy pachnieli determinacją. Podobnie jak Ban al'Seen, który dowodził oddziałem ludzi z Dwóch Rzek, udającym się do Malden.

— Kiedy pojawi się Faile z tamtymi, zawrzyj na głucho zewnętrzne drzwi, Ban. — Perrin już wcześniej mu o tym mówił, ale nie do końca panował nad sobą i wciąż się powtarzał. — A potem spróbuj ulokować ich z powrotem w akwedukcie. — Za pierwszym razem forteca nie obroniła się przed Shaido, więc raczej nie można było liczyć, iż w przypadku jakichś kłopotów za drugim razem stanie się inaczej. Nie chciał renegocjować umowy z Seanchanami. Shaido mieli zapłacić za to, co zrobili Faile, a poza tym lepiej, żeby już nie pustoszyli okolicy... ale chciał jak najszybciej zadbać o jej bezpieczeństwo.

Ban oparł drzewce łuku i halabardę o ścianę akweduktu, podciągnął się, zanurzył rękę we wnętrzu. Po chwili zeskoczył na dół, wytarł mokrą dłoń o kaftan i podrapał się po wydatnym nosie.

— Pod powierzchnią wody ścianki są omszałe jak w stawie. Obawiam się, iż na tym ostatnim nachyleniu możemy mieć kłopoty i będziemy się ślizgać, wspinaczka z powrotem będzie jeszcze trudniejsza. Moim zdaniem najlepiej, jak zaczekamy na ciebie w fortecy.

Perrin westchnął. Przyszło mu do głowy, żeby ich wyposażyć w liny, ale ostatni stok wymagałby prawie dwóch mil liny, a gdyby jakiś Shaido zobaczył jej luźny koniec wystający z akweduktu w Malden, z pewnością przeszukałby wszystkie szczeliny i zakątki miasta. Ryzyko może i niewielkie, niemniej na tle rozmiarów ewentualnej porażki rosło niebywale.

— Dotrę do was najszybciej, jak się da, Ban. Obiecuję.

W ich przypadku każdemu również uściskał rękę. Todowi al'Caarowi o wydatnej szczęce i

Leofowi Torfinnowi z siwym pasmem we włosach, pod którym biegła blizna od broni trolloka. Młodemu Kenly'emu Maerinowi, który wciąż bezskutecznie próbował wyhodować sobie brodę, Biliemu Adarra równie mocno zbudowanemu jak on, lecz o dłoń niższemu. Bili był dalekim kuzynem i niestety równocześnie najbliższą rodziną, jaką Perrin miał. Spędził dzieciństwo i młodość z wieloma spośród łych ludzi, choć kilku było nieco starszych od niego. A kilku parę lat młodszych. Teraz znał już nie tylko ludzi z okolic Pola Emonda, lecz aż z Deven Ride i Wzgórza Czat. Więc nie tylko pragnienie uratowania Faile, ale i odpowiedzialność za nich miały przynaglać go do pośpiechu. Ostatnim człowiekiem z Dwóch Rzek był Had al'Lora, szczupły, z sumiastymi wąsami na modłę tarabońską. Kiedy zniknął we wnętrzu akweduktu, pojawił się Gaul z twarzą wciąż zasłoniętą i czterema włóczniami w ręce, na której nadgarstek miał nasadzoną tarczę z byczej skóry. Schwycił dłonią krawędź akweduktu, podciągnął się lekko, usiadł na kamiennym gzymsie. — Też idziesz? — zapytał zaskoczony Perrin.

— Panny całkowicie ci wystarczą w roli zwiadowców, Perrinie Aybara. — Potężny Aiel zerknął przez ramię ku Pannom. Perrinowi zdało się, że zmarszczył brwi, ale trudno było o pewność, ponieważ za czarną zasłoną widać było tylko oczy. — Słyszałem, co mówiły, kiedy wydawało im się, że nie słyszę. W przeciwieństwie do twojej żony i tamtych, Chiad słusznie i we właściwy sposób obrócona została w *gai'shain*. Bain też, ale ona mnie nie obchodzi. Chiad wciąż będzie musiała odsłużyć resztę ze swojego roku i dnia po tym, jak ją uratujemy. Kiedy jakaś kobieta jest *gai'shain* mężczyzny albo mężczyzna jest *gai'shain* kobiety, zdarza się, że gdy tylko zrzucą biel, plotą małżeński wianek. Nie jest to takie znowu rzadkie. Słyszałem, że Panny chcą pierwsze znaleźć Chiad, żeby ją uratować przede mną.

Za jego plecami palce Sulin zamigotały w mowie dłoni Panien, jedna z kobiet przyłożyła dłoń do ust, jakby chciała powstrzymać śmiech. Może nie były tak niechętne jego zamiarom wobec Chiad, jak udawały. A może Perrin czegoś nie rozumiał. Humor Aielów bywał dosadny, o ile nie brutalny.

Gaul wszedł do wody. Żeby się zmieścić w przestrzelił akweduktu, musiał się prawie zgiąć wpół. Perrin zapatrzył się w otwór. Tak naturalne wydawało mu się pójść za Gaulem. Niełatwo było oderwać odeń oczy. Szereg seanchańskich żołnierzy wciąż rytmicznie przemierzał stok.

— Mishima, wracam do obozu. Kiedy już skończycie, Grady zabierze was do swoich. Zanim odejdziecie, spróbujcie zatrzeć ślady.

— Oczywiście, mój panie. Kazałem też paru ludziom oskrobać tłuszcz z toporów i zająć się osiami wiatraków. Wyglądał jakby w każdej chwili miały się rozsypać. Na dalszym wzgórzu też to zrobimy.

Perrin ujął wodze Steppera i spojrział na wolno obracające się skrzydła. Wolno, lecz równo. Nie zbudowano ich, by kręciły się z jakąś zawrotną szybkością.

— A jeśli przyjdą jutro jacyś Shaido i zaczną się zastanawiać, skąd tu świeży tłuszcz?

Mishima przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, jego oblicze pozostawało skryte w cieniach. Choć raz płonące żółte oczy zdawały mu się nie przeszkadzać. Jego woń... Pachniał, jakby właśnie zobaczył coś niespodziewanego.

— Generał sztandaru miała rację odnośnie do ciebie — powiedział powoli.

— Co mówiła?

— Będziesz musiał sam ją zapytać, mój panie.

Perrin zjeżdżał powoli ze stoku, kierując się ku linii drzew i myśląc, jak łatwo byłoby zawrócić. Gallenne sam potrafiłby się wszystkim zająć. Wszystko zostało ustalone. Oprócz tego, że Mayenianin najwyraźniej wierzył, iż każdą bitwę powinna kończyć wielka szarża. I zaczynać też. Jak długo potrafi wytrwać przy ustalonej strategii? Arganda był bardziej rozsądny, ale tak się martwił o królową Alliandre, że również mógł nakazać tę nieszczęsną szarżę. Więc jednak nie miał nikogo

prócz siebie. Wiatr powiał mocniej, Perrin ściślej otulił się płaszczem. Pośrodku niewielkiej polany Grady siedział wsparty łokciami o kolana na lekko ociosanym omszałym głazie zatopionym do połowy w ziemi, który bez wątpienia stanowił pozostałość po budowie akweduktu. Wokół leżało kilka podobnych. Wiatr wiał w przeciwną stronę i Perrin nie łowił jego woni. Nie uniósł wzroku, póki Stepper nie zatrzymał się tuż przed nim. Brama, przez którą tu dotarli, wciąż pozostawała otwarta, ukazując inną polanę wśród wysokich drzew, niedaleko miejsca, gdzie obozowali aktualnie Seanchanie. Pewnie byłoby wygodniej, gdyby rozbili się bliżej obozu Perrina, ale on chciał trzymać Aes Sedai i Mądre najdalej jak to możliwe od *sul'dam* i *damane*. Nie bał się, że Seanchanie złamią słowo Tylee, niemniej widział, że Aes Sedai i Mądre prawie mdlały na myśl o *damane*. Może Mądre i Annoura pohamują się przynajmniej przez jakiś czas. Może. Masuri nie był już taki pewien. Co należało tłumaczyć sobie na wiele sposobów. Lepiej, więc, żeby dzieliło ich kilka lig, jak długo się da. — Wszystko w porządku, Grady? — Na porytej twarzy tamtego pojawiło się chyba kilka nowych zmarszczek. Może była to tylko gra księżycowej poświaty wśród drzew, a może nie. Bryczki z łatwością mieściły się w bramie, ale czy nie była nieco mniejsza od pierwszej, którą stworzył w jego obecności Grady? — Jestem trochę zmęczony, mój panie — cicho odparł Grady. Wciąż nie zmienił pozycji. — Całe to Podróżowanie ostatnio... Cóż, wczoraj nie byłem w stanie utrzymać bramy otwartej dość długo, by wszyscy ci żołnierze przejechali. Dlatego zacząłem je podwiązywać. Perrin pokiwał głową. Obaj Asha'mani byli skonani. Przenoszenie kosztowało mężczyznę tyle sił, co wymachiwanie przez cały dzień młotem w kuźni. Po prawdzie, to i więcej.

Kował mógł pociągnąć znacznie dłużej niż Asha'man. Dlatego właśnie droga do Malden wiodła przez akwedukt, a nie przez bramę i dlatego — jakkolwiek Perrin tego by pragnął — nie będzie żadnej bramy, przez którą wydostanie się Faile z pozostałymi. Asha'manom zostały już tylko resztki sił, wkrótce będą musieli odpocząć, a resztki te muszą zostać wykorzystane tam, gdzie są najbardziej potrzebne. Światłości, co za straszna myśl. Ale gdyby Grady czy Neald zawiedli w krytycznym momencie, wielu by zginęło. Decyzja więc nie była łatwa.

— Ty i Neald będziecie mi potrzebni pojutrze. — Powiedział to głosem zduszonym, jakby mu nagle zabrakło powietrza. Bez Asha'manów wszystko na nic. — A wtedy będziecie zajęci. — Kolejne wielkie niedomówienie.

— Zajęci jak jednoręki mężczyzna gipsujący sufit, mój panie.

— Takiś chętny?

— Muszę, czyż nie, mój panie?

Perrin znowu skinął głową. Robiło się to, co trzeba było zrobić.

— Wyślij mnie z powrotem do naszego obozu. A kiedy wyekspedujesz Mishimę i jego ludzi do ich obozu, ty i Panny możecie tam się przespać. — Dzięki temu Grady zaoszczędzi trochę sił na to, co zdarzy się pojutrze.

— Nie wiem jak Panny, mój panie, ale wolałbym wrócić do domu. — Nie zmieniając pozycji, uniósł głowę i spojrzał w kierunku bramy, a ona zapadła się w sobie w odwrotnym porządku, niż powstawała: widok za nią zdawał się obracać, równocześnie kurcząc, a skończyło się wszystko pionową pręgą srebrno-błękitnego światła, po której Perrinowi został jarzący się purpurowy powidok. — Na widok tych *damane* dostaję dreszczy. One nie chcą być wolne.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Rozmawiałem z kilkoma, kiedy w pobliżu nie było żadnej z tych *sul'dam*. Jak tylko poruszyłem sprawę, zasugerowałem właściwie, że może chciałyby zrzucić te smycze, one zaraz zaczęły wołać *sul'dam*. *Damane* płakały, a *sul'dam* poklepywały je i głaskały, patrząc na mnie złym okiem. Aż dreszcze mi przebiegały po skórze.

Stepper niecierpliwie grzebał kopytem, Perrin musiał poklepać go po karku. Grady miał szczęście, że uszedł cało ze spotkania z tymi *sul'dam*.

— Jakikolwiek los czeka, *damane*, Grady, nie rozstrzygnie się ani w tym tygodniu, ani w następnym. I nie od nas to zależy. A więc zostawmy *damane* swojemu losowi. Czeka nas mnóstwo roboty; musimy ją wykonać. — I umowa z Czarnym, którą trzeba zawrzeć, żeby ją wykonać. Odepchnął od siebie tę myśl. Tak czy siak, z coraz większą trudnością wyobrażał sobie Tylee Khirgan jako poplecniczkę Czarnego. Czy Mishimę. — Rozumiemy się? — dokończył.

— Rozumiemy, mój panie. Po prostu mówię, że od tego dostaję gęsiej skórki.

Wreszcie na polanie pojawiła się kolejna srebrna pręga i rozrosła w otwór, za którym była polana wśród wielkich, rzadko rosnących drzew oraz niska, kamienna odkrywka. Perrin pochylił się nad karkiem Steppera i przejechał na drugą stronę. Za plecami brama zamigotała i zniknęła, on zaś pojechał wśród drzew, póki nie dotarł do wielkiej polany, na której leżał obóz; w pobliżu znajdowało się maleńkie sioło o nazwie Brytan, właściwie zbiór zapchlonych szałasów, do których nie potrafiła zagnać człowieka nawet najbardziej deszczowa noc. Oczywiście warty wśród drzew nie zareagowały na jego obecność. Z miejsca został rozpoznany. Nie chciał już nic więcej, jak tylko od razu wpełznąć pod koce. Cóż, oczywiście pragnął, by Faile była przy nim, ale skoro to niemożliwe, wolał samotność wśród mroku. Najpewniej i tak znów nie będzie mógł zasnąć i spędzi tę noc jak tyle poprzednich: myśląc o niej, wspominając. Jednak niecałe dziesięć kroków przed rozwiniętą palisadą zaostrzonych tyczek otaczającą obóz ściągnął wodze konia. Tuż za palisadą zobaczył przykucniętą sylwetkę *rakena* — stwór wyginał długą szarą szyję tak, aby kobieta w brązowym kaftanie z kapturem mogła drapać skórzasty pysk. Kaptur miała odrzucony na plecy, przez co widoczna była wąska twarz o twardych rysach i krótko przyszyżone włosy. Spojrzała na Perrina takim wzrokiem, jakby go rozpoznała, ale nie przerwała pieszczot. Siodło na plecach stwora przeznaczone było dla dwóch jeźdźców. Wychodziło na to, że przybył posłaniec. Skręcił w wąski, kręty trakt prowadzący przez tyczki, którym droga wiodła do środka. I zmuszała do powolnej podróży.

Prawie wszyscy zdążyli się już udać na spoczynek. Wyczuwał jakieś poruszenie w pobliżu koni, w centrum obozu, gdzie zapewne krzątali się jeszcze cairhieniańscy koniuszowie i woźnice, ale połatane namioty oraz niewielkie szałasysplecione z gałęzi wiecznie zielonych drzew, teraz już mocno zbrązowiałych, były ciche i ciemne. Wśród niskich namiotów Aielów panował całkowity bezruch, wzdłuż granicy z mayeńską częścią obozu wędrowały nieliczne warty. Mayenianie i Ghealdanie niewielkim zaufaniem obdarzali ludzi z Dwóch Rzek, czuwających wśród drzew. Światło paliło się właściwie tylko w wysokim namiocie Perrina, po ścianach w czerwone pasy wędrowały liczne ludzkie cienie. Gdy tylko zsiadł z konia przed wejściem do namiotu, pojawił się Athan Chandin, najpierw dotknął kłykciami czoła, potem spróbował niezgrabnie złożyć pokłon, wreszcie wziął wodze Steppera. Athan był dobrym łucznikiem, w przeciwnym razie w ogóle by się tu nie znalazł, ale maniery miał cokolwiek służalcze. Rozpinając płaszcz, Perrin wszedł do środka. — Jesteś wreszcie — wykrzyknęła radośnie Berelain, Musiała się ubierać w pośpiechu, ponieważ jej długie czarne włosy wyglądały, jakby zaznały tylko przyglądzenia dłońmi i obietnicy grzebienia, niemniej szara suknia do jazdy konnej z wysokim karczkiem była schludna i całkowicie świeża. Służące nie pozwalały jej włożyć niczego, co by nie było świeżo wyprasowane. Uniosła srebrny kubek, który Breane napełniła z dzbana o długiej szyjce, krzywiąc się równocześnie niemiłosiernie. Pokojówka Faile nienawidziła, Berelain z całego serca. Ta wszakże zdawała się zupełnie nie zwracać na to uwagi. — Wybacz, że podejmuję gości w twoim namiocie, ale generał sztandaru chciała się z tobą zobaczyć i postanowiłam dotrzymać jej towarzystwa. Właśnie opowiadała nam o jakichś Białych Płaszczach.

Balwer trzymał się skromnie z boku — człowieczek o ptasiej twarzy, kiedy chciał, potrafił być równie niewidzialny, co jaszczurka na gałęzi — ale w jego woń wkradła się ostra nuta na dźwięk słów: „Białe Płaszcz”.

Ramiona Tylee wypychały materiał kaftana, podobnego do tego, który wcześniej widział u awiatorki; na widok Perrina ukłoniła się sztywno, nie spuszczać oka z Annoury. Najwyraźniej była przekonana, że Aes Sedai może w każdej chwili zmienić się we wściekłego zdziczałego psa. Perrin doszedł do wniosku, że pachniała niepokojem, choć smagłe oblicze niczego nie zdradzało.

— Mój panie, weszłam w posiadanie podwójnych informacji, którymi zdecydowałam się natychmiast z tobą podzielić. Czy zacząłeś już rozpuszczać widłokorzeń w miejskiej wodzie? — Tak — odparł niepewnie, ciskając płaszcz na wieko jednego z okutych mosiądzem kufrów. — Powiedziałem ci, kiedy to się zacznie. Przystąpiłbym do tego już dwa dni wcześniej, gdyby ta głupia kobieta z Almizaru tak się nie ociągała. Co się stało?

— Proszę o wybaczenie — wtrąciła Lini — ale zerwano mnie z łóżka i najchętniej bym już do niego wróciła. Czy komuś będę jeszcze potrzebna dzisiejszej nocy? — Od krucho wyglądającej kobiety z białymi włosami zaplecionymi w swobodny warkocz do snu nie mógł oczekiwać żadnych ukłonów ani grzecznościowych zwrotów. W przeciwieństwie do Berelnin, wyglądała, jakby narzuciła na siebie pierwszą lepszą wierzchnią odzież, co zresztą było u niej dość niezwykle. Jej woń była ostra i aż w niej zgrzytała dezaprobata. Należała do tych, którzy wierzyli w idiotyczną historię, że Perrin spał z Berelain tamtej nocy, gdy Faile została schwytana. Jej wzrok swobodnie wędrował po wnętrzu namiotu, ale jego spojrzenia jakoś udawało jej się unikać.

— Ja napiłbym się jeszcze wina — oznajmił Aram, unosząc pucharek. W kaftanie w czerwone pasy sprawiał wrażenie całkowicie wycieńczonego, wrażenie podkreślała ponura twarz i zapadnięte oczy; próbował wygodnie ułożyć się w jednym ze składanych polowych krzesel, ale przytroczony do pleców miecz uniemożliwiał wygodne ułożenie grzbietu na połączonym oparciu. Breane ruszyła w jego stronę.

— Ma już dość — ostro oznajmiła Lini, a Breane natychmiast się zatrzymała. Lini twardą ręką rządziła służącymi Faile.

Aram mruknął przekleństwo i poderwał się na nogi, ciskając pucharek na kwiecisty dywan na podłodze.

— W każdej chwili mogę iść sobie tam, gdzie nie będzie staruch czepiających się mnie za każdym razem, gdy mam ochotę się napić. — Obrzucił Perrina ponurym spojrzeniem i wyszedł z namiotu. Bez wątpienia kierując się do obozu Masemy. Błagał, aby włączyć go w skład ekspedycji do Malden, ale nie można było zaufać jego trzeźwości.

— Możesz odejść, Lini — powiedziała Berelain. — Breane się nami zajmie. — Lini tylko parsknęła na znak, że zrozumiała, parsknęła zresztą cicho, nieomal czule i poszła do wyjścia, a sztywny karczek sukni ociekał dezaprobata. I wciąż ani razu nie spojrzała na Perrina.

— Proszę o wybaczenie, mój panie — zaciągała Tylee, pieczołowicie dobierając słowa. — Ale swojemu otoczeniu pozwalasz na znacznie więcej... swobody... niż jest to przyjęte w moim kraju.

— Takie mamy zwyczaje, generale sztandaru — rzeki Perrin, podnosząc pucharek Arama. Po co kolejny miałby się pobrudzić? — Nikt spośród tu zgromadzonych nie jest moją własnością. — Jeśli słowa te mogły zabrznieć ostro w jej uszach, trudno. W pewnym sensie zdążył już polubić Tylee, ale od tych seanchańskich zwyczajów koza mogłaby zwymiotować. Wziął dzbanek od Breane, która przez moment jakby nie chciała go wypuścić, jakby wahała się, czy pozwolić mu się napić, i nalał sobie, a potem oddał jej naczynie. Właściwie wyrwała mu je z rąk. — Dobrze, co się stało? Co z tymi Białymi Płaszczami?

— Wysłałam *rakeny* na zwiady przed zmierzchem, a potem po wschodzie słońca. Jeden z awiatorów wrócił szybciej, niż oczekiwałam. Zobaczył siedmiotysięczny oddział Synów Światłości w marszu, niecałe pięćdziesiąt mil od mojego obozu. — Celem marszruty był twój obóz? — Perrin spod zmarszczonych brwi zapatrzył się w powierzchnię wina, nie pil. — Siedem tysięcy to dość dokładny szacunek, jak na możliwości obserwacji w ciemnościach.

— Wychodzi na to, że to dezertery — wtrąciła Annoura. — Przynajmniej tak sądzi generał sztandaru. — Annoura odziana była w szary jedwab i wyglądała, jakby właśnie spędziła godziny na strojeniu się. Sterczący nos nadawał jej wygląd wrony we fryzurze z długich warkoczyków, ozdabianych paciorkami, zresztą na Tylee i generał sztandaru patrzyła niczym na dwa wyjątkowo smaczne kęski padliny. Trzymała w dłoni pucharek z winem, ale chyba nietknięty. — Słyszałam plotki, że Pedron Nialł zginął w trakcie walk z Seanchanami, jednak później dotarło do mnie, że Eamon Valda, który go zastąpił, złożył hołd Imperatorowej Seanchan. — Tylee wymamrotała ledwie słyszalnie „oby żyła wiecznie”; Perrin wątpił, by ktokolwiek prócz niego usłyszał te słowa. Balwer również otworzył usta, choć nie wydobyło się z nich żadne słowo. Najwyraźniej kwestia Białych Płaszczy z jakiegoś powodu nie dawała mu spokoju.

— Wszelako miesiąc temu — ciągnęła dalej Szara siostra — Galad Damodred zabił Valdę i wraz z siedmioma tysiącami Białych Płaszczy opuścił sztandar Seanchan. I choć źle się stało, że w ogóle przystał do Białych Płaszczy, być może ostatecznie wyszło to na dobre. Tak czy siak, wygląda na to, że obowiązuje stały rozkaz, nakazujący natychmiastowe zabicie tych wszystkich ludzi. Właściwie rzecz streściłam, czyż nie, generale sztandaru?

Dłoń Tylee zadrgała, jakby odruchowo chciała wykonać jeden ze znaków odczyniających zło.

— Streszczenie jest zasadniczo wierne — stwierdziła. Zwracając się do Perrina, nie do Annoury. Seanchanka miała wyraźne kłopoty z adresowaniem słów bezpośrednio do Aes Sedai. — Oprócz kawałka, że „ostatecznie wyszło to na dobre”. Krzywoprzysięstwo i dezercja nigdy nie mogą być nazwane dobrymi.

— Rozumiem więc, że nie maszerują przeciwko tobie, w przeciwnym razie byś mi od razu powiedziała. — Perrin opatrzył ostatnie zdanie lekkim znakiem zapytania, choć w istocie nie miał wątpiwości.

— Północ — odrzekła Tylee. — Idą na północ. — Balwer znowu otworzył usta, ale zaraz zamknął je z cichym szcęknięciem zębów.

— Jeżeli chcesz mi udzielić jakiejś rady — zwrócił się do niego Perrin — to proszę bardzo. Ale mnie nie interesuje, ilu Białych Płaszczy opuściło Seanchan. Jedyłą rzeczą, która mnie interesuje, jest Faile. I nie sądzę, żeby generał sztandaru zrezygnowała z szansy wzięcia na smycz trzystu, czterystu *damane* i zdecydowała się ściagać tamtych.

Berelain skrzywiła się. Twarz Annoury pozostawała pogodna, ale zdecydowanie za długo piła dotąd nietknięte wino, Żadnej Aes Sedai powyższy plan się nie podobał. Żadnej z Mądrych również. — Nie zrezygnuję — zdecydowanie oznajmiła Tylee. — Jednak chyba mam ochotę napić się wina. — Breane wzięła głęboki oddech, nim pośpieszyła usłużyć, poza tym w jej woń wkradła się nuta strachu. Zdecydowanie czuła się onieśmielona w obecności wysokiej, smagłej Seanchanki.

— Nie przeczę, że chętnie skorzystałbym z okazji zadania ciosu Białym Płaszczom — zaczął Balwer tym swoim suchym jak pył głosem. — Po prawdzie, sądzę, iż mam dług Wdzięczności wobec Galada Damodreda. — Być może miał pretensje osobiście do Valdy. — W każdym razie moja rada na nic ci się nie przyda. Operacja w Malden weszła w fazę decydującą, a nawet gdyby tak nie było, wątpię, żebyś był zdolny bodaj jeszcze jeden dzień zwlekać z działaniem. Ani bym tego nie doradzał, mój panie. Jeśli pozwolisz mi na śmiałość, to sam też jestem bardzo przywiązany do lady Faile.

— Pozwalam — zapewnił go Perrin. — Generale sztandaru, mówiłaś o podwójnej informacji? Seanchanka wzięta z rąk Breane zaproponowany pucharzek wina i spojrzała na Perrina wzrokiem tak obojętnym, iż jasne było, że unika oczu wszystkich pozostałych w namiocie.

— Moglibyśmy porozmawiać na osobności? — zapytała cicho.

Berelain przeszła po dywanie, stanęła obok Perrina, położyła mu dłoń na ramieniu i uśmiechnęła się do niego.

— Annoura i ja chętnie się usuniemy — powiedziała. Światłości, jak ktoś mógł wierzyć, że między nim a nią coś jest? Była równie piękna, jak zawsze, prawda, jednak zapach przywodzący mu na myśl polującą kotkę dawno już zniknął z jej woni, tak dawno, że ledwie go pamiętał. Teraz pachniała zasadniczo cierpliwością i zdecydowaniem. Zaakceptowała fakt, że kocha Faile i żadnej prócz niej; wydawała się równie jak on zdecydowana ją uwolnić.

— Możesz zostać — odrzekł. — Cokolwiek masz do powiedzenia, generale sztandaru, możesz to powiedzieć w obecności wszystkich tu zgromadzonych.

Tylee wahała się, popatrując na Annourę.

— W kierunku Malden zmierzają dwa duże oddziały Aielów — powiedziała na koniec, niechętnie.

— Jeden od południowego wschodu, drugi od południowego zachodu. *Morat'raken* oceniają, że dotrą tu za trzy dni.

Znienacka cały świat zadrżał przed oczyma Perrina i rozsypał się na kawałki. Zdało mu się, że drży sama jego istota. Breane krzyknęła i upuściła dzban. Świat zafalował znowu a Berelain schwyciła go za ramię. Dłoń Tylee wydawała się skrzepla w tym jej osobliwym geście: kciuk i palec wskazujący zaciśnięte opuszkami tak, że tworzyły kształt półokręgu. Wszystko zafalowało po raz trzeci i Perrin poczuł się, jakby był tylko zabłąkanym pasmem mgły, jakby świat cały spowijała mgła i nadciągał wichur. Berelain zadrżała, otoczył ją ramieniem, próbując dodać ducha. Przylgnęła do niego, trzęsąc się niepowstrzymanie. Namiot wypełniła cisza oraz woń strachu. Słyszał podnoszące się na zewnątrz głosy i w nich również brzmiał strach.

— Co to było? — zapytała na koniec Tylee. — Nie mam pojęcia. — Oblicze Annoury pozostawało spokojne, ale jej głos był niepewny. — Światłości, nie mam zielonego pojęcia.

— Nieważne, co to było — uciał Perrin. — Za trzy dni wszystko dobiegnie końca. Tylko to się liczy. Faile, liczyła się tylko Faile.

Słońce nie osiągnęło jeszcze szczytu swej drogi przez nieboskłon, a Faile już czuła się skrajnie udręczona. Woda na poranną kąpiel Sevanny — obecnie kąpała się dwa razy dziennie — nie była dość gorąca i Faile wraz ze wszystkim pozostałymi odebrała chłostę, choć zadaniem jej i Alliandre było tylko szorowanie pleców tej strasznej kobiety. Od wschodu słońca ponad dwudziestu mieszkańców mokradeł zdecydowało się błagać, by pozwolono im złożyć przysięgę wierności, Troje zasugerowało bunt, wskazując, że w namiotach obecnie jest więcej gai'shain niż Shaido. Ale chyba jej posłuchali, gdy im wskazała, że Aielowie wiedzą jak posługiwać się włócznią, podczas gdy większość mieszkańców mokradeł to rolnicy i rzemieślnicy. Niewielu z nich kiedykolwiek trzymało broń w rękę, z pozostałych niewielu wciąż pamiętało, jak to się robi. Chyba posłuchali, z drugiej jednak strony pierwszy raz ktoś zaproponował coś takiego zaraz po przysięgach. Zazwyczaj zabierało im kilka dni, nim na to wpadli. Napięcie rosło. Sytuacja dojrzewała do rzezi, chyba że uda jej się coś zrobić. A teraz jeszcze to...

— To tylko gra, Faile Bashere — powiedział Rolan, zerkając na nią z góry. Szli właśnie po błotnistej ulicy, wijącej się pośród namiotów Shaido. W jego głosie brzmiało rozbawienie, nieznaczny uśmiech wyginał wargi. Nadzwyczaj przystojny mężczyzna, bez wątpienia.

— Gra w pocałunki, powiedziałaś. — Żeby przyciągnąć jego uwagę, poprawiła długi kupon pasiastego materiału na ręczniki przewieszony przez ramię. — Mam pracę do wykonania i nie mam czasu na zabawy. Zwłaszcza gry w pocałunki.

W tłumie na ulicy niewielu było Aielów, a mimo pory dnia kilku z nich chwiało się w upojeniu, większość stanowili mieszkańcy mokradeł w brudnych szatach *gai'shain* i dzieci pluskające się radośnie w kałużach pozostawionych przez nocną ulewę. Wszędzie przewijały się zabrudzone błotem biele należące do mężczyzn i kobiet niosących kosze, wiadra oraz garnki. Niektórzy naprawdę zajmowali się jakimiś obowiązkami. W obozie było tak wielu *gai'shain*, że pracy nie starczało dla wszystkich. Co oczywiście w niczym nie przeszkadzało rozmaitym Shaido wysyłać leniących się, ich zdaniem, do takiej czy innej pracy — nawet jeśli praca ta była czystym działaniem pozorowanym. Aby uniknąć kopania bezużytecznych dołów czy mycia czystych garnków, wielu *gai'shain* nosiło ze sobą coś, dzięki czemu sprawiali wrażenie, że pracują. Oczywiście nie mogło to nikomu pomóc w uniknięciu realnej pracy, ale pozwalało nie wikłać się w tę bezsensowną. Faile nie musiała się martwić większością Shaido, przynajmniej póki miała w tali i na szyi grube złote łańcuchy, na które tylko Mądre nie zwracały uwagi. Czyściła już dla nich czyste garnki. I bywała karana za nieobecność w czasie, gdy potrzebowała jej Sevanna. Stąd ten materiał na ręczniki.

— Możemy zacząć od gry w pocałunki, jak bawią się w nią dzieci — powiedział. — Choć fanty w niej są czasami żenujące. W grze dorosłych fanty są zabawne. Przegrana może być równie przyjemna jak wygrana.

Nie potrafiła się nie roześmiać. Tamtemu trudno było odmówić uporowi. I wtedy zobaczyła Galinę, biegnącą przez tłum w jej stronę; skraj białej, jedwabnej sukni unosiła ponad glinę, oczy tańczyły dziko. Faile słyszała, że tego ranka kobiecie znów pozwolono założyć ubranie. Oczywiście do wysokiego naszyjnika oraz szerokiego paska ze złota i ognistych łez miała cały czas prawo. Głowę pokrywały włosy ledwie calowej długości z nie do końca jasnych powodów wpięty miała w nie wielki czerwony grzebień. Mało prawdopodobne, by sama się zdecydowała na taką ozdobę. Tylko oblicze, którego wieku Faile nie umiałaby określić, pozwalało jej zobaczyć w tej kobiecie Aes Sedai. Poza tym niczego nie była w związku z nią pewna, prócz tego, że stanowi zagrożenie. Galina dostrzegła ją i stanęła jak wryta, wpijając palce w fałdy spódnicy. Aes Sedai niepewnie przyglądała się Rolanowi. — Muszę się nad tym zastanowić, Rolan. — Nie miała zamiaru odpędzać go, póki nie upewni się odnośnie do zamiarów Galiny. — Potrzebuję czasu, żeby pomyśleć.

— Kobiety zawsze potrzebują czasu, żeby pomyśleć. Pomyśl, więc, jak zapomnieć o kłopotach w beztrosce nieszkodliwej zabawy.

Zanim odszedł, musnął delikatnie palcem jej policzek. Zadrżała. Dotknięcie, Aiela na oczach wszystkich było czymś więcej niż pocałunkiem. A z pewnością sama jak pocałunek to odczuła. Nieszkodliwa zabawa? Z jakiegoś powodu wątpiła, by jakakolwiek zabawa obejmująca całowanie Rolana mogła się skończyć tylko na pocałunkach. Na szczęście nie będzie musiała się przekonać — i ostatecznie ukrywać czegoś przed Perrinem, — jeśli słowa Galiny okażą się prawdziwe. Jeśli.

Gdy tylko Rolan odszedł, Aes Sedai ruszyła w jej stronę. — Gdzie to jest? — zaczęła się dopytywać Galina, chwytając ją za ramię. — Powiedz! Wiem, że to masz. Musisz mieć! — W jej głosie brzmiały tonyomalże błagalne. Traktowanie, jakiego zaznała od Theravy, zupełnie zniszczyło słynną pogodę ducha Aes Sedai.

Faile wyrwała się z jej uścisku.

— Najpierw potrzebuję powtórnego zapewnienia, że gdy uciekniesz, zabierzesz ze sobą mnie i moich przyjaciół. Powiedz mi to wprost. I powiedz, kiedy uciekasz.

— Nie waż się do mnie tak mówić — syknęła Galina. Faile najpierw zobaczyła czarne plamy przed oczyma, a dopiero za moment zrozumiała, że została uderzona. Ku własnemu zaskoczeniu oddała kobiecie z całej siły, aż tamta się zachwiała. Powstrzymała odruchowy gest ręki zmierzającej do piekącego policzka, Galina jednak otwarcie pocierała twarz, a jej oczy rozszerzone były ze zdumienia. Faile przygotowała się na kolejny cios, zadany Mocą czy czymś jeszcze gorszym, ale nic się nie stało. Kilku z przechodzących obok *gai'shain* gapiło się na nie, lecz nikt nie przystanął, nikt nie zwolnił kroku. Wszystko, co w oczach Shaido mogło wyglądać na Zgromadzenie *gai'shain*, z pewnością zwróciłoby ich uwagę i pociągnęło za sobą surowe kary. — Powiedz mi — powtórzyła.

— Zabiorę ze sobą ciebie i twoich przyjaciół — warknęła Galina, opuszczając gwałtownie rękę. — Wynoszę się stąd jutro. Jeśli to masz. Jeśli nie, w ciągu godziny Sevanna dowie się, kim jesteś! — Cóż, to z pewnością było powiedziane wprost. — To jest ukryte w mieście. Mogę cię zaraz zaprowadzić.

Ale kiedy się odwróciła, Galina znowu złapała ją za rękę, Oczy Aes Sedai były rozbiegane, zniżyła głos, jakby nagle zaczęła się bać, iż ktoś je podsłucha. W jej głosie brzmiało przerażenie.

— Nie. Nie będę ryzykowała, że ktoś zobaczy. Dasz mi to jutro rano. W mieście. Tam się spotkamy. Na południowym krańcu miasta. Oznaczę budynek. Czerwoną chustką. Faile zamrugła. Południowa dzielnica Malden była wypaloną ruiną.

— Dlaczego tam? — zapytała z niedowierzaniem.

— Ponieważ tam nikt nie chodzi, głupia! Ponieważ nikt nas tam nie zobaczy! — Oczy Galiny wciąż biegały na wszystkie strony. — Jutro rano, wczesnym rankiem. Jeżeli mnie zawiedziesz, pożałujesz! — Zebrała spódnice jedwabnej sukni i roztopiła się w tłumie.

Faile spod zmarszczonych brwi patrzyła w ślad za nią. Powinna czuć uniesienie, ale nic nie czuła. Galina wydawała się, jak dzikie zwierzę, całkowicie nieprzewidywalna. Z drugiej strony, Aes Sedai nie mogły kłamać. Nie było chyba sposobu, żeby wykręciła się od obietnicy. A jeżeli nawet taki sposób znajdzie, pozostaną wciąż własne plany ucieczki, choć ich realizacja jakoś nie postępowała naprzód, a nawet stawała się. znacznie bardziej niebezpieczna, niżli to z początku wyglądało. Zostawał, więc Rolan. I jego gry w pocałunki. Albo Galina. Która przecież mówi prawdę... Nie może być inaczej.

KOZDZIAŁ 10

ZWYKŁE DREWNIANE PUDEŁKO

Południowe słońce nad Altarą przygrzewało mocno i tylko czasami sporadyczne porywy wiatru szarpały płaszcz Randa. Od dwóch godzin czekali już na tym wzgórzu. Pełznące od północy skłębione

zwały czarnych chmur sklepienie nad niebieskoszarą mgiełką zapowiadały rychły deszcz i ochłodzenie. Tam skąd nadciągały chmury, znajdował się Andor, za oddaloną o ledwie kilka mil granicą wznosiły się wzgórza porośnięte dębami, sosnami, skórzanymi liśćmi i tulipanowcami. Przez tę granicę od pokoleń w obu kierunkach przepawali się niezliczeni złodzieje bydła. Może Elayne w Caemlyn przygląda się właśnie, jak pada? Od Caemlyn dzieliło go dobrych sto pięćdziesiąt lig w kierunku wschodnim, zbyt daleko, by Elayne była czymś więcej niż cieniem obecności w głębi umysłu. Świadomość Aviendhy, która znajdowała się w Arad Doman, była jeszcze bledsza. Nie wziął pod uwagę możliwości, że Mądre pozbawią go jej towarzystwa. Z drugiej strony, wśród dziesiątek tysięcy Aielów będzie bezpieczna, równie bezpieczna, jak Elayne za murami Caemlyn. Tai'daishar uderzył kopytem w ziemię i zarzucił łbem, niecierpliwził się. Rand poklepał wielkiego karosza po karku. Ogier dotarłby do granicy w niecałą godzinę, ale dzisiaj droga powiedzie ich na zachód. Niedaleko, już wkrótce.

Zależało mu, by wyrzucić odpowiednie wrażenie podczas dzisiejszego spotkania, więc pieczołowicie dobrał swój ubiór. Niemniej Koronę Mieczy założył nie tylko w tym celu. Połowa niewielkich mieczy ukrytych wśród szerokiego wieńca laurowego skierowana była ostrzami w dół, co sprawiało, że korona była niewygodna, stanowiąc równocześnie nieustanne napomnienie ciężaru, liczonego tak w złocie, jak odpowiedzialności. Właśnie końcówka jednego z liści laurowych uwierała go w skroń, przywodząc na myśl wspomnienia o bitwie z Seanchanami, na której polu korona została wykonana. Bitwie przegranej w sytuacji, gdy nie mógł sobie na przegraną pozwolić. Rękawy, ramiona i wysoki kołnierz ciemnozielonego kaftana Randa pokrywały złote hafty, wysadzana złotem klamra w kształcie smoka spinała pas od miecza, w dłoni dzierżył Berło Smoka: długie na dwie stopy ostrze włóczni pod wypolerowanym stalowym grotem przewiązane zielono-białym kutasem. Jeśli Córka Dziewięciu Księżyców rozpozna w nim ułamek seanchańskiej włóczni, z pewnością dostrzeże też smoki które Panny wyrzeźbiły wokół resztek drzewca. Dziś nie założył rękawic. Złote grzywy smoczycich łbów na wierzchach jego dłoni lśniły metalicznie w promieniach słońca. Jakkolwiek wysoką zajmowała pozycję wśród Seanchan, powinna wiedzieć, z kim ma do czynienia.

„Głupiec” — dziki śmiech Lewsa Therina poniósł się echem w jego głowie. „Głupiec, który maszeruje prosto w pułapkę”.

Rand zignorował słowa szaleńca. To wprawdzie mogła być pułapka, ale jeśli nawet, gotów był w nią wskoczyć. Gra była warta świeczki. Potrzebował tego rozejmu. Mógł zmiażdżyć Seanchan, ale jakim kosztem krwi i czasu? Kosztem, na który być może wcale nie było go stać. Znowu zerknął na północne niebo nad Andorem było jasne, wyjąwszy kilka wysokich białych chmur niczym strzępki wełny. Zbliżała się Ostatnia Bitwa. Musiał zaryzykować.

Min siedziała w siodle stojącej nieopodal klaczy i przerzucała wodze z ręki do ręki; poprzez więź zobowiązań Rand czuł, że jest z siebie zadowolona, i to go irytowało. Wykorzystali jego chwilę słabości, by wymusić na nim obietnicę, a potem nie chciała go z mej zwolnić. Oczywiście mógł ją złamać. Powinien ją złamać. Zerknęła nań, jakby usłyszała jego myśli. Jej oblicze otoczone sięgającymi do ramion ciemnymi lokami było spokojne, niemniej w więzi nagle zadrżała podejrzliwość i odrobina gniewu. Wyraźnie próbowała stłumić oba uczucia, a przecież dłonie powędrowały do rękawów haftowanego czerwonego kaftana, szukając noży. Oczywiście, nie potrafił sobie wyobrazić, że rzuci się na niego z nożem. Oczywiście, to nie możliwe.

„Miłość kobiety bywa gwałtowna” — mruknął Lews Therin. „One czasami potrafią skrzywdzić mężczyznę bardziej, niż im się wydaje, bardziej, niż by chciały. Czasami po wszystkim nawet jest im przykro”. Tym razem mówił całkiem do rzeczy, lecz Rand i tak go nie słuchał.

— Powinieneś powiększyć obszar, w jakim działają zwiadowcy, Randzie al'Thor — oznajmiła Nandera. I ona, i dwa tuziny Panien znajdujących się na szczycie rzadko porośniętego wzgórza miały zakryte twarze. Niektóre nawet dobiły włóczni lub nasadziły strzały na cięciwy. Pozostałe Panny czekały w lesie z dala od wzgórza, czuwając na wypadek jakiejś przykrej niespodzianki. — Teren jest czysty aż do zabudowań dworu, ale mimo to wszystko mi pachnie zasadzką. — Ongiś słowa „dwór” i „zabudowania” z trudem przechodziły jej przez usta. Teraz miała już za sobą długi czas spędzony na mokradłach.

— Nandera ma rację — ponuro mruknęła Alivia, podprowadzając bliżej swego dereszowatego wałacha. Złotowłosa wciąż nie pogodziła się z faktem, że nie będzie mogła pojechać z Randem, ale sposób, w jaki w Łzie zareagowała na rodzimy akcent, czynił rzecz wykluczoną. Przyznała, że była wstrząśnięta, lecz tłumaczyła równocześnie, iż to nie tyle był strach, co zaskoczenie. Wolał nie ryzykować.

— Nie możesz ufać nikomu ze Szlachetnej Krwi, a zwłaszcza córce Imperatorowej, oby... — Zamknęła gwałtownie usta i zaraz całkiem niepotrzebnie wygładziła ciemnoniebieską suknię, krzywiąc się. Ufał jej, gotów był zawierzyć życie, zresztą w całkiem dosłownym sensie jego życie zależało od niej, ale za bardzo bał się jej pogrzebanych głęboko w duszy odruchów, żeby ryzykować jej spotkanie twarzą w twarz z kobietą, z którą miał się zobaczyć. W więzi pulsował już teraz nieskrywany gniew. Min nie lubiła, gdy Alivia przebywała zbyt blisko niego.

— Mnie to też pachnie pułapką — dodał Bashere, luzując w pochwie swoje wężowo wygięte ostrze. Odziany był prosto, po wojskowemu, w lśniący hełm i napierśnik, na tle stojących w szyku na wzgórzu osiemdziesięciu jeden saldaeańskich lansjerów wyróżniał się tym, że kaftan miał z szarego jedwabiu, Sumiaste wąsiska wyglądały, jakby jeżyły się za kratą przyłbicy. — Dałbym dziesięć tysięcy koron, żeby wiedzieć, ilu ona ma tam żołnierzy. I jak wiele damane. Córka Dziewięciu Księżyców to dziedziczka ich tronu, człowieka. — Przeżył prawdziwy wstrząs, gdy usłyszał o tym od Alivii. Wcześniej w Ebou Dar nikt go o tym nie poinformował, jakby sprawa była bez znaczenia. — Mogą sobie gadać, że ich władza kończy się daleko na południe od tego miejsca, ale założę się, że niewielka armia zawsze strzeże jej bezpieczeństwa.

— Nawet jeżeli nasi zwiadowcy znajdą tę armię — spokojnie zapytał Rand — skąd możemy mieć pewność, że nie znaleźliśmy jej dlatego, iż tego właśnie chcieli?

Nandera parsknęła z przyganą.

— Najlepiej nie zakładać, że tylko my mamy oczy — wyjaśnił jej. — Jeżeli dojdą do wniosku, że zamierzamy ich zaatakować albo porwać tę kobietę, wszystko stracone. — Może właśnie, dlatego dbali o tak ścisłą tajemnicę. Dziedziczka Imperium byłaby znacznie bardziej kuszącym celem porwania niż zwykła arystokratka. — Po prostu kontynuujcie obserwację, żeby nas nie wzięli z zaskoczenia. Jeżeli wszystko pójdzie źle, Bashere, wiesz, co robić. Poza tym, ona może mieć armię, ale ja. też mam i to nie taką małą. — Bashere skinął głową.

Prócz Saldaean i Panien na szczycie wzgórza znajdowali się Asha'mani, Aes Sedai, ich Strażnicy, wszystkich razem dobrze ponad ćwierć setki, a siłą bojową dorównywali małej armii. Stosunkowo łatwo przychodziło im godzić się ze wzajemną obecnością, widoczne oznaki tarć były doprawdy nieliczne. Cóż, Toveine, niska miedzianoskóra Czerwona, patrzyła wilkiem na Logaina, natomiast Gabrelle, smagłolica Brązowa o ciemnozielonych oczach rozmawiała z nim całkiem przyjaźnie, może nawet trochę go kokietowała. I to właśnie mogło być powodem ponurych spojrzeń Toveine, choć zapewne nie chodziło o zazdrość, lecz dezaprobatę. Adrielle i Kurin stali objęci w pasie ramionami, mimo iż ona była znacznie wyższą od Asha'mana Domani i piękną podczas gdy on był zupełnie przeciętny i na dodatek z siwizną na skroniach. Nie wspominając już o fackie, że bez jej zgody

nałożył na Szarą siostrę więź zobowiązań. Beldeine, która zdobyła szal tak niedawno, iż wciąż wyglądała jak zwyczajna młoda Saldaeanka z nakrapianymi, piwnymi oczami, wciąż sięgała ręką, żeby dotknąć Manfora, który za każdym razem się uśmiechał. Fakt, że jemu właśnie nałożyła więź zobowiązań, był dla wszystkich zaskoczeniem, ale najwyraźniej słomianowłosa mężczyzna tego właśnie chciał. W każdym razie żadne z nich nie zapytało Randa.

Najdziwniejszą ze wszystkich parą byli Jenare i Kajima — ona blada i silna, teraz odziana w szarą suknię do konnej jazdy haftowaną na spódnicach czerwienią, on typ urzędnika w wieku średnim, z włosami zaplecionymi i ozdobionymi jak Narishma: dwa warkocze z maleńkimi srebrnymi dzwoneczkami na końcach. Właśnie zaśmiała się z czegoś, co Kajima powiedział, i odmruknęła coś, na co z kolei on zareagował śmiechem. Czerwona siostra żartująca z przenoszącym mężczyzną! Może jednak Taim spowodował zmianę na lepsze, niezależnie, jakie mu naprawdę przyświecały intencje. A może Rand al'Thor żył w świecie spełnionych marzeń. Aes Sedai słynęły w sztuce sprawiania fałszywego wrażenia. Czy możliwe wszak, by Czerwone posunęły się w niej aż tak daleko?

Lecz nastrój zgody dziś nie na wszystkich spłynął. Ayako patrzyła na Randa oczyma niemalże czarnymi; pamiętając jednak, co dzieje się ze Strażnikiem po śmierci jego Aes Sedai, ciemnoskóra Biała miała wszelkie powody, by zamartwiać się o Sandomere. Więź zobowiązań Asha'manów różniła się pod pewnymi względami od więzi nakładanej Strażnikom, pod innymi natomiast była taka sama i nikt nie znał skutków, jakie dla związanej kobiety może oznaczać śmierć Asha'mana, który więź jej nałożył. Elza też marszczyła brwi, wspierając jedną dłoń na ramieniu swojego Strażnika, Fearila, w taki sposób, jak to zazwyczaj robi się z psem trzymanym za obrozę i szcztym do ataku. Oczywiście nie mogło chodzić o samego Randa, ten bał się jednak o każdego, kto mógłby mu zagrozić. Wydał już jej w tej sprawie odpowiednie polecenia, których gwarancją powinna być przysięga wierności — niemniej Aes Sedai potrafiły we wszystkich słowach znaleźć luki.

Merise zdecydowanym tonem rozmawiała z Narishmą, podczas gdy dwaj jej pozostali Strażnicy siedzieli na koniach nieco z boku. Nie mogło być pomyłki — gesty towarzyszące przemowie tej kobiety o surowej twarzy, sposób, w jaki, mówiąc, nachylała się ku niemu — obsztorcowywała go za coś. Zważywszy na okoliczności, Randowi nie mogło się to podobać, ale niewiele mógł zrobić. Merise mu nie przysięgała i z pewnością zignoruje jego słowa, w końcu w grę wchodził jeden z jej Strażników. Zresztą w dowolnej innej kwestii zapewne zareagowałyby równie niezależnie.

Cadsuane też wpatrywała się w Randa. Ona i Nynaeve założyły pełne komplety swej biżuterii z *ter'angreali*. Nynaeve całkiem udatnie naśladowała niewzruszoną powagę Aes Sedai, sporo się w tym chyba wprawiała od czasu, gdy odesłała Lana do tego miejsca, do którego odesłała. Oczywiście siedziała na swej pulchnej brązowej klaczy prawie po drugiej stronie wzgórza względem miejsca, gdzie Cadsuane dosiadała swej gniadej. Nynaeve nigdy by się do tego nie przyznała, ale Cadsuane onieśmiała ją. Logain wjechał w puste miejsce między Randem a Bashere, jego kary wałach przestępował z nogi na nogę. Maść konia była niemal idealnie dobrana do odcienia jego płaszcza i kaftana.

— Słońce prawie już nad głowami — rzekł. — Czas ruszać na dół? — W jego słowach dźwięczała ledwie słyszalna, pytająca nuta. Ten człowiek robił się chory, gdy musiał słuchać rozkazów. Teraz nawet nie zaczekał na odpowiedź. — Sandomere! — krzyknął. — Narishma!

Merise przytrzymała Narishmę przez chwilę za rękaw, coś jeszcze powiedziała i dopiero potem pozwoliła pojechać; na ten widok Logain spochmurniał. Spalony słońcem Narishma, z ciemnymi warkoczami i dzwoneczkami na ich końcach, wydawał się o wiele lat starszy od Randa, choć w istocie tych lat było dosłownie kilka. Na swym bułanku trzymał się prosto, jakby kij połknął — teraz skinął Logainowi głową jak równemu sobie, przez co tamten tylko bardziej się nachmurzył.

Sandomere zamienił jeszcze kilka cichych słów z Ayako, zanim wskoczył na siodło tarantowatego, ona na koniec musnęła dłonią jego udo. On był pomarszczony, wyraźnie łysiał, przetykaną siwizną brodę miał wystrzyżoną w szpic i natartą oliwą — w kontraście z nim twarz kobiety sprawiała wrażenie po prostu młodej, nie zaś pozbawionej śladów upływu lat. Przy kołnierzu jego czarnego kaftana znajdował się już nie tylko srebrny miecz, ale i czerwono-złoty smok. Awans objął wszystkich Asha'manów, znajdujących się obecnie na wzgórzu — nawet Manfora. Stosunkowo niedawno otrzymał rangę Oddanego, mimo iż był jednym z pierwszych, którzy przybyli do Czarnej Wieży, jeszcze w czasach, zanim w ogóle zaistniała Czarna Wieża. Większość jego towarzyszy z tamtych czasów już nie żyła. Nawet Logain nie negował słuszości awansu.

Logain miał dość rozumu, żeby nie rozkazywać Cadsuane czy Nynaeve, co zresztą i tak nie byłoby konieczne, ponieważ same podjechały do Randa, zajmując miejsca po obu jego stronach — wcześniej każda zmierzyła go przelotnym spojrzeniem, a twarze obu pozostawały całkowicie nieodgadnione. Na moment ich spojrzenia spotkały się i Nynaeve pierwsza odwróciła wzrok. Cadsuane parsknęła cicho. Po chwili za ich przykładem poszła Min. Jego jeszcze jeden „członek honorowy” świty. Mężczyzna nigdy nie powinien składać obietnic w łóżku. Już otworzył usta, ale ona tylko uniosła brew i spojrzała mu głęboko w oczy. W więzi wyczuł coś... niebezpiecznego.

— Kiedy dotrzemy na miejsce, masz się trzymać z tyłu, za mną — powiedział, ale nie były to słowa, które cisnęły mu się na usta.

Poczucie niepewności osłabło, zmieniając się w coś, w czym nauczył się rozpoznawać miłość. A w więzi z jakiegoś powodu zatańczyło ironiczne rozbawienie.

— Będę, jeśli taka naprawdę twoja wola, wełnianogłowy pasterzu — skwitowała ceremonialnie, jakby nie wiedziała, że w więzi odczyta jej prawdziwe uczucia. Niezależnie jak trudno czasami było je rozszyfrować.

— Jeśli mamy narobić głupot, nie ma na co czekać, ruszamy — oznajmiła zdecydowanie Cadsuane i pchnęła ciemnogniadego w dół zbocza.

W niewielkiej odległości od wzgórza obok krętej drogi przez las zaczęły się pojawiać farmy; droga w normalnych warunkach była porządnie ubita przez panujący na niej ruch, ale ostatni deszcz pozostawił cienką warstwę rozmokłej gliny. Z kominów kamiennych domów krytych strzechą unosił się dym gotowanych południowych posiłków. Gdzieś tam kobiety i dziewczęta siedziały w słońcu przy kołowrotkach. Mężczyźni w zgrzebnym kaftanach spacerowali po otoczonych kamiennymi murkami polach, oglądając wschodzące plony, chłopcy wyrwali chwasty. Na łąkach pasły się brązowo-białe krowy i czarnoogoniaste owce, zazwyczaj strzeżone przez jednego czy dwóch chłopaków z procą lub łukiem. W okolicznych lasach żyły wilki, pantery i inne drapieżniki, które zdążyły zasmakować wołowiny i baraniny. Niektórzy wieśniacy odrywali tłę od swych zajęć i osłaniając oczy, przyglądali się przejeżdżnym, bez wątpienia dumając, kim są ci znakomicie odziani ludzie, którzy wybrali się z wizytą do lady Deirdru. Ponieważ w grę oczywiście nie mógł wchodzić żaden inny cel ich wyprawy niż posiadłość dworska — poza nim w najbliższej okolicy nic właściwie nie było. Żaden z chłopów jednak nie wydawał się zdenerwowany czy przestraszony, spokojnie zajmowali się swoją pracą. Plotki o zbliżającej się lub stacjonującej w pobliżu armii z pewnością zakłóciłyby panujący tu spokój, a plotki takie szerzyły się niczym pożar lasu. Dziwne. Seanchanie nie potrafili Podróżować i tym samym wyprzedzać plotek o marszu własnych wojsk. Bardzo dziwne.

Poczuł, jak Logain i jeszcze dwaj chwytają *saidina*, jak wypełnia ich Moc. Logain nabrał niemalże tyle, ile mógł. Narishma i Sandomere nieco mniej. Obaj należeli do najsilniejszych pośród Asha'manów, obaj byli pod Studniami Dumai. Logain dowiódł swych umiejętności w innych

miejskach, w innych bitwach. Jeżeli czekała na nich pułapka, z pewnością będą gotowi, o czym druga strona przekona się na własnej skórze. Rand nawet nie sięgnął po Źródło. Czuł w głowie przyczajoną obecność Lewsa Therina. Nie była to właściwa chwila, by podsuwać szaleńcowi okazję przechwycenia Mocy.

— Cadsuane, Nynaeve, dobrze byłoby, gdybyście też objęły Źródło — powiedział. — Zbliżamy się.

— Już to zrobiłam, kiedy tylko zjechaliśmy ze wzgórza — poinformowała Nynaeve. Cadsuane parsknęła i obrzuciła go spojrzeniem, z którego wynikało, że jest idiotą.

Rund opanował grymas, zanim ten zdążył wykrzywić mu twarz. Nie poczuł na skórze żadnego dreszczu, żadnej gęsiej skórki. Zamaskowały swoje zdolności, a wraz z tym uniemożliwiły mu wycucie, kiedy przenoszą Moc. W kwestii przenoszenia mężczyźni dysponowali kilkoma przewagami nad kobietami, ale w takiej sytuacji tracili je, podczas gdy kobiety zachowywały swoje. Kilku Asha'manów próbowało wykombinować, jak skopiować pomysł Nacelle, to znaczy znaleźć splot umożliwiający wykrywanie splotów kobiet, ale jak dotąd bez sukcesów. Cóż, ktoś inny będzie się tym musiał zająć. On miał na głowie tyle spraw, że nie mógł zajmować się kolejną.

Farmy ciągnęły się bez końca, niektóre samotne pośrodku polany, inne skupione po trzy, po cztery, po pięć. Gdyby dalej pojechali tą drogą, po kilku milach dotarliby do wioski Królewska Przepawa, gdzie drewniany most spinał brzegi wąskiej rzeki Reshalle, tymczasem boczna odnoga zaprowadziła ich na wielką polanę, na której stały słupy bramy, tyle że bez bramy i bez płotu. Polanę dzieliło od dworu lady Deirdru sto kroków lub trochę więcej błotnistej glinianej drogi. Dwór był krytą strzechą jednopiętrową budowlą z kamienia, która od chłopskiej chaty różniła się tylko wspomnianymi słupkami przy nieistniejącej bramie posiadłości i wysokimi, podwójnymi drzwiami frontowymi. Stajnie i zabudowania cechowała ta sama praktyczna architektura: były surowe i pozbawione ozdób. W zasięgu wzroku nie było nikogo; ani stajennych, ani służby udającej się do kurnika po jaja, ani pracowników na polach wzdłuż drogi. Z wysokich kominów nie unosił się dym, Faktycznie zalatywało pułapką. Ale jednak okolica była spokojna, chłopci nieporuszeni. Istniał tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Rand przejechał na Tai'daisharze obok słupów bramy, pozostali poszli w jego ślady. Min niepotrzebne były żadne ostrzeżenia. Jej siwek zajął miejsce między Tai'daisharem i kłaczą Nynaeve, a ona uśmiechnęła się szeroko do Randa. W więzi czuł nerwowość, ale uśmiech był jak najbardziej szczery!

Nie pokonali jeszcze połowy drogi do dworu, kiedy drzwi budynku otworzyły się i wyszły z nich dwie kobiety — jedna w ciemnych szarościach, druga w błękitach z czerwonymi wyłogami na piersiach i sukniach sięgających kostek. Słońce lśniło na łączącej je srebrnej smyczy. Pojawiła się następna para kobiet, po niej kolejna, aż po obu stronach drzwi stało po sześć kobiet. Dopiero wtedy, a Rand zdołał pokonać tymczasem trzy czwarte drogi, zobaczył w drzwiach kolejną kobietę — była bardzo smągła i bardzo drobna, odziana w plisowaną białą suknię, głowę zakrywała muślinowa chustka, spływająca również na twarz. Córka Dziewięciu Księżyców. Bashere opisał mu ją tak, jak jemu ją opisano, aż do szczegółu, jakim była ogolona głowa. Poczuł, że rozluźniają się napięte ramiona, wcześniej nawet sobie z tego nie zdawał sprawy. Jej obecność na miejscu obalała podejrzenie pułapki. Seanchanie nie kładliby losu dziedziczki ich tronu na szalę tak ryzykowną. Ściągnął Wodze i zsiadł z siodła.

— Jedna z nich przenosi — powiedziała Nynaeve dość głośno, żeby usłyszał i też zeskoczyła z siodła. — Nie widzę, co to jest, ponieważ zamaskowała swoją zdolność i odwróciła sploty... zastanawiam się, skąd Seanchanie się tego nauczyli!... ale przenosi. Tylko jedna, Mocy jest za mało,

żeby mogło chodzić o więcej. — Jej *ter'angreal* nie potrafił określić, czy przenoszony jest *saidin* czy *saidar*, ale w grę przecież nie mógł wchodzić mężczyzna.

„Mówiłem ci, że to pułapka” — jęknął Lews Therin.

„Mówiłem ci!”.

Rand udał, że sprawdza popręg siodła.

— Możesz stwierdzić, która to? — zapytał cicho. Wciąż nie sięgnął po *saidina*. Nie sposób było przewidzieć, co w takiej sytuacji zrobi Lews Therin, jeśli znowu uda mu się przejąć kontrolę. Logain też coś grzebał przy popręgu, a Narishma przyglądał się, jak Sandomere ogląda kopyta tarantowatego wierzchowca. Słyszeli. Drobną kobietą czekała w drzwiach dworu, Wciąż nieporuszona, ale z pewnością niecierpliwa i zapewne z lekka obrażona zainteresowaniem, jakie *znenacka* poświęcili koniom.

— Nie — ponuro odparła Cadsuane. — Ale mogę w tej sprawie coś zrobić, kiedy podejdziemy bliżej. — Złote ozdoby we włosach zakołysały się, gdy odrzuciła połę płaszcza takim gestem, jakby dobywała miecza.

— Trzymaj się z tyłu — poinstruował Min, a ona, ku jego uldze, skinęła głową. Jej czoło znaczył drobny mars, a więź niosła uczucie niepokoju. Ale strachu w niej nie było. Wiedziała, że ją obroni.

Zostawili konie luzem, kierując się w stronę *sul'dam* i *damane*. On szedł przodem, Nynaeve i Cadsuane za nim, po obu stronach. Logain z dłonią wspartą na rękojeści miecza wędrował nieco z boku za Cadsuane, Narishma i Sandomere za Nynaeve. Drobną kobietą powoli ruszyła w ich stronę, unosząc brzeg plisowanej sukni, aby jej nie ubłocić.

Kiedy znajdowała się w odległości jakichś dziesięciu kroków, *znenacka* jej postać... zamigotała. Przez chwilę wydawała się wyższa niż większość mężczyzn, odziana w jednolitą czerń, na obliczu odmalował się wyraz zaskoczenia i choć wciąż miała na sobie woalkę, wyjrzały spod niej krótko przycięte, czarne loki. W następnej chwili drobna kobieta powróciła, choć zgubiła krok, pozwalając opaść białej sukni, lecz znów w jednym mgnieniu mieli przed sobą wysoką brunetkę której zawoalowane oblicze wykrzywiała furia. Rozpoznał twarz, choć kobiety nigdy przedtem nie spotkał. Spotkał ją natomiast Lews Therin i to wystarczyło.

— Semirhage — powiedział wstrząśnięty, zanim zdołał się powstrzymać, a potem wszystko zaczęło się dziać na pozór jednocześnie.

Sięgnął po Źródło i poczuł, jak Lews Therin robi to samo, na moment obaj zwarli się w wewnętrznej walce, wzajemnie sobie przeszkadzając. Semirhage wykonała drobny gest dłonią i z jej palców wyleciała w jego stronę niewielka kula ognia. Chyba krzyknęła też coś, może rozkaz. Nie mógł się uchylić. Za nim stała Min. Szaleńczo próbując pochwycić *saidina*, równocześnie rozpaczliwie zasłonił się dłonią trzymającą Berło Smoka. Świat eksplodował ogniem.

Zdał sobie sprawę, że leży z policzkiem wciśniętym w wilgotną ziemię. Czarne plamki latały mu przed oczyma, wszystko wydawało się lekko rozmyte, jakby oglądane przez warstwę Wody. Gdzie był? Co się stało? Głowę miał jakby wypchaną wełną. Coś kłuło go pod żebrami. Rękojeść miecza. Nad nią stare rany odzywały się węzłem bólu. Po chwili zrozumiał, że wpatruje się w Berło Smoka, a raczej w to, co z niego zostało. Czyli grot włóczni i kilka cali poczerniałego drzewca, leżące dwa kroki od jego oczu. Drobne, żwawe płomyki pożerały resztki długiego kutasa. Obok znajdowała się Korona Mieczy.

Nagle pojął, że czuje przenoszonego *saidina*. Na całym ciele mimał gęsią skórę — a więc i *saidar* też wchodził w grę Budynek dworu. Semirhage! Spróbował się podnieść, załamały się pod nim ręce, z gardła wydobył ochrypy szloch. Powoli wyciągnął spod siebie lewą rękę, która w miejscu dłoni była jednym bólem. Czy też może tam, gdzie powinna być dłoń, gdzie była teraz

poskręcana, czarna masa. Kikut sterczący z mankietu wciąż jeszcze dymił. Niemniej wokół niego wciąż przenoszono Moc. Jego ludzie walczyli o życie. Może ginęli. Mm! Znow spróbował się podnieść i znów upadł.

Jakby wezwana myślą, Min pojawiła się nad nim. Domyślił się że próbuje go osłonić swoim ciałem. Więż pełna była współczucia i bólu. Ale nie był to ból cielesny. Wiedziałby gdyby odniosła bodaj najlżejszą ranę.

— Nie ruszaj się — powiedziała. — Jesteś... jesteś ranny.

— Wiem — odrzekł ochryple. Znowu sięgnął po *saidina* i o dziwo, tym razem Lews Therin nie interweniował. Moc Wypełniła go, dając mu siłę, dzięki której mógł powstać, podpierając się jedną dłonią i przygotowując kilka paskudnych splotów naraz. Nie dbał o ubłocony kaftan. Min schwyciła go za zdrowe ramię, jakby próbując podtrzymać. Ale walka dobiegła już końca.

Semirhage stała sztywna jak słup, ramiona miała przyciśnięte do boków, spódnice lepiły się do nóg — bez wątplenia skrępowana była strumieniami Powietrza. Z jej ramienia sterczała rękojeść jednego z noży Min, zapewne została też oddzielona tarczą od Źródła, ponieważ na smągłej, pięknej twarzy zastygł grymas pogardy. Była już kiedyś więźniem, raz, na krótko, podczas Wojny z Cieniem. Uciekła z miejsca odosobnienia, nastraszywszy swych strażników do tego stopnia, że sami przeszmyglowali ją na wolność.

Inni odnieśli poważniejsze obrażenia. Niska, smągła *sul'dam* i wysoka, jasnowłosa *damane* leżały bezwładnie na ziemi wciąż spięte *a'dam*, ich szkliste oczy patrzyły nieruchomo w słońce, dwie inne klęczały przytulone do siebie, krew ściekała po ich twarzach, przesiąkając przez włosy. Kolejne pary stały równie nieruchomo, co Semirhage, potrafił dostrzec tarcze oddzielające trzy *damane* od Źródła. Wyglądały na zupełnie ogłuszone. Jedna z *sul'dam*, szczupła, ciemnowłosa, młoda kobieta płakała cicho, Narishma miał zakrwawioną twarz, a jego kaftan był osmalony, Sandomere też nie wyglądał lepiej, poza tym przez lewy rękaw kaftana sterczała mu kość — biel pomazana czerwienią — póki Nynaeve zdecydowanie nie wyprostowała mu ramienia i nie nastawiła kości. On, krzywiąc się z bólu, zajęczał gardłowo. Ona złożyła dłonie wokół złamania i nie minęło parę chwil, a już mógł zginać rękę, swobodnie ruszać palcami i wymruczeć podziękowania. Logain z pozoru nie ucierpiał, podobnie jak Nynaeve i Cadsuane, która teraz mierzyła Semirhage takim wzrokiem jakim Brązowa siostra mogła by się wpatrywać w okaz nikomu nieznanego, egzotycznego zwierzęcia.

Nagle wokół dworu zaczęły się w powietrzu otwierać bramy, z których wysypywali się Asha'mani, Aes Sedai, Strażnicy zamaskowane Panny, wreszcie Bashere na czele swej kawalerii. Asha'mani i Aes Sedai, łącząc się w dwuosobowe kręgi mogli tworzyć bramy cokolwiek większe od tych, które Rand potrafił zrobić sam. A więc komuś udało się wysłać sygnał alarmowy: czerwony rozbłysk na niebie. Każdy Asha'man był pełen *saidina*, Rand zakładał, że również każda Aes Sedai jest pełna Mocy. Panny rozbiegły się wśród drzew.

— Aghan, Hamad, przeszukajcie dom! — krzyczał Bashere. — Matoun, szyk lansjerów! Zaatakuj nas, gdy tylko będą mogli! — Dwaj żołnierze wbili lance w ziemię i skoczyli do wejścia, w biegu wyciągając miecze; reszta zaczęła formować szyk dwójkowy.

Ayako zeskoczyła z siodła i podbiegła do Sandomere, nawet nie kłopotując się, że pobrudzi spódnice. Merise podjechała do Narishmy, tuż przed nim zeskoczyła z siodła, a potem bez słowa ujęła jego głowę w obie dłonie. Zadrzał, szarpnął się, omal że nie wyrwijając — uboczne efekty tradycyjnego Uzdrawiania. Merise niezbyt jeszcze radziła sobie z metodą Uzdrawiania propagowaną przez Nynaeve.

Nynaeve natomiast zupełnie ignorując powstałe zamieszanie, rękoma czerwonymi od krwi podkasała suknię i podbiegła do Randa.

— Och, Rand — westchnęła na widok jego ręki. — Tak mi przykro. Zrobię... zrobię, co w mojej mocy, ale chyba nie uda mi się jej przywrócić do poprzedniego stanu. — Jej oczy wypełniła udręka.

Bez słowa podał jej lewą rękę. Ból szarpał wściekle. Dziwne, ale wciąż czuł, że ma dłoń. Wydawało mu się, że powinien móc zacisnąć w pięść palce, których wszelako już tam nie było. Kiedy zaczerpnęła głębiej *saidara*, na skórze poczuł gęsią skórkę. Już po chwili dym przestał unosić się znad mankietu, ona zaś ujęła jego rękę ponad nadgarstkiem. Rękę przeszył dreszcz i po chwili ból zniknął. Powoli szerniałą skórę zaczęła zastępować nowa i gładka, która jakby spływała po nadgarstku, póki nie ogarnęła kikuta, który kiedyś stanowił podstawę dłoni. Oglądana rzecz sama w sobie była cudowna. Szkarłatno-złote łuski smoka również odrastały, dopóki mogły — w efekcie kończąc się tuż przed złotą grzywą. Mimo to wciąż czuł całą dłoń.

— Tak mi przykro — powtórzyła Nynaeve. — Pozwól niech cię zbadam na wypadek innych obrażeń. — Niby prosiła, ale oczywiście nawet nie zaczęła na odpowiedź. Ujęła jego głowę w dłonie, i prawie natychmiast poczuł przeszywający dreszcz. — Coś jest nie w porządku z twoimi oczyma — powiedziała, marszcząc czoło. — Boję się je Uzdrawiać, zanim się nie przekonam, co to jest. Najmniejsza pomyłka może się skończyć ślepotą. Widzisz dobrze? Ile jest palców?

— Dwa. Widzę dobrze — skłamał. Czarne plamki zniknęły, ale wciąż miał wrażenie, jakby obserwował wszystko przez warstwę wody; z kolei blask słońca oślepił, zmuszając do zmrużenia powiek, jakby świeciło dziesięć razy jaśniej niż zwykle. Stare rany w boku targaly węzłami bólu.

Bashere zeskoczył przed nim na ziemię ze swego krępego gniadosza, zmarszczył brwi na widok kikuta lewej ręki. Odpiął hełm, zdjął, wsadził pod pachę.

— Dobrze przynajmniej, że żyjesz — oznajmił szorstko — Widywałem już gorsze rany.

— Ja też — zgodził się Rand. — Ale będę się musiał uczyć od nowa władać mieczem. — Bashere pokiwał głową. Większość form wymagała obu dłoni. Rand schylił się, aby podnieść koronę Illian, jednak Min go uprzedziła. Puściła jego rękę i pośpiesznie podała mu koronę. Włożył ją na głowę.

— Będę musiał wszystkiego się uczyć od nowa. — Musisz być w szoku — powoli oznajmiła Nynaeve. — Odniosłeś poważną ranę, Rand. Lepiej będzie, jak trochę poleżysz. Lordzie Davramie, proszę kazać ludziom przynieść siodło. — Nie jest w szoku — ze smutkiem rzekła Min. Więz była pełna najczarniejszych przeczuć. Powtórnie ujęła go za rękę, jakby chciała znowu podtrzymać. — Stracił dłoń, ale w tej sprawie nic się nie da zrobić, więc już przeszedł nad tym do porządku. — Wełnianogłowy idiota — mruknęła Nynaeve. Jej dłoń, wciąż czerwona od krwi Sandomere, powędrowała do grubego warkocza przewieszzonego przez ramię, w ostatniej chwili opanowała gest. — Odniosłeś poważne obrażenia. To normalne, jesteś w szoku. To normalne, że żałujesz. To normalne!

— Nie mam na to czasu — poinformował ją. Smutek Min groził, że rozsądzi więź. Światłości, przecież był cały! Skąd ten czarny smutek?

Nynaeve mruknęła pod nosem coś o wełnianogłowym, głupcu i upartych mężczyznach, ale nie dokończyła.

— Te stare rany w boku znów się otworzyły — prawie warknęła. — Nie krwawisz mocno, ale krwawisz. Może w końcu coś uda mi się z nimi zrobić.

Lecz jakkolwiek mocno się starała — a próbowała po trzykroć — nic się nie zmieniło. Wciąż czuł strużkę krwi płynącą po żebrach. A rany wciąż były tym samym kłębem bólu. W końcu delikatnie odsunął jej dłoń. — Zrobiłaś, co mogłaś, Nynaeve. Wystarczy.

— Głupiec — tym razem naprawdę warknęła. — Jak może wystarczyć, skoro ciągle krwawisz?

— Kim jest ta wysoka kobieta? — zapytał Bashere. On przynajmniej w końcu zrozumiał. Nie marnuje się czasu na to, czego nie można naprawić. — Przecież chyba nie próbowali jej podstawić za Córkę

Dziewięciu Księżyców, co? Mówili mi, że jest nadzwyczaj drobna.

— Tak właśnie było — odparł Rand i pokrótce wszystko wyjaśnił.

— Semirhage? — mruknął z niedowierzaniem Bashere. Skąd możesz mieć pewność?

— To jest Anath Dorje, a nie... nie ta... jakkolwiek ją nazwałeś — powiedziała na głos, zaciągając, *sul'dam* o miodowej skórze. Miała ciemne oczy o nakrapianych tęczęwkach i włosy przetykane siwizną. Wyglądała na najstarszą ze wszystkich *sul'dam* i najmniej przerażoną. Oczywiście bała się, ale dobrze panowała nad swoim strachem. — To jest Prawdomówczyni Wysokiej Lady Suroth.

— Bądź cicho, Falendre — chłodno rozkazała Semirhage, oglądając się przez ramię. Jej wzrok obiecywał ból. A Pani Bólu zawsze wywiązywała się z danych obietnic. Więźniowie popełniali samobójstwo, dowiadując się, że pozostają w jej mocy. I mężczyźni, i kobiety potrafili zębami lub paznokciami otworzyć sobie żyły.

Falendre jednak jakby tego nie widziała.

— Nie słucham twoich rozkazów — rzekła pogardliwie — Nie jesteś nawet *so'jhin*.

— Skąd możesz mieć pewność? — dopytywała echem Cadsuane. Złote księżyce, gwiazdy, ptaszki i rybki kołysały się gdy wodziła przesywającym wzrokiem od Randa do Semirhage i z powrotem.

Semirhage oszczędziła mu jednak trudu wymyślania przekonującego kłamstwa.

— On jest szalony — powiedziała chłodno. Stała sztywno jak posąg, rękojeść noża Min wciąż sterczała z jej barku obok obojczyka, przód czarnej sukni lśnił od krwi, a jednak wyglądała jak królowa na tronie. — Graendal potrafiłaby to wyjaśnić lepiej niż ja. Szaleństwo zawsze było jej specjalnością. Mimo to spróbuję. Wiecie o ludziach, którzy słyszą w głowie głosy? Czasami, bardzo rzadko, głosy, które słyszą, są głosami ich przeszłych żywotów. Lanfear twierdziła, że on wie o rzeczach z naszego Wieku, o rzeczach, o których mógł wiedzieć tylko Lews Therin Telamon. Najwyraźniej słyszy w głowie głos Lewsa Therina. Nie czyni to żadnej różnicy, że głos ten jest jak najbardziej rzeczywisty. Po prawdzie to tylko pogarsza sprawę. Nawet Graendal rzadko kiedy udawało się stworzyć zintegrowaną osobowość komuś, kto słyszał prawdziwy głos. A jak rozumiem, upadek w śmiertelne szaleństwo może nastąpić... gwałtownie. — Jej wargi wykrzywił uśmiech, który wszakże nie rozświetlił oczu.

Czy patrzyli teraz na niego innym wzrokiem? Twarz Logaina była niczym rzeźbiona maska, nieodgadniona. Bashere spoglądał, jakby wciąż nie potrafił uwierzyć. Nynaeve zamarła z otwartymi ustami, jej oczy były szeroko rozwarte. Więź... Przez długą chwilę w więzi nie było nic prócz... oszołomienia. Nie wiedział, czy poradzi sobie, jeżeli Min się odeń odwróci. Najlepiej byłoby dla niej, gdyby się go wyparła. Wkrótce jednak oszołomienie zastąpiło współczucie i determinacja, mocne jak góry, a potem miłość tak świetlista, że wydało mu się, iż mógłby sobie przy niej grzać dłonie. Uścisk na jego ramieniu stał się silniejszy, spróbował przykryć jej dłoń swoją. Zbyt późno sobie przypomniał, że nie ma dłoni i szarpnięciem cofnął kikut, zdążyła wszak jej dotknąć. Uczucia w więzi nie zachwiały nic; nawet na jotę.

Cadsuane podeszła do wysokiej kobiety i zadzierając głowę, spojrzała jej w oczy. Twarzą w twarz z jedną z Przeklętych — wyraźnie nie była bardziej speszona, niż kiedy stawiała twarzą w twarz ze Smokiem Odrodzonym.

— Zachowujesz wielki spokój jak na więźniarkę. Zamiast odpierać zarzuty, sama się obciążasz.

Semirhage uśmiechała się zimno to do Randa, to do Cadsuane.

— Dlaczego miałabym odpierać jakieś zarzuty? — Każde słowo ociekało dumą. — Jestem Semirhage. — Ktoś jęknął, a liczne *sul'dam* i *damane* zaczęły trząść się i płakać. Jedna z *sul'dam*, śliczna, słomianowłosa kobieta, znieckała zwymiotowała przed siebie, a inna, krępa i ciemna, wyglądała, jakby mogło się to jej zdarzyć w każdej chwili.

Cadsuane zaś tylko skinęła głową. — Jestem Cadsuane Melaidhrin. Już nie mogę się doczekać długich rozmów z tobą. — Semirhage wyszczerzyła zęby.

Odwagi nigdy jej nie brakło.

— Myślałyśmy, że ona jest Wysoką Lady — tłumaczyła Falendre pośpiesznie i jękając się. Zęby jej szczękały, ale słowa jakoś się wydobywały. — Myślałyśmy, że to wielki dla nas zaszczyt. Wzięła nas z komnaty w Pałacu Tarasin, w której była... dziura w powietrzu... przez nią przedostałyśmy się tutaj. Przysięgam na me oczy! Myślałyśmy, że to jest Wysoka Lady.

— A więc nie idzie na nas żadna armia — skwitował Logain. Z tonu głosu nie sposób było wywnioskować, czy czuje ulgę, czy jest rozczarowany. Wysunął cał ostrza z pochwy, a potem mocno wcisnął je z powrotem. — Co z nimi zrobić — Ruchem głowy wskazał *sul'dam* i *damane*. — Odesłać do Caemlyn, jak pozostałe?

— Odeślemy je z powrotem do Ebou Dar — powiedział Rand. Cadsuane odwróciła się i spojrzała na niego. Jej twarz była idealną maską pogody ducha Aes Sedai, należało wszak wątpić, czy wewnątrz jest równie nieporuszona. Los *damane* na smyczy stanowił w oczach Aes Sedai wynaturzenie, wynaturzenie traktowane jak najbardziej osobiście. Nynaeve natomiast bynajmniej nie można było posądzać o spokój. Jej oczy płonęły, pokryta krwią pięść ścisnęła warkocz z całej siły, otworzyła usta... ale Rand nie pozwolił jej przemówić.

— Potrzebny mi jest rozejm, Nynaeve, a jeśli wezmę do niewoli te kobiety, mogę o nim zapomnieć. Nie kłóć się ze mną. One właściwie rzecz przedstawią, *damane* włączywszy, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Zniosą słowo, że chcę się spotkać z Córką Dziewięciu Księżyców. Dziedziczka tronu jest jedyną, która może zagwarantować trwałość rozejmu.

— Ale wciąż mi się to nie podoba — oznajmiła zdecydowanie. — *Damane* moglibyśmy uwolnić. Pozostałe zniosą wiadomość. — Te *damane*, które jeszcze nie płakały, teraz zalały się łzami. Niektóre wzywały na pomoc *sul'dam*, jakby bały się o życie. Oblicze Nynaeve przybrało chorą barwę, ale podniosła ręce do góry i poddała się.

W drzwiach pojawili się dwaj żołnierze, których Bashere wysłał na przeszukanie domu. Młodzi szli rozkołysanym krokiem, wyraźnie bardziej przywykli do siodeł niż pieszych spacerów. Hamad miał obfitą czarną brodę, która wpływała mu pod krawędź hełmu i bliznę na szczęce. Aghan nosił grube wąsy jak Bashere. Aghan niósł pod pachą proste, drewniane pudełko bez wieczka. Ukłonili się przed Bashere, wolne dłonie odsunęły pochwy mieczy.

— Dom jest pusty, mój panie — powiedział Aghan. — Ale w kilku pokojach znaleźliśmy na dywanach zaschniętą krew. W rzeczy samej wygląda jak podwórze rzeźni, mój panie. Myślę, że wszyscy mieszkańcy domu zostali zabici. To stało obok drzwi frontowych. Wydawało mi się nie na miejscu, więc przyniosłem ze sobą — Wyciągnął przed siebie pudełko, żeby Bashere je obejrzał. Wewnątrz znajdowało się zwinięte *a'dam* i liczne pierścienie z czarnych, połączonych metalowych segmentów, jedne duże, inne małe.

Rand już sięgał lewą dłonią, gdy sobie przypomniał. Min zrozumiała, o co chodzi i uwolniła jego prawą rękę, żeby mógł Babrać garść metalu. Nynaeve jęknęła.

— Wiesz, co to jest? — zapytał.

— To są *a'dam* dla mężczyzn — rzekła gniewnie. — Egeanin powiedziała, że wrzuci je do oceanu! Zaufałyśmy jej, a ona dała to komuś do skopiowania!

Rand upuścił metal do wnętrza pudełka. Większych pierścieni było sześć, a srebrnych smyczy pięć. Semirhage przygotowała się na każdy wypadek, niezależnie kogo by ze sobą przyprowadził. — Naprawdę sądziła, że nas wszystkich złapie. — Na tę myśl zadrżał. Zdało mu się, że czuje, jak drży

Lews Therin. Nikt nie chciał wpaść w ręce Semirhage.

— Krzyczała, żeby nas oddzieliły tarczą — powiedziała Nynaeeve. — Ale nie mogły, ponieważ już dzierżyliśmy Moc. Gdyby było inaczej, gdybyśmy razem z Cadsuane nie miały naszych *ter'angreali*, nie wiem, co by się stało. — Ona również drżała w widoczny sposób.

Popatrzył na wysoką Przekłątą, a ta odpowiedziała mu spojrzeniem, absolutnie opanowana. Całkowicie zimna. Miała reputację kata tak silną, że łatwo można zapomnieć, jak niebezpieczna była pod każdym innym względem.

— Rozluźnijcie tarcze pozostałym, żeby mogły się w ciągu kilku godzin uwolnić, a potem odeślijcie je gdzieś w pobliże Ebou Dar. — Przez chwilę wyglądało, że Nynaeeve znów zaprotestuje, ale zadowolona się mocnym szarpnięciem za warkocz i odeszła.

— Kim jesteś, że domagasz się widzenia z Wysoką Lady? — zapytała Falendre. Z jakiegoś powodu tonem głosu podkreśliła tytuł.

— Nazywam się Rand alThor. Jestem Smokiem Odrodzonym. — Jeśli wcześniej płakały na dźwięk imienia Semirhage, teraz ich zawodzeniom nie było końca.

Mat siedział na Oczku w panujących wśród drzew ciemnościach i z *Ashandarei skroś* siodła czekał; dookoła miał dwa tysiące konnych kuszników. Słońce zaszło niedawno, więc pewne wydarzenia już toczyły się własną koleją. Seanchanie otrzymają dzisiejszej nocy pół tuzina mocnych uderzeń. Kilka większych ataków, kilka mniejszych, ale wszystkie mocne. Księżycowa poświata przesączała się przez gałęzie nad głową, dość jasna, by mógł dostrzec kontury ocienionej twarzy Tuon, Upierała się, aby mu towarzyszyć, co oznaczało oczywiście Selucię na gniadoszu przy jej boku; teraz patrzyła na niego wzrokiem złym jak zwykle. Cieni rzucanych przez księżyc na nieszczęście nie było dość, by zamaskować wyraz twarzy. Tuon nie mogła być zadowolona z tego, co miało się zdarzyć dzisiejszej nocy, ale tych uczuć jakoś nie zdradzała. O czym ona myśli? Znowu nic, tylko ten surowy sędzia.

— Twoja taktyka opiera się w dużej części na łucie szczęścia — powiedziała Teslyn, nie pierwszy raz. Nawet spowita w cienie księżyca, jej twarz miała twarde wyraz. Poprawiła pozycję w siodle, otuliła się płaszczem. — Oczywiście jest już za późno, by zmienić całą strategię, ale tę część łatwo można sobie podarować. — Wolałby, żeby były z nim Bethamin czy Seta, których nie wiązały Trzy Przysięgi i które znały sploty, jakimi w walce posługiwały się *damane*, a które przerażały Aes Sedai. Nie same sploty, raczej fakt, że Bethamin i Seta je znały. Przynajmniej Mat uważał, że powinny je znać. Leilwin z miejsca odmówiła jakiegokolwiek walki z Seanchanami, wyjąwszy samoobronę. Bethamin i Seta mogły zareagować tak samo albo odkryć w ostatniej chwili, że nie potrafią wystąpić przeciwko ziomkom. W każdym razie Aes Sedai nie zgodziły się na udział żadnej z nich w bitwie, a kiedy decyzja zapadła, ani jedna nawet nie otworzyła ust, by zaprotestować. Zbyt onieśmiałe były w obecności Aes Sedai, by bez ich zgody choćby odstraszyć gęś.

— Niech ci wszelka Światłość sprzyja, Teslyn Sedai, ale pozwolę sobie zauważyć, że lordowi Matowi szczęście dopisuje — powiedział kapitan Mandevwin. Krępy, jednooki, był z Legionem od pierwszych dni w Cairhien, po drodze zapracowawszy na siwe skronie, teraz skryte pod zielonym hełmem, a wcześniej, podczas innych wojen, z Łzą i Andorem, na hełm, który był otwartym hełmem piechoty. — Pamiętam przecież, juk stawaliśmy wobec liczebnej przewagi, oskrzydleni przez wrogów, a Legion tylko tańczył między nimi. Nie po to, by się wyślizgnąć z okrążenia, zwróć uwagę, ale żeby ich pobić. Piękne bitwy.

— Piękna bitwa to taka, której nie musisz toczyć — powiedział Mat ostrzej, niż zamierzał. Nie lubił bitew. Podczas bitwy można było zarobić dziurę w ciele. Po prostu jakoś tak się składało, że wciąż mu się przytrafiały, to wszystko. A większość tamtego tańca tak naprawdę sprowadzała się do prób wyslizgnięcia się z okrążenia. Dziś w nocy nie będzie żadnego odrywania się od przeciwnika, podobnie jak przez wiele następnych. — Nasza część strategii jest istotna, Teslyn. — Co zatrzymywało Aludrę, żeby szczyła? Atak na obóz zaopatrzeniowy musiał już się rozpocząć jakiś czas temu. Zamierzono, by był na tyle słaby, by obrońcy uznali, że mogą się utrzymać do czasu dotarcia odsieczy, i na tyle silny, by poczuli się zmuszeni do wezwania posiłków. Pozostałe od początku będą się rozwijać z pełną siłą, aby zdławić obronę, zanim tamci się zorientują, kogo mają przeciwko sobie. — Mam zamiar wykrwawiać Seanchan, wykrwawiać ich tak mocno, szybko i często, żeby mogli tylko reagować na nasze poczynania, zamiast układać własne plany. — Gdy tylko słowa wyszły mu z ust, pożałował, że nie ujął tego inaczej.

Tuon nachyliła się do Selucii, a wysoka kobieta zniżyła owiniętą szarfą głowę, żeby mogły bez przeszkód porozmawiać szeptem. Było zbyt ciemno na mowę dłoni, ale nie dosłyszał ani jednego ich słowa. Natomiast potrafił sobie wyobrazić, o czym mówiły. Obiecała, że go nie zdradzi, a to obejmowało zdradę jego planów, niemniej pewnie wołałaby odzyskać dane słowo. Powinien zostawić ją z Reimonem albo jednym z pozostałych. To byłoby dla niej znacznie bezpieczniejsze miejsce niż przy jego boku. Ale w tym celu najpierw musiałby ją związać, ją i Selucię, obie. I zapewne również Setalle. Ta przeklęta kobieta za każdym razem brała stronę Tuon.

Gniadosz Mandevwina zaczął grzebać kopytem w ziemi, jeździec poklepał zwierzę po karku urękawiczoną dłonią.

— Nie można zaprzeczyć, że istnieje szczęście w bitwie, jak na przykład wówczas, gdy znajdzie się słabość w szeregach wroga, której nie można było oczekiwać, której nie powinno w ogóle być, albo kiedy zastaniesz go przygotowanym do obrony z kierunku północnego, podczas gdy ty nadchodzisz z południa. Bitewne szczęście siedzi na twoim ramieniu, mój panie. Widziałem na własne oczy.

Mat odmruknął coś nieartykułowanego, a potem z irytacji nasadził znów kapelusz na głowę. Na każdy jeden raz, gdy chorągiew zgubiła się i przez pomyłkę trafiała w przekłął szczelinę w obronie wroga, przypadało dziesięć, gdy przekłętej nie było w czasie i miejscu, gdzie najbardziej cholernie była potrzebna. Taka była prawda na temat bitewnego szczęścia.

— Jeden zielony nocny kwiat — zawołał z góry męski głos. — Dwa! Oba zielone! — Z odgłosów szurania należało wnioskować, że jego właściciel w pośpiechu schodzi na ziemię. Mat westchnął lekko, z ulgą. *Raken* dolatywał, zmierzając na zachód. Na to właśnie liczył — najbliższy garnizon żołnierzy lojalnych wobec Seanchan znajdował się na zachodzie — i nawet trochę oszukiwał, jadąc na zachód tak daleko, jak się ośmielił. Z samego przekonania, że wróg zareaguje tak, jak należy oczekiwać, nie wynikało jeszcze, że tak właśnie będzie. Reimon lada chwila zdobędzie obóz zaopatrzeniowy, dławiając obronę dziesięciokrotną przewagą liczebną i zdobywając jakże potrzebny prowiant.

— Jedź, Vanin — powiedział, a grubas wbił obcasy w boki bułanka, ruszając kłusem w noc. Nie potrafi prześcignąć *rakena*, ale o ile zdąży przywieźć słowo na czas... — Czas ruszać, Mandevwin.

Chudy obserwator skoczył z najniższej gałęzi, pieczołowicie chroniąc szkło powiększające, które następnie oddał Cairhienianinowi.

— Wsiadaj na koń, Londraed — rozkazał Mandevwin, chowając szkło powiększające do cylindrycznego futerału przy siodle. — Connl, szyk kolumny czwórkowej.

Po krótkiej jeździe dotarli do wąskiej, ubitej drogi biegnącej zakosami wśród wzgórz, której Mat

wcześniej unikał. Na tym obszarze niewiele było farm, jeszcze mniej wiosek, ale nie życzył sobie, by mimo to rozeszły się plotki o sporym oddziale zbrojnych. Przynajmniej dopóki sam nie będzie chciał, by się rozeszły. W tej chwili zależało mu na szybkiej jeździe, a plotka przez noc nie wyprzedzi pędzącego oddziału. Większość zabudowań farm, które mijali, była tylko ciemnymi kształtami wśród mroku, wszelkie lampy i świece zostały już wygaszone. Jedyne odgłosy nocy stanowił tętent kopyt i poskrzypywanie siodeł oraz sporadyczne, słabe, piskliwe krzyki nocnych ptaków czy pohukiwania sowy, niemniej dwa tysiące koni robiło spory hałas. Minęli maleńką wioskę, gdzie tylko w oknach paru domów i niewielkiej kamiennej gospody lśniło światło, ale ludzie wytykali nosy przez drzwi i okna, żeby się gapić. Bez wątplenia przekonani, że widzą żołnierzy lojalnych wobec Seanchan. Zasadniczo na terytorium Altary innych już nie było. Ktoś wzniósł radosny okrzyk, nikt mu jednak nie za wtórował.

Mat jechał obok Mandevwina, mając Tuon i Selucię za plecami, od czasu do czasu oglądał się przez ramię. Nie, żeby się upewnić, czy wciąż tam są. Jakkolwiek dziwne się to mogło wydawać, nie miał wątpliwości, że ona dotrzyma słowa i że nie ucieknie, nawet w tak dogodnej sytuacji. Nie wątpił też, że dotrzyma im kroku. Brzytwa lekko chodziła, a Tuon była dobrym jeźdźcem. Gdyby zechciała uciec, Oczko nie doścignąłby Akein. Nie, po prostu patrzył na nią, bo lubił, nawet w świetle księżyca. Być może zwłaszcza w świetle księżyca. Poprzedniego wieczoru znów spróbował ją pocałować i zarobił cios tak mocny, że bał się, czy mu nie połamała żeber. Ale tuż przed wyjazdem dzisiejszego wieczoru sama go pocałowała. Raz. I powiedziała, żeby nie był chciwy, kiedy spróbował się odwzajemnić. Kiedy ją całował, topniała w jego ramionach, a gdy przestawał, odsuwała się i zmieniała w lód. Jak miał to rozumieć? Wielka sowa przefrunęła ponad jego głową, skrzydła poruszały się w całkowitej ciszy. Czy dla niej będzie to znowu jakiś omen? Zapewne.

Nie powinien spędzać tyle czasu na myśleniu o niej, przynajmniej nie teraz. Faktem było, że do pewnego stopnia polegał na szczęściu. Trzy tysiące lansjerów, których znalazł dla niego Vanin, głównie Altarianie z garstką Seanchan, mogło — ale nie musiało — być tymi, których pan Roidelle zaznaczył na swojej mapie, choć nie stacjonowali szczególnie daleko od wskazywanego miejsca, z drugiej strony, nie było jak stwierdzić, dokąd pomaszerowali potem. Najbardziej prawdopodobnym kierunkiem był północny zachód, w stronę Przesmyku Malvide i znajdującej się za nim Przełęcz Molvaine. Wychodziło na to, że wyjąwszy ostatni odcinek, Seanchanie raczej nie używali Drogi Lugardzkiej do transportu wojsk, bez wątplenia chcąc zataić swą liczebność i kierunki marszruty bocznymi drogami. Ale subiektywna pewność nie oznaczała pewności absolutnej. Jeżeli nie oddalili się za bardzo, tą drogą dotrą do Obozu zaopatrzeniowego. Jeżeli. Ale jeśli oddalili się bardziej, mogą skorzystać z innej drogi. Nie groziło to żadnym niebezpieczeństwem, po prostu noc trzeba by uznać za zmarnowaną. Poza tym dowódca może zdecydować, by przebić się prosto przez teren wzgórz. I tu mogą zacząć się kłopoty — jeśli trafi na drogę w niewłaściwym miejscu.

Jakieś cztery mile za wioską dotarli do miejsca, gdzie drogę z dwóch stron ograniczały łagodne zbocza. Zatrzymał kolumnę, Mapy, które wyszły spod ręki pana Roidelle, były znakomite, niemniej tym, które zdobył u innych, też nic nie brakowało. Roidelle miał tylko najlepszy towar. Mat rozpoznał to miejsce, jakby je już kiedyś widział. Mandevwin zawrócił konia.

— Admar, Eyndel, idźcie z ludźmi na północny stok. Madwin, Dongal, południowy. Jeden z każdej czwórki zajmuje się końmi.

— Spętać konie — dodał Mat. — I założyć worki z paszą, żeby nie rżały. — Mieli naprzeciwko siebie lansjerów. Jeśli wszystko pójdzie źle i spróbują ucieczki, lansjerzy będą ich ścigać, jakby polowali na dzikie świnię. Z końskiego grzbietu kusza na nic się zda, zwłaszcza podczas odwrotu. Tu trzeba było zwyciężyć. Cairhienianin patrzył na niego, za kratą przyłbicy wyraz jego twarzy

pozostawał nieodgadniony, ale nie wahał się ani przez moment.

— Spętać konie i obroczeniaki na pyski — zarządził. — Wszyscy do szeregu.

— Postaw paru na pikiecie od północy i południa — rozkazał Mat. — Bitewne szczęście w równym stopniu może ci dopisywać, co zwrócić się przeciwko tobie. — Mandevwin skinął głową i wydał odpowiednie rozkazy.

Kusznicy rozdzielili się i pojechali po rzadko zalesionych stokach, ciemne kaftany i ciemnozielone zbroje łatwo wtopiły się w cienie. Lśniące napierśniki ładnie prezentowały się na paradach, ale światło księżyca odbijało się w nich podobnie jak słoneczne. Talmanes twierdził, że najtrudniejsze było przekonanie lansjerów, aby zrezygnowali z napierśników, i szlachtę aby zapomniała o srebrzeniach i złoceniach. Piechota od razu zrozumiała, o co chodzi. Przez jakiś czas wokół słychać było zgiełk ludzi i koni przedzierających się przez ściółkę, krzaki, w końcu zapadła cisza. Z drogi Mat nie był w stanie stwierdzić czy ktoś jest na każdym ze stoków. Teraz pozostawało oczekiwanie.

Tuon i Selucia dotrzymywały mu towarzysztwa, podobnie jak Teslyn. Od zachodu zerwała się porywista bryza i szarpała płaszcze, ale oczywiście Aes Sedai potrafiły ignorować takie sprawy, a Teslyn tylko otuliła się połami swojego odzienia. Co dziwne, Selucia ignorowała powiewające poły płaszcza, Tuon natomiast ścisnęła swój jedną ręką.

— Wśród drzew może być nieco lepiej — poinformował je. — Wiatr rozbija się o ich pnie.

Przez chwilę trzęsła się od bezdźwięcznego śmiechu.

— Chętnie popatrzę, jak szukasz lepszego miejsca na szczycie wzgórza — powiedziała, zaciągając.

Mat zamrugał. Szczyt wzgórza? Przecież siedział na Oczku pośrodku przekłętej drogi, a cholerny wiatr wydymał mu płaszczy, jakby wracała zima. O czym ona mówiła? Jaki szczyt wzgórza? — Uważaj z Joline — powiedziała Teslyn, nagle i całkiem nieoczekiwanie. — Ona jest... dziecinna... pod pewnymi względami, a ty ją fascynujesz, jak błyszcząca, nowa zabawka fascynuje dziecko. Nałożyłaby ci więź zobowiązań, gdyby potrafiła wymyślić, jak cię przekonać, żebyś się zgodził. Być może nawet wie, jak to zrobić, abyś nie wiedział, że się zgodzisz. Otworzył usta, żeby powiedzieć, że nie ma żadnych cholernych, przeklętych szans na to, ale Tuon zareagowała pierwsza.

— Ona nie może go mieć — rzekła ostro. Urwała, wzięła oddech i dalej mówiła już głosem raczej rozbawionym: — Zabaweczka należy do mnie. Póki ja nie skończę się nim bawić. Ale nawet wtedy nie oddam go *marath'damane*. Rozumiesz, Tessi? Powiedz o tym Rosi. Takie imię umyśliłam sobie jej nadać. To jej też możesz powiedzieć.

Ostre podmuchy wiatru nie wywierały wrażenia na Teslyn, ale zadrżała na dźwięk słowa *damane*. Niewzruszona pogoda ducha Aes Sedai zniknęła, twarz wykrzywił gniew.

— Rozumiem tyle, że...!

— Dość! — uciął Mat. — Obie macie zamilknąć. Nie jestem w nastroju, żeby się przyglądać, jak wsadzacie sobie nawzajem szpilki. — Teslyn zapatrzyła się na niego, przepełniająca ją obraza była widoczna nawet w świetle księżyca.

— Cóż, Zabaweczko — Tuon oznajmiła radośnie. — Znowu robisz się autorytatywny. — Nachyliła się ku Selucii i szepnęła coś, na co tamta zareagowała wybuchem śmiechu, aż jej obfity biust zafalował.

Mat zgarbił ramiona, otulił się płaszczem, wsparł dłonie na łęku siodła i wbił wzrok w noc, wypatrując Vanina. Kobiety! Oddałby całe swoje szczęście — no, dobrze, połowę — żeby móc je zrozumieć.

— Co chcesz osiągnąć rajdami i zasadzkami? — zapytała Teslyn, znowu nie po raz pierwszy. — Seanchanie po prostu będą wysyłać coraz więcej żołnierzy, żeby cię ścigali. — Ona i Joline wciąż próbowały wtykać swe nosy w jego strategię, podobnie jak w mniejszym nieco stopniu Edesina, póki

im nie zabronił. Aes Sedai wydawało się, że zjadły wszystkie rozумы, i choć Joline przynajmniej wiedziała co nieco o wojnie, on nie potrzebował jej rady. Rady Aes Sedai brzmiały jak rozkazy. Tym razem jednak zdecydował się wyjaśnić.

— Liczę na to właśnie, że będą wysyłali tu coraz więcej żołnierzy, Teslyn — powiedział, wciąż wyglądając Vanina. — W istocie chodzi mi o całą armię, jaka stacjonuje na Przełęczy Molvaine. A przynajmniej jej istotną część. Doszedłem do wniosku, że znacznie bardziej prawdopodobne jest, że jej, a nie jakiejś innej użyją. Ze wszystkiego, czego się dowiedzieli Thom i Juilin, wynika, że celem następnej kampanii będzie Illian. Sądzę, że zadaniem armii stacjonującej w Przełęczy jest zabezpieczenie przed każdym ewentualnym atakiem od strony Murandy czy Andoru. Ale dla nas są jak korek w dzbanie. Mam zamiar usunąć ten korek, żebyśmy mogli spokojnie przejechać.

Po kilkuminutowym milczeniu obejrzał się przez ramię. Trzy kobiety siedziały na swoich wierzchowcach i przyglądały mu się. Żałował, że nie ma dość światła, aby odczytać wyrazy ich twarzy. Dlaczego, cholera, mu się tak przyglądały? Wrócili do wypatrywania Vanina, czuł jednak wciąż ich spojrzenia na swoim grzbiecie.

Minęły może dwie godziny, jeżeli wnioskować z powolnej wędrówki tłustego półksiężyca po nieboskłonie, wiatr dał coraz mocniej. Dostatecznie silnie, by nocny chłód nazwać zimnem. Od czasu do czasu próbował namówić kobiety, żeby schroniły się wśród drzew, ale za każdym razem uparcie odmawiały. On musiał zostać na miejscu, żeby przechwycić Vanina bez konieczności podnoszenia larum — lansjerzy będą niedaleko za nim; być może bardzo blisko, jeżeli dowódca okaże się głupcem — lecz one nie musiały. Podejrzewał, że Teslyn odmówiła, ponieważ tak postąpiły Tuon i Selucia. Nie było w tym większego sensu, ale co począć. Dlaczego zaś Tuon odmówiła? Nie potrafił podać innego powodu niż ten, że lubiła się z nim droczyć, póki nie ochrypl. W końcu wiatr przyniósł odgłos tętentu końskich kopyt, Mat wyprostował się w siodle. Bułanek Vanina wypadł klusem z nocy, pękata sylwetka sprawiała — jak zawsze — niesamowite wrażenie na końskim grzbiecie.

Vanin ściągnął wodze, splunął przez szczelinę w zębach. — Są jakąś milę za mną, ale jest ich może tysiąc więcej, niż było dziś rano. Ktokolwiek dowodzi, zna się na robocie. Jadą ostro, ale uważają, żeby nie zmęczyć koni.

— Skoro masz przeciwko sobie przewagę liczebną dwa do jednego — zaczęła swoje Teslyn — może weźmiesz pod uwagę... — Nie mam zamiaru walczyć z nimi w otwartym boju — wszedł jej w słowo Mat. — I nie mogę sobie pozwolić na to, by po okolicy pałętało się cztery tysiące lansjerów, gotowych sprawiać mi kłopoty. Dołączmy do Mandevwina.

Kłęczący na stoku północnego wzgórza kusznicy nie odezwali się ani słowem, gdy wraz z kobietami i Vaninem przejeżdżał przez ich szereg, tylko rozstąpili się, robiąc im miejsce. Wolalby ustawić ich w dwuszeregu, ale musiał pokryć szerokie pole ostrzału. Rzadko rosnące drzewa rzeczywiście rozbijały wiatr, jednak w niewielkim stopniu, większość żołnierzy kuliła się pod płaszczami. Mimo to wszystkie kusze były naciągnięte, a bełty leżały w łożyskach. Mandevwin zobaczył nadjeżdżającego Vanina i wiedział, co oznacza jego obecność.

Cairhienianin maszerował tuż za szeregiem, póki nie pojawił się Mat, który zeskoczył z Oczka. Mandevwin ucieszył się, że już nie musi obserwować tyłów. Słyszając o tysiącu dodatkowych lansjerów ponad oczekiwania, tylko skinął głową wysłał gońca do obserwatorów na szczycie wzgórza z rozkazem zasilenia szeregu. Jeżeli Mat Cauthon potraktował rzecz bez zmrużenia oka, on też mógł. Mat zdążył już zapomnieć, jaki był pod tym względem Legion. Ufali mu absolutnie. Kiedyś Z tego powodu omal nie uciekł od nich. Dziś w nocy był zadowolony. Gdzieś za nim rozległo się podwójne hukanie sowy, a Tuon westchnęła.

— To jakiś omen? — zapytał po to tylko, by coś powiedzieć

— Cieszę się, że w końcu interesujesz się tymi sprawami Zabaweczko. Być może jeszcze uda mi się czegoś ciebie nauczyć. — Jej oczy były wilgotne w księżycowej poświacie. — Dwukrotne pohukiwanie sowy znaczy, że ktoś wkrótce umrze, — Cóż, na tym przekłeta rozmowa się skończyła.

Wkrótce pojawili się Seanchanie, jechali kłusem, kolumna czwórkową, z lancami w dłoniach. Vanin miał rację, ich dowódca znał się na swojej robocie. Przez czas jakiś cwałem, potem kłusem, w ten sposób konie mogły szybko pokonać sporą odległość. Tylko głupcy próbowali galopować na długich dystansach, co zazwyczaj kończyło się zajeżdżonymi i ochwaconymi końmi. Tylko jakichś pierwszych czterdziestu w kolumnie miało płytowe zbroje i dziwne hełmy Seanchan. Szkoda. Nie miał pojęcia, jak Seanchanie zareagują na ofiary wśród swych altarańskich sprzymierzeńców. Straty wśród własnych żołnierzy z pewnością ściągnęłyby ich uwagę.

Kiedy środek kolumny znalazł się na wysokości miejsca gdzie stał, na drodze głęboki głos znienacka zawołał:

— Chorągiew! Stać! — Te dwa słowa zostały wypowiedziane znajomym już mu rozwlekłym akcentem Seanchan, Żołnierze w płytowych zbrojach zatrzymali się natychmiast. Pozostali zareagowali nieco wolniej.

Mat wciągnął głęboki oddech. To musiało być dzieło *ta've ren*. Gdyby sam wydał im rozkaz, nie mogliby się zatrzymać w lepszym miejscu. Oparł dłoń na ramieniu Teslyn. Drgnęły lekko, ale w ten sposób najłatwiej mógł przyciągnąć jej uwagę, 1

— Chorągiew! — krzyknął ten sam głęboki głos. — W koń! — Poniżej żołnierze poruszyli się, żeby posłuchać rozkazu.

— Teraz — powiedział cicho Mat.

Lisi łeb na jego piersi stał się zimny, a chwilę później wysoko ponad drogą popłynęła kula czerwonego światła, zalewając żołnierzy nieziemską poświatą. Ale mieli tylko mgnienie na podziwianie niesamowitego widowiska. Wzdłuż szeregu poniżej Mata zwolniono tysiąc cięciw kuszy, co zlało się w jedno Ogłuszające trzaśnięcie z bata i tysiąc bełtów uderzyło w szyk wroga, z bliska przebijając napierśniki, zbijając ludzi z nóg, powodując głośną panikę wśród koni — a równocześnie następny tysiąc bełtów uderzył z drugiej strony. Oczywiście nie każdy grot trafił celnie, ale w przypadku ciężkiej kuszy nie miało to Większego znaczenia. Żołnierze padali ze zmiażdżonymi nogami, z nogami właściwie odstrzelonymi od ciała. Inni ściskali kikuty strzaskanych rąk, próbując zatamować krew. Wrzask ludzi rozlegał się równie głośnie, co kwik koni.

Mat przyglądał się, jak pobliski kusznik pochyła się, żeby przymocować do cięciwy kuszy podwójne haki masywnego, pudełkowatego kołowrotu, zawieszzonego na rzemieniu przy pasie od przodu. Kiedy się wyprostował, rzemień wyskoczył z kołowrotu, ale już wyprostowany oparł kołowrót o kolbę odwróconej kuszy, przełożył niewielką dźwignię z boku pudełka i zaczął kręcić korbą. Trzy szybkie obroty i ze zgrzytliwym świstem cięciwa zahaczyła o spust.

— Do drzew! — krzyknął głęboki głos. — Skróćcie dystans, zanim zdążą przeładować! Naprzód! Niektórzy próbowali dosiąść koni, żeby zaatakować szybciej, inni odrzucali wodze oraz lance i wyciągali miecze. Żaden nie dotarł do drzew. Kolejne dwa tysiące bełtów wbiły się w nich, powalając ludzi, przebijając ludzi, żeby zabijać tych, co stali za nimi, powalając konie. Na zboczu żołnierze Legionu znów w szaleńczym tempie zaczęli kręcić kołowrotami, ale nie było już potrzeby. Tu i tam na drodze słabo wierzgał koń. Jedynymi, którzy się ruszali, byli ludzie próbujący rozpaczliwie wkładać zaimprovizowane opaski uciskowe, żeby się nie wykrwawić na śmierć. Wiatr przynosił tętent kopyt uciekających koni. Niektóre mogły nieść jeźdźców. Głęboki głos już nie wydawał rozkazów.

— Mandevwin — krzyknął Mat. — Tu już skończyliśmy. Każ ludziom wsiadać na konie. Musimy

jeszcze dotrzeć w parę miejsc.

— Musisz zostać i pomóc pokonanym wrogom — zdecydowanie oznajmiła Teslyn. — Tego wymagają zasady prowadzenia wojny.

— To jest nowy rodzaj wojny — odparł ochryplym głosem. Światłości, na drodze było już cicho, ale on wciąż słyszał te wrzaski. — Będą musieli poczekać, aż pomoże im własna strona.

Tuon mruknęła coś pod nosem. Zdało mu się, że:

— Lew może sobie pozwolić, żeby nie okazywać miłosierdzia.

Ale przecież to byłoby zupełnie bez sensu.

Zgromadził swoich ludzi, potem poprowadził w dół północnego zbocza wzgórza. Nie trzeba zdradzać ocalałym stanu liczebnego oddziału. Za kilka godzin połączą się z oddziałem z drugiego wzgórza, a za następnych kilka godzin z Carlominem.

Przed wschodem słońca znowu uderzą na Seanchan. Zmusi ich, by błyskawicznie wyciągnęli dla niego ten przeklęty korek.

ROZDZIAŁ 11

W MALDEN

Kiedy tuż przed pierwszym brzaskiem Faile po raz ostatni zapinała w talii szeroki pasek ze złotych ogniw, do wnętrza małego, zatłoczonego namiotu, gdzie wszystkie spały, weszła Dairaine. Na zewnątrz niebo już pewnie robiło się szare wewnątrz równie dobrze wciąż mogłaby panować noc. Lecz oczy Faile zdążyły przywyknąć do ciemności. Szczupła, drobna kobieta z czarnymi lokami spływającymi do pasa marszczyła czoło, równocześnie rozpaczliwie ziewając. W Cairhien zajmowała pozycję ustępującą tylko Głowie jej Domu, ostatniej nocy została obudzona, ponieważ Sevanna nie mogła spać i chciała, żeby jej ktoś poczytał. Sevanna lubiła głos Dairaine, a zapewne również jej donosy o rzekomych wybrykach *gai'shain* Sevanny. Cairhienianka nigdy nie została napiętnowana jako jedna z tych, które nie potrafią zadowolić swej pani, Teraz jej dłonie powędrowały do złotej obroży i zawahały się, i na widok Faile, Alliandre oraz Maighdin już ubranych, na nogach.

— Zapomniałam odłożyć książkę na właściwie miejsce —, powiedziała głosem niczym

kryształowe dzwoneczki, zwracając ku wyjściu z namiotu. — Sevanna każe mnie wychłostać, kiedy po obudzeniu przekona się, że książka nie leży na , miejscu.

— Ona kłamie — warknęła Maighdin, a Dairaine skoczyła do wyjścia.

Faile to wystarczyło. Schwyciła kaptur tamtej i zawlokła ją do namiotu. Dairaine otworzyła usta do krzyku, ale Alliandre zakryła je dłonią i wszystkie trzy powaliły kobietę na zasłaną kucami podłogę. A siły wszystkich trzech się przydały. Dairaine była drobna, lecz wiała się jak wąż, próbowała drapać, gryźć. Podczas gdy tamte ją trzymały, Faile dobyte drugi z ukradzionych noży, zresztą zupełnie niezły sztylet z karbowaną stalową rękojeścią i ostrzem dłuższym niż jej dłoń, i zaczęła ciąć pasy i koców.

— Skąd wiedziałaś? — zapytała Alliandre, trzymając Dairaine za jedną rękę, a dłonią zatykając jej usta i unikając równocześnie pogryzienia. Maighdin usiadła na nogach tamtej i wykręciła jej drugą rękę. Dairaine wciąż się wrywała, choć musiała już pojąć daremność wszelkiego oporu.

— Wcześniej marszczyła brwi, ale kiedy się odezwała, jej twarz była zupełnie gładka. Reszty się domyśliłam. Gdyby naprawdę martwiła się chłostą, zmarszczyłaby czoło jeszcze bardziej. — Złotowłosa nie była szczególnie kompetentną pokojówką damy, za to dysponowała rozwiniętym zmysłem obserwacji.

— Ale co nasunęło jej podejrzenia?

Maighdin wzruszyła ramionami.

— Może jedna z nas wyglądała na winną lub sprawiała dziwne wrażenie. Choć nie jestem w stanie wyjaśnić, jak bez światła mogła się zorientować.

Wkrótce Dairaine była dokładnie skrupowana, kostki i nadgarstki miała związane za plecami. Już się tak nie wrywała jak przedtem. Zwinięty w kłębek fragment oderwanej bielizny umocowany w ustach kolejnym pasem koca posłużył jako knebel, zza którego dobywały się tylko niewyraźne postękiwania. Zadarła do góry głowę, żeby wściekle na nie spojrzeć. Faile nie potrafiła dobrze dostrzec twarzy, ale nie oczekiwała innego wyrazu niż wściekłość lub błaganie, a Dairaine błagała tylko Shaido. Wykorzystywała swą pozycję *gai'shain* Sevanny, żeby znęcać się nad innymi *gai'shain*, a pozostałym *gai'shain* Sevanny naprzykrzała się, opowiadając o nich niestworzone historie. Kłopot polegał na tym, że nie mogły jej tu zostawić. W każdej chwili mógł ktoś wejść, wzywając je na służbę.

— Możemy ją zabić i ukryć ciało — zaproponowała Alliandre, przeczesując palcami włosy. Podczas walki jej fryzura znalazła się w nieładzie.

— Gdzie? — zapytała Maighdin, zajmując się w ten sam sposób swoimi złotymi jak słońce włosami. W tonie jej głosu nie było nic z uniżoności pokojówki zwracającej się do królowej. Więźniowie w niewoli musieli traktować się jak równi, w przeciwnym razie pomagali strażnikom. Trochę czasu zabrało, nim Alliandre to zrozumiała.

— Gdzieś, gdzie nie znajdą jej do jutra. Sevanna może wysłać ludzi za Galiną, aby sprowadzili nas z powrotem, jeśli uzna, że zabiliśmy jedną z jej niewolnic. — Wypowiedziała to słowo z ostateczną przyganą, na jaką było ją stać. — A ja nie ufam Galinie, że nie pozwoli im nas zabrać.

Dairaine znów zaczęła szarpać się w więzach i stękać jeszcze głośniejsze niż przedtem. Może mimo wszystko zdecydowała się błagać o litość.

— Nie zabijemy jej — postanowiła Faile. Nie chodziło o skrupuły czy litość. Po prostu nie miały gdzie ukryć ciała, by nie zostało zbyt szybko odkryte i gdzie mogłyby z nim dotrzeć niepostrzeżenie. — Obawiam się, że musimy zmienić plany. Zaczekajcie tutaj.

Wyrzwała z namiotu, zobaczyła niebo, które powoli przybierało perłową barwę oraz przyczynę podejrzliwości Dairaine. Na zewnątrz zgodnie z ustaleniami czekały Bain i Chiad w bieli, aby odprowadzić ją na miejsce spotkania. Rolan i jego przyjaciele zapewne jeszcze nie zasiedli do

śniadania — taką miała nadzieję, w przeciwnym razie mogliby zrobić coś głupiego i zniszczyć wszystko — a Bain i Chiad zgłosiły się, by zająć się mężczyznami, którzy chcieliby im przeszkodzić. Jakoś nie potrafiła zmusić się i poprosić ich o wyjaśnienie, jak mają zamiar się nimi zająć. Niektóre poświęcenia najlepiej czuły się pod osłoną tajemnicy. I cichej wdzięczności serca. Dwie *gai'shain* z wiklinowymi koszami z pewnością nie mogły wzbudzić podejrzeń w Cairhieniance, ale trzydziścioro czy czterdziścioro z pewnością tak, a właśnie tylu szło tłumnie w ich stronę po wąskich błotnistych przesmykach między namiotami. Spod białego kaptura zerkała pulchna, pospolita twarz Aravine, spod następnego piękna twarz Lusary. Alvon był tam ze swoim synem Therilem w szatach z ubłoconego płótna namiotowego, była Alainia, pulchna amadiciańska jubilerka w brudnych zgrzebnych lnach, Dormin, krępy cairhieniański szewc, wreszcie Corvila, szczupły tkacz, miejscowy, z Altary i... Nie stanowili nawet jednej dziesiątej tych, którzy jej przysięgli, ale tak liczne zgromadzenie *gai'shain* wzbudziłoby podejrzliwość nawet w kamieniu. Zwłaszcza w zestawieniu z faktem, że wszystkie trzy były ubrane. Dairaine z pewnością słyszała, kogo na ten ranek wezwała Sevanna. Skąd się dowiedzieli, że dzisiaj jest dzień ucieczki? Za późno, żeby się tym martwić. Gdyby któryś z Shaido również wiedział, dawno wywleczono by je z namiotu.

— Co wy tu robicie? — zapytała.

— Chcieliśmy być przy tym, jak odejdziesz, moja pani — odrzekł Theril swoim pospolitym, ledwo zrozumiałym akcentem. — Bardzo uważaliśmy, żeby dotrzeć tu pojedynczo lub dwójkami. Lusara pokiwała z zadowoleniem głową i nie była jedyna w tłumie.

— Cóż, możemy się już pożegnać — zdecydowanie oznajmiła Faile. Nie trzeba im mówić, jak bardzo narazili na szwank całą ucieczkę. — Do czasu, aż po was wrócę. — Jeżeli ojciec nie da jej armii, Perrin będzie musiał. Dzięki swej przyjaźni z Randem al'Thorem. Światłości, gdzie on się podziewał? Nie! Powinna być zadowolona, że jeszcze tu nie dotarł, że nie dał się zabić w daremnej próbie prześlizgnięcia się do obozu i uratowania jej. Powinna się z tego cieszyć i nie myśleć o powodach, które go zatrzymują. — Teraz idźcie, zanim ktoś was zobaczy i zacznie opowiadać historie. I z nikim na ten temat nie rozmawiajcie. — Ze strony popleczników nic jej nie groziło, w przeciwnym razie dawno trafiłaby w kajdany, ale wśród *gai'shain* było zbyt wielu takich jak Dairaine i nie dotyczyło to tylko od dawna przebywających w niewoli Cairhienian. Niektórzy ludzie mieli naturalne skłonności do lizania dłoni oprawców, gdziekolwiek się znaleźli.

Mężczyźni uklonili się, kobiety dygnęły, niektórzy przyłożyli kłykie do czoł — jakby w każdej chwili ktoś nie mógł wystawić głowy z namiotu i ich zobaczyć — a potem z ponurymi wyrazami twarzy rozeszli się w różne strony. Naprawdę chcieli się przyglądać, jak ucieka! Nie miała czasu, żeby teraz dawać wyraz rozdrażnieniu. Podbiegła do Bain i Chiad, pospiesznie wyjaśniła im sytuację w namiocie.

Kiedy skończyła, wymieniły spojrzenia, a potem postawiły kosz na ziemi i zamigotały palcami w mowie dłoni Panien. Nie patrzyła na ich ręce, ponieważ rozmowa najwyraźniej miała być prywatna. Tak czy siak, pewnie nie zrozumiałyby zbyt wiele. Ich palce poruszały się zbyt szybko. Płomiennowłosa Bain o ciemnoniebieskich oczach była od niej o pół dłoni wyższa szarooka Chiad tylko o palec. Były jej bliskimi przyjaciółkami, ale siebie adoptowały jako pierwsze siostry, a to tworzyło więź mocniejszą niż jakakolwiek przyjaźń.

— Zajmiemy się Dairaine Saighan — powiedziała w końcu Chiad. — Ale to oznacza, że musisz sama udać się do miasta.

Faile westchnęła, nic jednak nie mogła na to poradzić. Być może Rolan już nie spał. W tej chwili mógł ją obserwować. Zawsze pojawiał się jakby znikąd, gdy tylko go potrzebowała. Z pewnością nie przeszkodzi jej w ucieczce... przecież sam obiecał zabrać ją ze sobą kiedy opuści obóz! Mimo to

wciąż nie porzucił nadziei i nie porzuci jej, póki Faile będzie nosiła biel. On i te jego gry w pocałunki! Być może chciałby zatrzymać ją w szatach *gai'shain* odrobinę dłużej. Kiedy mężczyźni próbowali pomóc, zawsze im się wydawało, że ich sposób jest jedyny.

Bain i Chiad wślizgnęły się do małego namiotu, po chwili na zewnątrz wyszły Alliandre i Maighdin. W środku naprawdę nie było miejsca dla pięciu. Maighdin obeszła namiot i wróciła z koszykiem, identycznym jak przyniesiony przez Bain i Chiad. Z każdego wystawały brudne szaty *gai'shain*, przez co wyglądał jak kosz z praniem, ale pod nimi były prawie dopasowane sukienki, mały toporek, proca, rzemienie na wnyki, krzesiwo, woreczki z mąką, otrębami, suszoną fasolą, solą, drożdżami oraz kilka monet, jakie udało się zdobyć, czyli jednym słowem wszystko, czego potrzebowały, by dotrzeć do Perrina. Galina wyprowadzi je z obozu, ale nie sposób przewidzieć, w jakim kierunku zawiodą ją „sprawy Aes Sedai”. Od początku powinny być samowystarczalne. Faile uważała, że Aes Sedai porzuci je, gdy tylko będzie mogła. Maighdin stała nad swoim koszykiem, otaczała ją aura zdecydowania, szczęki miała zaciśnięte, oczy twarde, natomiast oblicze Alliandre zdobił uśmiech.

— Postaraj się nie wyglądać na tak zadowoloną — poradziła Faile. *Gai'shain* wywodzący się z mieszkańców mokradeł rzadko się uśmiechali, a nigdy tak radośnie.

Alliandre spróbowała przybrać inny wyraz twarzy, lecz za każdym razem, gdy uśmiech już zniknął, wypełzał znowu.

— Dzisiaj uciekamy — powiedziała. — Nie potrafię się nie uśmiechać.

— Przystaniesz, gdy zobaczy cię któraś z Mądrych i postanowi się przekonać, czemu jesteś taka szczęśliwa.

— Ani wśród namiotów *gai'shain*, ani w Malden zapewne nie spotkamy żadnej Mądrej — odrzekła tamta, wciąż się uśmiechając Maighdin, mimo zupełnie innego nastroju, przytaknęła. Faile poddała się. Po prawdzie, mimo przejść z Dairaine, sama czuła uniesienie. Dzisiaj uciekały.

Bain wyszła z namiotu, przytrzymała Chiad jego klapę, a tamta na plecach wyniosła z wnętrza tobolek owinięty w koc i na tyle duży, żeby można w nim domyślać się obecności małej kobietki zgiętej w pół. Chiad była silna, ale musiała się pochylić, żeby ciężar nie odgiął jej w tył.

— Dlaczego ona się nie rusza? — zapytała Faile. Nie bała się, że zabiły Dairaine. Rygorystycznie przestrzegały reguł stanu *gai'shain*, a jedną z nich był całkowity zakaz przemocy. Ale w kocu mogło być martwe drewno, tak był nieruchomy.

Bain odpowiedziała cicho, w jej oczach lśniło rozbawienie. — Poglaskałam ją po włosach i powiedziałam, że poczują niezadowolenie, jeśli będę jej musiała wyrządzić krzywdę. Prosta prawda, biorąc pod uwagę, ile *toh* kosztowałby mnie choć jeden wymierzony jej klaps. — Chiad zachichotała, — Myślę, że Dairaine Saighan uznała, że jej grozimy. Myślę, że będzie bardzo cicha i nieruchoma, póki jej nie uwolnimy. — Aż się zatrzęsała od bezgłośnego śmiechu. Poczucie humoru Aielów wciąż pozostawało dla Faile zagadką. Wiedziała, że przecież zostaną surowo ukarane. Pomoc w próbie ucieczki była karana równie ostro jak sama próba ucieczki.

— Jestem i będę wam bardzo wdzięczna — odrzekła, — I tobie, i Chiad, teraz i zawsze. Mam wobec was wielkie *toh* — Lekko pocałowała Bain w policzek, od czego tamta oczy wiście spłonęła rumieńcem czerwonym jak włosy. Aielowie byli bardzo pruderyjni w miejscach publicznych. Pod pewnymi względami.

Bain zerknęła na Chiad i lekki uśmiech pojawił się na jej ustach.

— Kiedy spotkasz Gaula, powiedz mu, że Chiad jest *gai'shin* u mężczyzny o silnych dłoniach, mężczyzny, którego serce to ogień. On zrozumie. Muszę pomóc zanieść jej ten ciężar w bezpieczne miejsce. Obyś zawsze znalazła wodę i cień, Faile Bashere. — Koniuszkami palców delikatnie musnęła policzek Faile. — Któregoś dnia znów się spotkamy.

Podeszła do Chiad, ujęła jeden z końców koca, a potem szybko odeszły z ciężarem. Gaul może i zrozumie, Faile nie pojmowała. Przynajmniej tego o ognistym sercu, wątpiła też, by dłonie Manderica w najmniejszym stopniu interesowały Chiad. Tamtemu brzydko pachniało z ust i kiedy nie udawał się na zbójckie lub myśliwskie wyprawy, pił od samego rana. Natychmiast opamiętała się, przegnała z głowy myśli o Gaulu i Mandericu, zarzuciła kosz na ramię. Już zmarnowały zbyt dużo czasu.

Niebo powoli oblekało się w barwy i jasność dnia, wśród bezładnej pstrokacizny namiotów pod murami Malden spieszyli *gai'shain* — na miejsce zleconych obowiązków, z jakimiś ciężarami, które przynajmniej sprawiały wrażenie, że coś robią — nikt nie zwracał uwagi na trzy kobiety niosące ku bramom miasta kosze z praniem. Prania zawsze było dużo, nawet dla *gai'shain* Sevanny. *Gai'shain* z mokradeł było zbyt wielu, żeby Faile знаła wszystkich, zrazu nikt znajomy nie wpadł jej w oko i tak było do czasu, aż dotarły na miejsce, gdzie przestępując z nogi na nogę, stały Arrela i Lacile z koszami na ramionach. Arrela była wyższa od większości kobiet Aielów, smagła, ciemne włosy strzygła krótko jak Panny i chodziła na męską modłę. Lacile była niska, blada, szczupła, we włosy wplatała czerwone wstążki, choć włosy te nie były dłuższe niż u towarzyszki niewoli. W sukniach chodziła wdzięcznie, a kiedy zakładała spodnie, jej chód nabierał wyuzdanego charakteru. Obie jak na komendę wydały z siebie autentyczne westchnienia ulgi.

— Myślałyśmy, że coś się stało — powiedziała Arrela.

— Nic, z czym byśmy sobie nie poradziły — uspokoiła ją Faile.

— Gdzie są Bain i Chiad? — nerwowo zapytała Lacile.

— Miały coś innego do załatwienia — odrzekła Faile. — Idziemy same.

Tamte wymieniły spojrzenia, a w ich westchnieniach tym razem nie było już ulgi. Oczywiście, że Rolan im nie przeszkodzi. Nie będzie się wtrącał do ich ucieczki. Oczywiście, że nie. Nabijane żelazem bramy Malden stały rozwarłe na oścież, ich skrzydła opierały się o granitowe mury — i tak było od upadku miasta. Rdza pobrązowiła żelazne sztaby, a zawiasy przeżarła do tego stopnia, że zamknięcie bram mogło się okazać niemożliwe. W szarych wieżach strzegących wjazdu wiły sobie gniazda gołębie.

Były pierwsze w mieście. A przynajmniej Faile nikogo nie widziała w głębi ulicy. Kiedy przeszły przez bramę, wydobyła sztylet z pochwy w rękawie i trzymała go w wyprostowanej ręce, ostrzem przyciśniętym do nadgarstka.

Pozostałe kobiety poszły za jej przykładem, choć brakowało im wprawy. Bez Bain i Chiad, z nadzieją, że Rolan i jego przyjaciele są zajęci czymś innym, musiały same zadbać o swoje bezpieczeństwo. Malden nie było aż tak niebezpieczne dla kobiety — dla kobiety *gai'shain*; ze Shaido, którzy próbowali polować na swoje, radzono sobie szybko za pomocą srogiej pokuty — nie było aż tak niebezpieczne dla kobiety jak ta część obozu, w której mieszkali Shaido, niemniej czasami zdarzały się tu napaści, bywało, że zbiorowe. Światłości, spraw, żeby, jeśli ich zaczepią, był to tylko jeden lub dwóch. Z jednym lub dwoma mogą sobie poradzić i zabić z zaskoczenia, zanim zorientują się, że te *gai'shain* mają zęby. Jeżeli będzie ich więcej, zrobią, na co je stać, ale w końcu garncarz czy tkacz Aielów był równie groźny, co wyszkolony żołnierz jakiegoś lorda. Nie dbając o ciężar koszy, wędrowały na paluszkach, oczy biegały im na wszystkie strony, w każdej chwili były gotowe uciekać w dowolnym kierunku.

Mimo iż pożar oszczędził tę część miasta, i tak przedstawiała sobą obraz ruiny. Skorupy zastawy stołowej i ceramiki chrzęściły pod miękkimi białymi butami. Strzępy odzieży zdartej z mężczyzn i kobiet obróconych w *gai'shain* wciąż zaścielały szare kamienie bruku. Na te żalosne, zetlałe łachy przez ponad miesiąc padał najpierw śnieg, a potem deszcz, Faile wątpiła, by teraz przyciągnęły

wzrok najnędniejszego łachmaniarza. Tu i tam poniewierały się dziecięce zabawki — drewniany koń czy lalka, z której już płatkami obłaziła farba — porzucone przez młodych, którym pozwolono uciec wraz z bardzo starymi, chorymi i słabymi. Kryte łupkiem drewniane czy kamienne domy przy ulicy ziały wybitymi otworami okien i drzwi. Wraz ze wszystkimi przedmiotami codziennego użytku, jakie wpadły w oko Shaido, miasto ogołocone zostało z każdego luźnego kawałka drewna i tylko fakt, że rozbiórka domów była mniej efektywna niż ścinanie drzew w otaczających lasach, oszczędził drewniane konstrukcje budynków. Ich fasady kojarzyły się Faile z pustymi oczodołami czaszki. Wędrowała tymi ulicami masę razy, ale dopiero teraz odniosła wrażenie, że jest obserwowana. Aż włosy jeżyły jej się na głowie.

W połowie drogi przez miasto obejrzała się ku bramom, od których dzieliło ją nie więcej niż sto pięćdziesiąt kroków. Ulica wciąż pozostawała pusta, ale wkrótce mieli się na niej pojawić pierwsi mężczyźni i kobiety z wiadrami na wodę. Czerpanie wody zaczynało się wcześniej i trwało cały dzień. Należało się pospieszyć. Skręciła w wąską, boczną uliczkę, przyspieszyła kroku, choć miała kłopoty z utrzymaniem kosza w równowadze. Pozostałe zapewne radziły sobie nie lepiej, lecz żadna się nie skarżyła. Muszą się gdzieś schować, zanim pojawią się tamci *gai'shain*. Nie było żadnych powodów, aby *gai'shain* wchodząc do miasta, plątali się po bocznych uliczkach, miast zmierzać prosto do cysterny pod fortecą. Czyjaś chęć zaskarżenia sobie drobnej łaski lub po prostu nieostrożne słowo mogą sprawić, że Shaido natychmiast zaczną ich ścigać po mieście, a stąd była tylko jedna droga wyjścia, nie licząc tej przez mury, która wszak wiązała się ze skokiem z wysokości dziesięciu kroków i ryzykiem połamania nóg.

Doszły do dwupiętrowego, kamiennego budynku pozbawionej obecnie szyldu i ziejącej wybitymi oknami gospody, tam Faile szybko weszła do wspólnej sali, pozostałe podążyły za nią. Laciele zdjęła z ramion kosz i oparła się o futrynę drzwi, aby obserwować ulicę. Sklepienie belkami pomieszczenie było aż do zakurzonych desek podłogi odarte ze wszystkiego, a w kamiennym kominku brakowało rusztów, pogrzebaczy i innych utensyliów. Z klatki schodowej na tyłach sali wyłamano poręczę, zniknęły też drzwi do kuchni. Kuchnia była w równie żalnym stanie. Faile sprawdziła, ponieważ jakieś garnki noże lub łyżki mogły się przydać. Wreszcie postawiła kosz na podłodze i pospieszyła ku klatce schodowej. Był to nadzwyczajny okaz solidnej ciesielskiej roboty, grube belki przygotowano do tego, by przetrwały pokolenia wchodzących i schodzących. Rozbiórka tej klatki nastęrczałaby tyleż kłopotów, co zdemolowanie całego budynku. Sięgnęła pod schody i na powierzchni belki nośnej wyczuła szeroką jak nadgarstek, nie całkiem szklaną różdżkę. W swoim czasie jakoś nie potrafiła wymyślić lepszej kryjówki, z drugiej strony, kto by zaglądał w takie miejsce — teraz poczuła, jak opuszcza ją napięcie.

Laciele wciąż trwała przyklejona do framugi drzwi, pozostałe podbiegły do Faile.

— W końcu — powiedziała Alliandre, ostrożnie gładząc różdżkę czubkami palców. — Cena naszej wolności. Co to jest?

— *Angreal* — odrzekła Faile. — A może *ter'angreal*, Nie wiem na pewno, wiem tylko, że Galina bardzo chce to mieć, a więc musi chodzić o jedno i drugie.

Maighdin śmiało położyła dłoń na różdżce.

— To może być i jedno, i drugie — mruknęła. — Często pod dłonią ich powierzchnia sprawia dziwne wrażenie. Przynajmniej tak mi mówiono. — Twierdziła, że nigdy nie była w Białej Wieży, jednak Faile ostatnimi czasy coraz mniej dawała wiary jej słowom. Maighdin potrafiła przenosić, nie mniej tak słabo i kosztem tak ogromnego zmęczenia, że Mądre nie widziały niebezpieczeństwa w daniu jej całkowitej swobody. Cóż, swobody na tyle, na ile mogli się nią cieszyć *gai'shain*. Jej zaprzeczenia mogły być kwestią wstydu. Faile słyszała, że kobiety, które wygnano z Wieży, ponieważ

nie mogły zostać Aes Sedai, często zaprzeczały, iż w ogóle w niej były, aby skryć przed światem swą niewątpliwą porażkę.

Arrela pokręciła głową i cofnęła się o krok. Była Tairenianką, więc mimo iż zdarzało się jej podróżować w towarzystwie Aes Sedai, wciąż czuła się nieswojo wobec Mocy i wszelkich przedmiotów z nią związanych. Spojrzała na gładką, białą różdżkę jak na czerwoną zmię i oblizła wargi.

— Galina może już na nas czeka. Zdenerwuje się, jeśli każemy jej czekać zbyt długo.

— Droga wciąż wolna, Lacile? — zapytała Faile, wkładając różdżkę na dno koszyka. Arrela westchnęła ciężko, wyraźnie tak samo zadowolona, że nie musi już patrzeć na tę rzecz, co wcześniej z widoku Faile.

— Tak — odparła Cairhienianka. — Ale nie pojmuję dlaczego. — Wciąż stała tak, by jednym okiem zerkać przez krawędź framugi. — O tej porze już pierwsi *gai'shain* powinni iść po wodę.

— Może coś się stało w obozie — powiedziała Maighdin. Nagle twarz jej spochmurniała, w rękę błysnął nóż. Miał drewnianą rękojeść i poszczerbione, pokryte wgłębieniami od rdzy ostrze. Faile powoli pokiwała głową. Może na przykład znaleziono już Dairaine. Tamta nie potrafiłaby powiedzieć, dokąd udała się Faile wraz z pozostałymi, ale mogła rozpoznać kogoś wśród zgromadzonych *gai'shain*. Jak długo wytrzymają na przesłuchaniu? Jak długo wytrzyma Alvon, gdy zaczną przesłuchiwać Therila?

— W tej sprawie i tak nic nie możemy zrobić. Galina nas stąd wyciągnie.

Mimo to po wyjściu z budynku gospody pobiegły, trzymając kosze przed sobą i zadzierając szaty, aby się nie potknąć. Nie tylko Faile często oglądała się przez ramię i traciła równowagę. Nie była nawet pewna, czy poczuła ulgę, gdy w końcu zobaczyła *gai'shain* z wiadrami na koromysłach w prześwicie i krzyżującej się głównej ulicy miasta. Z pewnością natomiast zwolniła kroku.

Nie musiały biec daleko. Po kilku chwilach zapach spalonego drewna, który już wywietrzał z reszty Malden, nanił się. Południowa część miasta stanowiła kompletną ruinę. Zatrzymały się na jej skraju, a potem ostrożnie minęły róg ulicy tak, aby nie dostrzeżono ich z głównego prospektu. Miejsce, gdzie stały, dzieliło od południowych murów obronnych niecałe dwieście kroków — całą tę przestrzeń zajmowało pozbawione dachów gruzowisko poczerniałego kamienia, gdzieniegdzie przetykane stosami zwęglonych belek, które deszcze do czysta opłukały z popiołów. Tu i tam w więźbie budynków brakowało nawet najgrubszych legarów. Tylko po południowej stronie ulicy, na której się znajdowały, stały ściany choć trochę przypominające dawną zabudowę. Tu właśnie powstrzymano ogień, który rozszalał się po tym, jak Shaido zdobyli miasto. Sześć budynków było pozbawionych dachów, choć niższe piętra wydawały się nietknięte, kilkanaście składało się z pochylonych stosów kamienia i poczerniałych belek, wreszcie na wpół spalonych desek, które mogły zawalić się w każdej chwili.

— Tam — powiedziała Maighdin, wskazując na wschodni kraniec ulicy. Niedaleko na wietrze powiewał strzęp czerwonej materii. Zamocowany w ścianie jednego z domów grozących zawaleniem. Podeszły bliżej, postawiły kosze na bruku. Czerwona materia załopotała znowu.

— Dlaczego chciała się z nami spotkać właśnie tutaj? — mruknęła Alliandre. — Wystarczy, że któraś kichnie, a to się zawali. — Potarła nos, jakby właśnie jej się zachciało.

— Jest całkiem wytrzymały. Sprawdziłam. — Dobiegający zza pleców głos Galiny sprawił, że Faile aż podskoczyła. Kobieta podążała w ich kierunku, najwyraźniej wyszła z jednego z budynków po przeciwnej, północnej stronie ulicy. Po tak długim czasie oglądania jej w pasku i naszyjniku ze złota oraz ognistych łez sprawiała bez nich dziwne wrażenie. Wciąż miała na sobie białe jedwabie, niemniej brak biżuterii był przekonujący. Galinie nie udało się jakimś sposobem odwrócić kota

ogonem, mówiła prawdę. Dzisiaj wyjeżdżała.

— Dlaczego nie w jednym z lepiej zachowanych budynków? — dopytywała się Faile. — Albo tutaj?

— Ponieważ nie chcę, by ktoś widział to w moich rękach — powiedziała Galina, przechodząc obok. — Ponieważ nikt nie będzie zaglądał do wnętrza takiej ruiny. Ponieważ tak chciałam. — Przeszła przez otwór, który kiedyś był drzwiami, schylając się pod ciężką, poczerniałą belką stropu zagrządzającą wejście. Zaraz skręciła w prawo i zeszła po schodach na dół. — Nie ociągajcie się.

Faile wymieniła spojrzenia z pozostałymi kobietami. To było co najmniej dziwne. — Jeżeli ona ma nas stąd wydostać — warknęła Alliandre, chwytając swój kosz — mogę jej to dać w całkowitym odosobnieniu. — Mimo odważnych słów zaczęła, aż Faile weźmie swój koszyk i pójdzie pierwsza.

Nad wiodącymi w dół drewnianymi schodami nisko wisały zwęglone belki i poczerniałe deski, ale swoboda Galiny ośmieliła również Faile. Ta kobieta nie ryzykowałaby przecież pogrzebienia żywcem tudzież przygniecenia w momencie, gdy w końcu zdobędzie różdżkę. Przez szczeliny nad głowami, niektóre szerokie niczym okna, wpadały smugi światła, było dość jasno, żeby zobaczyć, iż mimo zdradzieckiego wyglądu tego, co nad głowami, piwnica jest w stosunkowo dobrym stanie. Pod jedną z kamiennych ścian stały wielkie beczki, większość była popalona, od żaru wyskoczyły im klepki, niemniej nietrudno się domyślić, iż wcześniej była to gospoda bądź tawerna. A może sklep winiarza. Tereny wokół Malden rodziły ogromne ilości średniej jakości wina.

Galina stała w małej kałuży światła na środku zasłanej drobnym gruzem podłogi. Na twarzy miała pogodę Aes Sedai, podniecenie poprzedniego dnia zupełnie gdzieś się zapodziało.

— Gdzie to jest? — zapytała chłodno. — Daj mi. — Faile postawiła koszyk na podłodze i sięgnęła głęboko ręką.

Kiedy wydobyła białą różdżkę, dłonie Galiny zadrżały. Faile podała jej różdżkę, ona sięgnęła po nią niemal z wahaniem. Gdyby nie wiedziała lepiej, Faile doszłaby do wniosku, że tamta boi się wziąć ją do ręki. W końcu palce Galiny objęły różdżkę, wypuściła długo wstrzymywany oddech. Wyszarpnęła różdżkę z ręki Faile, zanim ta zdążyła rozluźnić uchwyt. Aes Sedai drżała, ale jej uśmiech był... triumfujący.

— Jak zamierzasz nas wyprowadzić z obozu? — zapytała Faile. — Czy powinnyśmy się już przebrać?

Galina otworzyła usta, potem zniecka uniosła wolną dłoń, wnętrzem w ich stronę. Głowę nachyliła w kierunku schodów, I jakby nasłuchując.

— Może to nic — powiedziała cicho. — Ale najlepiej będzie, jak sprawdzę. Zaczekajcie tutaj i bądźcie cicho. Bądźcie cicho — syknęła, kiedy Faile spróbowała się odezwać. Aes Sedai uniosła krawędź jedwabnych szat, pospieszyła ku schodom, a potem wstąpiła na nie, sprawiając wrażenie kogoś, kto nie wie, co go czeka na górze. Wkrótce jej stopy zniknęły za rumowiskiem pochylonych desek i belek.

— Czy któraś coś słyszała? — szepnęła Faile. Wszystkie pokręciły głowami. — Może ona dzierży Moc. Słyszałam, że dzięki temu...

— Nie dzierżyła Mocy — wtrąciła Maighdin. — Nigdy nie widziałam, żeby...

Nagle nad nimi zajęczało drewno, a potem z ogłuszającym łomotem zawaliły się belki i deski, wzniesając oślepiające tumany czarnego pyłu i piachu, od których Faile pochwyciły paroksyzmy kaszlu. W powietrzu zniecka zaciążył odór spalenizny, jak w dniu, gdy płonęło Malden. Coś zleciało z góry i uderzyło ją mocno w ramię, przykucnęła, starając się chronić głowę. Któraś z kobiet krzyknęła. Faile usłyszała stuk kolejnych fragmentów niepewnego sklepienia walących się na

podłogę piwnicy. Ale to były tylko deski, fragmenty desek — nic nie załomotało tak ciężko i głośno, jak uczyniłaby to spadająca belka lub fragment legara.

W końcu — wydawało się, że trwa to całe godziny, a zapewne minęło kilka minut — deszcz gruzu przestał się sypać. Kurz zaczął powoli opadać. Szybko rozejrzała się dookoła — jej towarzyszki kulily się na podłodze, głowy chowając w ramionach. Światła było jakby więcej niż przed katastrofą. Nicco więcej. Niektóre ze szczelin nad głową stały się szersze. Po twarzy Alliandre spod włosów spływała strużka krwi. Wszystkie od stóp do głów pokrywał czarny kurz.

— Żadnej nic się nie stało? — zapytała Faile i rozkaszała się. Kurz nie opadł jeszcze do reszty, czuła jego smak na języku i w gardle. Smak węgla.

— Nie — odrzekła Alliandre, delikatnie macając czaszkę. — To tylko zadrapanie. — Pozostałe również zgodnie twierdziły, że z nimi wszystko w porządku, choć Arrela chyba z trudem poruszała prawą ręką. Bez wątpienia wszystkie zostały mocno poobijane, a Faile podejrzewała, że jej lewe ramię wkrótce zrobi się sinoczarne, niemniej trudno to było uznać za prawdziwą ranę.

Potem jej wzrok padł na klatkę schodową i poczuła łzy napływające do oczu. Spadający z góry gruz wypełnił całą przestrzeń w miejscu, gdzie niedawno były schody. Choć może uda się przecisnąć przez szersze szczeliny w suficie... Faile pomyślała, że gdyby stanęła na ramionach Arreli, mogłaby do nich sięgnąć... Z drugiej strony, pewnie nie da rady się przecisnąć, mając do dyspozycji tylko jedno zdrowe ramię. Arrela też pewnie sobie nie poradzi. A gdyby nawet którejs się udało, musiałaby dalej pełznąć przez gąszcz wypalanej ruiny, co zapewne doprowadzi do obsunięcia się reszty gruzowiska.

— Nie! — jęknęła Alliandre. — Nie teraz! Kiedy już byliśmy tak blisko! — Wstała, podbiegła do stosu desek i belek, tak że prawie przywarła do nich całym ciałem, zaczęła krzyczeć: — Galina! Pomóż nam! Jesteśmy w pułapce! Przenieś Moc i usuń deski! Oczyść drogę, żebyśmy mogły wyjść! Galina! Galina! Galina! — Zawisła na płataninie drewna, ramiona jej drżały. — Galina — płakała. — Galina, pomóż nam.

— Galiny już nie ma — gorzko oznajmiła Faile. Gdyby była na górze i chciała im pomóc, już dawno by się odezwała. — Fakt, że zostałyśmy tu uwięzione i być może nie żyjemy, daje znakomitą wymówkę, by nas zostawić. Poza tym, nie wiem, czy jakaś Aes Sedai poradziłaby sobie z tymi belkami, nawet gdyby spróbowała z całych sił. — Nie chciała wspominać możliwości, że Galina sama zaaranżowała sobie tę wymówkę. Światłości, nie powinna wówczas uderzyć tej kobiety. Lecz na obwinianie się też już było za późno.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Arrela.

— Odkopimy się — odpowiedziały równocześnie Faile i Maighdin. Faile zerknęła z zaskoczeniem. Na brudnej twarzy jej pokojówki zastygł grymas prawdziwie królewskiej determinacji.

— Tak — przyznała Alliandre, prostując się. Odwróciła się, a w śladach łez wyrzeźbionych w warstwie kurzu pokrywającej twarz nie zalsniła świeża wilgoć. Naprawdę była królową i zapewne zawstydziła ją odwaga okazana przez zwykłą pokojówkę damy. — Wykopiemy się. A jeśli nam się nie uda... Jeśli nam się nie uda, nie umrę, mając to na sobie! — Odpięła złoty pasek, cisnęła pogardliwie w kąt piwnicy. Wkrótce jego śladem poleciała złota obroza.

— Będą nam potrzebne, żeby przedostać się przez obóz Shaido — łagodnie napominała ją Faile. — O pomocy Galiny zapewne możemy zapomnieć, mimo to mam zamiar dziś się stąd wydostać. — Chodziło o Dairaine. Bain i Chiad nie mogły jej ukrywać w nieskończoność. — A przynajmniej zaraz po tym, jak się wydostaniemy. Będziemy udawać, że nas wysłano na jagody. — Nie chciała jednak wzgardzić śmiałym gestem lenniczki. — Na razie nikt nie każe nam ich nosić. — Zdjęła pasek i

obrożę, postawiła prosto kosz i położyła je na brudnej odzieży gai'shain. Pozostałe poszły za jej przykładem. Alliandre wzięła własny pasek i obrożę, śmiejąc się żałośnie. Dobrze, że choć potrafiła się śmiać. Faile jakoś nie było do śmiechu.

Gmatwanina poczerniałych belek i na poły spalonych desek przypominała jedną z tych zagadek kowalskich, które tak lubił jej Perrin: na cokolwiek się nie spojrzano, zahaczało o coś innego. Gorzej, z najcięższymi belkami prawdopodobnie nie poradzą sobie nawet wspólnymi siłami. Gdyby wszak udało się częściowo oczyścić drogę, a potem prześlizgnąć się między najgrubszymi legarami... To mogłoby być dość niebezpieczne. Ale kiedy z opresji wiezie tylko niebezpieczna droga, wybiera się ją.

Kilka desek dało się całkiem łatwo wyjąć. Położyły je na stosie w głębi piwnicy. Potem każdą trzeba było wybierać z najwyższą ostrożnością, stwierdziwszy najpierw, co może się zawalić, gdy zostanie usunięta. Sięgały dłońmi najdalej, jak mogły w głąb drewnianego galimatiasu, macały gwoździe, które mogły o coś zaczepić, przez cały czas starając się nie myśleć, że wszystko może runąć i zmiażdżyć ręce. W następnej dopiero kolejności przystępowały do usuwania kolejnych elementów — czasami ciągnęły po dwie, coraz mocniej, póki kolejna deska nie wyszła. Praca postępowała powoli, wielki stos od czasu do czasu wydawał niepokojące odgłosy, przesuając się nieznanie. Kiedy tak się działo, wszystkie odskakiwały do tyłu, wstrzymując oddech. I nie ruszały się, póki nie były pewne, że drewniany potrzask nie runie. Mozolna robota stała się całym ich światem. Raz Faile zdało się, że słyszy wycie wilków. Zazwyczaj wilki wzbudzały w jej głowie myśli o Perrinie, ale nie tym razem. Robota była wszystkim. Wtedy Alliandre wyszarpnęła kolejną zwęgloną deskę, a cała masa z żalonym jęczeniem zaczęła się chwiać. I chylić w ich stronę. Wszystkie pobiegły w głąb piwnicy, stos drewna zawalił się z ogłuszającym łomotem, wzniecając tumany pyłu.

Kiedy przestały kaszleć i przejrzały na oczy — ledwie, ledwie zresztą, ponieważ w powietrzu wciąż było pełno kurzu — przekonały się, że piwnica została zasypana w jakiejś jednej czwartej. Cała ich robota na nic, a co gorsza, reszta złowieszczonego rumowiska wyraźnie nachylała się w ich stronę. Zajęczała raz jeszcze, pochyliła się bardziej, wreszcie zamarła. Na pierwszy rzut oka było widać, że pierwsza wyciągnięta deska spowoduje, iż reszta zwali im się na głowy. Arrela zaczęła cicho płakać. Zwodnicze szczeliny wpuszczały do środka jeszcze więcej światła, widać było przez nie nawet ulicę i niebo, o przeciśnięciu się wszak nie było mowy, nawet w przypadku najszczuplejszej z nich, Lacile. Faile zobaczyła też czerwoną; chustkę, którą Galina oznaczyła budynek. Przez chwilę drgała lekko na wietrze.

Patrzyła na chustę i w pewnym momencie schwyciła Maighdin za ramię.

— Chciałabym, żebyś spróbowała zmusić tę chustę do poruszania się w taki sposób, w jaki na wietrze nigdy by się nie mogła poruszać.

— Chcesz ściągnąć na nas uwagę? — zapytała ochryłym głosem Alliandre. — Któż prócz Shaido mógłby to zobaczyć?

— Lepiej Shaido, niż umrzeć tu z pragnienia — odrzekła Faile, a jej słowa zabrzmiały ostrzej, niż zamierzała. Cóż, nigdy już nie zobaczy Perrina. Jeżeli Sevanna każe ją zakuć w łańcuchy, przynajmniej ostatecznie żywa i będzie mogła marzyć, że on ją uratuje. A uratuje ją w końcu, tego była pewna. Jej obowiązkiem było odtąd zachowanie towarzyszących jej kobiet przy życiu. A jeśli oznacza to niewolę, trudno. — Maighdin?

— Potrafię spędzić cały dzień na próbach objęcia Źródła — odpowiedziała złotowłosa kobieta obojętnym tonem. Zgarbiła ramiona, wzrok wbiła w pustkę. Z wyrazu twarzy można było wnosić, że właśnie przepaść rozwarła się pod jej stopami. — A gdy mi się nawet uda, rzadko kiedy wychodzi z

tego jakiś splot.

Faile puściła ramię Maighdin i pogładziła ją po głowie.

— Wiem, że to trudne — rzekła uspokajająco. — Cóż, tak naprawdę jednak nie wiem. Nigdy tego nie czyniłam. Ale ty tak. I możesz to zrobić znowu. Nasze życie jest w twoich rękach, Maighdin. Znam siłę drzemiącą w tobie. Widywałam ją od czasu do czasu. Nigdy się nie poddasz. Wiem, że możesz sobie z tym dać radę, że dasz.

Powoli Maighdin wyprostowała się, a wyraz rozpaczony zniknął z jej twarzy. Ta przepaść wciąż pewnie ziała pod jej stopami, ale nawet jeśli będzie musiała w nią wpaść, wpadnie bez mrugnięcia okiem. — Spróbuję — obiecała.

Przez dłuższy czas wpatrywała się w chustę, potem ze zniechęceniem pokręciła głową.

— Źródło jest, niczym słońce, tuż za krawędzią pola widzenia — szepnęła. — Ale za każdym razem, gdy próbuję je objąć, to jakbym nabierała w dłonie dym.

Faile pośpiesznie wyciągnęła szaty *gai'shain* z koszyka, potem opróżniła następny, nie dbając o lecące na kamienną podłogę złote paski i obroże.

— Usiądź — poleciła, robiąc z szat zaimprovizowaną poduszkę. — Usiądź wygodnie. Wiem, że potrafisz, Maighdin. — Posadziła tamtą, a potem podwinęła nogi i usiadła obok. — Dasz radę — cicho zapewniała Alliandre, siadając przy drugim boku Maighdin.

— Tak, poradzisz sobie — szepnęła Lacile, dołączając do nich.

— Wiem, że tak — zakończyła Arrela, osuwając się na podłogę.

Czas mijał, Maighdin patrzyła na chustkę. Faile szeptem dodawała jej ducha, z całych sił trzymając się ostatniej nadziei. Nagle chustka wyprężyła się, jakby coś mocno nią szarpnęło. Cudowny uśmiech rozjaśnił oblicze Maighdin, a chustka zaczęła się kołysać w tył i w przód, niczym wahadło. Sześć, siedem, osiem razy. Potem zatrzepotała na wietrze i oklapła.

— To było cudowne — powiedziała Faile.

— Cudowne — powtórzyła Alliandre. — Uratujesz nas, Maighdin.

— Tak — mruknęła Ariela. — Uratujesz nas, Maighdin.

Są różne bitwy. Siedziały na podłodze, szeptem dodawały otuchy Maighdin, która zmagiała się ze znalezieniem tego, co jakże rzadko dane jej było znaleźć, i walczyły o życie. A chustka raz wyprężyła się, by następnie oklapnąć, wyprężyć się znowu i oklapnąć. Ale walczyły.

Galina starała się nie rzucić w oczy i przede wszystkim nie sprawiać wrażenia, że się spieszy, kiedy wędrowała przez Malden ku murom obronnym miasta, mijając szeregi odzianych na biało mężczyzn i kobiet, niosących puste wiadra w jedną stronę, a pełne w drugą. Nie chciała ściągać na siebie uwagi choćby dlatego, że była bez tego przeklętego paska i naszyjnika. Ubierała się w nocy, Therava jeszcze spała, i z początku założyła je na siebie, ale potem pragnienie ich zdjęcia stało się nieodparte i tym sposobem skończyły wraz z ubraniami oraz innymi rzeczami przygotowanymi do ucieczki. Poza tym, gdyby Therava się obudziła i stwierdziła, że jej nie ma, z pewnością by się rozgniewała. Kazałaby szukać swej „małej Liny”, a dzięki tym klejnotom wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi. Cóż, te kobiety zapłacą teraz za pomoc okazaną jej, by mogła wrócić do Wieży, na swoje właściwe miejsce. Ta arogancka Faile i pozostałe idiotki już nie żyły albo, praktycznie rzecz biorąc, właśnie umierały, ona była wolna. Pogłaskała ukrytą w rękawie różdżkę i aż zadrżała z rozkoszy. Wolna!

Nienawidziła myśli, że musi zostawić Theravę przy życiu, ale gdyby ktokolwiek wszedł do namiotu kobiet i znalazł tamtą z nożem w sercu, Galina byłaby pierwszą podejrzaną. Poza tym... Przed oczyma rozwinęła się wizja: oto z nożem w dłoni pochyła się ukradkiem nad śpiącą Theravą, oczy Theravy otwierają się, spotykają jej wzrok w ciemności, Galina krzyczy, palce rozwierają się w ataku paniki, upuszcza nóż, potem błaga Theravę... Nie. Nie! To nie byłoby tak. Z pewnością nie! Zostawiła Theravę przy życiu motywowana koniecznością, a nie dlatego... Nie, z żadnego innego powodu. Nagle z oddali, ze wszystkich stron naraz dobiegło ją wycie wilków, co najmniej tuzin lub więcej. Zatrzymała się jak wryta. Otaczało ją bezładne zbiorowisko namiotów, ściana cyrkowych, niskich namiotów Aielów. Nie zdając sobie sprawy, przeszła prosto przez część obozu przeznaczoną dla *gai'shain*. Uniosła wzrok, spojrzała na grzbiet wzgórza górującego nad Malden od zachodu i zamrugła. Wokół całej długości jak okiem sięgnąć, kłębiła się mgła, skrywając drzewa. Wzgórza od wschodu nie widziała, ponieważ kryło się za murami miasta, ale pewna była, że tam też zobaczyłaby gęstą mgłę. On przybył! Wielki Władco, zdążyła akurat na czas! Cóż, jakkolwiek by się starał, nie znajdzie swej głupiej żony, a nawet gdyby ona przeżyła, nie znajdzie Galiny Casban. Dziękując Wielkiemu Władcy za to, że Therava nie zabroniła jej jeździć konno — wołała zostawić sobie w odwodzie ewentualność takiego zakazu, by w ten sposób zmusić ją do jeszcze głębszego ukorzenia się — Galina pośpieszyła do miejsca, gdzie ukryła swój ekwipunek. Niech giną głupcy, którzy tego chcą. Ona była wolna. Wolna!

ROZDZIAŁ 12

OSTATNI WĘZEL

Perrin stał nieco poniżej grzbietu wzgórza, tuż za krawędzią mgły i przyglądał się obozowi oraz ufortyfikowanemu miastu poniżej. Dwieście kroków raczej stromego stoku z rzadka porośniętego niskimi krzakami, potem równy teren, może jakieś siedemset kroków, aż do pierwszych namiotów, wreszcie ponad mila do miasta. Wydawało się tak bliskie. Nie potrzebował używać szkła powiększającego. Błysk słońca w soczewkach, słońca, które właśnie zerkało znad horyzontu cienkim na paznokcie skrawkiem złotoczerwonej tarczy, mógłby zniszczyć wszystko. Wokół niego kłębiła się szarość, której wszakże nie poruszał wiatr, nawet gdy dmuchał mocno i szarpał poły płaszcza. Gęsta mgła na odległym szczycie, w której kryły się tamtejsze wiatraki, również zdawała się jakaś zbyt nieruchoma, gdy się dokładniej przyjrzeć. Ile czasu minie, nim ktoś w namiotach się zorientuje? Nic nie można na to poradzić. Z bezpośredniej bliskości mgła była jak każda mgła: mokra i nieco chłodna, ale jakimś sposobem Neald zdołał zakotwiczyć i ją i tę drugą w miejscu, zanim udał się do innych zadań. Słońce nawet do południa nie wypali tych mgieł, twierdził Asha'man. A do południa wszystko się już rozstrzygnie tak czy inaczej niemniej Perrin wołał wierzyć, że tamten ma rację. Niebo było jasne, dzień zapowiadał się ciepły jak na wczesną wiosnę.

W obozie można było dostrzec stosunkowo niewielu Shaido, natomiast wśród namiotów kręciły się tysiące odzianych w biel postaci. Dziesiątki tysięcy. Wyteżał oczy, próbując wypatrzeć wśród nich Faile, do bólu tęskniło za nią jego serce.

Równie dobrze mógłby szukać igły w stogu siana. Zrezygnował, więc, przeniósł wzrok na bramy miasta, szeroko rozwarte jak zawsze. Zapraszająco rozwarte. Wzywały go. Wkrótce, Faile i jej towarzyszkę dowiedzą się, że już czas skierować się ku tym bramom i górującym nad północną częścią miasta basztom fortecy. Może zajmowała się właśnie jakimiś obowiązkami, jeżeli Panny miały rację i więźniów traktowano tak jak *gai'shain*, ale dowie się i znajdzie sposób wymknięcia się do fortecy. Wraz z przyjaciółkami i Alyse zapewne również. Jakikolwiek prowadziła intrygi wśród Shaido, Aes Sedai z pewnością nie zechce pozostać na polu bitwy. Przydałaby się druga siostra w fortecy. Światłości, spraw, żeby do tego nie doszło.

Ułożył sobie plany na wszelkie ewentualności, jakie potrafił przewidzieć, aż po całkowitą katastrofę, niemniej to nie była kowalska łamigłówka, niezależnie, jak by się chciało. Fantastycznie ukształtowane kawałki metalu kowalskiej łamigłówki mogły się poruszać tylko w jeden sposób. Wystarczyło go znaleźć i rozchodziły się — łamigłówka była ułożona. Ludzie potrafili zachowywać się na tysiąc rozmaitych sposobów, czasami niemożliwych do wyobrażenia, póki nie nastąpiły. Czy jego plany przydadzą się na cokolwiek, gdy Shaido zrobią coś nieprzewidzianego? A z niemalże całkowitą pewnością można było przyjąć, że tak będzie; wtedy pozostanie tylko nadzieja, iż wszystko nie zakończy się wzmiankowaną katastrofą. Z, ostatnim, tęsknym spojrzeniem na bramy Malden odwrócił się i wycofał na grzbiet wzgórza.

We mgle nie widział nawet na sto kroków, niemniej wśród drzew wkrótce znalazł Dannila Lewina. Szczupły, prawie chudy z wydatnym nosem i sumiastymi wąsiskami na tarabońską modłę, Dannil rzucał się w oczy nawet tam, gdzie ciemność utrudniała rozpoznanie czyjejkolwiek twarzy. Pozostali ludzie z. Dwóch Rzek skupili się za nim, sylwetki stojących dalej tonęły w mglistym tle. Większość przykucnęła lub usiadła na ziemi, korzystając z każdej chwili odpoczynku. Jori Congar próbował namówić kogoś na grę w kości, ale robił to dyskretnie, więc Perrin nie interweniował. I tak nikt nie chciał grać. Jori miał nadzwyczajne zupełnie szczęście.

Na widok Perrina Dannil spróbował się ceremonialnie uklonić i mruknął:

— Mój panie. — Spędzał chyba zbyt dużo czasu z ludźmi Faile. Twierdził, że w ten sposób zdobywa ogładę, cokolwiek to miało znaczyć. Człowiek to nie kawałek drzewa, żeby go wygładzać.

— Upewnij się, że nikt się nie zachowa niczym wełnianogłowy idiota, jak ja przed chwilą. Bystre oko może z dołu wyłapać ruch pod szczytem i tamci wyślą ludzi na zwiady. Dannil odkaszlnął dyskretnie, zasłaniając usta dłonią, Światłości, stawał się równie niemożliwy jak ci Cairhienianie i Tairenianie.

— Jak rozkażesz, mój panie. Nie pozwolę nikomu się wychylać.

— Mój panie? — z mgły dobiegł suchy głos Balwera. — Ach, tutaj jesteś, mój panie. — Przed Perrinem zamajaczył cień chudy jak patyk, jego śladem podążały dwa nieco większe cienie, choć jeden z nich równie niski. Zatrzymał ich gestem uniesionej dłoni tak, że ich sylwetki nie zmateriały się do końca, sam podszedł bliżej.

— Masema urządził tam na dole niezłe przedstawienie, mój panie — oznajmił cicho, składając dłonie. — Uznałem, że mając na względzie okoliczności, najlepiej się stanie, jeżeli Haviar i Nerion nie będą się rzucać w oczy ani jemu, ani jego ludziom. Nie sądzę, aby ich podejrzewał. Ponieważ przekonany jestem, że wszystkich, których podejrzewał, dawno kazał pozabijać. Mimo to najlepiej postępować według zasady: Co z oczu, to z serca.

Perrin poczuł, jak mu się zaciskają szczęki. Masema miał czekać za południowym wzgórzem

razem ze swoją armią jeśli jego hałastra w ogóle zasługiwała na to miano. Porachował tych mężczyzn — oraz kilka kobiet, których też się doszukał — kiedy powłócząc nogami, przechodzili niespokojnie przez bramy stworzone przez dwóch Asha'manów i doliczył się dwudziestu tysięcy, co do człowieka. Masema zawsze dość enigmatycznie wyrażał się o liczebności swoich sił, a do ostatniego wieczoru Perrin nie miał okazji stwierdzić na własne oczy, jak się rzeczy mają. Obszarpani, brudni, nieliczni tylko w hełmach, o napierśnikach już nie wspominając — za to w każdej dłoni miecz, włócznia, topór, halabarda czy kusza i do kobiet się to też odnosiło. Wyznawczynie Masemy były znacznie gorsze niż jego wyznawcy, a to już coś o nich mówiło. Ta banda nadawała się zasadniczo tylko do terroryzowania ludzi i wymuszania na nich przysięg wierności Smokowi Odrodzoneму — kolory zawirowały przed jego oczyma i pierzchły, przegnane gniewem — oraz mordowania ich, gdy odmówili. Dzisiejszy dzień przyniesie im szansę oddania życia w szlachetniejszym celu. — Może już czas, żeby Haviar i Nerion na dobre odłączyli się od ludzi Masemy — powiedział.

— Jeśli taka twoja wola, mój panie, ale w mojej opinii wciąż są bezpieczni, oczywiście na tyle, na ile może być bezpieczny człowiek parający się ich zajęciem, poza tym sami chcą. — Balwer przechylił głowę, przez co stał się podobny do ciekawskiego wróbla na gałęzi. — Nie ulegli jego wpływom, jeśli tego się obawiasz, mój panie. Zawsze istnieje takie niebezpieczeństwo, gdy człowiekowi każe się udawać kogoś, kim nie jest, ale w tym wypadku od początku byłem wyczulony na ewentualne oznaki.

— Niech się trzymają blisko ciebie, Balwer. — Jeżeli szczęście dziś dopisze, to po wszystkim być może nie będzie żadnej poważniejszej armii Masemy, wymagającej szpiegowania. A może zniknie nawet kłopot, jakim był sam Masema.

Perrin zszedł po porośniętym krzakami przeciwległym stoku do miejsca, gdzie wśród mgły mayeniańscy i ghealdańscy lansjerzy czekali obok koni; lance z proporcami wsparli na ramionach albo wbili grotami w ziemię. Pomalowane na czerwono hełmy i napierśniki Skrzydlatej Gwardii zapewne nie rzucałyby się w oczy na grzbiecie wzgórza, ale z lśniącymi zbrojami Ghealdan rzecz miała się na odwrót, a ponieważ Gallenne i Arganda uskarżali się, że drugi traktowany jest lepiej, obaj czekali w tym samym miejscu. Mgła pokrywała spory kawał terenu — Neald twierdził, że tak właśnie miało być, jednak pachniał zaskoczeniem i zadowoleniem, kiedy zmaterializował się efekt jego wysiłków — więc kiedy Perrin dotarł na dół stoku, gdzie czekał szereg bryczek na wysokich kołach z zaprzęgami, wciąż poruszał się w szarym тумanie. Wokół drżały cienie sylwetek cairhieniańskich woźniców, sprawdzali uprząże, zaciągali taśmy mocujące płócienne budy.

Masema czekał na niego, ale Perrin, który najchętniej z marszu zrobiłby mu jakąś krzywdę, ruszył w stronę Basela Gilla, którego przysadzistą postać wypatrzył przed momentem obok jednego z wozów. Wkrótce dostrzegł i Lini, owiniętą w ciemny płaszcz, i Breane otaczającą ramieniem w pasie Lamgwina, niezgrabnego służącego Perrina. Pan Gili zerwał z głowy swój kapelusz z szerokim rondem, odsłaniając siwiejące włosy bez skutecznie zaczesywane tak, aby przykryły łysinę na czubku głowy. Lini parsknęła i demonstracyjnie unikała spoglądania na Perrina, udając zaabsorbowanie kapturem płaszcza. Pachniała gniewem i strachem. Pan Gili pachniał tylko strachem.

— Czas już ruszać na północ, panie Gili — powiedział Perrin. — Kiedy dotrzesz do gór, pojedziesz wzdłuż nich, aż dotrzesz do Drogi Jehannah. Przy odrobinie szczęścia dogonimy cię, zanim znajdziesz się u podnóża gór; jeśli nie, wyślesz służących Alliandre do Jehannah, a sam skierujesz się na wschód przez przełęcz, potem zaś znowu skreścisz na północ. Będziemy cię gonić tak szybko, jak będziemy mogli. — Pod warunkiem, że cały plan się nie rozsypie. Światłości, był kowalem, nie żołnierzem. Ale w końcu nawet Tylee zgodziła się, że to dobry plan.

— Nie ruszę sięz miejsca, póki nie będę pewna, że Maighdin jest bezpieczna — odezwała się Lini,

kierując swoje słowa w mgłę, a głos jej dźwięczał jak żelazo. — I oczywiście lady Faile. Pan Gili przesunął dłonią po czaszce.

— Mój panie, Lamgwin i ja tak sobie myśleliśmy, że może się do czego przydamy. Lady Faile bardzo wiele dla nas znaczy, a Maighdin... Maighdin jest jedną z nas. Potrafię odróżnić jeden koniec miecza od drugiego, Lamgwin też sobie radzi. — Miał miecz przy pasie, którym spiął obfity korpus, ale jeśli trzymał go w ręku w ciągu ostatnich dwudziestu lat, to Perrin gotów był zjeść całą skórę tego pasa, a było jej niemało. Palce Breane zacisnęły się mocniej na ramieniu Lamgwina, wielkolud tylko poklepał ją po ręce, a drugą wsparł na rękojeści krótkiego miecza. W mgłę ginęła jego poblížniona twarz i obite kłykcie. To był tawerniany zabijaka, a mimo iż przy tym dobry człowiek, jednak szermierz żaden.

— Jesteś moim shambayanem, panie Gill — zdecydowanie oznajmił Perrin. — Twoim obowiązkiem jest zadbać, by woźnice, koniuszowie i służba znaleźli się w bezpiecznym miejscu. Twoim i Lamgwina. A więc zajmij się tym i szerokiej drogi.

Przysadzisty mężczyzna z niechęcią skinął głową. Breane cicho westchnęła z ulgą, a Lamgwin przyłożył pięść do czoła, znak podporządkowania się rozkazom. Perrin wątpił, by tamten usłyszał westchnienie, choć z drugiej strony, Lamgwin zaraz przytulił Breane i wyszeptał jakieś pocieszające słowa.

Lini nie miała zamiaru się podporządkować. Sztywna, jakby kij połknęła, znów odezwała się, kierując słowa w zamgloną przestrzeń:

— Nie ruszę się stąd, póki nie będę wiedziała...

Perrin klasnął głośno w dłonie, czym ją zaskoczył, i wreszcie spojrzała na niego zdziwiona.

— Tutaj nabawisz się tylko gorączki od wystawania w wilgoci. Albo umrzesz, jeżeli Shaido zdołają się przebić. Wydostanę Faile. Wydostanę Maighdin i pozostałe. — Tak się stanie albo zginie, próbując. Nie było sensu o tym wspominać, poza tym istniał wyraźny powód, żeby nie mówić. Musieli wierzyć, naprawdę wierzyć, że pojedzie za nimi razem z Faile i tamtymi! — A ty jedziesz na północ, Lini. Faile nie podobałoby się, gdyby przeze mnie coś ci się stało. Panie Gili, pan odpowiada za to żeby ona pojechała, w razie czego może ją pan zwięzać i wrzucić na tył wozu.

Pan Gill drgnął, zaczął miąć kapelusz w dłoniach. Znienacka zapachniał gotowością, od Lini doleciała woń urazy. Lamgwin za to był wyraźnie rozbawiony, potarł nos, jakby ukrywał uśmiech, co dziwne wszakże, Breane również była urażona, Cóż, nigdy nie twierdził, że rozumie kobiety. Jeżeli nie potrafi zrozumieć kobiety, będącej jego żoną a połowy jej postępów nie pojmował, nigdy nie zrozumie reszty.

W końcu Lini z własnej woli wspięła się na kozioł obok woźnicy — naprawdę sama się wspięła i tylko pan Gill oberwał po łapie, próbując jej pomóc — a karawana wozów potoczył się wśród mgły na północ. Za jednym z wozów, obciążonym namiotami i dobytkiem Mądrych, maszerowała gromadka; *gai'shain*, pokornych nawet teraz — mężczyźni i kobiety z naciągniętymi kapturami i spuszczonej oczyma. To byli Shaido, obrócenii w *gai'shain* w Cairhien, za kilka miesięcy będą mogli rzucić biel i powrócić do swego klanu. Perrin kazał ich dyskretnie obserwować, choć Mądre zapewniały go, że pod tym względem zachowują *ji'e'toh*, nawet jeśli pod innymi zeń zrezygnowali; ostatecznie okazało się, iż najwyraźniej miały rację. *Gai'shain* wciąż było siedemnaścioro. Żaden nie spróbował ucieczki, żeby ostrzec Shaido po drugiej stronie grzbietu gór. Osie bryczek zostały obficie naoliwione, mimo to w jego uszach wciąż przeraźliwie skrzypiały i piszczały. Przy odrobinie szczęścia wraz z Faile dogoni ich dobrze przed górami. I

Kiedy zaczęły go mijać szeregi zapasowych koni, prowadzone przez koniuszych w siodłach, we mgłę pojawiła się sylwetka jakiejś Panny — szła przeciwnie do ruchu kolumny. Po dłuższej chwili

okazało się, że to Sulin z shoufą wokół szyi, odsłaniającą krótko przycięte, siwe włosy i welonem zwisającym na piersi. Świeże cięcie przez lewy policzek z pewnością skończy się następną blizną, chyba, że ulegnie i pozwoli siostronom się Uzdrawić. Co wcale nie było oczywiste. Panny w dość dziwny sposób traktowały uczennice Mądrych, może zresztą chodziło o fakt, że tymi uczennicami były Aes Sedai. Nawet Annoura uchodziła w ich oczach za uczennicę, choć przecież oficjalnie nią nie była.

— Warty Shaido od północy już nie żyją, Perrinie Aybara rzekła. — Podobnie ludzie, którzy przyszli ich zmienić.

Jak na Shaido, tańczyli dobrze.

— Masz jakieś straty? — zapytał cicho.

— Elienda i Briain obudziły się ze snu. — Równie dobrze mogłaby rozmawiać o pogodzie, nie zaś o śmierci dwóch kobiet, które znała. — W końcu wszyscy musimy się obudzić. Przez ostatnie dwie mile musiałyśmy nieść Aviellin. Będzie potrzebowała Uzdrawiania. — Tak. Więc może i ona się zgodzi. — Poślę za wami Aes Sedai — powiedział, wyteżając wzrok wśród mgły. Oprócz mijającej go wciąż kolumny koni nie widział nic. — Jak tylko którąś znajdę.

Znalazły go, zanim skończył mówić. Annoura i Masuri wyszły z mgły, prowadząc konie, za nimi wędrowali Berelain i Masema; jego ogolona głowa lśniła wilgocią. Nawet we mgle nie sposób było przeoczyć niemiłosiernie wygniecionej brązowej kaftana, nieporządnym łatom na ramionach. Ani odrobina złota złupionego przez jego wyznawców nie przylepiła się do rąk Masemy. Wszystko szło na biednych. To była jedyna dobra rzecz, jaką można było o nim powiedzieć. Z drugiej strony, wielu z tych biednych beneficjentów szczodrości Masemy w biedę wpędzili ludzie tegoż Masemy, którzy ukradli im dobytek i spalili farmy. Z jakiegoś powodu Berelain miała na głowie tego ranka diadem Pierwszej z Mayene — nad jej czołem złoty jastrząb zrywał się do lotu — choć poza tym włożyła prostą szarą suknię do konnej jazdy i takiż płaszcz. Pod lekkimi, kwiatowymi perfumami pachniała cierpliwością i niepokojem, najdziwniejszą kombinacją woni, jaką Perrinowi kiedykolwiek przyszło wąchać. Sześć Mądrych szło w ślad za nimi, ramiona spowijały ciemne szale, spod chust zawiązanych wokół skroni spływały długie włosy. Przez te ich wszystkie naszyjniki i bransolety ze złota oraz kości słoniowej Berelain choć raz wydawała się ubrana skromnie. W końcu pojawił się i Aram, sterczącą znad ramienia kaftana w czerwone pasy rękojeść jego miecza wieńczył wilczy łeb, a mgła nie mogła skryć ponurego jak zwykle grymasu twarzy. Wyraźnie skłaniał się ku Masemie, wręcz kąpał w charyzmie, jaką Masema wokół siebie roztaczał. Perrin zastanawiał się, czy nie powinien odesłać chłopaka z karawaną. Ale gdyby tak zdecydował, pewne było, że gdy tylko Perrin zniknie Aramowi z oczu, ten zeskoczy z wozu i wróci.

Wyjaśnił obu Aes Sedai potrzebę Aviellin, ale ku jego zaskoczeniu, gdy tylko Masuri zgodziła się pomóc, jasnowłosa Edarra uniosła dłoń, żeby powstrzymać szczupłą Brązową siostrę. Annoura niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę. Nie była żadną uczennicą, więc nie do końca rozumiała stosunki łączące Seonid i Masuri z Mądrymi. Te ostatnie ze swej strony próbowały traktować ją jak tamte i czasami nawet im się udawało.

— Janina się tym zajmie — powiedziała Edarra. — Jest w tym kierunku znacznie bardziej uzdolniona niż ty, Masuri Sokawa.

Usta Masuri zacisnęły się, ale nic nie powiedziała. Mądre bez większych ceregieli potrafiły wychłostać uczennicę, która odezwała się w nieodpowiednim momencie, choćby przypadkiem chodziło o Aes Sedai. Janina była kobietą o włosach koloru ciemny blond, poza tym z pozoru nic jej nie potrafiło wyprowadzić z równowagi; teraz ruszyła za Sulin we mgłę i mimo workowatych spódnic szła równie szybko jak tamta. A więc Mądre nauczyły się Uzdrawiania, tak? To może się

później okazać przydatne. Światłości, spraw, byle nie za często.

Masema przyglądał się, jak tamte znikają w szarościach, w pewnym momencie mruknął coś gniewnie. Gęsta mgła skrywała żar nieustannie płonący w jego głęboko osadzonych oczach, jak też trójkątną białą bliznę na policzku, ale nic nie przeszkadzało, by woń z całą siłą biła w nozdrza Perrina: głęboka i ostra niczym świeżo naostrzona brzytwa, a równocześnie pełna gorączki. Wydawało mu się czasami, że od zapachu szaleństwa tamtego nos mu zacznie krwawić.

— Źle się dzieje, że wykorzystujesz te bluźniercze kobiety do czynów, które tylko Lord Smok, niech będzie błogosławione jego imię, może czynić — powiedział Masema, a w jego głosie brzmiał ten żar, którego płomień w oczach skrywała mgła.

Kolory zawirowały w głowie Perrina i na moment zestaliły się w obraz Randa, Min oraz wysokiego mężczyzny w czarnym kaftanie, Asha'mana... A potem dreszcz przeszył go od stóp do głów. Rand stracił lewą dłoń! Nieważne. Co się stało, nie odstanie się. A dzisiaj miał inne sprawy na głowie.

— ...ponieważ jeśli znają Uzdrawianie — kontynuował Masema — tym trudniej będzie ich, dzikusów, powybijać. Szkoda, że nie pozwoliłeś Seanchanom wziąć wszystkich na smycz.

Zerknął z ukosa na Annourę i Masuri, z czego należało wnosić, że je również ma na myśli, mimo iż obie w tajemnicy nieraz go odwiedzały. Potraktowały rzecz całą z typowym spokojem Aes Sedai, choć smukła dłoń Masuri poruszała się tak, jakby kobieta chciała wygładzić brązowe spódnice. Wcześniej twierdziła, że zmieniła zdanie i uważa, iż Masemę należy zabić, czemu więc spotykała się z nim potajemnie? Dlaczego robiła to Annoura? Dlaczego Masema im pozwalał? Przecież nie żywił do Aes Sedai nic, prócz bezgranicznej nienawiści. Może wkrótce się wszystko okaże, skoro Haviar i Nerion nie musieli się już kryć.

Wśród Mądrych stojących za Masemą zapanowało poruszenie. Płomiennowłosa Carelle, wyglądająca, jakby posiadała wielki temperament, co było zresztą zupełnie złudne, naprawdę sięgnęła do rękojeści noża za paskiem, a Nevarin, która mogłaby Nynaeve uczyć wściekłości, ścisnęła swoją z całej siły. Masema powinien czuć te spojrzenia na swoich plecach, ale jego woń nie zmieniła tonacji. Choć szalony, nigdy nie był tchórzem.

— Chciałeś mówić z lordem Perrinem, mój lordzie Proroku — łagodnie powiedziała Berelain, choć Perrin czuł, że uśmiech na jej twarzy jest wymuszony.

Masema popatrzył na nią.

— Jestem prostym Prorokiem Lorda Smoka, a nie lordem, Lord Smok jest jedynym panem. Jego przyście zerwało wszystkie więzi i odebrało znaczenie wszystkim tytułom. Królowie i królowe, panowie i damy są tylko prochem u jego stóp.

Wirujące kolory zatańczyły znowu, ale Perrin przegnał je ze swych myśli.

— Co ty tu robisz? — zapytał ostro. Z Masemą nie wolno było postępować łagodnie. Był nie do zdarcia, jak dobry pilnik. — Miałeś być ze swoimi ludźmi. Przybywając tutaj, ryzykowałeś, że ktoś cię zobaczy, a wracając, będziesz ryzykować znowu. Nie ufam twoim ludziom, nie wierzę, że zachowają dyscyplinę, nie mając nad sobą twojego bata. Uciekną gdy tylko zobaczą Shaido idących na nich.

— To nie są moi ludzie, Aybara. To są ludzie Lorda Smoka, — Światłości, podczas rozmowy z Masemą te kolory będą wirować bez przerwy! — Zostawiłem dowództwo Nengarowi. Walczył w większej ilości bitew, niż tobie się śniła. Włączywszy w to spotkania z dzikusami. Wydałem też kobietom rozkaz, żeby zabiły każdego mężczyznę, który spróbuje uciec, i podałem do wiadomości, że będę ścigał każdego, który wymknie się im spod ręki. Będą się trzymać do ostatniego człowieka, Aybara. — Mówisz tak, jakbyś nie miał zamiaru do nich wracać — powiedział Perrin.

— Pozostanę blisko ciebie. — Mgła kryła żar oczu Masemy, ale Perrin niemalże namacalnie czuł go

na sobie. — Niedobrze by się stało, gdyby miało cię spotkać nieszczęście po tym, jak uratujesz żonę.

A więc już pewna część planów spełzła na niczym. No, może raczej nadzieja niżli część planów. Jeżeli wszystko pozostałe pójdzie zgodnie z przewidywaniami, wrywający się z okrążenia Shaido przebiją się przez ludzi Masemy, nawet nie zwalniając kroku, Masema zaś, zamiast dostać włócznią Shaido pod żebra, będzie... miał na niego oko. Bez wątpienia straż przyboczną zostawił gdzieś niedaleko we mgle: dwustu zbirów lepiej uzbrojonych i na lepszych koniach niż reszta jego armii. Perrin nie patrzył na Berelain, ale woń jej niepokoju nasiliła się. Masema miał powody, żeby pragnąć śmierci ich obojga. Trzeba ostrzec Gallenne, że dziś jego główne zadanie będzie polegało na strzeżeniu Berelain przed ludźmi Masemy. A Perrin często będzie musiał oglądać się za siebie.

Daleko we mgle rozblęśło na moment srebrno-niebieskie światło, Perrin zmarszczył brwi. Na Grady'ego było jeszcze za wcześnie. Po chwili z mgły wyłoniły się dwie postacie. Jedną był Neald i choć raz nie kroczył niczym dumny paw. Po prawdzie utykał. Na twarzy gościł wyraz zmęczenia. Żeby szczęł, dlaczego marnuje w ten sposób siły? Towarzyszył mu młody Seanchanin w lakierowanej zbroi, z pojedynczym piórem na dziwnym hełmie, który niósł pod pachą. Perrin rozpoznał w nim Gueye Arabaha, porucznika, o którym Tylee była jak najlepszego zdania. Dwie Aes Sedai zebrały suknie, jakby chciały się uchronić przed bodaj muśnięciem Asha'mana, choć w istocie tamci dwaj przeszli z dala od nich. Jeśli zaś o niego chodzi, zgubił krok, gdy znalazł się dostatecznie blisko, by ujrzeć wyraz ich twarzy. Perrin usłyszał, jak z wysiłkiem przełyka ślinę. Znienacka w jego woni pojawiła się nieśmiałość.

Arabah uklonił się równocześnie Perrinowi i Berelain, na widok Masemy lekko zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał, co taki obszarpaniec robi w porządnym towarzystwie. Masema wyszczerzył zęby i dłoń Seanchanina mimowolnie szarpnęła się do rękojeści miecza. Seanchanie byli naprawdę drażliwym narodem. Arabah nie tracił czasu:

— Generał sztandaru Khirgan przesyła pozdrowienia, mój panie, moja Lady Pierwsza. *Morat'raken* donoszą, że te oddziały Aielów przemieszczają się szybciej, niż oczekiwano, Dotrą tu dzisiaj, niewykluczone, że już w południe. Grupa zachodnia liczy może od dwudziestu pięciu do trzydziestu tysięcy, wschodnia jest o jedną trzecią większa. Mniej więcej połowa z nich nosi biel, poza tym muszą mieć ze sobą dzieci, niemniej to wciąż sporo włóczy, żeby mieć je za plecami. Generał sztandaru chce wiedzieć, czy nie czas, aby przedyskutować relokację sił. Zaproponowała wysłanie ci posiłków w sile kilku tysięcy altarańskich lansjerów.

Perrin skrzywił się. Przy każdym oddziale będzie przynajmniej trzy, cztery tysiące *algai'd'siswai*. Z pewnością sporo włóczy, których lepiej nie mieć za plecami. Neald ziewnął.

— Jak się czujesz, Neald?

— Och, jestem gotów zrobić, co będzie trzeba, tak właśnie, mój panie — odpowiedział tamten, a w jego głosie zabrzmiał cień dawnej energii.

Perrin pokręcił głową. Asha'mana nie można było prosić o stworzenie choć jednej bramy ponad rzeczywistą potrzebę. Już się modlił, żeby ich nie zabrakło.

— W południe będzie tu już po wszystkim. Powiedz generał sztandaru, że postępujemy zgodnie z planem. — I módl się, żeby wszystko zgodnie z planem poszło. Jednak nie dodał tego na głos.

Gdzieś we mgle zawyły wilki, niesamowitym głosem, który poniósł się wokół Malden. Właśnie się zaczęło.

*

— Idzie ci świetnie, Maighdin — wychrypią Faile. Kręciło jej się w głowie, a gardło wyszło od

nieustannego dodawania otuchy tamtej. Wszystkim to dokuczało. Wnosząc z kąta padania promieni słonecznych sączących się przez szczeliny nad głowami, był już późny ranek, przez większą część tego czasu bez przerwy mówiła. Spróbowały odszpuntować niezniszczone beczki, ale wino w środku okazało się tak kwaśne, że nie sposób było nawet umoczyć w nim ust. Od pewnego czasu zaczęły mówić na zmianę. Teraz ona siedziała obok złotowłosej pokojówki, a pozostałe odpoczywały pod tylną ścianą piwnicy tak daleko od pochylonego nawisu desek i belek, jak to tylko możliwe. — Uratujesz nas, Maighdin.

Ponad nimi czerwona chusta była ledwie widoczna przez szczelinę w splątanym drewnie. Od jakiegoś czasu zwisała bezwładnie, chyba że akurat wiał wiatr. Maighdin nie odrywała od niej oczu. Jej brudna twarz lśniła od potu, oddychała ciężko jak po biegu. Nagle chustka znowu się wyprężyła i zaczęła kołysać — raz, dwa, trzy razy. Potem wiatr nią załopotał, znów obwisała. Maighdin patrzyła jak przedtem.

— To było piękne — ochryple pochwaliła Faile. Kobieta wyraźnie się męczyła. Między kolejnymi zakończonymi sukcesem próbami mijało coraz więcej czasu, same sukcesy też były coraz bardziej żałosne. — To było...

Nagle obok chustki pojawiła się czyjaś twarz, a czyjaś dłoń schwyciła czerwoną materię. Przez chwilę sądziła, że wszystko jej się mami. Twarz Aravine spod białego kaptura.

— Widzę ją! — krzyknęła z podnieceniem tamta. — Widzę lady Faile i Maighdin! Żyją! — W tle rozległy się uradowane głosy, wkrótce zostały uciszone.

Maighdin zachwiała się, jakby zaraz miała upaść, niemniej na jej twarzy wykwitł przepiękny uśmiech. Z tyłu dobiegły Faile odgłosy płaczu, jej samej chciało się łkać z radości. Znaleźli ich przyjaciele, a nie Shaido. Ucieczka jeszcze mogła się powieść.

Podniosła się, podeszła bliżej do nachylonego stosu poczerniałego drewna. W ustach wciąż miała sucho i mimo wysiłków ślina się nie pojawiała.

— Żyjemy — udało jej się wyskrzeczec. — Jak, na Światłość, nas znalazłyście?

— Dzięki Therilowi, moja pani — odrzekła Aravine. — Ten łotr poszedł za tobą mimo wyraźnych zakazów i niech go za to Światłość błogosławi. Widział, jak Galina wychodzi, jak budynek się wali, pomyślał, że nie żyjecie. Usiadł i zaczął płakać. — Jakiś głos z tyłu zaprotestował ciężkim amadiciańskim akcentem, Aravine na moment odwróciła głowę. Wiem, kiedy ktoś płacze, gdy zobaczę jego oczy, chłopcze. powinienes być wdzięczny, że w końcu przestałeś płakać. Kiedy zobaczył, jak chustka się porusza, moja pani, pobiegł po pomoc.

— Powiedz mu, że łez nie ma co się wstydzić — poradziła Faile. — Powiedz mu, że widziałam, jak mój mąż płakał, kiedy łzy były konieczne.

— Moja pani — z wahaniem zaczęła Aravine — on mówił, że Galina po wyjściu z domu zawałiła za sobą belkę. Że była ułożona jak dźwignia. Powiedział, że budynek się zawalił.

— Dlaczego miałyby to zrobić? — zapytała Alliandre Pomogła Maighdin wstać, a potem wesprzeć się na Faile. Lacile i Arrela przyłączyły się do nich, wciąż śmiejąc się przez łzy, Czoło Alliandre było jak chmura gradowa.

Faile skrzywiła się. Ile razy w ciągu ostatnich kilku godzin żałowała tamtego policzka? Galina obiecała! Może ta kobietą* była Czarną Ajah?

— Teraz to nieistotne. Tak czy siak, zadbam, by za to zapłaciła. — W jaki sposób, to już odrębna sprawa. W końcu Galina była Aes Sedai. — Aravine, ilu ludzi przyprowadziłaś Czy możesz...?

Mocne dłonie schwyciły Aravine za ramiona i odsunęły na bok.

— Dość gadania. — W szczelinie pojawiła się twarz Rolana, shoufą miał udrapowaną wokół ramion, welon zwisał na pierś. Rolan! — Jeśli będziesz tam stać, Faile Bashere, nie damy rady

usunąć wszystkiego. I tak wszystko może się zawalić, zaraz jak zaczniemy. Idźcie na tył i skulcie się pod ścianą.

— Co ty tu robisz? — zapytała.

Rolan zachichotał. Zachichotał!

— Wciąż nosisz biel, kobieto. Rób, co mówię, w przeciwnym razie, gdy cię wydostanę, porządnie spiorę ci tyłek. A potem może osuszę łzy grą w pocałunki.

Wyszczrzyła zęby, mając równocześnie nadzieję, że weźmie to za uśmiech. Ale w kwestii konieczności odsunięcia się miał rację, więc poprowadziła towarzyszkę po zasłanej drewnem podłodze na sam koniec piwnicy, gdzie przykucnęły pod ścianą. Z zewnątrz dobiegały przytłumione głosy, zapewne dyskutujące, jak zabrać się do usuwania ruin, nie zwalając sobie na głowy reszty budynku.

— Wszystko na nic — gorzko oznajmiła Alliandre. — jak sądzisz, ilu Shaido jest tam na górze? Drewno zazgrzytało głośno, a potem z przeraźliwym jękiem nawis gruzu pochylił się jeszcze odrobinę. Głosy znowu wszczęły dyskurs.

— Nie mam pojęcia — odpowiedziała Faile. — Ale to z pewnością są wyłącznie *Mera'din*, a nie Shaido. — Shaido nie miesza się z Pozbawionymi Braci. — W tym cała nasza nadzieja. — Rolan na pewno pozwoli jej odejść, gdy się dowie o Dairaine. Jasne, że pozwoli. A gdyby się upierał... W takim razie ona zrobi wszystko, co konieczne, żeby go przekonać. Perrin o niczym nie musi się dowiedzieć.

Drewno znowu zazgrzytało o drewno, po raz kolejny stos poczerniałych belek i desek pochylił się odrobinę.



Mgła całkowicie zakrywała słońce, ale Perrin oceniał, że musi być już późny ranek. Grady wkrótce tu będzie. Już powinien być. Jeżeli zmęczył się tak, że nie jest w stanie stworzyć następnej bramy... Nie, Grady przybędzie. Wkrótce. Ale w ramionach czuł takie napięcie, jakby przez cały dzień — dłużej! — pracował w kuźni.

— Mówię ci, wcale mi się to nie podoba — mamrotał Gallenne. W gęstej mgle czerwona przepaska na oko była tylko jeszcze jednym cieniem. Jego gniadosz o szerokiej piersi szturchnął go pyskiem w plecy, wyraźnie zniecierpliwiony, on w roztargnieniu poklepał go po karku. — Jeżeli Masema na prawdę chce zabić Lady Pierwszą, trzeba na miejscu się z nim rozprawić. Mamy przewagę liczebną. Pokonamy jego straż przyboczną w kilka minut.

— Głupiec — warknął Arganda, zerkając w prawo, jakby za zasłoną kłębiącej się szarości mógł dostrzec Masemę i jego ludzi. W przeciwieństwie do Mayenianina włożył posrebrzany hełm z trzema grubymi, białymi piórami. I hełm, i napierśnik, odrabiany złotem oraz srebrem, lśniły od wilgoci kondensacji, choć mgła dławiła światło, jego zbrojaomalze świeciła. — Wydaje ci się, że możesz zabić dwustu mężczyzn bez żadnego odgłosu? Krzyki będzie słychać na przeciwległym wzgórzu. Trzymaj swoją władczynię w otoczeniu dziewięciuset ludzi albo w ogóle ją stąd wyprowadź. Alliandre wciąż jest w tym przeklętym mieście, otoczona przez Shaido.

Gallenne zjeżył się, dłoń szukała rękojeści miecza, jakby chciał najpierw poćwiczyć na Argandzie, nim na koniec zajmie się Masemą.

— Dziś nie będziemy zabijać nikogo, tylko Shaido — zdecydowanie oznajmił Perrin. Gallenne odmruknął coś pod nosem, ale nie kłócił się. Wszakże pachniał niezadowoleniem, Konieczność ochrony Berelain nie pozwoli Skrzydlatej Gwardii wziąć udziału w bitwie.

Po lewej stronie pojawiła się pręga błękitnawego światła, również nieco przygaszona wszechobecną szarością, a napięcie w ramionach Perrina zelżało. Potem wśród mgły zamajaczyła sylwetka Grady'ego, szukał Perrina. Na jego widok przyspieszył kroku, widać jednak było, że idzie jak pijany. Za nim szedł Jeszcze ktoś, prowadząc za uzdę wysokiego karego ogiera. Perrin uśmiechnął się, po raz pierwszy od dawna. — Dobrze cię widzieć, Tam — powiedział.

— Ciebie też dobrze widzieć, mój panie. — Tam al'Thor wciąż trzymał prosto szerokie ramiona, wydawał się gotów pracować od świtu do zmierzchu bez przerwy i tylko włosy posiwiały mu całkiem od czasu, gdy Perrin widział go po raz ostatni, a na szczerym obliczu przybyło kilka zmarszczek. Spokojnym wzrokiem objął Argandę i Gallenne. Ekstrawaganckie zbroje nie robiły na nim wrażenia. — Jak ci idzie, Grady? — zapytał Perrin.

— Trzymam się, mój panie. — Głos dobywający się z pomarszczonej twarzy mówił o śmiertelnym zmęczeniu. Mimo łaskawości skrywającej mgły, wciąż wyglądał na starszego niż Tam.

— Cóż, kiedy już tu skończysz, dołącz do Mishimy. Chcę, żeby ktoś miał na niego oko. Pod czyjś spojrzeniem będzie na tyle nerwowy, żeby nie myśleć nawet o zmianie ustaleń. — Najchętniej kazałby Grady'emu podwiązać bramę. Najprościej byłoby zabrać Faile do Dwóch Rzek. Gdyby jednak wszystko poszło dziś źle, Shaido mieliby tam równie łatwą drogę. — W moim obecnym stanie nie potrafiłbym pewnie zdenerwować kota, mój panie, ale zrobię, co mogę.

Spod zmarszczonych brwi Tam przyglądał się, jak Grady znika w szarej ćmie.

— Żałuję, że nie wybrałem innego sposobu na dotarcie tutaj — rzekł. — Jakiś czas temu podobni do niego ludzie odwiedzili Dwie Rzeki. Jeden nazywał się Mazrim Taim, a imię to wszyscy znaliśmy. Fałszywy Smok. Tylko, że teraz nosił czarny kaftan z fantazyjnymi haftami i kazał na siebie mówić M'Haël. Gadali na lewo i prawo o tym, że będą uczyć mężczyzn przenosić, o tej Czarnej Wieży — ostatnie słowa wymówił kwaśnym tonem. — Rada Wioski próbowała położyć temu kres, podobnie Koło Kobiet, ale skończyło się na tym, że uwiedli ze sobą ponad czterdziestu mężczyzn i chłopców. Dzięki Światłości, że pozostali posłuchali głosu rozsądku, ponieważ byłoby ich pewnie dziesięć razy tylu. — Spojrzał na Perrina. — Taim powiedział, że to Rand go wysłał. I że Rand jest Smokiem Odrodzonym. — W jego głosie brzmiała nuta niedowierzania może nadzieja, że to jednak nieprawda, może żądanie wyjaśnienia, dlaczego Perrin go o tym nie poinformował.

Paleta barw zawirowała w głowie Perrina, ale odepchnął ją od siebie i udzielił odpowiedzi poprzez brak odpowiedzi. Co się stało, nie odstanie się.

— Nic tu nie można już zrobić, Tam. — Według Grady'ego i Nealda Czarna Wieża nie pozwalała odejść mężczyznom którzy raz stali się jej częścią.

W woni Tama pojawił się smutek, choć jego twarz nic nie zdradzała. Wiedział, jaki los czeka mężczyzn, którzy potrafili przenosić. Grady i Neald twierdzili wprawdzie, że męska połowa Źródła jest już czysta, lecz Perrin nie potrafił sobie wyobrazić, jak miało do tego dojść. Co było, przeszło. Trzeba było wykonywać robotę, jaką się otrzymało, podążać przeznaczoną sobie drogą i tyle. Nie ma sensu uskarżać się na pęcherze na rękach czy kamienie pod stopami.

Perrin kontynuował.

— To jest Bertain Gallenne, Lord Kapitan Skrzydlatej Gwardii, to Gerard Arganda, Pierwszy Kapitan Legionu Muru — Arganda niepewnie wzruszył ramionami. W Ghealdan to miano miało swoją wagę polityczną, a najwyraźniej Alliandre nie czuła się na tyle pewna swej pozycji, by ogłosić restytucję Legionu. Ale Balwer potrafił wyniuchać niejednego sekret. Dzięki temu akurat można było mieć pewność, że Arganda nie straci rozumu w szaleńczej próbie odbicia swej królowej.

— Gallenne, Arganda, to jest Tam al'Thor. Jest moim Pierwszym Kapitanem. Przyjrzałeś się mapie, Tam, znasz mój plan?

— Przyglądałem się jej, mój panie — odparł sucho Tam, — Oczywiście, przecież nie mógł postąpić inaczej. — Plan wygląda na dobry. Równie dobry jak każdy, do czasu, gdy zaczną fruwać strzały.

Arganda wsadził stopę w strzemię swojego deresza.

— Póki on jest twoim Pierwszym Kapitanem, mój panie, nie mam żadnych obiekcji. — Wcześniej miał ich mnóstwo. Ani on, ani Gallenne nie byli zadowoleni, że Perrin postawił kogoś nad nimi.

Na górze stoku rozległ się krzyk czarnoskrzydłego przedrzeźniacza. Alarm. Ponieważ krzyk był pojedynczy. W przypadku prawdziwego ptaka zostałby wielokrotnie powtórzony.

Perrin ruszył po stoku tak szybko, jak mógł. Arganda i Gallenne minęli go na swoich wierzchowcach, potem rozdzielili się — każdy kierował się do swoich ludzi — i zniknęli we mgle. Perrin dotarł na szczyt, zszedł po drugiej stronie. Dannil stał niemal na krawędzi mgły, patrzył w stronę obozu Shaido. Wskazał dłonią, niemniej powód alarmu był widoczny gołym okiem. Spora grupa *algai'd'siswai* wychodziła z obozu, jakieś cztery setki lub więcej. Shaido często wysyłał oddziały bojowe, a celem tego marszu było miejsce, gdzie stacjonował Perrin. Szli spokojnie, niedługo wszak dotrą na szczyt.

— Czas, żeby nas zobaczyli, Dannil — powiedział, odpinając płaszcz i odrzucając go na niski krzak. Później po niego wróci. Jeżeli będzie w stanie. Teraz tylko by mu zawadzał. Dannil uklonił się nieznacznie, potem ruszył ku drzewom i w tym momencie pojawił się Aram, z mieczem w dłoni. Pachniał żądzą. Broszę spinającą płaszcz Perrin pieczołowicie schował do kieszeni. Dostał ją od Faile. Nie chciał zgubić. Jego palce natrafiły na skórzany rzemień, na którym zaznaczał węzłami każdy dzień jej niewoli. Wyciągnął go i nie patrząc, upuścił na ziemię. Tego ranka zawiązał ostatni węzeł.

Wsadził kciuki za szeroki pas, przy którym wisiał nóż i młot, zważym krokiem wyszedł za barierę mgły. Aram kocim krokiem ruszył za nim, od razu przyjmując jedną z figur szermierczych. Perrin szedł swobodnym krokiem. Zaświeciło mu w oczy poranne słońce, faktycznie już w połowie drogi do południowego szczytu swej wędrówki przez nieboskłon. Wcześniej rozważał pomysł, by samemu wziąć wschodnie wzgórze, a ludźmi Masemy obsadzić to, w efekcie znalazłby się jednak dalej od bram miasta. Głupi powód, niemniej bramy wabiły go, jak magnes przyciąga żelazne opiłki. Poluzował ciężki młot w pętli przy pasie, potem nóż. Nóż miał klingę długą jak jego dłoń.

Widok dwóch mężczyzn, którzy z pozoru całkiem spokojnie szli w ich stronę, wystarczył, żeby zatrzymać Shaido. Cóż, może aż tak spokojnie nie szli, mając na względzie miecz Arama. Musieliby być ślepi, żeby nie dostrzec słońca błyszczącego w klindze. Pewnie zastanawiali się, czy nie mają przeciwko sobie szaleńców. Perrin przystanął w połowie drogi w dół stoku. — Spokojnie — poinstruował Arama. — W ten sposób tylko się zmęczysz.

Tamten skinął głową mocno stanął na ziemi, nie odrywając wzroku od Shaido. Rozsiewał wokół woń łowcy, ścigającego niebezpieczną zwierzynę i zdecydowanego ją dopaść.

Po chwili kilku Shaido wolno ruszyło w ich stronę. Twarze mieli odsłonięte. Pewnie zakładali, że Perrina i Arama da się, przestraszyć. Wśród namiotów ręce już wskazywały dwóch głupców na stoku.

Odgłosy żołnierskich buciorów, parskania koni i stuku końskich kopyt sprawiły, że obejrzał się przez ramię. Najpierw z mgły wychynęli Ghealdanie Argandy w lśniących napierśnikach i hełmach, pod falującym sztandarem z trzema sześcioramiennymi srebrnymi gwiazdami Ghealdan, po nich Skrzydlata Gwardia w czerwonych zbrojach, prowadzona przez mayeńskiego złotego jastrzębia na polu białym. Między nimi Dannil ustawiał w potrójnym szeregu ludzi z Dwóch Rzek. Każdy miał przy pasie po dwa najeżone strzałami kołczany i wiązkę strzał, które po rozcięciu rzemieni wbili

przed sobą w ziemię. Poza tym uzbrojeni byli tylko w miecze i krótkie miecze, ponieważ halabardy i inna broń drzewcowa zostały tego ranka na wozach, jeden z nich przyniósł też czerwony sztandar z wilczym łbem, który wszakże sterczał teraz zatknięty krzywo w ziemię za nimi. Nikt nie mógł sobie pozwolić, by być wyłącznie chorążym. Dannil też miał łuk. Masema i lansjerzy jego straży przybocznej zajęli pozycję na prawej flance Skrzydlatej Gwardii, konie pod kiepskimi Jeźdźcami wrywały się z szyku i przysiadły na zadach. Ich zbroje znaczyły brązowe plamki w miejscach, gdzie rdza została po prostu zeszkrobana, zamiast odcyszczona porządnie. Masema znajdował się przed szykiem swoich żołnierzy, z mieczem przy boku, ale bez hełmu czy napierśnika. Nie, odwagi mu nie brakowało. Teraz wodził płonącym wzrokiem po szeregach Mayenian, gdzie Perrin ledwie potrafił dostrzec Berelain wśród lasu lanc. Wyrazu twarzy zobaczyć nie potrafił, ale wyobrażał sobie jej wciąż lodowatą minę. Gwałtownie protestowała przeciwko temu, że jej żołnierze mieli nie brać udziału w bitwie, musiał odwołać się do całych swych zapasów determinacji, by ją przekonać. Światłości, ta kobieta posunęła się prawie do sugestii, że sama chętnie poprowadziłaby szarżę!

Mądre i dwie Aes Sedai w towarzystwie Panien przejechały między formacjami Ghealdan i ludzi z Dwóch Rzek; wszystkie Panny miały długie paski czerwonej materii, obwiązane wokół ramion i nadgarstków. Nie dostrzegł oblicza Aviellin, ale wnioskuje z ich liczby, musiała tam być, niezależnie, czy Uzdrawianie powiodło się do końca, czy nie. Zza czarnych welonów wзираły tylko oczy, jednak niepotrzebny był mu widok twarzy ani ich woń, żeby wiedzieć, iż czują się urażone. Czerwone chustki potrzebne były po to, aby uniknąć pomyłek w ogniu bitwy, niemniej Edarra musiała mocno się napracować, żeby je zmusić do ich włożenia.

Zastukały bransolety ze złota i kości słoniowej, kiedy Edarra poprawiła ciemny szal na ramionach. Gładkie, ogorzałe od słońca policzki, które wyglądały na jeszcze ciemniejsze w kontraście z jasnymi włosami, nadawały jej pozór rówieśnicy Perrina i tylko błękitne oczy patrzyły z nieziemskim spokojem. Podejrzewał, że jest znacznie starsza, niż wygląda. Te oczy widziały niemało.

— Myślę, że wkrótce zaczniemy, Perrinie Aybara — oznajmiła.

Perrin pokiwał głową. Bramy miasta wzywały. Nagłe pojawienie się prawie dwóch tysięcy lanc i ponad dwustu łuczników wystarczyło, by Shaido podnieśli zasłony i rozproszyli się po stoku; tymczasem z obozu nadciągały szerokim, nierównym szeregiem dalsze posiłki. Shaido wskazywali palcami, wskazywali włóczniami, co sprawiło, że znów obejrzał się za siebie.

Na stok wyszedł Tam na czele następnego zastępu ludzi z Dwóch Rzek z długimi łukami w dłoniach. Część rwała się do ludzi, którzy pierwotnie poszli za Perrinem — porozmawiać z braćmi, synami, kuzynami, przyjaciółmi — ale Tam im nie pozwolił, na karym wałachu truchtał wzdłuż czoła oddziału, póki nie ustawił go w potrójnym szyku na obu flankach kawalerii. Perrin dostrzegł Hu Barrana i jego równie chudego brata Tada, stajennych z gospody Winna Jagoda; Bara Dowtry'ego o kwadratowej twarzy, tylko o parę lat odeń starszego, który już zdobył jakąś reputację wytwórcy szaf; wreszcie żylastego Thada Torfinna, który nadzwyczaj rzadko ruszał się ze swojej farmy, by odwiedzić Pole Emonda. Oren Dautry, chudy i wysoki, stał ramię w ramię z Jonem Ayellinem, który był przysadzisty i łysiejący, oraz Kevem Barstere; ten w końcu musiał się pewnie oderwać od matczynej spódnicy. Byli Marwinowie i al'Daisowie, al'Seenowie i Cole'owie, Thanowie i al'Caarowie, wreszcie Crawlowie, mężczyźni ze wszystkich rodzin, jakie znał, mężczyźni, których nie znał, z całej okolicy Dwóch Rzek od Devon Ride aż po Wzgórze Czat i Taren Feny każdy o srogiej twarzy, obciążony dwoma kołczanami i garścią dodatkowych strzał. A wśród nich byli jeszcze inni ludzie, ludzie o miedzianej skórze, ludzie z półprzezroczystymi woalami, zasłaniającymi dolne partie twarzy, ludzie o jasnej karnacji, którzy w niczym nie przypominali mieszkańców Dwóch Rzek. Uzbrojeni byli oczywiście w krótsze łuki — całego życia ćwiczeń wymagało nauczenie się

posługiwania długim łukiem z Dwóch Rzek — ale każde oblicze, które widział, nosiło ten sam wyraz determinacji co u jego rodaków. Cóż, na Światłość, robili tu ci cudzoziemcy? Wciąż z mgły wyłaniali się następni, aż w końcu formacja trzech długich szeregów liczyła ponad trzy tysiące ludzi, może nawet cztery. Tam zjechał po stoku, zatrzymał się obok Perrina i przyjrzał puchnącym zastępom Shaido w dole. Potem odpowiedział na niezadane pytanie:

— Ogłosiłem zaciąg ochotników w Dwóch Rzekach, a potem wybrałem spośród nich najlepszych strzelców, w końcu zaczęli się zgłaszać również ci, którym udzieliłeś schronienia W wiosce. Mówili, że dałeś domy im i ich rodzinom i że teraz też są ludźmi z Dwóch Rzek. Niektóre z ich łuków nie niosą wiele dalej niż na dwieście kroków, ale wybrani przeze mnie trafiają w cel. W dole stoku Shaido zaczęli rytmicznie uderzać włóczniami w tarcze z byczej skóry. Dum – dum – dum - dum! Dum – dum – dum - dum! Dum – dum – dum - dum! Odgłos niósł się jak grzmot. Strumień zamaskowanych postaci wybiegających z namiotów skurczył się do szeregu pojedynczych sylwetek, potem wojowników najwyraźniej zabrakło. Wychodziło na to, że do bitwy wyruszyli wszyscy *algai'd'siswai*. Przynajmniej taki był plan. Musiało ich być jakieś dwadzieścia tysięcy, albo prawie, a wszyscy łomotali w tarcze. Dum – dum – dum - dum! Dum – dum – dum - dum! Dum – dum – dum - dum!

— Po Wojnach z Aielami miałem nadzieję już nigdy nie usłyszeć tego dźwięku — powiedział Tam głośno, przekrzykując zgiełk. Faktycznie to mogło zagrać mężczyźnie na nerwach. — Wydasz komendę, lordzie Perrinie?

— Ty to zrób. — Perrin znowu poluzował młot w pętli, potem nóż. Jego spojrzenie uciekało od szeregów Shaido ku bramom miasta i ciemnemu masywowi fortecy. Tam była Faile.

— Wkrótce się okaże — rzekła Edarra. Chodzi oczywiście o napar. Jeżeli nie zaczęli dostatecznie długo, już po nich. Jej głos brzmiał wszakże całkowicie spokojnie. Wciąż przyczajony Aram zmienił pozycję, teraz obiema dłońmi trzymał uniesiony miecz.

Perrin słyszał okrzyki Tama, jadącego wzdłuż szeregu łuczników.

— Długie łuki, nasadzić strzały na cięciwy! Krótkie łuki, czekać, póki nie podejda bliżej! Długie łuki, nasadzić strzały na cięciwy! Krótkie łuki, czekać, póki nie podejda bliżej! Nie naciągaj, głupcze! Sam wiesz najlepiej! Długie łuki...!

Poniżej jakaś czwarta część formacji Shaido zawróciła i truchtem pobiegła na północ równoległe do grzbietu, wciąż łomocząc w tarcze. Zamierzali okrążyć, a potem zaatakować z obu stron ludzi na stoku. Tylee nazwała to „manewrem oskrzydającym”. Rytmiczne poruszenie przeszło przez pozostałych — Aielowie zatykali włócznie za uprząże mocujące na plecach futerał łuku, przypinali tarcze do pasów, wyciągali łuki.

— Już wkrótce — mruknęła Edarra.

Spomiędzy namiotów poleciała w kierunku stoku kula ognista większa od głowy mężczyzny, potem kolejna, dwakroć taka, dalsze — cała salwa. Pierwsza leciała wysoko, by po chwili runąć w dół i eksplodować z wyciem sto kroków nad głowami. Jedna po drugiej pozostałe też eksplodowały, nie czyniąc nikomu krzywdy, za nimi jednak frunęły już następne płomienne pociski mknęły ku wzgórzom stałym strumieniem. Rozwidlone srebrne błyskawice spadały na ziemię z bezchmurnego nieba, wybuchając z ogłuszającym grzmotem wśród kaskad iskier tuż nad powierzchnią stoku.

— Jakichś piętnastu czy dwudziestu Mądrych nie wypilo twojego naparu — powiedziała Edarra. — W przeciwnym razie pozostałe już dołączyłyby do tamtych. Widzę, że przenosi tylko dziewięć kobiet. A wiem, że reszta musi być w namiotach. — Treść jego paktu z Seanchanami nie podobała jej się w takim samym stopniu, jak nie podobała się Aes Sedai, niemniej mówiła spokojnym głosem. Zgodnie z jej sumieniem, Shaido pogwałcili *ji'e'toh* do tego stopnia, że nie było pewne, czy dalej

można ich zwać Aielami. W jej oczach pewnie stali się czymś, co należy wyciąć z ciała narodu, a ich Mądre stanowiły ognisko choroby, ponieważ na wszystko się godziły. Masuri odrzuciła rękę do tyłu, ale Edarra położyła jej dłoń na ramieniu.

— Jeszcze nie, Masuri Sokawa. Powiemy ci, kiedy. — Masuri posłusznie pokiwała głową, choć pachniała niecierpliwością.

— Cóż, ja osobiście czuję, że moje życie jest zagrożone — Zdecydowanym głosem oznajmiła Annoura, odchylając ramię do tyłu. Edarra popatrzyła na nią spokojnie, po chwili Aes Sedai opuściła rękę. Paciorki w licznych warkoczach zastukały, kiedy odwróciła głowę pod spojrzeniem Mądrej. W jej woni pojawił się wyraźny niepokój. — Mogę jeszcze chwilę poczekać — wymamrotała.

Mknące po niebie kule ogniste wciąż eksplodowały w górze, błyskawice mknęły ku wzgórzom, ale Shaido nie czekali. Na czyjś okrzyk cały wielki oddział pobiegł truchtem po zboczu. Śpiewali, co się w płucach. Perrin wątpił, by ktokolwiek na górze był w stanie usłyszeć więcej niż tylko ogłuszające wycie, ale w jego uszach słowa brzmiały wyraźnie. — Tamci śpiewali na głosy:

Czyścimy włócznie...

...kiedy słońce wysoko stoi.

Czyścimy włócznie...

...i gdy zachodzi nam.

Czyścimy włócznie...

...kto śmierci się boi?

Czyścimy włócznie...

...nikt, kogo znam!

Zamknął uszy na te słowa, spróbował je całkowicie zignorować, a równocześnie jego spojrzenie powędrowało poza nacierającą masę zamaskowanych postaci ku bramom Malden. Magnes i żelazne opiłki. Sylwetki nacierających jakby zwolniły, choć wiedział, że tylko mu się wydaje. W chwilach takich jak ta wszystko działo się jakby wolniej. Ile jeszcze, zanim dotrą w zasięg strzału? Nie pokonali nawet połowy dystansu do grzbietu.

— Długie łuki, cel! Na rozkaz! — krzyczał Tam. — Długie łuki, cel! Na rozkaz!

Perrin pokręcił głową. Zbyt szybko. Za jego plecami jęknęły tysiące cięciw. Strzały przeszyły powietrze. Niebo poczerniało, Kilka sekund później poszła druga salwa, potem trzecia. Kule ogniste wypalały bruzdy w powodzi drzew, lecz wciąż tysiące strzał sypało się śmiertelnym gradem na szeregi Shaido. Oczywiście. Zapomniał uwzględnić różnicę wzniesień. Dzięki niej zasięg się nieco zwiększył. Tam bez wątpienia dostrzegł to od razu. Rzecz jasna, nie każdy grot trafiał w ciało. Wiele wbiło się w ziemię. Może połowa poraziła *algai'd'siswai*, przebijając ręce i nogi, przyszpilając ciała. Ale ranni Shaido nie zwolnili, mimo iż wielu musiało się podnosić z ziemi. Na polu zostały setki znieruchomiałych, druga salwa powaliła kolejne setki, podobnie trzecia, a leciała już piąta i szоста. Shaido wciąż biegli pochylając się, jakby w twarze siekł im deszcz, a kule ogniste i błyskawice ich Mądrych eksplodowały ponad głowami. Już nie śpiewali. Niektórzy unieśli łuki i wystrzelili. Strzała drasnęła lewe ramię Perrina, pozostałych nie doniosło. Niemniej było blisko. Jeszcze dwadzieścia kroków i...

Nagle od północy i południa dobiegł przeszywający głos rogów Seanchan, dokładnie w chwili, gdy pod stopami oskrzydłających oddziałów fontannami eksplodowała ziemia. Na ich głowy runęły włócznie światła. *Damane* stały głęboko pod osłoną drzew, ale i tak wykonywały straszną robotę.

Kolejne, zlewające się w jedną eksplozję ognia i światła kładły ludzi pokotem. *Algai'd'siswai* nie mieli pojęcia, skąd idzie atak. Pobiegli w kierunku drzew, zbliżając się do swych zabójców. Niektóre z kul ognistych Mądrych Shaido poleciały z obozu nad las, gdzie stacjonowały, damane, kilka błyskawic liznęło czubki drzew, ale z równie mizernym skutkiem, co wcześniej na zboczu. Tylee twierdziła wprawdzie, że *damane* wykorzystuje się do wszelkiego rodzaju zadań, faktem pozostawało, że przede wszystkim były bronią a w roli zwiadowców tą bronią *sul'dam* sprawiały się równie świetnie.

— Teraz — powiedziała Edarra i ku Shaido poleciał deszcz ognistych kul. Mądre i Aes Sedai obiema rękoma wykonywały ruchy imitujące rzucanie, tak szybko jak tylko mogły, a za każdym razem czubki palców roniły ogniste kule. Wiele, rzecz jasna, eksplodowało zbyt blisko. Mądre Shaido zabrały się za obronę swoich ludzi. Ale *algai'd'siswai* znajdowali się już znacznie bliżej grzbietu wzgórza, więc czasu na reakcję było mniej. Kule ogniste wybuchały w szeregach nacierających, odrzucając ludzi na bok, wyrzucając w powietrze oderwane ręce i nogi. Z nieba spłynęły zęby srebrno-niebieskich błyskawic, większość trafiła w cel. Perrin poczuł, jak włosy jeżą mu się na przedramionach. Na głowie stają dęba. Powietrze trzeszczało od wyładowań.

Nie ustając w sianiu śmierci wśród atakujących, Edarra i pozostałe parowały ataki Mądrych Shaido, a przez cały ten czas łuki z Dwu Rzek pracowały bez chwili przerwy. Wyszkolony łucznik potrafił wystrzelić dwanaście drzewców na minutę, teraz dystans był mniejszy. Shaido brakowało nie więcej niż dwieście kroków do dolnych partii grzbietu. Ich strzały wciąż padały przed Perrinem, z drugiej strony, łuki Dwóch Rzek na ten dystans już nie chybiały. Każdy łucznik na własną rękę wybierał cel, więc Perrin widział *algai'd'siswai* naszpikowanych dwiema, trzema, a nawet czterema strzałami.

Żywe ciało ma ograniczoną wytrzymałość. Atak Shaido zaczął się załamywać. Nie wycofali się. Nie miało to też nic wspólnego z beładną ucieczką. Wielu wciąż strzelało w góra stoku, mimo iż wiedzieli, że strzały nie doniosą. W pewnym momencie odwrócili się jak na komendę i pobiegli, próbując prześcignąć strzały Dwóch Rzek — gonił za nimi deszcz ognia i błyskawic. Na widok wyjeżdżającej spośród drzew tysięcznej tyraliery lansjerów oddziały oskrzydlające też zrezygnowały z ataku. Kawaleria postępowała wolno naprzód a ogień i błyskawice dręczyły Shaido. — Szeregami! — krzyknął Tam. — Trzy kroki naprzód i salwa!

— Naprzód stępa — wrzasnął Arganda.

— Za mną! — wydarł się Masema.

Perrin miał iść na czele atakujących w ich tempie, ale nie potrafił się powstrzymać i szedł coraz szybciej. Bramy go wzywały. Krew zawrzała mu w żyłach. Elyas twierdził, że to naturalne uczucie, gdy życie jest zagrożone, ale jakoś trudno mu było zrozumieć. Pewnego razu o mało nie utopił się w Wodnym Lesie i nie czuł nic porównywalnego z dreszczem, który przeszywał go obecnie. Za plecami ktoś wykrzyknął jego imię, ale on już biegł, przyspieszając. Dobył młot z pętli przy pasie, lewą dłonią ujął nóż. Zdał sobie sprawę, że Aram jest tuż za nim, nie zastanawiał się nad tym długo, bo myślał już o bramach miasta i Shaido, stojących między nim a Faile. Ogień, błyskawice i strzały sypały się na nich jak grad, już nie odpowiadali własnymi strzałami, choć często oglądali się przez ramię. Wielu prowadziło rannych, powłóczących nogami, ściskających ranione boki, z których sterczały drzewce strzał Dwóch Rzek, więc powoli ich doganiał.

Znienacka sześciu zamaskowanych mężczyzn odwróciło się, schwyciło włócznie i ruszyło biegiem na niego i Arama. Nie użyli łuków, więc zapewne nie mieli już strzał. Słyszał opowieści o czempionach, ludziach, którzy w pojedynczej walce decydowali o wyniku bitwy między dwiema armiami, umawiającymi się wcześniej zastosować do wyniku walki. Aielowie nie znali takich

opowieści. Mimo to nie zwolnił. Jego krew była ogniem. On był ogniem. Drzewce strzały Dwóch Rzek trafiło jednego z Shaido w pierś, a gdy padał, trzech następnych otrzymało po co najmniej tuzinie strzał. W jednej chwili wszakże on i Aram znaleźli się zbyt blisko pozostałej dwójki. Tylko najlepsi mistrzowie mogli się pokusić o tego rodzaju strzał, nie ryzykując trafienia jego lub Arama. Aram pobiegł ku jednemu z Shaido krokiem lekkim, jakby tańczył, klinga wirowała w powietrzu zamazaną smugą... nie było czasu, by przyglądać się cudzej walce. Zamaskowany mężczyzna o głowę wyższy od Perrina pchnął krótką włócznią trzymaną prawie tuż u podstawy ostrza. Perrin zablokował cios ostrzem noża, zamachnął się młotem. Shaido próbował wziąć cios na tarczę, ale Perrin zdążył nieco zmienić trajektorię uderzenia i usłyszał, jak kości przedramienia tamtego pękają pod ciosem dziesięciu funtów stali z wymachu kowalskiego ramienia. Był już wewnątrz strefy operowania włóczni, więc nie zwalniając, podciął nożem gardło przeciwnika. Trysnęła krew, Aiel upadł, a on znowu biegł, nie oglądając się. Musiał dotrzeć do Faile. Ogień w żyłach, ogień w sercu. Ogień w głowie. Nikt i nic nie stanie między nim a Faile.

ROZDZIAŁ 13

U BRAM

Po zmianie kąta nachylenia promieni słonecznych sącących się przez otwory w zrujnowanym stropie ponad głowi Faile próbowała ocenić upływ czasu; do południa wciąż zostało go sporo. Tamci oczyścili dopiero niewielką przestrzeń na samym szczycie schodów wiodących do piwnicy. Każda z nich już mogłaby się przez nią precyzyjnie, gdyby miały śmiałość za ryzykować wspinaczkę po nachylonej masie poczerńiałego gruzu, która wciąż wyglądała, jakby chciała lada moment runąć. Od czasu do czasu wciąż dobywały się z niej rozpaczliwe zgrzyty i jęczenia. Dobrze było tylko to, że jeszcze nie zaważyła im się na głowy. Pytaniem wszak pozostawało, jak długo to jeszcze potrwa. Od dłuższego czasu słyszała grzmoty, sporo grzmotów, na dodatek coraz bliżej. Właściwie grzmoty zlewały się w jedną ciągłą nawałnicę łomotu. Burza tej mocy z pewnością spowoduje zawalenie się całego budynku. Światłości, ale chciało się pić.

Znienacka w otworze pojawiła się twarz Rolana, on sam położył się na kamiennym podeście. Nie miał na sobie uprząży z futerałem łuku. Ostrożnie wślizgnął się na tę złowieszczą kupę gruzu. Drewno zajęczało cicho pod jego ciężarem. Kinhuin, zielonooki mężczyzna o silnych dłoniach znacznie niższy od Rolana, ukląkł, trzymając go za kostki. Na górze była tylko trójka Pozbawionych Braci, mimo to o

trzech za dużo.

Rolan przechylił głowę i ramiona przez krawędź drewnianej sterty, wyciągnął w dół dłoń.

— Czas się skończył, Faile Bashere. Złap mnie za rękę.

— Najpierw Maighdin — wychrypiała Faile, gestem dłoni uciszając protesty złotowłosej. Światłości, tyle pyłu w ustach i żadnej śliny, żeby go wypluć. — Po niej Arrela i Lacile. Ja na końcu. — Alliandre pokiwała z aprobatą głową, ale Arrela i Lacile próbowały protestować. — Bądźcie cicho i róbcie, jak każę — rzekła zdecydowanie Faile. Grzmot łomotał, nie przestawał. Burza z taką liczbą grzmotów przyniesie nie tylko ulewę, ale prawdziwy potop.

Rolan roześmiał się. Jak mógł się śmiać w takiej chwili jak ta? Przestał dopiero wówczas, gdy poczerńiałe belki znów zajęczały, wytracone z równowagi drzeniem jego ciała.

— Wciąż nosisz biel, kobieto. A więc bądź cicho i rób, co każę. — W jego słowach brzmiała delikatna nuta szyderstwa, która wszakże zniknęła bez śladu, gdy dodał: — Nikt przed tobą nie opuści tej piwnicy. — To już były słowa odlane z żelaza. — Moja pani — cicho, ochryple zaczęła Alliandre. — Wydaje mi się, że on mówi, co myśli. Wyślę pozostałe na zewnątrz w porządku, jaki wyznaczysz.

— Przestań się dąsać i daj rękę — rozkazał Rolan.

Nie dąsała się! Ten mężczyzna potrafił być tak denerwująco uparty jak jej Perrin. Tylko, że u Perrina nie było to tak naprawdę, irytujące, lecz intrygujące. Uniosła rękę najwyżej, jak potrafiła, pozwoliła, by ujęła ją dłoń Rolana. Uniósł ją łatwo, aż jej twarz znalazła się prawie na wysokości jego twarzy.

— Chwyć za mój kaftan. — W jego głosie nie było śladu wysiłku, mimo że uchwyt był skrajnie niewygodny. — Będziesz się musiała wspinać po mnie.

Wyrzuciła do góry lewą rękę, schwyciła w palce zgrzebną wełnę i trzymała mocno. Przeszywający ból w ramieniu oznaczał, że uraziła je tak poważnie, jak podejrzewała. Kiedy puścił jej drugą rękę, jęknęła z bólu i szybko nią również chwyciła jego kaftan. Obiema dłońmi ujął ją w talii i podniósł wyżej tak, że leżała na jego szerokich plecach. Grzmoty łomotały już bez chwili przerwy. Wkrótce spadnie deszcz. Wyciągnięcie pozostałych będzie trudniejsze.

— Podoba mi się twój ciężar na mnie, Faile Bashere, ale może będziesz się szybciej wspinać, żebym mógł też wyciągnąć pozostałe. — Uszczypnął ją w pośladki, zaśmiała się wbrew woli. Ten człowiek chyba nigdy nie zaniecha prób!

Wspinała się po nim wolniej, niż miała nadzieję, że się to odbędzie. W ramieniu chyba nic nie złamała, ale bolało strasznie. Raz zdało jej się, że kopnęła Rolana w głowę. Będzie miał za szczypanie.

W końcu wyszła na zewnątrz, minęła Kinhuina i po raz pierwszy od dawna stanęła pod otwartym niebem. Rzut oka na budynek sprawił, że musiała przełknąć ślinę, a potem rozkaszała się gwałtownie, gdy drobiny pyłu zadrapały gardło. Po czerniałe belki chyliły się w alarmujący sposób, gotowe zawalić piwnicę. Trzeci Pozbawiony Braci, Jhoradin, niebieskooki mężczyzna z włosami barwy czerwonego złota i twarzą niemal że przystojną, obserwował Kinhuina i Rolana, od czasu do czasu zerkając w stronę budynku, jakby oczekiwał, że zaraz się zawali. Jak na Aiela był dość niski, niższy od Perrina, choć szerszy w ramionach. Na ulicy znajdowała się co najmniej setka ludzi, patrzyli na nią z niepokojem, od pracy przy ich wykopywaniu białe szaty wielu usmarowane były sadzą. Setka! Niemniej nie potrafiła znaleźć w sercu dość zdecydowania, by kazać im się rozejść. Zwłaszcza po tym, jak Aravine wcisnęła w jej dłonie pękaty worek z wodą. Najpierw nabrała wody, wyplukała pył i miał z ust, i wypluła, choć ledwie zwalczyła ochotę przełknięcia, potem uniosła do góry worek i wlała sobie całą zawartość do gardła. Zaprotestowało kontuzjowane ramię. Zignorowała bóli piła dalej.

Nagle dotarło do niej, że na zachód od miasta w ziemię biją pioruny i opuściła worek, żeby się lepiej przyjrzeć. Tuż za miastem. Z jasnego nieba. Niekiedy wcale nie docierały do ziemi. Wiele rozwidlonych błyskawic eksplodowało z ogłuszającym grzmiotem wysoko ponad powierzchnią gruntu. Po niebie mknęły ogniste kule, niekiedy wybuchając z odgłosem podobnym do huku gromu. Ktoś toczył bitwę na Moc! Ale kto? Czy Perrin znalazł dość Aes Sedai lub Asha'manów, żeby zaatakować obóz? W całej tej sytuacji było coś bardzo dziwnego. Wiedziała, jak wiele Mądrych w obozie potrafi przenosić, więc błyskawic i ognistych kul było trochę jakby zbyt mało. Być może mimo wszystko to wcale nie Perrin. Wśród Mądrych istniały rozmaite podziały. Nie tylko między tymi, które popierały Sevannę, a tymi, które jej się przeciwstawiały, lecz też między szczepami zantagonizowanymi przez stare alianse lub animozje. Może jedni walczyli z drugimi. To wydawało się skrajnie nieprawdopodobne, ale nie bardziej niż możliwość, że Perrin znalazł dość Aes Sedai, a Mądre nie bronią się ze wszystkich sił.

— Kiedy z nieba zaczęły lecieć błyskawice, Rolan powiedział, że trwa bitwa — odrzekła Aravine na pytanie Faile. — to wszystko. Nikt nie chciał iść zobaczyć, póki cię nie wydostaniemy.

Faile zgrzytnęła zębami z irytacji. Nawet gdyby nie miała na głowie Rolana, bitwa pod murami miasta mogła skrajnie utrudnić ucieczkę. Gdyby tylko wiedziała, co się dzieje, mogłaby wymyślić sposób na wymknięcie się zawierusze. Albo wykorzystanie jej na swoją korzyść.

— Nikt nigdzie nie idzie, Aravine. To może być niebezpieczne. — A wracając, mogą niechętnie sprowadzić Shaido. Światłości, co się dzieje?

Maighdin wynurzyła się zza sylwetki Kinhuina, rozcierając biodro.

— Uszczypnął mnie! — Głos miała niewyraźny, ale była w nim słyszalna obraza. Faile poczuła ukłucie... z pewnością nie zazdrości. Oczywiście, że nie. Przeklętnik mógł sobie szczypać, kogo chciał. To nie Perrin.

Skrzywiła się i podała tamtej worek z wodą, Maighdin szybko wyplukała usta i zaczęła chciwie pić. W tej chwili nie zasługiwała na miano złotowłosej: przyklepione potem do czaszki loki włosów pokrywał pył, podobnie jak zakurzoną twarz. W tej chwili nie była nawet ładna.

Arrela wyszła z ruin, rozcierając pośladki i wyglądając ponuro niczym śmierć, niemniej żwawo przyjęła worek z wodą, zaoferowany jej przez Aldina. Wysoki, młody Amadicjanin o szerokich barkach, wyglądający bardziej na żołnierza niż księgowego, którym w istocie był, przyglądał się namiętnie pijącej. Choć Arrela nie lubiła mężczyzn w ten sposób, Aldin nie przyjmował do wiadomości, że nie zechce go poślubić. Pojawiła się Lacile — ona też rozcierała pośladki! — a Jhoradin podał jej następny worek z wodą, przesuwał palcem po brudnym policzku, uśmiechnęła się do niego i zaczęła pić. Już przygotowywała sobie drogę pod jego koce, na wypadek gdyby Rolan okazał się niewzruszony. Przynajmniej Faile wydawało się, że o to właśnie chodzi.

W końcu obok Kinhuina precyzyjnie się Alliandre i choć niczego sobie nie rozcierała, wyraz jej twarzy był pełen tak lodowatej furii, że wszystko stało się jasne. Kinhuin wypełził z otworu i wyprostował się, a Rolan podjął niełatwe zadanie wygrzebania się spod niebezpiecznego stosu belek.

— Moja pani — zawołała Aravine z niepokojem. Faile odwróciła się i zobaczyła kobietę o pulchnej twarzy, która klęczała na bruku i kładła głowę Maighdin na podołku. Powieki Maighdin drżały, ale nie potrafiła otworzyć oczu. Usta poruszały się słabo, mamrotała coś niezrozumiale.

— Co się stało? — zapytała Faile, pośpiesznie przyklękając obok.

— Nie wiem, moja pani. Piła, jakby chciała opróżnić worek i nagle się zachwiała. W następnej chwili zemdląca. — Dłonie Aravine zadrżały jak opadające z drzew liście.

— Musiała być strasznie zmęczona — powiedziała Faile, wyglądając włosy pokojówki i

próbując nie myśleć, jak wydostaną kobietę z obozu, jeśli nie będzie mogła iść. Trudno, najwyżej się ją poniesie. Światłości, sama ledwie się trzymała na nogach. — Ona nas uratowała, Aravine. — Amadicianka poważnie pokiwała głową.

— Ukryję was w bezpiecznym miejscu na dzisiejszą noc, Faile Bashere — powiedział Rolan, dopinając ostatnie sprzączki uprząży z futerałem na łuk. Brązową *shoufę* miał już udrapowaną wokół głowy. — Potem odprowadzę was do lasu. — Odebrał od Jhoradina trzy krótkie włócznie, wsunął je za paski uprząży tak, że tylko lśniące w słońcu długie groty sterczały mu nad głową.

Faileomal nie zemdląła z ulgi obok Maighdin. Nie trzeba będzie nic skrywać przed Perrinem. Ale nie mogła sobie pozwolić na słabość, nie teraz.

— Nasze zapasy — zaczęła i jakby jej głos był ostatnią kroplą, budynek zajęczał rozpaczliwie i zawalił się z łomotem, w którym na chwilę utonęły odgłosy eksplozji.

— Dopilnuję, żebyście dostały, czego wam potrzeba — zapewnił Rolan, unosząc czarną zasłonę. Jhoradin podał mu następną włóczę i tarczę, którą on zawiesił na rękojeści noża przy pasie, a prawą rękę podał jej i podniósł na nogi. — Musimy szybko ruszać. Nie wiem, z kim tańczymy włóczękami, ale *Mera'din* dziś zatańczę.

— Aldin, możesz ponieść Maighdin? — Failetyle tylko zdołała z siebie wykrztusić, zanim Rolan pociągnął ją za sobą. Obejrzała się przez ramię, żeby zobaczyć, jak Aldin dźwiga bezwładną Maighdin w ramionach. Jhoradin ciągnął za ramię Lacile równie zdecydowanie, jak Rolan ją. Trzej Pozbawieni Braci otwierali procesję złożoną z odzianych w biel mężczyzn i kobiet. I jednego chłopca. Na twarzy Therila zamarł ponury grymas. Pogrzebała w rękawie, co nie było sprawą prostą, ponieważ ramię tkwiło w potężnym uchwycie wielkiej ręki Rolana, i zacisnęła palce na karbowanej rękojeści sztyletu. Cokolwiek działo się za murami miasta, przed zmrokiem sztylet jeszcze może się przydać.

*

Perrin biegł krętą uliczką wśród namiotów. W zasięgu wzroku nie było żadnego człowieka, tylko przez wycie eksplodujących kul ognistych i piorunów słyszał inne odgłosy bitwy. Szczękanie stali. Krzyki umierających i zabijających mężczyzn. Wrzaski mężczyzn. Z rany na głowie spływała po jego lewym policzku krew, czuł też jej strużkę na lewym boku, gdzie za robił draśnięcie włóczęką oraz na udzie — tam rana była głębsza. Nie cała krew, którą miał na sobie, była jego. Nagle w wejściu do niskiego, ciemnego namiotu zobaczył twarz. Wycofała się natychmiast. Twarz dziecka, przerażonego dziecka, nie pierwsza, jaką tu zobaczył. Shaido byli naciskani tak mocno, że wiele dzieci zostało w obozie. To wszakże problem na później. Ponad namiotami widział już bramy miasta, odległe o niewiele więcej niż sto kroków. Za nimi wznosiła się forteca. Tam była Faile.

Za brudnego brązowego namiotu wyskoczyło dwóch zamaskowanych Shaido z włóczękami w rękach. Ale nie on był celem. Patrzyli gdzieś w lewo. Nie zatrzymując się, natarł na nich. Obaj byli potężniej zbudowani od niego, mimo to pęd jego ataku powalił całą trójkę na ziemię. Upadł, walcząc. Głowicą młota uderzył w podbródek jednego, drugiego dźgał raz za razem. Młot wznosił się i zmiażdżył twarz pierwszego, trysnęła krew, młot uniósł się i spadł znowu, a Perrin wciąż dźgał. Kiedy wreszcie wstał, mężczyzna ze zmiażdżoną twarzą drgnął raz i znieruchomiał. Oczy drugiego martwo patrzyły w niebo.

Kątem lewego oka złowił jakiś ruch, rzucił się w prawą stronę. W miejscu, gdzie przed momentem

był jego kark, powietrze przeszło ostrze miecza. Miecz należał do Arama. Niedysiejszy Druciarz też odniósł sporo ran. Krew pokrywała jego twarz jak obca maska, kaftan w czerwone pasy znaczyły krwawe rozcięcia, oczy miał szkliste, niczym u trupa, wciąż jednak zdawał się tańczyć z klingą w dłoni. Rozsiewał wokół woń śmierci, tej śmierci, której tak szukał.

— Zwariowałeś? — warknął Perrin. Stał zadzwięczała o stal, gdy głowicą młota zablokował cios. — Co ty wyprawiasz? — Zasłonił się przed kolejnym atakiem, spróbował chwycić tamtego, ale ledwie udało mu się oderwać z draśnięciem przez zębra. — Prorok mi wszystko wyjaśnił — głos Arama dobiegał jakby z daleka, niemniej miecz poruszał się z płynną swobodą, zadając pchnięcia i cięcia, które Perrin ledwie potrafił parować nożem i młotem. Perrin cały czas się cofał. Mógł tylko żywić nadzieję, że nie potknie się o linkę namiotu lub nie wpadnie do środka. — Twoje oczy — ciągnął Aram. — Naprawdę jesteś Pomiotem Cienia. To ty sprowadziłeś trolloki do Dwóch Rzek. Wszystko mi wyjaśnił. Te oczy. Powinienem wiedzieć, kiedy po raz pierwszy cię spotkałem. Ty i Elyas z tymi oczyma Pomiotu Cienia. Muszę ratować przed tobą lady Faile.

Perrin zebrał się w sobie. Nie był w stanie wywijać z taką łatwością dziesięcioma funtami stali, z jaką Aram posługiwał się mieczem ważącym jedną trzecią tego. Jakimś sposobem musiał podejść bliżej, dostać się wewnątrz sfery wyznaczonej przez migoczącą klingę. Nie uda mu się to bez obrażeń, zapewne oberwie srodze, jeśli wszakże będzie zwlekał zbyt długo, tamten go zabije. Zahaczył o coś lewym obcasem, zachwiał się do tyłu, prawie upadł. Aram skoczył, zamachnął się mieczem do cięcia w dół. Nagle zeszywniał, jego oczy rozszerzyły się, a miecz wypadł z ręki. Runął na twarz, z jego pleców sterczały dwie strzały. Trzydzieści kroków za jego plecami dwaj Shaido znowu naciągali łuki. Perrin skoczył w bok, za zielony, cyrkowy namiot, błyskawicznie przetoczył się na nogi. W rogu namiotu utkwiała jeszcze drżąca strzała. Przykucnął, w przysiadzie obszedł zielony namiot, potem błękitny, wypłowiwały, wreszcie niski, ciemnobrązowy — młot w jednej dłoni, nóż w drugiej. Nie pierwszy raz dzisiaj bawił się w tę grę. Ostrożnie zerknął zza brązowego płótna. Dwóch Shaido nigdzie nie było widać. Mogli ścigać go w ten sam sposób, jak on uciekał, albo zająć się inną ofiarą. Bywało wcześniej, że gra kończyła się tak albo tak. Widział natomiast ciało Arama, leżące w miejscu gdzie chłopak padł. Łagodny wietrzyk rozdmuchiwał ciemne lotki strzał sterczących z jego pleców. Elyas miał rację. Nigdy nie powinien pozwolić Aramowi wziąć miecza do ręki, Powinien go odesłać do taborów albo zmusić do powrotu do Druciarzy. Tyle rzeczy powinien zrobić inaczej. Teraz już za późno.

Bramy miasta wzywały go. Zerknął przez ramię. Już tak blisko. Wciąż pochylony, pobiegł krętą uliczką, bacząc na tamtych dwóch Shaido lub innych, którzy mogli się gdzieś czaić. Odgłosy bitwy docierały doń teraz z przodu, z północy i południa, ale to nie znaczyło, że może się nie obawiać maruderów.

Wypadł zza rogu jedynie kilka kroków od rozwartej szeroko bramy i przekonał się, że jest pełna ludzi. Większość odziana była w brudne białe szaty, ale trzech okazało się *algai'd'siswat*, jeden z nich tak potężnie zbudowany, że Lamgwin przy nim wydawałby się mały. On właśnie ciągnął Faile za nadgarstek Faile wyglądała, jakby się wytarzała w błocie.

Z wrzaskiem Perrin rzucił się naprzód, unosząc młot. Potężny człowiek natychmiast pobiegł w jego stronę, wznosząc włócznię i sięgając po tarczę do pasa.

— Perrin! — krzyknęła Faile.

Wielki Shaido zawahał się na moment, a Perrin natychmiast to wykorzystał. Młot uderzył w bok głowy tamtego tak mocno; że ciało wręcz wyleciało w powietrze. Za nim wszak był już następny, włócznia gotowa do ciosu. Nagle zacharczał, w widocznych nad czarnym welonem oczach zabłysło niepomierne zdziwienie, i osunął się na kolana, zerkając przez ramię na Faile, tuż za sobą. Powoli

upadł, w jego plecach tkwił nóż z karbowaną, stalową rękojeścią. Perrin pośpiesznie rozejrzał się za trzecimi i zobaczył, jak leży twarzą do ziemi z dwiema drewnianymi rękojeściami noży sterczących z pleców. Łacile wspierała się na ramieniu Arreli, płacząc. Bez wątpienia przekonała się właśnie, że zabicie kogoś nie jest tak proste, jak przypuszczała.

Na czele tłumu stała Alliandre, Maighdin też była blisko, Mała w ramionach młodego mężczyzny w bieli, ale Perrin widział wyłącznie Faile. Nóż i młot wysunęły się z jego rąk, przekroczył ciało poległego mężczyzny i wziął ją w ramiona. Jego nozdrza były pełne jej zapachu. W głowie nie miał już nic innego. Pachniała silną wonią spalenizny — dlaczego właściwie? — ale pod tym czuł jej prawdziwy zapach. — Tak długo śniłem o tej chwili — wyszeptał.

— Ja też — powiedziała z twarzą wtuloną w jego pierś, ściskając go z całych sił. Pachniała radością, ale równocześnie drżała niepowstrzymanie. — Zrobili ci krzywdę? — zapytał łagodnie.

— Nie. Oni... Nie, Perrin, nic złego mi nie zrobili. — Z jej radością mieszały się też inne zapachy, razem tworzyły niepojętą mieszalinę. Tępa, bolesna woń smutku i tłusty aromat poczucia winy. Wstyd, jak tysiące kłujących, cienkich niczym włos igieł. Cóż, tamten nie żył, a kobieta miała prawo do zachowania swoich tajemnic.

— Liczy się tylko to, że żyjesz i że znowu jesteśmy razem zapewnił. — Nic więcej na świecie się nie liczy.

— Nic więcej się nie liczy — zgodziła się, przytulając się do niego jeszcze mocniej. Tak mocno w istocie, że aż jęknęła z wysiłku. Ale już w następnej chwili odsunęła się, oglądając jego rany; wsadzała palce w rozcięcia kaftana i patrzyła. — Nie wygląda źle — powiedziała żywo, choć te wszystkie inne uczucia wciąż przyćmiewały radość. Sięgnęła do jego włosów, rozdzieliła je, ściągnęła głowę w dół, żeby obejrzyć cięcie na czaszce. — Rzecz jasna, będzie ci potrzebne Uzdrawianie. Ile Aes Sedai przyprowadziłeś ze sobą? Jak ci się udało...? Nie, to nie rozmowa na teraz. Jest ich dość, żeby pokonać Shaido, i tylko to się liczy.

— Pokonać tę bandę Shaido — rzekł, wyprostował się i spojrzał na nią z góry. Światłości, nawet brudna była taka piękna. — Następných sześć czy siedem tysięcy włóczni dotrze tu za... — zerknął na słońce, zdało mu się, że powinno już stać wyżej — pewnie mniej niż dwie godziny. Musimy tu skończyć i jak najszybciej ruszać, jeśli się uda. Co jest z Maighdin? — W ramionach młodego mężczyzny zwisała bezwładnie jak poduszka z pierzem. Powieki drżały, ale nie chciały się otworzyć.

— Wykończyła się, ratując nam życie — odrzekła Faile zapominając na chwilę o jego ranach i odwracając się do ludzi w bieli. — Aravine, weź pozostałych i zacznijcie gromadzić *gai'shain*. Nie tylko tych, którzy mi przysięgli. Nie zostawimy nikogo, kogo znajdziemy. Perrin, który kierunek jest najbezpieczniejszy?

— Północ — poinformował ją. — Północ jest bezpieczna.

— Ruszajcie z nimi na północ — ciągnęła Faile. — Bierzcie wozy, wózki, juczne konie i załadujcie je wszystkim czego będziemy potrzebować. Pospieszcie się! — Ludzie zaczęli się ruszać. Biegiem. — Nie, ty zostajesz, Aldin. Ktoś musi nieść Maighdin. Ty też zostajesz, Alliandre. I Arrela. Łacile potrzebne będzie przez czas jakiś twoje ramię.

Perrin uśmiechnął się szeroko. Pozostawić jego żonę w domu zajętym ogniem, a spokojnie zabierze się do gaszenia pożaru. I oczywiście jej się uda. Pochylił się, podniósł nóż, wytarł o kaftan zielonookiego i wsadził do pochwy. Młot też potrzebował porządnego czyszczenia. Próbował nie myśleć o tym, co rozsmarował po kaftanie tamtego. Ogień powoli gasł w żyłach. Nie było już żadnego podniecenia, tylko zmęczenie. Rany zaczynały rwać.

— Wyślesz kogoś do twierdzy, aby Ban i Seonid wiedzieli, że mogą już nie czekać — powiedział, wsuwając stylisko młota w pętlę przy pasie.

Faile spojrzała się na niego zdumiona. — One są w fortecy? Jak? Dlaczego?

— Alyse ci nie mówiła? — Zanim porwano mu Faile, niełatwo wpadał w gniew. Teraz poczuł, jak rodzi się w nim furia. Pieni się rozgrzanym do białości żelazem. — Powiedziała, że zabierze cię, gdy odjedzie, a równocześnie obiecała, że powie ci, iż masz się udać do fortecy, kiedy zobaczysz mgłę na wzgórzach i usłyszysz wilki wyjące za dnia. Przysięgłbym, rzekła to zupełnie bezpośrednio i jasno. Żebyś szczęśliwie, Aes Sedai nie można ufać nawet na jotę.

Faile zerknęła w kierunku zachodniego szczytu, gdzie wciąż zalegała gruba warstwa mgły i skrzywiła się.

— To nie jest Alyse, Perrin. Ma na imię Galina. Jeżeli to również nie jest kłamstwem. Musi chodzić o nią. I chyba jest Czarną Ajah. Och, jak żałuję, że nie znam jej prawdziwego imienia. — Poruszyła lewą ręką i skrzywiła się. Naprawdę jej się oberwało. Perrin odkrył w sobie nagłą chęć zabicia wielkiego Shaido jeszcze wiele razy. Faile nie pozwoliła, żeby rana przeszkodziła jej w działaniu. — Theril, wyłaź stamtąd. Widziałam, jak patrzysz zza bramy.

Zza rogu bramy wyszedł nieśmiało wychudzony młodzieniec. — Ojciec kazał mi zostać i mieć na ciebie oko, moja pani - powiedział z akcentem tak ciężkim, że Perrin ledwie zrozumiał. — Może i kazał — zdecydowanie oznajmiła Faile. — Teraz jednak pobiegiesz najszybciej, jak potrafisz do fortecy i powiesz tym, których tam znajdziesz, że lord Perrin każe im wracać. Już, ruszaj.

Chłopak przyłożył do czoła pięść i pobiegł. Pojawił się znowu mniej więcej za kwadrans, wciąż biegł, prowadząc za sobą Seonid, Bana i pozostałych. Ban podszedł do Faile, mruknął gładko, jak się cieszy, że znowu ją widzi, a potem rozkazał ludziom z Dwóch Rzek, żeby stanęli przed bramą na warcie z łukami w dłoniach i halabardami wetkniętymi w ziemię. W tym celu użył normalnego głosu. Następny, który próbuje zdobyć nieco ogłady. Selande i inni ludzie Faile biegali dookoła, paplając z podnieceniem, informując ją, jak strasznie się martwili, gdy wilki zawyły, a jej nie było.

— Idę po Masuri — oznajmił Kirklin hardym tonem. Nie czekając na pozwolenie, wyciągnął miecz i pobiegł wzdłuż murów obronnych na północ.

Tallanvor zaszlochał, kiedy zobaczył Maighdin w objęciach wysokiego młodzieńca i niełatwo było mu wyperswadować, iż tylko zemdlą. Odebrawszy ją z rąk tamtego, przycisnął do własnej piersi. I szeptał coś do ucha.

— Gdzie Chiad? — zapytał Gaul. Kiedy dowiedział się, że nie było jej z nimi, zakrył twarz. — Panny oszukały mnie — oznajmił ponuro. — Ale znajdę ją przed nimi.

Perrin złapał go za ramię.

— W okolicy jest wielu ludzi, którzy wezmą cię za Shaido.

— Muszę ją znaleźć pierwszy, Perrinie Aybara. — W głosie Aiela było coś takiego... podobnie w jego zapachu, co Perrin mógł określić jedynie jako tęsknotę. Rozumiał smutek, jakim potrafiła przepełnić serce mężczyzny myśl, że kobieta, którą kocha, może być stracona na wieki. Puścił rękaw Gaula, a tamten z włócznią i tarczą w ręku przebiegł przez szereg łuczników.

— Pójdę z nim — uśmiechnął się Elyas. — Może uchronię go przed popadnięciem w kłopoty. — Wyciągnął długi nóż, któremu zawdzięczał swoje imię wśród wilków, Długi Kieł, i pobiegł za wysokim Aielem. Jeżeli im dwóm nie uda się bezpiecznie wydostać z obozu, to nikomu może się to nie udać.

— Jeżeli już skończyłeś gawędzić, może postoisz chwilą spokojnie, żebym cię mogła Uzdrowić — powiedziała Seonid do Perrina. — Wyglądasz, jakby ci to było potrzebne. — Furen i Teryl szli za nią w krok, dłonie na rękojeściach mieczy, oczy biegające na wszystkie strony. Z ich postawy można było wnosić, że niezależnie od ochronnego pierścienia ludzi z Dwóch Rzek, bezpieczeństwo Seonid ostatecznie spoczywa na ich barkach. Wyglądali jak pantery strzegące domowego kota. Tylko że ona

nie była domową kotką.

— Zajmij się najpierw Faile — zaprotestował. — Coś jej się stało w ramię. — Faile właśnie rozmawiała z Alliandre. Obie były tak rozłoszczone, że gdyby miały ogony, z pewnością sterczałyby im pionowo, całkiem zjeżone. Bez wątpienia chodziło o Alyse, Galinę czy jak tam jej było.

— Nie widzę, żeby krwawiła jak zarzynana świnia. — Seonid uniosła dłonie, ujęła w nie jego głowę i za moment przeszył go znajomy chłód, jakby znieacka zanurkował zimą w stawie, w którym prawie zamarza woda. Westchnął ciężko, szarpnął się, zadygotały mu ręce, a kiedy go puściła, po ranach nawet nie zostało wspomnienie, prócz krwi na twarzy i zakrwawionym kaftanie oraz spodniach. Poczł się też tak głodny, że schrupałby jelenia z kopytami.

— O co chodzi? — Drobniutka Zielona siostra odwróciła się od niego i podeszła do Faile. — Wspomniałaś może Galinę Casban?

— Nie wiem, jak się nazywa — odrzekła Faile. — Aes Sedai o okrągłej twarzy z pełnymi ustami, czarnymi włosami i wielkimi oczami. W pewnym sensie śliczna, ale paskudnego charakteru. Znasz ją? Wydaje mi się, że musi być Czarną Ajah.

Seonid zeszywniała, palce dłoni wpiła w fałdy sukni.

— To mi wygląda na Galinę. Czerwona, zdecydowanie nieprzyjemna. Ale dlaczego rzucasz takie oskarżenia? Nie wolno tak sobie szastać tego rodzaju zarzutami wobec siostry, nawet równie antypatycznej, co Galina.

Faile wyjaśniła, zaczynając od pierwszego spotkania z Galiną a Perrin poczuł, jak znów rodzi się w nim gniew. Ta kobieta ją zaszantażowała, groziła jej, okłamała ją, a potem próbowała zabić. Pięści zaciskał tak mocno, że drżały mu ręce.

— Kiedy wpadnie mi w ręce, złamię jej kark — warknął.

— Nie masz prawa — ostro oznajmiła Seonid. — Galina musi być osądzona przez trybunał złożony z siostr, a w przypadku takiego oskarżenia muszą to być Zasiadające Komnaty, Być może nawet proces odbędzie się przed całą Komnatą Wieży. Jeżeli jej wina okaże się niewątpliwa, zostanie ujarzmiona i stracona, ale sprawiedliwość wymierzą jej Aes Sedai.

— Jeżeli? — zapytał z niedowierzaniem. — Słyszałaś, co powiedziała Faile. Masz jeszcze jakieś wątpliwości? Musiał wyglądać groźnie, ponieważ Furen i Teryl stanęli po obu bokach Seonid, dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy, a twarde oczy wpatrywały się w jego twarz.

— Ona ma rację, Perrin — łagodnie powiedziała Faile — Kiedy Jaca Coplina i Lena Congara oskarżono o kradzież krowy, wiedziałeś, że to złodzieje, a jednak kazałeś panu Than dowieść ich winy, zanim pozwoliłeś Radzie Wioski zasądzi karę chłosty. W przypadku Galiny jest to tak samo ważne.

— Rada Wioski nie wychłostałaby ich bez procesu, niezależnie, czego bym chciał — mruknął. Faile roześmiała się Roześmiała się! Światłości, jak dobrze było znowu słyszeć jej, śmiech. — No dobrze. Galina należy do Aes Sedai. Ale jeżeli one się nią nie zajmą, wezmę sprawy w swoje ręce. Nie lubię ludzi, którzy wyrządzają ci krzywdę.

Seonid parsknęła, w jej zapachu wyraźnie czuć było dezaprobatę.

— Coś ci się stało w ramię, moja pani?

— Proszę, najpierw zajmij się Arrelą — odrzekła Faile Aes Sedai przewróciła oczami i ujęła głowę Faile między swe dłonie. Faile zadrżała i jęknęła, a właściwie tylko ciężko westchnęła. Obrażenia nie były więc poważne, tak czy siak, już ich nie było. Podziękowała Seonid, a potem zaprowadziła do Arreli.

Perrin nagle zorientował się, że już nie słyszy odgłosów wybuchów. Po prawdzie, nie dochodziły

już od jakiegoś czasu, Dobry znak.

— Muszę zobaczyć, co się dzieje. Ban, pilnuj Faile.

Faile nie zgadzała się, żeby poszedł sam, a zanim w końcu przystał na wzięcie ze sobą dziesięciu ludzi z Dwóch Rzek, zza północnego rogu murów obronnych wyjechał jeździec w lakierowanej zbroi. Po trzech niebieskich piórach Perrin poznał Tylee. Gdy podjechała bliżej, zdał sobie sprawę, że przerzucona przez siodło gnidosza leży naga kobieta. Skrępowana dokładnie — nadgarstki i kostki, kolana i łokcie. Jej złote włosy prawie muskały powierzchnię ziemi, w złote loki wplątane były naszyjniki z klejnotami i sznury pereł. Kiedy Tylee ściągnęła wodze rumaka, sznur wielkich zielonych kamieni i złota Ześlizgnął się na ziemię. Generał zdjęła swój osobliwy hełm urękawicznionymi dłońmi i położyła na nagich pośladkach kobiety.

— Te twoje łuki sprawdziły się znakomicie — powiedziała, rozciągając samogłoski i patrząc na ludzi z Dwóch Rzek. — Szkoda, że takich nie mam. Kirklin powiedział mi, gdzie cię znajdę, mój panie. Zaczęli się poddawać. Ludzie Masemy wyraźnie gotowi byli popełnić samobójstwo... Większość z nich zginęła lub właśnie umiera, jak mi się wydaje... A *damane* zmieniły grzbiet tego wzgórza w pułapkę, do której tylko szalencie wszedłby z własnej woli. A co najlepsze ze wszystkiego, *sul'dam* już naszykowały *a'dam* dla ponad dwustu kobiet. Ta twoja „zimna herbatka” wystarczyła, by większość nie potrafiła ustać bez pomocy. Musiałam posłać po *rakeny*, żeby je wszystkie stąd wywieźć.

W gardle Seonid zrodził się nieartykułowany odgłos. Jej twarz była pozbawiona wyrazu, ale rozsiewała wokół woń płonącej furii. Patrzyła na Tylee, jakby chciała ją przewiercić i oczami. Tylee nie zwróciła uwagi, tylko lekko pokręciła głową.

— Dopiero, jak odejdę z moimi ludźmi — rzekł Perrin. Umowę zawarł tylko z nią. Nie chciał ryzykować jej postulatów z kimkolwiek innym. — Jakie są nasze straty, nie licząc ludzi Masemy?

— Lekkie — odparła Tylee. — Mając twoich łuczników z jednej strony, a *damane* z drugiej, nigdzie nie zdołali nawiązać bezpośredniej walki. W życiu nie widziałam planu bitwy, który zostałby tak dokładnie zrealizowany. Jeżeli dowiem się, że nasze wspólne straty wynoszą więcej niż stu poległych będę naprawdę zaskoczona.

Perrin skrzywił się. Prawdopodobnie, mając na względzie okoliczności, należało to uznać za lekkie straty, ale niektórzy z poległych okazały się ludźmi z Dwóch Rzek. Niezależnie, czyy znał ich osobiście, czy nie, był za nich odpowiedzialny.

— Wiesz, gdzie jest Masema?

— Z resztkami swojej armii. Nie jest tchórzem, muszę mu to oddać. On i jego dwie setki straży przybocznej... cóż, obecnie koło setki... przebili się przez cały obóz Shaido na swoje wzgórze.

Perrin zgrzytnął zębami. Tamten schronił się w otoczeniu swej hałastry. W kwestii zamachu Arama na jego życie będzie więc jego słowo przeciwko słowu Masemy, w każdym razie nie prawdopodobne zdawało się, że jego ludzi wydadzą pod sąd.

— Musimy ruszać, zanim tamci tu dotrą. Jeżeli Shaido dowiedzą się, że ratunek nadciąga, mogą zapomnieć, że się poddali. Kim jest twój jeńiec?

— To Sevanna — chłodno oznajmiła Faile. Woń jej nienawiści była prawie równie silna jak wówczas, gdy mówili o Galinie.

Złotowłosa zadarła głowę, odrzucając włosy z twarzy i gubiąc w trakcie jeszcze kilka naszyjników. Patrzyła na Faile wściekłym wzrokiem zielonych oczu znad strzępu materii, którym zakneblowano jej usta. Pachniała wściekłością.

— Sevanna z Jumai Shaido — w głosie Tylee można było usłyszeć wyraźną satysfakcję. — Z dumą mi się przyznała. Ona również nie jest tchórzem. Wyszła nam naprzeciw, nie mając na sobie nic

prócz jedwabnej szaty i klejnotów, zdołała jednak przesyć włócznią dwóch moich Altaran, zanim odebrałam jej broń.

Sevanna warknęła przez knebel i próbowała ześlizgnąć się z końskiego grzbietu. Przynajmniej próbowała do czasu, aż Tylee mocno przyłożyła jej w pośladki. Potem ograniczyła się już tylko do wściekłych spojrzeń na wszystkich dookoła.

„Przyjemnie zaokrąglona” — pomyślał, zanim zdał sobie sprawę, że nie powinien w obecności żony zwracać uwagi na takie rzeczy. Z drugiej strony, pamiętał radę Elyasa, że kobieta zauważy, gdy demonstracyjnie będzie odwracał wzrok, więc przyglądał się otwarcie.

— Roszczę sobie prawo do zawartości jej namiotu — oznajmiła Faile, rzucając mu ostre spojrzenie. Może mimo wszystko przesadził z tą otwartością. — Miała w nim wielki kufer pełen klejnotów, chcę, aby trafiły w moje ręce. Nie patrz na mnie jak debil, Perrin. Mamy do wykarmienia i odziania sto tysięcy ludzi, potem musimy ich odesłać do domów. Co najmniej sto tysięcy.

— Ja chciałbym zostać przy tobie, moja pani, jeśli mi pozwolisz — wtrącił młodzieniec, trzymający Maighdin. — Nie będę jedynym, oczywiście jeśli nas zechcesz.

— Twoja szlachetna małżonka, jak mniemam, mój panie powiedziała Tylee, mierząc wzrokiem Faile.

— Zaiste. Faile, pozwól niech ci przedstawię generała sztandaru Tylee Khirgan, w służbie Imperatorowej Seanchan. — być może sam zyskiwał trochę tej ogłady. — Generale sztandaru, moja żona Faile ni Bashere t'Aybara. — Tylee ukloniła się z siodła. Faile lekko dygnęła i nieznacznie skłoniła głowę. Mimo brudnej twarzy otaczała ją isticie królewska atmosfera. To przywiodło mu na myśl Pękniętą Koronę. Niemniej rozmowy na temat tej kwestii można odłożyć na później. Bez wątpienia potrważą długo. Podejrzewał, że po wszystkim, co przeszedł, być może wcale nie tak trudno będzie mu podnieść na nią tym ruzem głos, czego przecież sama chciała.

— A to jest Alliandre Maritha Kigarin, królowa Ghealdan, Błogosławiona w Światłości Obrończyni Zielonych Murów. I mój wasal. Ghealdan pozostaje pod moją opieką. — Głupio to zabrzmiało, ale powiedzieć należało.

— Nasza umowa nie dotyczyła tej kwestii — oznajmiła

Tylee, ostrożnie dobierając słowa. — Jeszcze nie zdecydowałam, dokąd pomaszeruje Zawsze Zwycięska Armia.

— Chciałem tylko, żebyś wiedziała, generale. I poinformowała swoich dowódców, że nie mogą mieć Ghealdan.

Alliandre uśmiechnęła się doń tak szeroko, tak wdzięcznie, że omal się nie roześmiał. Światłości, Faile też się śmiała. Z dumą. Zakłopotany, podrapał się po nosie.

— Naprawdę musimy ruszać, zanim ci Shaido tu dotrą. Nie chcę mieć ich przed sobą a z tyłu wszystkich jeńców, zastanawiających się nad wzięciem włóczni do ręki.

Tylee zachichotała.

— Mam trochę więcej doświadczenia z tym narodem niż ty, mój panie. Skoro już się poddali, przez trzy następne dni nie będą walczyć ani nie spróbują ucieczki. Poza tym słyszałam, że moi Altarani palą ich włócznie i tarcze w ogniskach, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Jest czas na rozmieszczenie naszych oddziałów. Mój panie, mam nadzieję, że nigdy nie przyjdzie mi spotkać się z tobą w polu — powiedziała, ściągając z prawej dłoni okrytą stałą rękawicę. — Byłabym zaszczyczona, gdybyś zwracał się do mnie „Tylee”. — Przechyliła się nad Sevanną żeby podać mu dłoń.

Przez moment Perrin tylko gapił się na nią To naprawdę dziwny świat. Udał się do niej, sądząc, że dobija targu z Czarnym i Światłość jedna wiedziała, że niektóre obyczaje Seanchan wydawały się

naprawdę odrażające, niemniej ta kobieta była godna zaufania i szczerą.

— Jestem Perrin, Tylee — powiedział, ściskając jej dłoń.

Bardzo dziwny świat.



Galina zrzuciła bieliznę i cisnęła ją w miejsce, gdzie wcześniej trafiła jedwabna szata, a potem pochyliła się, by wziąć suknię do konnej jazdy, wydobytą poprzednio z juków Chyżej. Uszyta została na kobietę nieco pokaźniejszej postury, wystarczy do czasu, gdy będzie mogła sprzedać jedną z ognistych łez.

— Nie ruszaj się, Lina — usłyszała głos Theravy i nagle stwierdziła, że nie drgnęłaby nawet, gdyby las stanął w ogniu. Natomiast mogła krzyczeć. — Milcz. — Zadławiła się, gdy jej gardło w spazmach połknęło krzyk. I został jej tylko płacz, cichy płacz. Łzy spływały po policzkach, kapiąc na leśną ściółkę. Poczowała brutalne uderzenie. — Jakimś sposobem zdobyłaś różdżkę — powiedziała Therava. — Inaczej byś tu nie dotarła. Oddaj mi ją, Lina.

Nie było mowy o oporze. Galina wyprostowała się, wyjęła różdżkę z juków i podała kobiecie o jastrzębich oczach. Łzy wciąż płynęły z oczu.

— Przestań się mazać. I załóż naszyjnik z obrozą. Będę cię musiała ukarać za to, że ją zdjęłaś.

Galina skuliła się w sobie. Nawet rozkaz Theravy nie potrafił sprawić, by łzy przestały płynąć, a wiedziała, że za to również, zostanie ukarana. Złoty naszyjnik i obroza znalazły z juków drogę na jej szyję. Stała tak, mając na sobie tylko blade, wełniane pończochy, białe, miękkie buty ozdobione koronką i ciężar nasadzonej ognistymi łzami obrozy oraz targająca nią pasja zdawał się wgniatać ją w ziemię. Nie potrafiła oderwać oczu od białej różdżki w dłoniach Theravy.

— Twój koń będzie świetnym zwierzęciem jucznym, Lina. Jeśli o ciebie chodzi, masz całkowity zakaz jazdy konnej. Na zawsze.

Musi istnieć jakiś sposób, żeby znowu zdobyć tę różdżkę. Musi istnieć! Therava obracała przedmiot w dłoniach, szydząc z niej. — Przestań zabawiać się ze swoim pieskiem, Therava. Co teraz robimy? — Z lasu wyszła Belinde, szczupła Mądra z włosami wyblakłymi od słońca prawie na biel i spojrzała na Theravę bladymi, błękitnymi oczyma. Jej twarz z wydatnymi kośćmi policzkowymi idealnie pasowała do wściekłych spojrzeń.

Dopiero teraz Galina zrozumiała, że Therava nie była sama. Wśród drzew znajdowało się kilka setek mężczyzn, kobiet i dzieci, niektórzy mężczyźni z jakiegoś powodu nieśli kobiety przewieszane przez ramię. Zasłoniła się dłońmi, poczuła wypełzający na twarz rumieniec. Te długie dni wymuszonej nagości nie pozbawiły jej poczucia wstydu w obecności mężczyzn. Potem zobaczyła jeszcze coś dziwnego. Tylko garstkę stanowili *algai'd'siswai* z futerałami łuków na plecach i kołczanami przy biodrach, natomiast każdy mężczyzna i każda kobieta, oprócz Mądrych, mieli przynajmniej po jednej włóczni. I twarze zasłonięte chustkami lub po prostu strzępami materii. Co to miało znaczyć?

— Wracamy na Ziemię Trzech Sfer — oznajmiła Therava. — Wyślemy posłańców do wszystkich szczepów i nakażemy im porzucić *gai'shain* z mokradeł, porzucić wszystko, co trzeba, i wrócić ukradkiem na Ziemię Trzech Sfer. Odbudujemy nasz klan. I wtedy Shaido podniosą się z katastrofy, którą sprowadziła na nas Sevanna.

— To potrwa pokolenia! — protestowała Modarra. Szczupła i ładna, mimo iż wyższa od Theravy, wyższa od większości mężczyzn Aielów, bez zmruczenia oka stawiała czoło Theravie. Galina nie potrafiła pojąć, jak to możliwe. Ona sama pod jednym spojrzeniem tamtej kulila się ze strachu.

— Niech potrwa pokolenia — zdecydowanie odrzekła, Therava. — Poczekamy tyle, ile będzie trzeba. I nigdy już nie opuścimy Ziemi Trzech Sfer. — Objęła spojrzeniem Galinę. A ta skuliła się w sobie. — Nigdy już tego nie dotkniesz oznajmiła Therava, unosząc na moment różdżkę. — I nigdy więcej nie spróbujesz ucieczki. Ma silny grzbiet. Obładujcie ją i ruszajmy. Mogą nas ścigać. Obciążona workami z wodą naczyniami i garnkami, Galina czuła się niemal przyzwoicie odziana. Chwiejącym się krokiem szła przez las śladem Theravy. Nie myślała już o różdżce ani o ucieczce. Coś w niej pękło. Była Galiną Casban, Najwyższą z Czerwonych Ajah, która zasiadała w Najwyższej Radzie Czarnych Ajah, a teraz na resztę życia zostanie zabawką Theravy. Będzie jej małą Liną. Przez resztę życia. Wiedziała, że nic już nie odmieni jej losu. W całkowitej ciszy łzy spływały jej po twarzy.

ROZDZIAŁ 14

DOM NA ULICY PEŁNI KSIĘŻYCA

Muszą się trzymać razem — oświadczyła stanowczo Elayne. — Wy dwie też nie możecie wychodzić samopas, jeśli o to idzie. W każdym miejscu Caemlyn zawsze muszą być trzy albo cztery razem. To jedyny sposób, żebyście były bezpieczne. — Świeciły się tylko dwie ze stojących lamp z odblasznikami. Sześć płomieni wypełniało salon przyćmionym blaskiem i zapachem lilii. Jakość oliwy, którą napełnia się lampy, zdążyła się tak dalece pogorszyć, że obecnie zawsze już ją perfumowano, lecz ogień, trzaskający w kominku, właśnie zaczął przeganiać zimno wczesnej porannej godziny.

— Są chwile, kiedy kobieta potrzebuje odrobiny prywatności — odrzekła Sumeko ze spokojem, tak jakby dopiero jej kolejna Kuzynka nie umarła z potrzeby prywatności. Głos jej, oględnie mówiąc, był spokojny, jednak pulchne dłonie gładziły fałdy ciemnoniebieskich spódnic.

— Jeśli sama nie nauczysz ich lęku przed Światłością, Sumeko, ja to zrobię — powiedziała Alise, a jej łagodna zazwyczaj twarz przybrała wyraz zatroskania. Z obydwu ona wyglądała na starszą, jeśli porównać włosy przeplatane pasemkami siwizny z lśniącą czernią włosów sięgających poniżej masywnych ramion Sumeko, jednak była młodsza o dobre dwieście lat. Gdy padło Ebou Dar, nieustraszona Alise musiała uciekać przed Seanchanami, mimo to jej ręce równie nerwowo wyglądały brązowe spódnice.

Dawno minęła pora pójścia na spoczynek, którą oznajmiła siostrzenica Melfane, Essande, lecz pomimo towarzyszącego jej bezustannie znużenia, Elayne, skoro raz się obudziła, nie mogła już zasnąć i nie pomagało gorące kozie mleko. Gorące smakowało gorzej niż zimne. Zamierzała zmusić przekłętą Randa al'Thora, aby pił ciepłe kozie mleko, aż zacznie wylewać mu się uszami! Zaraz po tym, jak przekona się, co tak mocno go zraniło, że odczuła niewielkie szarpnięcie bólu, mimo iż cała reszta tego, co było nim, czyli ten mały supeł w głębi głowy, pozostała niewzruszona niczym kamień. Od tamtej chwili był znowu tylko niewzruszonością kamienia, więc wszystko z nim w porządku, ale

wcześniej odniósł poważną ranę, skoro cokolwiek poczuła. Dlaczego tak często Podróżował? Pewnego dnia był daleko na południowym wschodzie, następnego na północnym zachodzie, tylko jeszcze dalej, kolejnego zupełnie gdzie indziej. Może uciekał przed tym, kimkolwiek był, kto go zranił? Ale teraz miała wszak własne zmartwienia.

Dręczona bezsennością niespokojna, ubrała się w pierwszą rzecz, jaka wpadła jej w ręce — była to ciemnoszara suknia do jazdy konnej — i wyszła na spacer, aby rozkoszować się ciszą pałacu o wczesnej porannej godzinie, kiedy nawet służba leżała w łóżkach, zaś migoczące płomienie stojących lamp były jedynym oprócz niej ruchem w korytarzach. Oczywiście nie należało zapominać o strażnicy przybocznej, ale powoli przestawała zwracać uwagę na ich obecność. Cieszyła się samotnością, aż znalazły ją dwie kobiety i przekazały smutną wiadomość, z którą w przeciwnym razie musiałyby zaczekać aż do wschodu słońca. Zaprowadziła je do mniejszego salonu, aby przedyskutować tę kwestię za osłonami chroniącymi przed podsłuchem.

Sumeko poprawiła obfite ciało w fotelu i wlepiła wściekłe spojrzenie w Alise.

— Reanne pozwala ci posuwać się za daleko, niemniej jako Najstarsza oczekuję...

— Nie jesteś Najstarsza, Sumeko — oznajmiła chłodno drobniejsza z kobiet. — Cieszysz się tu poważaniem, lecz zgodnie z Regułą, Kółko Dziewiarskie składa się z trzynastu najstarszych w Ebou Dar. Nie jesteśmy już w Ebou Dar, więc nie ma żadnego Kółka Dziewiarskiego.

Krągła twarz Sumeko skrzepła w blok granitu.

— Przynajmniej przyznajesz, że cieszę się autorytetem.

— I spodziewam się, że go użyjesz, aby zapobiec zabójstwom kolejnych z nas. Same sugestie to nie wszystko, Sumeko, jakkolwiek silne by ci się wydawały. To nie wszystko.

— Spory zaprowadzą nas donikąd — rzekła Elayne. Wiem, że powoli zaczynacie wychodzić z siebie. Ja też. Światłości, trzy kobiety zabite Jedną Mocą w przeciągu ostatnich dziesięciu dni i bardzo prawdopodobne, że wcześniej jeszcze siedem. Wystarczy, żeby kowadło wyszło z siebie. Ale wzajemne warczenie na siebie to najgorsze, co możemy zrobić. Sumeko, musisz tupnąć nogą. Nie obchodzi mnie, ile która potrzebuje prywatności, żadna ani na minutę nie może pozostać sama. Alise, wykorzystaj swoją siłę perswazji. — Perswazja nie była najwłaściwszym słowem. Alise nie posługiwała się perswazją. Po prostu oczekiwała, że ludzie wykonają to, co powiedziała, i niemal zawsze tak robili. — Przekonaj pozostałe, że Sumeko ma rację. Z was dwóch to ty musisz...

Drzwi się otworzyły, do środka weszła Deni, zamknęła je z powrotem, ukłoniła się. Jedną ręką spoczywała na rękojeści miecza, drugą trzymała długa pałkę. Pokryte czerwonym lakierem napierśniki oraz hełmy ozdobione bielą dotarły zaledwie wczoraj, masywna kobieta zaś śmiała się bezustannie od chwili, gdy wdziała na siebie własny hełm i napierśnik. Teraz jednak twarz wyglądająca spoza kratownicy hełmu przybrała poważny wyraz.

— Wybacz mi, że przeszkadzam, moja pani, ale pewna Aes Sedai pragnie się z tobą widzieć. Czerwona, sądząc po jej szalu. Powiedziałam, że bardzo prawdopodobne, iż śpisz, gotowa była jednak wejść i sama cię zbudzić.

Czerwona. Od czasu do czasu nadchodziły raporty o Czerwonych w mieście, choć nie tak często jak niegdyś — większość Aes Sedai chodziła po mieście bez szali, ukrywając swe Ajah — jednak czego niby Czerwona mogła od niej chcieć? Chyba że któraś w końcu postanowiła zmusić ją do wzięcia na siebie odpowiedzialności za ten targ z Ludem Morza. — Powiedz jej, że jestem...

Drzwi otworzyły się znowu, uderzając Deni w plecy tak mocno, że musiała ustąpić z drogi. Kobieta, która weszła do środka, odziana była w szal utkany w deseń winorośli, udrapowany wzdłuż ramion tak, iż odsłaniał się przepych długich, czerwonych frędzli; wysoka i szczupła, miała skórę miedzianej barwy. Mogła uchodzić za ładną, z tym wyjątkiem, że zaciskała usta, a pełne wargi wydawały się

wąskie. Jej suknia do konnej jazdy była tak ciemna, że niemal czarna, mimo to blade światło lamp z odblasznikami wyławiało czerwienie, spódnice zaś zdobiły czerwone rozcięcia. Duhara Basaheen nigdy nie czyniła ładnej tajemnicy ze swoich Ajah. Niegdyś Sumeko i Alise z miejsca skoczyłyby na równe nogi, błyskawicznie składając pokłon przed Aes Sedai, teraz jednak nie ruszyły się z miejsca, śledziły ją spojrzeniem. Deni, zazwyczaj łagodna, przynajmniej na pozór, rzuciła gniewne spojrzenie i zaczęła muskać palcami pałkę. — Widzę, że opowieści o waszym zaciągu dzikusek są prawdziwe — powiedziała Duhara. — Bardzo źle. Wy dwie, wynocha stąd. Chcę pomówić z Elayne na osobności. Jeżeli macie dość zdrowego rozsądku, wyjedziecie stąd dziś wieczór, kierując się w różne strony, i powiecie innym, takim jak wy, aby postąpiły identycznie. Biała Wieża źle patrzy na zebrania dzikusek. A kiedy Biała Wieża patrzy na coś złym okiem, trzęsą się trony. — Ani Sumeko, ani Alise nie drgnęły. Alise tylko uniosła brew. — Mogą zostać — odparła Elayne chłodno. Kiedy Moc była w niej, kończyły się wahania emocji. Wszystkie zastępował lodowaty gniew. — Są tu mile widziane. Natomiast ty... Elaida usiłowała mnie porwać, Duhara. Porwać! Możesz odejść.

— Niemiłe powitanie, Elayne, zważywszy, że przyszedłam do pałacu od razu po przybyciu. W dodatku po długiej podróży, którą opisać to taka sama tortura, jak ją przeżyć. Andor zawsze był w dobrych stosunkach z Wieżą. Zamiarem Wieży jest, aby to nie uległo zmianie. Jesteś pewna, że te dzikuski powinny słyszeć wszystko, co mam ci do powiedzenia? Dobrze zatem Skoro taka twoja wola. — Podeszła do jednego z rzeźbionych kredensów, zmarszczyła nos na widok srebrnego dzbanka z kozim mlekiem i naląła sobie kielich ciemnego wina, w końcu zajęła krzesło nieco z boku zajmowanego przez Elayne. Deni uczyniła taki ruch, jakby chciała ją wyrzucić, lecz Elayne pokręciła głową. Siostra Domani ignorowała Kuzynki, jakby nie istniały.

— Kobieta, która podała ci narkotyk, została ukarana, Elayne. Została wychłostana przed własnym sklepem, widowisko zaś oglądali wszyscy mieszkańcy wioski. — Duhara upiła łyżeczek wina, czekając, aż Elayne coś odpowie.

Nie powiedziała nic. Bardzo dobrze wiedziała, że Ronde Macura została wychłostana raczej za zaniechania niż za to, że spoiła ją niegodziwą herbatą, jednak gdyby głośno sprawę ujawniła, Duhara zaczęłaby dociekać, skąd wie, to zaś mogłoby naprowadzić ją na trop rzeczy, które powinny pozostać ukryte.

Cisza się przedłużała, w końcu kobieta podjęła znowu:

— Musisz wiedzieć, że usilnym życzeniem Białej Wieży jest, byś zasiadła na Tronie Lwa. W tym celu Elaida wysłała mnie w roli twojej doradczyni.

Elayne, wbrew samej sobie, roześmiała się. Elaida przysyła jej doradczynię? To absurdalne!

— Dysponuję Aes Sedai, które służą mi radą, gdy jej potrzebuję, Duhara. Powinnaś wiedzieć, że jestem przeciwna Elaidzie. Nie przyjąłabym pary pończoch od tej kobiety.

— Twoje tak zwane doradczynie to buntowniczkki, dziecko — skarciła ją Duhara, kładąc silny akcent niechęci na słowie „buntowniczkki”. Gestykulowała, trzymając w dłoni srebrny puchar z winem. — Jak sądzisz, dlaczego tak wiele Domów występuje przeciw tobie i tak wiele trzyma się na uboczu? Z pewnością wiedzą, że tak naprawdę nie masz za sobą poparcia Wieży. Kiedy zostanę twoją doradczynią, to się zmieni. Jestem w stanie w niespełna tydzień założyć ci koronę na głowę. W najgorszym razie zajmie to nie więcej niż miesiąc, może dwa.

Spojrzenia Elayne i tamtej spotkały się. Jakby kierowane własną wolą, jej dłonie pragnęły zacisnąć się kurczowo, ale trzymała je nieruchomo na kolanach.

— Nawet gdyby tak było, odmówiłabym. Spodziewam się, że lada dzień usłyszę, iż Elaida została zdetronizowana. Biała Wieża znów stanie się jednością i wtedy nikt nie będzie miał prawa twierdzić, że nie cieszę się jej poparciem.

Duhara przez chwilę wbijała wzrok w puchar z winem, a jej twarz pozostawała maską spokoju Aes Sedai.

— Nie mogę obiecać, że pójdzie ci to gładko — odezwała się, jakby Elayne nie wymówiła ani słowa. — Dlatego właśnie sądziła, że tego, co mam do powiedzenia, nie zechcesz słuchać w obecności dzikusek. Ani wartowniczek. Czy jej się wydaje, że mam zamiar cię zaatakować? Nieważne zresztą. Skoro raz korona mocno osiądzie na twojej głowie, będziesz musiała mianować regentkę i powrócić do Wieży, aby dokończyć edukację i w końcu zostać poddana próbom na szal. Nie musisz się obawiać, że zostaniesz wychłostana za ucieczkę. I Elaida przyjęła do wiadomości, że opuściłaś Wieżę na rozkaz Siuan Sanche. Twoje pretensje do tego, że jesteś Aes Sedai, są odrębną kwestią. Za to zapłacisz łzami. — Sumeko i Alise drgnęły, a Duhara znów zauważyła ich istnienie. — Ach, nie wiedziałyście, że Elayne jest tak naprawdę tylko Przyjętą?

Elayne wstała i popatrzyła z góry na Duharę. Zazwyczaj było tak, że ten, kto siedział, miał przewagę nad tym, kto stał; ona spojrzała nieustępliwie, a głos jej stwardniał jeszcze bardziej. Miała ochotę uderzyć tę kobietę w twarz!

— Zostałam wyniesiona jako Aes Sedai przez Egwene al'Vere w tym samym dniu, gdy ona stała się Amyrlin. Wybrałam Zielone Ajah i zostałam przyjęta. Nigdy więcej nie mów, że nie jestem Aes Sedai, Duhara. Żebyś szeszła, jeśli spokojnie to zniosę.

Usta Duhary ściągnęły się, aż jej wargi wyglądały niemal jak blizna.

— Pomyśl, a ujrysz prawdę o własnej sytuacji — odezwała się na koniec. — Zastanów się głęboko, Elayne. Nawet ślepa kobieta potrafiłaby dostrzec, jak bardzo jestem ci potrzebna, a także błogosławieństwo Białej Wieży. Później jeszcze porozmawiamy. Przywołaj kogoś, aby zaprowadził mnie do moich komnat. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebuję teraz wypoczynku.

— Będziesz musiała wynająć sobie nocleg w gospodzie, Duhara. Na każdym łożu w pałacu śpi już troje lub czworo ludzi. — Nawet gdyby miała dziesiątki wolnych łóżek, nie udostępniłaby Duharze żadnego z nich. Odwróciła się plecami, podeszła do kominka i stała, ogrzewając ręce. Pozłacany zegar wahadłowy na rzeźbionym w woluty marmurowym obramowaniu kominka wybił trzy razy. Zapewne tyle godzin pozostało do wschodu słońca. — Deni, poproś kogoś, by odprowadził Duharę do bram.

— Nie uwolnisz się ode mnie tak łatwo, dziecko. Jeszcze nikomu nie udało się bezproblemowo uwolnić od Białej Wieży, Pomyśl, a przekonasz się, że jestem twoją jedyną nadzieją. — Jedwabie zaszeleściły, gdy opuszczała pomieszczenie, po chwili drzwi zamknęły się za nią z trzaskiem. Wydawało się rzeczą wielce prawdopodobną, że Duhara, starając się pomóc przysporzy tylko kłopotów, niemniej w tej chwili nie ona stanowiła największy kłopot.

— Zasiała w waszych umysłach ziarno zwątpienia? — zapytała Elayne, odwracając się od ognia. — Bynajmniej — odparła Sumeko. — Vandene i dwie pozostałe uznają fakt, że jesteś Aes Sedai, więc tak musi być. — W jej głosie słyhać było przekonanie, z drugiej strony, miała powody, by wierzyć. Jeżeli Elayne kłamała, jej marzenia o powrocie do Wieży i przyłączeniu się do Żółtych Ajah pryskały niczym bańka mydlana.

— Jednak Duhara wierzy w to, co mówi. — Alise rozłożyła dłonie. — Nie chcę przez to powiedzieć, że wątpię w twoje słowa. Nie wątpię. Lecz ta kobieta wypowiedziała swe słowa z pełnym przekonaniem.

Elayne westchnęła. — Sytuacja jest... skomplikowana. — Brzmiało to jak stwierdzenie, że woda jest mokra. — Jestem Aes Sedai, ale Duhara tak nie uważa. Nie może. Ponieważ byłoby to równoznaczne z uznaniem, iż Egwene al'Vere jest w istocie Zasiadającą na Tronie Amyrlin, a na to Duhara się nie zgodzi, póki Elaida nie zostanie obalona. — Miała nadzieję, że wtedy uwierzy.

Przynajmniej pogodzi się z tą myślą. Wieża musiała stać się jednością. — Sumeko, poinstruujesz Kuzynki, by trzymały się razem? Zawsze?

Zwalista kobieta wymruczała, że tak uczyni. W przeciwieństwie do Reanne, Sumeko nie miała żadnych umiejętności ani skłonności przywódczych. Wciąż żałowała, że pod ręką nie ma żadnej starszej Kuzynki, która uwolniłaby ją od ciężaru.

— Alise, upewnisz się, że posłuchają rozkazu? — spytała Elayne, a Alise wyraziła zgodę stanowczo i szybko. Byłaby idealną kandydatką, gdyby nie fakt, że Kuzynki sztywno przestrzegały hierarchii starszeństwa wiekiem. — Wtedy możemy powiedzieć, że uczyniliśmy wszystko, co możliwe. Już dawno powinniście być w łóżkach.

— Ty również — powiedziała Alise, podnosząc się. — Mogę posłać po Melfane.

— Nie ma powodu, by ona również się nie wyspała — rzekła Elayne z pośpiechem. I ze stanowczością. Melfane była niska, krępa, pogodna, zawsze gotowa się śmiać. Również pod innymi względami w niczym nie przypominała swej ciotki. Niezależnie od pogodnego usposobienia, akuszerka była prawdziwym tyranem. Gdyby się dowiedziała, że Elayne nie przestrzega rygorów snu, ta miałaby się z pyszna. — Wyśpię się kiedy będę mogła — zapewniła.

Kiedy wyszły, wypuściła saidara i wybrała książkę z kilku stojących na drugim kredensie. Była to jeszcze jedna historia Andoru, ale jakoś nie mogła skupić na niej uwagi. Pozbawiona Mocy wpadła w zły humor. Choćby szczeznąć, była tak zmęczona, że czuła piach pod powiekami. Niemniej wiedziała, że jeśli się położy, będzie do wschodu słońca wpatrywać się w sufit. W każdym razie tylko przez kilka chwil udawała, że czyta, ponieważ Deni zaraz pojawiła się z powrotem.

— Przybył pan Norry, moja pani, z tym Harkiem. Mówi, że słyszał, iż nie śpisz i zastanawia się, czy możesz poświęcić mu parę minut.

Słyszał, że nie śpi? Jeśli kazał ją obserwować...! Wreszcie, mimo złego humoru, dotarło do niej znaczenie wizyty. Hark. Ani razu nie przyprowadził do niej Harka od czasu pierwszej wizyty, dziesięć dni temu. Nie, teraz to już jedenaście dni. Zły humor ustąpił miejsca wzburzeniu. Powiedziawszy Deni, by ich poprosiła, podążała za nią do przedpokoju, gdzie zdobiony w desenie dywan przykrywał większość czerwono-białych kafelków posadzki. Tutaj także paliła się zaledwie para lamp stojących, z których sączyło się przyćmione, migoczące światło i które rozsiewały wokół zapach róż.

Pan Norry bardziej niż kiedykolwiek przypominał brodzącego ptaka z białym grzebieniem — długie i kościste łydki kępkę włosów wystające za uszami. Z tym, że teraz sprawiali wrażenie nieomal podnieconego. Ścisłe rzecz biorąc, zacierał ręce. Dziś wieczorem nie przyniósł ze sobą oprawnej w skóry teczki. Nawet w przyćmionym świetle na szkarłatnym kaftanie widać było plamy atramentu. Kitka końca ogona Białego Lwa przybrała kolor czarny. Ukłonił się sztywno, a nie rzucający się w oczy Hark niezgrabnie poszedł za jego przykładem, następnie przez dobrą chwilę pocierał czoło kułakiem. Ubrany był w brązy o odcieniu ciemniejszym niż poprzednim razem, ale pasek i sprzączka były te same.

— Wybacz tak wczesną godzinę, pani — zaczął Norry głosem równie nijakim jak ukłon.

— Skąd wiedziałeś, że nie śpię? — domagała się wyjaśnień, znów podlegając wahaniom emocji.

Norry zamrugał, zaskoczony pytaniem.

— Kiedy poszedłem napić się mleka, kucharka wspomniała, że przed chwilą posłała tobie dzbanek ciepłego koziego, moja pani. Zawsze uważałem, że kozie mleko działa bardzo uspokajająco, kiedy nie można zasnąć. Ale mówiła też coś o winie, więc doszedłem do wniosku, że masz gości i jeszcze nie śpisz. Elayne prychnęła z pogardą. Ciągłe brakowało jej kogoś, na kogo można warknąć. Musiała zdobyć się na wysiłek, żeby emocje nie odbiły się w tonie jej głosu.

— Mniemam, że może się pan poszczycić jakimiś osiągnięciami, panie Hark?

— Szedłem w trop za nim, jak kazałaś, pani. Trzy noce z rzędu odwiedzał ten sam dom. Dzisiejsza noc jest jedną z tych trzech. Dom znajduje się na ulicy Pełni Księżycy w Nowym Mieście. Tam właśnie. To jedyne miejsce, które odwiedza, nie licząc tawern oraz wspólnych sal gospód. Trochę popija, tak. Dużo gra w kości. — Mężczyzna zawahał się, nerwowo zacierając suche dłonie. — Czy teraz mogę już iść, pani? Zdejmiesz ze mnie to, czymkolwiek było, co na mnie nałożyłaś?

— Jak wynika z zeznań podatkowych — zaczął Norry — dom należy do lady Shiaine Avarhin, pani. Wszystko wskazuje na to, że jest ostatnią dziedziczką swego Domu.

— Co jeszcze możesz mi opowiedzieć o tym miejscu, panie Hark? Kto jeszcze tam mieszka, nie licząc pani Shiaine?

Hark potarł nos w zakłopotaniu.

— Cóż, nie wiem dokładnie, jak oni mogą tam żyć, moja pani, ale tej nocy przebywają tam jeszcze dwie Aes Sedai. Widziałem, jak jedna wypuszczała Mellara, podczas gdy druga właśnie wchodziła do środka i ta właśnie powiedziała: „Jaka szkoda, że jesteśmy tylko dwie, Falion, ponieważ lady Shiainf obarcza nas taką ilością pracy”. Ale powiedziała „lady” w taki sposób, jakby wcale nie chciała się wyrazić o niej z szacunkiem. Śmieszne. Niosła pod pachą zabłąkanego kota, równie chudego jak ona sama. — Dygnął w nagłym, nerwowym ukłonie. — Błagam cię o wybaczenie, moja pani. Nie chciałem nikogo obrazić, gdy mówiłem o Aes Sedai w ten sposób, minęła ładna minuta, zanim zrozumiałem, że to była Aes Sedai, cała minuta. Z sieni padało dobre światło, zaiste, ale była taka chudła i zwyczajna, przy tym miała taki duży nos, że nikt, kto nie ma obeznania, nie potraktowałby jej jako Aes Sedai.

Elayne położyła rękę na jego ramieniu. Podniecenie drżało delikatnie w jej głosie, tym razem nie starała się go opanować.

— Jakim akcentem mówiły?

— Jak brzmiał akcent, pani? Cóż, ta z kotem wywodzi się powiedziałbym, wprost stąd, z Caemlyn. Druga zaś... Nie powiedziała nic ponad dwa zdania, ale jej rodowód szacowałbym na Kandori. Wołała na tę drugą Marillin, jeśli coś ci to mówi, pani.

Elayne ze śmiechem przetańczyła parę kroków. Teraz już wiedziała, kto nasłał na nią Mellara, a prawda była gorsza, niż przypuszczała. Marillin Gemalphin oraz Falion Bhoda, dwie Czarne siostry, które uciekły z Wieży po dokonaniu morderstwa. Miało im ułatwić kradzież, ale za morderstwo zostaną ujarzmione i ścięte. Właśnie po to, by je odnaleźć, a wraz z nimi ich wspólniczki w ciemnym dziele, ona, Egwene oraz Nynaeve zostały wysłane z Wieży. Czarne Ajah ulokowały Mellara w jej najbliższym otoczeniu, najprawdopodobniej na przeszpiegi, jednak lęk zmroził jej krew w żyłach. Było to gorsze niż wszystko, czego się obawiała, jednak odkrycie tych dwóch oznaczało obecnie jakby domknięcie kręgu.

Hark wpatrywał się w nią, zobaczyła, że rozdziawił usta. Pan Norry demonstracyjnie przyglądał się poplamionemu ogonowi lwa. Opanowała się, zaplotła dłonie. Głupi mężczyźni!

— Gdzie obecnie jest Mellar?

— W swoim pokoju, jak podejrzewam — powiedział Norry.

— Pani, czy teraz zdejmiesz to ze mnie? — wyrzekł Hark. — I czy mogę już iść? Zrobiłem, o co prosiłaś.

— Najpierw zaprowadzisz nas do tego domu — odparła, przebiegając obok niego ku podwójnym drzwiom. — Wtedy porozmawiamy. — Wystawiła głowę na korytarz i zobaczyła Doni wraz z siedmioma Gwardzistkami po obu stronach. — Doni, poślij kogoś, aby jak najszybciej przyprowadził tu lady Birgitte, a także kogoś, by obudził Aes Sedai i je również poprosił, żeby przyszły, razem ze

swoimi Strażnikami, gotowe do wyprawy poza pałac. Potem możesz obudzić tyle Gwardzistek, ile uznasz, że ci potrzeba, aby aresztować Mellara. Nie musisz obchodzić się z nim nadmiernie delikatnie. Zarzuca mu się morderstwo oraz bycie Sprzymierzeńcem Ciemności. Zamknij go na klucz w jednym z magazynów w piwnicy i postaw u drzwi wzmocnioną straż. Krępa kobieta uśmiechnęła się szeroko i przystąpiła do wydawania rozkazów, gdy tymczasem Elayne wycofała się do środka. Hark wyłamywał palce i nerwowo przestępował z nogi na nogę.

— Pani, co masz na myśli, mówiąc, że porozmawiamy? Obiecałaś, że zdejmiesz to ze mnie, jeżeli będę śledził człowieka. Taka jest prawda. Zrobiłem to, więc musisz dotrzymać słowa.

— Nigdy nie obiecywałam, że usunę Wyszukiwacz, panie Hark. Powiedziałam, że zamiast zawisnąć, zostaniesz wygnany do Baerlon, ale może wolałbyś pozostać w Caemlyn? Człeczyna otworzył oczy szeroko, starając się patrzeć szczerze. Nie udało mu się. Wręcz się uśmiechnął.

— O nie, moja pani. Przez całe życie marzyłem o świeżym wiejskim powietrzu w Baerlon. Cały czas. Idę o zakład, że nie ma żadnych powodów do obaw, iż w tamtejszym gulaszu znajdzie się bodaj kawałek zgniłego mięsa. Tutaj trzeba uważnie, powąchać, zanim weźmie się do ust choćby kęs. Wyglądam tego wyjazdu, naprawdę.

Elayne przybrała surowy wyraz twarzy, jaki miała zawsze jej matka, gdy ferowała wyrok.

— Wrócisz z Baerlon w dwie minuty po Gwardzistach, którzy cię tam odkonwojują. A potem zawisniesz za złamanie warunków banicji. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli pozostaniesz w Caemlyn i zajmiesz się nową pracą. Panie Norry, czy znalazłby pan jakieś zajęcie dla człowieka posiadającego talenty Harka?

— Znalazłbym, pani — odparł Norry, nie namyślając się ani chwili. Na wąskich wargach wykwitł uśmiech zadowolenia! Elayne zaś uświadomiła sobie, co właściwie zrobiła. Wręczyła mu narzędzie, dzięki któremu będzie w stanie naruszyć obszar prerogatyw pani Harfor. Zorientowała się za późno, odwrotu już nie było.

— Praca ta nie będzie przynosić tyle korzyści materialnych, co pańska poprzednia profesja, panie Hark, ale przynajmniej nie grozi stryczkiem.

— Nie będzie przynosić czego, moja pani? — zapytał Hark, drapiąc się po głowie.

— Nie będzie tak opłacalna. Co pan wybiera? Baerlon, gdzie z pewnością odetnie pan komuś sakiewkę lub otworzy jakiś zamek, za co w obu wypadkach zawisnie pan na stryczku, czy Caemlyn, gdzie będzie pan miał stałą pracę bez obaw przed katem. Chyba że znów zabierze się pan za odcinanie sakiewek.

Hark zakołysał się na piętach, przesuwając wierzchem dłoni po ustach.

— Muszę się napić, napić — wymamrotał ochryple. Najprawdopodobniej doszedł do wniosku, że Wyszukiwacz da jej znać, jeżeli odetnie sakiewkę. Jeśli tak, nie miała zamiaru wyprowadzać go z błędu.

Pan Nony rzucał nachmurzone spojrzenia w kierunku tego człowieka, lecz gdy otworzył usta, powiedziała:

— W małym salonie jest wino. Daj mu jeden pucharek, a potem przyjdź do mnie, do dużego salonu. Duży salon był ciemny, przeniosła, żeby zapalić lampy z odbłaśnikami stojące pod ozdobionymi ciemną boazerią ścianami i drewno na podpałkę na paleniskach. Usiadła w jednym z fotelików o niskich oparciach, jakie stały wokół stołu o spiralnie toczonych krawędziach blatu i znowu wypuściła *saidara*. Od czasu eksperymentów z utrzymywaniem Mocy przez cały dzień już nigdy nie robiła tego sobie dłużej niż konieczne. Nastroje jej wahały się na przemian od radosnego podniecenia do posępnych zmartwień, bez końca. Z jednej strony załatwiła już sprawę Mellara i wkrótce dostanie w swe ręce dwie Czarne siostry. Śledztwo w ich sprawie może doprowadzić do pozostałych, a

przynajmniej odkryje, jakie są ich plany. Jeżeli to na nic, z pewnością będzie można wydrzeć jakieś tajemnice tej Shiaine. Każda, która „dawała pracę” dwóm siostrą Sprzymierzonym z Ciemnością, ma coś, co warto jest poznać. Z drugiej strony, do czego zdolna jest Duhara, pragnąc wyjednać sobie rangę doradczynie? Duhara będzie próbowała wszędzie wtykać swoje trzy grosze. Jak? Tego Elayne nie potrafiła przewidzieć. Żeby szeszła, niepotrzebne były jej kolejne przeszkody na drodze do tronu. Przy odrobinie szczęścia dzisiejszej nocy w sidła wpaść mogą nie tylko dwie Czarne siostry, ale także trzecia, wielokrotna morderczyni. Elayne wędrowała myślami tam i z powrotem, od Falion do Marillin, do Duhary, nawet po tym, jak już w salonie znaleźli się pan Norry oraz Hark.

Hark trzymał w ręku srebrny pucharek i spróbował zająć miejsce przy stole, ale pan Norry ostrzegawczo klepnął go w ramię i skinął głową w kąt komnaty. Hark ponuro pomaszerował we wskazanym kierunku. Z pewnością zaczął pić, skoro tylko napełniono kielich, ponieważ opróżnił go do dna jednym długim haustem, a potem stał, obracając naczynie w rękach i wpatrując się w puste wnętrze. Nagle drgnął i uśmiechnął się do Elayne przymilnie. Jednak spojrzawszy na jej oblicze, wystraszył się. Podszedł do długiego stołu, który stał pod ścianą, odstawił pucharek z przesadną ostrożnością, a potem znów wycofał się do swego kąta.

Birgitte przybyła jako pierwsza, a więź zobowiązań pełna była niezadowolenia.

— Przejazdźka? — spytała, gdy zaś Elayne udzieliła wyjaśnień, zaczęła mnożyć wątpliwości. Przynajmniej część z wysuniętych argumentów stanowiły wątpliwości, reszta były to zwykłe inwektywy.

— Co za ptasi mózdzek wpadł na coś takiego, w jakiej baraniej głowie ulął się plan, o który mówisz, Birgitte? — zapytała Vandene, wchodząc do salonu. Miała na sobie nieco za dużą suknię do jazdy konnej. Suknia należała do jej siostry. Pasowałyby doskonale w czasie, gdy Adeleas żyła jeszcze ostatnimi czasy siwowłosa znacznie straciła na wadze. Jej Jaem, żyłasty i sękaty, obrzucił Harka spojrzeniem, następnie stanął w miejscu, skąd mógł go obserwować. Hark zaryzykował uśmiech, który jednak zniknął, gdy wyraz malujący się na twarzy Jaema pozostał niezmienny niczym wykuty w żelazie. Siwiejące włosy Strażnika były cienkie, w nim samym jednak nie było nic delikatnego.

— Dziś w nocy zamierza pojmać dwie Czarne siostry odrzekła Birgitte, rzucając twarde spojrzenie w kierunku Elayne.

— Dwie Czarne siostry? — Sareitha krzyknęła w zdziwieniu, przechodząc przez próg. Otuliła się ciemnym płaszczem, jakby wypowiedziane słowa przejęły ją chłodem. — Kto?

Jej Strażnik, Ned, wysoki mężczyzna o szerokich ramionach i słomianych włosach, popatrzył na Harka i dotknął rękojeści miecza. On także wybrał dla siebie miejsce, skąd mógł przyglądać się mężczyźnie. Hark przeniósł ciężar ciała z nogi im nogę. Być może rozważał próbę ucieczki.

— Falion Bhoda oraz Marillin Gemalphin — poinformowała Elayne. Usta Sareithy stężały.

— Co Falion i Marillin? — spytała Careane, wślizgnąwszy się do pokoju. Jej strażnicy nie mogliby już bardziej różnić się od siebie wyglądem. Tairenianin był wysoki, chudy, Saldaeanin smukły niczym klinga miecza, Cairhienianin szeroki w barkach. Wymienili spojrzenia, a Tavan, Cairhienianin, wsparł się o ścianę, patrząc na Harka, podczas gdy Cieryl oraz Venr stanęli w przejściu. Kąciki warg Harka opadły, jakby go zemdliło. Nie pozostało nic innego, jak zacząć wyjaśniać wszystko od początku. Co Elayne uczyniła z rosnącą niecierpliwością, która nie miała nic wspólnego z wahaniem jej nastrojów. Im dłużej to trwało, tym większe szanse, że Falion i Marillin ujdą, nim zdąży dotrzeć do domu na ulicy Pełni Księżyca. Chciała je dostać. Dostanie! Powinna kazać Birgitte poczekać, aż zbiorą się wszyscy. — Myślę, że plan jest dobry — powiedziała Vandene, kiedy Elayne skończyła. — Wszystko powinno się udać.

Inni nie byli równie optymistycznie nastrojeni. — To nie jest plan, to skończone szaleństwo! — stwierdziła krótko Birgitte. Założyła ręce na piersiach i spojrzała wilkiem na Elayne. W więzi pulsował taki ogrom emocji, że Elayne z trudem potrafiła się w nich rozeznąć. — Cztery z was wejdą do domu same. Same! To nie plan. To przekłete szaleństwo! Strażnicy mają osłaniać plecy swoich Aes Sedai. Pozwólcie nam pójść z wami. — Pozostali Strażnicy zawtórowali żywiołowo, ale przynajmniej nie próbowali się sprzeciwiać.

— Są nas cztery — rzekła Elayne. — Potrafimy same ochronić swoje plecy. A siostry nie proszą Strażników, aby stanęli twarzą w twarz z innymi siostrami.

Oblicze Birgitte pociemniało.

— Jeżeli będę cię potrzebować, zacznę krzyczeć tak głośno, że usłyszysz mnie, choćbyś była w pałacu. Strażnicy zostaną na zewnątrz! — dodała, gdy Birgitte otworzyła usta i więź zatętniła frustracją, mimo to Birgitte nic nie powiedziała i tylko zgrzytnęła zębami.

— Niewykluczone, że temu człowiekowi można ufać — stwierdziła Sareitha, obrzucając Harka spojrzeniem, w którym malował się całkowity brak zaufania. — Lecz nawet jeśli wszystko dobrze rozumiał, nigdzie nie jest powiedziane, że w domu nadal przebywają tylko dwie siostry. Może nie ma żadnej. Jeżeli tak, nie ma żadnego niebezpieczeństwa, jeśli jednak przyłączyły się do nich pozostałe, możemy z równym powodzeniem włożyć głowę w pętlę i same otworzyć zapadnię.

Careane splotła silne ramiona na piersiach i skinęła głową.

— Niebezpieczeństwo jest zbyt wielkie. Sama mówiłaś, że kiedy uciekły z Wieży, ukradły kilka *ter'angreali*, z których część była w istocie niezwykle niebezpieczna. Nigdy nie nazwano mnie tchórzem, ale nie bawi mnie zasadzanie się na kogoś, kto być może ma różdżkę tworzącą płomień stosu.

— Istnieje bardzo małe prawdopodobieństwo, by błędnie posłyszał prostą informację: „Jesteśmy tylko dwie” — odparła Elayne stanowczo. — Z tego, co mówiły, wynikało zaś, że nie spodziewają się żadnych innych. — Żeby szczyły, jeśli wziąć pod uwagę jej pozycję w hierarchii siły Mocy, powinny skakać na rozkaz, a nie się kłócić. — W każdym razie, nie mam zamiaru dyskutować. — Szkoda, że obie się sprzeciwiły. Gdyby chodziło tylko o jedną, mogłoby to stanowić jakąś wskazówkę. Chyba że obie były Czarnymi Ajah. Od takiej myśli mróz przechodził po kościach, niemniej jej plan taką możliwość również uwzględniał. — Falion i Marillin nie będą wiedziały, że idziemy po nie, aż do momentu, gdy będzie za późno. Jeśli uciekną, zaaresztujemy tę Shiane Idziemy.

Oddział, który wyjechał konno ze Stajni Królewskich za nią i Ilarkiem, był znacznie liczniejszy, niż Elayne oczekiwała. Birgitte uparła się, że weźmie pięćdziesiąt Gwardzistek, choć całym efektem ich pracy miało być to, że się nie wyśpią — podwójna kolumna w lakierowanych na czerwono hełmach i napierśnikach, czarna w ciemnościach, jechała wężowym ruchem wzdłuż ścian pałacu, w ślad za Aes Sedai oraz Strażnikami. Przybywszy przed front pałacu, pochód pojechał wzdłuż krawędzi Królewskiego Placu, o ogromnym owalnym kształcie, na którym mrowiły się obecnie prymitywne budki, schronienie dla śpiących Gwardzistów i zbrojnych szlachty. Wszędzie, gdzie tylko było miejsce, spali rozkwaterowani żołnierze, brakowało jednak miejsca w piwnicach i na strychach, a także wolnych pokoi wokół pałacu, jak też w pobliżu parków; skąd kręgi Kuzynek wysyłały żołnierzy w miejsca, gdzie byli potrzebni. Walczyła głównie piechota na murach, więc wszystkie konie stały uwiązane w pobliskich parkach i w co rozleglejszych ogrodach pałacowych. Gdy przejeżdżali, kilku wartowników podniosło się, spojrzeli za nimi, lecz naciągnięte kaptury pozwalały z pewnością stwierdzić tylko tyle, że spory kontyngent Gwardzistek eskortuje nocny oddział. Niebo na wschodzie było ciemne, do pierwszego brzasku brakowało niespełna dwóch godzin. Poranek zesłany przez Światłość ujrzy w areszcie Falion i Marillin. I kogoś jeszcze. Przynajmniej jedną osobę.

Kręte ulice wiły się między wzgórzami, wśród smukłych wież, o dachach krytych płytkami, które zazwyczaj mieniły się setką kolorów w promieniach słońca, a teraz migotały słabo w przesłanianej chmurami poświacie księżyca. Mijali ciemne sklepy oraz zawarte na głucho gospody, proste, kamienne domy o łupkowych dachach, małe pałacyki, które doskonale pasowałyby do Tar Valon. Stuk końskich kopyt na bruku chodnika oraz ciche skrzypienie skórzanych siodeł rozlegały się echem w nocnej ciszy. Poza nielicznymi zbłąkanymi psami, które wymykały się chyłkiem w jeszcze głębsze mroki zaułków, wszystko inne znieruchomiało. Ulice o tej godzinie były niebezpieczne, żaden przechodzień jednak nie był na tyle szalony, aby zagradzać drogę tak licznemu oddziałowi. Pół godziny po opuszczeniu Pałacu Królewskiego Elayne wjechała na grzbiecie Płomiennego Serca w przestrzeń Bramy Mondel, rozcinającej wysokim na dwadzieścia stóp łukiem białe mury Wewnętrznego Miasta. Kiedyś staliby na nich Gwardziści, pilnując spokoju, teraz jednak siły Gwardii Królowej zeszczuplały tak bardzo, że straży już nie wystawiano.

Niemal natychmiast po wjeździe do Nowego Miasta Hark skręcił na wschód w labirynt wąskich uliczek, rozpełzających się meandrami po wzgórzach miasta. Nieumiejętnie dosiadał gniadej klaczy, którą dla niego znaleźli. Złodzieje sakiewek rzadko spędzali więcej czasu w siodle. Niektóre z ulic były tutaj naprawdę wąskie i właśnie na jednej z nich w końcu ściągnął wodze, w miejscu otoczonym przez kamienne domy wysokie na jedno, dwa lub nawet trzy piętra. Birgitte uniosła dłoń, kolumna się zatrzymała. Zapadła ogłuszająca, zdawałoby się cisza.

— Dokładnie tam za rogiem, właśnie tam, pani, po drugiej stronie ulicy — powiedział Hark głosem niższym prawie do szeptu. — Jeśli pojedziemy konno, mogą nas spostrzec, usłyszeć. Wybacz, pani, jeśli jednak owe Aes Sedai są tym, czym mówisz, że są, nie chcę, aby mnie widziały. — Zlął niezgrabnie z siodła i popatrzył w górę na nią, wyłamując palce, Na spowitej w cienie księżyca twarzy tańczył lęk.

Elayne zsiadła z konia i poprowadziła Płomienne Serce na róg wąskiego, dwupiętrowego budynku. Mrok spowijał wszystkie domy wzdłuż drugiej ulicy. Wszystkie z wyjątkiem jednego. Trzy wysokie piętra z kamienia, z boku których widniały zamknięte wrota stajni. Budynek nie miał ozdób, był jednak dość wystawny, mógł służyć za mieszkanie zamożnego kupca lub bankiera. Mało jednak prawdopodobne, aby bankier lub ku piec nie spał jeszcze o tej porze.

— Tam — wyszeptał Hark ochryple, wskazując ręką. Stał daleko z tyłu, więc musiał mocno pochylić się naprzód. Naprawdę bał się, że go zobaczą. — Oświetlone okno na drugim piętrze, tam mieszkają.

— Najlepiej przekonać się, czy ktoś jeszcze tam jest — powiedziała Vandene, patrząc w przestrzeń za Elayne. — Jaem? Nie wchodź do wnętrza domu.

Elayne spodziewała się, że chudy, stary Strażnik przemknie chyłkiem przez ulicę, ale on po prostu przez nią przeszedł, trzymając płaszcz szczelnie owinięty wokół ciała, chroniąc się przed zimmem. Wydawało się, że opuścił go nawet niebezpieczny wdzięk Strażnika. Vandene wyglądała, jakby wyczuła zdumienie.

— Poruszanie się ukradkiem przyciąga uwagę i budzi podejrzenia — wyjaśniła. — Jaem jest po prostu człowiekiem, który spaceruje, i nawet jeśli pora jest zbyt wczesna, nie skrada się, więc każdy, kto go widzi, pomyśli o jakichś przyziemnych powodach, dla których nie dotarł jeszcze do domu.

Doszedłszy do bramy stajni, Jaem pociągnął ją i otworzył, następnie przeszedł przez nią jakby miał do tego całkowite prawo. Upłynęły długie chwile, zanim pojawił się z powrotem. Zamknął za sobą ostrożnie drzwi i ponownie przeszedł ulicę. Skręcił za róg i teraz w jego ruchach znów był wdzięk pantery.

— Wszystkie okna z wyjątkiem tego jednego są ciemne — po cichu powiedział do Vandene. — Drzwi do kuchni otwarte. Tak samo tylne drzwi. Wyjście z nich prowadzi w zaułek. Ufne są, ufne jak na Sprzymierzeńców Ciemności. Albo na tyle niebezpieczne, że nie muszą przejmować się włamywaczami. W stodole, na stryszku na górze śpi jakiś duży facet. Dostatecznie silny, żeby odstraszyć wszystkich włamywaczy, ale tak pijany, że nie obudził się, kiedy go wiązałem. — Vandene uniosła brwi w pytaniu. — Myślałem, że tak będzie lepiej. Pijani niekiedy budzą się, kiedy się tego najmniej spodziewasz. Nie chciałabyś, żeby cię zauważył i od razu wszczął alarm. Skinęła głową na znak, że się zgadza.

— Czas się szykować — zdecydowała Elayne. Odeszli od rogu, przekazała Birgitte wodze wierzchowca, spróbowała objąć Źródło. Jakby chciała chwycić dym w palce. Zawiedzione oczekiwania i gniew, najważniejsze uczucia, które trzeba powściągnąć, gdy chce się Przenosić, wezbrały w niej jak woda w studni. Znow spróbowała i znow jej się nie udało. Falion i Marillin uciekną. Żeby być blisko... Na pewno znajdują się w tym oświetlonym pokoju. Wiedziała. I uciekną. Smutek ustąpił miejsca gniewowi i naraz wypełnił ją *saidar*. Z trudem stłumiła westchnienie ulgi. — Połączymy strumienie, Sareitha. Vandene, ty połączysz się z Careane.

— Nie rozumiem, dlaczego musimy tworzyć połączenie — wymruczała Brązowa Tairenianka, wahając się na krawędzi przed objęciem Źródła. — Ich jest dwie, nas zaś cztery mamy przewagę liczebną, a tak będzie dwie na dwie.

Wskazówka? Może chciała, żeby było trzy na trzy?

— Dwie dość silne, by obezwładnić je, nawet jeśli mają w sobie Moc, Sareitha. — Elayne sięgnęła przez nią jakby była *angrealem* i drugą kobietę otoczyła poświata *saidara*, kiedy połączenie zostało ukończone. W rzeczywistości otaczała obie, ona jednak mogła dostrzec tylko tę jej część, która spowijała Sareithę... póki nie utkała Ducha. Wtedy poświata zniknęła. Ten sam splot zarzuciła na siebie i przygotowała cztery tarcze oraz kilka innych splotów, wszystkie podwiązane na drugą stronę. Czowała, że niemal kręci jej się w głowie z podniecenia, ale nie miała zamiaru dać się przyłapać. Wzdłuż więzi zobowiązań ciągle pulsowała frustracja, jednak pod każdym innym względem Birgitte była niczym strzała nałożona m cięciwę. Elayne dotknęła jej ramienia. — Wszystko będzie dobrze.

Birgitte parsknęła i zarzuciła gruby warkocz z ramię.

— Nie spuszczaaj oka z pana Harka, Birgitte. Byłoby wstyd, gdyby musiał zawisnąć na stryczku, bo pokusił się o próbę ucieczki. — Hark pisnął.

Wymieniła spojrzenia z Vandene, która powiedziała:

— Nam równie dobrze mogłoby się to przytrafić.

Wszystkie cztery pomaszzerowały w górę ulicy Pełni Księżyca, powoli, jakby wybrały się na spacer. Wśliznęły się do osłoniętej cieniem stajni. Elayne powoli otworzyła drzwi do kuchni, zawiasy były dobrze naoliwione i nie zaskrzypiały ani razu. Kuchnię o ścianach wyłożonych cegłą oświetlał tylko słaby ogień, który płonął na szerokim kamiennym kominku, w którym wisiał parujący kociołek. Dawał jednak dość światła, by udało im się przejść po podłodze i nie wpaść na stół ani na krzesła. Któraś westchnęła, Elayne przyłożyła palec do ust. Vandene spojrzała na Careane i zmarszczyła brwi, ta chyba zawstydzila się i rozłożyła dłonie.

Krótki korytarz prowadził na frontowe schody. Uniósłszy spódnicę, Elayne zaczęła wspinać się do góry, a stopy odziane w pantofle poruszały się bezgłośnie. Zadbala o to, aby Sareitha pozostała w miejscu, skąd mogła ją widzieć. Vandene dokładnie tak samo postępowała z Careane. Nic nie mogły uczynić z Mocą co z pewnością nie znaczyło, że nie mogły zrobić w ogóle nic. Na drugim podeście usłyszała szmer głosów.

Z otwartych drzwi sączyło się światło.

— ...nie obchodzi mnie, co myślisz — mówił kobiecy głos w pokoju. — Zostaw myślenie mnie i rób, co ci każą.

Elayne podeszła do drzwi. W salonie stały połączone lampy, na podłodze pyszniły się zdobne dywany, pod ścianą piękny, wysoki kominek z niebieskiego marmuru. Ona wszakże nie widziała niczego, tylko znajdujące się w środku trzy kobiety. Tylko jedna siedziała. Ostre rysy twarzy — to musi być Shiaine. Pozostałe stały. Były zwrócone plecami ku drzwiom, pochylały głowy jak pokutniczki. Oczy kobiety o ostrych rysach rozszerzyły się szeroko, gdy ujrzała Elayne w wejściu, ta jednak nie pozostawiła jej czasu, by zdążyła choćby otworzyć usta. Dwie Czarne siostry krzyknęły na alarm, gdy opadła na nie tarcza, a strumienie powietrza przywiązały ramiona do boków i oplótły spódnice wokół nóg. Kolejne strumienie związały Shiaine w połączanym fotelu. Elayne wciągnęła Sareithę ze sobą do pokoju i stanęła w miejscu, skąd mogła dostrzec twarze wszystkich zebranych. Sareitha próbowała dać krok do tyłu. Być może usiłowała jedynie zająć lepsze miejsce, ale Elayne szarpnęła za rękaw, jej również nie spuszczając z oka. Przyłączyły się do nich Vandene i Careane. Na wąskim obliczu Marillin przez cały czas malowało się charakterystyczne dla Aes Sedai opanowanie, lecz Falion cicho mruknęła.

— Co to ma znaczyć? — zapytała Shiaine. — Poznają cię. Ty jesteś Elayne Trakand, Dziedziczka Tronu. To nie daje ci żadnego prawa, by robić najazd na mój dom.

— Falion Bhoda — oznajmiła Elayne spokojnie. — Marillin Gemalphin, Shiaine Avarhin, arestuję was jako Sprzymierzeńców Ciemności. — Cóż, głos jej był opanowany. W duchu miała ochotę skakać z radości. Birgitte sądziła, że będzie niebezpiecznie!

— To śmieszne — odezwała się Shiaine lodowatym tonem. — Żyję w blasku Światłości!

— Nie, jeśli prowadzasz się z nimi dwiema — odparła Elayne. — Według mojej najlepszej wiedzy w Tar Valon, Łzie i Tanchico dowiodły bezspornie, że są Czarnymi Ajah, Nie słyszysz, by temu przeczyły, nieprawdaż? To dlatego, że wiedzą, iż ja...

Nagle całą jej postać, od czubka głowy aż po palce stóp otoczył wieniec roztańczonych iskier. Zaczęła się opętańczo szarpać, mięśnie napięły się spazmatycznie, *saidar* wyslizgnął się z objęcia. Widziała, jak Vandene, Careane oraz Sareitha zadrżały, gdy je także przeniknęły migotliwe iskry. Trwało to tylko chwilę, ale gdy iskry zniknęły, Elayne czuła się jak przepuszczona przez magiel. Musiała wesprzeć się na ramieniu Sareithy, żeby ustać na nogach, ta przylgnęła do niej z tą samą siłą. Vandene i Careane chwiejąc się, podtrzymywały siebie nawzajem, a każda trzymała podbródek na ramieniu drugiej. Na twarzy Falion oraz Marillin malował się przestach, ale światło Mocy otoczyło je w okamgnieniu. Elayne poczuła, jak tarcza oddziela ją od Źródła, zobaczyła tarcze opadające na trzy towarzyszkę. Nie było potrzeby ich krępować. Każda bez pomocy drugiej upadłaby na ziemię. Gdyby mogła, zaczęłaby krzyczeć. Gdyby wiedziała, iż Birgitte oraz pozostałe mogą zrobić coś więcej, niż tylko umrzeć.

Do pokoju weszły cztery znajome kobiety. Asne Zeramene i Temaile Kinderode. Chesmal Emry oraz Eldrith Jhondar. Cztery Czarne siostry. Łzy napłynęły jej do oczu. Sareitha cicho zajęczała.

— Dlaczego zwlekaliście tak długo? — Asne zapytała gwałtownie Falion i Marillin. W ciemnych oczach o nakrapianych źrenicach gorzał gniew. — Wykorzystałam to, aby nie poczuły, kiedy obejmujemy *saidara*, ale dlaczego wyście tam tylko stały i nic nie robiły? — Pomachała krótką wygiętą czarną różdżką, która miała może cal średnicy i niepokojąco niepozorny wygląd. Przedmiot wyraźnie ją fascynował. — Prezent od Moghedien. Broń z okresu Wieku Legend. Za pomocą tego narzędzia mogę zabić mężczyznę z odległości stu kroków albo tylko go ogłuszyć, jeżeli zapragnę przesłuchać.

— Potrafię zabić każdego, kogo widzę — odparła Chesmal z pogardą. Wysoka i ładna, była ucieleśnieniem lodowatej arogancji.

Asne prychnęła pogardliwie.

— Ten, kogo sobie upatrzę, może być otoczony przez setkę sióstr, a żadna nie domyśli się, co go zabiło.

— Przypuszczam, że może się przydać — przyznała Chesmal niechętnym tonem. — Dlaczego tylko stałaś?

— Oddzieliły nas tarczami—powiedziała Falion z goryczą. Oddech Eldrith zaczął się rwać, przyłożyła pulchną dłoń do krągłego policzka.

— To niemożliwe. Chyba że... — Ciemne oczy nabrały złowrogiego wyrazu. — Odkryły sposób, w jaki ukryć poświatę *saidara*, potrafią zataić sploty. To dopiero mogłoby się przydać.

— Przyjmij moje podziękowania za to, że przybyłaś na ratunek — powiedziała Shiaine, podnosząc się z miejsca, — Czy istnieje wszak powód, dla którego dziś w nocy tu jesteś? Przysłał cię Moridin?

Asne przeniosła strumień Powietrza, który z głośnym trzaskiem uderzył Shiaine w policzek tak mocno, że się zachwiała.

— Trzymaj grzecznie język za zębami, a może pozwolimy ci odjechać wraz z nami. W przeciwnym razie zostawimy za sobą już tylko twojego trupa. — Policzki Shiaine zaczerwieniły się, trzymała jednak ręce sztywno przy boku. Na twarzy nie malowały się żadne uczucia.

— Potrzebujemy tylko Elayne — rzekła Temaile. Jej lisia twarz mogła z powodzeniem uchodzić za ładną. Z wyglądu przypominała słabowite dziecko, mimo iż twarz Aes Sedai nie pozwalała oszacować przeżytych lat, jej oczy płonęły nie zdrowym blaskiem. Przejechała koniuszkiem języka po ustach — Z przyjemnością zabawiłabym się z innymi, stanowiłyby wszakże ciężar, który nie jest nam potrzebny.

— Jeżeli chcesz je zabić — zaczęła Marillin tonem, jakby dyskutowała cenę chleba — oszczędź Careane. Jest jedną z nas.

— Prezent od Adeleas — mruknęła Vandene. Wraz z ostatnim dźwiękiem jej słów oczy Careane rozszerzyły się. Otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Obie kobiety upadły na dywan. Po chwili Vandene zaczęła się podnosić, Careane leżała nadal na podłodze, wpatrując się w sufit. Spod jej mostka sterczała rękojeść noża, który Vandene zwykle nosiła u paska.

Chesmal otoczyła poświata, na Vandene opadł skomplikowany splot Ognia, Ziemi i Wody. Siwowłosa upadła, jakby w jednej chwili jej kości zamieniły się w wodę. Ten sam splot dosięgnął Sareithę, która padając, pociągnęła za sobą Elayne. Oczy Sareithy już zdążyły pokryć się szkłem.

— Ich Strażnicy zaraz przybędą — powiedziała Chesmal. — Zostało jeszcze trochę zabijania. „Uciekaj, Birgitte” — pomyślała Elayne i pożałowała, że więź nie może przenosić słów. „Uciekaj!”.

ROZDZIAŁ 15

DOTRZYMAĆ WARUNKÓW TARGU

Birgitte stała oparta o kamienną ścianę dwupiętrowego budynku, rozmyślając smutno o Gaidalu, kiedy kłębek emocji oraz wrażeń cielesnych w jej głowie, świadomość bytu Elayne, skurczył się nagłym spazmem. Innego słowa na to nie było. Cokolwiek zresztą to znaczyło, trwało zaledwie przez chwilę, lecz kiedy było już po wszystkim, w więzi został tylko... bezwład. Elayne była przytomna, ale niewładna. Dobrze choć, że się nie bała. Mimo to Birgitte odrzuciła płaszcz na ramię i zerknęła zza narożnika na ulicę Pełni Księżyca. Elayne bywała zbyt odważna, dla swojego dobra. Najtrudniejszym zadaniem Strażnika Elayne było wyperswadowanie jej narażania się ponad potrzebę. Nikt nie był niezniszczalny i tylko ta przeklęta kobieta sądziła, że właśnie ona jest. W jej herbie powinien być żelazny lew, nie złota lilia. W oknie błyszczało światło, które wylewało się bladą kałużą na wąską ulicę. Nie słychać było żadnego dźwięku poza zawodzeniem kota, gdzieś w ciemnościach nocy.

— Sareitha wydaje się... ogłupiała — wymruczał tuż obok Ned Yarman. Chłopięca twarz wysokiego, młodego Strażnika była srogą, ocienioną maską, ukrytą pod kapturem płaszcza. — Jest słaba.

Birgitte uprzytomniła sobie obecność innych Strażników którzy tłoczyli się obok niej. Strażników o kamiennych obliczach i twardych spojrzeniach. Nawet w świetle księżyca było to oczywiste. Wychodziło na to, iż coś stało się wszystkim Aes Sedai. Co?

— Lady Elayne powiedziała, że jeśli będzie nas potrzebować, krzyknie — zapewniła ich, bardziej chyba dla spokoju własnego sumienia. Nawet jeżeli zarówno Careane, jak i Sareitha były Sprzymierzeńcami Ciemności, z pewnością połączone nie potrafiłyby zrobić nic, a najwyraźniej cokolwiek się wydarzyło, przytrafiło się również im. Żeby szczęła, powinna się uprzeć przy udziale swoim i innych Strażników w tej ekspedycji.

— Careane nie będzie zadowolona, jeśli niepotrzebnie zaczniemy się wtrącać — powiedział cicho Venr Kosaan. Smukły jak klinga miecza i smagły, z pasmami siwizny w ciemnych lokach oraz krótko przystrzyżonej brodzie, sprawiał wrażenie człowieka całkowicie swobodnego. — Mówię, zaczekamy. Cokolwiek się dzieje, ona nie traci pewności siebie.

— Znacznie bardziej niż wówczas, gdy wchodziły do środka — dodał Cieryl Arjuna, za co zarobił ostre spojrzenie ze strony Venra. Cieryl, któremu ciągle daleko było do wieku średniego, wyglądał, jakby składał się z samych kości, choć, trzeba przyznać, ramiona miał szerokie.

Birgitte skinęła głową. W więzi z Elayne też czuła jej pewność siebie. Ale z drugiej strony Elayne, nie straciłaby pewności siebie, nawet spacerując na wystrzępionej linii ponad przepaścią najeżoną ostrzami. W oddali zaczął ujadać pies, zawodzenia kota umilkły. Inne wszakże psy odpowiadały na ujadanie pierwszego coraz gwałtowniejszą nawałnicą szczęknięć. W pewnej chwili urwała się tak samo nagle, jak zaczęła.

Czekali, aż Birgitte zaczęła ta cisza denerwować. Naraz Venr warknął przekleństwo i zrzucił płaszcz. W następnej chwili w jego rękę zabłysnął miecz. Biegł wzdłuż ulicy, a w ślad za nim Cieryl oraz Tavan. Płaszcze powiewały za nimi, klingi obnażone. Zanim pokonali dwa kroki, Jaem wydał dziki okrzyk. Wyciągnąwszy z pochwy miecz, odrzucił płaszcz i udał się w pościg z trzema pozostałymi, z prędkością, która zadawała kłam jego wiekowi. Rycząc z wściekłości, Ned również pobiegł, a księżyc oświetlał stal w jego rękę. W więzi rozgorzali furia niczym szal bitewny, który potrafił ogarnąć niektórych mężczyzn. Potem smutek, wciąż żadnego lęku.

Birgitte posłyszała za plecami cichy świst mieczy wyciąganych z pochew i okręciła się na pięcie, poły płaszcz załopotwały.

— Schować broń! Na nic się tu nie przyda.

— Wiem tak samo dobrze jak ty, moja pani, co to znaczy, gdy Strażnicy w ten sposób biegną — powiedziała Yurilh swoim twardym akcentem, natychmiast podporządkowując się rozkazom. Zresztą z jawną niechęcią. Chuda i wysoka jak większość mężczyzn, Saldaeanka przeczyła, jakoby była szlachetnie urodzona, ale zawsze, gdy rozmowa schodziła na to, co robiła, zanim złożyła przysięgę Myśliwej Polującej na Róg, po jej ustach błąkał się jeden z rzadkich uśmiechów i szybko zmieniała temat. Umiejętnie wszakże posługiwała się mieczem. Kiedy Aes Sedai umierają...

— Elayne żyje — wtrąciła Birgitte. Żyje i ma kłopoty, — o nią przede wszystkim musimy się zatroszczyć, ale żeby ją uratować, będziemy potrzebowały więcej mieczy. — I czegoś więcej niż miecze. — Związać tego człowieka! — Dwie Gwardzistki schwyciły Harka za kaftan, zanim zdążył umknąć w ciemność. Najwyraźniej nie miał żadnego zamiaru przebywać w pobliżu miejsca śmierci Aes Sedai. Ona tym bardziej, — Weźcie... nadliczbowe konie i za mną — powiedziała wskazując na siodło Strzały. — I pędźcie jak po ogień! Pierwsza zastosowała się do swych słów, wbijając bez namysłu obcasy w rozłożyste, siwe boki wałacha.

Był to szalony galop skroś ciemnych, wijących się ulic, na których właśnie zaczęli pojawiać się ludzie. Ściągnęła wodze i tak pokierowała Strzałą, aby wyminąć nieliczne furmanki i wozy, które wyjechały już na ulice; ale piesi, mężczyźni i kobiety, musieli uskakiwać jej z drogi. Wymachiwali za nią pięściami i rzucali przekleństwa. Przynagłała wałacha do coraz szybszego galopu, a poły płaszcza trzepotały na wietrze. Zanim dotarła do Bramy Mondel, zorientowała się, że Elayne zmieniła miejsce pobytu. Z początku nie była pewna, czy się nie myli, teraz nie było już mowy o błędzie. Elayne poruszała się w kierunku północnowschodnim ze zwykłą prędkością pieszego. Więż podpowiadała, iż była zbyt słaba, aby zająć daleko, być może zbyt słaba, by w ogóle iść, ale wóz poruszałyby się z taką właśnie prędkością. Niebo robiło się szare. Jak szybko zbierze wszystko, co było potrzebne? W Wewnętrznym Mieście ulica zaczęła wspinać się spiralnie obok wież, które migotały setką kolorów, w stronę złotych kopuł i białych iglic Pałacu Królewskiego, na szczyt najwyższego wzgórza Caemlyn. Kiedy galopowała wokół Placu Królewskiego, czuła utkwione w sobie spojrzenia żołnierzy. Właśnie rozdawano im prowiant z czarnych kotłów, które poustawiano na ręcznie pchanych wózkach. Kucharze nakładali warzących brązową strawę na cynowe talerze, każdy z widocznych mężczyzn miał napierśnik, na rękojeści miecza wisiał hełm. Dobrze. Każda zaoszczędzona chwila przybliżała moment, gdy będzie mogła uratować Elayne.

Dwa szeregi Gwardzistek ćwiczyły szermierkę w Stajni Królowej, kiedy wjechała tam galopem, lecz drewniane ostrza przestały grzechotać, gdy zeskoczyła z siodła, puściła wodze Strzały i podbiegła do kolumnady.

— Hadora, biegnij powiedzieć Poszukiwaczkom Wiatru, aby natychmiast spotkały się ze mną w Komnacie Mapy! — krzyczała, ani na chwilę nie zwalniając tempa wypowiedzianych słów. — Niech przyjdą wszystkie! Sanetrę, ty pobiegiesz do kapitana Guybona i powiesz mu to samo! Osiedłajcie mi następnego konia! — Strzała na ten dzień miał już dosyć. Kończąc wypowiadać te słowa, była już poza szeregiem kolumn, ale nie oglądała się wstecz, aby przekonać się, czy jej posłuchały. Posłuchają. Pognała poprzez obwieszane gobelinami korytarze i w górę po marmurowych schodach. Zgubiła się i zaczęła miotać przekleństwa, gdy przyszło cofać się po własnych śladach. Odziani w liberię służący wbijali w nią spojrzenia, uskakując z drągi W końcu udało jej się dotrzeć do rzeźbionych w lwy drzwi Komnaty Mapy, gdzie przystanąła tylko na moment potrzebny, by powiedzieć dwóm krzepkim Gwardzistom pełniącym straż, aby wpuścili Poszukiwaczki Wiatru do środka, skoro tylko się zjawią; potem weszła do komnaty. Guybon już był wewnątrz, miał na sobie wypolerowany napierśnik z trzema złotymi węzłami na ramieniu. Dyelin właśnie wchodziła, przytrzymując delikatnie niebieskie, jedwabne spódnice, kołyszące się w rytmie kroków. Oboje

patrzyli spod zmarszczonych brwi na dużą mozaikową mapę, na której dobrze ponad dziesiątka czerwonych krążków znaczyła północne mury miasta. Nigdy przedtem nie doszło do tyłu ataków naraz, liczba nigdy nie przekroczyła dziesiątki, lecz Birgitte poświęciła krążkom zaledwie jedno spojrzenie.

— Guybon, potrzebny mi każdy koń i halabarda, które zdołasz zgromadzić — powiedziała, rozpinając płaszcz i ciskając go na swoje długie biurko. — Kusznicy i łucznicy przez kilka godzin sami mogą się uporać ze wszystkim. Elayne została pojmana przez Aes Sedai Sprzymierzeńców Ciemności, usiłują teraz wywieźć ją z miasta. — Część urzędników i gońców poczęła szemrać, lecz pani Harfor uciszyła ich, wydając krótki rozkaz, by zajęli się swoją pracą. Birgitte przyglądał się kolorowej mapie na posadzce, obliczając odległości. Wydawało jej się, że Elayne wiozą ku Bramie Wschodzącego Słońca i w kierunku drogi do rzeki Erinin. Nawet gdyby tamci chcieli skorzystać z jednej z mniejszych bram, znaleźli się zbyt daleko, by zmierzać w jakimkolwiek innym kierunku, niż ku wschodnim murom. — Zapewne przewiozą ją poza bramę zanim zdążymy się przygotować do wymarszu. Będziemy Podróżować na ten grzbiet na wschód od miasta. — I rozegra my wszystko nie na ulicach miasta, lecz z dala od ludzkich domostw. W każdym razie i tak lepiej stoczyć walkę na otwartym terenie. W płataninie ulic konnica i halabardziści zanadto by się tłoczyli, ludzie wchodziliby im w drogę, zbyt wielkie ryzyko wypadku.

Guybon pokiwał głową. Zaczął już wydawać zwięzłe rozkazy, które urzędnicy odziani w brązy zapisywali w pośpiechu, aby mógł je podpisać i przekazać młodym gońcom odzianym w czerwienie i biele, którzy pobiegną rączo, gdy tylko papier znajdzie się w ich ręku. Twarze chłopców wyglądały na wystraszone. Birgitte nie miała czasu na własny lęk. Elayne nie bała się w ogóle i teraz była więźniem. Smutek czuła, owszem, lęku — nie.

— Z całą pewnością musimy ratować Elayne — powiedziała Dyelin łagodnie. — Ale mało prawdopodobne, że ci podziękuję, jeśli czyniąc to, poddamy Caemlyn Arymilli. Oprócz ludzi na wieżach i przy bramach niemalże połowa wyszkolonych żołnierzy i zbrojnych broni północnych murów. Jeżeli zabierzesz ich, jeden atak wystarczy, aby zdobyć mury. Same kusze i łuki ich nie powstrzymają. Skoro już zdobędą mur, siły Arymilli wleją się do miasta i z łatwością pokonają tych, których proponujesz zostawić. W ten sposób zamienisz się z nimi pozycjami i pogorszysz pozycję Elayne. Arymilla zdobędzie Caemlyn, zaś Elayne zostanie poza murami. Brakować jej będzie zbrojnych, aby z powrotem przedostać się do miasta. O ile Sprzymierzeńcy Ciemności nie zdołali jakoś przemycić wojsk w obręb murów Caemlyn, kilkuset ludzi sprawi się równie dobrze co kilka tysięcy.

Birgitte popatrzyła na nią wilkiem. Jakoś nigdy nie potrafiła polubić Dyelin. Dokładnie nie wiedziała czemu, lecz na sam widok Dyelin włosy jeżyły jej się na głowie. Była nieomal pewna, że tamta żywiła wobec niej podobne uczucia. Kiedy ona mówiła „góra”, Dyelin równocześnie mówiła „dół”.

— Zależy ci na tym, by Elayne objęła tron, Dyelin. Mnie zależy na tym, aby zachować ją przy życiu do chwili, gdy wstąpi na tron. Niech nawet nie będzie królową byle żyła. Zawdzięczam jej życie i nie pozwolę, aby jej przeciekło przez palce w rękach Sprzymierzeńców Ciemności. — Dyelin prychnęła i od nowa zaczęła przyglądać się czerwonym krążkom jakby mogła tam dostrzec walczących żołnierzy, a srogi mars pogłębiał zmarszczki w kącikach oczu.

Birgitte zaplotła dłonie za plecami i zmusiła się, by stać bez ruchu. Z niecierpliwości miała ochotę spacerować od ściany do ściany. Elayne nieprzerwanie jechała w kierunku Bramy Wschodzącego Słońca.

— Musisz o czymś wiedzieć, Guybon. Będziemy mieli przeciwko sobie przynajmniej dwie Aes Sedai, prawdopodobnie więcej, i być może będą miały przy sobie broń, *ter'angreal* wytwarzający

płomień stosu. Słyszałaś kiedyś o czymś takim?

— Nigdy. Jednak brzmi groźnie.

— Bo to jest groźna broń. Na tyle groźna, że Aes Sedai zakazały jej używania. W latach Wojny z Cieniem nawet Sprzymierzeńcy Ciemności jej nie używali. — Wybuchnęła gorzkim śmiechem. Cała jej obecna wiedza o ogniu stosu pochodziła od Elayne. Z jej ust po raz pierwszy o nim usłyszała, ale to tylko pogarszało sprawę. Czy wszystkie wspomnienia o niej rozwieją się bez śladu? Nie sądziła, by coś straciła, ale skąd mogłaby wiedzieć? Pamiętała fragmenty fundamentów Białej Wieży, urywki tego, co uczyniła wraz z Gaidalem, żeby w ogóle powstała, ale nic, co stało się przedtem. Wszystkie wcześniejsze wspomnienia rozwiały się jak dym na wietrze.

— Cóż, przynajmniej będziemy mieli własne Aes Sedai — rzekł Guybon, podpisując kolejny rozkaz.

— Wszystkie nie żyją, z wyjątkiem Elayne — oznajmiła beznamiętnie. Tego faktu nie można było w żaden sposób upiększyć. Dyelin sapnęła, twarz jej pobladła. Jeden z urzędników zasłonił rękoma usta, drugi przewrócił kałamarz. Atrament rozlał się w kałużę o kształcie wachlarza na blacie stołu i zaczął kapać na podłogę. Pani Harfor nie zbeształa go, tylko mocno wspierała się o biurko drugiego urzędnika.

— Mam nadzieję jakoś zrekompensować ten brak — ciągnęła Birgitte. — Ale nie mogę nic obiecać z wyjątkiem tego, że dziś stracimy ludzi. Być może wielu ludzi.

Guybon wyprostował się. Na jego twarzy malował się wyraz zastanowienia, a w piwnych oczach odwaga.

— To będzie interesujący dzień — powiedział w końcu. — Ale odbijemy Dziedziczkę Tronu za wszelką cenę. — Ten Ciuirlyz Guybon był silnym człowiekiem, odważnym. Dowiódł tego nieraz na murach. Oczywiście, jak dla niej był zbyt przystojny. Birgitte uświadomiła sobie, że zaczęła przemierzać w tę i z powrotem przestrzeń mozaiki i przystanęła. Nie umiała być generałem, cokolwiek Elayne myślała na ten temat, wiedziała natomiast, że okazywane zdenerwowanie może na innych oddziaływać zaraźliwie. Elayne żyła. I tylko to się liczyło. Żywa i z każdą minutą coraz odleglejsza. Drzwi po lewej stronie otworzyły się i jeden z potężnych Gwardzistów zaanonsował Julanyę Fote oraz Keraille Surtovni. Guybon zawahał się, spoglądając wyczekująco na Birgitte, a gdy nie zareagowała, rozkazał ludziom, aby je wpuścili.

Kobiety nie mogły się chyba bardziej różnić wyglądem, choć każda dzierżyła w ręku drewniany kostur. Julanya była pulchna i ładna, a jej ciemne włosy przetykały pasma siwizny, natomiast Keraille była niska i szczupła, z zielonymi oczyma u nakrapianych tęczęwkach i płomiennorudymi lokami na głowie. Kuzynki zmieniały imiona z tą samą łatwością, z jaką inne kobiety zmieniają pończochy. Nosiły prostą wełnianą odzież, nadającą się dla wiejskiej kramarki, którą każda z nich w przeszłości była. I każda była pilnym obserwatorem, wytrawnym w sztuce dbania o siebie. Potrafiły słowem utorować sobie drogę wyjścia z większości sytuacji, ale proste noże, które wisiały u ich pasków, nie stanowiły ich jedynej broni — zadziwiłyby niejednego silnego mężczyznę tym, co potrafiły uczynić kosturem jako pałką. Obie złożyły ukłon. Spódnice oraz płaszcz Julanyi były mokre i na skraju pochłapani błotem.

— Ellorien, Luan oraz Abelle zaczęły zwijać obóz wczesnym rankiem, moja pani — powiedziała. — Zatrzymałam się jedynie tyle czasu, ile potrzeba, aby upewnić się co do kierunku, w którym wyruszyły... na północ... i natychmiast przybyłam złożyć raport.

— To samo odnosi się do Aemlyn, Arathelle oraz Pelivari, pani — dorzuciła Keraille. — Idą na Caemlyn.

Birgitte nie musiała przyglądać się dużej mapie rozłożonej na stole i zatkniętym w niej markerom.

W zależności od tego jak dużo błota zalegało na drogach i z jakim deszczem przyjdzie im się zmagać, najpóźniej po południu dotrą do miasta.

— Dobrze się spisałyście, obie. Idźcie uszykować sobie gorącą kąpiel. Myślisz, że zmienili decyzje? — Birgitte zapytała Dyelin, gdy już obie kobiety wyszły.

— Nie — odparła tamta bez wahania, potem westchnęła i pokręciła głową. — Obawiam się, że najbardziej prawdopodobne, iż Ellorien zdołała przekonać pozostałych, aby wsparli jej roszczenia do Tronu Lwa. Być może chcą pokonać Arymillę, i przejąć obłężenie. Mają nad nią przewagę liczebną w stosunku półtora do jednego, nad nami w stosunku dwa do jednego. Pozwoliła, by jej słowa zawisły w powietrzu. Nie było potrzeby nic dopowiadać. Nawet przy pomocy Kuzynek, które zluzują żołnierzy, nie będzie im łatwo utrzymać murów przed tak zmasowanym atakiem.

— Najpierw ściągniemy z powrotem Elayne, a potem możemy przejmować się tą zgrają — oznajmiła Birgitte. Gdzie były przekłete Poszukiwaczki Wiatru?

Gdy tylko to pomyślała, już wchodziły śladem Chanelle do komnaty we wzburzonej tęczy jedwabi. Z wyjątkiem Renail która zamykała małą procesję w lnianej odzieży, choć mimo to miała bluzkę czerwona zielone spodnie i ciemnożółtą szarfą, łańcuszki honorów każdej wydawały się aż nadto bogate, choć Rainyn, młoda kobieta o pucułowatych jeszcze policzkach, miała na swoim ledwie pół tuzina złotych medalionów. Na twarzy Renaile zastygł wyraz stoickiego spokoju.

— Nie lubię, kiedy mi grożą! — oświadczyła Chanelle ze złością, wachając złote puzderko z pachnidłami, które wisiało na złotym łańcuchu okalającym jej szyję. Ciemne policzki nabiegły krwią. — Ta Gwardzistka powiedziała, że jeśli nie pobiegniemy, kopnie...! Nieważne zresztą, co dokładnie powiedziała. To była pogrożka, ja zaś nie będę...!

— Elayne została pojmana przez Aes Sedai Sprzymierzeńców Ciemności — ucięła Birgitte. — Od was chcę, żebyście zrobiły bramę, przez którą żołnierze pójda jej na ratunek. — Wśród pozostałych Poszukiwaczek Wiatru podniosły się szmery. Chanelle ostro machnęła dłonią, ale jedynie Renaile zamilkła. Inne tylko zniżyły głosy do szeptu, zresztą ku jej jawnemu niezadowoleniu. Sądząc po medalach, które kłębiły się na łańcuszkach honorów, kilka z nich odpowiadało rangą Chanelle. — Dlaczego z powodu jednej bramy wezwałaś nas wszystkie? — domagała się wyjaśnień. — Dotrzymuję warunków targu, jak sama możesz się przekonać. Przyprowadziłam wszystkie, jak kazałaś. Dlaczego jednak potrzeba ci więcej niż jednej?

— Ponieważ uformujecie krąg i utworzycie bramę dostatecznie dużą, by pomieścić tysiąc mężczyzn i koni. — To była jedna przyczyna.

Chanelle zeszywniała i nie była jedyna. Kurin, której twarz była niczym maska wyrzeźbiona w czarnym kamieniu, praktycznie rzecz biorąc, zadrżała pod ciężarem obelgi, Rysael zaś, zazwyczaj zachowująca się wytwornie, też zadygotała. Senine, której pomarszczona twarz i stare ślady po nakłuciach znamionowały, że ongiś nosiła ponad sześć kolczyków, w tym także znacznie grubszych, musnęła palcami wysadzany drogimi kamieniami sztylet, znajdujący się za jej zieloną szarfą.

— Żołnierze? — zapytała Chanelle pełna urazy. — To zakazane! Warunki targu przewidują, że nie weźmiemy żadnego udziału w waszych wojnach. Tak zarządziła Zaida din Parede Czarne Skrzydło, teraz zaś, gdy jest Mistrzynią Statków, rozkaz ten zyskał jeszcze większy ciężar. Możesz użyć Kuzynek. Posłusz się Aes Sedai.

Birgitte dała krok ku smagłej kobiecie, patrząc jej prosto w oczy. Kuzynki tu na nic. Żadna z nich nigdy nie używała Mocy jako broni. Możliwe nawet, że nie wiedzą, jak to się, robi.

— Pozostałe Aes Sedai nie żyją — powiedziała cicho. Ktoś z tyłu jęknął; jeden z urzędników. — Jaką wartość przedstawiać będzie twój targ, jeśli Elayne zginie? Arymilli z pewnością nie będzie go honorować. — Zachowanie spokojnego tonu głosu wymagało wysiłku. Wyrwał się jej spod

kontroli, trzął z gniewu, drżał ze strachu. Potrzebne były jej to kobiety, nie mogła jednak dopuścić, by dowiedziały się, po co W przeciwnym razie Elayne będzie zgubiona. — Co powie Zaida, jeżeli unieważnisz jej targ z Elayne?

Chanelle wytatuowaną do połowy dłonią uniosła do nosa kute puzderko z pachnidłami, po chwili pozwoliła mu opaść pomiędzy swe liczne wysadzone klejnotami naszyjniki. Z tego co Birgitte wiedziała o Zaidzie din Parede, z pewnością nie będzie rozczarowana każdą, która doprowadzi do unieważnienia targu, i bez wątpienia Chanelle nie miała ochoty stanąć przed nią w takiej roli, niemniej teraz tylko popatrzyła ze smutkiem

— Doskonale — odrzekła po chwili. — Jednak w grę wchodzi tylko transport. Umowa stoi? — Ucałowała koniuszki palców u prawej ręki, gotowa dobić targu.

— Nie musisz robić nic, czego nie chcesz — zaznaczyła Birgitte, odwracając się. — Guybon, już czas. Zapewne już są przy bramach.

Guybon przypiął miecz, włożył hełm oraz stalowe rękawice i wyszedł za nią oraz za Dyelin z Komnaty Mapy. W ślad powędrowały Poszukiwaczki Wiatru. Wszystkiemu towarzyszyły uporczywe zastrzeżenia Chanelle, że zgodziła się tylko otworzyć bramę. Birgitte wyszeptała Guybonowi do ucha polecenia i kazała maszerować wprost ku wejściu do pałacu, sama zaś pośpieszyła ku Stajniom Królewskim, gdzie czekał na nią bułany wałach o szerokim pysku. Osiodłany. Młoda stajenna natychmiast podała jej wodze. Nosiła włosy związane w warkocz, który niewiele różnił się od jej warkocza. Na miejscu Birgitte zastała także wszystkie sto dwadzieścia jeden Gwardzistek, w pełnym rynsztunku bojowym i w siodłach. Wspięła się na siodło wałacha i gestem kazała jechać za sobą. Słońce wisiało złocistą kulą nad horyzontem, niebo znaczyło tylko kilka białych obłoków. Przynajmniej nie spadnie deszcz, z którym również, trzeba by walczyć. Podczas ulewnej burzy, z rodzaju tych, które ostatnio nawiedzały Caemlyn, nawet furgon mógłby się wymknąć niepostrzeżenie.

Gruby wąż dziesiątkowej i dwunastkowej kolumny pełził miarowo po Placu Królewskim, a jego końce ginęły z oczu po obu stronach. Kawalerzyści w hełmach i napierśnikach obok pieszych żołnierzy, na których głowach widniały hełmy wszelkich wyobraźalnych kolorów i kształtów, z halabardami na ramionach. Większość miała kolczugi lub brygantyny, tylko nieliczni wdziali napierśniki. Na czele każdego pododdziału, dużego czy małego, powiewał sztandar jego Domu bądź sztandar kompanii najemnej. Miecze na sprzedaż miałyby tego dnia zbyt liczną widownię, by dopuścić się zdrady. Kolumna liczyła w przybliżeniu niemal dwanaście tysięcy, nie licząc kuszników i łuczników, z czego dwie trzecie konnych. Ilu z nich polegnie, zanim słońce stanie w zenicie? Odepchnęła od siebie tę myśl, prawie w tej samej chwili, gdy zaświtała jej w głowie. Aby przekonać Lud Morza, potrzebny był jej każdy. Każdy mężczyzna, który dzisiaj zginie, zginąłby tak samo ochoczo jutro na murach. Każdy żołnierz przybywał do Caemlyn gotów oddać swe życie za Elayne.

Na czele kolumny jechał ponad tysiącosobowy oddział Gwardii, hełmy i napierśniki lśniły w słońcu, stalowe groty lanc nachylały się z zegarmistrzowską precyzją pod identycznym kątem. Awangarda pod sztandarem Andoru, Białym Lwem na zadnich nogach na polu szkarłatnym, ariergarda pod sztandarem Elayne, to znaczy Złotą Lilią na polu błękitnym — czekały na skraju jednego z licznych parków Caemlyn. Przynajmniej wciąż nazywano go parkiem, choć liczące wiele setek lat dęby zostały ścięte i wywiezione, a wraz z nimi inne drzewa i kwitnące krzewy. Korzenie wykarczowano, tworząc otwarty, równy teren o szerokości tysiąca kroków. Żwirowane ścieżki i porośla trawą ziemia dawno już wdeptane zostały w błoto przez końskie kopyta i żołnierskie buty. Trzy pozostałe lasy otaczające pałac spotkał ten sam los. Musiały ustąpić miejsca terenom, gdzie splatano bramy. Guybon oraz Dyelin już byli na miejscu, wraz z wszystkimi lordami i lady, którzy odpowiedzieli na wezwanie Elayne począwszy od młodego Perivala Manteara po Brannina Martana

wraz z małżonką — wszyscy siedzieli w siodłach. Perival miał hełm i napierśnik, podobnie jak prawie wszyscy zgromadzeni mężczyźni. Zbroja Brannina była najzwyczajniejsza, nieciekawa i odrobinę wyszczerbiona w miejscach, gdzie młot płatnerza nie wywiązał się ze swego zadania — wyraźnie narzędzia jego pracy, podobnie jak miecz o niewyszukanej rękojeści tkwiący w pochwie u boku. Perival tonął w złoceniach jak Conail i Branlet, jego zbroję zdobiło srebrne Kowadło Mantem. Ich emaliowane Czarne Orły Norman oraz Czerwone Pantery Gilyard. Piękna zbroja, w sam raz na paradę. Birgitte wcześniej miała nadzieję, że kobietom starczy rozsądku, aby trzymać chłopców z dala od bitwy. Kiedy teraz patrzyła na ich twarze, zawzięte i stanowcze, żałowała, że im samym nie starczyło rozsądku, by się we wszystko nie mieszać. Przynajmniej żadna nie miała miecza. Prosta prawda polegała na tym, że kobieta potrzebowała znacznie wyższych umiejętności, by stawić czoło mężczyźnie z mieczem. Jakkolwiek spojrzeć, silniejsze ramię oznaczało ogromną różnicę. Lepiej użyć łuku. Poszukiwaczki Wiatru krzywiły się, gdy ich stopy dotykały ziemi, nadal błotnistej po wczorajszej ulewie. Do wilgoci były przyzwyczajone, ale błota się bały.

— Ten człowiek nie chce mi powiedzieć, gdzie ma się znaleźć wyjście z bramy — powiedziała Chanelle z pasją, wskazując na Guybona, gdy Birgitte zsiadała z konia. — Chcę mieć to jak najszybciej za sobą i wreszcie obmyć stopy.

— Moja pani! — zawołał kobiecy głos z tyłu w głębi ulicy — Lady Birgitte! — Reese Harfor biegła pędem wzdłuż kolumny Gwardzistów. Poły czerwonych spódnic zadzierała wysoko, odsłaniając aż po kolana nogi obleczone w pończochy. Birgitte nie sądziła, by kiedykolwiek widziała ją bodaj truchtającą. Pani Harfor należała do kobiet, które zawsze robią wszystko doskonale. Za każdym razem, gdy się spotykały, jej obecność uwypuklała każdy najdrobniejszy błąd Birgitte, który jej samej zdarzyło się kiedykolwiek popełnić. Biegło za nią dwóch mężczyzn odzianych w czerwono-białą liberię, nieśli lektykę. Gdy znaleźli się bliżej, Birgitte dostrzegła, że siedzi w niej wymizerowany Gwardzista bez hełmu, z prawego ramienia sterczała strzała, druga z prawego uda. Krew ciekła wąskim strumyczkiem po obu drzewcach i na bruku chodnika układała się w cienką wstążkę kropel.

— Domagał się, aby bezzwłocznie przywieziono go przed oblicze twoje, moja pani, albo kapitana Guybona — wysapała pani Harfor, z trudem łapiąc oddech i wachlując się przy tym jedną ręką.

Młody Gwardzista usiłował usiąść prosto, aż Birgitte z powrotem wepchnęła go w siedzenie.

— Trzy spośród czterech naszych kompanii zaciężnych atakują Bramę Far Madding, moja pani — powiedział, ból zaś krzywił mu twarz i nabrzmiwał w głosie. — Od wewnątrz miasta, to chciałem powiedzieć. Rozlokowali łuczników, by zestrzelić każdego, kto zapragnie wysłać sygnał o pomoc. Mnie udało się wymknąć, koń pode mną padł.

Birgitte wyszeptała przekleństwo. To Cordwyn, Gomaisen i Bakuvun, gotowa była pójść o zakład. Szkoda, że nie nalegała mocniej, aby Elayne usunęła ich z miasta, gdy tylko przedstawili swoje żądania. Nie zdawała sobie sprawy, że myśli na głos póki Gwardzista nie przemówił:

— Nie, moja pani. A przynajmniej nie chodzi o Bakuvuni, On i jakiś tuzin jego ludzi znaleźli się w mieście, by porzucić... cóż, by odpocząć, a porucznik sądzi, że tylko dzięki temu się utrzymaliśmy. Jeśli wciąż się trzymamy. Kiedy widziałem po raz ostatni pole walki, tamci używali taranów obłęzniczych. Ale to nie wszystko, moja pani. W Dolnym Caemlyn pod bramami gromadzą się jacyś ludzie. Dziesięć tysięcy, może dwa razy tyle. Trudno ocenić, zwłaszcza przy ulicach tak krętych jak tamtejsze.

Birgitte drgnęła. Dziesięć tysięcy mężczyzn wystarczy, aby przeprowadzić udany atak, bez względu na to, czy najemnicy zostaną odparci, czy nie. Chyba że wyśle wszystkich, których tutaj ma, a i tych może nie starczyć. Na Światłość, co robić? Choćby szczała, potrafiła zaplanować rajd na ratunek

więźniowi fortecy lub przeprowadzić zwiad w kraju opanowanym przez wroga, ale to była bitwa i ważyły się w niej losy Caemlyn, jak również zapewne losy tronu. Mimo wszystko coś musiała uczynić.

— Pani Harfor, proszę zaprowadzić tego człowieka z powrotem do pałacu i opatrzyć mu rany. — Nie miało żadnego sensu prosić Poszukiwaczek Wiatru o Uzdrawianie. Jasno oznajmiły, że w ich oczach oznacza to udział w wojnie. — Dyelin, zostaw mi wszystkie konie oraz tysiąc halabardzistów. Możesz zabrać resztę oraz wszystkich kuszników i łuczników, A także każdego człowieka, który potrafi nosić miecz. Jeżeli brama wciąż będzie się trzymać, kiedy Kuzynki cię pod nią dostarczą zadbaj, by się utrzymała. Jeżeli upadnie, odbij ją. I utrzymaj te przekłete mury, aż tam nie dotrę.

— Bardzo proszę — powiedziała Dyelin, jakby były to najprostsze pod słońcem zadania. — Conail, Catalyn, Branlet, Perival, pojedziecie ze mną. Wasza piechota będzie lepiej walczyć, jeśli będziecie razem z nią. — Conail wyglądał na rozczarowanego. Bez wątpienia widział siebie galopującego z rycerską misją ratunkową, ujął jednak wodze i wyszeptał coś, a dwaj młodszy chłopcy wybuchnęli zduszonym śmiechem.

— Moja kawaleria też walczyłaby lepiej — obruszyła się Catalyn. — Chcę ratować Elayne.

— Przybyłaś po to, aby pomóc w zapewnieniu sukcesji — ucięła Dyelin. — I pójdziesz tam, gdzie będziesz potrzebna. W przeciwnym razie będziemy musiały ze sobą porozmawiać. — Cokolwiek to znaczyło, pulchne lica Catalyn poczerwieniały, ona sama zaś ponuro pojechała w ślad za Dyelin i resztą maszerującego wojska.

Guybon popatrzył na Birgitte, nic jednak nie powiedział, choć bardzo prawdopodobne, że zastanawiał się, dlaczego nie wysłała więcej ludzi. Nie ośmieliłby się otwarcie jej skrytykować. Problem polegał na tym, że nie wiedziała, ile Czarnych siostr porwało Elayne. Potrzebna była jej każda Poszukiwaczka Wiatru, one same musiały wierzyć, że są wszystkie niezastąpione. Gdyby było dość czasu, ściągnęłyby żołnierzy z barbakanów, usunęłyby nawet wartę spod bram.

— Zróbcie bramę — Birgitte poleciła Chanelle. — Na wzgórzu wschodnim od miasta, dokładnie na Drodze Erinin, od naszej strony.

Poszukiwaczki Wiatru połączyły się w krąg. Każda robiła to, co musiała, by doszło do połączenia, ale, cholera, wcale się nie spieszyły. Naraz w powietrzu pojawiła się srebrno-niebieska, pionowa pręga, odwróciła się, otworzyła i powstało przejście wysokie na pięć kroków, zajmujące całą szerokość oczyszczonego gruntu, za którym była droga z mocno ubitej gliny. Droga ta wspinała się ku rzece Erinin wznoszącym, łagodnym ukosem na zbocze wysokości dziesięciu piędzi. Za tym wzgórzem były obozy Arymilli. Jeśli zważyć na wszystkie docierające wieści, obozy mogły w tej chwili być puste — przy odrobinie szczęścia na pewno były puste — ale teraz nie miała ochoty zaprzętać sobie tym myśli.

— Naprzód, zająć stanowiska, zgodnie z rozkazem! — krzyknął Guybon i spiął swego wysokiego gniadosza ostrogami. Za nim podążali panowie szlachta oraz Gwardziści, kolumną dziesiątkową. Gwardziści skręcili na lewo i zniknęli Birgitte z oczu, natomiast szlachta zajęła pozycje na zboczu. Niektórzy popatrywali ku miastu przez szkła przybliżające. Guybon zszedł z konia i pobiegł na szczyt wzgórza, gdzie przycupnął i spojrział przez swoje szkło. Birgitte czuła nieomal namacalne zniecierpliwienie Gwardzistek, czekających za jej plecami.

— Niepotrzebna była wam tak ogromna brama — powiedziała Chanelle, marszcząc brwi na widok kolumny jeźdźców wylewającej się z drugiej strony. — Po co więc...?

— Chodź ze mną — rzekła Birgitte, ujmując Poszukiwaczkę Wiatru za ramię. — Chcę ci coś pokazać. — Prowadząc, bułanego wałacha za wodze i ciągnąc ją za sobą, ruszyła w stronę bramy. — Możesz wrócić z powrotem, gdy to już zobaczysz. — Jeśli choć odrobinę znała Chanelle, ona

właśnie kierowała kręgiem. I liczyła jeszcze na naturę ludzką. Nie oglądała się za siebie, a jednak odetchnęła z ulgą, gdy posłyszała, jak inne Poszukiwaczki Wiatru półgłosem rozmawiają ze sobą za jej plecami. Szły za nią w ślad.

Cokolwiek ujrzał Guybon, było to dobrą nowiną ponieważ wyprostował się i dopiero potem pobiegł z powrotem do konin, Arymilla z pewnością ogołociła swoje obozy do cna. Będzie ich, powiedzmy, dwadzieścia tysięcy na Bramie Far Madding, jeśli nie więcej. Światłości, spraw, żeby brama się utrzymała. Ale najpierw należy zatroszczyć się o Elayne. Najpierw i przede wszystkim.

Gdy dotarła do miejsca, gdzie był Guybon, on siedział już w siodle swojego gniadosza. Gwardzistki ustawiły się w potrójnym szeregu, za Caseille usytuowaną nieco z boku. Całą szerokość bramy, czyli sto kroków, wypełniała teraz kawaleria, kłusem odjeżdżali na boki, żeby przyłączyć się do pozostałych, którzy już formowali potrójny szereg po obu stronach drogi. Dobrze. Poszukiwaczkom Wiatru niełatwo będzie wrócić na drugą stronę. Wóz sklepiony łukiem płóciennego dachu, zaprzężony w czwórkę koni, otoczony niewielkim konnym oddziałem stał na drodze za ostatnimi budynkami Dolnego Caemlyn, w odległości jakiejś mili. W jego tle na otwartych ceglanych targowiskach kłębili się ludzie, co sił ratując życie, ale z równym powodzeniem mogliby wcale nie istnieć. W wozie znajdowała się Elayne. Birgitte uniosła dłoń, nie odrywając wzroku od pojazdu, Guybon zaś włożył jej swoje oprawne w mosiądz szkło powiększające. Wóz oraz jeźdźcy w jednej chwili znaleźli się bliżej, gdy uniosła szkło do oczu. — Co chciałaś mi pokazać? — pragnęła wiedzieć Chanelle.

— Za chwilę — odparła Birgitte. Zobaczyła czterech mężczyzn, spośród nich trzech jechało konno, ważniejszych jednak było siedem kobiet, również w siodłach. Szkło powiększające nieźle przybliżało, ale nie na tyle dobrze, by z odległości dostrzec twarz pozbawioną śladów upływu lat. Mimo wszystko musiała założyć, iż owe siedem kobiet to Aes Sedai. Osiem przeciwko siedmiu to mogła być niemal idealna równowaga sił, i chyba że tych osiem było połączonych w krąg. Pod warunkiem, że uda się namówić je na udział w zabawie. Co myśleli sobie Sprzymierzeńcy Ciemności na widok tysięcy żołnierzy i zbrojnych, którzy wyłaniali się zza delikatnej mgiełki żaru, wiszącej w powietrzu. Szlachta zjeżdżała w dół, gdy tymczasem zbrojni wciąż wylewali się z bramy, żeby dołączyć do szeregów.

Jakkolwiek zdumieni byli Sprzymierzeńcy Ciemności, nie zwlekali ani chwili. Błyskawice zaczęły padać z czystego nieba, srebrno-błękitne pioruny, które biły w ziemię z rykiem grzmotu i rozrzucały mężczyzn oraz konie jak rozbryzgane błoto. Wierzchowce rżały, przysiadły na zadach i parskały mężczyźni jednak walczyli o to, by utrzymać się w siodle i zachować raz obrane pozycje. Nikt nie uciekł. Ryczący grzmot który towarzyszył wybuchom, uderzył w Birgitte jak cios, aż się zachwiała. Poczła, że włosy stają jej dęba, próbując wymknąć ze splotów warkocza. Powietrze pachniało... ostro. Zdawało się, że dzwoni w uszach. Po raz kolejny błyskawica przecięła szeregi żołnierzy. Ludzie w Dolnym Caemlyn już biegali. Większość uciekała, znalazło się jednak kilku głupców którzy pobiegli do miejsca, skąd mieli lepszy widok. Końce wąskich ulic, otwierających się na rozległy wiejski horyzont poczęły zaludniać się gapiami.

— Skoro i tak mamy walczyć, lepiej żebyśmy ruszali, to im utrudni zadanie — powiedział Guybon, ściągając wodze. — Pozwolisz, moja pani?

— Jeśli ruszymy, straty będą mniejsze — przyznała my rację Birgitte, on zaś spiął konia ostrogami i pogalopował w dół grzbietu wzgórza.

Caseille zatrzymała konia przed nosem Birgitte i zaszalutowała dłonią przyłożoną do piersi. Wąska twarz spoglądała zawzięcie spoza krat lakierowanego hełmu.

— Czy udzielasz pozwolenia, aby Straż Przyboczna przyłączyła się do szeregu, moja pani? —

Wyraźnie słyhać byo wielkie litery. To już nie zwykła straż przyboczna, to Straż Przyboczna Dziedziczki Tronu, która stanie się Strażą Przyboczną Królowej.

— Pozwolenie wydane — powiedziała Birgitte. Jeśli ktokolwiek miał do tego prawo, były to z pewnością te kobiety.

Arafellianka zawróciła i pogalopowała w dół zbocza. W ślad za nią pojechała Straż Przyboczna, aby zająć miejsce w szeregach skąpanych ogniem błyskawic. Kompania najemników, która liczyła w przybliżeniu dwustu mężczyzn w pomalowanych na czarno hełmach i napierśnikach, jadąca pod czerwonym sztandarem, na którym widniał czarny, biegnący wilk, zatrzymała się, gdy żołnierze dostrzegli, ku czemu zmierzają, lecz ludzie pod sztandarami niemal pół tuzina Domów przemknęli obok nich i nie pozostawało im nic innego, jak ruszyć w ślad. Nadjechali kolejni panowie szlachta, aby stanąć na czele swych ludzi — Brannin, Kelwin, Laerid i Barel oraz inni. Nikt nie zawahał się, skoro raz ujrzał własny wzniesiony sztandar. Sergase nie była jedyną kobietą, która postąpiła na koniu parę kroków, jakby sama również miała zamiar przyłączyć się do zbrojnych oddziałów, gdy tylko jej sztandar wynurzył się z bramy.

— Truchtem! — krzyknął Guybon, na tyle głośno, że słyhać go było mimo huku wybuchów. Na całej długości szeregu echem odpowiedziały mu inne głosy. — Naprzód! — Zawrócił konia i ruszył w stronę Aes Sedai Sprzymierzeńców Ciemności, a błyskawica huknęła i przecięła nieboskłon, rozrzucając mężczyzn i konie wśród fontann ziemi.

— Co chciałaś mi pokazać? — znowu zażądała wyjaśnień Chanelle. — Chcę pozostać z dala od tego miejsca. — Małe szanse w tej chwili. Z bramy nadal wyłaniali się mężczyźni, galopując lub biegnąc, aby zrównać się z resztą. Na szeregi padały ogniste kule, które wzniecały własne erupcje ziemi, odciętych rąk i nóg. W powietrzu wolno wirował koński łeb.

— To — odpowiedziała Birgitte, gestem wskazując scenę rozgrywającą się przed ich oczami. Guybon ruszył kłusem, ciągnąc za sobą pozostałych. Wszystkie trzy szeregi posuwały się miarowo do przodu, inne nadciągały tak szybko, jak mogły, aby się do nich przyłączyć. Naraz gruba jak noga pręga czegoś, co wyglądało na płynny biały ogień, wystrzeliła z dłoni jednej z kobiet, która stała obok wozu. Literalnie rzecz ujmując, wycięła w szeregach szczelinę, szeroką na piętnaście kroków. Na mgnienie oka w powietrzu uniosły się migotliwe plamki, zapaliły się kształty mężczyzn i koni, a potem zniknęły. Pręga sięgała wyżej, coraz wyżej, potem zamigotała i zniknęła, pozostawiając przed oczyma Birgitte powidok szkarłatnych linii. Ogień stosu wypalał ludzi ze Wzoru tak, że byli już martwi, nim w nich uderzył. Trzymała szkło powiększające przy oku na tyle długo, by zauważyć kobietę, która dzierżyła wąski, czarny pręt. Zdawał się długi na krok.

Guybon rozpoczął szarżę. Za szybko, ale jedyną jego nadzieją było, że podejdzie dość blisko, by ktoś jeszcze przeżył. To jego jedyna nadzieja, z wyjątkiem jednej rzeczy. Ponad grzmiącymi wybuchami ognia i błyskawic wzniosł się niepewny okrzyk: „Elayne i Andor!”. Niepewny, ale wykrzyknięty pełną piersią. Sztandary płynęły strumieniem. Stanowiło to zaiste zacny widok, jeśli nie zwracać uwagi, ile z nich upadło. Koń i jeździec uderzeni bezpośrednio ognistą kulą po prostu znikali, znajdujących się blisko nich żołnierzy i konie spotykał ten sam los. Niektórym udawało się powstać. Koń bez jeźdźca stał na trzech nogach, spróbował pobiec i przewrócił się z łomotem.

— To? — zapytała Chanelle z niedowierzaniem. — Nie mam najmniejszej ochoty przyglądać się, jak umierają ludzie, — Następna pręga ognia uczyniła wyłom na szerokość niemal dwudziestu kroków w szeregach szarżującej kawalerii, zanim wbiła się w ziemię, wycinając bruzdę, która ciągnęła się przez pół drogi do wozu, nim wreszcie zniknęła. Poległo już wielu, choć nie tylu, jak można by oczekiwać. Podczas Wojen z Trollokami Birgitte była świadkiem bitew, w których posługiwano się Mocą. Na każdego człowieka leżącego nieruchomo przypadało dwóch albo trzech

chwiejących się na nogach bądź usiłujących powstrzymać upływ krwi. Na każdego konia, który leżał ze sztywno wyciągniętymi nogami, przypadały dwa inne, stojące chybotliwie. Grad ognia i błyskawic sypał się nieprzerwanie z niebios.

— Wobec tego powstrzymajcie zabijanie — rzekła Birgitte. — Jeżeli zabiją wszystkich żołnierzy albo przynajmniej dostatecznie wielu, aby atak się załamał, Elayne będzie zgubiona. — Nie na zawsze. Choćby szczyła, będzie jej szukać przez resztę życia, aż ujrzy wolną. Lecz Światłość tylko wiedziała, co mogą z nią zrobić do owego czasu. — Targ Zaidy jest nieważny, Przez was.

Ranek nie należał do ciepłych, jednak pot wystąpił kropelkami na czoło Chanelle. Ognie i błyskawice wybuchały wśród jeźdźców, którzy podążali za Guybonem. Kobieta z prętem w dłoni znowu uniosła rękę. Nawet bez szkła powiększającego Birgitte widziała, że celuje wprost w Guybona. On też musiał to widzieć, nie ustąpił wszak na włos.

Naraz na ziemię runęła następna błyskawica. i uderzyła w kobietę trzymającą różdżkę. Poleciała w jedną stronę, jej wierzchowiec w drugą. Jedno zwierzę z zaprzęgu osunęło się na ziemię, pozostałe rwały się i przysiadały na zadach. Uciekłyby, gdyby nie ciało współtowarzysza. Pozostałe konie wokół wozu też się rwały i podskakiwały. Deszcz ognia oraz błyskawic ustał, ponieważ Aes Sedai musiały się zatroszczyć o konie i o utrzymanie w siodłach. Zamiast próbować uspokoić zaprzęg, mężczyzna na koźle zeskoczył na ziemię i pobiegł w stronę szarżujących kawalerzystów. Gapie w Dolnym Caemlyn również biegli, tym razem jak najdalej od tego miejsca.

— Resztę bierz żywcem! — warknęła Birgitte. Niewiele obchodziło ją, czy przeżyją. Sprzymierzeńców Ciemności i morderców mógł czekać tylko jeden los, lecz w tym przeklęty wozie była Elayne!

Chanelle sztywno skinęła głową, wokół wozu zaś jeźdźcy zaczęli spadać z nieposłusznych rumaków, potem leżeli, szamocząc się na ziemi, jakby skrępowani. Co, oczywiście, miało miejsce. Biegnący naprzeciw szarży mężczyzna upadł na twarz i leżał, szarpiąc się w błocie.

— Kobiety też oddzieliłam tarczą — powiedziała Chanelle. Nawet jeżeli dzierżyły Moc, nie mogły się równać z kręgiem ośmiu.

Guybon uniósł dłoń, zatrzymując szarżę do stępa. Godne uwagi było, jak krótko wszystko to trwało. Znalazł się w niecałe pół drogi do wozu. Z bramy ciągle wyłaniali się mężczyźni w siodłach i pieszo. Huśtając się w siodle gniadosza, Birgitte pogalopowała ku Elayne.

„Przeklęta kobieta” — pomyślała. W więzi wciąż nie było nawet śladu strachu.

ROZDZIAŁ 16

DZIEWIĘĆ Z DZIESIĘCIU

Mając do czynienia z Elayne, Sprzymierzeńcy Ciemności nie zamierzali ryzykować. Nie tylko oddzielili ją tarczą od Źródła, ale jeszcze Temaile ze złośliwą przyjemnością związała ją w ciasny kabłąk, z głową między kolanami. Od niewygodnej pozycji już ją bolały mięśnie. Knebel, brudny kawał szmaty o wstrętnym oleistym posmaku, którym dokładnie wypełniono jej usta, miał uniemożliwić krzyk o pomoc przy bramie. Nie krzyczałyby wszak, bo jedynym tego skutkiem byłby wyrok śmierci dla strzegących ją wartowników. Wyczuwała, że sześć Czarnych sióstr trzymało *saidara*, póki nie znalazły się poza bramą. Ale opaska na oczy naprawdę nie była konieczna. Pomyślała, że chciały, aby poczuła się jeszcze bardziej bezradna, więc za wszelką cenę przeciwstawiała się temu uczuciu. Mimo wszystko, póki nie urodzą się dzieci, była całkowicie bezpieczna, podobnie jak dzieci. Min tak twierdziła.

Z poskrzypywania uprząży i nierównych desek pod sobą wносиła, że znajduje się na wozie lub jakimś wózku. Nawet się nie zatroszczyły o koc. „Pewnie mimo wszystko wóz” — pomyślała. Ciągnął go więcej niż jeden koń. Skrzynia wozu tak mocno pachniała starym sianem, że kręciło w nosie. Sytuacja wydawała się beznadziejna, jednak Birgitte przecież jej nie zawiedzie.

Poczuła, jak Birgitte w jednej chwili przenosi się z jakiegoś miejsca znajdującego milę za nią do miejsca milę z przodu i zachciało jej się śmiać. Wywnioskowała, że Birgitte wzięła jej wóz na cel, a Birgitte Srebrny Łuk nigdy nie chybiała. Niemniej kiedy poczuła, jak po obu stronach wozu tamte przenoszą, ochota do śmiechu jej przeszła. W więzi czuła niezłomną niczym skała determinację, ale też coś innego, silną odrazę i jeszcze... nie gniew, ale blisko. Ludzie będą umierać. Elayne naszło teraz pragnienie zapłakania nad nimi. Powinni mieć kogoś, kto po nich zapłacze, w końcu umierali za nią. Zginęły Vandene i Sareitha. Żałoba po nich osaczyła ją znowu. Jednak nie było to poczucie winy. Uratowałyby się, gdyby tylko pozwoliły odejść Falion i Marillin, a na to nie wolno było wyrazić zgody. Poza tym nie mogły przecież przewidzieć pojawienia się następnych czy też tej dziwnej broni, którą miała Asne.

Niedaleko rozległ się ogłuszający grzmot, a jej wehikuł zakołysał się tak gwałtownie, że aż podskoczyła na twardych deskach. Na kolanach i łokciach z pewnością pozostaną siniaki Kichnęła, ponieważ do nosa dostał się kurz wzniecony ruchem wozu, po chwili kichnęła znowu. Poczuła pojedyncze włosy jeżące się w miejscach, gdzie nie przytrzymał ich knebel i opaska na oczy. W powietrzu rozszedł się osobliwy zapach Najwyraźniej niedaleko uderzyła błyskawica. Miała nadzieję że Birgitte udało się pozyskać pomoc Poszukiwaczek Wiatru jakkolwiek wydawałoby się to nieprawdopodobne. Czas, gdy Kuzynki zmuszone zostaną do użycia Mocy w charakterze broni, miał dopiero nadejść — ostatecznie nikt nie uniknie *Tarmon Gai'don* — ale na razie niech zachowają niewinność. Po kilku chwilach zniknęła tarcza oddzielająca ją od Źródła.

Niezdolna zobaczyć czegokolwiek, nie bardzo mogła przenosić, wszak wyczuwała pobliskie sploty: coś z Ducha, coś z Powietrza. Nie widząc splotów, nie rozumiała ich zastosowania, choć nietrudno było zgadnąć. Jej zwycięzczynie były obecnie jeńcami, oddzielonymi tarczą i skrępowanymi. Mogła jedynie cierpliwie czekać. Birgitte zbliżała się szybko, ale Elayne już zdażyła się zniecierpliwic — chciała jak najszybciej strząsnąć z siebie te sznury.

Skrzynia wozu zaskrzypiała, gdy ktoś ciężko na niej stanął. Birgitte. W więzi rozbłysnął promień radości. Po chwili sznury opadły, a Birgitte sięgnęła do knebla. Opaskę Elayne sama rozwiązała,

choć wymagało to pewnego wysiłku zeszywniałych mięśni. Światłości, będzie okropnie bolało, chyba że poprosi o Uzdrawianie. To jej przypomniało, że będzie musiała prosić Poszukiwaczki Wiatru i znowu poczuła żal nad Vandene i Sareithą.

Gdy mogła wreszcie wypluć knebel, chciała najpierw poprosić o wodę, by wypłukać paskudny smak z ust, ale zapytała: — Co cię zatrzymywało tak długo? — I roześmiała się na widok konsternacji Birgitte, śmiech jednak wkrótce przerwało kolejne kichnięcie. — Chodźmy stąd, Birgitte. Kuzynki? — Poszukiwaczki Wiatru — odrzekła Birgitte, podnosząc płócienną pokrywę na tyle wozu. — Chanelle zdecydowała, że raczej nie ma ochoty donosić Zaidzie o anulowanej umowie. Elayne parsknęła z niesmakiem, co okazało się błędem. Kichając już bezustannie, najszybciej jak potrafiła wygramoliła się z wozu. Nogi miała tak zeszywniałe jak ręce. Choćby szczyła, najbardziej na świecie pragnęła gorącej kąpieli. I grzebienia. Czerwony kaftan z białym kołnierzem Birgitte wyglądał na nieco pomięty, ale Elayne podejrzewała, że jej Strażnik pojawiła się świeżo z gotowalni.

Kiedy dotknęła stopami ziemi, konni Gwardziści otaczający wóz szerokim kręgiem wydali głośny okrzyk radości, potrząsając lancami w powietrzu. Gwardzistki też wiwatowały, najwyraźniej wszystkie co do jednej. Dwaj mężczyźni mieli na sobie białego Lwa Andoru i jej Żółtą Lilię. To wywołało uśmiech na jej twarzy. Gwardia Królowej przysięgała bronić Andoru, Królowej i Dziedziczki Tronu, niemniej decyzja noszenia jej osobistego godła musiała należeć do Charlza Guybona. On siedział na wysokim gniadoszu, z hełmem wspartym o siodło i szerokim uśmiechem na twarzy; skłonił się z siodła. Naprawdę przyjemnie było na niego spojrzeć. Być może nada się na trzeciego Strażnika. Za Gwardią powiewały na wietrze sztandary Domów i kompanii najemnych — prawdziwy las. Światłości, ilu ludzi Birgitte ze sobą przyprowadziła? Na to pytanie będzie sobie można później odpowiedzieć. Najpierw Elayne chciała zobaczyć schwyte. Asne z rozrzuconymi rękami i nogami leżała na drodze, puste oczy patrzyły w niebo. Odgradzająca ją od Źródła tarcza była niepotrzebna. Pozostałe trwały równie nieruchomo, związane strumieniami Powietrza, które ciasno krępowały ramiona przy ciele, a spódnice przy nogach. W pozycji zresztą znacznie wygodniejszej, niż jej przypadła w udziale. Zważywszy na sytuację, w jakiej się znalazły, większość była stosunkowo opanowana, choć Temaile patrzyła na nią ponuro, a Falion wyglądała, jakby ją mdliło. Natomiast usmarowana błotem twarz Shiaine spełniłaby wszelkie standardy Aes Sedai. Z trzema skrępowanymi Powietrzem mężczyznami sprawa miała się inaczej. Wili się i szarpali, patrząc na otaczających ich jeźdźców takim wzrokiem, jakby zaraz chcieli się na nich rzucić, Tego było dość, żeby wiedzieć, iż są to Strażnicy Asne, choć może niekoniecznie Sprzymierzeńcy Ciemności. Czy byli nimi, czy nie byli, i tak trzeba będzie ich uwięzić, aby ochronić innych przed śmiertelną wściekłością w jaką wprawiła ich śmierć Asne. Zrobiliby wszystko, żeby zabić odpowiedzialnych za nią ludzi. — Jak nas znaleźli? — zapytała Chesmal. Gdyby nie leżała z brudną twarzą w pyłe drogi, nikt nie wzięłby jej za jeńca. — Mój Strażnik — odrzekła Elayne, uśmiechając się do Birgitte. — Jedna z moich Strażników.

— Strażnik kobieta? — zapytała z odrazą Chesmal. Marillin w tej samej chwili szarpnęła się w więzach, miotana bezgłośnym śmiechem.

— Słyszałam o tym — powiedziała, uspokoiwszy się nieco. — Ale wydawało mi się zbyt niewiarygodne, żeby mogło być prawdą.

— Słyszałaś i nawet o tym nie wspomniałaś? — zapytała Temaile, wykręcając się, żeby obrzucić Marillin ponurym spojrzeniem. — Ty skończona idiotko!

— Zapominasz się — ostro zareagowała Marillin i w następnej chwili już się kłóciły, czy Temaile

powinna okazywać jej szacunek! Po prawdzie, to Temaile powinna... Elayne potrafiła wyczuć wzajemny stosunek ich sił... ale jak można się było o coś takiego kłócić, będąc w podobnej sytuacji!

— Niech ktoś zaknebluje te kobiety — zarządziła Elayne. Caseille zsiadła z konia, oddała wodze innej Gwardzistce, podeszła do Temaile i zaczęła odcinać sztyletem fragment jej sukni.

— Załadujcie je na wóz i odetnijcie to martwe zwierzę. Chcę wrócić do miasta, nim ludzie Arymilla za wzgórzem zechcą coś przedsięwziąć. — Nie potrzebowała walnej bitwy. Niezależnie od jej wyniku Arymilla mogła sobie pozwolić na większe straty. — Gdzie są Poszukiwaczki, Birgitte?

— Wciąż na tym wzgórzu. Pewnie uważają iż jeżeli nie zbliżą się zanadto do rzezi, mogą udawać, że to nie ich wina. Ale nie musisz się martwić ewentualnym atakiem. Obozy za wzgórzem są puste. — Caseille podniosła Temaile za rękę, przerzuciła przez ramię, potem chwiejnie podeszła do wozu, by rzucić nań bezwładne ciało tamtej niczym worek ziarna. Inne Gwardzistki brały się za kolejne kobiety. Szarpiących się Strażników rozsądnie zostawiły Gwardzistom. Żeby sobie z nimi poradzić, potrzeba było dwóch na jednego. Dwóch wysokich Gwardzistów wyprzęgało padłego konia.

— Widziałem tylko ciury obozowe, koniuszych i tym podobnych — wtrącił Charlz.

— Myślę, że wszystkie obozy mogą okazać się puste — ciągnęła Birgitte. — Tego ranka Arymilla przypuściła silny atak na północne mury, aby ściągnąć tam tak wielu naszych ludzi, ilu się da, a równocześnie rzuciła dwadzieścia tysięcy lub więcej w Dolne Caemlyn na Bramę Far Madding. Niektórzy z najemników zdradzili nas i zaatakowali bramę od wewnątrz, ale posłałam tam Dyelin ze wszystkimi rezerwami, jakie byłam w stanie zebrać. Gdy tylko znajdziesz się bezpiecznie za murami, zabiorę tych tu i pójdę jej na pomoc. I jeszcze inne dobre wieści: Luan oraz reszta tamtej zgrai jadą na północ. Będą tutaj koło południa. Elayne poczuła, jak oddech zamiera jej w piersiach. Z Linanem i resztą będzie można sobie poradzić, gdy się pojawią ale tamte informacje...!

— Pamiętasz, o czym donosiła pani Harfor, Birgitte? Arymilla i jej kamraci mieli być w pierwszym oddziale, który wjedzie do Caemlyn. Więc pewnie też są pod Bramą Far Madding, Ilu mamy ludzi pod ręką?

— Jaki jest rachunek rzezi, Guybon? — zapytała Birgitte ostrzegawczo spoglądając na Elayne. Więż też przenosiła ostrzeżenie. Sugestię najdalej posuniętej ostrożności.

— Jeszcze nie mam ostatecznego raportu, moja pani. Niektóre ciała... — Charlz skrzywił się. — Powiedzmy, że ofiar jest pięć, sześć setek, może nieco więcej. Dwakroć tylu rannych, ciężiej i lżej. Najbardziej paskudnych kilka minut, jakie zdarzyło mi się w życiu przeżyć.

— A więc masz, powiedzmy, dziesięć tysięcy, Elayne — powiedziała Birgitte, gruby warkocz zakołysał się, kiedy pokręciła głową. Zatknęła kciuki za pas, w więzi pojawiła się determinacja. — Arymilla dysponuje pod Bramą Far Madding siłami dwukrotnie większymi, może trzykrotnie, jeżeli faktycznie ogołociła obozy do ostatniego człowieka. Jeśli myślisz sobie to, co myślę, że myślisz... Rozkazałam Dyelin odbić bramę, gdyby padła, ale sądzę, że obecnie raczej walczy już z Arymillą wewnątrz murów miasta. Jeżeli jakimś cudem brama wciąż jeszcze się trzyma, będziesz miała przeciwko sobie przewagę, liczebną większą niż dwa do jednego.

— Jeśli nawet przedostali się za bramę — upierała się Elayne — mało prawdopodobne, że ją za sobą zamknęli. Weźmiemy ich od tyłu. — To nie był tylko upór. Nie wyłącznie.

Nie szkolono jej w posługiwaniu się bronią ale wysłuchiwała wszystkich lekcji, jakich Gawynowi udzielał Gareth Bryne. Królowa powinna rozumieć plany bitewne przedkładane jej przez jej generałów, a nie tylko w ciemno się na nie zgadzać. — Jeżeli brama wciąż się trzyma, zamkniemy ich między naszymi siłami a murami. W Dolnym Caemlyn kwestia liczebnej przewagi nie będzie tak istotna. Na wąskich uliczkach Arymilla nie da rady sformować bardziej rozwiniętego szyku niż ja. Robimy, jak mówię, Birgitte. Teraz niech ktoś mi znajdzie konia. Przez chwilę wydawało się, że

tamta odmówi, co z kolei momentalnie pobudziło jej upór, ale Birgitte tylko sapnęła ciężko. — Tzigan, złap tę wysoką siwą klacz dla lady Elayne. Chyba wszyscy wokół westchnęli jak jeden mąż, oprócz Sprzymierzeńców Ciemności oczywiście. Musieli dojść do wniosku, że za chwilę będą świadkami jednego z osławionych wybuchów emocji Elayne Trakand. Samo to podejrzenie omal nie doprowadziło do tego. Choćby szczyła, miała już po dziurki w nosie własnych emocji!

Birgitte podeszła bliżej i powiedziała przyciszonym głosem:

— Ale pojedziesz w otoczeniu Straży Przybocznej. To nie jest jakaś głupia historia o tym, jak królowa ze sztandarem w dłoni prowadzi do bitwy swe oddziały. Wiem, że jedna z twoich antenatek tak właśnie zrobiła, ale nie jesteś nią i nie musisz podrywać do ataku pokonanej armii.

— Cóż, szkoda, bo taki właśnie miałam plan — słodko odrzekła Elayne. — Jakim cudem się domyśliłaś?

Birgitte parsknęła śmiechem i mruknęła pod nosem:

— Przekłeta kobieta. — Wszak nie na tyle cicho, żeby Elayne nie usłyszała. Ale poprzez więź płynęła tylko sympatia. Rzecz jasna, nic nie potoczyło się tak łatwo. Trzeba było zwolnić ludzi do pomocy rannym. Niektórzy mogli iść o własnych siłach, wielu jednak nie potrafiło — naprędce założone opaski ścisnęły zakrwawione kikuty rąk i nóg. Charlz oraz pozostali szlachcice zebrali się wokół Elayne i Birgitte, żeby omówić plan ataku, czego oczywiście w żaden sposób nie można było uniknąć, ale potem Chanelle nie zgodziła się na zmianę miejsca docelowego bramy, póki Elayne nie zapewniła jej, że tym razem ich zadania naprawdę ograniczą się do transportu wojsk, a potem przypieczętowały umowę, całując koniuszki palców i przyciskając je do ust drugiej. Dopiero wówczas brama skurczyła się do pionowej srebrnej pręgi, a potem otworzyła znowu na szeroki na sto kroków widok Caemlyn od południa.

Na ceglanych targowiskach wzdłuż szerokiej drogi biegnącej od miejsca, gdzie się znalazły, na północ ku Bramie Far Madding, było pusto, natomiast zbita masa pieszych i konnych kłębiła się dalej, w odległości strzału z łuku od murów. Najbliżsi znajdowali się ledwie kilkaset kroków od bramy otworzonej przez Poszukiwaczki. Najwyraźniej zajęli również boczne uliczki. Konni byli z przodu, pod lasem sztandarów, ale i kawaleria, i piechota patrzyła wyłącznie w kierunku bram właściwego Caemlyn. Zamkniętych bram. Elayne o mało nie popłakała się z radości.

Pierwsza znalazła się po drugiej stronie, Birgitte tym razem najwyraźniej nie zamierzała ryzykować. Straż Przyboczna skupiła się wokół Elayne, spychając ją na bok. Birgitte jechała tuż przy jej ramieniu, ale ona nie miała żadnych kłopotów, nie była spychana. Na szczęście nikt nie wzbraniał jej jazdy naprzód, póki między siwą klaczą a drogą nie pozostał tylko pojedynczy szereg gwardzistek. Ale ten szereg mógł już równie dobrze być kamiennym murem. Na szczęście siwa faktycznie była wysoka, więc Elayne mogła wszystko widzieć, nie stając w strzemionach. Powinna je wcześniej wydłużyć, ponieważ były dla niej odrobinę, naprawdę odrobinę za krótkie. Z czego należało wnosić, że koń był własnością Chesmal, ponieważ ona jedna mogła się pochwalić, że prawie dorównuje wzrokiem Elayne. Natura jeźdźca z pewnością nie mogła wpływać na konia — z faktu że Chesmal była Czarną Ajah, nie wynikało, iż jej koń również jest zły — ale Elayne poczuła się niewygodnie na grzbiecie zwierzęcia a przyczyną nie były za krótkie strzemiona. Postanowiła, że siwa zostanie sprzedana wraz z resztą koni należących do Sprzymierzeńców Ciemności, a pieniądze rozdane wśród ubogich.

Śladem Charlza z bramy wylała się kawaleria i piechota w liczbie wystarczającej, żeby zająć całą szerokość drogi. Mając za plecami Białego Lwa i Żółtą Lilię, Elayne ruszyła truchtem, a pięciuset Gwardzistów rozsypało się po całej przestrzeni drogi. Inne oddziały w podobnej liczebności natychmiast skręciły w bok, znikając w uliczkach Dolnego Caemlyn. Kiedy przekroczyli ją ostatni

żołnierze, brama skurczyła się i zniknęła. Gdyby coś poszło źle, droga szybkiej ucieczki pozostawała zamknięta. Trzeba było zwyciężyć albo Arymilla stanie się faktyczną właścicielką tronu jeszcze przed zdobyciem Caemlyn. — Potrzebne nam dzisiaj będzie przeklęte szczęście Mata Cauthona — mruknęła Birgitte.

— Już raz coś takiego słyszałam z twoich ust — powiedziała Elayne. — Co masz na myśli?

Birgitte obrzuciła ją szczególnym spojrzeniem. W więzi pojawiło się... rozbawienie! — Przyglądałaś się kiedyś, jak on gra w kości?

— Nie wydaje mi się, abym spędzała dużo czasu w miejscach, gdzie grywa się w kości, Birgitte.

— Powiem więc, że ma tyle szczęścia, ile jeszcze nie widziałam u żadnego człowieka.

Elayne pokręciła głową i zaraz zapomniała o Macie Cauthonie. Prący naprzód ludzie Charlza przesłaniali jej widok. Jeszcze nie próbowali szarżować, starając się nie robić zbyt wiele hałasu. Przy odrobinie szczęścia otoczą wojska Arymilli, zanim ta się zorientuje. A potem zaatakują ją ze wszystkich stron. Mat miał więcej szczęścia od wszystkich ludzi, jakich Birgitte w życiu widziała? W takim razie szczęście musi mu naprawdę dopisywać w niezwykle sposób.

Nagle Gwardziści Charlza ruszyli szybciej i opuścili stalowe groty lanc. Ktoś z tamtych musiał się obejrzeć. Wrzaski, sygnały alarmowe... i nagle zewsząd doleciał ogłuszający krzyk, — Elayne z Andoru!

Towarzyszyły mu kolejne, nieco cichsze:

— Księżycy!

— Lis!

— Potrójne Klucze!

— Młot!

— Czarny Sztandar!

Wreszcie inne zawołania pomniejszych Domów. Ale w bezpośredniej bliskości rozlegał się tylko ten jeden, wciąż powtarzany:

— Elayne z Andoru!

Nagle poczuła, że się trzęsie, na poły ze śmiechu, na poły od płaczu. Światłości, spraw, by nie wiodła tych ludzi na daremny śmierć.

Zawołania bojowe ucichły, zastąpił je szczeł stali, krzyk i wrzaski umierających. W pewnej chwili spostrzegła, że bramy uchylają się na zewnątrz. A ona nie widzi pola walki! Wyszarpnęła stopy ze strzemion, podwinęła nogi i spróbowała stanąć na siodle o wysokich łękach. Siwa zatańczyła pod nią nerwowo, nieprzyzwyczajona do roli stołka, ale na tyle wyszkolona, by jej nie zrzucić. Birgitte wymamrotała szczególnie obsceniczne przekleństwo, jednak w następnej chwili sama też już stała na siodle. Z Bramy Far Madding wylewały się setki kuszników i łuczniczków, lecz czy to byli jej ludzie, czy też zdrajcy najemnicy?

Odpowiedź stała się jasna w chwili, gdy łucznicy zaczęli szyc w skłębioną masę kawalerzystów Arymilli tak szybko, jak tylko potrafili naciągać łuki. Pierwsze kusze uniosły się i wystrzeliły pierwszą salwę. Kusznicy natychmiast znowu zaczęli je naciągać za pomocą kołowrotów, tymczasem inni wysunęli się przed nich i wystrzelili dragą salwę, która ścięła szeregi mężczyzn i koni niczym kosa łan dojrzałego jęczmienia. Z bramy wysypywali się kolejni łucznicy, również strzelając jak najszybciej. Trzeci szereg kuszników przesunął się naprzód, czwarty, piąty, a potem wśród wciąż wybiegających z bramy kuszników zaczęli się przeciskać halabardnicy. Halabarda była straszną bronią, ponieważ łączyła w sobie grot włóczni i ostrze topora z hakiem do ściągania jeźdźców z

siodła. Pozbawionych miejsca na szarżę i nie potrafiących sięgnąć mieczem kawalerzystów powoli zaczął dosięgać taki właśnie los. Teraz zza murów wypadli galopem Gwardziści w czerwonych kaftanach i błyszczących napierśnikach, omijając z obu stron już walczących i tym samym wydłużając front starcia z szeregami Arymilli. Ich strumień wylewał się bez końca. Skąd, na Światłość, Dyelin wzięła tyle Gwardii? Chyba że... żeby ta kobieta szczęła, zapewne powołała ludzi, którzy jeszcze nie ukończyli szkolenia! Cóż, wyszkoleni i niewyszkoleni dziś wraz zostaną namaszczeni krwią

Nagle w bramie stanęły trzy postacie w pozłacanych hełmach i napierśnikach, w dłoniach trzymały miecze. Dwie były nadzwyczaj drobne. Na ich widok podniosły się krzyki, które choć przytłumione dała mimo wszystko były wyraźnie słyszalne ponad zgiełkiem bitwy.

— Czarne Orły!

— Kowadło!

— Czerwone Pantery!

A potem w bramie pojawiły się dwie kobiety i zmagaly się przez krótką chwilę, póki wyżej nie udało się odciągnąć konia drugiej poza mury.

— Krew i krwawe popioły! — warknęła Elayne. — Można uznać, że Conail jest już dość dorosły, ale Branlet i Perival to dopiero chłopcy! Ktoś powinien ich powstrzymać!

— Dyelin powstrzymywała ich już dość długo — spokojnie oznajmiła Birgitte. W więzi panował absolutny spokój, — Conaila powstrzymywała dłużej, niż sądziłam, że to możliwe. I mimo wszystko zapobiegła, aby Catalyn nie stawiała się do walki. W każdym razie między chłopcami a pierwszym szeregiem jest kilkuset ludzi; jakoś nie widzę, żeby ktoś się ścieśniał i robił im miejsce. — Prawda. Cała trójka na próżno machała swoimi mieczami mniej więcej jakieś pięćdziesiąt kroków od miejsca, gdzie umierali ludzie. Z drugiej strony, pięćdziesiąt kroków to był krótki dystans dla łuku czy kuszy,

Żołnierze powoli zaczęli się pojawiać na dachach, najpierw dziesiątkami, potem setkami — łucznicy i kusznicy niczym pająki szli po dachówkach, docierali na szczyty domów, skąd mogli razić zbrojną ciżbę pod nogami. Jeden poślizgnął się i spadł, jego ciało przez chwilę pływało po powierzchni ludzkiej masy, drgając pod nawałą ciosów. Drugi szarpnął się zniecka i z drzewcem sterczącym z boku zwałił ze swej grzędy. Na dole podzielił los towarzysza.

— Zbyt wielki tam tłok — z podnieceniem oznajmiła Birgitte. — Nie mają miejsca na uniesienie łuku, nie wspominając już o naciągnięciu. Założę się, że nawet dla poległych nie starcza miejsca na ziemi. Teraz to już nie potrwa długo.

Ale rzeź trwała jeszcze przez dobre pół godziny, póki nie podniosły się pierwsze okrzyki:

— Pardonu! — Żołnierze wieszali swe hełmy na rękojeściach mieczy i wznosili ponad głowę, ryzykując życie w imię nadziei na nie. Piechurzy zrywali hełmy z głów i podnosili puste ręce. Kawalerzyści ciskali lance, hełmy, miecze i unosili dłonie. Reakcja szerzyła się jak pożar lasu, z tysięcy gardeł wyrwał się jeden krzyk: — Pardonu!

Elayne spokojnie usiadła w siodle. Dokonało się. Teraz trzeba się przekonać, jaki jest rozmiar triumfu.

Oczywiście walki nie wygasły od razu. Niektórzy wciąż nie chcieli złożyć broni, ale walczli już samotnie i wkrótce zostali zabici przez własnych towarzyszy, którzy umierać nie chcieli. W końcu nawet najbardziej zawzięci zaczęli ciskać na ziemię broń i zbroje, a jeśli nawet nie wszystkie głosy domagały się zmiłowania, to i tak wrzask był ogłuszający. Bezbronni, bez hełmów, napierśników i jakiegokolwiek innego oręża ruszyli chwiejnym krokiem ku szeregom Gwardzistów, a ręce unosili

wysoko ponad głowy. Halabardnicy zaczęli ich zaganiać w jedno miejsce, niczym owce. Zresztą tamci mieli w oczach coś z ogłupiałych spojrzeń owiec na podwórzu rzeźni. To samo musiało się powtórzyć na dziesiątkach wąskich uliczek Dolnego Caemlyn oraz przy bramach, ponieważ jedyne krzyki, jakie słyszała Elayne, domagały się pardonu, a wnioskuje z tego, że stawały się coraz cichsze, faktycznie musieli go dostać.

Słońcu nie została więcej niż godzina do szczytu drogi przez nieboskłon, kiedy spośród szeregów przeciwnika wyłuskano wszystkich szlachetnie urodzonych. Drobniejszą szlachtę odprowadzono pod strażą do miasta, gdzie będą przebywać do czasu wpłacenia okupu. To nastąpi już po zabezpieczeniu sukcesji. Spośród arystokracji jako pierwsze stanęły przed nią Arymilla, Naean i Elenia, pod eskortą Charlza i dwunastu Gwardzistów. Charlz miał zakrwawione rozcięcie na lewym rękawie i wgniecenie na lśniącym napierśniku, które musiało powstać w wyniku uderzenia młota, ale patrzył całkowicie spokojnie zza kraty przyłbicy hełmu. Na widok trzech kobiet z jej piersi wyrwało się potężne westchnienie ulgi. Pozostałych da się znaleźć wśród poległych lub wśród jeńców. Ale dzięki złapaniu łych trzech zdekapitowała wroga. Przynajmniej do czasu, aż nadejdzie Luan z pozostałymi. Stojące przed nią Gwardzistki rozstąpiły się, żeby mogła podejść do jeńców.

Cała trójka odziana była tak, jakby jeszcze tego samego dnia zamierzały uczestniczyć w koronacji Arymilli. Czerwona suknia niedoszłej królowej wyszywana była na staniku drobnymi perełkami, po rękawach maszerowały przyczajone białe lwy. Kołysała się w siodle, w jej oczach zastygł ten sam wyraz oszołomienia, który przed chwilą widziała u jej żołnierzy, Naean z lśniącymi, czarnymi włosami upiętymi w srebrną siateczkę z szafirami, szczupła, wyprostowana, w błękitnej sukni z rękawami ozdobionymi Potrójnymi Kluczami Arawn i srebrnym misternym haftem na staniku, wydawała się raczej pokonana niż oszołomiona. Udało jej się nawet skrzywić pogardliwie, choć wypadło to dość nieprzekonująco. Złotowłosa Elenia w zieleniach obficie zdobionych złotem patrzyła to na Arymillę, to na Elayne. W więzi natomiast triumf mieszał się po równo z odrazą. Osobista niechęć Birgitte do tych kobiet była równi silna jak u Elayne.

— Na jakiś czas pozostaniecie moimi gośćmi w pałacu oznajmiła Elayne. — Mam nadzieję, że wasze kufry okażą się dość głębokie. Wasz okup zrefunduje wojnę, którą wywołałyście. — Było to dość złośliwe, ale tak się właśnie poczuła, W ich kufrach pewnie nic nie zostało. Musiały pożyczać znacznie ponad stan, żeby opłacić najemników. I przekupić ich. Nawet bez okupu groziła im pewna ruina. Zapłaciwszy wykup, staną się nikim. — Nie sądzę, aby to miał być koniec — ochryple powiedziała Arymilla. Jej słowa brzmiały, jakby przede wszystkim chciała przekonać samą siebie.

— Jarid wciąż jest w polu ze znacznymi siłami. Nie tylko Jarid. Powiedz jej, Elenia.

— Jarid postara się ocalić, co będzie mógł z Sarand przed katastrofą którą na nas ściągnęłaś — warknęła Elenia. Potem zaczęły krzyczeć na siebie, ale Elayne nie słuchała. Zastanawiała się, jak im się spodoba konieczność dzielenia łoża z Naean. Następny odeskortowany został do niej Lir Baryn, kilka chwil później dotarła przed nią Karind Anshar. On smukły jak klinga miecza i równie mocny z pozoru, miał na twarzy wyraz raczej namysłu niż buntu czy rozpaczu. Na zielonym kaftanie haftowanym na wysokim kołnierzu w srebrny Skrzydlaty Młot Domu Baryn pozostały jeszcze odciski napierśnika, którego już na sobie nie miał, ciemne włosy były pozlepiane potem. Pot lśnił też na twarzy. Nie spocił się tak, przyglądając się walce innych. Karind ubrana była równie wspaniale, jak pozostałe kobiety, w błyszczące niebieskie jedwabie przetykane gęsto srebrną nitką w posrebrzonych siwizną włosach miała perły. Na kwadratowej twarzy zastygł wyraz rezygnacji, który pogłębił się, gdy usłyszała słowa Elayne o okupie. Na ile się orientowała, żadne z tych dwojga nie zapożyczyło się tak bardzo jak tamte trzy, mimo to okup z pewnością będzie dla nich dotkliwy.

A potem dwaj Gwardziści pojawili się z odzianą w proste błękity kobietą niewiele od Elayne starszą

i jakby znajomą Jedyną jej biżuterią była emaliowana broszka z czerwoną gwiazdą i srebrnym mieczem na lśniącym, czarnym tle. Dlaczego przyprowadzono do niej Sylvase Caeren? Śliczna kobieta z czujnymi niebieskimi oczami, które teraz utkwiała w Elayne, była dziedziczką lorda Nasina, a nie Głową Domu Caeren.

— Caeren opowiada się po stronie Trakand — zabrzmiały szokująco słowa Sylvase, gdy tylko ściągnęła wodze. W więzi odbiło się echem zaskoczenie Elayne. Arymilla gapiała się na Sylvase, jakby uznała ją za szaloną. — Mój dziad padł rażony apopleksją Arymilla — spokojnie wyjaśniła młoda kobieta. — A moi kuzyni jeden przez drugiego spieszyli, by uznać mnie Głową Domu. Ogłoszę to publicznie, jeśli sobie życzysz, Elayne. — Może tak byłoby najlepiej — powoli powiedziała Elayne. Publiczne ogłoszenie uczyni rzecz nieodwołalną. Nie po raz pierwszy Dom zmieniał strony, nawet bez okazji, jaką była śmierć jego Głowy, ale z pewnością był to najlepszy raz. — Trakand gorąco wita Caeren, Sylvase. — Lepiej również nie okazywać nadmiernego dystansu. Niewiele wiedziała o Sylvase Caeren.

Sylvase pokiwała głową akceptując przyjętą formułę. A więc dysponowała co najmniej odrobiną inteligencji. Wiedziała, że nie może liczyć na całkowite zaufanie, póki nie dowiedzie swojej lojalności, oficjalnie proklamując poparcie.

— Czy na dowód twojego zaufania mogłabym pełnić kuratelę nad Arymillą Naean i Elenią? Oczywiście w Pałacu Królewskim czy gdziekolwiek zechcesz. Wierzę, że mój nowy sekretarz, pan Lounalt, zdoła je przekonać do opowiedzenia się po twojej stronie.

Z jakiegoś powodu Naean krzyknęła głośno i byłaby spadła z siodła, gdyby jeden z Gwardzistów nie złapał jej za ramię, Arymilla i Elenia wyglądały, jakby je zemdlilo.

— Nie wydaje mi się — odrzekła Elayne. Żadna rozmowa z jakimś sekretarzem nie przyniosłaby takich wyników. Wychodziło na to, że Sylvase sama miała dość twarde serce, — Naean i Elenia publicznie ogłosiły poparcie dla Arymilli, Gdyby je odwołały, oznaczałoby to ich koniec. — Naprawdę byłby to dla nich koniec. Zaprzysiężone im pomniejsze Domy zaczęłyby się wycofywać, póki ich Dom zupełnie nie straciłby na znaczeniu. One same jako Głowy Domów mogłyby nie pożyć długo po ogłoszeniu poparcia dla Trakand. Jeśli zaś chodzi o Arymillę... Elayne nigdy by się nie zgodziła na zmianę stron przez tamtą. Nie chce poparcia tej kobiety, nawet gdyby jej zaferowała! Coś ponurego zamigotało w oczach Sylvase, gdy popatrzyła na trzy kobiety.

— Mogłyby pod wpływem odpowiedniej perswazji. — Och, tak, strasznie twarde serce. — Ale będzie, jak sobie życzysz, Elayne. Niemniej, uważaj na nie. Zdradę mają we krwi. — Baryn opowiada się po stronie Trakand — zniecka oznajmił Lir. — Ja również ogłoszę publicznie swą decyzję, Elayne.

— Anshar opowiada się za Trakand — rzekła Karind zdecydowanym głosem. — Dziś jeszcze wyślę proklamację. — Zdrajcy! — krzyknęła Arymilla. — Dacie za to głowy! — Sięgnęła do paska, gdzie wisiała pochwa sztyletu, wysadzana klejnotami i pusta, jakby chciała rzecz osobiście załatwić od razu. Elenia roześmiała się, ale śmiechem pozbawionym wesołości. Brzmiał prawie jak płacz.

Elayne wzięła głęboki oddech. Oto dziewięć z dziesięciu potrzebnych Domów. Ale nie miała większych złudzeń. Jakiegokolwiek pobudki przyświecały Sylvase, Lir i Karind próbowali uratować, co się da, odcinając od przegranej sprawy i przystając do tej, która nagle zaczynała wyglądać dobrze. Będą oczekiwali preferencyjnego traktowania za to, że opowiedzieli się po jej stronie, zanim zasiadła na tronie, a równocześnie chcieliby, żeby zapomniiała, iż kiedykolwiek popierali Arymillę. Nie mogli liczyć ani na to, ani na tamto. Z drugiej strony, nie mogła z miejsca odrzucić ich propozycji.

— Trakand kłania się Baryn. — Ale bez odrobiny ciepła. Nigdy. — Trakand kłania się Anshar.

Kapitanie Guybon, proszę jak najszybciej odprowadzić więźniarki do miasta. Zbrojni Caeren, Baryn i Anshar odzyskają broń i zbroje, gdy tylko ogłoszone zostaną proklamacje poparcia, ale sztandary można im zwrócić od razu. — Chartz zasalutował, zawrócił gnadosza i już wykrzykiwał odpowiednie rozkazy.

Kiedy popchnęła siwą w kierunku Dyelin, która na czele Catalyn i trzech młodych głupców w pozłacanych zbrojach wyjeżdżała właśnie z bocznej uliczki, Lir i Karind zajęli miejsce za nią i Birgitte. Nie czuła niepokoju, mając ich za plecami — trudno czuć obawy w obecności stu Gwardzistek. Póki proklamacje nie ujrzą światła dziennego, pozostaną pod czujną obserwacją. Sylvase również. Myśli Elayne już wybiegały naprzód.

— Zachowujesz się strasznie wstrzemięźliwie — półgłosem powiedziała Birgitte. — Właśnie odniosłaś wielkie zwycięstwo. — A za kilka godzin — odrzekła — dowiem się, czy i kiedy będę musiała odnieść następne.

ROZDZIAŁ 17

CZARKA KAF

W odpowiedzi na salut wartownika Furyk Karede przycisnął urękawiczoną dłoń do serca, a potem zignorował fakt, że tamten splunął za nim. Miał nadzieję, że towarzyszący mu jeźdźcy — osiemdziesięciu ludzi i dwudziestu jeden Ogirów — również zignorują zniewagę. Jeśli mają odrobiną zdrowego rozsądku, będą uważać. Przybył tu po informacje, a zabijanie mogłoby utrudnić ich zdobycie. Od kiedy jego ordynans, Ajimbura, wbił nóż w pierś pewnego chorążego za rzekomą obrazę swego pana — w istocie obraza była jak najbardziej rzeczywista, mimo to Ajimbura powinien panować nad sobą, jak miał w zwyczaju — wjeżdżając do jakiegoś obozu, zazwyczaj zostawiał małych, żylastych członków plemion ze wzgórz w lesie razem z *sul'dam*, *damane* i Strażą dla opieki nad jucznymi końmi. Ścigając wiatr, przebył długą drogę z Ebou Dar — cztery tygodnie pościgu za plotkami — póki nie dotarł do tego właśnie obozu w środkowo-wschodniej Altarze.

Schludne szeregi jasnych namiotów i uwiązanych koni znajdowały się na leśnej polanie, dostatecznie dużej, by mógł wylądować na niej *raken*, niemniej wokół nie było śladu po awiatorach *rakenów*, żadnych oddziałów naziemnych z wozami ani stajennych *rakenów*. Uświadomił sobie właśnie, że od jakiegoś czasu nie widział nawet jednego *rakena* na niebie. Być może wszystkie zostały wysłane na zachód. Dlaczego? Nie wiedział ani go to nie obchodziło. Wysoka Lady była tą,

której służył, i całym jego światem. Pod słońcem wczesnego poranka wysoki, cienki słup wiadomości rzucał długi cień — więc mimo wszystko gdzieś w okolicy powinny być jakieś *rakeny*. Oceniał, że w obozie przebywa z tysiąc ludzi, nie licząc woźniców, kucharzy i temu podobnych. Ciekawe, ale wszyscy żołnierze w zasięgu wzroku mieli na sobie tradycyjne zbroje z domu, nie zaś solidne napierśniki i hełmy z kratami przyłbic. Powszechna praktyka polegała na tym, by — gdzie to możliwe — wcielać do oddziałów ludzi zamieszkujących ten brzeg oceanu. Ciekawe było też, że wszyscy mieli na sobie zbroje. Mało który dowódca przez cały czas kazał ludziom nosić zbroje, chyba że przewidywał rychłą walkę. Wnosząc z plotek, jakie usłyszał po drodze, tu mogło się na to zanosić.

Trzy maszty oznaczały namiot dowodzenia. Wysoki, na modłę cyrkową, z jasnego płótna i z otworami wentylacyjnymi przy szczycie, które mogły służyć za dymniki. Teraz nie wydobywał się z nich żaden dym, ponieważ poranek był jedynie umiarkowanie chłodny, choć słońce wisiało jeszcze nisko nad horyzontem. Z jednego masztu zwisał smętnie Sztandar Imperialny, kryjąc w swych fałdach złotego jastrzębia w locie, ściskającego w szponach błyskawicę. Zdarzali się dowódcy, którzy zawieszali go na poprzeczce, żeby zawsze prezentował się okazale, ale w opinii Furyka była to nadmierna ostentacja. Pozostałe sztandary na niższych masztach z pewnością były godłami regimentów żołnierzy.

Przed frontem namiotu Karede zsiadł z konia i zdjął hełm. Kapitan Musenge poszedł za jego przykładem, spod hełmu ukazała się zacięta twarz. Pozostali również zsiadli, żeby dać koniom odpocząć, i zostali przy zwierzętach. Ogirscy Ogrodnicy wsparli się na długich drzewcach toporów z czarnymi chwostami. Wszyscy wiedzieli, że nie zabawią tu długo.

— Nie dopuść, żeby ludzie wpakowali się w jakieś kłopoty — poinstruował Musengego. — Jeżeli wiąże się to ze ścierpieniem zniewagi, niech tak będzie.

— Zniewag byłoby mniej, gdybyśmy paru usiekli — mruknął Musenge. W Straży Skazańców służył dłużej nawet niż Karede, choć w jego czarnych włosach nie było jeszcze śladu siwizny, a zniewagi pod adresem Imperatorowej, oby żyła wiecznie, znosił nie bardziej cierpliwie niż te pod adresem Straży.

Palcem grubym jak kiełbaska Hartha podwinął długie siwe wąsiska. Pierwszy Ogrodnik, dowódca wszystkich Ogirów w straży przybocznej Wysokiej Lady Tuon, wzrostem prawie dorównywał człowiekowi siedzącemu w siodle, a i barczysty też był strasznie. W jego czerwono-złotej lakierowanej zbroi było dość żelaza na trzy lub cztery ludzkie zbroje. Wyraz twarzy miał równie ponury jak Musenge, niemniej głęboki głód napawał całkowitą ufnością. Ogirowie zawsze zachowywali spokój, ogień bitwy był jedynym wyjątkiem. Wtedy stawali się spokojni jak sroga zima w Jeranem.

— Gdy już uratujemy Wysoką Lady, będziemy mogli zabić, ilu nam się spodoba, Musenge.

Przywołany do porządku Musenge zarumienił się, wstydząc, że go poniosło.

— Gdy już ją uratujemy... — zgodził się.

Karede przeszedł przez te wszystkie lata zbyt surową szkołę dyscypliny — zarówno z ręki własnej, jak swych nauczycieli — żeby pozwolić sobie na westchnienie, ale gdyby nie należał do Straży Skazańców, z pewnością by westchnął. Nie dlatego, że Musenge miał ochotę kogoś zabić i było mu właściwie wszystko jedno kogo. Raczej dlatego, że zniewagi, jakie bez słowa znosił przez ostatnie tygodnie, zmęczyły go w równym stopniu, co Musengego i Harthę. Ale Straż robiła wszystko, co konieczne, żeby wypełnić zadanie, a jeśli to oznaczało cierpli, we znoszenie ludzi, którzy pluli na widok zbroi w barwach czerwieni i ciemnych zieleni (przez większość zresztą mylnie postrzeganej jako czern) lub ośmielali się w jego obecności mruzczyć o spuszczonej oczach, to trzeba było to

znosić. Liczyło się tylko odnalezienie i uratowanie Wysokiej Lady Tuon. Wszystko inne miało, wobec tego zadania, charakter nieważnego drobiazgu.

Z hełmem pod pachą wszedł do namiotu, gdzie nad wielką mapą rozłożoną na składanym stole polowym zastał zapewne większość oficerskiego korpusu obozu. Połowa miała płytowe napierśniki polakierowane w pionowe, czerwone i niebieskie pasy, druga połowa w czerwone i żółte. Kiedy wszedł, wyprostowali się i wgapili w niego wszyscy — ludzie z Khoweal i Dalenshar o skórze czarniejszej niż węgiel, złotobrazowi ludzie z N'Kon, jasnoskórzy ludzie z Mechoacan, jasnoocy ludzie z Alqam, ludzie ze wszystkich stron Imperium. W ich oczach nie było śladu ostrożności, często zabarwionej podziwem, do której przywykł, tylko coś, co pewnie należało określić mianem spojrzeń rzucających wyzywanie. Wychodziło na to, że wszyscy wierzyli w haniebne plotki o udziale Straży w aferze z dziewczyną podszywającą się pod Wysoką Lady Tuon i dokonującą przymusowego zajęcia złota oraz klejnotów kupców. Zapewne wierzyli też w tę drugą, szeptem tylko opowiadaną historię o dziewczynie, historię, która nie tylko była haniebna, ale naprawdę przerażająca. Nie. Gdyby Wysokiej Lady groziło cokolwiek ze strony Zawsze Zwycięskiej Armii, byłoby to bardziej niż przerażające. Należałoby uznać, że świat oszalał.

— Furyk Karede — przedstawił się chłodno. Ręka sama się rwała do rękojeści miecza. Tylko dyscyplinie zawdzięczał, że spokojnie zwisała przy boku. Dyscyplinie i poczuciu obowiązku. Z poczucia obowiązku nadstawiał się na ciosy miecza. Zniesie również zniewagi. — Chcę mówić z dowódcą obozu.

Przez dłuższą chwilę panowała niczym niezmacona cisza.

— Wyjdźcie wszyscy — jakiś wysoki chudzielec warknął ostrym akcentem z Dalenshar. Pozostali zasalutowali, porwali hełmy z drugiego stołu i pojedynczo zaczęli wychodzić z namiotu. Jemu nikt nie zasalutował. Prawa dłoń zadrgała raz, czując wręcz w swym wnętrzu fantomową rękojeść miecza, mimo to pozostała nieruchoma.

— Gamel Loune — przedstawił się tamten. Brakowało mu górnej części prawego ucha, spod kręconych, czarnych włosów prześwitywała gruba, biała blizna, tu i tam na czerepie można było domyślać się innych blizn. — Czego chcesz? — W słowach ledwie pobrzmiwało zaniepokojenie. Twardy człowiek, panujący nad sobą. Nie mógł być inny, skoro miał trzy czerwone pióra na hełmie wiszącym na stojaku z bronią. Słabi, nie panujący nad sobą ludzie nie osiągnęli rangi generała sztandaru. Karede podejrzewał, że Loune w ogóle chce z nim rozmawiać tylko z powodu trzech czarnych piór na jego hełmie.

— Nie mam zamiaru ingerować w proces dowodzenia. — Loune miał powody obawiać się tego. Stopnie Straży Skazańców liczyły się odrobinę wyżej w starszeństwie nad odpowiednikami w innych formacjach. Mógłby przejąć dowództwo od tamtego, gdyby było trzeba, choć później musiałby się tłumaczyć. I podać naprawdę dobre powody, ponieważ w przeciwnym razie dałby głowę.

— Jak rozumiem, w tej części Altary zdarzały się ostatnio.., pewne trudności. Chcę wiedzieć, co mnie czeka po drodze.

Loune odmruknął:

— Trudności. To jak najbardziej właściwe słowo.

Do namiotu wszedł krępy mężczyzna w prostym, brązowym kaftanie z wąską, wystrzyżoną w szpic brodą, niosąc ciężką, mocno rzeźbioną drewnianą tacę, na której stał srebrny dzbanek i dwie solidne, białe czarki z rodzaju tych, które nie tłuką się łatwo podczas transportu wozem. Powietrze wypełnił zapach świeżo sparzonej kawy.

— Pańska kawa, generale sztandaru. — Postawił tacę na skraju stołu z mapą, ostrożnie napełnił jedną czarkę ciemną ciecżą, równocześnie kątem oka obserwując Karede. Sporo już posunięty w latach jak

na czynną służbę, przy pasie miał dwa długie noże, a na dłoniach odciski nożownika. Karede wyczuł w nim powinowatego Ajimbury, choć duchem, nie krwią. Te ciemne, brązowe oczy nigdy tak naprawdę nie zapomniały widoku Wzgórz Kaensada. — Czekałem, aż pozostali wyjdą, ponieważ prawie nic już nie zostało. Nie wiem, skąd mam zdobyć więcej, naprawdę nie wiem.

— Napijesz się *kaf* Karede? — Niechęć Loune'a była wyraźna, ale zaproponować musiał. Za zniewagę Karede musiałby go zabić. Albo przynajmniej tak się tamtemu wydawało.

— Z przyjemnością — odparł Karede. Położył hełm obok tacy, zdjął nabijane żelazem rękawice i ułożył przy hełmie. Służący napełnił drugą czarkę, potem ruszył w kierunku rogu namiotu, ale zatrzymał go głos Loune'a: — To wszystko. Dziękuję, Mantual.

Krępy mężczyzna zawahał się, spojrzął na Karedego, lecz w końcu uklonił się Loune'owi, dotknął czubkami palców oczu i warg, wreszcie wyszedł.

— Mantual zachowuje się wobec mnie nadopiekuńczo — wyjaśnił Loune. Wyraźnie nie miał ochoty na żadne wyjaśnienia, ale znowu chciał uniknąć czegoś, co mogłoby wyglądać na otwartą zniewagę.

— Dziwny człowiek. Całe lata temu przykleił się do mnie w Pujili, a potem intrygował, póki nie został moim ordynansem. Sądzę, że pozostałby u mnie, nawet gdybym przestał mu płacić. — Tak, zaiste, to ktoś jak Ajimbura.

Przez jakiś czas tylko popijali *kaf*, balansując czarkami na czubkach palców i ciesząc się cierpką goryczą. Smakowała jak napar z prawdziwych ziaren z Gór Ijaz, co znaczyłoby, że jest bardzo droga. Własny zapas czarnych ziaren Karedego, z pewnością nie mających nic wspólnego z Górami Ijaz, skończył się tydzień temu i sam był zaskoczony, jak mu brakowało *kaf*. Zawsze uważał, że w potrzebie jest w stanie obyć się właściwie bez wszystkiego. Po wypiciu pierwszych czarek Loune napełnił następne.

— Miałeś mi opowiedzieć o tych trudnościach. — Karede przeszedł od razu do rzeczy, ponieważ po poczęstunku rozmowa o konkretach nie była już niegrzecznością. Zawsze starał się być grzeczny wobec tych, których zamierzał zabić, poza tym grubiaństwo mogłoby zasupłać tamtemu język.

Loune odstawił czarkę i wsparł się pięściami o stół, spod zmarszczonych brwi patrząc w mapę. Na obszarze całej mapy znajdowały się czerwone trójkąty z wbitymi w nie małymi papierowymi flagami — maszerujące oddziały Seanchan; czerwone gwiazdki oznaczały garnizony. Po całym obszarze rozsiano małe, czarne kręgi oznaczające miejsca starć, co jednak było dziwne, nigdzie nie było białych kręgów znamionujących siły wroga. Nigdzie.

— W ciągu ostatniego tygodnia — powiedział Loune — mieliśmy do czynienia z czterema poważnymi starciami i ponad sześćdziesięcioma zasadzkami, potyczkami i rajdami, spośród których parę było też dość poważnych, a wszystko to na obszarze trzystu mil. — Czyli obejmującym prawie całą mapę, Loune mówił z niejakim trudem. Wyraźnie było słychać, że gdyby miał wybór, nie powiedziałby nic. Starszeństwo o pół stopnia nie pozostawiało mu wszakże żadnego wyboru. — Po stronie przeciwnika musi uczestniczyć w tej operacji od sześciu do ośmiu odrębnych armii. W nocy po pierwszym poważnym starciu miało miejsce osiem rajdów przeprowadzonych znacznymi siłami, a wszystkie w promieniu czterdziestu do pięćdziesięciu mil od miejsca bitwy. Nie są to też małe armie, przynajmniej razem wzięte, ale nie potrafimy ich znaleźć i nikt nie ma bladego pojęcia, skąd się wzięły. Kimkolwiek są, mają ze sobą *damane*, to znaczy te ich Aes Sedai, a może nawet tych przeklętych Asha'manów. Ludzi rozrywały eksplozje, które według naszych *damane* nie były wywołane Mocą.

Karede upił łyk *kaf*. Tamten nie myślał. Jeżeli wróg miał Aes Sedai i Asha'manów, wówczas mógł jednym krokiem pokonać takie odległości, jakie chciał, dzięki tej ich sztuczce, zwanej Podróżowaniem. Z drugiej strony, jeśli było ich na to stać, dlaczego jednym krokiem nie znaleźli się

w bezpiecznym miejscu wraz ze swoją ofiarą? Może nie wszystkie Aes Sedai i nie wszyscy Asha'mani potrafili Podróżować, to jednak natychmiast rodziło następne pytanie. Dlaczego wysłali tych, którzy nie potrafią? Może jedynymi Aes Sedai były *damane* ukradzione z Pałacu Tarasin. Wedle doniesień żadna z nich nie słyszała nawet o Podróżowaniu. To miało sens.

— Co mówią jeńcy o swoich mocodawcach?

Loune zaśmiał się gorzko.

— Zanim zdobędziesz ślepych jeńców, musisz odnieść ślepe zwycięstwo. A my tu mamy szereg ślepych porażek. — Wziął ze stołu czarę *kaf* upił łyczek. W słowach zabrzmiały normalne uczucia, jakby zapomniał o barwach zbroi Karedego. Teraz był tylko żołnierzem rozmawiającym o sprawach zawodowych. — Dwa dni temu Guratowi już się wydawało, że ich ma. Stracił cztery chorągwie kawalerii i pięć piechoty, prawie go wybili do nogi. Nie wszyscy polegli, ale większość rannych jest w stanie bliskim śmierci. Naszpikowani jak jeże bełtami kusz. W większości Tarabonianie i Amadicianie, ale to nie powinno mieć większego znaczenia, nieprawdaż? Takie straty może zadać tylko dwadzieścia lub więcej tysięcy kuszników. Może trzydzieści. A jednak *morat'raken* nie udało się ich znaleźć. Wiem, że trochę ich zabiliśmy... przynajmniej tak donoszą raporty... ale oni nawet swoich poległych nie zostawiają na placu boju. Już jacyś głupcy zaczęli szeptać, że walczymy z duchami. — Może i miał ich za głupców, niemniej mimowolnie zagiął palce lewej dłoni w uroku chroniącym od złego. — Jedną rzecz ci powiem, Karede. Ich dowódcy są bardzo dobrzy. Bardzo, bardzo dobrzy. Każdy, kogo przeciwko nim wystawiłem, został całkowicie zmylony, wymanewrowany i pobity ze szczętem.

Karede w namyśle pokiwał głową. Brał pod uwagę, że Biała Wieża musiała zlecić porwanie Wysokiej Lady Tuon swoim najlepszym ludziom, ale jakoś nie wyciągnął konsekwencji z tej hipotezy i pomyślał o tych, którzy po tej stronie oceanu uważani byli za najlepszych dowódców. Może prawdziwe imię Thoma Merrilina brzmiało Agelmar Jagad lub Gareth Bryne. Nie mógł się doczekać spotkania z tym człowiekiem, choćby po to, żeby go wypytać, skąd wiedział, iż ona pojawi się w Ebou Dar. Może wyjdzie na jaw udział w operacji lady Suroth, a może nie. Na szczytach władzy dzisiejszy sprzymierzeniec mógł być jutrzejszym wrogiem. Nie licząc Ogrodników, cała Straż Skazańców była *da'covale* samej Imperatorowej, oby żyła wiecznie, niemniej i oni żyli na szczytach.

— Musi być jakaś strategia odnalezienia ich i przygwoźdzenia. Jesteś tu głównodowodzącym?

— Nie, chwała Światłości! — zapalczywie zareagował Loune. Pił długimi łykami, jakby żałując, że to nie brandy. Generał Chisen prowadzi swą armię przez Przesmyk Malvide. Najwyraźniej Pałac Tarasin zdecydował, że sprawa jest na tyle istotna, by zaryzykować atak ze strony Murandy lub Andoru, choć z tego, co słyszałem, żaden z tych krajów nie ma w tej chwili potencjału uderzeniowego. Mnie pozostaje tylko czekać, aż Chisen przybędzie. Sądzę, że wtedy możemy oczekiwać lepszych wyników. Ludzie Chisena to weterani z ojczyzny.

Nagle Loune jakby sobie przypomniał, z kim rozmawia, Jego twarz znieruchomiała, zmieniła się w drewnianą maskę, Nieważne. Karede już był pewien, że to robota tego Merrilina, czy jak tam się nazywał. I rozumiał, dlaczego tamten robi to, co robi. W innych okolicznościach zapoznałby Loune'a ze swoim rozumowaniem, ale Wysoka Lady nie będzie bezpieczna, póki nie znajdzie się w Pałacu Tarasin, wśród tych, którzy znają jej twarz. Gdyby tamten nie dał wiary zasadniczemu nerwowi argumentu, to znaczy, że chodzi o Wysoką Lady, tylko powiększyłby wiszące nad nią niebezpieczeństwo, nie zyskując nic.

— Dziękuję za *kaf*— powiedział, odstawiając czarę, i biorąc ze stołu hełm oraz rękawice. — Oby Światłość prowadziła cię bezpiecznie, Loune. Któregoś dnia spotkamy się w Seandarze.

— Oby Światłość prowadziła cię bezpiecznie, Karede — rzekł po chwili Loune, najwyraźniej

zaskoczony grzecznym pożegnaniem. — Któregoś dnia spotkamy się w Seandarze. Tamten poczęstował go kafełką poza tym Karede nic do niego nie miał. Skąd to zaskoczenie? Karede nie odzywał się do Musengego, póki nie wyjechali z obozu; Ogirscy Ogrodnicy szli tuż przed ludźmi ze Straży. Z toporem wspartym na ramieniu Hartha wędrował przy drugim boku konia Karedego, a głowę miał prawie na wysokości ich głów.

— Ruszamy na północny wschód — oznajmił. — Ku Przesmykowi Malvide. — Jeśli dobrze zapamiętał mapy, a rzadko kiedy zapominał, na które bodaj rzucił okiem, dotrą tam za cztery dni. — Niech Światłość sprawi, byśmy tam dotarli przed Wysoką Lady. — Jeśli się nie uda, pościg będzie trwał, jeżeli to konieczne, nawet do samego Tar Valon. Myśl o powrocie bez Wysokiej Lady nawet nie przyszła mu do głowy. Gdy przyjdzie ją wydobyć zza murów Tar Valon, wydobędzie.

ROZDZIAŁ 18

PRZEŁOM DYELIN

Chcą otrzymać list żelazny? — zapytała z niedowierzaniem Elayne. — Na wjazd do Caemlyn? — Za oknem zajaśniała błyskawica, załomotał grzmot. Ulewa zwała się na Caemlyn, istne oberwanie chmury. Słońce z pewnością daleko miało jeszcze do zachodu, ale zapalono stojące lampy, żeby przegnać ciemność szarą jak zmierzch.

Elayne siedziała na foteliku z niskim oparciem, stojący przed nią szczupły młodzieniec zaczerwienił się zakłopotany, ale mimo to wciąż spoglądał w jej oczy. Tak naprawdę ledwie wyrósł z lat chłopięcych, a gładkie policzki golił zapewne wyłącznie pro forma, ponieważ brzytwa wyraźnie nie była im potrzebna. Nazywał się Hanselle Renshar. Całkiem stosownie do swej pozycji wnuka Arathelle nie miał miecza ni zbroi, niemniej na zielonym kaftanie głęboko odcisnęły się paski uprząży napierśnika, znak wojskowego życia. Wielka, ciemna plama na lewym ramieniu oznaczała miejsce, gdzie przeciekał płaszcz. Dziwne, co się zauważa w takich chwilach.

— Polecono mi, abym o to poprosił, moja pani — powiedział niewzruszonym głosem.

Dyelin stojąca obok z rękoma splecionymi na piersiach skomentowała jego słowa kwaśnym pomrukiem. Prawie popatrzyła nań wrogo. Pani Harfor, promienna jak zawsze w idealnie upranym szkarłatnym fartuchu z Białym Lwem na, okazałym łonie, parsknęła głośno. Hanselle znów spiekił raka, Znajdowali się w mniejszym salonie Elayne; płonący w marmurowym kominku maleńki ogień przeganiał większość porannego chłodu, a oliwna lampa rozsiewała wokół woń róż. Żałowała, że nie ma przy niej Birgitte. Wnioskując z umiarkowanego rozdrażnienia płynącego przez więź, zajmowała się lekturą raportów. Ale emocje nie były na tyle silne, by mogło chodzić o coś niecierpiącego

zwłoki.

Dwa dni temu Luan z pozostałymi w sile sześćdziesięciu tysięcy zbrojnych nadciągnął pod mury miasta, co wprawiło lud w podniecenie i dało okazję do zaimprovizowanego święta na ulicach, ponieważ od razu stało się jasne, że tamci nie zamierzają zająć obozów opuszczonych przez Jarida Saranda. Sarand zabrał zresztą ludzi z Domów aktualnie sprzymierzonych z Elayne, choć oni jeszcze o tym nie mieli pojęcia. Światłość zresztą jedna wiedziała, jakie kłopoty sprawi ten przeklęty człowiek. Niemniej nota przekazana przez Hanselle'a dodatkowo komplikowała sprawę wielkiego obozu, znajdującego się milę od Dolnego Caemlyn. Jeżeli Arathelle, Luan i reszta wiedzieli o tym, że miasto zaopatrywane jest przez bramy z Illian oraz Łzy, a z pewnością w Andorze wszyscy już o tym wiedzieli, być może dojdą do wniosku, iż oblężenie nie ma sensu. List żelazny był kwestią strategii bitewnej. Być może zamierzali wezwać Caemlyn do poddania się, żeby uniknąć frontального szturmu. Proklamacje poparcia obiecano przed dwoma dniami, które nie gońcy, a Kuzynki dostarczyły wszędzie — od Aringill do wiosek górniczych w Górach Mgły — tudzież wkrótce dostarczą, nie na wiele się zdadzą, ponieważ nawet jeśli Sumeko i inne kobiety Rodziny odzyskają trochę sił po niekończącym się Uzdrawianiu, zbrojni Caeren, Anshar i Baryn, których nie zwerbował Jarid, nie stworzą siły mogącej się równać z sześćdziesięcioma tysiącami tamtego. Gdy tylko rozeszła się wieść, że miasto jest wolne, zaczęły spływać doń małe oddziały, ale tego nie dość. Minie pewnie tydzień lub więcej, zanim pojawią się poważniejsze siły. Te, które trzymały się z daleka od miasta w obawie przed armią Arymilli. Skutków frontального szturmu nie sposób było ostatecznie przewidzieć — żołnierze na murach dysponowali przewagą nad tymi, którzy je zdobywali — ale w najlepszym razie sprawa będzie ryzykowna i znikąd nadziei na żadną pomoc. Dyelin złożyła na zachodzie kolejną wizytę Danine Candraed, jednak kobieta wciąż się wahała. Ponieważ Elayne miała dziewięć Domów, a potrzebowała dziesięciu, sprawa wciąż pozostawała otwarta i Danine nie umiała zdecydować, czy korzystne dla niej jest opowiedzenie się po stronie Trakand.

— O czym chcą ze mną rozmawiać? — Udało jej się nie dopuścić, żeby irytacja Birgitte odbiła się w jej głosie. Irytacja Birgitte i jej zniecierpliwienie.

Hanselle zaczerwienił się po raz kolejny. Najwyraźniej taka już była jego uroda. Żeby szczęśli, naprawdę wysłali chłopaka!

— Nie poinformowano mnie, moja pani. Po prostu otrzymałem instrukcje, by poprosić cię o list żelazny. — Zawahał się. — Bez niego nie przekroczą bram Caemlyn, moja pani.

Elayne wstała, podeszła do biurka, wyjęła arkusz czystego papieru z mieszczącej papeterię szkatułki z różanego drewna, zanurzyła pióro w kryształowym kałamarzu ze srebrną nakrętką. Na karcie zaczęły się pojawiać wyraźne litery pozbawione

kaligraficznych ozdobników, jakie zazwyczaj cechowały jej pismo. List był krótki i rzeczowy.

Lordowi Luanowi Norwelynowi, lady Arathelle Renshar, lordowi Pelivarowi Coelanowi, lady Aemlyn Carand, lady Ellorien Traemane i lordowi Abelle Pendarowi gwarantuje się całkowite bezpieczeństwo na obszarze Caemlyn, jak też zapewnia się Ich, że wszyscy członkowie ich orszaków będą mogli opuścić miasto wedle woli.

Szlachetnie urodzonych przyjmę po południu w Wielkiej Komnacie, jak przystoi ich pozycji. Musimy porozmawiać o Pogranicznikach.

Ze wszystkich sił próbowała zachować spokój, ale przy ostatnich wyrazach stalówka drasnęła papier. List żelazny. Przeniosła Moc, zapaliła świecę do pieczętowania listów; kiedy złoty wosk skapywał na stronę, jej dłoń drżała. Zasugerowali, że mogłaby siłą ich zniewolić. Nie, nie tylko zasugerowali! Równie dobrze mogli to otwarcie stwierdzić! Odcisnęła w wosku swoją pieczęć rozkwitającej lilii z taką siłą, jakby chciała przebić nią blat biurka.

— Proszę — oznajmiła, podając list młodzieńcowi. Głos jej brzmiał lodowato i bynajmniej nie starała się nadać mu cieplejszych tonów. — Jeżeli dzięki temu nie poczują się bezpiecznie, to może każą się zawinąć w powijaki. — Łomot gromu podkreślił jej ostatnie słowa.

Tamten zarumienił się raz jeszcze, tym razem ewidentnie z gniewu, ale rozsądnie poprzestał na podziękowaniach i złożeniu listu. Właśnie pieczołowicie upychał go za pazuchą, kiedy pani Harfor wskazała mu drzwi. Można było oczekiwać, że osobiście odprowadzi go do stajni. Ambasadorowi tak ważnych arystokratów, jak Luan i wzmiankowani w liście, należał się odpowiedni poziom szacunku.

Nagle gniew Elayne w niewytłumaczalny sposób zamienił się w smutek. Natomiast zupełnie nie potrafiłaby powiedzieć, jaka jest przyczyna. Jej nastroje często zmieniały się radykalnie bez wyraźnych powodów. Może chodziło o tych wszystkich, którzy zginęli i tych, którzy jeszcze zginą.

— Naprawdę jesteś pewna, że nie chcesz być królową, Dyelin? Luan i jego zgraja natychmiast opowiedzieliby się za tobą, a gdybym ja postąpiła podobnie, opowiedzieliby się za tobą ci, którzy mnie popierają. Żebyś szczęła, Danine prawdopodobnie również opowiedziałyby się za tobą.

Dyelin usiadła, pieczołowicie rozłożyła błękitne suknie, dopiero potem odpowiedziała: — Mam pewność. Zarządzanie własnym Domem jest dla mnie dość wyczerpujące, żebym jeszcze Andor do tego dokładała. Poza tym, jestem przeciwna zmianie zasiadających na tronie Domów, przynajmniej bez dobrej przyczyny: braku Dziedziczki Tronu albo — co gorsza — obecności takiej, która jest niekompetentna, okrutna lub chciwa. Ty taka nie jesteś. Ciągłość sukcesji gwarantuje stabilność, a stabilność pociąga za sobą dobrobyt. — Skinęła głową, spodobało jej się własne sformułowanie. — Pamiętaj, że gdybyś zginęła przed powrotem do Caemlyn i zgłoszeniem roszczeń do tronu, wówczas bym to zrobiła, ale prawda jest taka, że będziesz lepszą władczynią ode mnie. Lepszą dla Andoru. Po części przez wzgląd na twoje koneksje ze Smokiem Odrodzonym. — Dyelin spojrzała na Elayne spod uniesionych brwi, zapraszając ją do powiedzenia czegoś więcej na temat rzeczonych koneksji. — Jednak zasadniczo — podjęła, gdy Elayne nic nie powiedziała — chodzi o ciebie. Przyglądałam się, jak dorastałaś, a kiedy skończyłaś piętnaście lat, wiedziałam już, że będziesz dobrą królową, być może najlepszą, jaką Andor kiedykolwiek miał.

Elayne poczuła, jak palą ją policzki i łyzy wzbierają w oczach. Te zmienne nastroje, żebyś szczęły! Tym razem jednak wiedziała, że nie może winić swojej ciąży. Pochwała z ust Dyelin była jak pochwały słyszane z ust matki: nigdy spóźnione, ale też nigdy niewygłoszone wcześniej, zanim sama nie była pewna, że na nie zasługuje.

Poranek miała zajęty, ale na szczęście sprawami dotyczącymi wyłącznie Caemlyn i pałacu, nie zaś całego Andoru. Pani Harfor doniosła, że zidentyfikowani w pałacu szpiedzy Arymilli i jej sojuszników zupełnie zawiesili działalność, przyczaili się niby myszy pod czujnym okiem kota.

— Przynajmniej teraz możemy już ich swobodnie zwolnić, moja pani — zakończyła Reene tonem

głębszej satysfakcji. Szpiegów w królewskim pałacu nienawidziła równie mocno, jak Elayne ich nienawidziła, może bardziej. Dziedziczka Tronu czy królowa wprawdzie mieszkała w pałacu, ale w oczach Pierwszej Pokojówki należał on do niej. — Wszystkich. — Szpiegów innych stron należało zostawić w spokoju, aby nikt nie podejrzewał, że Reene wie.

— Zatrzymaj wszystkich i obserwuj dalej — poleciła Elayne. — Zapewne biorą monety również od innych, a już ich znamy. — Znanemu szpiegowi można było uniemożliwić zdobycie istotnych informacji, równocześnie zaś dostarczać mu informacji ściśle kontrolowanych. Dotyczyło to również oczu i uszu siatek szpiegowskich Ajah, które pani Harfor też wykryła. Ajah nie miały prawa jej szpiegować, więc ona z kolei karmiła je fałszywymi informacjami. Jeśli decydowały się z nich korzystać, to ich problem. Nieczęsto tak robiła, żeby nie przejrzały gry, ale w potrzebie rzecz może się okazać jak znalazł.

— Jak sobie życzysz, moja pani. Świat się zmienił, nieprawdaż?

— Obawiam się, że tak, pani Harfor.

Okrągła kobieta ze smutkiem pokiwała głową, a potem szybko wróciła do bieżących spraw.

— Jedno z okien Wielkiej Komnaty zaczęło przeciekać, moja pani. Gdyby to było drobne uszkodzenie, nie kłopotałabym cię nim, ale to szczelina w szkłe, co oznacza wezwanie... — Lista problemów wymagających dla rozwiązania osobistej aprobaty Elayne i lista papierów do podpisania ciągnęły się w nieskończoność.

Pan Norry swoim zakurzonym głosem opowiadał o wozach pełnych ziarna, fasoli i innych towarów, w końcu zaś ogłosił zaskakującą wiadomość, że liczba pożarów bynajmniej nie zmalała i tej nocy spłonęło siedemnaście budynków. Wcześniej głośno zapewniał, że pojmanie Arymilli położy kres procederowi, więc teraz z żalem musiał się przyznać do pomyłki. Podsunął jej do podpisania wyroki śmierci wskazujące osoby o imionach: Rhys a'Balaman i Aldred Gomaisen. Najemników zmieniających barwy podczas trwania działań wojennych nie mogło czekać nic innego, gdy ich nowi panowie ponieśli klęskę. Evard Cordwyn zginął przy bramie, w przeciwnym razie i jego nie ominąłby szafot. Hafeen Bakuvun przedstawił petycję, w której domagał się nagrody za działania, jakie podjął pod Bramą Far Madding, ale ona łatwa była do zlekceważenia. Wprawdzie niewykluczone, że faktycznie obecność najemnika Domani i jego ludzi zdecydowała o utrzymaniu bramy do czasu przybycia Dyelin, ale w końcu wykonywali tylko swoją pracę, nic więcej.

— Obawiam się, że więźniowie wciąż nie chcą mówić — ciągnął Norry, wsuwając odrzuconą petycję z powrotem do skórzanej teczki. Takim ruchem, jakby wierzył, że jeśli zrobi to dostatecznie szybko, będzie tak, jakby rzecz w ogóle nie miała miejsca. — To znaczy ta Aes Sedai Sprzymierzona z Ciemnością, moja pani. I pozostała dwójka. Trzymają buzie zamknięte na kłódkę, wyjąwszy... hm... inwektywy. Mellar jest z nich najgorszy, wciąż krzyczy, co robi kobietom, które go aresztowały.

Deni potraktowała swe rozkazy literalnie i Gwardzistki stłukły Mellara na kwaśne jabłko.

— Ale i Aes Sedai potrafią być... hm... całkiem wymowne. Obawiam się, że jeżeli będziemy chcieli się dowiedzieć czegoś ważnego, trzeba je wziąć na przesłuchanie.

— Nie nazywaj ich Aes Sedai — warknęła. Na dźwięk słów „Aes Sedai” w połączeniu ze „Sprzymierzeńcy Ciemności” przewracało jej się w żołądku. — Te kobiety same zrezygnowały z prawa do miana Aes Sedai. — Osobiście odebrała im pierścienie z Wielkim Wężem, a potem stopiła złoto. Sam akt należał do prerogatyw Egwene, więc postąpiła samowolnie i zapewne czeka ją za to reprimenda, ale nie potrafiła się powstrzymać. — Zapytaj lady Sylvase o usługi jej sekretarza. — Wśród jej ludzi nie było śledczych, a według Aviendhy niewykwalifikowany śledczy zapewne zabiłby człowieka poddanego nieumiejętnemu przesłuchaniu. Kiedy jej siostra otrzyma zgodę na

wizytę? Światłości, jakże tęskniła za Aviendhą. — Podejrzewam wszakże, że on nie jest taki. — Błyskawica rozświetliła okno salonu, po chwili szklane szybki odpowiedziały grzechotem na łomot gromu. Norry splótł palce, z całej siły przyciskając dłońmi teczkę do poplamionego fartucha. Na jego czoło wypełził grobowy mars.

— Niewielu jest ludzi, którzy dają zatrudnienie prywatnym śledczym, moja pani. To zazwyczaj nastęrcza podejrzania odnośnie... hm... ciemnej strony osobowości. Z drugiej strony, o ile wiem, jej dziadek odstraszał wszystkich mężczyzn, którzy się nią interesowali, aż nie pozostał żaden konkurent, a od osiągnięcia pełnoletniości była, praktycznie rzecz biorąc, uwięziona. Każdy poddany takiemu traktowaniu oglądałby świat w ciemnych barwach. Chcę powiedzieć, że ona nie musi okazać się aż tak... godna zaufania, jakbyś sobie tego życzyła, moja pani.

— Myślisz, że jesteś w stanie przekupić jednego z jej służących, aby służył nam za oczy i uszy? — Jak łatwo przyszło to pytanie. Szpiedzy stali się już częścią jej życia w takim samym stopniu jak masoni czy szklarze.

— Niewykluczone, moja pani. Za dzień, dwa będę wiedział na pewno. — Ongiś i on był przerażony pomysłem, że może mieć coś wspólnego ze szpiegowaniem. Wychodziło na to, że z czasem wszystko się zmienia. Teczka poruszyła się w jego dłoniach, prawie ją otworzył. — Obawiam się, że ścieki w południowej części miasta domagają się natychmiastowej uwagi.

Elayne westchnęła. Więc jednak nie wszystko się zmienia, Choćby tak szczyła, kiedy już obejmie władzę nad całym Andorem, zapewne trudno jej będzie znaleźć choć godzinę dla siebie. Czego chce Luan i jego kompanioni?

Wkrótce po południu pojawiła się Melfane Dawlish i kazała Essande oraz Neris rozebrać Elayne do naga, a potem zważyć na wielkiej drewnianej wadze, którą akuszerka ze sobą przyniosła. Codzienny rytuał. Dzięki Światłości, mosiężna szalka była wyłożona kocem! Krępa, niska kobieta posłuchała bicia jej serca przez pustą, drewnianą rurkę, którą przyciskała do piersi i pleców, odsunęła kciukiem powieki, żeby obejrzeć oczy, powąchała oddech. Kazała Elayne oddać mocz, a potem uniosła szklany słoik do światła stojącej lampy i obejrzała dokładnie. Zawartość też powąchała, a potem zanurzyła palec i oblizała. To kolejny codzienny rytuał. Elayne odwróciła wzrok, owinęła się ciasno haftowanym w kwiaty jedwabnym peniuarem, ale wciąż nie mogła pohamować dygotania. Tym razem Melfane zauważyła.

— Potrafię zdiagnozować chorobę po zmianach w smaku, moja pani. Poza tym, istnieją gorsze rzeczy. Mój chłopak Jaem, ten, który nosi dla mnie wagę... Jego pierwsza praca za pieniądze polegała na wybieraniu gnoju ze stajni. Mówił potem, że wszystko, co jadł, smakowało jak... — Jej pokaźny brzuch zatrzęsł się ze śmiechu. — Cóż, sama możesz sobie wyobrazić, moja pani.

Elayne jak najbardziej mogła i tylko czuła zadowolenie, że nie jest skłonna do mdłości. Mimo to znów się zatrzęsała. Essande wydawała się natomiast raczej opanowana, ręce złożyła w małdrzyk, z aprobatą przyglądając się swej kuzynce, i tylko Neris wyraźnie mdliło.

— Szkoda, że nie potrafił się nauczyć żadnego rzemiosła, ale nikt nie będzie kupował ziół od mężczyzny. Ani nie zechce akuszerka. — Wobec takiego absurdu Melfane zaniósła się ogłuszającym śmiechem. — Na dodatek wszystkiego, chciał się uczyć u płatnerza. Jest już na to za stary... O czym to ja chciałam? Aha, pamiętaj, żeby czytać swojej dziewczynce. -Z ogromnym powątpiewaniem odnosiła się do przekonania Elayne, że powije chłopca i dziewczynkę. Nie uwierzy, dopóki nie usłyszy bicia ich serc, a to nastąpi dopiero za kilka tygodni. — I każ muzykom, żeby jej grali. Nauczy się dźwięku twego głosu. Polubi też książki i muzykę. Pomaga to i w inny sposób. Dziecko robi się bystrzejsze.

— Za każdym razem to pani powtarza, pani Dawlish — powiedziała z irytacją Elayne. —

Pamiętam, możesz być spokojna. Robię, co każesz.

Melfane roześmiała się znowu, w jej ciemnych oczach zalśniły iskierki. Zmienne nastroje Elayne traktowała z takim samym spokojem jak burzę czy deszcz.

— Byłabyś zaskoczona, ilu nie wierzy, że dziecko w łonie wszystko słyszy, ale ja widzę różnicę między tymi, którym czytano, a tymi, którym nie czytano. Pozwolisz, żebym zamieniła kilka słów z moją ciotką, moja pani? Przyniosłam jej ciasto i maść na stawy. — Twarz Essande pokryła się czerwienią. Cóż, teraz gdy jej kłamstwo wyszło na jaw, albo zgodzi się na Uzdrawianie, albo wytłumaczy Elayne, dlaczego nie chce się zgodzić.

Pod koniec południowego posiłku Elayne podniosła w rozmowie z Birgitte kwestię zamiarów Luana i pozostałych. Posiłek był wspaniały, jadły wręcz żarłocznie. Melfane zrugęła kucharki i wszystkie pozostałe kobiety w zasięgu głosu za delikatną dietę, na jaką ją wcześniej skazały. Więc dziś był idealnie upieczony na ruszcie niewielki pstrąg, gołąbki nadziewane kruchym serem z mleka białej owcy, fasola Piękny Jaś z orzeszkami piniowymi i smakowita tarta jabłkowa. Dodatkowo posiłek smakował wspaniale, dlatego że produkty były świeże, w najmniejszym stopniu nie nadpsute. Do picia podano dobrą czarną herbatę zaprawioną miętą, po spróbowaniu której na moment zeszywniała, póki nie zrozumiała, że to rzeczywiście mięta. Melfane natomiast surowo zakazała jej wina, nawet mocno rozcieńzonego wodą. Birgitte też rzuciła picie, choć wydawało się niemożliwe, by przez więź mogło wywrzeć jakikolwiek efekt na dzieci. Elayne jednak ani razu nie wytknęła jej tego. Birgitte piła za dużo, piła, by stłumić ból po utracie Gaidala. Elayne rozumiała, nawet jeśli nie aprobowała. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak by się czuła, gdyby Rand umarł.

— Nie wiem — odrzekła Birgitte, pochłaniając ostatni kawałek tarty. — Najbardziej prawdopodobne wydaje mi się, że przybyli, aby cię prosić o pomoc przeciwko Pogranicznikom. Pewna jest tylko jedna cholerna rzecz, mianowicie, że nie przybyli tu, by ogłosić swoje przekłete poparcie dla ciebie.

— Też tak uważam. — Elayne oblizwała palce, zebrała z talerza okruchy sera i wsadziła do ust. Znowu mogła jeść tyle, ile zmieści się na talerzu, niemniej Melfane zdecydowanie oznajmiła, że będą walczyć z nadmiernym przyrostem wagi. Jeść więc należało tyle, żeby było dość, ale nie więcej. Pewnie tuczona na sprzedaż krowa musiała czuć się w taki sposób. — Chyba że będą się domagać, abym poddała Caemlyn.

— To jest zawsze możliwe — odrzekła Birgitte nieomal radośnie. W więzi nie było natomiast śladu takich uczuć. — Obserwatorzy wciąż czuwają na wieżach, poza tym Julanya i Keraille zatrudniły się jako praczki w ich obozie, więc będziemy wiedziały o ataku na miasto, zanim wyruszy pierwszy żołnierz.

Elayne znów miała ochotę westchnąć. Choćby szczyła, przecież miała pod strażą Arymillę, Naeana i Elenię, którym na dodatek faktycznie mocno nie w smak było dzielenie wspólnego łoża — czuła, że myśl ta powinna sprawiać jej zadowolenia, ale jakoś nie sprawiała — ponadto zdobyła troje nowych sojuszników, choć może niezbyt godnych zaufania. Przynajmniej na chwilę obecną związała się z nią na dobre. Powinna triumfować. Na to popołudnie Essande i Sephanie ubrały ją w ciemne zielenie ze szmaragdowymi rozcięciami na spódnicach, zaś na dekolcie, wzdłuż rękawów i na lamówce haftowane srebrem. Z biżuterii włożyła swój pierścień z Wielkim Wężem i wielką, srebrną broszkę emaliowaną niebiesko na tle Kamienia Węgielnego Trakand, który zachował walor pierwotnego materiału. Broszka wprawiła ją w zły humor. W Domu powszechnie wierzono, że Trakand jest kamieniem węgielnym spajającym Andor. Jak dotąd nie bardzo się wywiązywała z tej roli.

Wraz z Birgitte na zmianę czytały jej dzieciom. Oczywiście książki historyczne; jeżeli Melfane miała rację, nie należało oswajać ich z dziełami bardziej frywolnej natury. Więc zostawała sucha narracja.

Pulchny mężczyzna w czerwieniach i bielach grał na flecie, a chuda kobieta w liberii towarzyszyła mu na dwunastostrunowej nabli, po komnacie niesły się żywe, radosne melodie. Przynajmniej w chwilach, gdy ich dźwięki nie ginęły w łoskocie grzmotu. Bardowie nie rośli na drzewach, a Birgitte wahała się dopuścić kogoś spoza pałacu w bezpośrednie otoczenie Elayne, dopiero pani Harfor znalazła kilku zdolnych muzyków, którzy chętnie zgodzili się przywdziać liberie. W pałacu ich wynagrodzenie było znacznie lepsze niż we wspólnej sali gospody, a otrzymywali też ubrania. Teraz Elayne znów pomyślała o przyjęciu na służbę barda, ale skończyło się na tym, że zaczęła myśleć o losach Thoma. Czy sypia pod dachem? Czy w ogóle żyje? Mogła się tylko modlić. Oby Światłość nad nim czuwała. Błagam.

Pojawiła się pani Harfor, by zaanonsować przybycie Luana, Arathelle i pozostałych. Elayne przywdziała diadem Dziedziczki Tronu, prostą, złotą obręcz z osadzoną na czole pojedynczą złotą różą w otoczeniu cierni. Wychodząc ze swych apartamentów, miała za sobą Caseille z ośmioma Gwardzistkami, Birgitte i Essande; miarowy odgłos kroków Gwardzistek niósł się echem po korytarzu. Podczas operacji ratowania jej z rąk Sprzymierzeńców Ciemności zginęło dziewięć Gwardzistek, co chyba tylko jeszcze bardziej związało ze sobą pozostałe. Dwukrotnie zgubiły się po drodze do Wielkiej Komnaty, ale żadna nawet nie zaszemrała. Czym była zmieniająca się architektura pałacu wobec ognia i piorunów Mocy? Ogromne, sklepione łukiem drzwi do Wielkiej Komnaty na obu skrzydłach rzeźbione w spore motywy lwów stały otworem, więc Caseille ustawiła przed nimi w dwu szeregach Gwardzistki, podczas gdy Elayne, Birgitte i Essande weszły do środka.

Przestrzeń za wysokimi oknami komnaty powlekała szarość deszczu, rozpraszana od czasu do czasu światłem błyskawicy, więc wszystkie złote lampy z odblasnikami w pomieszczeniu — zarówno te pod ścianami, jak ustawione wokół podwójnej kolumnady maszerującej w głąb komnaty — były zapalone. Po komnacie niósł się równy rytm spadających kropeł: kap, kap, kap — to deszcz przesączał się do prostego, drewnianego cebrzyka, postawionego pod jednym z sufitowych witraży dwadzieścia kroków nad głowami, na którym skroś stojącego na tylnych łapach lwa biegła rysa napęczniała kroplami; na szczęście nietknięte były pozostałe witraże ze scenami batalistycznymi i wizerunkami najdawniejszych królowych Andoru, Zawsze, przemierzając czerwono-białą mozaikę posadzki tej komnaty, Elayne miała wrażenie, że podlega surowemu osądowi tych kobiet. Stworzyły Andor bystrością swych umysłów i krwią synów oraz mężów; poczynając od jednego miasta, ukształtowały silny naród na gruzach imperium Artura Jastrzębie Skrzydło. Miały prawo osądzać każdą kobietę, która zasiadała na Tronie Lwa. Podejrzewała, że ich wizerunki umieszczono tam, by każda królowa miała świadomość, iż podlega osądowi historii.

Sam tron stał na podwyższeniu z białego marmuru w przeciwległym krańcu komnaty: rzeźbiony, połączony, o wymiarach odpowiednich dla kobiety, lecz dzięki nogom w kształcie lwich łap sprawiający wrażenie masywnego. W wysokim oparciu osadzony był Biały Lew z kamieni księżycowych na polu lśniących rubinów, jego łeb górował nad głową każdej kobiety, która mogłaby zasiąść na tronie. Dyelin czekała już u stóp wiodących na podwyższenie schodów, obserwując Sylvase pogrążoną w rozmowie z Conailem i Catalyn, nieco z boku Hranlet i Perival przysłuchiwali się uważnie. Perival przeczesał palcami włosy i pokiwał głową. Czy Dyelin miała również wątpliwości w odniesieniu do Sylvase? Lir i Karind trzymali się z dala od wszystkich i od siebie wzajem. Żadne nawet nie zerknęło na drugie. Mimo iż związali się sojuszem przeciwko Elayne, nie chcieli, by podejrzewała, że dalej są sojusznikami. Kssande podeszła do grupki służących w liberiiach ośmiu Domów, zebranych wokół stołu, na którym stały wysokie, srebrne dzbany z winem i herbatą. To właśnie oznaczało nieformalne spotkanie. Każdy weźmie ze sobą jedną osobę ze służby. Na spotkaniu formalnym Elayne zadbałaby o całą służbę, a do Wielkiej Komnaty zaproszono by

wszystkich szlachetnie urodzonych przebywających akurat w Caemlyn i wszystkich z obozów znajdujących się pod miastem.

— Nie wykluczam, że Ellorien zachowuje się prowokacyjnie — powiedziała Dyelin po raz mniej więcej pięćdziesiąty, od kiedy dowiedziała się o żądaniu wystawienia listu żelaznego. Wyraz twarzy miała chłodny i opanowany, ale nerwy musiały już dawać się jej we znaki. Dłonie wciąż bez żadnej potrzeby wygładzały haftowane złotem spódnice.

— Nie dam się jej sprowokować — odparła Elayne. — Ani jej, ani nikomu innemu. Myślę o tobie, Conail, i o tobie, Lir. — Odziany na niebiesko ze złotym haftem Conail zarumienił się tak skwapliwie jak wcześniej Hanselle. Jakiś czas temu wdał się w walkę z najemnikiem, który w jego opinii obraził Elayne, i nieomal go zabił. Wszystko skończyło się dla niego dobrze, ponieważ tamten pierwszy wyciągnął miecz. Nawet najemnicy bowiem zasługiwali na sprawiedliwe traktowanie, a Andor to nie Łza, gdzie szlachta mogła bezkarnie mordować spóółstwo. Cóż, do czasu, zanim Rand zmienił im tak wiele praw. Żeby szczęł, dlaczego tak się miota po świecie?

— Opowiedziałem się za tobą, Elayne, co znaczy, że zawsze będę stał przy tobie — gładko zareplikował Lir. Haftowane srebrem, zielone jedwabie ze Srebrnym Młotem Domu Baryn na kołnierzu sprawiały, że w każdym calu wyglądał nu pewnego siebie dworzanina, ale był z niego dworzanin zdecydowanie zbyt gładki. — Niemniej pohamuję się i spokojnie wysłucham tego, co Ellorien będzie miała do powiedzenia. — W więzi zobowiązań wezbrała przelotna pogarda. Żeby dowieść, jak bardzo oddany jest Elayne, Lir trzykrotnie wadził się. z najemnikami. W ciągu dwóch dni. Musiał chyba specjalnie szukać bójek, żeby osiągnąć taki wynik.

— Jeżeli będzie się z nas naigrawać, mamy ugryźć się w język? — pytała Catalyn. Czerwona suknia obszyta szerokimi tasiemkami złota przy rękawach i lamówce zupełnie nie pasowała do jej cery, zwłaszcza gdy — jak teraz — pulchne policzki krasiał rumieniec złości. Brodę zadarła do góry. Być może tę wielką emaliowaną broszkę z Niebieskim Niedźwiedziem Haevin nosiła tylko po to, by zadzierać brodę i na wszystkich spoglądać z góry? — Nikomu, kto się ze mnie naigrawa, nie może ująć to na sucho.

— Wól reaguje na bat i robi, co chce pasterz — sucho ucięła Dyelin. — Tak samo będzie z wami. Jeśli zareagujecie na docinki Ellorien, dacie się jej kierować. — Szkarłat wciąż powlekał policzki Catalyn, tym razem jego powodem był z pewnością wstyd.

W drzwiach pojawiła się Reene Harfor.

— Szlachetne damy — oznajmiła głośno, a słowa poniosły się echem po pustej właściwie komnacie. — Szlachetni panowie.

Tak wyglądał nieformalny porządek spotkania, kiedy spotykały się dwie strony i nie wiadomo były, jak wielka dzieli je różnica stanowisk. Pani Harfor zapowiedziała nowo przybyłych lordów i lady w ścisłym porządku ich pierwszeństwa, choć wśród zebranych w Komnacie Domów kolejność ta nie musiała być przestrzegana. Luan Norwelyn miał twarde rysy twarzy i znacznie więcej siwizny we włosach niż wówczas, gdy Elayne widziała go ostatni raz, oraz prosty, niebieski kaftan z pojedynczą ozdobą Srebrnego Pstrąga Norwelyn na kołnierzu. Oblicze Arathelle Renshar było pomarszczone, włosy brunetki mocno przetykała siwizna, czerwona suknia do konnej jazdy pyszniła się złotym haftem, Złote Ogary jej Domu wyobrażone były na wielkiej, rubinowej broszy. Pelivar Coelan, szczupły, wysoki, łysiejący z przodu tak, że wyglądał, jakby golił czoło na modłę cairhieniańską, nałożył na tę okazję wyszywane srebrem błękity, a w kołnierz wpiął inkrustowaną srebrem broszę z bliźniaczymi różami: Różami Coelan. Aemlyn Carand sprawiała wrażenie pulchnej w szarym jedwabiu z trzema Złotymi Strzałami na rękawach i tyłoma na dekolcie, że wyglądał niczym kołczan. Ellorien Tremane nie była tak okrągłutka, jaką ją Elayne zapamiętała, niemniej wciąż śliczna w

błękitach, z zielonymi rozcięciami i haftami podobizn białych jeleni ze złotymi porożami na rękawach; był to oczywiście herb jej Domu — Biały Rogacz Tremane. Abelle Pendar z surowym wyrazem kwadratowej twarzy pod grzywą siwych włosów miał na sobie szary kaftan, a przy kołnierzu trzy Złote Gwiazdy. Do Wielkiej Komnaty weszli razem, każdemu towarzyszył służący, ale nie stanęli w zaanonsowanym porządku. Ellorien i Abelle towarzyszyli Luanowi, Pelivar i Aemlyn towarzyszyli Arathelle, obie grupy dzieliły dwa kroki. A więc tak. Domagali się zbiorowego listu żelaznego, ale nie byli jednością. To czyniło ewentualną propozycję poddania Caemlyn nieco mniej prawdopodobną. Nawet jawni wrogowie potrafią się czasami zjednoczyć. Rozcięte suknie i obcisłe spodnie lśniły od wilgoci. Najlepszy płaszcz nie daje całkowitej ochrony podczas takiego oberwania chmury. Zapewne nie będą w najlepszych nastrojach.

— Witajcie — oznajmiła Elayne, gdy służący przyłączył się do pozostałych. — Napijcie się może wina lub herbaty? Wino jest grzane i przyprawione. Jak na wiosnę dzień iście zimowy.

Luan już otworzył usta, ale Ellorien weszła mu w słowo

— Dobrze choć, że nie siedzisz na tronie. — Jej oblicze wyglądało jak wykute z marmuru, słowa zaś twarde, a głos zimny. — Na poły już oczekiwałam, że tak cię zastanę. — Nad głowami przetoczył się grzmot.

Luan wyglądał na urażonego. Arathelle przewróciła oczami, jakby słyszała coś, co mówiono już wiele razy przedtem, Lir przestąpił z nogi na nogę, lecz Elayne osadziła go zdecydowanym spojrzeniem. Przeprosił ją nieznacznym ukłonem,

— Nie mam prawa zasiadać na tronie, Ellorien — odrzekła spokojnie. Światłości, spraw, by nie dopadły jej teraz zmienne nastroje. — Jeszcze. — W ostatnim słowie pojawiła się nuta niezamierzonej uszczypliwości. Być może nie była tak spokojna, jakby chciała.

Ellorien wyszczerzyła zęby.

— Jeżeli czekasz na poparcie Danine, żeby uzyskać dziesięć Domów, będziesz długo czekać. Ostatnią Sukcesję Danine spędzała, wizytując swe posiadłości. Nigdy nie opowiedziała się po niczyjej stronie.

Elayne uśmiechnęła się, ale przyszło jej to z trudem. Sukcesja miała miejsce wówczas, gdy jeden Dom zastępował na tronie inny.

— Ja napiję się herbaty.

Ellorien zamrugała, niemniej słowa Elayne najwyraźniej odwróciły uwagę pozostałych, którzy zaczęli zgłaszać życzenia. Na herbatę mieli ochotę tylko Elayne, Birgitte, Branlet i Perival. Kiedy wszyscy mieli już w rękach porcelanowe filiżanki lub srebrne pucharki, każdy najpierw ostrożnie powąchał płyn. Elayne nie obraziła się. Wino lub jedzenie mogły być świeże w kuchni i zepsuć się po drodze na stół. Nikt nie potrafi przewidzieć, kiedy i gdzie uderzy rozkład. Herbata delikatnie pachniała imbirem, ale nie na tyle, by stłumić przyrodzoną woń znakomitego czarnego gatunku z Tremalking.

— Jak widzę, większość twoich zwolenników to dzieci i niedobitki sprawy Arymilli — kontynuowała Ellorien. Catalyn spłonęła rumieńcem czerwonym jak jej suknia, a Branlet wyprostował się gniewnie i wyraźnie chciał coś powiedzieć, ale Perival położył mu dłoń na ramieniu i pokręcił głową. Ten Perival to opanowany chłopak i nad wiek bystry. Tym razem Lir zdołał nad sobą zapanować, za to Conail zaczął coś mówić, zanim twarde spojrzenie Elayne nie kazało mu zamknąć ust. Karind zaś tylko spokojnie odwzajemniała się Ellorien pogardliwym spojrzeniem. Karind nie była szczególnie inteligentna, natomiast niewiele rzeczy potrafiło ją wyprowadzić z równowagi.

— Musisz mieć jakieś powody, dla których poprosiłaś o to spotkanie — rzekła Elayne. — Jeśli

chodzi tylko o mnożenie zniewag... — Urwała. Miała swoje własne powody, dla których chciała tego spotkania. Gdyby ją poprosili, żeby sama do nich pojechała, pojechałaby. Nie prosząc o list żelazny. W więzi czuła pulsowanie gniewu, więc tym bardziej starała się panować na swoim. Birgitte patrzyła na Ellorien takim wzrokiem, jakby spojrzeniem mogła zabijać. Jeśli ich uczucia zaczną się wzajemnie wzmacniać... Lepiej o tym nie myśleć, nie tutaj, nie teraz. Ellorien otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale tym razem Luan nie dał jej dojść do słowa:

— Przybyliśmy tu, żeby cię prosić o rozejm, Elayne. — W północnych i sufitowych oknach komnaty zajaśniała błyskawica, ale czas, po jakim doleciał grzmot, zwiastował oddalanie się burzy.

— Rozejm? Czy jesteśmy w stanie wojny, Luan? Czy ktoś może zgłosił roszczenia do tronu, o których nic nie wiem? — Sześć par oczu spoczęło na Dyelin, która westchnęła ciężko.

— Głupcy. Mówiłam wam i mówiłam, a wy nie chcieliście mnie słuchać. Może teraz wysłuchacie. Kiedy Sylvase, Karind i Lir ogłosili proklamacje poparcia, dołączyłam do nich swoją, Taravin opowiada się po stronie Trakand i wkrótce dowie się; o tym cały Andor.

Ellorien zarumieniła się ze wściekłości, jednak nawet ta. emocja jakimś sposobem tylko spotęgowała bijące od niej wrażenie chłodu. Aemlyn długo piła wino, jakby w namyśle. Arathelle pozwoliła, by po jej twarzy przemknął wyraz rozczarowania, zanim znów przybrała maskę równie twardą, co oblicze Ellorien.

— Niech więc tak będzie — kontynuował Luan. — Niemniej wobec tego chcemy, jeśli już nie rozejmu... to tymczasowego sojuszu. — Napił się z pucharka, smutno pokręcił głową — Wszystkie nasze siły ledwie starczą do pobicia Pograniczników, a może nawet nie. Jeśli nie podejmiemy wspólnych działań, mogą podzielić Andor. Mówiąc szczerze, jestem zaskoczony, że tak długo nic nie robią. Powinni już być wypoczęci, nawet jeśli mają za sobą tysiacty milowy marsz. — Na mgnienie oka południowe okna zajaśniały światłem błyskawicy, a grzmot załomotał tak głośno, że szybki w oknach zdawały się dygotać. Tym razem było blisko.

— Ja również oczekiwałam, że obecnie będą już w Murandy — zgodziła się Elayne. — Ale podejrzewam, że stacjonują tak długo w jednym miejscu z obawy, by nie wzniecić wojny, co mogłoby nastąpić, gdyby zbliżyli się do Caemlyn. Chyba próbują obrać marszrutę do Murandy bocznymi drogami. A sami wiecie, w jakim one są stanie o tej porze roku. Nie chcą wojny z nami. Kiedy udzieliłam im zgody na przemarsz przez Andor, poinformowali mnie, że szukają Smoka Odrodzonego.

Z ust Ellorien wyleciały kropelki śliny, niczym okruchy lodu.

— Kiedy co zrobiłaś? Głędzisz, że niby nie masz prawa zasiadać na tronie... jeszcze!... a potem przyznajesz sobie prawo do...!

— Zrobiłam to jako Aes Sedai, Ellorien. — Elayne uniosła dłoń, żeby wszyscy wyraźnie zobaczyli złotego Wielkiego Węża na środkowym palcu. Mimo wysiłków jej głos też był zimny jak lód. — Nie rozmawiałam z nimi jako Dziedziczka Tronu ani nawet Głowa Domu Trakand. Mówiłam jako Elayne Sedai z Zielonych Ajah. Gdybym nie udzieliła im prawa przemarszu i tak by mnie nie posłuchali. Brakowało im żywności i paszy. Jeślibym spróbowała ich powstrzymać, jeśliby ktokolwiek spróbował ich powstrzymać, wówczas wybuchłaby wojna. Przyświeca im jeden cel i celem tym jest odnalezienie Smoka Odrodzonego. A wojny z nimi Andor raczej by nie wygrał. Mówisz o wspólnym działaniu, Luan? Nawet jeśli zbierzesz wszystkie siły Andoru, ledwie będziemy im dorównywać liczebnością, a na dodatek dwie trzecie naszych żołnierzy wprawdzie będzie w stanie posługiwać się halabardą lub włócznią, jednak to nie zmieni niczego w fakcie, że będą to ludzie oderwani od pług. W ich szeregach są weterani, w każdej chwili gotowi zmierzyć się z trollokami. Nie byłoby żadnej wojny. Po prostu utopiliby Andor we krwi i na pokolenie złamali mu kręgosłup. Więc lepiej udzielić

im pozwolenia na spokojny przemarsz przez nasze ziemie. Kazałam ich obserwować. Płacą za żywność oraz paszę i to płacą dobrze. — Innym razem, w obecności innych słuchaczy roześmiałyby się w głos. Andorańscy farmerzy wydusiliby wysokie ceny za swe produkty nawet od Czarnego. — Co najwyżej mogą wychłostać kilku koniokradów, a nawet jeśli łotry trafią w ręce magistratu, przecież nie mogą za to winić Pograniczników. Proszę, powiedz mi, Ellorien, co innego zrobiłabyś na moim miejscu i dlaczego? Wciąż lodowato ponura Ellorien zamrugnęła, po chwili parsknęła lekceważąco i napiła się wina.

— A jakie są twoje plany wobec tej Czarnej Wieży? — zapytał cicho Abelle. — Zakładam, że... masz wobec nich jakieś plany. — Czy podejrzewał, że miała ukryte powody, by pozwolić Pogranicznikom na przemarsz przez Andor? Niech sobie podejrzewa, póki nie wypowie tego na głos. Jeżeli wątpliwości nie zostaną ogłoszone oficjalnie, można utrzymywać, że jej działania mają na względzie wyłącznie dobro Andoru. Trochę było w tym hipokryzji, a już zupełnie nie było integralności, niemniej realizm polityczny ma swoje wymogi. Mówiła szczerą prawdę odnośnie do części motywów, jakimi się kierowała; gdyby została zmuszona do wyłuszczenia ich drugiej części, mogłaby za to sporo zapłacić. Wciąż potrzebny jej był jeszcze jeden Dom, a wychodziło na to, że musi być to Candraed, Danine natomiast nigdy nic nie robi, jeśli uzna, iż Elayne próbuje ją manipulować.

— Żadnych — poinformowała go. — Systematycznie posyłam oddziały Gwardii, żeby kontrolowały granice terenów Czarnej Wieży i przypominały jej mieszkańcom, iż znajdują się na terytorium Andoru i podlegają prawu Andoru. Poza tym nie jestem w stanie przedsięwziąć nic więcej, niż w sytuacji, gdyby jakimś cudem Biała Wieża została przeniesiona do Caemlyn, — Przez dłuższą chwilę wpatrywali się w nią sześciora parami niemrugających oczu.

— Pendar opowiada się po stronie Trakand — oznajmił zniechęca Abelle, a Luan, właściwie wchodząc mu w słowo, dodał:

— Norwelyn opowiada się po stronie Trakand. — Nad głowami niebo przecięła błyskawica, rozjaśniając kolorowo witraże w suficie.

Elayne starała się nie zachwiać na nogach, tyle wysiłku kosztowała ją ta sprawa. Twarz Birgitte była nieodgadniona, niemniej po drugiej stronie więzi było zadziwienie. Wypełniło się. Miała jedenaście Domów po swojej stronie i tron był jej.

— Im więcej Domów opowie się po jej stronie, tym lepiej dla Andoru. — W głosie Dyelin też brzmiało niejakie oszołomienie. — Wraz ze mną opowiedzcie się za Trakand.

Nastąpiła chwila przedłużającego się milczenia, podczas której wymieniono wiele spojrzeń, aż w końcu Arathelle, Pelivar i Aemlyn jedno po drugim oznajmili, że ich Domy również opowiadają się za Trakand. Choć ewidentnie zrobili to dla Dyelin. Jednak Elayne postanowiła im tego nie pamiętać. Może z czasem zdobędzie ich osobistą lojalność, na razie wszak poparli ją, bo tak chciała Dyelin.

— Ma już tron — oznajmiła Ellorien, chłodna jak zawsze. — Reszta to proch i pył na wietrze. Elayne spróbowała nadać swoim słowom cieplejsze brzmienie.

— Czy zechcesz zasiąść z nami dziś do kolacji, Ellorien? Zostań przynajmniej, dopóki nie przestanie padać.

— Mam własnych kucharzy — odparła Ellorien, zawracając ku drzwiom. Jej służąca podbiegła, by wziąć srebrny pucharek i odnieść na stół. — Gdy tylko deszcz przestanie padać, wyjeżdżam do Sheldyn. Nieprędko się zobaczymy.

— *Tarmon Gai'don* się zbliża, Ellorien — zauważyła Elayne. — Z pewnością nie będziesz mogła przeczekać go w swoich posiadłościach.

Ellorien zatrzymawszy się, spojrzała przez ramię. — Kiedy nadejdzie *Tarmon Gai'don*, Treamane

znajdzie się na polach Ostatniej Bitwy pod sztandarem Lwa Andoru. — Gdy wychodziła z Wielkiej Komnaty ze służącą depczącą jej po piętach, towarzyszył jej łomot gromu.

— Przyłączycie się do mnie w moich apartamentach? — zapytała pozostałych Elayne.

Pod sztandarem Lwa Andoru, ale nie pod dowództwem Elayne Trakand. Prawie połowa tych, którzy ją popierali, w taki czy inny sposób budziła wątpliwości, Jarid Sarand wciąż swobodnie dysponował poważnymi siłami, a Ellorien wcześniej czy później narobi kłopotów. W opowieściach nigdy tak to nie wyglądało. W opowieściach koniec zawsze zgrabnie rozwiązywał wszystkie problemy. Prawdziwe życie było znacznie bardziej... nieuporządkowane. Mimo to w końcu zdobyła tron.

Wciąż czekała ją koronacja, ale obecnie była tylko formalnością. Kiedy wychodziła pierwsza z Wielkiej Komnaty, rozmawiając lekko z Luanem i Pelivarem, gromy łomotały nad głową niczym bębny armii maszerującej ku *Tarmon Gai'don*. Ile jeszcze czasu upłynie, zanim sztandary Andoru będą musiały wyruszyć na Ostatnią Bitwę?

ROZDZIAŁ 19

POD DĘBEM

Słońce stało już dobrze nad górami, a Karede mknął przez las ku tak zwanemu Przesmykowi Malvide, znajdującemu się może dwie ligi przed nim. Pięciomilową szczeliną w górskim łańcuchu biegła droga łącząca Ebou Dar z Lugardem, obecnie jakąś milę na południe od nich. Wiedział jednak, że daleko przed Przesmykiem znajdzie obóz, który zlokalizował dla niego Ajimbura. Ajimbura nie był na tyle głupi, aby podkraść się do obozu, więc Karede wciąż nie wiedział, czy przypadkiem nie jedzie na próżno w śmiertelną pułapkę. Nie, nie na próżno. Dla Wysokiej Lady Tuon każdy ze Straży Skazańców gotów był oddać życie. Ich honor sprowadzał się do obowiązku, a obowiązek często oznaczał śmierć. Po niebie płynęły tylko puszyste, białe obłoki, nic nie zapowiadało deszczu. Zawsze miał nadzieję umrzeć w blasku słońca.

Wziął ze sobą niewielki oddział i oczywiście Ajimbura na kasztanku o białych pęcinach, żeby wskazał drogę. Żyłasty człowieczek ściał swój posiwiasty, rudy warkocz, co było oznaką wielkiego oddania. Plemiona wzgórz traktowały te warkocze jak trofea i zabierały zabitym podczas niekończących się waśni, brak warkocza na zawsze zniesławiał człowieka w oczach plemienia i rodziny, stanowił oznakę tchórzostwa. Oddanie tamtego dotyczyło raczej Karedego niż Wysokiej Lady lub Kryształowego Tronu, niemniej oddanie Karedemu było tak niezachwiane, że tym samym jakakolwiek różnica zniknęła. Dwaj ze Straży jechali za plecami Karedego, czerwono-zielone zbroje wypolerowane do lśnienia, jak jego własna. Hartha z dwoma Ogrodnikami maszerował obok, długie drzewce toporów wsparli na ramionach, łatwo dotrzymywali kroku koniom, Ich zbroje też błyszczały w słońcu. Melitene, *der'sul'dam* Wysokiej Lady, dosiadała dziś smukłonogiego siwka. Długie,

siwiejące włosy związała jaskrawoczerwoną wstążką, a srebrna smycz *a'dam* łączyła jej lewy nadgarstek z szyją Mylen. Niewiele pewnie można było zrobić, żeby one dwie przedstawiały sobą bardziej imponujący widok, niemniej *a'dam* i niebieska suknia Melitene z czerwonymi wyłogami na spódnicach i dekolt ze srebrnymi rozwidlonymi błyskawicami powinny przyciągnąć każde oko. Gdyby ktoś przyglądał się oddziałowi, zapewne w ogóle nie spostrzegłby Ajimbury. Reszta została w odwodzie z Musenge, na wypadek gdyby to rzeczywiście była śmiertelna pułapka.

Brał pod uwagę zabranie innej damane niż Mylen. Drobną kobietką o twarzy, po której nie sposób było określić, ile ma lat, nieomal podskakiwała w siodle z niecierpliwości, że wreszcie znów ujrzy Wysoką Lady. Brakowało jej opanowania. Mimo to sama bez Melitene nic nie robi, a jako broń była bezużyteczna, czego nie omieszkął wspomnieć *der'sul'dam* i na co Mylen zareagowała zwieszeniem głowy. Potem trzeba było ją pocieszać, jej *sul'dam* głaskała ją i zapewniała, że robi najwspanialsze Niebiańskie Światła i potrafi najlepiej Uzdrawiać. Na wspomnienie tej sceny Karede znowu się zatrzęsł. Czysto teoretycznie rzecz biorąc, Karede rozumiał, jak wspaniałą rzeczą jest momentalne zaleczanie ran, a mimo to sądził, że chyba musiałby naprawdę stać na krawędzi śmierci, żeby pozwolić na użycie wobec siebie Mocy. Z drugiej strony, gdyby mógł przy jej użyciu uratować swą żonę, Kalię... Więc nie, cała broń została z Musengem. Jeżeli czeka go dziś bitwa, będzie ona miała inny zupełnie charakter...

Pierwszy głos ptaka, jaki doleciał do jego uszu, nie różnił się niczym od innych usłyszanych tego ranka, ale wkrótce powtórzył się nieco dalej z przodu, i znowu. Za każdym razem ptak śpiewał tylko raz. Potem wypatrzył w gałęziach wysokiego dębu człowieka, który śledził ich grotem naciągniętej kuszy. Niełatwo było go dojrzeć. Napierśnik i otwarty hełm pomalowane były na kolor ciemnej zieleni, zlewający się z listowiem drzewa. Pomogła właściwie tylko wstążka czerwonej tkaniny owinięta wokół lewego ramienia. Jeżeli naprawdę chciał się ukryć, powinien ją zdjąć.

Karede skinął na Ajimburę, a żyłasty człowieczek wyszczerzył się doń niczym stary, niebieskooki szczur, potem jego kasztan zwolnił kroku, zostając z tyłu za Strażą. Długi nóż schował dziś pod kaftan. Spokojnie mógł uchodzić za służącego.

Wkrótce Karede wjeżdżał na teren właściwego obozu. Nie było w nim namiotów ani żadnych innych porządných schronów, tylko długie szeregi koni, sprawiające wrażenie nadzwyczajnego ładu, i kolejni żołnierze w zielonych napierśnikach. Oczy śledziły przejazd jego oddziału, ale nieliczni tylko wstawali, a kilku trzymało kusze. Wielu spało, bez wątplenia zmęczonych po nocnej jeździe. A więc głos ptaka powiedział im, że goście nie prezentują sobą poważnej groźby. Wyglądali na świetnie wyszkolonych, co go nie zdziwiło. Nie spodziewał się natomiast tak skromnej liczby. Och, na pewno paru jeszcze kryje się wśród drzew, z pewnością wszak w obozie nie było więcej niż siedem, osiem tysięcy żołnierzy, zbyt skromna liczba, by przeprowadzić kampanię w kształcie opisywanym przez Loune'a. Poczul nagły ucisk w piersiach. Gdzie są pozostali? Wysoka Lady może być przy innym oddziale. Miał nadzieję, że Ajimbura zdaje sobie sprawę z liczebności.

Nie zajechali daleko, kiedy drogę zastąpił im niski mężczyzna na wysokim bułanku i ściągnął wodze konia tak, że musieli się zatrzymać albo go przejechać. Czoło miał wysoko wygolone i na dodatek jeszcze chyba przypudrowane. Jednak od pierwszego rzutu oka widać było, że to nie żaden firecyk. Ciemny kaftan wprawdzie uszyto z jedwabiu, na nim wszak znajdował się jeden z tych matowych zielonych napierśników, jakie nosili żołnierze. Twarde, pozbawione wyrazu oczy zmierzyły Melitene i Mylen, Ogirów. Nie zmieniwszy wyrazu, ich spojrzenie spoczęło na Karedem.

— Lord Mat opisał nam tę zbroję — powiedział z akcentem jeszcze szybszym i boleśniejszym dla uszu, niż mówili Altarianie. — Czemu zawdzięczamy zaszczyt wizyty Straży Skazańców? Lord Mat? Kim, na Światłość, był lord Mat?

— Jestem Furyk Karede. Chcę rozmawiać z człowiekiem, który mówi na siebie Thom Merrillin.

— Talmanes Delovinde — odparł tamten grzecznie. — Chcesz rozmawiać z Thomem? Cóż, nie widzę przeszkód. Zaprowadzę cię do niego.

Karede pchnął Aldazara śladem Delovinde. Tamten nie wspomniał o rzeczy oczywistej, mianowicie, że on i jego towarzysze nie otrzymają zgody na wyjazd z obozu i nie będą mogli nikogo poinformować o miejscu stacjonowania armii. Mimo wszystko był dobrze wychowany. A przynajmniej nie będą mogli wyjechać, o ile nie zadziała szaleńczy plan Karedego, Musenge dawał tylko jedną szansę na dziesięć, że mu się powiedzie, jedną na pięć, że przeżyje. Osobiście oceniał szanse na jeszcze mniejsze, niemniej musiał spróbować. A obecność Merrillina wskazywała na obecność Wysokiej Lady.

Nagle przed ich oczyma, za rzędem drzew rozpostarła się nieoczekiwana sielankowa scena — ludzie na składanych stołkach i kocach siedzieli pod rozłożystym dębem wokół niewielkiego ogniska, nad którym bulgotał kociołek. Delovinde zsiadł z konia. Karede poszedł za jego przykładem, gestem nakazując to samo Ajimburze i Straży. Melitene i Mylen zostały w siodłach, żeby mieć przewagę wysokości. Na jednym z trójnożnych taboretów, pogrążona w lekturze siedziała — nie wiedzieć dlaczego — pani Anan, właścicielka gospody, w której mieszkał, zatrzymując się w Ebou Dar. Nie miała na sobie jednej z wydekoltowanych sukni, którym kiedyś przyglądał się z lubością, ale z krótkiego naszyjnika na obfite łono wciąż zwieszał się mały, wysadzany klejnotami nóż. Zamknęła książkę i powitała go krótkim skinieniem głowy, jakby po kilkugodzinnej nieobecności właśnie wrócił do Wędrownej Kobiety. Migdałowe oczy nie zdradzały śladu zaskoczenia. Być może intryga była znacznie bardziej skomplikowana, niż udało się wykryć Śledczemu Morowi. Na pasiastym kocu przed planszą do gry w kamienie, przy której siedziała naprzeciw szczupła kobieta z włosami splecionymi w cienkie warkoczyki ozdobione paciorkami, pochylał się wysoki, chudy, siwowłosy mężczyzna z wąsiskami prawie równie długimi co Harthy. Zerknął na Karedego, unosząc brew, pokręcił głową i wrócił do studiowania przecinających się linii planszy. Jego przeciwniczka natomiast popatrzyła na Karedego i jego towarzyszy z najczystszą nienawiścią. Obok na kocu leżał poskręcany starzec z długimi, białymi jak mleko włosami i ze strasznie brzydkim chłopakiem grał w jakąś grę na kawałku czerwonego płótna, oznaczonego pajęczymi liniami. Obaj zaraz usiedli, chłopak przyglądał się z zaciekawieniem Ogirom, jedna dłoń mężczyzny kołysała się, jakby zaraz miał sięgnąć pod kaftan po nóż. Niebezpieczny człowiek, i czujny. Być może to on był Merrillin.

Kiedy Karede podjeżdżał do tego miejsca, dwaj mężczyźni pogrążeni byli w rozmowie z dwiema kobietami, wszyscy siedzieli na taboretach; kiedy zsiadał z konia, rozmowę przerwali, a kobieta o surowej twarzy wstała i błękitnymi oczami popatrzyła nań z wyzwaniem. Na szerokim pasie przerzuconym przez piersi miała miecz — tak czasami przytraczą sobie broń żeglarze. Jej włosy były przystrzyżone krótko przy skórze, nie zaś na modłę pomniejszej Krwi, paznokcie krótkie i niepolakierowane, niemniej był pewny, że ma przed sobą Egeanin Tamarath. Potężnie zbudowany mężczyzna o włosach równie krótkich, z illiańską brodą stanął obok niej, wsparł dłoń na rękojeści krótkiego miecza i popatrzył na Karedego podobnie zuchwale. Śliczna kobieta z czarnymi włosami do pasa i ustami niczym pączek róży, które cechowały Taraboniani, przez moment sprawiała wrażenie, że uklęknie i ukorzy się, potem jednak wyprostowała się i spojrzała mu prosto w oczy. Ostatni ze zgromadzonych, chudy człowiek w dziwnym kapeluszu, wyglądającym jak wyrzeźbiony z drewna, roześmiał się głośno i przytulił ją. Uśmiechnięte spojrzenie, jakim obrzucił Karedego, zasługiwało wyłącznie na określenie triumfalnego.

— Thom — oznajmił Delovinde. — To jest Furyk Karede. Chce rozmawiać z tym, który każe zwać się Thom Merrillin.

— Ze mną? — zapytał chudy, siwy mężczyzna i podniósł się niezgrabnie. Stawy miał chyba z lekka zeszywniałe. Może stare rany, odniesione w boju? — Ale nie każę się zwać Thom Merrillin. Tak się nazywam, choć jestem zaskoczony, że mnie znasz. Czego chcesz?

Karede zdjął hełm, zanim jednak zdążył otworzyć usta, zobaczył, jak biegnie ku niemu śliczna kobieta o wielkich, piwnych oczach. Za nią podążały dwie następne. Wszystkie trzy miały te oblicza Aes Sedai, w jednej chwili wyglądające na dwadzieścia lat, w następnej na dwa razy tyle, w trzeciej jakby coś pomiędzy. Nadzwyczaj niepokojące.

— To jest Sheraine! — krzyczała śliczna kobieta, patrząc na Mylen. — Uwolnij ją!

— Nie rozumiesz, Joline — powiedziała ze złością jedna z towarzyszących jej kobiet. Z cienkimi ustami i wąskim nosem wyglądała, jakby zdolna była gryźć kamienie. — Ona nie jest już żadną Sheraine. Zdradziłyby nas, gdyby tylko mogła.

— Teslyn ma rację, Joline — przyznała trzecia. Przystojna raczej niż ładna, z długimi falami czarnych loków spływającymi do talii. — Zdradziłyby nas.

— Nie wierzę, Edesina — warknęła Joline. — Uwolnisz ją natychmiast — poinstruowała Melitene — albo ja... — Nagle jęknęła głucho.

— Mówiłam ci — gorzko skomentowała Teslyn.

Z mroku przygalopował młodzieniec w kapeluszu z szerokim rondem, dosiadający ciemnego kasztanka o szerokim pysku i w biegu zeskoczył z siodła.

— Co tu się, cholera, dzieje? — zapytał, podchodząc do ognia. Karede zignorował go. Ponieważ razem z młodzieńcem pojawiła się Wysoka Lady Tuon na koniu o czarno-białym umaszczeniu, jakiego jeszcze w życiu nie widział. Obok nich na bułanku jechała Selucia z głową owiniętą szkarłatną chustką — ale on widział tylko Wysoką Lady. Jej głowę pokrywały krótkie, czarne włosy, niemniej nie pomyliłby jej nigdy z nikim. Obrzuciła go pojedynczym pozbawionym wyrazu spojrzeniem, a potem popatrzyła na młodzieńca. Karede zastanawiał się, czy go rozpoznała. Zapewne nie. Minęło tyle czasu, odkąd służył w jej Straży Przybocznej. Nie oglądał się za siebie, ale wiedział, że wodze kasztanka Ajimbury dzierży teraz jeden ze Straży. Z pozoru bezbronny i pozbawiony charakterystycznego warkocza, nie powinien mieć kłopotów z wydostaniem się z obozu. Warty go nie zobaczą. Ajimbura był równie dobrym biegaczem, co poszukiwaczem ścieżek. Wkrótce Musenge dowie się, że Wysoka Lady rzeczywiście przebywa w obozie.

— Ona nas oddzieliła tarczą od Źródła, Mat — oznajmiła Joline, a młodzieniec zerwał z głowy kapelusz i podszedł do konia Melitene, jakby zamierzał schwycić go za wędzidło. Miał długie nogi i ręce, choć nie był wysoki, szyję przewiązywała czarna, jedwabna chusta, której końce zwisały na piersi. On więc musiał być tym, którego wszyscy nazywali Zabaweczką Tylin, jakby fakt, że był igraszką królowej, stanowił jedyną jego cechę wyróżniającą. Zapewne tak. Pieszczoszki rzadko bywały kimś więcej. Dziwne, ale wydawał się zdecydowanie za mało przystojny. Jednak wyglądał na silnego.

— Zlikwiduj tarczę — powiedział, jakby oczekiwał posłuszeństwa. Brwi Karedego uniosły się, jakby wbrew woli. To był ten pieszczoszek? Melitene i Mylen jęknęły jednym głosem, a młodzieniec roześmiał się gromko. — Rozumiecie, na mnie to nie działa. Teraz, cholera, zlikwidujecie przeklęte tarcze albo wywlokę was z siodła i spuszczę lanie. — Twarz Melitene pociemniała. Niewielu ludzi ważyło się w ten sposób odzywać do *der'sul'dam*. — Znieś tarcze, Melitene — rozkazał Karede.

— *Marath'damane* właśnie obejmowała *saidara* — powiedziała, miast posłuchać. — Nie da się przewidzieć, co może...

—• Znieś tarcze — powtórzył zdecydowanie. — I uwolnij Moc.

Młodzieniec z satysfakcją skinął głową, potem znieacka odwrócił się i pogroził palcem trzem Aes

Sedai.

— Teraz wy, przeklęte, ani mi się ważcie czegoś próbować! Ona wypuściła Moc. Wy też macie to zrobić. Już! — I po chwili znów skinął głową, jakby naprawdę był pewien, że zrobiły, co kazał. Wnosząc ze spojrzenia, jakim obdarzała go Melitene, może i wiedział. Może był tym Asha'manem? Niewykluczone, że Asha'man jakimś sposobem potrafił poznać, czy *damane* przenosi. Wydawało się to nadzwyczaj nieprawdopodobne, niemniej Karede żadnego innego wytłumaczenia nie potrafił wymyślić. Wytłumaczenia, do którego bodaj w najbardziej odległy sposób pasowałoby to, jak rzekomo Tylin traktowała tego młodego człowieka.

— Któregoś dnia, Macie Cauthon — kwaśno stwierdziła Joline — któraś nauczy cię, jak we właściwy sposób należy się odnosić do Aes Sedai, i mam nadzieję, że będę się temu mogła przyglądać.

Wysoka Lady i Selucia wybuchły śmiechem. Dobrze było widzieć, że mimo niewoli nie upadła na duchu. Bez wątpienia pomogło towarzystwo pokojówki. Niemniej czas nadszedł. Trzeba rozpocząć szaleńczy gambit.

— Generale Merrilin — oznajmił Karede. — Stoczyłeś krótką, ale błyskotliwą kampanię i osiągnąłeś cuda, me pozwalając na wykrycie twojej armii. Muszę ci wszak z przykrością donieść, że generał Chisen odkrył twój prawdziwy cel. Zawrócił armię i teraz co sił maszeruje w kierunku Przesmyku Malvide. Będzie tu za dwa dni. Niedaleko stąd mam dziesięć tysięcy ludzi, dość, żeby cię zatrzymać do czasu, aż przybędzie. Ale to wystawiłoby na niebezpieczeństwo Wysoką Lady Tuon, czego wolałbym uniknąć. Pozwól mi z nią odejść, a ja pozwolę ci bez szwanku wycofać się z twoimi ludźmi. Zanim przybędą wojska Chisena, znajdziesz się po przeciwnej stronie gór, głęboko w Przełęczy Molvaine, a na terenie Murandy, zanim cię dogoni. W przeciwnym razie zostanieie wybici do nogi. Chisen ma ilość ludzi, żeby was zetrzeć na proch. To nie będzie bitwa. Sto tysięcy ludzi przeciwko dziesięciu oznacza rzeź.

Pozwolili mu mówić, twarze mieli tak pozbawione wyrazu, jakby ich ogłuszyło. Ale wyszkoleni byli świetnie. A może faktycznie przeżyli wstrząs, widząc, jak plan Merrilina zawodzi w ostatniej chwili. Merrilin podkręcił siwego wąsa długimi palcami. Na jego ustach chyba błąkał się uśmiech.

— Obawiam się, że mylisz mnie z kimś, generale sztandaru Karede. — Na przestrzeni jednego zdania jego głos nabrał niespotykanej głębi. — Jestem bardem, co z pewnością jest bardziej honorowe, niż być dworskim trubadurem, ale żadnym generałem. Człowiek, o którego ci chodzi, to lord Matrim Cauthon. — Wykonał nieznaczny ukłon w stronę młodego człowieka, który właśnie wciskał na głowę stożkowaty kapelusz. Karede zmarszczył brwi. Zabaweczka Tylin był generałem? Pogrywali sobie z nim w jakieś gierki?

— Masz mniej więcej stu ludzi ze Straży Skazańców i może jakichś dwudziestu Ogrodników — spokojnie powiedział Cauthon. — Z tego, co słyszałem, z taką siłą mógłbyś stoczyć równorzędny bój z pięciokrotnie liczniejszym oddziałem zwykłych żołnierzy, ale Legion to nie są zwykli żołnierze, a ja dysponuję siłami znacznie przewyższającymi sześć setek. Jeżeli zaś chodzi o Chisena, o ile tak miał na imię facet, który wycofał się z Przesmyku, nawet jeśli się zorientował, co jest grane, nie dotrze tu prędzej niż za pięć dni. Ostatnie raporty moich zwiadowców donosiły, że maszeruje na południowy zachód Drogą Ebou Dar tak szybko, jak tylko może. Jednak chcę cię zapytać o coś innego. Czy możesz bezpiecznie zawieźć Tuon do Pałacu Tarasin?

Karede poczuł się, jakby go Hartha kopnął w brzuch i nie tylko dlatego, że tamten tak swobodnie posłużył się imieniem Wysokiej Lady.

— Chcesz powiedzieć, że mogę z nią odjechać? — zapytał z niedowierzaniem.

— Pod warunkiem, że ona ci ufa. I że potrafisz ją bezpiecznie zawieźć do pałacu. Póki tam nie

dotrze, grozi jej niebezpieczeństwo. Na wypadek gdybyś nie wiedział, cała twoja Cholerna Zawsze Zwycięska Przeklęta Armia tylko czyha, żeby jej podciąć gardło albo zgnieść głowę głazem.

— Wiem — odrzekł Karede głosem znacznie spokojniejszym niż targające nim emocje. Dlaczego ten mężczyzna miałby uwolnić Wysoką Lady po tym, jak Biała Wieża zadała sobie tyle trudu z jej porwaniem? Dlaczego? Po tej krótkiej, krwawej kampanii? — Zginiemy do ostatniego człowieka, jeśli to będzie konieczne dla zapewnienia jej bezpieczeństwa, Najlepiej będzie, jak wyruszymy od razu. — Zanim tamten zmieni zdanie. Zanim Karede obudzi się z tego majaczenia w gorączce. A z pewnością wyglądało to jak majaczenie.

— Nie tak szybko. — Cauthon zwrócił się ku Wysokiej Lady. — Tuon, czy ufasz, że ten człowiek zawiezie cię bezpiecznie do pałacu w Ebou Dar? — Karede zdławił w sobie przemożne pragnienie, by się skrzywić. Ten człowiek mógł sobie być generałem i lordem, ale nie miał prawa tak bezceremonialnie posługiwać się imieniem Wysokiej Lady!

— Straży Skazańców zawsze gotowa jestem zawierzyć życie — spokojnie odparła Wysoka Lady. — A temu człowiekowi bardziej niż jakiemukolwiek innemu. — Obdarzyła Karedego uśmiechem. Nawet w dzieciństwie uśmiechała się rzadko. — Może przypadkiem masz ze sobą moją lalkę, generale sztandaru Karede?

Sklonił się przed nią ceremonialnie. Ze sposobu, w jaki się wypowiadała, wnosił, że wciąż mówi z za woalki.

— Proszę o wybaczenie, Wysoka Lady. Wszystko straciłem podczas Wielkiego Pożaru Sohimy.

— To znaczy, że przechowywałaś ją przez dziesięć lat. Przyjmij moje kondolencje z powodu śmierci żony i syna, on zginął dzielnie i z honorem. Niewielu ludzi zdolnych jest bodaj raz wejść do płonącego budynku. Uratował pięcioro ludzi i się nie podniósł.

Karede poczuł, jak go ściska w gardle. A więc interesowała się jego losem. Mógł tylko skłonić się znowu, jeszcze głębiej niż przedtem.

— Dość tego — mruknął Cauthon. — Jeżeli wciąż będziesz to robił, nabijesz sobie guzów. Gdy tylko ona i Selucia się spakują, zabierzesz je stąd i popędzisz co sił w końskich nogach. Talmanes, podrywaj Legion. Nie chodzi o to, że ci nie ufam, Karede, ale spokojniej będę spał po drugiej stronie Przesmyku.

— Matrim Cauthon jest moim mężem — oznajmiła Wysoka Lady czystym, wyraźnym głosem. Wszyscy zamarli. — Matrim Cauthon jest moim mężem.

Karede poczuł się, jakby go Hartha kopnął znowu. Nie, nie Hartha. Aldazar. Co to za szaleństwo? Cauthon wyglądał jak człowiek przyglądający się strzale lecącej mu prosto w twarz, wiedząc, że nie zdąży się uchylić.

— Przeklęty Matrim Cauthon jest moim mężem. Ty posługujesz się takimi słowami, nieprawdaż? To musiały być majaczenia w gorączce.

*

Minęła chyba minuta, zanim Mat był w stanie się odezwać. Choćby szezeł, zajęło pewnie godzinę, aż się mógł poruszyć. Kiedy wreszcie to zrobił, zerwał z głowy kapelusz, podszedł do Tuon i schwycił Brzytwę za ude. Tuon spojrzała na niego z góry, chłodna niczym królowa na przeklętym tronie. Wszystkie te bitwy do akompaniamentu przeklętych kości toczących się w głowie, wszystkie potyczki i rajdy... A teraz kości zatrzymały się, gdy wyrzekła parę słów. Cóż, przynajmniej wiedział, że to, co się wydarzyło, było, cholera, przeznaczone przeklętemu Matowi Cauthonowi.

— Dlaczego? To znaczy wiedziałem, że wcześniej czy później to powiesz, ale dlaczego teraz?

Lubię cię, może nawet bardziej niż lubię i podobało mi się, jak cię całowałem — wydawało mu się, że Karede chrząknął. — Ale ty nie zachowywałaś się jak zakochana kobieta. Przez połowę czasu jesteś jak kula lodu, przez drugą połowę nieustannie mi dokuczasz.

— Miłość? — w słowach Tuon słuchać było zaskoczenie, — Być może z czasem się pokochamy, Matrim, ale zawsze wiedziałam, że wyjdę za mąż w służbie Imperium. Co masz na myśli, mówiąc, że wiedziałeś, iż wypowiem te słowa?

— Mów mi Mat. — Matrimem nazywała go tylko matka i to zazwyczaj, gdy pakował się w kłopoty, oraz siostry, gdy opowiadały o nim historie, przez które kłopoty miał mieć.

— Masz na imię Matrim. Co chciałeś powiedzieć?

Westchnął. Ta kobieta nigdy dużo nie chciała. Tylko żeby wszystko szło po jej myśli. Jak wszystkie inne kobiety, jakie w życiu znał.

— Przeszedłem przez *ter'angreal* do jakiegoś innego miejsca, może innego świata. Ludzie, których tam spotkałem, tak naprawdę nie byli ludźmi... wyglądali jak węże... ale oni potrafią odpowiedzieć każdemu na trzy pytania, a ich odpowiedzi zawsze są prawdziwe. Jedna z moich brzmiała, że ożenię się z Córką Dziewięciu Księżyców. Ale ty też nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Dlaczego teraz? Tuon nachyliła się w siodle, na jej ustach igrał nieznaczny uśmiech. I pięścią uderzyła go mocno w głowę!

— Twoje przesady są już dostatecznie niedobre, ale kłamstw tolerować nie będę. To kłamstwo jest zabawne, prawda, ale mimo wszystko jest kłamstwem!

— Na Światłość, to prawda — protestował, nasadzając na głowę kapelusz. — Możesz się sama przekonać, jeśli się potrafisz zmusić, by porozmawiać z Aes Sedai. One opowiedzą ci o Aelfinn i Eelfinn.

— To może być prawda — wtrąciła Edesina, jakby próbowała okazać się pomocna. — Do Aelfinn można dotrzeć przez *ter'angreal* znajdujący się w Kamieniu Łzy, z tego, co wiem, i rzekomo mają udzielać wyłącznie prawdziwych odpowiedzi.

Mat popatrzył na nią ze złością. Faktycznie, cholernie pomocna z tymi jej: „z tego, co wiem” i „rzekomo”. Tuon nie odrywała odeń wzroku, jakby Edesina wcale się nie odezwała.

— Odpowiedziałem na twoje pytanie, Tuon, teraz ty odpowiedz na moje.

— Wiesz, że *damane* potrafią przepowiadać los? — Obrzuciła go twardym spojrzeniem, jakby oczekiwała, że zarzuci jej zabobonność, lecz on tylko skłonił się krótko. Niektóre Aes Sedai przepowiadały przyszłość. Dlaczego nie *damane*? — Poprosiłam Lidyę, żeby mi przepowiedziała moją przed lądowaniem w Ebou Dar. Oto co powiedziała: „Strzeż się lisa, który płoszy kruki, ponieważ ożeni się z tobą i uwiezie cię ze sobą. Strzeż się człowieka, który pamięta twarz Jastrzębiego Skrzydła, ponieważ ożeni się z tobą i uwolni cię. Strzeż się człowieka czerwonej ręki, ponieważ jego poślubisz i żadnego innego”. Najpierw w oko wpadł mi twój pierścień. — Mimowolnie przesunął kciukiem po wydłużonym oku pierścienia, a ona uśmiechnęła się. Nieznacznie, ale się uśmiechnęła. — Lis płoszący dwa kruki podrywające się do lotu i dziewięć półksiężyców. Sugestywne, nie powiesz? A ty wypełniłeś drugą część przepowiedni, więc wiem już, że to ty. — W gardle Seluci zrodził się jakiś dziwny odgłos, a Tuon pogroziła jej palcem, Pulchna kobieta poddała się, poprawiła chustę na głowie, ale spojrzeniu, jakim obrzuciła Mata, powinien towarzyszyć sztylet w dłoni.

Zaśmiał się bez wesołości. Krew i krwawe popioły. Pierścień był próbną odbitką z jubilerskiej formy, kupioną tylko dlatego, że pasowała na jego palec; oddałby wspomnienia widoku oblicza Artura Jastrzębie Skrzydło razem ze wszystkimi innymi wspomnieniami, gdyby tylko mógł się pozbyć z głowy przeklętych węży; a mimo to dzięki tym wszystkim rzeczom zdobył żonę. Legion Czerwonej

Ręki nigdy by się nie narodził, gdyby nie wspomnienia tych wszystkich bitew.

— Wychodzi na to, że fakt, iż jestem *ta'veren*, działa w równym stopniu na mnie, co na wszystkich dookoła. — Przez chwilę sądził, że znowu go uderzy. Uśmiechnął się najpiękniej, jak umiał. — Ostatni pocałunek, zanim odjedziesz?

— Nie jestem teraz w nastroju — odrzekła chłodno. Surowy sędzia powrócił. Wszyscy więźniowie zostaną natychmiast powieszani. — Może później. Jak chcesz, jedź ze mną do Ebou Dar. Czeka na ciebie zaszczytna pozycja w Imperium.

Pokręcił przecząco głową, nawet przez moment się nie zastanawiając. Na Leilwin ani na Domona nic nie czekało, podobnie jak na Aes Sedai czy Legion.

— Następnym razem, kiedy spotkam Seanchan, będzie to na jakimś polu bitwy, Tuon. — Choćby szczeł, tak będzie. Jego życie toczyło się w ten sposób, niezależnie, co począł. — Nie jesteś moim wrogiem, ale twoje Imperium jest.

— Ty też nie jesteś moim wrogiem, mężu — odparła chłodno. — Ale żyję po to, żeby służyć Imperium.

— Cóż, myślę, że lepiej będzie, jak się już spakujesz... — Urwał, słysząc odgłos kopyt. Ktoś nadjeżdżał cwałem.

Po chwili Vanin ściągnął wodze smukłego siwka obok wierzchowca Tuon, zmierzył wzrokiem Karedego i Straż Skazańców, splunął przez szczelinę w zębach i wsparł się na wysokim łuku siodła.

— W miasteczku pięć mil na zachód jest jakieś dziesięć tysięcy żołnierzy — grubas poinformował Mata. — Tylko jeden to Seanchanin, na ile się zorientowałem. Reszta to Altarani, Tarabonianie, Amadicianie. Wszyscy konno. Sprawa polega na tym, że rozpytują o ludzi w takich zbrojach. — Skinął głową w kierunku Karede. — I plotka głosi, że ten, który zabije dziewczynę opisywaną mniej więcej jak Wysoka Lady, ma obiecane sto tysięcy złotych koron. Wszystkim ślina cieknie z ust.

— Mogę się prześlizgnąć — powiedział Karede. Jego szczerą twarz wyglądała nieomal ojcowsko. Głos brzmiał śpiewem obnażonej klingi.

— A jak się nie uda? — zapytał cicho Mat. — To nie przypadek, że są tak blisko. Zwęszyli twój trop. Jeszcze jeden ślad może im wystarczyć, aby zabili Tuon. — Twarz Karedego pociemniała.

— Zamierzasz dotrzymać słowa? — Obnażony miecz, który wkrótce zostanie użyty. Co gorsza, Tuon patrzyła, mierząc Mata wzrokiem jak prawdziwy surowy sędzia. Choćby szczeł, jeśli ona umrze, wraz z nią umrze coś w jego wnętrzu. Ażeby do tego nie dopuścić, musiał zrobić coś, czego nienawidził bardziej niż pracy. Ongiś wydawało mu się, że bitwy, jakkolwiek ich nie znosił, są mimo wszystko lepsze od pracy. Blisko dziewięciuset poległych na przestrzeni kilku dni sprawiło, że zmienił zdanie.

— Tak — odrzekł. — Ona jedzie z tobą. Ale zostawisz mi dwunastu ze Straży Skazańców i kilku tych Ogrodników. Jeżeli mam odciągnąć od ciebie pościg, muszą uwierzyć, że jestem tobą.

Tuon zostawiła większość rzeczy, jakie Mat jej kupił, ponieważ przeszkadzałyby w szybkiej jeździe. Bukiecik róż, który jej dał, zawinęła w płótno tak pieczołowicie, jakby były z dmuchanego szkła i wcisnęła do juków. Nie pożegnała się z nikim, prócz pani Anan — naprawdę będzie tęskniła za rozmowami — i tym sposobem wraz z Selucią były właściwie zaraz gotowe do drogi. Mylen uśmiechała się tak szeroko na jej widok, że musiała pogłaskać drobną damane. Wychodziło na to, że słowo o niedawnych wydarzeniach rozniosło się, ponieważ gdy jechała przez obóz ze Strażą Skazańców, żołnierze Legionu wstawali na jej widok i kłaniali się. Przypominało to inspekcję regimentów w Seandarze.

— Co o nim myślisz? — zapytała Karedego, gdy tylko opuścili obóz i przeszli w cwał. Nie musiała tłumaczyć, kogo miała na myśli.

— Nie jest moją rzeczą osądzać, Wysoka Lady — powiedział ponuro. Wciąż rozglądał się wokół, zerkając za każde drzewo. — Służę Imperium i Imperatorowej, oby żyła wiecznie.

— Jak my wszyscy, generale sztandaru. Ale pytam o twoje zdanie.

— Dobry generał, Wysoka Lady — odparł bez wahania, — Odważny, lecz pozbawiony brawury. Nie da się zabić tylko po to, żeby dowieść, jak jest odważny. Poza tym... łatwo się adaptuje do sytuacji. Skomplikowany człowiek, wielowarstwowy. No i, jeśli mi wybaczysz, Wysoka Lady, człowiek, który cię kocha. Widziałem, jak na ciebie patrzył.

Kochał ją? Może. Sądziła, że ona też może go kiedyś pokochać. Jej matka kochała ojca, tak powiadano. I człowiek skomplikowany, wielowarstwowy? Przy Macie Cauthonie cebula przypominała jabłko! Podrapała się po głowie. Wciąż nie potrafiła przywyknąć do wrażenia, z jakim wiązało się posiadanie włosów.

— W pierwszej kolejności potrzebna mi będzie brzytwa.

— Najlepiej zaczekać z tym do Ebou Dar, Wysoka Lady.

— Nie — sprostowała delikatnie. — Jeśli mam umrzeć, umrę jako ta, którą jestem. Właśnie zdjęłam welon.

— Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość. — Uśmiechnął się, urękawiczoną dłoń przykładając do serca, aż stal za dźwięczała o stal. — Jeżeli umrzemy, umrzemy jako ci, którymi jesteśmy.

ROZDZIAŁ 20

KSIĄŻĘ KRUKÓW

Mat wsparł się na wysokim łuku siodła, oparł *ashandarei* na karku Oczka i spod zmarszczonych brwi spojrzął w niebo. Słońce minęło już zenit. Jeżeli Vanin nie wróci zaraz z tą Strażą Skazańców, może się okazać, że będzie toczył bitwę w słońcu świecącym kusznikom w oczy albo — co gorsza — o zmierzchu. Źle także wróżyły czarne chmury, piętrzące się, nad górami od wschodu. Porywisty wiatr dał z północy. Niedobrze. Deszcz zagna lisa do kurnika. Ciężkiy źle sobie radziły w deszczu. Cóż, przy odrobinie szczęścia nie będzie padać jeszcze przez kilka godzin, ale jakoś nie pamiętał, by jego szczęście ochroniło go przed zmoknięciem. Lecz nie odważył się zaczekać do jutra. Ci ludzie ścigający Tuon mogli złapać następny ślad żołnierzy Karedego, a wtedy będzie musiał podjąć próbę, zaatakowania ich albo urządzenia zasadzki i zamknięcia jej, zanim dopadną Karedego. Lepiej, żeby

sami do niego przyszedli w miejscu, które wybierze. Znalazienie odpowiedniego miejsca nie było trudne, mając pod ręką kolekcję map pana Roidelle z jednej strony i zwiadowców Vanina z drugiej.

Aludra krzątała się przy jednej ze swych wielkich, okutych metalem tulei miotających, sprawdzała coś przy szerokiej, drewnianej podstawie, a ozdobione paciorkami warkoczyki całkiem skrywały jej twarz. Pożałował, że nie chciała zostać przy jucznych koniach razem z Thomem i panią Anan. Nawet Noal zdecydował się nie brać udziału w bitwie, już bodaj tylko po to, aby pomóc Juilinowi i Amatherze zaopiekować się Olverem, który zapewne zrobiłby wszystko, żeby się przyglądać walce. Chłopak pałał wręcz chorobliwą namiętnością do takich rzeczy, co wkrótce mogło się skończyć, jak choroby mają w zwyczaju — jego śmiercią. Wszystko już wyglądało nie najlepiej, gdy tylko Harnan i pozostała trójka psuli Olvera, teraz połowa armii uczyła go posługiwać się mieczem, sztyletem czy bodaj gołymi rękoma i nogami, a wnioskując z tego, jak się zachowywał — nieustające prośby o udział w rajdach Mata i temu podobne — kładli mu w uszy opowieści o bohaterach. Aludra zachowywała się prawie równie nieznośnie. Kiedy już naładowała tuleję, właściwie każdy mógł użyć jednej z tych zapalek, aby odpalić lont, mimo to upierała się, żeby to robić osobiście. Aludra była zaciętą kobietą i bynajmniej nie podobało jej się, że stoi obecnie po tej samej stronie co Seanchanie, choćby tylko chwilowo. Fakt, że mogli przyglądać się jej pracy, nie będąc ofiarami jej skutków, wydawał się absolutnie niewłaściwy. Leilwin i Domon siedzieli niedaleko na koniach, nie spuszczać jej z oka, w równym stopniu pilnując, żeby jej nic się nie stało, jak żeby nie zrobiła jakiegoś głupstwa. Mat miał nadzieję, że Leilwin sama nie robi czegoś niemądrego. Ponieważ ich dzisiejszym przeciwnikom towarzyszył tylko jeden Seanchanin, doszła do wniosku, że może wziąć udział w bitwie, a ze sposobu, w jaki zerknęła na Musengego i pozostałych ze Straży Skazańców, nietrudno było wywnioskować, że chętnie by im czegoś dowiodła.

Stojące niedaleko z wodzami w ręku trzy Aes Sedai też obrzucały Seanchan ponurymi spojrzeniami, podobnie Blaeric i Fen, którzy wciąż muskali dłońmi rękojeści mieczy, zresztą może nieświadomie. Joline i jej dwaj Strażnicy jako jedyni przeżyli szok, słysząc o chętnym wyjeździe Sheraine z Tuon — to, co myślała o jakiejś sprawie Aes Sedai, zazwyczaj było też stanowiskiem jej Strażników — ale dla Edesiny oraz Teslyn wspomnienia o smyczy były wciąż jeszcze zbyt świeże, żeby spokojnie znosić towarzystwo Seanchan. Bethamin i Seta stały w unizonych pozach, z dłońmi splecionymi, nieco z dala od sióstr. Jasno umaszczony gniadosz Bethamin właśnie skubał ją w ramię, wysoka, smągła kobieta odruchowo sięgnęła za siebie, by pogłaskać go po pysku, ale w jednej chwili opanowała się i znów przybrała pozę ucieleśnionej skromności. Żadna nie miała brać aktywnego udziału w bitwie. Joline i Edesina zakomunikowały im to w niedwuznacznych słowach, mimo to chciały mieć je na oku, żeby nie ryzykować. Spojrzenia Seanchanek błędziły po okolicy, ani razu wszakże nie spojrzwały na seanchańskich żołnierzy. Jeśli już o tym mowa, dla Musengego i jego zabijaków, Bethamin, Seta oraz Leilwin równie dobrze mogłyby nie istnieć. Choćby szczeznąć, wokół było tyle niezdrowej atmosfery, iż znów czuł prawie, jakby tamta pętla zaciskała się wokół szyi.

Oczko przestępował z nogi na nogę, zniecierpliwiony, że tak długo każe mu się stać bez ruchu. Mat poklepał go po karku, potem podrapał bliznę, tworzącą się na jego własnej szczęce. Maść Tuon szczypała tak bardzo, jak mu obiecano, niemniej sprawdzała się świetnie. Co z tego, skoro świeże blizny wciąż swędziały. Tuon. Jego żona. Wziął ślub! Wiedział, że tego nie uniknie, wiedział od dawna, mimo to... Mąż. Powinien się czuć jakoś... inaczej... a wciąż czuł się, jak zawsze się czuł. I zamierzał, żeby tak pozostało, lepiej szczeznąć, gdyby coś miało się w nim zmienić! Jeżeli Tuon oczekiwała, że Mat Cauthon się ustakuje, że przestanie grać albo co tam, to czeka ją srogie rozczarowanie. Podejrzewał, że będzie musiał przestać się uganiać za kobietami, nie wspominając już o kończeniu sukcesem tych łowów, jednak przecież wolno mu chyba będzie z nimi tańczyć? I

patrzyć na nie. Tylko wtedy, kiedy jej nie będzie przy jego boku. Żeby szczeznąć, czy w ogóle zdarzą się takie chwile? Nie miał zamiaru dać się do czegokolwiek zmusić, a na to się trochę zanosilo z tej jej gadaniny o podczaszach, koniuszych i małżeństwie w służbie Imperium. Jak małżeństwo z nim mogło posłużyć przekłębtemu Imperium?

Musenge rozstawił swoich dziesięciu ludzi i pięciu Ogirów w czerwono-czarnych zbrojach, potem podjechał na wałachu do Mata. Koń miał znakomitą sylwetkę, wyraźnie widać było, że cechuje go zarówno szybkość, jak wytrzymałość, przynajmniej tak można by wnioskować z pobieżnych oględzin. Musenge natomiast roztaczał wokół siebie aurę niezmordowania: krępy, solidny, z twarzą zniszczoną ale wciąż twardą, z oczyma niczym dwa wypolerowane kamyki.

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość — powiedział, rozciągając samogłoski i uderzając urękawiczoną pięścią o płytę napierśnika — ale czy ludzie nie powinni wrócić do pracy? — Mówił jeszcze gorzej niż Selucia, prawie niezrozumiale. — Przerwa na odpoczynek trwała zbyt długo. Wątpię, czy zdążą ukończyć wał przed przybyciem zdrajców. — Mat wcześniej zastanawiał się, ile czasu minie, nim o tym wspomni. Spodziewał się, że nastąpi to znacznie wcześniej.

Kusznicy zdjęli hełmy bez przyłbic i w napierśnikach siedzieli na ziemi pod długim, zakrzywiającym się wałem, stanowiącym może trzecią część obwodu pełnego okręgu. Wał wykonany był z ziemi pochodzącej z głębokiego na cztery stopy okopu, biegnącego przed nim, przy okopie wbito w ziemię gęstwą ostro zakończonych palików, ograniczającą okop na jego dwóch krańcach. Z kopaniem poradzili sobie w miarę szybko. Piechurzy musieli równie zręcznie władać łopatą oskardem i toporkiem, co bronią. Nawet kawalerzyści wzięli udział w kopaniu, choć przekonanie ich okazało się nieco trudniejsze. Piechur instynktownie rozumiał, że lepiej jest mieć coś między sobą a wrogiem. Narzędzia leżały teraz porozrzucane na całej długości okopu. Jedni ludzie grali w kości, inni tylko wypoczywali czy wręcz drzemali. Żołnierze sypiali, gdy tylko nadarzyła się okazja. Kilku nawet czytało książki, co stanowiło doprawdy dziwny widok. Książki! Mandevwin spacerował wśród nich, muskając palcami opaskę na oku, od czasu do czasu pochylał się, żeby powiedzieć kilka słów któremuś z chorążych. Jedyne z lansjerów obecny w zasięgu wzroku stał obok swego konia, a każdy cal jego postawy mówił, że nie chce mieć nic wspólnego z kusznikami; w dłoni nie miał lancy, lecz długie drzewce sztandaru, do połowy obłożone skórą.

Teren był idealny na realizację pomysłu Mata. Między wałem a linią wysokich drzew na zachodzie ciągnęły się prawie dwie mile trawiastej łąki upstrzonej polnym kwieciem i pojedynczymi niskimi krzakami. Od północy znajdowało się ponure bagnisko, pełne dębów i dziwnych drzew o białych kwiatach, ze sterczącymi wysoko nad ziemią kłębówiskami korzeni, od zachodu przylgnęło do bagniska jezioro, za nim był las. Na południu z bagna wypływała niewielka rzeczka, jakieś pół mili od miejsca, gdzie obecnie stał Mat, a potem łukiem skręcała na zachód po lewej stronie. Rzeczka była niewielka, na tyle jednak szeroka i głęboka, by konie musiały przez nią płynąć. Przeciwny brzeg znajdował się poza zasięgiem strzały z łuku. Atakujący mogli tylko w jeden sposób zdobyć wał — szarżując nań od czoła.

— Kiedy przybędą, nie mogą mieć czasu na zatrzymanie się i policzenie żołnierzy w czerwieni i czerni — odparł. Z jakiegoś powodu Musenge lekko się skrzywił. — Chcę, żeby zobaczyli niedokończony wał i narzędzia porzucone w panice na wieść, że są blisko. Obietnica stu tysięcy złotych koron z pewnością wzburzy im krew, muszą być dodatkowo tak podnieceni, by nie potrafili jasno myśleć. Zobaczą nas w nieładzie, nasze narzędzia w rozsypce i przy odrobinie szczęścia ruszą na nas z marszu. Pomyślą, że zanim nas pokonają, połowa z nich polegnie, ale dzięki temu reszta będzie miała większe szanse na zdobycie złota. Uznają, że starczy nam czasu na oddanie tylko jednej salwy. — Klasnął w dłonie, aż Oczko lekko zadrżał, — I wtedy pułapka się zamknie.

— Mimo to, Wasza Wysokość, żałuję, że nie mamy więcej kuszników. Wcześniej słyszałem, że twoje siły muszą liczyć co najmniej trzydzieści tysięcy. — Musenge słyszał, jak mówił Tuon, że będzie walczył z Seanchanami. Teraz po prostu sondował go, próbując wydobyć jakieś informacje. — Mam ich nieco mniej niż na początku — powiedział Mat, krzywiąc się. Jego zwycięstw tak naprawdę nie można było określić mianem bezkrwawych, choć niedaleko im było do tego. Prawie czterystu kuszników spoczęło w altarańskiej ziemi i prawie pięciuset kawalerzystów. Biorąc pod uwagę okoliczności, stosunkowo niewielki trybut krwi, choć wolałby go w ogóle nie płacić. — Ale tego, co mam, na dziś wystarczy.

— Jako rzeczesz, Wasza Wysokość. — Głos Musengego był tak pozbawiony wyrazu, że równie dobrze mógłby rozmawiać o cenie fasoli. Nie było po nim znać śladu wahania. — Zawsze gotów byłem za nią umrzeć. — Nie trzeba było wyjaśniać, za kogo.

— Przypuszczam, że ja też jestem na to gotów, Musenge. — Światłości, chyba naprawdę tak myślał! Faktycznie, to były szczerze słowa. Czy oznaczało to, że ją kocha? — Choć lepiej dla niej żyć, nie sądzisz?

— Czy nie powinienesz przywdziać zbroi, Wasza Wysokość? — Nie mam zamiaru brać tak bezpośredniego udziału w bitwie, żeby potrzebna mi była zbroja. Generał, który wyciąga miecz, odkłada buławę i zmienia się w prostego żołnierza.

Znów tylko cytował Comadrina — kiedy rozmawiał o wojaczce, te cytaty same cisnęły mu się na usta, ale z drugiej strony tamten wiedział o rzemiośle chyba wszystko, co można było wiedzieć — tylko cytował, ale najwyraźniej wywarło to odpowiednie wrażenie na pomarszczonym weteranie, który tylko znów zasalutował krótko i poprosił o przekłętę pozwolenie dołączenia do swych ludzi. Mata kusiło, żeby zapytać, o co chodzi z tymi bzdurami z „Waszą Wysokością”. Zapewne jakiś seanchański odpowiednik tytułu lorda, niemniej w Ebou Dar niczego podobnego nie słyszał, a przecież znalazł się tam w otoczeniu Seanchan.

Na przeciwległym krańcu łąki z lasu wyszły jakieś postacie, nie musiał sięgać po szkło przybliżające, żeby wiedzieć, kogo tam ma. Dwaj Ogirowie w zbrojach w jaskrawoczerwone i czarne pasy wystarczali, o przysadzistej postaci Vanina nie wspominając. Vanin pędził galopem, niemniej Ogirowie dotrzymywali mu kroku, w biegu wymachując długimi rękami i ostrzami toporów niczym pasami transmisyjnymi tartacznych pił.

— Procarze w pogotowiu! — krzyknął Mat. — Pozostali brać do ręki łopaty! — Złudzenie musiało być przekonujące.

Większość kuszników rozproszyła się, żeby dać przedstawienie pracy przy okopie i wale, pięćdziesięciu zapięło paski hełmów i ustawiło szeregiem przed Aludrą. Wszyscy byli wysocy, przy pasie mieli krótkie miecze, które nazywali rzezakami kotów, zamiast kusz uzbrojeni byli w czterostopowe drzewce proc. Dobrze byłoby mieć więcej niż pięćdziesięciu, jednak Aludrze nie starczyło prochów. Każdy przez napierśnik przewiesił pas z materiału, naszyty licznymi kieszeniami, w każdej kieszonce był krótki i gruby cylinder większy niż dłoń mężczyzny, z krótkim, ciemnym lontem sterzącym z jednego końca. Aludra jakoś jeszcze nie wymyśliła dla nich fantazyjnej nazwy. W końcu zapewne można będzie na nią liczyć. Uwielbiała fantazyjne nazwy. Smoki i smocze jaja.

Jeden po drugim mężczyźni podsuwali jej długie kawałki wolno tłącego się lontu, które zapalała zapałką. Uwijała się szybko, każdą zapałkę wykorzystując do momentu, aż długie drewnienko nieomal parzyło jej palce. Ani razu się wszak nie Skrzywiła, tylko upuszczała jedną, ponaglając czekających, ponieważ zapałek powoli zaczynało brakować. Światłości, ale potrafiła być skąpa. Przecież Mat wiedział, że ma ich jeszcze pięć kasetek. Każdy obsłużony żołnierz odwracał się, wkładał wolno tłący lont między zęby i podchodząc do wału, gotował jeden z cylindrów do swej procy. Stawali w

szerokich odstępach. Musieli obsadzić całą długość wału.

— Czas rozlokować twoich ludzi, Musenge — głośno oznajmił Mat.

Straż Skazańców ustawiła się pojedynczym szeregiem, Ogrodnicy zajęli krańce formacji. Każdy, kto choć raz zerknie przez szkło przybliżające, nie będzie miał wątpliwości, kim są. Światłości, wystarczy im przecież widok Ogirów w zbrojach, słońce odbijające się na tych czerwieniach i czerniach. A jeśli nawet zatrzymają się i zaczną zastanawiać, jak niewiele tu Straży, przecież wciąż będą pamiętać, że mają zdecydowaną przewagę liczebną a istniał tylko jeden sposób przekonania się, czy Tuon jest z nimi.

Vanin przegalopował za wał, zeskoczył z konia i natychmiast zaczął się przechadzać ze swym pomarszczonym bułankiem, by zwierzę ochłonęło. Gdy tylko znalazł się za wałem, kusznicy zaczęli porzucać narzędzia i biec ku hełmom oraz kuszom. Wcześniej zostały ułożone w ten sposób, by żołnierze naturalnie zajmowali miejsca w potrójnym szyku z procarzami między nimi. Teraz nie miało już znaczenia, czy ktoś obserwuje ich z lasu. Widok, jaki się przed tamtymi rozpościerał, musiał zdawać się całkowicie naturalny.

Mat truchtem podjechał do Vanina i zsiadł z Oczka. Dwaj ze Straży Skazańców i dwaj Ogirowie dołączyli do pozostałych. Konie rozdymały nozdrza, ich boki poruszały się ciężko, po Ogirach wszak nie znać było żadnego zmęczenia. Jednym z nich był Hartha o kamiennych oczach, który najwyraźniej miał rangę zbliżoną do Musengego.

Vanin ponuro popatrzył na żołnierzy, którzy nie zsiadli z koni i nie dali im się przespacerować. Może i był koniokrądem, nieważne już, nawróconym czy nie, ale nienawidził złego traktowania koni. — Kiedy nas zobaczyli, rozproszyli się jak jeden z tych nocnych kwiatów — powiedział, kiwając głową w kierunku Aludry. — Zadbaliśmy, by dobrze przyjrzeni się fikuśnym zbrojom, a kiedy zaczęły wsiadać na konie, podwinęliśmy ogony pod siebie. Ścigają nas ostro. Ostrzej, niż powinni. — Splunął na ziemię. — Nie przyjrzałem się dobrze ich zwierzętom, ale wątpię, by nadawały się do takiego biegu. Niektóre na pewno zajeżdżą.

— Im więcej, tym lepiej — stwierdził Mat. — Im mniej ich tu dotrze, tym moim zdaniem lepiej. — Musiał dać Tuon tylko dzień czy dwa przewagi, a jeżeli wróg miał zajeżdżić konie i w efekcie na przykład wyjechać z lasu, by stwierdzić, że przeciwnik jest zbyt liczny, zawsze to lepsze niż bitwa. Po dzisiejszym sześciomilowym galopie będą musieli dać odpocząć koniom przez kilka dni, zanim w ogóle będą je w stanie skłonić do drogi. Vanin popatrzył na niego równie ponuro, co wcześniej na tamtych. Inni mogli sobie do Mata mówić: „mój panie” czy „Wasza Wysokość”, ale nie Chel Vanin.

Mat roześmiał się, klepnął go po ramieniu, a potem wskoczył z powrotem na siodło Oczka. Dobrze było mieć obok kogoś, kto nie uważał go za jakiegoś głupiego szlachcica, a przynajmniej zupełnie o to nie dbał. Podjechał do grupki siedzących już na koniach Aes Sedai.

Blaeric dosiadał gniadego wałacha, Fen karosza — obaj obrzucili go spojrzeniami niemal równie mrocznymi, jakimi wcześniej raczyli Musengego. Wciąż podejrzewali, że miał coś wspólnego z przykrą przygodą Joline. Przez chwilę miał ochotę poinformować Fena, że ta resztką kosmyka na jego głowie wygląda idiotycznie. W tym momencie Fen poprawił się w siodle i musnął dłonią rękojęść miecza. Może jednak lepiej nie.

— ...jak wam mówiłam — kończyła zdanie Joline, grożąc Bethamin i Secie wyprostowanym palcem. Jej ciemnogniady wałach wyglądał na rumaka bojowego, którym nie był. Zwierzak był szybki, ale charakter miał równie uległy, co woda z mlekiem. — Jeżeli bodaj pomyślicie o objęciu *saidara*, pożałujecie.

Teslyn mruknęła coś kwaśno. Poklepała po karku kasztanową klacz z latarnią na pysku, zresztą znacznie bardziej impulsywną niż zwierzak Joline, a potem odezwała się, kierując swe słowa w

przezeń:

— Szkoli dzikuski i oczekuje od nich, że będą się odpowiednio zachowywały, gdy spuści je z oka. A może wyobraża sobie, że Wieża przyjmie podstarzałe nowicjuski. — Policzki Joline zabarwiły plamy czerwieni, ale tylko wyprostowała się w siodle i nic nie powiedziała. Jak zwykle, gdy dochodziło do konfliktu między nimi dwiema, Edesina udawała, że coś innego przyciąga jej uwagę, w tym wypadku otrzepała rozcięte suknie z nieistniejącego kurzu. Napięcia było dość, żeby się udławić. Nagle zza drzew przy przeciwnym krańcu łąki wysypali się jeźdźcy. Najpierw strumieniem, który wkrótce zmienił się w bezładną masę stalowych grotów lanc, gdy ścigali wodze, zdziwieni widokiem, jaki mieli przed sobą. Wychodziło na to, że nie zajeździli tak wielu koni, jak Mat miał nadzieję. Wyciągnął z futerału przy siodle szkło przybliżające, uniósł do oka. Tarabonianie pierwsi rzucali się w oczy z tymi swoimi welonami na kolczugach zasłaniającymi twarze po oczy, pozostali mieli na głowach chyba wszystkie wyobrażalne rodzaje hełmów: od okrągłych, przez stożkowe, z przyłbicami i bez. Zobaczył nawet kilka taireniańskich hełmów z metalowymi grzebieniami, choć nie sądził, by Tairenianie byli wśród atakujących. Większość wyraźnie przywdziała dowolne zbroje, jakie wpadły im w ręce.

„Nie myślcie” — kołatało mu się po głowie. „Ta kobieta tu jest. Sto tysięcy koron czeka na was. Cholera, nie...”

Spod lasu, osłabiony odległością, nadleciał ostry dźwięk seanchańskiej trąbki sygnałowej i jeźdźcy ruszyli stępą, już rozsypując się w tyralierę, żeby ogarnąć zewnętrzne krańce wału. — Rozwinąć sztandar, Macoll — rozkazał Mat. A więc te przekłete koziesyny myślą, że mogą sobie zabić Tuon, tak? — Tym razem będą wiedzieć, kto ich zabija. Mandevwin, ty dowodzisz.

Mandevwin zawrócił gnadosza i stanął twarzą do frontu.

— Gotowi! — krzyknął, a podoficerowie i chorąży echem przekazali rozkaz.

Macoll zdjął skórzany futerał z drzewc sztandaru, pieczołowicie mocując go przy siodle, a sztandar rozpostarł się na wietrze — obrzeżony czerwonymi frędzlami biały kwadrat z otwartą czerwoną ręką pośrodku, pod którą wyhaftowano czerwienią słowa: *Dovie'andi se tovyo sagain*.

„Czas rzucić kości” — przetłumaczył w myślach Mat, I tak też było. Zobaczył, jak Musenge mu się przygląda. Wydawał się całkiem spokojny jak na człowieka, ku któremu pędzi dziesięć tysięcy lanc. — Gotowa, Aludra? — zakrzyknął Mat.

— Oczywiście, że jestem gotowa — odparła. — Żałuję tylko, że nie mam moich smoków! — Musenge przeniósł spojrzenie na nią. Żeby szeszła, powinna uważać, co mówi. Mai chciał, żeby te smoki były szokiem dla Seanchan, którym pierwszym przyjdzie stawić im czoło.

Jakieś może tysiąc dwieście kroków przed wałem szeregi lansjerów przeszły w kłus, w odległości sześciuset ruszyli galopem, ale nie tak szybkim, jak by mogli. Konie wyraźnie były zmęczone długim biegiem. Poruszały się ciężko i kołysały, Żaden z lansjerów jeszcze nie padł. I nie padnie, dopóki nie podjadą na kilkaset kroków. Niektórzy dzierżyli proporce, które powiewały za nimi, tu jakiś czerwony trójkąt, tam zielony czy niebieski. Może były to barwy Domów, a może godła kompanii najemników. Niezliczone uderzenia końskich kopyt niosły się tętentem odległego gromu.

— Aludra! — wrzasnął Mat, nie oglądając się za siebie, Głuchy odgłos i zapach siarki oznajmił, że tuleja miotająca wystrzeliła w górę nocny kwiat, a po chwili następny huk towarzyszył wykwitowi czerwonej kuli nad głowami. Niektórzy jeźdźcy podnieśli ręce w górę, jakby zdumieni. Żaden wszak nie obejrzał się za siebie, gdzie Talmanes właśnie wyprowadzał z lasu za jeziorem trzy chorągwie kawalerii. Lance zostawili przy jucznych zwierzętach, ale każdy trzymał w pogotowiu krótki łuk. Rozsypali się w tyralierę, a potem ruszyli za nacierającymi, nabierając pędu. Ostatniej nocy ich wierzchowce pokonały wprawdzie spory dystans, jednak w swobodnym tempie, poza tym cały ranek

odpoczywały. Odległość między dwiema formacjami jeźdźców zmniejszała się z każdą chwilą.

— Pierwszy szereg! — krzyknął Mandevwin, kiedy jeźdźcy znajdowali się w odległości czterystu kroków. — Salwa! — Poleciało jakieś tysiąc bełtów, znacząc powietrze ciemnymi smugami. Natychmiast pierwszy szereg zaczął mocować kołowroty do kusz, a drugi uniósł broń.

— Drugi szereg! — rozkazał Mandevwin. — Salwa! —

Kolejny tysiąc bełtów pomknął w kierunku nacierającej kawalerii.

Mimo iż groty były specjalnie ukształtowane w tym celu, z tej odległości nie potrafiły przebić napierśnika, niemniej w szeregach przeciwników z koni posypali się ludzie ze strzaskanymi nogami, a ranni w ręce gorączkowo próbowali zatamować krew. Konie zaś... Och, Światłości, biedne konie. Konie padały setkami, kwicząc i wierzgając, próbując się podnieść, wiele padło jak podcięte, przewracając inne. Wyrzuceni z siodła jeźdźcy toczyli się po łące, tratowani przez następne szeregi.

— Trzeci szereg! — krzyknął Mandevwin, a kiedy poleciała ta salwa, powstali kusznicy pierwszego szeregu. — Pierwszy szereg! — zawołał Mandevwin. — Salwa! — I następny tysiąc bełtów powiększył rozmiar rzezi. — Drugi szereg! Salwa!

Oczywiście bitwa nie była tak jednostronna jak typowa zasadzka. Niektórzy z galopujących jeźdźców odrzucili lance i dobyli łuków. Między szeregi kuszników posypały się strzały. Ale celny strzał z siodła rozpędzonego konia nie jest łatwy, poza tym dystans był zbyt duży, żeby strzały zabijały, niemniej i tak niejeden już napinał kuszę z drzewcem sterczącym z ramienia. Na szczęście wał chronił ich nogi. Na śmiertelny strzał było zbyt daleko, pod warunkiem, że kogoś nie opuściło szczęście. Mat zobaczył, jak jeden człowiek pada ze strzałą sterczącą z oka, inny otrzymał postrzał w gardło. Powoli w szeregach pojawiały się pojedyncze wyrwy. Żołnierze z następnych szeregów szybko je wypełniali.

— Możesz dołączyć w każdej chwili, Joline — powiedział.

— Trzeci szereg! Salwa!

Aes Sedai z irytacją pokręciła głową.

— Musi mi grozić niebezpieczeństwo. Nie czuję się jeszcze zagrożona. — Teslyn przytaknęła. Przyglądała się szarzy, jakby to była parada, na dodatek niezbyt interesująca.

— Gdybyś zechciała pozwolić Secie i mnie — zaczęła Bethamin, ale Joline zgromiła ją chłodnym spojrzeniem przez ramię, a Seanchanka skuliła się w sobie i wbiła wzrok w trzymane w dłoniach wodze. Seta uśmiechnęła się nerwowo, pod spojrzeniem Joline uśmiech wkrótce zniknął z jej oblicza.

— Pierwszy szereg! Salwa!

Mat przewrócił oczami do nieba i wymamrotał modlitwę, która w połowie składała się z przekleństw. Te kobiety nie czuły, że grozi im niebezpieczeństwo! On natomiast miał wrażenie, jakby jego przeklęta głowa już spoczywała na katowskim pieńku! — Drugi szereg! Salwa!

Talmanes dotarł w zasięg strzału i dał o sobie znać salwą czterech tysięcy łuków, które z trzystu kroków wymiotły wiele siodła. Zbliżyli się, wystrzelili znowu. I znowu. Szeregi wroga zdrząły, jakby w szoku. Część atakujących zawróciła i natarła lancami na tyralierę Talmanesa. Inni rewanzowali się własnym deszczem strzał. Jednak większość wciąż parła naprzód.

— Uformować czworobok! — krzyknął Mandevwin, na ułamek sekundy, zanim zrobił to Mat. Miał nadzieję, że tamten nie zdecydował za późno.

Jednak Legion był znakomicie wyszkolony. Żołnierze stojący na flankach, zwierając napierśniki i hełmy, już cofali się biegiem, spokojnie, jakby wcale nie leciały na nich strzały. Czasami się nie udawało. Ludzie padali. Jednak trzy szeregi nie utraciły zwartego szyku, powoli przekształcały się w pusty czworobok z Matem w środku. Musenge i Straż Skazańców trzymali już obnażone miecze,

Ogirowie wazyli w dłoniach topory o długich drzewcach. — Procarze! — wrzasnął Mandevwin. — Ostrzał swobodny! Pierwszy szereg, zachód! Salwa! — Procarze w szeregu od zachodu odwrócili drzewce proc, żeby sięgnąć trzymanymi w zębach wolno tłącymi lontami do lontów wystających z krótkich i grubych cylindrów, a po chwili, gdy z kusz poleciała następna salwa, odwrócili je z powrotem i wycelowali. Czarne cylindry pofrunęły na ponad sto kroków i wylądowały w szeregach szarżujących jeźdźców. Zanim upadły na ziemię, procarze już nasadzali następne cylindry na drzewce swoich proc. Aludra oznaczyła każdy lont odpowiednim kawałkiem nitki, znamionującym szybkość tlenia się, więc wszystkie cylindry wybuchły naraz wśród wycia i eksplozji płomieni — jedne na ziemi, inne na wysokości głów jeźdźców. Prawdziwa siła niszcząca nie sprowadzała się do wybuchu, choć ten urywał człowiekowi głowę, kiedy następował tuż przed twarzą. Jeden trafiony w ten sposób przez trzy kroki trzymał się jeszcze w siodle, nim bezgłowe ciało runęło bezwładnie na ziemię. Nie, wokół prochowego ładunku Aludra umieściła warstwę twardych kamyków, to one głęboko wbijały się w ciało. Kwiczące konie padały i szarpały się na ziemi. Jeźdźcy zaś padali i zamierali.

Strzała szarpnęła lewy rękaw kaftana Mata, druga przebiła prawy i tylko dzięki piórom nie przeleciała na wylot, w końcu trzecia rozdarła materiał na prawym ramieniu. Wsadził palce za szarfę na szyi, szarpnął. Nagle wydała mu się strasznie ciasna. Może powinien rozważyć wkładanie zbroi na wypadek takich sytuacji. Flanki wroga zwijały się wokół formacji kuszników za wałem. Ludzie Talmanesa wciąż zasypywali strzałami ich tyły, kilkuset jednak musiało odrzucić łuki i sięgnąć po miecze, poza tym nieprawdopodobnie się zdawało, aby wszystkie konie z pustymi siodłami miały należeć do Tarabonian lub Amadician. Mat kazał sformować szyk kawalerii w taki sposób, żeby w środku było wolne miejsce dla tych, którzy zechcą zrejterować — nikt wszakże nie skorzystał z propozycji. Wciąż widzieli te sto tysięcy złotych koron.

— Myślę... — powoli oznajmiła Joline. — Tak, myślę, że moje życie jest w niebezpieczeństwie. — Teslyn bez słowa wykonała zamach i cisnęła kulę ognistą większą niż koński łeb, Eksplozja wyrzuciła w powietrze szczątki koni i ludzi. Rychło w przekłęty czas!

Aes Sedai ustawiły się twarzami w trzech kierunkach i zaczęły ciskać kule ognia tak szybko, jak tylko nadażały wykonywać zamachy, ale zniszczenie przez nie wywoływane w niczym nie osłabiło energii ataku. Napastnicy powinni już widzieć, że w obrębie czworoboku nie ma nikogo, kto odpowiadałby rysopisowi Tuon, ale krew bez wątpienia gotowała się w ich żyłach, nosami czuli woń stu tysięcy złotych koron. Za sto tysięcy złotych koron człowiek mógł przeżyć resztę życia jak szlachcic. Czworobok znalazł się w okrążeniu, a tamci rwali się ku niemu, rwali się i padali pod salwami kuszników i procarzy. Wokół czworoboku powoli wznosił się kolejny wał, tym razem z ciał koni i ludzi, ten wał szturmowali ci, którzy wciąż marzyli o złocie. W tył odrzucały ich bełty z kusz. Z tej bliskości bełty wchodziły w napierśniki, niczym gorący nóż w masło. A tamci parli naprzód i ginęli.

Cisza zapadła zupełnie niespodziewanie. Nie była to grobowa cisza. Wypełniało ją dyszenie ludzi, którzy najszybciej jak potrafili, naciągali kusze. I jęki rannych. Gdzieś przeraźliwie, bez końca kwiczał koń. Ale Mat widział, że między wałem poległych a formacją Talmanesa nikt już nie trzyma się na nogach, prócz ludzi w zielonych napierśnikach i hełmach. Ludzi, którzy właśnie opuszczali łuki i miecze. Aes Sedai zacisnęły kurczowo dłonie na wysokich łękach swoich siodeł. One też dyszały ciężko. — To koniec, Mat! — nadbiegł z oddali okrzyk Talmanesa. - Ci, którzy jeszcze żyją, dogorywają. Żaden z głupców nie spróbował ucieczki.

Mat pokręcił głową. Oczekiwał, że z żądry złota będą na poły bezrozumni. A oni oszaleli do cna. Żeby wydostać się poza obręb formacji czworoboku, trzeba będzie odciągnąć na bok poległych i

padłe zwierzęta, więc Talmanes natychmiast posłał ludzi do tej roboty; już niektórzy przywiązywali liny do siodeł koni. Nikt nie chciał wspinać się na makabryczne zwałowisko. Nikt prócz Ogirów.

— Muszę się przekonać, czy nie znajdę zdrajcy — oznajmił Hartha i wraz z sześcioma Ogrodnikami zarzucili topory na ramiona; przeszli po górze poległych, jakby była z błota. — Cóż, przynajmniej w końcu załatwiłyśmy sprawę — powiedziała Joline, wycierając twarz koronkową chusteczką. Na jej czole zgromadziły się grube krople potu. — Zaciągnąłeś u nas dług wdzięczności, Mat. Aes Sedai z zasady nie mieszają się w prywatne wojny. Zastanowię się, jak będziesz mógł go spłacić. — Mat bez większego trudu potrafił sobie wyobrazić, co ona wymyśli. Musiała chyba sama oszaleć, jeśli sądziła, że się zgodzi. — To kusze załatwiły sprawę, *marath'damane* — stwierdził Musenge. Nie miał już na sobie hełmu, napierśnika i kaftana, a lewy rękaw koszuli oderwał, żeby jeden ze Straży mógł mu nałożyć opatrunek w miejscu, gdzie trafiła go strzała. Rękaw odszedł dziwnie łatwo, jakby szwy były słabe. Na ramieniu miał wytatuowanego kruka. — Kusze i ludzie o walecznych sercach. Nigdy nie dysponowałeś większymi siłami, nieprawdaż, Wasza Wysokość? — To nie było pytanie. — Nie licząc strat, jakie poniosłeś wcześniej.

— Mówiłem ci — powiedział Mat. — że wystarczy. — Nie miał zamiaru zdradzać temu człowiekowi nic więcej, niż musiał, ale Musenge pokiwał głową, jakby potwierdził w ten sposób jego wszystkie przypuszczenia.

Kiedy w stertach poległych oczyszczono przejście dość szerokie, by Mat i pozostali mogli przejechać, wrócili Hartha i Ogrodnicy.

— Znalazłem zdrajcę — obwieścił Hartha, unosząc za włosy odciętą głowę.

Brwi Musengego uniosły się do góry na widok smagłej twarzy z haczykowatym nosem.

— Na pewno chętnie zobaczy tę twarz — rzekł cicho. Cicho, jak cichy jest odgłos klingi wychodzącej z pochwy. — Trzeba jej jak najszybciej ją dostarczyć.

— Znasz go? — zapytał Mat.

— Znamy go, Wasza Wysokość. — Oblicze Musengego znieruchomiało nagle w kamienną maskę, co znaczyło, że już nic więcej nie powie.

— Posłuchaj, czy mógłbyś przestać mnie tak nazywać? Mam na imię Mat. Po dzisiejszym dniu masz prawo tak do mnie mówić. — Mat sam siebie zaskoczył, wyciągając rękę.

Kamień oblicza tamtego skruszał ze zdziwienia.

— Nie mogę, Wasza Wysokość — odparł zgorszonym tonem. — W momencie, w którym wzięła z tobą ślub, stałeś się Księciem Kruków. Gdybym wyrzekł twoje imię, przez resztą życia musiałbym wbijać wzrok w ziemię.

Mat zdjął kapelusz i podrapał się po głowie. Na lewo i prawo rozpowiadał, jak to nie lubi szlachty, jak to za nic nie chciałby być szlachcicem i naprawdę tak myślał. Wciąż tak myśleli. A teraz ni stąd, ni zowąd, chcąc nie chcąc, sam się kimś takim stał! Zrobił więc jedyną możliwą rzecz w tej sytuacji. Śmiał się, aż go rozboleł brzuch.

Pomieszczenie o czerwonych ścianach, którego sufit pomalowany był fantazyjnie w ptaki i ryby igrające wśród chmur i fal, pełne było odzianych na brązowo urzędników, przemykających w wolnych przestrzeniach między długimi stołami. Z pozoru nikt nie próbował podsłuchiwać — większość, nie bez powodu zresztą wydawała się oszołomiona — ale Suroth nie w smak była ich obecność. Musieli słyszeć część z tego, o czym mówiono, a wieści były potencjalnie złowieszcze. Galgan jednak nalegał. Powinni coś zrobić, żeby oderwać myśli od katastrofalnych wieści z domu, a wszyscy byli godnymi zaufania mężczyznami i kobietami. Nalegał! Przynajmniej siwowłosa nie założył tego ranka munduru. Jego obszerne, niebieskie spodnie i krótki, czerwony kaftan z niskim kołnierzem oraz rzędami złotych guzików ozdobionych godłem stanowiły ostami krzyk imperialnej mody. Kiedy przywdziewał zbroję albo bodaj swój czerwony mundur, czasami zachowywał się tak, jakby była jeszcze jednym żołnierzem oddanym mu pod komendę!

Cóż, kiedy Elbar powróci z wiadomością o śmierci Tuon, będzie można zabić Galgana. Teraz policzki miał posmarowane popiołem, podobnie jak ona. Statek, którego przybycie zapowiedziała Semirhage, przywiózł wieści o śmierci Imperatorowej i buntach szarpiących wszystkimi prowincjami Imperium. Nie było Imperatorowej, zniknęła Córka Dziewięciu Księżyców. W oczach pospółstwa świat znalazł się na krawędzi zagłady. Niektórzy z Krwi też tak to widzieli. Kiedy zginie Galgan i jeszcze parę osób, nikt nie przeszkodzi Suroth Sabelle Meldarath ogłosić się Imperatorową. Próbowwała nie myśleć o nowym imieniu, jakie przybierze. Wymyślanie nowego imienia przed faktem stanowiło zły omen.

Czoło Galgana przecinała głęboka zmarszczka, on sam pochylił się nad mapą i stuknął polakierowanym na czerwono paznokciem w góry na południowym wybrzeżu Arad Doman. Suroth nie miała pojęcia, jak się nazywają. Na mapie przedstawiającej całe Arad Doman, znajdowały się trzy znaczniki: jeden czerwony trójkąt i dwa białe kręgi, układające się w długą linię, wiodącą z północy na południe.

— Czy Turan zdobył dokładne informacje na temat liczebności oddziałów, które zeszyły z tych gór i przyłączyły się do Ituralde, kiedy ten wszedł na tereny Arad Doman, Yamada?

Policzki Efraima Yamady też pokrywał popiół, ponieważ należał do Krwi, nawet jeśli pomniejszej, włosy podgolone miał ze wszystkich stron z kosmykiem z tyłu, zamiast zwykłego wąskiego grzebienia na ogolonej czaszce. Tylko pospółstwo wokół stołu, niezależnie od szarzy, nie nosiło widocznych oznak żałoby. Yamada był siwiejący, wysoki, z szerokimi ramionami i wąskimi biodrami, miał na sobie niebiesko-złoty napierśnik i faktycznie zachował ślady urody młodości.

— Donosi, że jest ich przynajmniej sto tysięcy, kapitanie generale. Być może półtora raza tyle.

— A jak wielu ujawniło się, gdy Turan przekroczył granicę?

— Może dwieście tysięcy, kapitanie generale. Galgan westchnął i wyprostował się.

— A więc Turan ma jedną armię z przodu i drugą z tyłu, armie stanowią zapewne wszystkie siły Arad Doman i razem przytłaczają go liczebną przewagą. — Głupiec! Stwierdzał oczywistość.

— Turan powinien ogołocić Tarabon ze wszystkich mieczy i lanc! — warknęła Suroth. — Jeżeli przeżyje to fiasko, chcę jego

głowy!

Galgan zerknął na nią spod siwych brwi.

— Nie wydaje mi się, że lojalność Tarabonu jest już dość pewna, aby pozwolić sobie na taki krok — odrzekł sucho. — Poza tym ma *damane* i *rakeny*. To powinno zrekompensować niedostatki liczebności. Jeżeli już mowa o *damane* i *rakenach*, podpisałem rozkazy awansu Tylee Khirgan na porucznika generała i wyniesienia jej do pomniejszej Krwi, ponieważ ty się z tym ociągałaś, wreszcie powrotu *rakenów do Amadicii* i Altary. Chisen wciąż nie znalazł sprawcy tego drobnego zamieszania na północy, a mnie nie podoba się myśl, że ten ktoś zaczął się gdzieś, czekając, by wyjść, gdy Chisen powróci na Przełęcz Molvaine.

Suroth syknęła i zanim zdołał się powstrzymać, wbiła palce

zaciśniętych dłoni w plisy niebieskiej sukni. Nie zdradzi się z emocjami przed tym człowiekiem!

— Posuwasz się za daleko, Galgan — oznajmiła chłodno. —

Ja rozkazuję Zwiastunom. A obecnie dowodzę również Powrotem. Nie będziesz wypisywał żadnych rozkazów bez mojej kontrasygnaty.

— To dowodzisz Zwiastunami, którzy zostali podporządkowani dowództwu Powrotu — odparł spokojnie, a Suroth poczuła w ustach gorzki smak. Wieści z Imperium dodały Galganowi śmiałości. Najwyraźniej śmierć Imperatorowej podsunęła mu pomysł, by stać się pierwszym Imperatorem od dziewięciuset lat. Wychodziło na to, że będzie musiał umrzeć dziś w nocy. — Odnośnie zaś do twojego dowództwa nad Powrotem.. — Urwał na odgłos ciężkich butów w korytarzu.

Nagle drzwi do komnaty wypełniła Straż Skazańców, byli w

zbrojach, dłonie spoczywały na rękojeściach mieczy. Twarde oczy spoglądały spod czerwonozielonych hełmów, biegając po pomieszczeniu. Dopiero gdy poczuli się usatysfakcjonowani tym, co zobaczyli, odstąpili na bok — za nimi w korytarzu tłoczyły się dalsze sylwetki Straży Skazańców: ludzie i Ogirowie. Suroth ledwie zwróciła na nich uwagę. Jej wzrok przykuwała drobna, smągła kobieta w plisowanych błękitach z ogoloną głową i popiołem na policzkach. Całe miasto huczało. Więc nie mogła dotrzeć do swego pałacu, nie usłyszawszy wpierw o śmierci matki, śmierci wszystkich członków rodziny, lecz jej twarz była niczym maska. Kolana Suroth automatycznie dotknęły posadzki. Wokół niej klękała cała Krew, a pospolitacy korzyli się.

— Światłości dzięki za twój bezpieczny powrót, Wasza

Wysokość — powiedziała, dołączając do chóru reszty Krwi. A więc Elbar zawiódł. Nieważne. Tuon nie przybierze nowego imienia ani nie zostanie cesarzową póki żałoba nie dobiegnie końca. W tym czasie może zginąć, robiąc miejsce dla nowej cesarzowej.

— Pokaż im, co przyniósł mi kapitan Musenge, generale sztandaru Karede — powiedziała Tuon.

Wysoki mężczyzna z trzema ciemnymi piórami na hełmie pochylił się, żeby ostrożnie opróżnić płócienny worek na zielone płytki posadzki. Z worka coś wypadło, w powietrzu rozszedł się ohydny fetor rozkładu. Tamten upuścił worek, a potem przeszedł przez komnatę i stanął obok Suroth.

Chwilę zajęło jej, zanim w gnijącej masie mięsa rozpoznała charakterystyczny haczykowaty nos Elbara; gdy tylko się to stało, padła na posadzkę, korząc się, całując płytki. Jednak nie z desperacji. Wyjdzie z tego jakoś. Chyba że poddali Elbara śledztwu.

— Nisko opuszczam swe oczy, Wasza Wysokość, ponieważ jeden z moich ludzi obraził cię tak bardzo, że zdjęłaś mu głowę. — Obraził mnie — Tuon zdawała się ważyć słowa. — Można powiedzieć, że mnie obraził. Próbował mnie zabić.

Szmer rozszedł się po pomieszczeniu, a zanim Suroth choćby otworzyła usta, generał sztandaru Straży Skazańców postawił stopę na jej pośladvach, złapał w dłoń grzebień włosów i odgiął ciało do

tyłu. Nie broniła się. Tym sposobem tylko powiększyłaby hańbę.

— Nisko spuszczam swe oczy, Wasza Wysokość, ponieważ jeden z moich ludzi okazał się zdrajcą — powiedziała ochryple. Żałowała, że nie może mówić w naturalny sposób, ale ten przeklęty człowiek tak wygiął jej plecy, że dziw, iż w ogóle mogła mówić. — Gdybym go bodaj podejrzewała, sama poddałabym go przesłuchaniu. Ale jeśli mnie próbował obciążyć winą, wiedz, Wasza Wysokość, że zrobił to tylko po to, by chronić swych prawdziwych mocodawców. Mam na ten temat pewne podejrzenia, którymi, jeśli pozwolisz, podzielę się z tobą na osobności. — Przy odrobinie szczęścia może uda się zrzucić całą winę na Galgana. Pomocna może się okazać uzurpacja jej autorytetu, jakiej dokonał.

Tuon patrzyła ponad głowę Suroth. Spojrzała w oczy Galganowi, Abaldarowi, Yamadzie i wszystkim z Krwi, ale unikała wzroku Suroth.

— Jest rzeczą powszechnie wiadomą, że Zaired Elbar był człowiekiem zaprzędanym duszą i ciałem Suroth. Nie robił nic prócz tego, co ona nakazała. Tym samym nie ma już Suroth Sabelle Meldarath. Ta *da'covale* będzie spełniać wszystkie zachcianki Straży Skazańców, póki włosy nie odrosną jej na tyle, by wyglądała przyzwoicie, kiedy zostanie odesłana na targ niewolników.

Suroth nawet nie pomyślała o nożu, którym zamierzała otworzyć sobie żyły, nożu znajdującym się w jej apartamentach. W ogóle nie potrafiła o niczym myśleć. Zanim jeszcze zaczęła zdzierać z niej szaty, z jej gardła wydobyło się nieartykułowane wycie.

*

Po Tar Valon andorańskie słońce przypiekało mocno. Gdy tylko brama zamigotała i zniknęła, zamykając widok na Gaj Ogirów w Tar Valon, Pevara zdjęła płaszcz, upchnęła go za siodłem. Żadna z nich nie chciała, by ktoś był świadkiem ich wyjazdu. Z tego też powodu wrócą także do Gaju, chyba że sprawy pójdą bardzo źle. W takim wypadku pewnie nigdy nie wrócą. Osobiście sądziła, że stojące przed nimi zadanie wymaga kogoś łączącego nadzwyczajne zdolności dyplomatyczne z odwagą lwa. Cóż, nie uważała siebie za tchórzliwą. Tego przynajmniej była pewna.

— Gdzie się nauczyłaś splotu pozwalającego nałożyć na Strażnika więź zobowiązań? — zapytała zniecierpliwiona Javindhra, w podobny sposób pozbywając się wierzchniego okrycia.

— Powinnaś pamiętać, że to ja kiedyś zaproponowałam, iż Czerwonym siostronom przydałoby się Strażnicy. — Pevara wsunęła dłonie w czerwone rękawiczki do konnej jazdy, w istocie lekceważąc pytanie. Spodziewała się, że padnie. — Dlaczego zaskakuje was, że znam splot? — Po prawdzie, to musiała zapytać Yukiri i tylko z najwyższym wysiłkiem uniknęła wyjawienia prawdziwego powodu. Wątpiła wszakże, by Yukiri nabrała podejrzeń. Czerwona siostra nakładająca więź zobowiązań Strażnikowi była równie wiarygodna co latająca kobieta. Ale rzecz jasna, po to właśnie przybyła do Andoru. Po to przybyły wszystkie.

Javindhre do wyjazdu z nimi zmusiło dopiero polecenie Tsutamy, wydane, gdy okazało się, że Pevara i Tarna nie potrafią podać wystarczającej liczby imion ochotniczek, aby zadowolić Najwyższą. Zasiadająca Komnaty o kwadratowej twarzy nawet nie zatroszczyła się, by ukryć swe niezadowolenie, przynajmniej przed Pevarą, choć w obecności Tsutamy maskowała je idealnie. Tarna oczywiście też z nimi pojechała, jasnowłosa i zimna niczym lód, stułę Opiekunki zostawiła w Białej Wieży i tylko szare suknie do konnej jazdy haftowane były aż do kolan czerwienią. Opiekunka Kronik Elaidy będzie miała trudności z zatrzymaniem Strażnika, choć i tak mężczyźni mieli zamieszkać w mieście, z dala od Wieży — z drugiej strony, wszystko od początku było jej pomysłem, więc jeśli nawet nie była ochocza, to przynajmniej zdeterminowana wziąć udział w eksperymencie. Poza tym decydowała tu konieczność zgromadzenia odpowiedniej liczby sióstr, ponieważ tylko trzem

idea się spodobała i zgłosiły się na ochotnika. Zasadnicze zadanie Czerwonych, czyli znajdowanie mężczyzn potrafiących przenosić i sprowadzanie ich do Wieży w celu poskromienia, utrwaliło się w dziejach tak dawno, że w istocie zatruło stosunek Czerwonych do wszystkich mężczyzn, nic dziwnego więc, iż odzew na ich poszukiwania był mizerny. Jezrail była Tairenianką o kwadratowej twarzy, która przechowywała malowaną miniaturę chłopca, za którego omal nie wyszła, zanim przybyła do Wieży. Jego wnuki były już pewnie rodzicami, a ona wciąż wspominała go z czułością. Desala, piękna Cairhienianka z wielkimi, ciemnymi oczyma i nieszczęsnym temperamentem, korzystała z każdej szansy, by tańczyć do upadłego z różnymi mężczyznami. A Melare, pulchna, bystra, rozmiłowana w sztuce konwersacji, posyłała pieniądze do Andoru, by opłacać naukę swoich pociotków, jak wcześniej opłacała naukę siostrzeńców i siostrzenic.

Zmęczona szukaniem drobnych wskazówek, ewentualnie pomyślnego stosunku do ich sprawy, zmęczona delikatnym sondowaniem tego, co naprawdę mogą znaczyć, Pevara przekonała Tsutamę, że sześć na początek wystarczy. Zbyt liczny oddział mógłby wzbudzić jakąś niepożądaną reakcję. Mimo wszystko, gdyby wszystkie Czerwone Ajah albo bodaj połowa pojawiły się pod Czarną Wieżą mogłoby to być uznane za akt wypowiedzenia wojny. Nie sposób przewidzieć, do jakiego stopnia mężczyźni zachowali zdrowe zmysły. Za plecami Tsutamy zgodziły się wszystkie na jedno. Nie nałożą więzi zobowiązań żadnemu mężczyźnie zdradzającemu oznaki szaleństwa. To znaczy, jeśli tamci pozwolą któremukolwiek nałożyć więzi zobowiązań.

Siatki szpiegowskie Ajah w Caemlyn słały obszerne raporty na temat Czarnej Wieży, niektóre z ich oczu i uszu znalazły nawet zatrudnienie wewnątrz, więc nie miały najmniejszych kłopotów ze znalezieniem mocno zużytego bitego traktu, który prowadził od miasta do pretensjonalnej czarnej bramy sklepionej podwójnym łukiem, wysokiej prawie na pięćdziesiąt stóp i szerokiej na dziesięć pięćdziesiąt, zwieńczonej krenelażami wokół skierowanej w dół centralnej kamiennej iglicy, i otoczonej z dwóch stron krenelażowanymi, czarnymi wieżami, wznoszącymi się na wysokość co najmniej pięćdziesięciu pięćdziesiąt. Brama nie miała żadnych wież, które można by faktycznie zawrzeć, a czarny, kamienny mur, który ciągnął się jak wzrokiem sięgnąć na wschód i zachód i w który wbudowano w pewnych odstępach bastiony i wieże, nigdzie nie był wyższy niż na cztery, pięć kroków. Na nierównym szczycie rosło zielsko i trawy, teraz delikatnie falujące na wietrze. Te niedokończone ściany wyglądały, jakby miano ich nigdy nie skończyć i nadawały bramie wygląd niedorzeczny.

Niemniej trzej mężczyźni, którzy zniecka pojawili się w przestrzeni bramy, nie mieli w sobie nic niedorzecznego. Odziani byli w długie, czarne kaftany, u boków mieli miecze. Jeden, szczupły młodzieniec z podkręconymi wąsami, miał wpiętą w wysoki kołnierz szpilkę w kształcie miecza. Oddany, Pevara zwalczyła odruch, by uznać go za odpowiednika Przyjętej, a pozostałych jako nowicjuszy. Nowicjuszek i Przyjęte pozostawały pod ochroną kierowano nimi, póki nie wiedziały dość o Mocy, żeby stać się Aes Sedai. Natomiast z licznych raportów wynikało, że Żołnierzy i Oddanych traktowano jako gotowych do boju niemalże od momentu, gdy nauczyli się przenosić. I od pierwszego dnia przymuszano, wywierano presję, by chwytali tyle *saidina*, ile tylko mogli i wykorzystywali przy każdej okazji. Mężczyźni umierali od takiego traktowania, nazywano to „stratami w trakcie szkolenia”, jakby śmierć można było skryć za biurokratycznym żargonem. Na samą myśl o utraceniu w ten sposób nowicjuszek czy Przyjętej Pevarze wywracał się żołądek, ale wyglądało na to, że mężczyźni spokojnie przechodzili nad tym do porządku. — Życzę wam miłego poranka, Aes Sedai — powiedział Oddany, kłaniając się lekko, gdy ściągnęły przed nim wodze swych koni. Ukłon był nadzwyczaj płytki, on zaś ani razu nie spuścił z nich wzroku. Akcent sugerował mieszkańca Murandy. — Ale pytaniem pozostaje, czegoż sześć sióstr może szukać u bram

Czarnej Wieży w tak miły poranek?

— Chcemy się widzieć z M'Haelem — odrzekła Pevara, cudem nie zająknąwszy się na tym słowie. W Dawnej Mowie oznaczało ono „wodza”, ale funkcjonując samo, bez kontekstu innych słów, miało znacznie silniejsze brzmienie, sugerując wodza wszystkiego i wszystkich.

— Ach, widzieć się z M'Haelem, doprawdy? A z jakich to Ajah, jeśli mogę spytać?

— Czerwonych — odparła Pevara i przyglądała się, jak tamten kilkakrotnie mruga. Nadzwyczaj satysfakcjonujące. Ale niezbyt pomocne.

— Czerwonych — powtórzył głosem bez wyrazu. Niemniej zaskoczenie nie trwało długo. — Dobrze więc. Enkazin, al'Seen, zostańcie na warcie, a ja tymczasem dowiem się, co M'Hael na to. Odwrócił się, a w powietrzu przed nim pojawiła się srebrna pionowa pręga bramy, potem rozszerzyła się, tworząc otwór wielkości drzwi. Większej stworzyć nie potrafił? W Wieży dyskutowały trochę nad kwestią czy lepiej nałożyć więź zobowiązań mężczyznom najsilniejszym, czy raczej słabym. Słabych można by łatwiej kontrolować, podczas gdy silni mogli się okazać — z pewnością się okażą — bardziej użyteczni. Nie osiągnęły konsensusu, każda siostra miała decydować za siebie. Tymczasem Oddany wskoczył w bramę, która zamknęła się za nim, zanim Pevara miała możliwość zobaczyć coś więcej niż białą kamienną platformę ze schodkami z jednej strony, a nad nią lity czarny kamień, który mógł być jednym z kamieni budulcowych ściany, wypolerowany do połysku.

Pozostali dwaj stali pod podwójnym łukiem, jakby chcieli zagrozić siostronom drogę. Jeden był chudym Saldaeaninem o wydatnym nosie, w wieku pewnie już średnim i wyglądał na urzędnika — może chodziło o to, że garbił się lekko, jakby długie godziny spędzał pochylony nad biurkiem; drugi był ledwie chłopcem, właściwie prawie dzieckiem jeszcze i wciąż odgarniał dłonią włosy, które niesforny wiatr zrzucał mu na oczy, Żaden nie wykazywał śladu lęku, że stoją samo wtór wobec sześciu sióstr. Jeśli byli sami. Może w tych wieżach znajdowali się inni? Pevara powstrzymała się, by nie zerkać na szczyty wież.

— Ty tam, chłopcze — zagaiła Desala głosem jak dzwoneczki. Dzwoneczki śpiewające gniewem. Najłatwiejszym sposobem prowokacji było skrzywdzenie dziecka. — Powinieneś być w domu z matką i uczyć się czytać. Co tu robisz? — Chłopak spłonął szkarłatem i znowu odgarnął włosy z czoła.

— Saml jest w porządku, Aes Sedai — powiedział Saldaeanin, klepiąc chłopaka po ramieniu. — Szybko się uczy, nie trzeba mu nic dwa razy pokazywać. — Chłopak wyprostował się, na jego twarzy rozbłysła duma, wsunął kciuki za pas od miecza. Miecz w jego wieku! Prawda, synowie szlachty zaczynali się wprawiać we władaniu mieczem na kilka lat przed osiągnięciem wieku Samla, ale nikt nie powinien mu pozwolić z nim paradować!

— Pevara — chłodno oznajmiła Tarna. — Żadnych dzieci, Wiem, że mają tu dzieci, ale żadnych dzieci.

— Światłości! — westchnęła Melare. Siwa klacz wyczuła jej wzburzenie i zarzuciła łbem. — Z pewnością żadnych dzieci!

— To byłoby odrażające — dodała Jezrail.

— Żadnych dzieci — szybko zgodziła się Pevara. — Myślę, że zanim coś więcej powiemy, powinniśmy poczekać na spotkanie z panem... z M'Haelem. — Javindhra parsknęła.

— Co znaczy, żadnych dzieci, Aes Sedai? — zapytał Enkazin, marszcząc brwi. — Co znaczy, żadnych dzieci? — powtórzył, gdy żadna mu nie odpowiedziała.

Już nie wyglądał na skromnego urzędnika. Wciąż był zgarbiony, ale oczy o nakrapianych tęczęwkach znieścacka popatrzyły... groźnie. Czy dzierżył męską połowę Źródła? Na samą możliwość dreszcz przebiegł po plecach Pevary, mimo to odepchnęła pokusę objęcia *saidara*. Niektórzy z

umiejących przenosić mężczyzn chyba potrafili wyczuć, kiedy kobieta obejmowała Moc. Enkazin wyglądał obecnie, jakby nieobce mu były pochopne czyny.

Czekali w ciszy przerywanej od czasu do czasu stukiem kopyta przestępującego z nogi na nogę konia, Pevara oddawała się ćwiczeniom w cierpliwości, Javindhra narzekała pod nosem. Pevara nie potrafiła usłyszeć słów, ale ton narzekania był oczywisty. Tarna i Jezrail wydobyły z juków książki i pogрузyły się w lekturze. Dobrze. Niech ci Asha'mani widzą ich bez troskę. Ale chyba nawet chłopak nie był pod wrażeniem. On i Saldaeanin stali w przestrzeni bramy, przyglądając im się, prawie nie mrugając oczyma.

Po jakiejś może półgodzinie otworzyła się większa brama i wyszedł z niej Murandianin.

— M'Hael przyjmie was w pałacu, Aes Sedai. Jedźcie. — Skinieniem głowy wskazał bramę.

— Nie pokażesz nam drogi? — zapytała Pevara, zsiadając z konia. Brama była spora, mimo to musiałyby się schylać, przejeżdżając przez nią.

— Po drugiej stronie będzie na was ktoś czekał, on pokaże drogę. — Wybuchnął śmiechem. — M'Hael nie obraca się w towarzystwie takich jak ja. — Pevara postanowiła zapamiętać sobie to zdanie do późniejszego przemyślenia.

Gdy tylko ostatnia z nich znalazła się po drugiej stronie, przy białej, kamiennej platformie z jej lśniącym niczym lustro czarnym kamieniem, brama zamigotała i zniknęła, ale na miejscu nie były same. Czterech mężczyzn i dwie kobiety w zgrzebnych wełnach wzięli od nich wodze koni, a smagły, mocno zbudowany mężczyzna ze srebrnym mieczem i węzową czerwonozłotą sylwetką smoka na wysokim kołnierzu czarnego kaftana, uklonił się im nieznacznie.

— Proszę za mną — rzekł krótko z taraboniańskim akcentem. Jego oczy były niczym dwa świdy.

Pałac, o którym wspominał Murandianin, nie musiał się wstydzić tego określenia — dwa piętra białego marmuru, zwieńczone spiczastymi kopułami i iglicami w stylu saldaeańskim, oddzielone od nagiej, ubitej ziemi szeroką, białą platformą. Nie był to może najbardziej okazały z pałaców, niemniej większość szlachty zazwyczaj zajmowała budynki mniejsze i mniej dostojne. Rozległe, kamienne schody prowadziły do szerokiego podestu przed wysokimi, podwójnymi drzwiami. Na obu skrzydłach drzwi wyrzeźbiono i pozłożono urękawiczoną pięść, ściskającą trzy błyskawice. Drzwi otworzyły się, zanim Tairenianin do nich dotarł, choć wokół nie było widać śladu służby. Mężczyzna musiał przenieść. Pevarę znowu przeszył ten dreszcz. Javindhra mruknęła coś pod nosem. Tym razem brzmiało to jak modlitwa.

Pałac mógł należeć do dowolnego szlachcica znajdującego upodobanie w gobelinach ze scenami batalistycznymi oraz czerwonych i czarnych płytkach posadzki, tyle że w zasięgu wzroku nie było żadnej służby. Wiadomo, że ma służących i tylko Czerwone Ajah nie zdołały zainstalować wśród nich swoich oczu i uszu, ale czy kazał im trzymać się z dala, kiedy ich nie potrzebował, czy teraz usunął ich z korytarzy? Może nie chciał, by ktokolwiek widział sześć Aes Sedai. Ta linia rozumowania doprowadziła Pevarę do konkluzji, których wołałaby raczej nie brać pod uwagę. Zanim opuściła Białą Wieżę, rozważyła spokojnie wszelkie możliwe zagrożenia. Nie było sensu teraz ich roztrząsać.

Komnata, do której zaprowadził je Tairenianin, była prawdziwą salą tronową pierścień spiralnie rzeźbionych, czarnych kolumn podtrzymywał największą zapewne kopułę tego przybytku, wnętrze komnaty aż ociekało od poźłoty, z sufitu liczne pozłacane lampy zwisały na pozłacanych łańcuchach. Na dodatek pod ścianami stały wysokie lampy z odbłaśnikami. Po obu stronach sali stała może setka ludzi w czarnych kaftanach. Każdy miał przy kołnierzu miecz i smoka, a twarze ich były twarde, poządliwe, okrutne. Sto par oczu spoczęło na niej i pozostałych siostrach.

Tairenianin nie zaanonsował ich, po prostu bez słowa przyłączył się do cizby Asha'manów i

pozwoił samym przejść przez komnatę. Płytki posadzki tutaj też układały się w czerwono-czarną szachownicę. Taim musiał szczególnie lubić te dwa kolory. On sam rozpiął się na siedzisku, zasługującym w każdym calu na miano tronu: masywne krzesło, równie mocno rzeźbione i złoczone, co każdy tron, jaki widziała w życiu, ustawione na szczycie podwyższenia z białego marmuru. Pevara skupiła na nim wzrok i nie tylko po to, by uniknąć śledzących ją spojrzeń wszystkich mężczyzn, którzy potrafili przenosić. Mazrim Taim przyciągał wzrok. Był wysoki, z mocno zakrzywionym nosem, otaczała go aura fizycznej siły. I atmosfera mroku. Nogi miał skrzyżowane w kostkach, jedną rękę swobodnie przewiesił przez poręcz tronu, a mimo to wyglądał, jakby w każdej chwili gotów był eksplodować gwałtem. Ciekawe, że choć czarny kaftan miał haftowany w niebiesko-złote smoki owijające się wokół rękawów od łokci po mankiety, nie widać było odznak przy kołnierzu.

— Sześć sióstr z Czerwonych Ajah — powiedziały, kiedy zatrzymały się przed podwyższeniem. Jego oczy... Wcześniej wydawało jej się, że to Tairenianin miał oczy jak świdy. — Spodziewam się, że nie przybyłyście nas wszystkich poskromić. — W pomieszczeniu rozległy się chichoty. — O czym więc chciałybyście ze mną rozmawiać?

— Jestem Pevara Tazanovni, Zasiadająca Komnaty z ramienia Czerwonych — przedstawiła się. — To jest Javindhra Doraille, również Zasiadająca z ramienia Czerwonych. Pozostałe to: Tarna Feir, Desala Nevanche...

— Nie pytałem was o imiona — uciął zimno Taim. — Pytałem, po co tu przybyłyście?

Nie zapowiadało się dobrze. Udało jej się opanować pragnienie wciągnięcia głębokiego oddechu, ale ledwo. Na zewnątrz była zimna i spokojna. Wewnątrz zastanawiała się, czy końcem tego dnia nie będzie siłą narzucona im więź zobowiązań. Albo śmierć.

— Chcemy omówić kwestię nałożenia Asha'manom więzi zobowiązań i uczynienia z nich Strażników. Mimo wszystko, wyście nałożyli zobowiązania pięćdziesięciu jeden siostram. Wbrew ich woli. — Najlepiej niech zdaje sobie sprawę, że od początku wiedziały. — Jednakowoż my nie proponujemy nikomu więzi wbrew jego woli.

Wysoki, złotowłosa mężczyzna stojący blisko podwyższenia wyszczerzył do niej zęby.

— Dlaczego mielibyśmy pozwolić Aes Sedai, by jakimkolwiek m... — Coś niewidzialnego uderzyło go w bok głowy tak mocno, że cisnęło nim w powietrze, a zanim zwałił się bezwładnie na posadzkę, oczy już miał zamknięte, krew ciekła z nosa.

Szczupły, łysiejący i siwawy mężczyzna z rozwidloną brodą pochylił się, żeby palcem wskazującym dotknąć głowy tamtego.

— Żyje — powiedział, prostując się. — Ale ma pękniętą czaszkę i złamaną szczękę. — Równie dobrze mógłby mówić o pogodzie. Żaden z mężczyzn nie zaproponował tamtemu Uzdrawiania. Żaden!

— Dysponuję pewnymi skromnymi zdolnościami Uzdrawiania — powiedziała Melare, zbierając spódnice i ruszając w kierunku leżącego mężczyzny. — Myślę, że dość już tego. Jeśli pozwolisz. Taim pokręcił głową.

— Nie udzielam ci pozwolenia. Jeżeli Mishraile przeżyj do zmierzchu, zostanie Uzdrawiony. Być może ból nauczy go, że lepiej trzymać język za zębami. Powiadacie, że chcecie związać ze sobą Strażników? Czerwone?

W ostatnim słowie zmieściło się mnóstwo pogardy, ale Pevara postanowiła ją zignorować. Natomiast oczy Tarny mogłyby chyba zamrozić słońce. Pevara ostrzegawczo położyła dłoń na ramieniu tamtej, równocześnie nie przestając mówić:

— Czerwone mają doświadczenie z mężczyznami, którzy potrafią przenosić. — Szmer podniósł się wśród zgromadzonych Asha'manów. Gniewny szmer. To również zignorowała. — Nie boimy się ich.

Obyczaje czasem równie trudno zmienić co prawa, może niekiedy trudniej, ale postanowiłyśmy zmienić nasze. Odtąd Czerwone siostry mogą nakładać Strażnikom więzi zobowiązań, ale tylko na mężczyzn, którzy potrafią przenosić. Każda siostra może wziąć sobie tylu Strażników, ilu będzie chciała. Wnioskując z przykładu Zielonych, spodziewam się, że nie będzie to więcej niż trzech czy czterech. — Proszę bardzo.

Tym razem wbrew najszczerzszym wysiłkom Pevara zamrugła. — Proszę bardzo? — Chyba musiała go źle zrozumieć. Przecież nie mógł dać się przekonać tak łatwo.

Oczy Taima zdawały się wiercić dziury w jej głowie. Rozłożył ręce, ale to już był czysto szyderczy gest.

— A co chcesz, żebym odpowiedział? Wet za wet? Po równo? Usłyszałaś „proszę bardzo”, więc zapytaj, który z nich zgodzi się na nałożenie więzi zobowiązań. Poza tym, wspomnij stare porzekadło: „Niechaj władca chaosu zapanuje wnet”. — Komnata eksplodowała śmiechem.

Pevara nigdy nie słyszała takiego porzekadła. Tamci się śmiali, a jej włosy stawały dęba na głowie.

GLOSARIUSZ

Nota o datach w poniższym glosariuszu

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwu stuleci po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele z jego zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Tiam z Gazar opracował zatem nowy kalendarz, którego początkiem był koniec Wojen i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Jastrzębie Skrzydło starał się wprowadzić kolejny kalendarz, datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po ogólnej destrukcji, śmierci i zniszczeniach, które przyniosła z sobą Wojna Stu Lat, pojawił się następny kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Farede, Panarch Tarabonu. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, pozostaje obecnie w powszechnym użyciu.

Aelfinn: Rasa istot z wyglądu zasadniczo przypominających człowieka, ale z wyraźnymi wężopodobnymi cechami, które udzielają prawdziwych odpowiedzi na trzy pytania. Niezależnie od natury tych pytań, odpowiedzi na nie są zawsze prawdziwe, nawet jeśli często udzielane w słowach niejasnych; dodatkowo należy podkreślić, że pytania dotyczące Cienia mogą się okazać skrajnie niebezpieczne. Ich miejsce zamieszkania pozostaje nieznanne, aczkolwiek skontaktować się z nimi można, przechodząc przez ter'angreal, który ongiś pozostawał w Mayene, a obecnie znajduje się w Kamieniu Łzy. Istnieją także doniesienia, w myśl których dotrzeć do nich można, wchodząc do Wieży

Ghenjei. Mówią Dawną Mową, znają traktaty i umowy, wchodzącym do ich domeny zadają pytania o to, czy ci mają przy sobie żelazo,

również: Eelfinn.

Amayarowie: Mieszkańcy wysp Ludu Morza. Ze względu na to, że nie odbywają dalekich podróży morskich, o ich istnieniu wie mało kto poza Atha'an Miere, ale to właśnie oni wytwarzają słynną na cały świat porcelanę Ludu Morza. Są wyznawcami Drogi Wody, która każe akceptować to, co jest, zamiast pragnąć tego, co by się chciało; otwarte morze przeraża ich, co sprawia, że wyprawiają się na nie tylko w niewielkich łodziach rybackich, nigdy nie tracąc z oczu lądu. Prowadzą nadzwyczaj pokojowy tryb życia, nie wymagający szczególnych zabiegów ze strony gubernatorów, jakich stawiają nad nimi Atha'an Miere. Ponieważ dla odmiany gubernatorzy Atha'an Miere zazwyczaj nie lubią się osiedlać z dala od morza, Amayarowie w istocie sami rządzą własnymi wioskami, stosując się do własnych praw i obyczajów.

Arad Doman: Naród mieszkający na wybrzeżu Oceanu Aryth. Obecnie rozrywany wojną domową oraz walkami z osobami, które opowiedziały się po stronie Smoka Odrodzonego. Stolicą kraju jest Bandar Eban. W Arad Doman władcę (króla albo królową) wybiera rada przedstawicieli cechów kupieckich (Rada Kupców), która prawie zawsze składa się wyłącznie z kobiet. Król lub królowa musi pochodzić z arystokracji, nie zaś z warstwy kupieckiej i potencjalnie rządzi dożywotnio. Oficjalnie król lub królowa posiada władzę absolutną, chociaż Rada może go (albo ją) usunąć trzema czwartymi głosów swoich członków. Obecnym władcą jest Król Alsalam Saeed Almadar, Lord Almadar, Głowa Dynastii Almadar. Jego aktualne miejsce pobytu okryte jest tajemnicą.

Asha'man: (1) W Dawnej Mowie „opiekun” albo „obrońca”, z dodatkowym zaznaczeniem, iż jest to obrońca prawdy i sprawiedliwości. (2) Miano oznaczające zarówno zbiorowość, jak i rangę, nadawane mężczyznom, którzy przybyli do Czarnej Wieży, położonej koło Caemlyn w Andorze, aby tam uczyć się przenoszenia Mocy. Ich szkolenie skupia się na metodach wykorzystania Jedynej Mocy w charakterze broni, a kiedy już nauczą się obejmować saidina, czyli męską połowę Prawdziwego Źródła, to wówczas wymaga się od nich wykonywania wszystkich obowiązków z użyciem Mocy, co stanowi kolejne odejście od zasad przestrzeganych w Białej Wieży. Nowo przyjęty mężczyzna otrzymuje tytuł Żołnierza; nosi prosty, skrojony na andorańską modłę, czarny kaftan z wysokim kołnierzem. Po wyniesieniu do rangi Oddanego uzyskuje prawo do wpinania w kołnierz kaftana srebrnej szpili zwanej Mieczem. Awans do rangi Asha'mana równa emalii broszy. Mimo iż wiele kobiet, w tym również żony, ucieka, gdy odkrywają, że ich mężczyźni potrafią przenosić Moc, to jednak całkiem sporo mieszkańców Czarnej Wieży jest żonatych i tacy stosują własną odmianę więzi Strażnika, za której pomocą łączą się z żonami. Ta sama więź, przekształcona tak, by narzucać posłuszeństwo, jest ostatnimi czasy wykorzystywana do wiązania pojmanych do niewoli Aes Sedai. Asha'manom przewodzi Mazrim Taim, który każe mówić na siebie M'Hael, co w Dawnej Mowie oznacza „wodza”.

Balwer, Sebban: Oficjalnie były sekretarz Pedrona Nialla (Lord Kapitan Komandor Synów Światłości), potajemnie jego mistrz szpiegów. Z sobie tylko wiadomych powodów pomógł Mor-gase (kiedyś Królowej Andoru) w ucieczce przed Seanchanami z Amadoru, po czym znalazł zatrudnienie na posadzie sekretarza Perrina tBashere Aybary i Faile ni Bashere tAybara. Niemniej z czasem zakres jego obowiązków rozrósł się i teraz kieruje działaniami Cha Faile, jest też mistrzem szpiegów Perrina, choć Perrin go za takiego nie uważa. Patrz: Cha Faile.

Cha Faile: (1) W Dawnej Mowie „Szpon Sokoła” (2) Nazwa przyjęta przez młodych Cairhienian i Tairenian, rzekomych wyznawców ji'e'toh, którzy przysięgli lojalność Faile ni Bashere tAybara. Działają potajemnie jako jej osobista służba zwiadowczo-szpiegowska. Od czasu porwania Faile przez Shaido Aiel Cha Faile kontynuuje swoją działalność pod kierownictwem Sebbana Balwera.

Choraży: Stopień wojskowy Seanchan równorzędny istniejącemu obecnie pod tym samym mianem w dawnej domenie Artura Jastrzębie Skrzydło.

Corenne: W Dawnej Mowie „Powrót”. Termin, jakim Scanclut-nie określają zarówno flotę złożoną z tysięcy statków, jak i setki tysięcy żołnierzy, rzemieślników i innych przewożonych przez te statki osób, które przybędą śladem Zwiastunów, by na powrót przejąć ziemie ukradzione potomkom Artura Jastrzębie Skrzydło. Corenne dowodzi kapitan-generał Luną Galgan. Patrz również: Hailene, Rhyagelle.

cuendillar. Przypuszczalnie niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta podczas próby rozbicia go zostaje wchłonięta, sprawiając, że cuendillar staje się jeszcze mocniejszy. Chociaż tajemnica związana ze stworzeniem cuendillar a uważana jest za przedmiotach z niego wykonanych. Cuendillar jest również znany jako prakamień.

Czerwonoręcy: Żołnierze Legionu Czerwonej Ręki, których wybrano do tymczasowych obowiązków typu policyjnego, pilnowali zatem, czy inni żołnierze Legionu nie powodują kłopotów lub szkód w jakimś mieście albo wsi. Nazwani tak ze względu na noszone podczas służby szerokie czerwone opaski naramienne, które przykrywają im prawie całe rękawy. Zwykle wybierani spośród mężczyzn doświadczonych i godnych zaufania. Odkąd za wszelkie szkody muszą płacić sami, Czerwonoręcy z całych sił starają się dopilnować spokoju i porządku. Pewna liczba byłych Czerwonorękich udała się za Matem Cauthonem do Ebou Dar. Patrz również: Shen an Calhar.

da'covale: (1) W Dawnej Mowie termin oznaczał dosłownie „tego, kogo się posiada” względnie „osobę, która stanowi własność”. (2) U Seanchan słowem tym często określa się niewolników. Niewolnictwo ma w przypadku tego narodu długą i niezwykłą historię, tym bardziej że niewolnicy mieli u Seanchan prawo do zajmowania wysokich stanowisk i sprawowania władzy także nad ludźmi wolnymi. Patrz również: sojhin.

der'morat: (1) W Dawnej Mowie „mistrz tresury” (2). U Seanchan przyrostek dodawany w celu wyróżnienia doświadczonego, obdarzonego wysokimi umiejętnościami tresera egzotycznych istot, osobę, która szkoli innych treserów, np. der'morat'raken. Der'morat mogą się cieszyć stosunkowo wysoką pozycją społeczną, przy czym najwyższą zajmują der'sul'dam (treserzy sul'dam) zaliczający się do relatywnie wysokich rangą oficerów woj skowych. Patrz również: morat.

Dłoń: W Seanchan tym pojęciem nazywa się głównego asystenta lub szczebel w hierarchii imperialnych funkcjonariuszy. Dłoń Imperatorowej jest Pierwszej Rangi, a w skład niższych rang wchodzi Pomniejsze Dłonie. Niektóre Dłonie operują w tajemnicy, wśród nich te, które kierują pracą Poszukujących i Słuchaczy; inne działają jawnie, a ich rangę znamionuje odpowiednia liczba złotych dłoni wyhaftowanych na ubraniu.

Eelfinn: Rasa istot z wyglądu zasadniczo przypominających człowieka, ale z wyraźnymi cechami lisimi, które spełniają trzy życzenia, aczkolwiek w zamian za określoną cenę. Jeżeli ubiegający się o spełnienie życzenia nie wynegocjuje własnej ceny, Eelfinn sami ją wyznaczają. W takich okolicznościach swej części umowy, choć sposób, w jaki tego dokonują, rzadko kiedy ma cokolwiek wspólnego z tym, o czym myślał autor życzenia. Ich miejsce zamieszkania pozostaje nieznane,

aczkolwiek skontaktować się z nimi można było, przechodząc przez ter'angreal, który ongiś znajdował się w Rhuidean, a następnie został zabrany przez Moiraine Damodred do Cairhien, gdzie został zniszczony. Istnieją także doniesienia, w myśl których dotrzeć do nich można, wchodząc do Wieży Ghenjei. Wchodzącym do ich domeny zadają te same pytania co Aelfinn, dotyczące ognia, żelaza oraz instrumentów muzycznych. Patrz również: Aelfinn.

Fain, Padan: Były Sprzymierzeniec Ciemności, obecnie ktoś jeszcze gorszy niż Sprzymierzeniec i w takim samym stopniu wróg Przeklętych, jak i Randa al'Thora, którego nienawidzi całą duszą. Ostatnio widziany w Far Madding z Toramem Riatinem.

Fel, Herid: Autor dzieła Rozum i nierozum, a także innych książek. Fel był studentem (i nauczycielem) historii i filozofii w Akademii Cairhien. Znaleziono go w gabinecie z oderwanymi od ciała kończynami.

forsowanie, bycie forsowanym: Kiedy osoba dysponująca zdolnością przenoszenia przez dłuższy czas przenosi tyle Jedynej Mocy, ile tylko jest w stanie, lub przenosi moc bezustannie, uczy się szybciej i szybciej też rośnie w siłę. Ten sposób uczenia się zwany jest przez Aes Sedai forsowaniem lub byciem forsowanym i zdecydowanie nie jest przez nie zalecany jako forma szkolenia nowicjuszek oraz Przyjętych, ze względu na groźbę utraty życia czy wypalenia się uczennicy.

Gwardia Królowej: Elitarna formacja militarna w Andorze. W okresie pokoju Gwardia odpowiada za przestrzeganie praw Królowej i utrzymanie porządku. Gwardziści noszą czerwone kaftany, składające się z pancerza i kolczugi błyszczące zbroje, olśniewające czerwone płaszcze i stożkowe hełmy z kratowaną przyłbicą. Oficerowie wysokiej rangi noszą na ramieniu węzły rangi, na buty zaś mają prawo zakładać złote ostrogi zakończone lwimi głowami. Ostatnio Gwardię Królowej zasilila osobista straż przyboczna Dziedziczki Tronu, którą tworzą prawie wyłącznie kobiety — z wyjątkiem ich kapitana, Doilina Mellara. Gwardzistki noszą znacznie bardziej zdobne mundury niż ich męscy odpowiednicy, w ich skład wchodzi kapelusze o szerokich

hełmy, jak też białe koronkowe szarfy z Białym Lwem Andoru.

Hailene: W Dawnej Mowie „Zwiastuni” albo „Ci, Którzy Przybyli Wcześniej”. Miano, jakie Seanchanie nadali wielkiemu korpusowi ekspedycyjnemu wysłanemu na drugi brzeg Oceanu Aryth w celu przeprowadzenia rekonesansu na ziemiach, którymi niegdyś władał Artur Jastrzębie Skrzydło. Obecnie Hailene, którymi dowodzi Wysoka Lady Suroth i których szeregi, dzięki wcieleniu rekrutów z podbitych ziem, uległy znacznemu zwielokrotnieniu, dalece powiększyli zakres swych zadań, które teraz znacznie wykraczają poza pierwotny cel. Właściwie ich rolę przejął Coreenne. Patrz: Coreenne, Rhyagelle.

Hanlon, Daved: Sprzymierzeniec Ciemności, były dowódca Białych Lwów na służbie u Przeklętego Rahvina, gdy ten, jako lord Gaebril, władał Caemlyn. Stamtąd Hanlon zabrał Białe Lwy do Cairhien z rozkazem poparcia rebelii przeciwko Smokowi Odrodzonemu. Białe Lwy rozbiła „bańka zła”, a Hanlonowi kazano wrócić do Caemlyn, gdzie jako Doilin Mellar wkradł się w łaski

Elayne, Dziedziczki Tronu, a zgodnie z pogłoskami zrobił znacznie więcej, niż tylko jej się przypochlebiał.

Hierarchia Ludu Morza: Atha'an Miere, czyli Lud Morza, podlegają władzy Mistrzynie Statków Atha'an Miere, której asystują: Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków oraz Mistrz Ostrzy. Niżej od nich stoją klanowe Mistrzynie Fał, którym również asystują Poszukiwaczki Wiatru oraz Mistrzowie Miecza. Podlegają im Mistrzynie Żagli (które są kapitanami statków) ich klanów, z których każda ma pod sobą swoją Poszukiwaczkę Wiatru i Mistrza Cargo. Poszukiwaczka Wiatru Mistrzynie Statków stoi ponad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Fal, które z kolei mają władzę nad Poszukiwaczkami Wiatru Mistrzyń Żagli swoich klanów. Podobnie Mistrz Ostrzy pełni władzę nad wszystkimi Mistrzami Mieczy, a ci z kolei nad Mistrzami Cargo swoich klanów. Rangi wśród Ludu Morza nie są dziedziczne. Mistrzynie Statków jest wybierana dożywotnio przez Dwanaście Pierwszych Atha'an Miere, czyli dwanaście najstarszych klanowych Mistrzyń Fal. Z kolei klanowa Mistrzynie Fal jest wybierana przez dwanaście najstarszych Mistrzyń Żagli swego klanu, zwanych po prostu Dwunastoma Pierwszymi, którym to terminem wyróżnia się również najstarsze Mistrzynie Żagli. Taką przywódczynią może usunąć ze stanowiska drogą głosowania te same Dwanaście Pierwszych. Właściwie każdego oprócz Mistrzynie Statków można zdegradować, nawet do stanowiska majtka pokładowego, za Poszukiwaczka Wiatru pod Mistrzynią Fal względnie Mistrzynią Statków, która umrze, musi przejść na służbę u kobiety niższej rangą i tym samym sama przechodzi na niższe stanowisko - w istocie na najniższe stanowisko, równe temu, jakie zajmuje kobieta wyniesiona ze statusu czeladniczki na Poszukiwaczkę Wiatrów w dniu, w którym owo wyniesienie się dokonuje. Atha'an Miere, które do niedawna dzięki rozlicznym zabiegom i podstępom podtrzymywały dystans wobec Aes Sedai, zdają sobie sprawę, że zdolne do przenoszenia kobiety żyją znacznie dłużej niż zwykli ludzie - mimo iż życie na morzu jest na tyle niebezpieczne, aby nie gwarantować im spodziewanej długości życia - a więc wiedzą że zanim umrze, Poszukiwaczka Wiatrów może kilkakrotnie dotrzeć na wyżyny i spaść z nich na dno.

Iluminatorów, Gildia: Społeczność, która przechowuje tajemnicę wytwarzania fajerwerków. Tajemnica strzeżona jest tak ściśle, że jej zdrajca może nawet zostać zabity. Iluminatorzy przyjęli swe miano od wielkich przedstawień zwanych Iluminacjami, które przygotowują dla władców lub najznacniejszych arystokratów. Mniej okazałe fajerwerki sprzedawane są na wolnym rynku, zawsze jednak z dołączeniem ścisłej instrukcji i ostrzeżenia przed nieszczęściem, jakie może wyniknąć z próby zbadania, co znajduje się w środku. Kiedyś Gildia posiadała kapitulacje w Cairhien i Tanchico, jednak obecnie oba zostały zniszczone. W dodatku członkowie Gildii w Tanchico zbuntowali się przeciwko najazdowi Seanchan. Tych, którzy przeżyli, Seanchanie zmienili w da'covale, toteż Gildia jako taka już nie istnieje. Poszczególni Iluminatorzy jednakże wciąż żyją na terenach znajdujących się poza władzą seanchańską i dokładają wszelkich starań, żeby ich Gildia nie została zapomniana. Patrz również: da'covale.

Ishara: Pierwsza Królowa Andoru (około 994-1020 WR). Tuż po śmierci Artura Jastrzębie Skrzydło przekonała swego męża, jednego z najwybitniejszych generałów Jastrzębiego Skrzydła, ażeby przerwał oblężenie Tar Valon i towarzyszył jej do Caemlyn z tyloma żołnierzami, ilu zdoła oderwać od armii. Tak więc w czasach, gdy inni usiłowali przejąć całe imperium Artura Jastrzębie Skrzydło i oczywiście przegrywali, Ishara ujęła żelazną dłoń niewielką część i odniosła zwycięstwo. Obecnie niemal wszyscy przedstawiciele arystokratycznych Domów Andoru mają w sobie jakąś domieszkę krwi Ishary i prawo do zasiadania na Tronie Lwa zależy zarówno od tego, czy w danym Domu jest jej

pokrewieństwa, jakie da się ustalić.

Kaensada: Obszar wzgórz w Imperium Seanchan, zamieszkały przez barbarzyńskie plemiona, które nieustannie toczą z sobą wojny. Stale walczą z sobą także poszczególne rodziny. Plemiona różnią się obyczajami oraz tabu, które dla osób spoza plemienia często nie mają najmniejszego sensu. Większość barbarzyńców unika bardziej cywilizowanych mieszkańców seanchańskiego Imperium.

kalendarz: Tydzień składa się z dziesięciu dni, miesiąc z dwudziestu ośmiu dni, a rok z trzynastu miesięcy. Kilka świąt nie należy do żadnego z miesięcy; są to Niedziela (najdłuższy dzień w roku), Święto Dziękczynienia (przypada raz na cztery lata podczas wiosennego zrównania dnia z nocą) oraz Święto Zbawienia Wszystkich Dusz, zwane również Dniem Wszystkich Dusz (przypada raz na dziesięć lat podczas jesienno-zimowego zrównania dnia z nocą). Chociaż miesiące posiadają nazwy — Taisham, Jumara, Saban, Aine, Adar, Saven, Amadaine, Tammaz, Maigdhall, Choren, Shaldine, Nesan i Danu — używa się ich rzadko oprócz oficjalnych dokumentów i wypowiedzi urzędników. Większości ludzi wystarczą nazwy pór roku.

Kapitan-Generał: (1) Wojskowy stopień przywódcy Gwardii Królowej w Andorze. Funkcję tę pełni obecnie Lady Birgitte Trahe-lion. (2) Tytuł przywódczyni Zielonych Ajah, chociaż znany tylko członkiniom Zielonych. Stanowisko to aktualnie pełni Adelorna Bastine w Wieży, natomiast wśród buntowniczek Aes Sedai skupionych wokół Egwene al'Vere — Myrelle Berengan.

Kapitan Lansjerów: W większości krajów w normalnych okolicznościach szlachcianki nie prowadzą osobiście swych zbrojnych do bitwy. Zamiast tego najmują zawodowego, niemal zawsze wywodzącego się z gminu, żołnierza, który jest odpowiedzialny za szkolenie zbrojnych i jednocześnie nimi dowodzi. W zależności od danego kraju człowiek taki nosi tytuł Kapitana Lansjerów, Kapitana Miecza, Mistrza Koni, względnie Mistrza Lanc. Niejednokrotnie, być może nieuchronnie, rodzą się w związku z tym pogłoski o związkach bliższych niż między lady a sługą. Niekiedy te pogłoski są prawdziwe.

Kapitan Miecza: Patrz: Kapitan Lansjerów.

Kółko Dziewiarskie: Zrzesza przywódczynię Rodziny. Żadna z członkiń Rodziny nigdy nie poznała zasady, na bazie której Aes Sedai tworzą swoją hierarchię — ta wiedza jest przekazywana szala — dlatego więc zupełnie nie interesuje ich siła w posługiwaniu się Mocą przykładają za to wielką wagę do wieku, przy czym starsze kobiety zawsze stoją ponad młodszymi. Kółko Dziewiarskie (wybrano taką nazwę, bo podobnie jak Rodzina brzmi niewinnie) składa się z trzynastu najstarszych Kuzynek mieszkających w Ebou Dar, na ich czele zaś stoi Najstarsza. Zgodnie z przyjętymi zasadami wszystkie będą musiały ustąpić ze stanowisk, gdy nadejdzie pora na zmianę miejsca pobytu, dopóki jednak są mieszkankami Ebou Dar, dopóty sprawują nadrzędną władzę nad Rodziną w stopniu, którego mogłaby im pozazdrościć dowolna Zasiadająca na Tronie Amyrlin. Patrz również: Rodzina.

Krew: Termin, którym Seanchanie określają swoją arystokrację. Istnieją stopnie szlachetności wśród członków Krwi. Przedstawiciele Szlachetnej Krwi gołą sobie boki głów i malują paznokcie — im lepiej ktoś urodzony, tym więcej paznokci ma pomalowanych — jednak członkom mniej znaczącej szlachty, zwanej pomniejszą Krwią wolno sobie malować tylko paznokcie małych palców. Można należeć do Krwi z urodzenia, ale także zostać do niej wyniesionym, co często stanowi nagrodę za wybitne osiągnięcia bądź też zasługi dla Imperium.

Legion Czerwonej Ręki: Patrz: Shen an Calhar.

Legion Smoka: Duża formacja militarna złożona wyłącznie z przedstawicieli piechoty, którzy poprzysięgli lojalność Smokowi Odrodzonemu i których szkoli Davram Bashere zgodnie z opracowanymi przez niego i Mata Cauthona założeniami. Rola Legionu mocno odbiega od tej, jaką zazwyczaj przypisuje się piechocie. Choć sporo mężczyzn zwyczajnie zgłasza się na ochotnika, wielkie rzesze kandydatów zgarniają grupy werbunkowe z Czarnej Wieży, które najpierw gromadzą wszystkich pragnących się przyłączyć do Smoka Odrodzonego mężczyzn z danego obszaru, a potem przenoszą ich przez bramy w okolice Cairhien, gdzie z kolei z ich grupy wyławiają tych, których można uczyć przenoszenia Mocy. Pozostałych, których jest zresztą znacznie więcej, odsyła się do obozów szkoleniowych Bashere'a.

Legion Muru: Pierwotnie elitarna formacja wojskowa Ghealdan stanowiąca nie tylko jądro armii złożonej ze zbrojnych ghealdańskiej szlachty, ale także dostarczająca członków ochrony osobistej władców Ghealdan i zajmująca się — w miejsce Straży Miejskiej — strzeżeniem porządku w Jehannah, stolicy Ghealdan. a następnie bezwzględnie ścigali niedobitków, Wysoka Rada Królewska doszła do wniosku, że nieobecność Legionu w istocie oznacza zwiększenie jej władzy i nie dopuściła do sformowania go na nowo. Jednak ponowne sformowanie Legionu leży w planach obecnej królowej, Alliandre Maritha Kigarin; plany te mogłyby zdestabilizować sytuację w kraju, gdyby Wysoka Rada Królewska dowiedziała się o ich istnieniu.

Magazyn: Dział Biblioteki Wieży. Powszechnie znanych jest dwanaście Magazynów, w każdym znajdują się książki i zapiski odnoszące się do jakiegoś szczególnego tematu albo do dziedzin sobie pokrewnych. Trzynasty Magazyn, znany tylko Aes Sedai, zawiera tajne dokumenty, zapiski i historie, które mogą przeglądać jedynie Zasiadająca na Tronie Amyrlin, Opiekunka Kronik, Zasiadające w Komnacie Wieży, no i oczywiście garść bibliotekarek, które opiekują się Trzynastym Magazynem.

marath'damane: W Dawnej Mowie „te które trzeba wziąć na smycz”. Termin stosowany przez Seanchan wobec wszystkich kobiet zdolnych do przenoszenia Mocy, którym jeszcze nie założono obroży damane.

marsz: Patrz: miary powierzchni.

Mądra: Tytuł nadawany w Ebou Dar kobietom słynącym z niezwykłych umiejętności uzdrawiania niemal każdej dolegliwości. Zgodnie z tradycją Mądre wyróżniają się czerwonymi pasami. Chociaż już zauważono, że wiele czy wręcz większość Mądrych eboudarianek nawet nie pochodzi z Altary, a tym bardziej z Ebou Dar (który to fakt jeszcze do niedawna pozostawał nieznanym), to jednak zaledwie nieliczni wiedzą że wszystkie Mądre są w rzeczywistości członkiniami Rodziny, praktykującymi rozmaite odmiany Uzdrawiania, a swe zioła i maści rozdają jedynie dla pozorów. Od czasu ucieczki Rodziny z Ebou Dar, gdy Seanchanie zajęli miasto, nie ma tam żadnej Mądrej. Patrz również: Rodzina.

Mellar, Doilin: Patrz: Hanlon, Daved.

Mera'din: W Dawnej Mowie „Pozbawieni Braci”. Nazwa przyjęta przez tych Aielów, którzy porzucili swój klan i szcep, po czym przyłączyli się do Shaido, ponieważ albo nie potrafili zaakceptować Randa al'Thora, człowieka z bagien, jako Car'a'carna, albo dlatego, że nie chcieli uznać rewelacji dotyczących historii i pochodzenia Aielów. Opuszczenie klanu i szczepu z dowolnego powodu jest u Aielów występkiem zasługującym na potępienie, z tego też względu odrzuceni przez społeczność „Pozbawionych Braci”.

miary odległości: 10 cali = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4

mile = 1 liga.

miary powierzchni: (1) areał: 1 wstęga = 20 kroków x 10 kroków (200 kroków kwadratowych); 1 rzemień = 20 kroków x 50 kroków (1000 kroków kwadratowych); 1 hajd = 100 kroków x 100 kroków (10 000 kroków kwadratowych); 1 sznur = 100 kroków x 1000 kroków (100 000 kroków kwadratowych); 1 marsz = 1000 kroków x 1000 kroków (1/4 mili kwadratowej). (2) materiał: 1 krok = 1 krok i 1 dłoń x 1 krok i 1 dłoń.

miary wag: 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

Mistrz Koni: Patrz: Kapitan Lansjerów.

Mistrz Lanc: Patrz: Kapitan Lansjerów.

morat: W Dawnej Mowie „treser”. Wśród Seanchan używa się tego terminu na określenie osób ujeżdżających egzotyczne stworzenia, na przykład potocznie zwanych awiatorami morat 'raken, dosiadających rakenów. Patrz również: der'morat.

Obrońcy Kamienia: Elitarna formacja wojskowa z Łzy. Obecny Kapitanem Kamienia (dowódcą Obrońców) jest Rodrivar Tihera. W szeregi Obrońców przyjmowani są jedynie Tairenianie, przy czym ich kadra oficerska wywodzi się zazwyczaj ze szlachty, aczkolwiek często są to przedstawiciele ostatnich Domów, względnie bocznych gałęzi Domów najznamienitszych. Do zadań Obrońców należy utrzymywanie Kamienia Łzy, ogromnej fortecy usytuowanej w samym sercu miasta Łza, ochrona całego miasta oraz pełnienie funkcji właściwych policji w zastępstwie Straży Miejskiej i innych tego typu formacji. Obowiązki rzadko kiedy odciągają ich daleko od miasta, z wyjątkiem okresu wojny. Wówczas to razem z innymi elitarnymi jednostkami Obrońcy Kamienia stanowią swoisty rdzeń, wokół którego tworzy się armię. Ich uniformy składają się z czarnych kaftanów z zakończonymi czarnymi mankietami, watowanymi rękawami w czarno-złote paski, polerowanych napierśników oraz hełmów z wygiętym brzeżkiem i stalową kratownicą. Kapitan Kamienia nosi trzy krótkie białe pióra przy hełmie, a przy mankietach trzy splecione złote warkocze na białym pasku. Kapitanowie wyróżniają się dwoma białymi piórami i pojedynczym złotym warkoczem na białych mankietach, porucznicy —j ednym białym piórem i pojedynczym czarnym warkoczem na białych mankietach, podporucznicy zaś jednym

Chorążowie mają złote mankiety, a dowódcy oddziałów mankiety w czarno-złote paski.

Pierwsza Analityczka: Tytuł przywódczyni Białych Ajah. Stanowisko to w Białej Wieży piastuje aktualnie Ferane Neheran. Ferane Sedai jest jedną z dwóch przywódczyń Ajah, które zasiadają obecnie w Komnacie Wieży.

Pierwsza Tkaczka: Tytuł przywódczyni Żółtych Ajah. Stanowisko to w Białej Wieży zajmuje aktualnie Suana Dragand. Suana Sedai jest jedną z dwóch przywódczyń Ajah, które zasiadają obecnie w Komnacie Wieży.

Poszukujący: Mniej formalna nazwa Poszukujących Prawdy, policyjno-spiegowskiej organizacji Imperialnego Tronu Seanchan. Chociaż większość Poszukujących jest da'covale i stanowi własność rodziny cesarskiej, posiadają oni wielką władzę. Nawet przedstawiciel Krwi może zostać aresztowany za odmowę udzielenia odpowiedzi na pytanie Poszukującego lub pełnej współpracy z

nim; zakres tej ostatniej definiowany jest przez samych Poszukujących i podlega wyłącznie kontroli Cesarzowej. Ci Poszukujący, którzy są da'covale, mają na obu ramionach wytatuowanego kruka i wieżę. W przeciwieństwie do Straży Skazańców, Poszukujący rzadko wykazują chęć pokazywania swoich tatuaży, po części dlatego, że muszą w ten sposób ujawnić, kim i czym są. Patrz również: Dłoń, Słuchacze.

Powrót: Patrz: Corene.

Prorok: Bardziej rozbudowana forma tego miana to Prorok Lorda Smoka. Tytuł, jaki przypisał sobie Masema Dagar, były shienarański żołnierz, który doznał objawienia i stwierdził, że został powołany do szerzenia na świecie nauk o Smoku Odrodzonym i jego Powtórnych Narodzinach. Wierzy, że nic — absolutnie nic — nie jest ważniejsze od uznania Smoka Odrodzonego za ucieleśnienie Światłości i gotowości do odpowiedzi na jego wezwanie. Głosi ponadto, że on sam i jego wyznawcy użyją wszelkich dostępnych środków, starając się zmusić innych do opiewania chwały Smoka Odrodzonego. Wyrzekłszy się wszelkich innych imion oprócz „Proroka”, Masema sprowadził chaos na Ghealdan i Amadicię, których spore obszary znalazły się pod jego kontrolą. W pewnym momencie Prorok połączył się z Perrinem Aybarą, którego wysłano, ażeby zaprowadził go do Randa, i z niewiadomych przyczyn pozostał z nim, chociaż z tego powodu opóźnia swoje pójście do Smoka Odrodzonego.

mężczyznom i kobietom Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Cienia podczas Wieku Legend i dali się schwytać w pułapkę, kiedy na mury więzienia Czarnego nałożono pieczęcie. Mimo iż od dawna uważani są za jedynych, którzy wyparli się Światłości podczas Wojny z Cieniem, w rzeczywistości byli też inni; tych trzynastu to jedynie najwyżsi rangą wśród wszystkich. Przeklęci (którzy sami siebie nazywają Wybranymi) zostali od czasu swego przebudzenia zredukowani liczebnie. Niektórzy z zabitych odrodzili się w nowych ciałach i otrzymali nowe imiona, mimo to wciąż nie wiadomo wiele o ich tożsamości i miejscu pobytu.

Rhyagelle: W Dawnej Mowie „Ci, Którzy Wrócili Do Domu”. Inna nazwa na określenie Seanchan, którzy powrócili na ziemie znajdujące się niegdyś pod panowaniem Artura Jastrzębie Skrzydło. Patrz również: Corene, Hailene.

Rodzina: Nawet podczas Wojen z Trollokami, przed ponad dwoma tysiącami lat (ok. 1000-1350 OP), Biała Wieża w dalszym ciągu przestrzegała swoich standardów, usuwając kobiety, którym nie udało się ich wypełnić. Grupa takich właśnie kobiet, które bały się wrócić do domu w samym środku wojen, uciekła do Barashty (w pobliżu obecnego Ebou Dar), miejsca w owych czasach najbardziej oddalonego od pola walk. Nazwały swe ugrupowanie Rodziną, a siebie Kuzynkami i pozostały w ukryciu, oferując usuniętym z Wieży bezpieczną przystań. Z czasem za sprawą związków z kobietami, którym nakazano opuszczenie Wieży, Rodzina zaczęła nawiązywać kontakty z uciekinierkami i z siebie tylko znanych powodów przyjmować je w swoje szeregi. Dokładały przy tym wielkich starań, by te kobiety nie dowiadywały się niczego na temat Rodziny, póki nie istniała pewność, że Aes Sedai nie zechcą ich odebrać. Jakkolwiek by było, powszechnie wiedziano, że uciekinierki są prędzej czy później wyłapywane, Rodzina zaś zdawała sobie sprawę, że musi utrzymywać fakt swego istnienia w sekrecie, bo inaczej spotka jej członkinie sroga kara.

Nieznane Rodzinie Aes Sedai z Wieży wiedziały o jej istnieniu niemal od samego początku, niemniej ciąg wojen nie pozwalał siostronom na zajęcie się nią. Pod koniec wojen Wieża zrozumiała, że zniszczenie Rodziny nie leży w jej interesie. Tuż przedtem — wbrew oficjalnie rozgłaszanym twierdzeniom Wieży — większości uciekinierek rzeczywiście udało się zbiec, ale odkąd Rodzina

zaczęła im pomagać, przedstawicielki Wieży wiedziały dokładnie, dokąd kieruje się zbiegła kobieta i zaczęły Kuzynki wyprowadzały się i wprowadzały do Barashty (a później z i do Ebou Dar), starając się ukryć swoje istnienie oraz dokładną liczbę i nigdy nie pozostając w jednym miejscu dłużej niż dziesięć lat (o ile ktoś wcześniej nie zauważył, że nie starzeją się w normalnym tempie), Wieża sądziła, że jest ich niewiele, a one starały się nie rzucać w oczy. Pragnąc wykorzystać Rodzinę do chwytania uciekinierek w swego rodzaju pułapkę, Wieża postanowiła zostawić je w spokoju — w odróżnieniu od innych istniejących w danym momencie historii tego typu ugrupowań — a także utrzymywać fakt istnienia Rodziny w sekrecie, znanym jedynie pełnym Aes Sedai. Patrz również: Kółko Dziewiarskie.

Seandar: Stolica Imperium Seanchan, ulokowana na północnym wschodzie seanchańskiego kontynentu. Jest to również największe miasto w Imperium.

sei'mosiev: W Dawnej Mowie „spuszczony wzrok”. Wśród Seanchan powiedzenie o kimś, że „stał się sei'mosiev”, oznacza, że „stracił twarz”. Patrz również: sei'taer.

sei'taer. W Dawnej Mowie „szczery wzrok” albo „równy wzrok”. U Seanchan określenie to odnosi się do honoru albo twarzy, a także do zdolności spojrzenia komuś w oczy. Można „być” albo „mieć” sei'taer, co oznacza, że ktoś ma honor i zachowuje twarz, można też „zyskać” albo „stracić” sei'taer. Patrz również: sei'mo-siev.

serce: Podstawowa jednostka organizacyjna u Czarnych Ajah, inaczej mówiąc — komórka. Serce składa się z trzech sióstr, które znają tylko dwie pozostałe; każda członkini serca zna jeszcze dodatkowo jedną inną Czarną siostrę.

Shara: Tajemnicza kraina, leżąca na wschód od Pustkowia Aiel. Dostęp do niej utrudniony jest zarówno z powodu niegościnnego ukształtowania terenu, jak i przez warowne mury przybrzeżnych miast. Niewiele o niej wiadomo, gdyż jej mieszkańcy całkowicie chronią swoją ziemię i kulturę przed wszelkimi ewentualnymi kontaktami z obcymi. Sharani powtarzają często, że nawet Wojny z Trollokami bezpośrednio ich nie dotknęły, z czym nie zgadzają się Aielowie. Mieszkańcy Shary konsekwentnie wypierają się też wszelkiej wiedzy o ataku floty Artura Jastrzębie Skrzydło, wbrew relacjom naocznych świadków spośród Ludu Morza. Według ostatnio zdobytych informacji krajem rządzi jeden monarcha absolutny, zwany Sh'boan (jeśli jest kobietą) bądź Sh'botay (jeśli jest mężczyzną). Monarcha ów sprawuje rządy przez siedem lat, przy końcu zaś siódmego roku który wybiera sobie nowego partnera i rządzi przez następne siedem lat, aż do swojej śmierci. Wzorzec ten najwyraźniej przetrwał bez zmian od czasu Pęknięcia Świata. Sharani wierzą, że śmierć władcy odbywa się z „Woli Wzoru”.

W Sharze mieszkają osoby ze zdolnością do przenoszenia Mocy, nazywane Ayyadami, które tuż po urodzeniu mają tatuowane twarze. Kobiety w tej społeczności posiadają znacznie więcej praw niż mężczyźni. Kontakty seksualne Ayyadów z osobami nie potrafiącymi przenosić Mocy są karane śmiercią nie Ayyada, ale także Ayyada, jeśli udowodni się mu (czy jej), że zmusił partnera (lub partnerkę) do zbliżenia. Dzieci zrodzone z takich związków są zabijane poprzez wystawienie na działanie żywiołów. Mężczyzn traktuje się przede wszystkim jako reproduktorów dla obdarzonych Mocą kobiet. Kiedy młodzieniec osiąga dwudziesty pierwszy rok życia—lub wcześniej, jeśli zaczyna wykazywać zdolności do przenoszenia Mocy — zostaje zabity, a jego ciało poddane kremacji. Ayyadowie najprawdopodobniej przenoszą Jedyńą Moc tylko na rozkaz Sh'boan lub Sh'botay. Władcę zawsze otaczają Ayyadki.

„Shara” to tylko jedna z licznych nazw tej krainy. Wiadomo, że jej mieszkańcy określają ją także licznymi innymi mianami, takimi jak Shamara, Co'dansin, Tomaka, Kigali i Shibouya.

Shen an Calhar: W Dawnej Mowie „Legion Czerwonej Ręki”.

(1) Legendarna grupa bohaterów, którzy po dokonaniu wielu bohaterskich wyczynów polegli w obronie Manetheren, kiedy owa kraina została zniszczona podczas Wojen z Trollokami. (2) Formacja militarna założona niemal przypadkiem przez Mata Cauthona i zorganizowana zgodnie z założeniami dla formacji wojskowych, przyjętymi w okresie uznanym za szczyt rozkwitu sztuki militarnej, to znaczy w czasach panowania Artura Jastrzębie Skrzydło i poprzedzających je wiekach. Patrz również: Czerwonoręcy.

Sisnera, Darlin: Wysoki Lord Łzy, który dawniej buntował się przeciwko Smokowi Odrodzoneму, teraz jednak służy jako Zarządca Smoka Odrodzonego w Łzie.

Skrzydłata Gwardia: Osobista ochrona Pierwszych z Mayene i elitarna formacja militarna Mayene. Członkowie Skrzydlatej Gwardii noszą polakierowane na czerwono napierśniki, czerwone hełmy w kształcie przypominającym garnki z wywiniętymi krawędziami i okapami zakrywającymi cały kark oraz lance z czerwonymi wstążkami. Na bokach hełmów oficerów znajdują się skrzydełka, a na ich stopień wojskowy wskazują smukłe pióra. się, że właściwie każdy członek służby domowej seanchańskiego szlachcica, kupca czy bankiera, może okazać się Słuchaczem, co również niekiedy odnosi się do da'covale, jednak nadzwyczaj rzadko do sojhin. Słuchacze nie podejmują żadnych aktywnych działań, tylko obserwują, słuchają i donoszą. Ich raporty docierają do Pomniejszych Dłoni, które kontrolują zarówno ich organizację, jak i Poszukujących i tym samym decydują co należy przekazać Poszukującym w celu odpowiednich dalszych działań. Patrz również: Poszukujący, Dłoń.

so'jhin: Najbliższym tłumaczeniem tego terminu z Dawnej Mowy będzie „szczyt pośród nizin”, aczkolwiek niektórzy przekładają ów termin także jako „zarówno niebo, jak i dolina” lub jeszcze inaczej. Słowem sojhin w Seanchan określa się dziedzicznych służących pełniących ważne funkcje. Są to da'covale, czyli niewolnicy, aczkolwiek zajmują wysokie stanowiska, dzięki którym sprawują władzę nad innymi. Nawet Krew stąpa ostrożnie przy sojhin przedstawicielei rodziny cesarskiej, asojhin Cesarzowej traktuje jak sobie równych. Patrz również: Krew, da'covale.

Sondowanie: (1) Umiejętność wykorzystywania Jedynej Mocy w diagnozowaniu stanu fizycznego oraz choroby. (2) Umiejętność korzystania z Jedynej Mocy do wyszukiwania rud metali. Aes Sedai dawno temu zatraciły tę ostatnią umiejętność i być może tym należy tłumaczyć fakt, iż jej nazwę przeniesiono na inną.

Straż Skazańców: Elitarna formacja militarna Imperium Seanchańskiego, w której służą zarówno ludzie, jak i ogirowie. Wszyscy ludzie służący w Straży są da'covale, urodzeni jako czyjaś własność i za młodu wybrani do służby na rzecz Cesarzowej, w której posiadanie od tego momentu przechodzą. Fanatycznie lojalni i bezprzykładnie dumni, często chępią się wytatuowanymi na ramionach krukami, czyli znakiem da'covale Cesarzowej. Ogirowie ze Straży są znani jako Ogrodnicy i ci nie są da'covale. Ogronicy są tak samo niezłomnie lojalni jak ludzie ze Straży Skazańców, a budzą lęk jeszcze większy niż jej ludzcy przedstawiciele. Zarówno ludzie, jak i ogirowie ze Straży Skazańców nie tylko są gotowi umrzeć za Cesarzową i przedstawicielei rodziny cesarskiej, ale także wierzą, że ich życie stanowi własność Cesarzowej, która może się ich pozbyć, jeśli tylko zechce. Ich hełmy i zbroje są lakierowane na kolory ciemnozielony i krwiście czerwony, tarcze zaś na czarno; włócznie i miecze zdobione są czarnymi chwostami. Patrz również: da'covale.

którego jeden Dom zastępuje drugi na tronie kraju. W Andorze termin ten stosowany jest powszechnie dla określenia walki o tron, która rozgorzała w następstwie śmierci Mordrellen. Zniknięcie Tigraine pozostawiło Mantear bez Dziedziczki Tronu i musiały minąć dwa lata, nim Morgase z Domu Trakand objęła tron kraju. Poza granicami Andoru konflikt ten powszechnie nazywany jest Trzecią Wojną o Sukcesję Andorańską.

Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu pokonania Czarnej i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Grupa założona podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara w celu nawracania rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności, podczas wojny przekształciła się w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł oraz zrzeszającą ludzi absolutnie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Synowie Światłości nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywani Białymi Płaszczami, mieli niegdyś siedzibę w Amadorze (Amadicia), skąd zostali wyrzuceni, gdy miasto zdobyli Seanchanie. Ich godłem jest promieniste słońce na białym tle. Patrz również: Śledczy.

Śledczy: Społeczność należąca do Synów Światłości. Sami określają się mianem Ręki Światłości, a ich celami, na które składają przysięgę, jest odkrywanie prawdy na drodze dysput oraz demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest stosowanie tortur. Zazwyczaj z góry znają prawdę, więc usiłują jedynie zmusić przesłuchiwanego nieszczęśnika do jej wyznania. Czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Namaszczonych, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, obecnie Rhadam Asu-nawa, który zasiada w Radzie Namaszczonych, natomiast ich godłem kij pasterski barwy krwi.

Taborwin, Breane: Kiedyś znudzona arystokratka z Cairhien. Później straciła bogactwo i pozycję, toteż obecnie jest jedynie służącą. Pozostaje w poważnym związku z mężczyzną, którym kiedyś gardziła.

Taborwin, Dobraine: Lord z Cairhien. Obecnie służy jako Zarządca Smoka Odrodzonego w Cairhien.

handlowy, główny dostawca pięknych pledów, barwników, fajerwerków dla Gildii Iluminatorów i innych luksusowych towarów, który jednak ostatnimi czasy przeżywa trudny okres. Kraj ten, nękany przez anarchię i wojnę domową, spowodowane równoczesną batalią przeciwko Arad Doman i Wyznawcom Smoka, bez trudu przejęli Seanchanie, którzy obecnie rządzą Tarabonem mocną ręką. Zniszczona została kapituła Gildii Iluminatorów, a większość samych Iluminatorów Seanchanie uczynili swoimi da'covale. Przeważająca część Tarabonian wydaje się odczuwać wdzięczność wobec najeźdźców za przywrócenie porządku, a ponieważ Seanchanie pozwalają im żyć tak jak dotąd i ich ingerencja jest jedynie minimalna, mieszkańcy tej krainy nie wydają się pragnąć kolejnej wojny, mającej na celu próbę usunięcia agresorów ze swojego państwa. Niektórzy taraboniańscy lordowie i żołnierze pozostają jednakże poza strefą wpływów Seanchan i mają nadzieję odzyskać kiedyś swoje ziemie.

waluta: Po wielu wiekach handlu standardowe terminy dla monet ujednoliciły się we wszystkich krajach: używa się zatem koron (największych monet pod względem wielkości), marek i pensów. Korony i marki są bite ze złota lub srebra, podczas gdy pensy mogą być srebrne bądź miedziane; te ostatnie często nazywa się po prostu miedziakami. Na różnych ziemiach jednakże wielkość i waga monet może znacznie odbiegać od siebie, nawet w jednym państwie zresztą różni władcy bili monety o różnych rozmiarach i ciężarze. Dzięki handlowi monety wielu narodów można znaleźć prawie na całym świecie. Z tego też względu bankierzy, lichwiarze oraz kupcy ważą je i w ten sposób określają

ich wartość; waży się nawet duże ilości monet. Jediną papierową walutę stanowią „listy kredytowe”, które wydają bankierzy i które przedstawiają sobą pewną gwarantowaną ilość złota albo srebra. Z powodu wielkich odległości między miastami, długości czasu potrzebnego na podróż z jednej miejscowości do innej oraz trudności związane z transakcjami na tak wielki dystans, listy kredytowe są akceptowane w pełnej wartości jedynie w mieście blisko banku, który je wydał, natomiast w dalej położonych miejscowościach przyjmowane są w niższej wartości niż rzeczywista. Ogólnie rzecz biorąc, osobnik zamyślający dłuższą podróż powinien wziąć z sobą jeden albo więcej listów kredytowych i w razie potrzeby wymienić je na monety. Listy kredytowe przyjmują zazwyczaj bankierzy bądź też kupcy, nigdy zaś sklepikarze.

nie dorosną na tyle, by zrozumieć, że nie sposób w nią wygrać, nie łamiąc reguł. Gra się w nią na planszy przedstawiającej pajęczynę linii ze strzałkami wskazującymi kierunek ruchu. Gra się za pomocą dziesięciu okrągłych pionów z trójkątami oznaczających lisy i dziesięciu pionów z falistymi liniami oznaczających węże. Grę rozpoczyna się, wygłaszając rytualną sentencję: „Odwagą wzmocniony, ogniem oślepiiony, muzyką ogłuszony, żelazem związany”, równocześnie rysując jedną ręką trójkąt przekreślony falistą linią. Ruchy graczy oraz węży i lisów określa rzut kością. Kiedy pion oznaczający węża lub lisa wchodzi na miejsce zajmowane przez pion gracza, ten wypada z gry; jeśli przestrzega się reguł gry, wcześniej czy później następuje to w każdym wypadku.

zbrojni: Żołnierze, którzy poprzysięgli wierność lub złożyli hołd lenny jakiemuś lordowi albo jakiejś lady.

Zgromadzenie: Publiczne zebranie ogirów, które może się odbywać wewnątrz któregoś ze steddung albo gdzieś pomiędzy nimi. Wielkiemu Zgromadzeniu przewodniczy Rada Starszych steddung ale każdy dorosły ogir ma prawo w nim przemówić; może też sobie wybrać przedstawiciela, który wypowie się w jego imieniu. Zgromadzenie często odbywa się w największym pniaku drzewa w steddung i może trwać nawet kilka lat. Zwołuje się je, ilekroć pojawi się jakaś sprawa niepokojąca ogół ogirów i ciągnie się ono tak długo, aż nie wypowiedzą się wszyscy chętni. Kolejne Wielkie Zgromadzenia odbywają się w coraz to innych steddung

Zwiastuni: Patrz: HaUene.